

Antologia SF

Różni

Książka III z Wizje Alternatywne



calibre 0.9.43

Antologia polskiej fantastyki

Wizje alternatywne 3

wybór Wojtek Sedeńko

Wojciech Szyda

Pieśń Adoriona

„KAŻDY ANIOŁ JEST STRASZNY A JEDNAK, ŚWIADOM WASZEJ MOCY,
WAM ŚLE MOJ ŚPIEW, ZABÓJCZE NIEMAL PTAKI DUSZY”

R M RILKE, *ELEGIE DUINEJSKIE*

„REWOLUCJA DOKONUJE SADU NAD SM.WM ZŁA JEDNAKŻE SIŁY, KTÓRE
SADZĄ, SAME TWORZĄ ZŁO PODCZAS REWOLUCJI RÓWNIEŻ DOBRO
REALIZOWANE JEST SIŁAMI ZŁA, ALBOWIEM SIŁY DOBRE NIE SA W STANIE
ZREALIZOWAĆ DOBRA W HISTORII REWOLUCJA NIE JEST DZIEŁEM
CZŁOWIEKA, ONA JEST PONAD NIM”

BIERDIAJEW, ZE ZBIORU *OKRUCHY TWÓRCZOŚCI*

„SA EPOKI STWORZONE DO DZIESIĄTKOWANIA TRZÓD MIESZANIA
JEŻYKÓW I ROZPRASZANIA PLEMION”

A CARPENTIER *EKSPLOZJA W KATEDRZE*

Ludwik —1

Bawaria, noc, sanie jadą przez zamrożone jezioro Alpsee, słysząc tętent koni i skrzypienie śniegu Siedzę owinięty w niedźwiedzią skórę i spoglądam w gwiazdy. Stangret popędza konie. Uczepieni z tyłu żołnierze drżą na myśl o pękającym lodzie Posłuszeństwo nakazuje im milczeć Jestem ich królem Niebo bezchmurne, gwiazdy skrzą się jak kryształki lodu. Same wspinają się teraz z boczem wzgórza Na szczęście droga me jest oblodzona. Zamykam oczy Samotność to moja wyspa.

Myślę o przeszłości. O tym, co sprowadziło mnie na Ziemię. O tym, kim byłem i kim jestem.

Dotarliśmy Ze skalnej półki, wiszącej nad przepaścią, widać okolicę. W świetle księżyca srebrzy się zamek Neuschwanstein. Służba kryje się w małej grocie, by ogrzać się przy ogniu. Ja zostaję w saniach i obserwuję niebo. Chociaż wiem, że to, co widzę, jest zaledwie ogromem materii, wyobrażam sobie dom. Gdzieś za firmamentem jest świat, od którego zostałem odseparowany i za którym tęsknię — świat aniołów. Zamykam oczy i powracam w przeszłość, do tych dziwnych zdarzeń, które przywiodły mnie tutaj. Ja, Adonon, wkroczyłem na drogę błędu, by stać się człowiekiem.

Jedno z miejsc naznaczonych, planeta Aion, Samotna wyspa w oceanie bezmaterii. Milion lat od zawsze, milion lat od nigdy. Przestrzeń poza przestrzenią, czas poza czasem. Nieruchome, skalne ciało niebieskie bez gwiazd i księżyców. Skalista, popękana skorupa w trzeciej sefirze. Powierzchnia pokryta granatowymi plamami jezior, przykryta chmurami żółto-fioletowej magnezji. Bezgrawitacyjny, bezwymiarowy, bezzatmosferyczny obiekt w pustce Eteru. Miliardy kilometrów od wszędzie, miliardy kilometrów od nigdzie. Bezmiejsce. Metafizyczne laboratorium Boga, planeta Aion.

„Budujesz na wodach swoje górne komnaty (...). Czynisz wiatry posłańcami swymi, ogień płonący sługami swymi”.

(Ps. 104,3)

Naprzeciw Wzgórza Naznaczeń stoi pałac o kryształowych ścianach, scalonych korzeniami astrowrzosu. Jest zakotwiczony w płaskowyżu i połączony ze skałą płozami magnoidalnymi. Ma kształt trójkątnej obręczy. Nikt nie ma tutaj wstępu prócz mnie i rosimy modlitewnej. Trójkąt dzieli się na trzy pomieszczenia Korytarz Oczyszczeń, Korytarz Wezwań i Korytarz Przejść. Korytarz Wezwań daje dobry obraz Wzgórza. Obserwuję stąd wspinaczkę wezwanych dusz, których syzyfowy trud jest przeznaczeniem ludzi. Wpisuję go w miliony istnień nim zostaną powołane do cielesnych pielgrzymek. Ja, Adonon, naznaczam je piętnem daremności.

Mam twarz anioła, symetryczne, alabastrowe oblicze bez zarostu.

Mam włosy anioła, czarno-błękitne loki spadające na ramiona.

Mam ręce anioła, kredową skórę z błękitnymi żyłami, w których płynie światło.

Mam dłonie anioła, siedem palców zakończonych ferrytowymi hermami.

Mam skrzydła, dwa złote wachlarze, które noszę jako strój oficjalny.

Nadgarstki mam zawinięte bandażami posłuszeństwa Na prawej ręce — opaska Przedwiecznego,

na lewej — opaska Chóru Światło, przepływające przez przeguby, rozprowadza moc bandaży do całego ciała.

W uszy, oczy, język i nos mam wszczepione talizmaty odporności.

Prawa dłoń spoczywa na rękojeści miecza Tym mieczem zabijam demony w czasie pojedynków na ulicach wymarłych miast.

Planeta Aion jest moim zesłaniem.

Pokutuję, naznaczam i zabijam Jestem aniołem.

„Słowem Pana uczynione zostały niebiosa, a tchnieniem ust jego całe wojsko ich”.

(Ps. 33,6)

Na imię mam Adorion i jestem aniołem Tronu. Aniołowie Tronu zasiadają w trzecim Chórze pierwszego Porządku, zaraz po Serafinach i Cherubach. Spośród wszystkich aniołów jesteśmy najbliżej Boga. Ja również byłem Jego strażnikiem, jednak złamałem regulamin i zesłano mnie na Aion. Nie utraciłem miejsca w Chórze, lecz oddalono mnie od Tronu, więc mój tytuł jest tylko symboliczny. Są różne gatunki aniołów. Różni się większą lub mniejszą doskonałością natury. Pierwszy Porządek jest najbliżej Niewidzialności. Najwyższymi w hierarchii są Serafini, najniższymi — zwykli aniołowie. Ci ostatni są najbliżej Widzialności. To z nich rekrutują się zastępy aniołów stróżów. Między Serafinami a szeregowymi aniołami jest środek drabiny: siedem Chórow pośrednich Cherubini, Trony, Zwierzchności, Moce, Panowania, Władze oraz Archaniołowie Archamołowie są pośrednikami między Bogiem a ludźmi.

Jest dziewięć Chórow, które wchodzi w skład trzech Porządków Poszczególnym Chórom odpowiadają różne sefiroty Są to kanały boskiej energii, za pośrednictwem których Eter wyłonił się z Boga Wspaniałość, Wieczność, Piękno, Siła, Łaska, Wiedza, Mądrość, Rozumienie i Korona. Ostatnia sefira jest odpowiednikiem boskiej woli To z niej wyłonili się najniżsi rangą aniołowie Pan stworzył ich jak ludzi, mocą Słowa, natomiast osiem wyższych chórów wyłoniło się z Niego poprzez Emanację.

Ponieważ jestem aniołem Tronu, przebywam w trzeciej sefirze, a moim atrybutem jest Piękno. Planeta Aion jest ważnym miejscem. Dusze przybywają tu, by zostać naznaczone. Naznaczam je piętnem daremności, aby w życiu doczesnym nie osiągnęły pełni szczęścia. Inaczej ontologiczny porządek świata nie miałby sensu. Wykorzystuję do tego symbolikę pewnego ziemskiego mitu. Inny anioł, na innej planecie, naznacza dusze piętnem grzechu pierworodnego. Jego planeta przypomina piękny ogród. Moja jest skalistą pustynią.

„Anioł oznacza funkcję, nie naturę. Pytasz, jak nazywa się natura? — Duch. Pytasz o funkcję? — Anioł. Przez to, czym jest, jest duchem, a przez to, co wypełnia, jest aniołem”.

Św. Augustyn *Enarratio in Psalmos*

Siedzę w terminalu Korytarza Wezwań i obserwuję Miejsce Zaznaczeń.

Wzgórze, samotne wyrzuczenie na płaskowyżu, jakby pierwotna magma zaczęła formować wulkan i zastygła pod wpływem wichru. Ma kształt przyciętego stożka i barwę poczerńniętego srebra. U jego stop spoczywają czarne głazy.

Między pałacem a wzgórzem znajduje się przezroczysty klosz. W jego owalną ścianę wbudowane są metabiozery. W komorach wypełnionych żywicą eschatyczną spoczywają powłoki. Pałac jest połączony z kopułą sefiryicznym kanałem przekaźnikowym. Za jego pośrednictwem przeszczepiam

dusze do powłok. Wszystko zaczyna się od przebudzenia. Kopuła działa jak filtr — chwyta wyładowania chmur i przemienia je w ożywcze światło. Powłoki — nieświadome manekiny wypełnione pustką. Kiedy się budzą, wyglądają niczym dotknięte obłędem małpoludy.

Kieruje pasmo imperatywne na ich umysły. Wygłaszam błogosławieństwo i dusze wnikają w ich ciała.

Kopuła odchyła się, powłoki wychodzą z klatki. Zdążają w kierunku wzgórza. Nieodparty impuls zapala ogień w ich oczach. Muszą zdobyć górę.

Sprawdzam repertorium Na ekranie tabela wskazująca czas i miejsce narodzin *Chiny 1231, Islandia 1904, Chiny 1538, Indonezja 2007, Meksyk 324, Księżyc 2070, Persja 1113.*

Czasoprzestrzenny wachlarz. Każdy z nich przyjdzie na świat w którejś z tych epok.

Podchodzą do głazów Są jak ptaki wracające do gniazd. Zaczynają pchać kamienie pod gorę dyszą z wysiłku, zapierają się o skałę, lecz brną naprzód. Są jak rosimy przyciągane magnesem słońca, ich twarze wyrażają jedno pragnienie dostać się na szczyt. Są już w połowie drogi. Dzięki receptorom odczuwają zmęczenie, ale pragnienie wspinaczki jest silniejsze. Docierają do szczytu Kiedy czują, że zwyciężyli, kamienie uciekają im z rąk. Próbuje zatrzymać to, co nieuchronne, ale na próżno. Głazy staczają się z szyderczym łoskotem. Coś krzyczy w ich wnętrzach, w oczach maluje się rozpacz.

Kamienie leżą na dole żałobne memento daremnego trudu. Zrezygnowani wracają do kopuły. Pod żółto-fioletowym niebem wyglądają jak orszak potępieńców. Klosz zamyka się niczym wieko trumny Nakazuje im wejść do metabiozerów. Gdy już są w komorach, wygłaszam błogosławieństwo. W ten sposób zamykam ceremonię. Naznaczone dusze opuszczają ciała i wracają do pałacu. Są gotowe na spotkanie z ludźmi.

Gdy wysyłano mnie na Aion, dostałem instrukcję opisującą cel mojej misji:

„Ludzie rodzą się z podwójnym brzemieniem grzechem pierwotnym i piętnem daremności. Ta prawda znajduje odbicie w świętych księgach oraz w mitach, które człowiek tworzy, by ogarnąć Boży Zamysł. W księdze Genesis prarodzice zostają wypędzeni z Ogrodu, w którym rosną dwa drzewa Drzewo Poznania Dobra i Zła oraz Drzewo Życia. Pierwsze kryje tajemnicę moralności, drugie tajemnicę wiedzy. Po zerwaniu owocu z Drzewa Poznania człowiek utracił przyrodzone szczęście. Znaczenie tego symbolu jest jasne człowiek nie był w stanie samodzielnie rozeznaczyć i rozsądzić, co jest dobre, a co złe, ale miał kierować się wyższą zasadą. Ślepa pycha zrodziła w nim przekonanie, że jest samodzielny i niezależny, i może się obyć bez wiedzy pochodzącej od Boga. Skutki pierwotnego nieposłuszeństwa prarodziców dotknęły wszystkich ludzi. Zostali wygnani, a Bóg postawił straż przed Ogiem, by Drzewo Życia było bezpieczne. Wszedłszy w rolę Stwórcy, człowiek zapragnął przeniknąć tajemnicę istnienia. Uznawszy, że wolno mu rozsądzać, co dobre, a co złe, odczuł pokusę rozumowego zbadania Prawdy. W imię nauki był gotów prowadzić eksperymenty, często wbrew Bogu Ogród jest jednak strzeżony, więc wiedza pozostanie niedostępna.

Mit o Syzyfie wyraża podwójną daremność ludzkich wysiłków w zdobywaniu szczęścia i w zdobywaniu wiedzy. Próba pojęcia za pomocą rozumu Bożej Mądrości, która jest źródłem Prawdy, jest skazana na niepowodzenie. Prawda przynależy bowiem do wyższego porządku, którego zgłębienie przerasta zdolności człowieka.

Złamanie pierwszego zakazu stało się dla ludzi dramatem, złamanie drugiego byłoby katastrofą. Utracenie raju jest zarazem karą i ostrzeżeniem.”

W dyrektywach technicznych przeznaczenie ludzi określa się krócej prakseologiczna nieoperatywność metafizycznego spełnienia.

„Aniołowie posiadają rozum i wolę: są stworzeniami osobowymi i nieśmiertelnymi. Przewyższają doskonałością wszystkie stworzenia widzialne. Świadczy o tym blask ich chwały”.

Katechizm Kościoła Katolickiego

Ludzie zostają poczęci, rodzą się, żyją i umierają. Dzieciństwo, młodość, dorosłość i starość — nieuchronne etapy egzystencji. Zanim rozpocznie się ów łańcuch, zostają obdarowani łaską i naznaczeni piętnem. Przedtem ich bezosobowe dusze przebywają w Alaurii kramie dusz. Bóg stale wyłania z siebie fragmenty swej istoty. Niektóre z tych cząstek zostają aniołami, inne są kierowane do Alrauii. Stamtąd przybywają kolejno na planetę Mora i Lunru (planety łaski) oraz na Eden i Aion (planety piętna). Obdarzone miłością i mądrością zostają naznaczone grzechem i daremnością. Ta kolejność odzwierciedla porządek Stworzenia oraz bunt prarodzciców przeciwko Bogu.

W przeciwieństwie do ludzi aniołowie nie przechodzą etapów rozwojowych. Wynika to z tego, że nie składają się z materii. Duch anioła zostaje po emanacji wzbogacony o cząstki sefiryne światliste pierwiastki, z których składa się Eter. Nie są to drobiny materii, ale ziarna budujące substancję naszego świata. Tak więc nie jesteśmy czystymi duchami. Jedynie Bog, który stoi ponad kręgami, ma naturę wyłącznie duchową — jest wszechmocną siłą, a jednocześnie bytem osobowym.

Pełnię życia osiągamy od razu w momencie wyłonienia. Każdy anioł jest zamkniętą i jednolicie ukształtowaną monadą, która od początku jest tym, czym ma być, gdyż od razu osiąga pełnię bytu. Aniołom obcy jest samorozwój — proces wykształcania się natury. Zostaliśmy powołani z naturą „gotową”. Nasze życie osobowe przejawia się, podobnie jak u człowieka, poznaniem, wolnością i uczuciem — jest jednak w swej treści i dynamice doskonalsze. Poznanie, wolność, miłość te elementy upodabniają nas do ludzi i jednocześnie od nich różnią. *„Doskonałość natury polega na wewnętrznej akceptacji zaakceptowaniu Boga, stworzenia, w tym również własnego istnienia. Ta zgodność jest miłością, radością i gotowością do służby”*

„Diabeł bowiem i inne złe duchy zostały stworzone przez Boga jako dobre z natury, ale same uczyniły się złymi”.

Sobór Laterański IV (1215 r.)

Wspomniałem o przewinieniu, wskutek którego zostałem zesłany na Aion. Zawiodłem i otrzymałem sprawiedliwą karę. Nie sprostąłem zadaniu, które mi powierzono. Rozkaz był krotki znaleźć pewną kobietę i oddać ją w ręce archaniołów. Realizacja okazała się trudniejsza. Pokonała mnie własna słabość.

Jako anioł Tronu byłem zawsze blisko Jedni. Moim głównym zadaniem była kontemplacja Przedwiecznego. Jako byt wyłoniony uczestniczyłem też w procesie decyzyjnym. Byłem kimś w rodzaju doradcy Boga. Przekazywałem jego myśli aniołom niższych Porządków. Wypełniałem też zadania specjalne. Tam, gdzie me sięgała władza aniołów Mocy, Zwierzchności i Panowania, potrzebny był Tron. W wyjątkowych przypadkach Bóg mógł posłać mnie na Ziemię. W gruncie rzeczy ludzie żyją pod opieką aniołów i archaniołów. Są jednak sytuacje, gdy potrzebna jest interwencja anioła wyższego Porządku. Jeśli Przedwieczny posyła na Ziemię Trona, sprawa jest bardzo poważna.

Wszystko zaczęło się od wiadomości, która wstrząsnęła Zastępami Był to przekaz od jednego z

archaniołów:

„Na terenie XVIII wiecznej Francji został zamordowany anioł stróż. Jego powłokę znaleziono w starym, normandzkim zamku. Zginął z ręki swojego podopiecznego. Białe, hermafrodytyczne zwłoki leżały wewnątrz pentagramu. Z serca wystawała rękojeść noża. Zdołałem zlokalizować zabójcę. Proszę o pomoc.”

(I Ang. Arch. Ler.)

Wkrótce otrzymaliśmy drugi przekaz

„Zabójczynie należy do sekty „Fraternite”. Jej członkowie wywodzą się z arystokracji i są oficjalnie klubem okultystycznym. Wewnątrz loży działa sekta satanistyczna. W jej skład wchodzi pięciu mężczyzn oraz zabójczynie. Jej anioł poniósł śmierć podczas satanistycznego rytuału. Sztylet, który wbiła mu w serce, został zaklęty przez Szatana. Moc pozostałych aniołów stróżów została osłabiona. Stracili z oczu swoich podopiecznych, uzbrojonych przez Szatana w czarne mandorle. Wszyscy członkowie sekty ofiarowali dusze diabłu. Nie mogę ich śledzić, odkąd opuścili zamek. Są niewidoczni. Potrzebna jest pomoc anioła wyższego Porządku.”

(II Ang. Arch. Ler.)

Sprawa była bez precedensu. Czczyciele Szatana działali wcześniej, dokonywali profanacji, bluźnierstw i krwawych obrzędów, byli jednak pod stałą kontrolą Zastępów. Upadli rzadko posługiwali się satanistami — traktowali ich jak pożytecznych głupców, zaplecze potępionych dusz. Działali tajnie, lecz tym razem było inaczej. Szatan pomógł sekcje, nawiązał z nią kontakt i umożliwił pozbycie się strażników. Zapewne był to początek gry, preludium większego spisku. Niewidoczni, uwolnieni od aniołów—stróżów, członkowie sekty otworzyli się na Zło; ich dusze były pozbawione sumień.

Opuścili zamek. Co planują?... Gdzie są?... Dokąd zdążają?...

Wkrótce stanąłem przed obliczem Przedwiecznego i usłyszałem, że wyznaczył mnie do prowadzenia śledztwa.

„W całym swoim bycie aniołowie są sługami i wysłannikami Boga”.

Katechizm Kościoła Katolickiego

Paleion, roślina modlitewna, symbolizuje harmonię nieba. Składa się z przezroczystej łądygi wypełnionej światłem (*lumen divino*) oraz z dziewięciu orbitali, przypominających wieńce. Łodyga wraz z orbitalami unosi się w powietrzu W czasie pracy, kiedy z terminalu steruję ceremonią Naznaczeń, jest w pałacu. Gdy zasypiam w wannie regeneracyjnej, *paleion* zaczyna krążyć nad planetą jak satelita. Roztacza aureę, chroniącą Aion przed nagłymi atakami demonów. Aura składa się z włókien sefiryicznych i nie przepuści niczego. Nawet atak eschatowirusami nie jest wtedy groźny. Kiedy się budzę, roślina wraca i towarzyszy mi przy pracy. Jej harmonia sprawia, że mój poziom ekstazy wzrasta o połowę. Każdy anioł przebywający z dala od Przedwiecznego otrzymuje *paleion* Energia płynąca z rośliny rekompensuje nam rozłąkę z Bogiem.

Czasami muszę osobiście patrolować planetę. Co jakiś czas *paleion* łączy się z Jednią i czerpie moc, aby znów dobrze mi służyć Wtedy muszę czuwać sam. Zakładam skrzydła, chwytam miecz i unoszę się w niebo. Oblatuję Aion kilka razy. Sprawdzam kłębowiska chmur, bo magnezja ułatwia

demonom kamuflaż. Kiedyś w żółtym obłoku znalazłem martwą mewę.

Detektor nie wykazał czarwilgoci — mokrego nalotu, który zawsze zdradza wysłanników Szatana. Pomyślałem, że ptak dostał się tu wskutek interferencji. Czasami sefirody nakładają się na czasoprzestrzeń Ziemi i zachodzi zjawisko przenikania. Ziemska materia jest wsysana w niematerialny świat Kręgów. Jest to celowy zabieg Pana, który nie pozwala na skończoną odrębność Eteru, gdyż doskonałość jest Jego wyłącznym atrybutem.

Zbliżyłem się do mewy i wyjąłem miecz, by zdematerializować truchło. Uderzyłem, pękło pole ochronne. Wtedy ptak ożył. Strzelił dziobem prosto w mój nadgarstek. Ostrze przecięło bandaże posłuszeństwa, szkarłatna wstęga znikła w chmurach. Byłem osłabiony. Światło wyciekało mi z tętnicy na lewym przegubie. Ledwo uniknąłem drugiej strzały. Mewa przepoczwarzyła się w szponiastą bestię. Wykonałem piruet i ciąłem ją w brązowe skrzydło. To tylko rozjuszyło potwora. Rozpoczęła się walka. Był szybki, lecz mało spostrzegawczy. Gdy kryłem się w chmurach, tracił orientację. W końcu obciąłem mu skrzydła i owinąłem ciasno kokonem z magnezji. Substancja chmur, wzbogacona moją śliną, stanowiła świetną sieć. Spętana bestię uniosłem w otchłań, a następnie uwolniłem, by spaliła się na popiół. Wycieńczony wróciłem do pałacu i wysłałem na patrol świeżo naładowaną roślinę. *Paleion* wzniósł się na orbitę, a ja zasnąłem w wannie, by uzupełnić utracone światło.

Ludwik — II

Kim jestem? Pokutującym aniołem czy szalonym królem? Siedzę na balkonie w sali operowej mojego zamku. Orkiestra kończy grać „Lohengrina” Poda mną rzędy pustych foteli — jestem jedynym widzem spektaklu. Kolejna zachcianka ekscentrycznego władcy. Pan okazał mi łaskę: nie muszę pokutować w ciele zwykłego śmiertelnika. Jako król XIX-wiecznej Bawarii mogę otaczać się sztuką, która uśmierza ból. Wszystkie pieniądze przeznaczam na budowę zamków. Linderhof, Herrenchiemsee, Neuschwanstein — chcę, by zburzono je po mojej śmierci.

Sen od świtu do zmierzchu; nocne wycieczki złoconymi saniami; sztuczna grota z jeziorem, po którym pływa łódź w kształcie łabędzia, obiady w towarzystwie posągów; górskie wędrówki w przebraniu średniowiecznego rycerza — oto ja Ludwik II Wittelsbach.

Przechadzam się korytarzami zamku. Czy to wszystko mogło być snem? Tamten świat przepelniony bliskością Boga? Zesłanie na Aion było karą łagodniejszą niż uwięzienie w materii. Kiedyś byłem na Ziemi, lecz jako anioł Teraz jestem duchem, zamkniętym w klatce cielesności.

„Aniołowie są obecni od chwili stworzenia i w ciągu całej historii zbawienia, zwiastując z daleka i bliska to zbawienie oraz służąc wypełnianiu zamysłu Bożego”.

Katechizm Kościoła Katolickiego

RAPORT /I ANG. T. ADORE/

dzień pierwszy

Do dowódcy Chóru

Zstąpiłem na Ziemię. Przeniosłem się bez poślizgu czasowego. Trafiłem do zamku nazajutrz po zabójstwie. Jest rok 1751, południowa Normandia. Zamek jest pusty. Zdematerializowałem zwłoki, pył sefiryiczny przekazałem do Przechowalni. Spotkałem pięciu aniołów stróżów — świadków śmierci. Są rozbici i zdezorientowani. Stracili z oczu kompanów dziewczyny. Uciekinierzy mają czarne mandorle, nie można ich wytropić za pomocą siatki aniołów. Są ostrożni, na pewno uciekli w okolice ustronne. Będę ich szukał wzdłuż mało uczęszczanych traktów i polnych dróg. Nie wiem, dokąd zdążają, ale w zamku nie ma ich na pewno. Trudno powiedzieć cokolwiek o tej sekcji. Trochę informacji uzyskałem od pięciu Opuszczonych. Ich kontakt z podopiecznymi nigdy nie był bliski. Są to ateści prowadzący rozwiązły tryb życia, szukający dla swego grzechu filozoficznego uzasadnienia. Takich ludzi nazywa się we Francji libertynami. Kilka lat temu utworzyli klub ezoteryczny, zajmujący się magią, gnozą i kabalistyką. Wśród arystokracji panuje moda na tajne zrzeszenia. Większość ma charakter towarzyski i paranaukowy, są jednak związki traktujące swą działalność poważnie. Tak rodzą się nowe kultury.

Przypuszczam, że towarzystwo „Fraternite” jest zakamuflowaną sektą satanistyczną.

Ava (Adore)

Do dowódcy Chóru

Znalazłem ich. Tak jak przypuszczałem, podążyli starą drogą na północ, w kierunku kanału La Manche. Jadą zaprzęgiem konnym, wyglądającym jak wóz cyrkowy. Najtrudniej mi obserwować dziewczynę. Przez ochronne mandorle mężczyzn przedostają się bez trudu, dziewczyna jest dobrze maskowana. Są pewni siebie — wyraźnie zdążają w stronę pobliskiego miasteczka. Udają trupe aktorską — nie ryzykują, nie chcą zostawiać śladów. Miasteczko nazywa się Artaud. /.../

Zatrzymali się na peryferiach. Wieczorem, gdy zebrali się miejscowi — dziewczyna i jej kompani odegrali krótkie przedstawienie. Uśpili w ten sposób czujność mieszkańców. Była noc, kiedy mieszczanie wrócili do swych domostw. O północy moje podejrzenia potwierdziły się „Aktorzy” modlili się do Szatana.

Ava (Adore)

Do dowódcy Chóru

Wiem już, kim są. Wiem, kim jest dziewczyna i jak trafiła do sekty.

W XVIII wiecznej Francji panują dziwne obyczaje. Szerzy się libertynizm — nurt myśli i idei, prowadzący do zerwania z tradycją, starymi autorytetami i chrześcijańską moralnością. Tej krytycznej postawie towarzyszy obyczajowa rozwiązłość. Libertynizm stał się *comme il faut* — jest modą wśród arystokracji i wyższej szlachty, nową filozofią życia. Libertyni drwią z Boga i religii, okazują pogardę dla czystości, wstrzemięźliwości i ascezy. Praktykują swobodne obyczaje seksualne. Często zrzeszają się w *societes d'amour* — towarzystwach erotycznych, złożonych z kilkunastu wtajemniczonych członków. Spotykają się w *petite maisons* — domach i pałacykach, gdzie prowadzą seksualne eksperymenty. Praktyki te są ubrane w formę sesji naukowych, pokazów teatralnych lub dyskusji literackich odbywających się w oparciu o specjalny regulamin. Celem *societes d'amour* jest badanie erotyzmu we wszystkich jego przejawach. Często jest to pretekst dla urządzania orgii. Do towarzystw należą *intimes* („zaufani”) — członkowie stali, oraz *auxiliares* („pomocnicy”) — doraźni uczestnicy posiedzeń. /.../ Towarzystwa powstają często jako odłamy bardzo rozpowszechnionej *Macconnene d'Adoption* — kobiecej masonerii. Znużone arystokratki i szlachcianki namiętnie poszukują erotycznych przygód. Stałość związków praktycznie nie istnieje. /.../

Loża „Fraternite” nie jest *societe d'amoure*, choć utrzymuje kontakt z kilkoma towarzystwami. Pół roku temu jej przywódcy zaczęli szukać dziewczyny o skłonnościach masochistycznych. Odwiedzali różne *petite maisons*, rozmawiali z „zaufanymi” i w końcu znaleźli. Towarzystwo „l'Ordre de la Felicite” organizowało teatralny pokaz nietypowych zachowań seksualnych. Tam poznali Catherine. Była ubogą mieszczką, służącą hrabiny nimfomanki, która odkryła u dziewczyny silny masochizm. Wprowadziła ją też do towarzystwa. Dla sekty „Fraternite” była wymarzoną kandydatką.

Teraz jadą w stronę wybrzeża. Przypuszczam, że dziewczyna jest im potrzebna do jakiegoś perwersyjnego obrzędu. Jako wędrowna trupa aktorska nie wzbudzają jakichkolwiek podejrzeń

Ava (Adore)

Do dowódcy Chóru

W nocy rozdzielili się. Dziewczyna i jeden z mężczyzn poszli pieszo na północ. Podążyłem za nimi. Wóz pojechał polną ścieżką w stronę jakiegoś zamku, Zainstalowałem podsłuch,

Grzmiało, Horyzont rysowały zygzaki błyskawic, Fale Morza Północnego podmywały kredowe klify, Niebo nad Normandią było zaciągnięte chmurami, Padał deszcz,

Zobaczyłem

Rybacka osada wsunięta w małą zatokę. Kilka zbitych z desek chałup, na podwórzach łódki i wiecierze. Pada od wczoraj, z tego powodu większość rybaków siedzi w gospodzie. W niemrawym blasku świec, w smrodzie topionego łożu *pecheurs* żłopią piwo, zapatrzeni w ogień. Dwoje gości wyróżnia się z towarzystwa. W kącie siedzi wysoki mężczyzna o pociągłej twarzy i długich włosach oraz dziewczyna ubrana w czarną suknię. Jedzą ser i piją wino. Świeca rzuca chybotliwe światło na ich twarze. Wiatr wciska się przez szpary i targa płomieniem. Mężczyzna wpatruje się w oczy swej towarzyszki.

— Nadal twierdzisz, że wśród tych chamów żyją łącznicy łoży? — pyta dziewczyna, krojąc ser.

— Bez obaw, Catherine. Jestem pewien, że to ta wioska.

— Niepotrzebnie się rozdzielaliśmy.

— Musimy być ostrożni.

— Och, Jacques! W Paryżu było zupełnie inaczej.

— Wiem, za czym tęsknisz

— Od dwóch tygodni wzbraniacie mi miłości. To okrutne.

— To konieczne. Musisz być wyposzczona, jak lwy w Koloseum przed pożarciem chrześcijan.

— Jak długo?

— Pięć dni.

— Czasami, w nocy... Czuję, że płonę między nogami.

— Wkrótce się nasycisz.

— Strasznie tu śmierdzi. Na samą myśl, że uprawiam miłość z tymi chamami, dostaję mdłości.

Jacques wyobraził sobie, jak rybacy pętają ją w sieć i sponiewierają, a ona dyszy ze szczęścia, niczym u hrabiego Monte Rouge, gdy pod razami bata wyła z rozkoszy.

— Jak markiz może mieć coś wspólnego z tymi ludźmi?

— To mądry człowiek, Catherine. Wie, że sekta musi się maskować. A trudno o kamuflaż lepszy niż ta dziura.

— Wolałabym, żeby ktoś inny mnie ukrzyżował. Ktoś podniecająco piękny. — Catherine zamyka oczy i oblizuje wargi.

— Z pewnością są tu ludzie naszego stanu — uspokajają Jacques.

Półmrok w oberży zajaśniał od błyskawicy. Skrzypnęły drzwi, przy dźwięku gromu, podpierając się kosturem, wszedł do gospody starzec w czarnym płaszczu. Ucichł gwar rozmów, rybacy spuścili głowy. Gość podszedł do stolika Catherine i Jacques'a. Bez słowa zdjął z palca pierścień. Jacques skinął głową. Dopili wino i wyszli z oberży, ignorując spojrzenia zalęknionych rybaków.

RAPORT /V ANG. T. ADORE/

przekaz mentalny 000005

Do dowódcy Chóru

Zeskanowałem umysł łącznika. Zaprowadził Jacquesa i Catherine tam gdzie spędzą noc — do swojej chaty, leżącej milę od wioski. To dziwak i mizantrop, budzący strach wśród wieśniaków. Podejrzewają go o czary. W chacie trzyma sześć czarnych kotów. Rybacy wierzą, że jego obecność przynosi pecha. Straszą nim dzieci.

Mam plan okolicy. Jest kilka miejsc, między którymi staruch kursuje. Sprawdziłem wszystkie.

Ściany nadmorskiej groty pokrywa blask pochodni. Skwierczy łuczywo, szumią fale przyboju. Sklepienie groty opada w kierunku morza. W niszy, niczym belka podtrzymująca strop, stoi odwrócony krzyż.

Zobaczyłem..

Na ścianach pentagramy, drzewa, węże, symbole planet i wzory geometryczne. Na wygładzonej przez wodę podłodze ezoteryczny schemat połączone strzałkami emblematy *keter, bina, teferet, lesod* i *malchut*. Pośrodku, wewnątrz pięcioramiennej gwiazdy, siedzą zakapturzone postacie. Ich głos z trudem przebija się przez huk przyboju.

— Kawaler de Rochard przybędzie niebawem. Kobieta, którą wiezie, polecił nam sam markiz. Osobiście ją sprawdził. Jest idealna do naszych celów.

— Oby Jacques zdołał ją przekonać.

— Pisał, że wszystko poszło dobrze. Dziewczyna wie, co ją czeka.

— I godzi się na to?

— Tak, choć nie wie wszystkiego.

— Jacques nie wspomniał jej?

— Nie.

— Kiedy przybędą?

— Dziś wieczorem. Przenocują u Kruka.

Zakapturzone postacie podnoszą kielichy, nożem przecinają opuszki palców. Skapującą do kielichów krew uzupełniają winem

— *Viva la Siecle de Lumieres!* Wznoszą puchary

RAPORT /VI ANG. T. ADORE/

dzień siódmy

Do dowódcy Chóru

Skontaktowałem się z archaniołami. Poleciłem dwóm, by śledzili miejscowych członków sekty. Trzem pozostałym nakazałem stały kontakt z siatką aniołów. Zebrali raporty od stróżów opiekujących się członkami i pomocnikami łoży. Potwierdziły się moje przypuszczenia: ich poziom wiary i współczynnik sumienia jest ekstremalnie niski. Niczego więcej me można się o nich dowiedzieć. Przy niskich parametrach moralnych tracą operacyjny kontakt z aniołami. Zaczynam obawiać się o własne bezpieczeństwo. Upadli z pewnością wiedzą o mojej misji. Dotychczas nie próbowali atakować, ale mają na mnie oko. Od wczoraj chroni mnie pięciu archaniołów. Proszę o stałe wsparcie modlitewne.

Pojutrze podejmę działania. Zamierzam wnikać w umysł któregoś z przywódców. Dowiem się wreszcie, co planują. Będzie to trudniejsze niż odczytanie umysłu Kruka. Przedarcie się przez ochronne mandorle pochłonie dużo energii. Będę wtedy osłabiony i mogę paść ofiarą zamachu. Straż archaniołów może nie wystarczyć. Proszę o bezpośredni nadzór w czasie skaningu mentalnego.

Ava (Adore)

RAPORT /VII ANG. T. ADORE/

Do dowódcy Chóru

Poznałem ich plan. Udało mi się zeskanować umysł Jacquesa de Rochard — zastępcy wielkiego mistrza. Sprawa jest bardzo poważna. Za trzy dni urządzą satanistyczny obrzęd. Pragną zainicjować w ten sposób nową epokę: oddać świat we władanie Bestii. Ceremonia odbędzie się publicznie na rynku miasteczka Lisieux — pod pozorem występów teatralnych.

Oto ich plan.

Przywódcy sekty „Fraternite” udają trupę aktorską. Od kilku miesięcy wędrują przez Francję jako teatrzyk objazdowy. W najbliższy piątek zainscenizują komedię, która będzie parodią męki Chrystusa. Przedstawienie nosi tytuł „Odwrócenie”. Jego fabuła najlepiej streszcza filozofię sekty. Aby plan się powiódł, ceremonia musi odbyć się publicznie. Chodzi o wierne odtworzenie okoliczności Ukrzyżowania. Wtedy przeprowadzą rytuał.

Odegrają parodię Zbawienia. Catherine, dziewczyna, która zabiła swojego anioła, zostanie ukrzyżowana. Zgodnie z satanistyczną symboliką jej śmierć będzie zaprzeczeniem męki Chrystusa. Przede wszystkim wyeliminowany zostanie element cierpienia, Catherine jest bowiem masochistką. Wprowadzona w mistyczny trans i odurzona narkotykami będzie czerpać przyjemność z zadawanego jej bólu. Gdy już zawiśnie na krzyżu, kawaler de Rochard pieścizotami doprowadzi ją do rozkoszy. Oczywiście krzyż zostanie odwrócony. Perwersyjny gwałt będzie zaprzeczeniem czystości Jezusa. Przez swoją śmierć Catherine nie pragnie zbawić ludzkości. Szatan zaszczerpił nienawiść w jej sercu. Zamiast odkupienia ludzkość zostanie obarczona winą.

„Odwrócenie” polega na sparodiowaniu męki Chrystusa: odwrócony krzyż, człowiek zamiast Boga, kobieta zamiast mężczyzny, perwersja zamiast czystości i rozkosz zamiast cierpienia.

Jest jeszcze jedna rzecz, o której się dowiedziałem. Plan został przywódcom loży podyktowany przez Szatana.

Ava (Adore)

To ostatni raport, jaki przesłałem Zastępom.

Dowiedziałem się wszystkiego i przekazałem informacje dowództwu. Dotarłem do punktu, w którym dotychczasowe wskazówki przestały wystarczać. Nadeszła pora na nowe dyrektywy. Skończyłem prowadzić dochodzenie, czym prędeż należało podjąć konkretne działania. Wkrótce dowódca Chóru skontaktował się ze mną i otrzymałem nowe rozkazy. Przydzielono mi specjalną grupę wsparcia. W jej skład wchodziło trzech Tronów i siedmiu aniołów Mocy. Do grupy przydzielono Cherubina jako anioła nadzorującego. Po raz pierwszy miałem okazję pracować z aniołem wyższego Chóru. To od niego dostałem nowy rozkaz porwać Catherine.

Ludwik — III

Dostałem kolejny list od Elżbiety, mojej kuzynki i przyjaciółki. Jesteśmy do siebie podobni, choć nie łączyły nas więzy krwi Elżbieta знаła Ludwika jako młodzieńca, pochłoniętego poezją i średniowiecznymi legendami. Wniknąłem w jego ciało pewnej nocy, nikt nie zauważył podmiiany. Elżbieta traktuje mnie jak brata. Jest żoną cesarza Austro Węgier, Franciszka Józefa. Rozumiemy się wybornie. Buduję zamki w Alpach, ona podróżuje po Adriatyku z dala od męża, któremu podsunęła kochankę. Píše, że chce wybudować podobny moim zamkom pałac Achileion na wyspie Korfu. Właśnie stamtąd dostałem list. Szalony król i cesarzowa samotności — piękna z nas para! Oboje nienawidzimy życia dworskiego: ja zerwałem kontakty z rządem, ona kazała sobie wytatuować nad piersią siekiere — symbol hańby. Jako anioł dobrze rozumiem ekscentryków.

Za oknem pada śnieg. Zamek Neuschwanstein wygląda jak tort przyprószony lukrem strzeliste wieże dźwigają kozuch śniegu. Na stole dopala się świeca. Zdmuchuję ją i w ciemności rozpamiętuję przeszłość.

Nad Aion zapada zmierzch Rozwarstwione, namagnetyzowane chmury mienią się odcieniami złota i fioletu. Niebo wygląda jak paleta malarza pokryta dwubarwnymi impastami. Siedzę na tarasie, odgradzony panoramiczną szybą, która rozszczepia kolory. Światło załamuje się na astrowrzosowych fugach, układa w kompozycję plamek i pryzmatów. *Paleion* unosi się w rozedrganym blasku. Niepojęte, bezsłoneczne światło wnika w jej włókna i pręciki. Obserwuję doskonałą geometrię wieńców i ten widok przynosi mi ulgę. Dalej jest szyba, za nią obcy świat — planeta Aion. Horyzontalne wzgórza przypominają zamglone harfy.

Skończyłem pracę — nazaczyłem dwa tysiące dusz. Siedzę na tarasie i sprawdzam stan talizmatów, są prawie nienaruszone. Reguluję hermy ferrytowe, broń zawsze muszę mieć gotową. Opaski przylegają ściśle do nadgarstków, czuję w żyłach pulsujące światło.

Zamykam oczy i przywołuję wspomnienia.

Tamten sen. Kiedy wniknąłem w umysł kawalera de Rochard, odczułem natrętą reminiscencję. Oprócz błuźnierczego planu, wyskanowałem własne wspomnienie. Czułem, jak powraca, początkowo ledwie uchwytnie, później wyraźne. Koszmar, który śniłem przed rozpoczęciem misji. Po przebudzeniu wyczyściłem podkład emocjonalny. Nie chciałem obciążać pamięci zbędnymi obrazami. A jednak nie dało się skasować wszystkiego. Teraz mam pewność treść snu zapowiadała późniejsze wypadki.

Mam zachowany kryształ z zapisem snu, fragment wyposażenia osobistego, jedną z kilku rzeczy, które pozwolono mi wziąć na Aion.

W świecie aniołów sny nie są zjawiskiem powszechnym. Bliskość Boga sprawia, że uczestniczymy w jego Umyśle jako elementy wyższej świadomości z bożej wszechmocy czerpiemy siłę. Nie wygaszamy swojej przytomności. Co jakiś czas musimy się jednak regenerować, by poprawić współczynniki poziom ekstazy i krzywą wiary. Zapadamy w rodzaj mistycznego letargu, by połączyć się z Jednią — z samą istotą Pana, z której się wyłoniliśmy. Przebudzeni — jesteśmy gotowi do dalszej służby. Nie tracimy pamięci, a jedynie wzmacniamy parametry duchowe.

Po tym jak Przedwieczny wyznaczył mnie do prowadzenia śledztwa, musiałem poddać się odnowie. Wtedy przyszedł sen. Po przebudzeniu zmasałem go, lecz został utrwalony na kryształach odczytującym.

ZAPIS SNU /017 C Ang. T. Adore/

Płonące góry. Ze skalnych stoków wyrastają czarne róże. Kłęby dymu zwijają się w muszle, olbrzymie konchy pełzną przez przełęcze. W korytach strumieni płynie wulkaniczna lawa. Przyroda ucieka przed pożarem szkielety ludzi i zwierząt w panice wspinają się po skałach. Wicher roznieca płomienie, rozsiewa zarodniki pożogi. Pada ognisty deszcz. Niebo ma barwę błota.

.....

Rozświetlona komnata. Zwierciadła. Lustrzana substancja rozpełza się po murach, pokrywa podłogę i sufit. Geometria pomieszczenia wije się jak żywa istota. Obraz jest nieostry i zamglony. Lustra stapiają się w lśniącą, galaretowatą meduzę. Meduza puchnie, pęcznieje, wypełnia pokój od podłogi po sufit. Substancja napiera na ściany i w końcu wybucha, rozsadzając mury.

.....

Obszerna sala z wysokimi oknami. Przepych wystawnych dekoracji, obrazów, rzeźb, kolumn, festonów, stiuków, kinkietów, żyrandoli, kandelabrow i luster. Rzędy dębowych krzesel, zajęte przez wytworne towarzystwo w białych perukach i karnawałowych maskach. Naprzeciw podwyższenie, trochę jak teatralna scena, trochę jak prezbiterium Mównica z mikrofonem przypomina ołtarz. Na sali poruszenie — na ambonę wchodzi mężczyzna w stroju arlekina. Burza oklasków, gwizdy. Mężczyzna zakłada na głowę koronę cierniową, wyjmuje srebrny młotek. Stuka trzy razy w blat i sala cichnie. Wysokim, skrzeczącym głosem oznajmia:

— *Miło mi powitać wytworne towarzystwo. Zapraszam na licytację.*

Oklaski.

— *Jako pierwsze będzie licytowane Odkupienie.*

Owacja na stojąco, krzyki.

— *Usiądźcie, proszę.*

Mężczyzna unosi złoty kielich i wszyscy pochylają głowy. Następnie wyjmuje z pucharu srebrną monetę, zamyka oczy i z namaszczeniem wkłada ją sobie do ust. Rzuca kielichem o podłogę i wydaje dziki wrzask.

— *Zaaaczyynaaaaaamy!!!... Cena wywoławcza: sto sztuk kruszcu! Kto da mniej?!*

— *Dziewięćdziesiąt!... Osiemdziesiąt!... Sześćdziesiąt pięć!... Pięćdziesiąt!...*

— *Pięćdziesiąt po raz pierwszy! Kto da mniej?*

— *Czterdzieści! . Trzydzieści!... Piętnaście!...*

— *Piętnaście po raz pierwszy, piętnaście po raz drugi... Jest dziesięć!*

— *Osiem!... Pięć!... Cztery!...*

— *Już tylko trzy sztuki kruszcu dzielą nas od finału!*

— *Trzy!... Dwa!... Jeden!... Pełna oczekiwania cisza.*

— *Zeeeroo???*

Fanfary. Publiczność wstaje z miejsc, zdejmuje maski. Na scenę w kłębach sztucznej pary wjeżdża krzyż z plastikowymi klamrami na przeguby i stopy. Licytator rozbiera się do naga i z pomocą obsługi technicznej zostaje zainstalowany na krzyżu. Jego sterczący członek celuje w publiczność. Kobiety zdejmują suknie, mężczyźni ściągają spodnie. Kładą się u stóp krzyża i zaczynają kopulować. Nagie ciała wiją się w ekstazie, słychać cmokanie, jęki i gardłowe krzyki.

Licytator wrzeszczy.

— Eli, Eli, lamma sabakhtani?! Wtedy ogień.

Nagie ciała zaczynają płonąć — żar trawi ludzkie larwy, dym i płomienie zasłaniają krzyż, skwierczenie zagłusza skowyt umierających. Płomienie atakują krzesła i ściany, sala zamienia się w piec Ogień. Ogień.

.....

Miasteczko Lisieux leży pół dnia drogi od ujścia Sekwany, od wschodu połączone handlowym traktem z Evreux, a od zachodu z Caen. Liczy blisko trzy tysiące mieszkańców, prócz rzemiosła i handlu żyjących z pracy przy stawach hodowlanych. Stawy są własnością hrabiego de Solagne, dziedzica kilkunastu pobliskich wsi. Poza miasteczkiem rozciągają się pola uprawne i łąki do wypasu owiec. Rozlewiska, z których wydzielono stawy, przecinają dwie groble, na których ustanowiono prawo przechodu i przegonu bydła. Pośrodku Lisieux znajduje się rynek, niebrukowany plac otoczony kamienicami, z których największa jest siedzibą władz miejskich. Od rynku odchodzą uliczki układające się w krzywą szachownicę. Najbliżej rezydują szynkarze, rzeźnicy, piekarze, sukiennicy i krawcy. Kilka razy do roku w Lisieux odbywa się targ, na który zjeżdżają normandzcy, bretońscy, flandryjscy i pikardyjscy kupcy. Targ trwa trzy dni, od piątku do niedzieli. Część kramów ustawionych jest na rynku, część na rogatkach. W przeddzień kiermaszu zjeżdżają do miasteczka wędrowni cyrkowcy i objazdowe teatryki. Trupa, która przybędzie najwcześniej, dostaje zezwolenie na rynkowe występy. Największe targi odbywają się na wiosnę, w środku lata oraz jesienią.

Była połowa listopada, pięć dni przed targową sobotą, gdy północnym traktem w strugach deszczu przybył do Lisieux jeździec w czarnej pelerynie. Przejechał przez pusty rynek i skierował deresza pod najbliższą oberżę. Trzymając konia za uzdę, uchylił drzwi i gromkim głosem obwieścił:

— Wędrowny teatr „Mam Gauche” zaprasza zacnych mieszkańców Lisieux na piątkowy występ! Każdy ubawi się setnie, oglądając naszą paradę, a i grosza, mamy nadzieję, biednym aktorom nie poskąpi! Już w piątek na rynku — przewrotna i pikantna parada „Odwrócenie”. Nie przegapcie, zacni mieszczanie, tej okazji!

Jeździec skłonił się, zatrzasnął drzwi, wskoczył na konia i pognał do następnego szynku.

Uriel, Serion, Igael i Lenash — oni pomogą mi w akcji. Reszta oddziału będzie nas ubezpieczać. Już teraz pilnują naszego spokoju, tropią ślady czarwilgoci. Siedzimy w ruinach romańskiej bazyliki, jednej z wielu, jakimi usiane są niziny północnej Francji. Wokół iglaste lasy otaczają polanę. Niebo przepuszcza niemrawe błyski słońca. Szare, kredowe kamienie lśnią od rosy. Przystawiliśmy się na półwidzialność. Sefiryczne włókna są częściowo kompatybilne z organiczną strukturą materii. Trwa akomodacja: nasza percepcja staje się zmysłowa. Dziwne, nieprzyjemne uczucie, jakbyś stawał się coraz cięższy. Pod palcami twardość kamienia, wzrok postrzega barwy i kształty, w powietrzu wyczuwalna woń ściółki leśnej. Jest to uczucie odwrotne od ulgi, jaką zbawiona dusza odczuwa po śmierci. Duch uwalnia się z materii / duch wnika w materię. Modyfikacja parametrów ontycznych jest konieczna przy bezpośredniej interwencji. Talizmaty są sprzężone, aby wzmocnić odporność i szybciej przekazywać informacje. Jestem dowódcą grupy. Nade mną jest Cherubin Uriel, koordynator i nadzorca akcji. Każde polecenie, które przekażę aniołom, przepłynie najpierw przez jego umysł i przejdzie procedurę konsultacji. Z kolei jego rozkazy będą przekazywane za moim pośrednictwem. Za zgodą Zastępów otrzymaliśmy dodatkowe bandaże posłuszeństwa. Upadli atakują nasze przeguby, by pozbawiać nas światła. Stajemy się wtedy zdeorientowani. Zdarzało się, że broczący światłem

aniołowie przechodzili na stronę przeciwnika — podwójne zabezpieczenie jest więc konieczne. Czas transformacji strukturalnej naraża nas na obfite wycieki światła, wystarczy lekkie zadrażnienie formującej się powłoki somatycznej, by powstał krwotok. Dlatego kilkunastu archaniołów do zadań specjalnych patroluje las i polanę. Nim przywykniemy do nowej ontostruktury, minie pół ziemskiego dnia. Od początku transformacji jesteśmy połwidzialni. Gdyby ktoś zapuścił się na polanę, ujrzałby drżące, zacienione kształty — czarne ptaki osiadające ruiny kościoła.

Od szpiegów i za pośrednictwem podsłuchów docierają aktualne meldunki. W zamku hrabiego de Solange odbyło się uroczyste spotkanie łoży. Osiemnaście osób, zasiadając w trzech sześćosobowych komisjach, podzieliło się w czasie obrad ostatnimi uwagami na temat Planu. Wszystko zostało ułożone rok temu, od kilku miesięcy do Lisieux przybywali przebrani za mnichów wędrowcy, którzy po oberżach i placach głosili dziwne kazania, zapowiadając nadejście ciemności. Sprytny chwyt — sekciarze głosili satanistyczną teozofię pod płaszczykiem apokaliptycznych jerozolim.

Dwie godziny po wicie nadszedł meldunek od archaniołów: sataniści wyruszyli w stronę miasteczka.

Siedzimy na dachu kamienicy. Pod nami rynek zmieniony w targowisko, kilkadziesiąt kramów ściśniętych jeden przy drugim, setki ludzi przeciskających się między straganami. Handlarze oferują skóry, sukna i dewocjonalia, szarlatani zachwalają cudownespecyfiki, powietrze wypełnia zapach pieczonego jądła. Powszechna ekscytacja, oczekiwanie zabawy, feta jarmarczna. Pośrodku niewielka pudełkowa scena zbita z desek.

Wszystko jest pod kontrolą. Regularnie napływają raporty od szpiegów. Wóz teatru „Main Gouche” jest pół godziny drogi od miasta.

Są. Dwa kare konie ciągną cyrkową budę, przebrany za arlekina aktor krzyczy, akompaniując sobie mandoliną. „Zapraszamy, zapraszamy! Szanowni mieszkańcy zacnego grodu, będziemy was zabawiać!” Sfora kilkuletnich obszarpańców biegnie za wozem, podniecona nastrojem błazenady. Mieszkańcy Lisieux, kramarze, grajkowie, wagabundy — odwracają głowy. W ich oczach zapala się chęć zabawy.

Rozbili namiot obok sceny. Kilkudziesięciu gapiów otacza pierścieniem serce rynku. Aktorzy krzątają się, czyniąc przygotowania. Obszarpane dzieci zaglądają do wozu i uciekają z piskiem, przeganiane przez kuglarzy. Przed godziną zza chmur wyjrzało słońce. Wszyscy podnoszą głowy w stronę błękitnego przestworu. Po dwóch deszczowych tygodniach wypogodziło się. To sztuczka upadłych; według raportów w miasteczku jest sześćosobowe komando Pięknorękich. Manipulując czynnikami atmosferycznymi, wytwarzają lekką psychozę. W Lisieux panuje od godziny sztuczny mikroklimat. Ciśnienie wzrosło, wiatr ustał. Wszyscy są niezdrowo podnieceni. Zbliża się godzina. Aktorzy instalują na scenie spowite w czarne płachty konstrukcje, które wyglądają jak białe w ziemię latawce albo jak gigantyczne deltoidy z pracowni geometry. Trzy odwrócone krzyże, które posłużą do wyśmiania Pasji Zbawiciela.

Punktualnie o dwunastej rozpoczęły się występy. Najpierw aktorzy odegrali krótką bluetkę, rozśmieszając podochocone i częściowo już podchmielone towarzystwo. Brawom nie było końca. Po krótkiej przerwie wznowiono występ. Tłumek otaczających scenę mieszczan wybałuszył oczy, kiedy na deski wyszła dziewczyna odziana jedynie w przepaskę na biodrach. „*Madames, mounsiieurs* —

Catherine!” — zapowiedział aktor z mandoliną. Catherine powiodła po zebranych błędnym wzrokiem i zaczęła kołysać biodrami w egzotycznym tańcu. Mężczyźni z pierwszych rzędów gwizdali znacząco. Fletnia i mandolina grały hipnotyzującą, orientalną melodię. Dziewczyna tańczyła. Jej ruchy stawały się coraz bardziej ekstazyjne. Oblizywała się, dłońmi pieściła piersi. Publiczność chłoneła widok czarnowłosej, mężczyźni wyciągali ręce, by dotknąć jej nóg. Muzyka hipnotyzowała, pęczniała w dzikim *crescendo*. Catherine zdjęła przepaskę. Widok pełnej nagości zdetonował owację wśród gapiów. Mężczyźni wiwatowali. Podpity młodzian z butelką wina wskoczył na scenę. Aktorzy nie interweniowali. Catherine wzięła od niego wino, wylała sobie na stopy. Chłopak uśmiechnął się głupio i wśród okrzyków zachęty przypadł Catherine do nóg. Gdy próbował wstać, zachwiał się i spadł w publiczność, co wywołało kolejną salwę śmiechu „Teraz” — pomyślał kawaler de Rochard i skinął ręką. Jeden z aktorów pociągnął za linkę i czarna płachta zsunęła się z krzyża. Catherine krzyknęła.

W miasteczku jest trzynastu upadłych: sześćoosobowy oddział Pięknorękich (hierarchicznych odpowiedników Tronów), pięćoosobowe komando Torturantów oraz dwóch Horrotów — duumwiratycznych dowódców oddziału

Po naszej stronie jest dwunastu archaniołów, nad nimi zaś Cherubin Uriel i ja. Siły są więc wyrównane.

Obserwujemy się bacznie, trwamy w pogotowiu. Od początku wiemy o swojej obecności. Dachy kamienic Lisieux są zajęte przez niewidzialne, demoniczne ptactwo. Czekamy na sposobny moment, by zetrzeć się w śmiertelnej walce Już niedługo. Aktorzy wyśpiewują frywolne piosenki, tańczą i piją wino. Mieszkańcy są rozbawieni, więc z ciekawością i pobłażaniem przyjmują kolejne poczynania na scenie. A dwa boczne krzyże już stoją, niewielkie i puste. Środkowy, wysoki na dwa metry krzyż, ciosany z sosnowego drewna, leży na deskach sceny. Kawaler de Rochard prowadzi odurzoną Catherine. Dworsko kłaniają się publiczności, po czym dziewczyna kładzie się na krzyżu. Widzowie są trochę zmieszani, słychać pomruki niepokoju. Skoczne, lekkie melodie wygrywane przez grajków rozładowują atmosferę. Ciekawość i podniecenie są silniejsze. Widzowie unoszą głowy, pokazują sobie palcami scenę. Nerwowe szepty płyną przez publiczność, jak prąd.

Aktorzy przybijają Catherine do krzyża. Dziewczyna krzyczy gardłowo, nie wiedzieć z bólu, czy z rozkoszy. Mocnym sznurem związują jej nadgarstki i stopy, by gwoździe nie rozerwały skóry i ścięgien. Unoszą krzyż.

.....TU ADORION, OGŁASZAM PEŁNA GOTOWOŚĆ
.....TU URIEL, POTWIERDZAM
.....SPRZEŻENIE TALIZMATÓW W NORMIE
.....URUCHOMIĆ MENTALNE POBUDZENIE
.....ZARAZ ZACZYNAMY. CZEKAĆ NA ROZKAZ

Publiczność gwizdże, krzyczy, śmieje się. Niektórzy milczą ogłupiali, inni wygrażają aktorom pięścią. Widok jest przerażający. Na środku sceny stoi odwrócony krzyż z piękną, czarnowłosą kobietą. Muzyka zmienia się. Grajkowie rozpoczynają hipnotyczną, mroczną melodię. Śpiew lutnisty przypomina szamańską inkantację. Niebo ciemnieje, słońce niknie, połknięte przez sinoczarne chmury. Kawaler de Rochard podchodzi do krzyża i zaczyna gładzić uda Catherine.

.....TU ADORION, ZACZYNAMY!

.....TU URIEL, POTWIERDZAM

Ruszyliśmy do ataku. W jednej chwili starliśmy się z upadłymi. Znow byliśmy połówdzielni. Nad rynkiem kłębiło się inferno półprzeźroczystych, czarnych kształtów, złowrogie błyski podświetlały chmury. Wśród mieszkańców i przyjezdnych handlarzy wybuchła panika. Tłum ruszył w stronę ulic wylotowych, tratując stragany i kramy. Ktoś krzychał „Ludzieeee, koniec swiataaa...!!! ktoś inny zawodził: „Zatrzymajcie się, nie tratujciee...!!!” Wrzaski mieszały się z atonalną burzą wyładowań, kiedy promienie hermowe rozcinały powietrze. Część upadłych obsiadła scenę, pilnując bezpieczeństwa aktorów. Rytuał toczył się dalej. Kawaler de Rochard całował nogi i brzuch Catherine, dziewczyna pojękiwała coraz mocniej. Kilku najodważniejszych widzów przyczało się pod ścianą kamienicy. Rzucali kamieniami w aktorów, lecz pociski odbijały się od niewidzialnego pola ochronnego. Mimo to nie rezygnowali. Kilku archaniołów przypuściło atak na scenę. Starli się z Torturantami i szepieni w śmiertelnej walce odciągnęli ich w wyższe rejony powietrza. Mur się przerzedził. Lenash próbował przebić czarci pierścień, spalił wiązką światła jednego Torturanta i skierował się ku centralnemu krzyżowi. Drogę zastąpił mu Pięknoręki. Lenash nie zdążył go ominąć, zderzyli się jak dwie kule energii. Spojrzenie Pięknorękiego obniżało poziom ekstazy i krzywą wiary. Lenash nie uniknął jego oczu, stracił orientację. Upadły splunął jadem i głowa Lenasha rozpękła się jak kryształ. Byłem w pobliżu i podleciałem do Pięknorękiego. Odwrócił się, gotów splunąć, ale wbiłem mu palce w oczy. Stracił swoją najsilniejszą broń. Uformowałem taflę rykoszetową i poczekałem na jego jad. Odbita ślina miała już odczyn śmiertelny dla upadłych. Pięknoręki spalił się, jak robak obłany kwasem.

.....TU ADORION, PONOWIĆ ATAK NA SCENĘ!

.....TU URIEL, POTWIERDZAM

Nagle, jakby na znak niewidzialnego dyrygenta, rozległo się ujadanie psów. Brytany, charty, owczarki, kundle — wszystkie psy w Lisieux dały głos. Od basowych szczęknięć labradorów po falsetowe wycie terierów niosło się ujadanie, rozpięte w skali barwy, zróżnicowane głośnością, skomasowane, natarczywe, wściekłe. Niebiosa dały znak braciom mniejszym. Zrozumieliśmy to w jednej chwili.

Walka wokół sceny ustała. Przez chwilę sataniści czuli się niepewnie. Psy z miasteczka i okolic pędziły w stronę rynku. Szła odsiecz.

Do walki wciągnięte zostały zwierzęta.

Upadli nie zwlekali. Odpowiedzieli natychmiast. Ujrzałem jednego z Pięknorękich, jak lewituje na tle bladego słońca i rzuca rozkaz uaktywniający.

Psy wbiegły na rynek wściekłą hurmą. Ostatni gapie rozpierzchli się z wrzaskiem, kilku obserwowało bitwę z okien domów.

Pięknoręki uczynił znak.

Wtedy zasyczały koty. Prychając, miaucząc, przewiercając słuch wysokim, dzikim trylem, złaziły z dachów, krużganków i schodów. Płynnym, elastycznym krokiem zbliżała się armia Szatana. Trzy wielkie czarne kocury szły na przedzie.

Psy obszczekiwały scenę, gryzły deski. Torturanci rzucali im w pyski ogniste igły, od których zwierzęta spalały się na popiół wśród skamlenia.

Aktorzy odprawiali rytuał.

W powietrzu toczyła się bitwa.

Koty otoczyły pierścieniem krąg napierających na scenę psów. Zaczęły przegryzać gardła i wydrapywać oczy kundlom z ariergardy. Nim psy zorientowały się w sytuacji, archaniołowie zalali kocią armię lodowym światłem. Ślepią kotów, pozwalające spoglądać prosto w słońce bez mrugnięcia, nie wytrzymały mroźnej jasności. Ich gałki oczne kruszały, jak płatki kwiatów zanurzone w ciekłym helu. Rozległ się przenikliwy wrzask — wysoki, kaleczący powietrze skowyt setek kocich gardeł. Drapały pazurami na oślep, pozbawione swojego nadzmysłu, raniąc przypadkowe psy, ale dłużej nie miały szans. Kilkanaście myśliwskich rzuciło się na zdezorientowaną kocią kompanię. Ich szczęki, pracujące z naciskiem kilku ton, miażdżyły kocie czaszki i kręgosłupy. Klepisko rynku pokryło się krwią zwierząt, wsiąkającą w wilgotny piasek jak życiodajny deszcz Trwała jatka.

Pojedyncze psy wskakiwały już na scenę. Aktorzy, wspomagani przez Torturantów, przepędzali je rapierami. Środek sceny wciąż był niedostępny. Catherine pojękiwała na krzyżu. Kawaler de Rochard, intonując magiczne formuły, pocierał jej wzgórek łonowy. Biała chusta, którą miała przewiązaną talię, spelzła jej z bioder. Odurzona narkotykami czuła budzącą się w głębi podbrzusza falę rozkoszy. Torturanci strzegli intymności Jacques'a i Catherine wśród rozszalałej walki — zamknęli ich w podwójnym kłoszu, nacierające anioły odbijały się jak od muru, psy płonęły. Wszedłem w umysły Jacquesa i Catherine „Rytuał, trzeba odprawić *imash*”. Kawaler całował uda Catherine, zanurzał twarz w gęstwinie jej łona. Dziewczyna pojękiwała coraz mocniej, mruczała w gorączce zmysłów. „Odwrócony krzyż, kobieta, rozkosz zamiast cierpienia. Antypasja...” Głowa Catherine na wysokości bioder Jacquesa. Przybite ręce me pozwalają ściągnąć spodni. Jego wyprężona męskość napiera na materiał. Catherine próbuje zębami. Dyszy podniecona „Daj mi go, skurwysynu, chcę się nim udławić!” Kolejna magiczna formuła. Jacques zwalnia pieśczoły, nie może doprowadzić dziewczyny do orgazmu zbyt wcześnie. Zza pazuchy wyjmuje nóż z perłową rękojeścią. To ważne, by Catherine umarła w szczytowej rozkoszy. Nie za szybko. Nie za wolno. Najpierw połączą się w pieśczoły. Gdy będą szczytować, przyłoży jej ostrze do gardła. A potem... Teraz. Wyjmuje członka, a Catherine chwyta ustami nabrzmiałą męskość Jacquesa. Kawaler czuje pierwszy dreszcz. Już niedługo. Nóż w spoczonej dłoni. Gardło dziewczyny pod brzeszczotem. Już za chwilę.

Jeden z Torturantów wrzasnął przeszyty wiązką światła. W kłoszu zrobiła się dziura.

— Teraz! — rozkazałem najbliższemu archaniołowi.

Wpadł jak strzała i uderzył prosto w de Rochard'a. Nóż, który lada chwila miał przeciąć gardło dziewczynie, został skierowany w dół. Opadł jak ostrze gilotyny na sterczący członek Jacques'a. Kawaler wrzasnął jak zarzynana świnia, odskoczył, trzymając się za krocze. Spomiędzy palców tryskała jasnoczerwona krew. Catherine obłądnym wzrokiem spoglądała na wyjącego z bólu kochanka. „Tak blisko, już prawie doszłam.” — myślała półprzytomnie.

Dwaj Torturanci rzucili się na archanioła. Opluli mu twarz czarnym jadem, anioł skręcał się na deskach sceny jak płonąca poczwarka. Wściekłość wybuchła wśród upadłych, niczym wulkan o wielu kraterach. Plan został udaremiony.

Upadli rozpierzchli się na komendę Horrotów. Zaległa cisza. Ciało Catherine wyprężyło się i zastygło wygięte w łuk. Z jej ust pociekła strużka krwi.

co się dzieje?

dziewczyna umarła

zabrali jej duszę

przechytrzyli nas

przeegrali bitwę, ale uciekli z jej duszą

*Adorionie
Urielu
nie sprostałeś zadaniu
wiem
co zamierzasz uczynić?
dokończyć misję
jak?
w ostatniej chwili zaszczepiłem w duszy dziewczyny translokator
masz szczęście
jeszcze nie wiadomo
gdzie ją ukryli?
w podziemiach starego zamku tam, gdzie zabiła swojego anioła stróża
chcesz ją ścigać?
tak proszę o wydanie rozkazu*

W mgnieniu oka przeniosłem się do zamku. Stara forteca na wzniesieniu polodowcowej fałdy, częściowo zarośnięta przez roślinność, częściowo zrujnowana. Brama okolona pilastrami, wieńcząca portal archiwolta z nieczytelnym herbem. Puste donice w pyskach węży zdobiących perystyl dziedzińca. Podwórze wymarłe i opuszczone jak reszta zamkowego kompleksu. Niska wieża o wyszczerbionych krenelazach, od dołu porośnięta mchem.

Wniknąłem do środka.

Translokator pulsował w północnej części podziemi. Po chwili byłem za kurdybanem pokrywającym ścianę lochu. Wystarczyło przebić nadgniłą fakturę arrasów, by dostać się do Catherine. Czulem pulsację translokatora — jak echo sondy przemieszczała się wzdłuż korytarza. Sprawdziłem hermy. Plan był prosty wytrysnę z palców wiązki krępujące i spętam dziewczynę. Sieć na jej duszę była gotowa.

Puls zbliżał się. Minał kurdyban i popłynął w stronę ślepo kończącego się korytarza.

Skoczyłem. Przebiłem nadgniłą skórę i wystrzeliłem sieć.

Juz po fakcie dostrzegłem pomyłkę. To nie była dusza dziewczyny. Wiązka z hermów znikła w powietrzu. Naprzeciw mnie stał demon. Ani Torturant, ani Horrot, ani Pięknoręki. Mały, chudy mężczyzna podobny do szczura, szary na twarzy, w której płonęły rubinowym ogniem oczy o kształcie migdałów. Stał i paraliżował mnie wzrokiem. Poczulem skurcz przerażenia. Próbowałem procedur ratunkowych, posyłałem przekazy do Urinela, ale nic się nie działo. Poczulem zawrót świadomości.

Przede mną stał Lucyfer. W palcach trzymał translokator i uśmiechał się z politowaniem.

— Nigdy jej nie dostaniecie.

Na dźwięk jego głosu pękła mi skóra na policzkach.

— Udaremniliście Plan. Ale to nie koniec rozgrywki.

Światło pociekło mi z żył na rękach.

— Będzie mi jeszcze potrzebna — Lucyfer wskazał palcem na swój brzuch. — Pożarłem ją, żeby była bezpieczna. Wkrótce przetrawię ją i wydalę, aby ulepić z kału nową wersję Catherine. Powstanie z mojego gówna i mojej nienawiści. Moja córka.

Upadłem na kolana. Wzywałem Pana, by mnie ratował.

— Nędzny robaku. Tacy jak ty oddawali mi kiedyś cześć.

Ściana za jego plecami pękła z hukiem. Posypały się cegły, strop zaproszył mu głowę. Przybył Uriel z archaniołami. Otoczyli mnie, zabandażowali rany. Lucyfer roześmiał się. Następnie splunął w

kałużę światła uformowaną z moich wybroczyń. Zasycało, buchnął płomień. Spoglądaliśmy oniemiałi. Ogniste lustro rozlało się między podłogą a sufitem. W jego trójwymiarowej głębi narodził się obraz. Loch zaadaptowany na kaplicę. Pięcioro satanistów klęczy przy ramionach rozrysowanej krwią na klepisku pentagramowej gwiazdy. Wewnątrz naga kobieta o czarnych włosach całuje sztylet. Nieme usta uczestników obrzędu poruszają się w złowrogiej inkantacji.

Upiorny śmiech i wrzask Lucyfera.

— Ekscytujących wrażeń!!!

Lustro wyrzuca błyszczące macki. Nie zdołamy uciec. Oblepia nas zwierciadlana pajęczyna.

Przeskok.

Ocknęliśmy się pod drzwiami lochu. Było oczywiste, że Szatan przeniósł nas w czasie do wydarzeń wyświetlanych przez lustro. Do dnia, w którym zginął anioł stróż.

Nie mogliśmy nic zrobić. Byliśmy bezwolnymi widzami makabrycznego przedstawienia.

Trwa rytuał. Zbliża się kulminacja. Pod sklepieniem lochu, tuż nad głową Catherine, rzuca się jak ryba w sieci anioł stróż. Sieć jest niewidzialna. Anioł uległ wizualizacji, gdyż sataniści pragną widzieć, jak umiera. Niesłyszalny furkot trzepoczących daremnie skrzydeł. Sześciopalce dłonie chwytające pustkę.

Dziewczyna podnosi się z kolan, kocim krokiem obchodzi ofiarę. Sztylet w jej ręce połyskuje czarcim blaskiem.

Anioł spogląda jej w oczy, niedowierzając. Dziewczyna uśmiecha się zalotnie, oblizuje wargi.

Bezradność. Nieuchronność.

Sztylet przebija pierś anioła.

Coś złego dzieje się ze mną. Nie widzę Uriela i reszty oddziału. Zostałem sam. Kolejna iluzja?

Ogień podpała ciemność, by wyłonić z siebie ciemność głębszą Tracę orientację. Obcy żywioł pragnie mnie wypluć — poddaję się temu z bezwolną koniecznością.

Wróciłem. Ślepy korytarz, przebity kurdyban, kałuża światła. Zaglądam do lochu. Cicho i pusto. Na klepisku ledwo widoczny obrys pentagramu. Na ścianie napis:

JESZCZE SIĘ SPOTKAMY. KIEDYŚ...

Zamek zaczął drzeć w posadach Wzdłuż korytarzy wędrowały tajemnicze iskierki ognia. Wyszedłem na dziedziniec. Nadciągała burza. Pora wracać do Lisieux. Wzbiłem się w powietrze, ostatni raz spoglądając na fortecę. Fragmenty murów odpadały od zamku niczym płaty skóry od twarzy trędowatego. Wieża chwiała się jak drzewa pod wpływem wichru. Pomruk burzy narastał, błyskawice podcinały żyły chmurom.

Zamek hrabiego de Solange eksplodował.

Pode mną pobjowisko.

Obszar wokół Lisieux zamarł, ustały czasoprzestrzenne fluktuacje. Wokół miasteczka łany zamrożonej trawy, unieruchomione gałęzie drzew, zastygłe w locie ptaki. W domach zatrzymani w bezruchu słomianych kukieł mieszkańcy. Wszystko ustało, nabrało cech *tableau vivant* — zamrożonej pantomimy. Obszar wokół Lisieux stał się światem zatrzymanym. Ustał czas, ustał ruch, ustało życie. Tymczasowo. Zamrażanie miejsc pobitewnych to standardowa procedura. Jest czas na odnotowanie starcia i sporządzenie raportu. Trzeba też przywrócić porządek tak, aby po przebudzeniu nikt niczego me pamiętał.

Po rynku chodzą archaniołowie i naznaczają ciała braci młodszych. Żywe psy zostały zamrożone

— jak wszystko wokół. Tylko byty niewidzialne poruszają się w mistycznym mrozie. Uriel stoi na scenie, nieopodal pustego krzyża. Ciało Catherine uległo dematerializacji.

*Czeka cię sąd, Adorionie
Wiem, Urielu
Liczysz na łaskę?
Robiłem, co mogłem
Tylko rezultat ma znaczenie
Nie miałem szans w konfrontacji z Lucyferem
Próbowaliśmy ci pomóc
Daremnie
To była ważna dusza
Kiedyś ją odzyskamy
Nie jestem pewien
Uratowaliśmy świat przed ciemnością.
Nie przeczę, że to twoja zasługa.
Ale nie wykonałeś zadania do końca.
Stanę przed sądem i przyjmę każdą karę*

Włóczyłem się po miasteczku i czułem, że przegrałem. Mogłem być bardziej przewidujący. Mogłem zarządzić atak wcześniej. Niepotrzebnie zwlekałem z konfrontacją aż do rozpoczęcia przedstawienia. Należało zaatakować sekciarzy podczas narady w zamku hrabiego de Solange. Należało porwać Catherine, kiedy nocowała u Kruka. Teraz to bez znaczenia. Nie ma co analizować błędów — przegrałem i poniosę karę.

Idąc wąską uliczką, mijałem zastygły świat. Niedługo wyniesiemy się stąd — nasze parametry ontyczne rozpoczęły proces przechodzenia na niewidzialność. Do tego czasu ludzie i zwierzęta w Lisieux pozostaną zamrożeni. Życie będzie zawieszona.

Ostatnia rzecz, jaką pamiętam to rozmowa ze starym, kudłatym briardem siedzącym pod schodami kamienicy. Wyczułem jego myśli i przystanąłem. Pies spoglądał pustym wzrokiem. Na pysku miał zastygłą kocią krew. Młodszy brat człowieka, odpowiednik anioła w świecie zwierząt. Uklęknąłem i głaskałem dematerializującą się ręką jego pochylony łeb. „Czuję twój smutek, istotno” — pomyślałem. „Ty też jesteś smutny, panie” „Wasza pomoc okazała się skuteczna” „Walczyliśmy z największą zaciętością”. „Spisaliście się lepiej niż aniołowie”. „To przykre, panie”. „Czeka mnie sąd, istotno”; „Służymy w dobrej sprawie. Dlatego musimy przyjmować konsekwencje naszych błędów z pokorą”. „Żegnaj, istotno”; „Żegnaj, panie”.

Briard gapił się w pustkę guzikami czarnych oczu. Miał paskudną ranę na szyi, zadaną pazurami. Po odmrożeniu zdechnie w ciągu kilku dni.

Wróciłem na rynek. Aniołowie stali w kręgu, czekali na mnie. Zmówiliśmy modlitwę pobitewną. Następnie, na znak dany przez Uriela, unieśliśmy się w niebo.

Ludwik — IV

Wojna między Prusami a Austrią była nieunikniona. Dwie potęgi poczuły się po obu stronach Rzeszy zbyt ciasno — potrzebowały konfrontacji. Z jednej strony anachroniczne, feudalne cesarstwo Habsburgów, z drugiej Prusy — drapieżne, sprawnie zarządzane państwo, czyrak na mapie Europy. W 1866 r. stanąłem po stronie Austrii, nie tylko ze względu na koligację familijną. Nienawidzę Prusaków i prymitywnej, barbarzyńskiej siły napędzającej machinę ich państwowości. Urzędnicy i żołdacy — królestwo biurokracji, przemysłu i koszar! Rozbili nas doszczętnie pod Sadową. Było jasne, że Prusy zdominują wkrótce środkową Europę. Bismarck zagroził mi, że odbierze Bawarii niepodległość. Był to szantaż, kanclerz potrzebował mych wojsk przeciwko Francji. Zmusił mnie do jeszcze obrzydliwszej rzeczy. Za jego namową napisałem list, w którym ofiarowałem królowi Prus Wilhelmowi koronę cesarską w imieniu wszystkich Niemców. W ten sposób zachowałem autonomię Bawarii.

Zwycięska wojna Prus z Francją w latach 1870–71 była mi obojętna. Polityka i przemoc brzydziły mnie. Gdy pruski walec równał z ziemią Europę, coś we mnie pękło. Nie miałem zamiaru udawać zainteresowania sprawami publicznymi. Odmówiłem przeczytania depechy o zwycięstwie Wilhelma, moim wartownikom kazałem poustawiać sofy, żeby się nie przemęczali. Gdy Monachium wizytowali dyplomaci, wyjeżdżałem na prowincję, unikałem spotkań z głowami obcych państw. Zająłem się wspieraniem sztuki i zainteresowałem sytuacją mojego ludu. Dokonałem wyboru. Zrezygnowałem z udziału w grze, której reguły oparto na przemocy i krzywdzie. Wolę być niewolnikiem własnej wyobraźni, niż przyczyniać się do budowy barbarzyńskiego gmachu zwanego historią.

Sąd odbył się szybko i bez formalności. Stałem przed obliczem Pana i z pokorą przyjąłem karę. Po ogłoszeniu wyroku Przedwieczny ukazał mi przyszłość cywilizacji białego człowieka. Dostałem łaski poznania bożego Planu. Zrozumiałem sens rewolucji.

Diabelski teatr sekty „Fraternite” był zapowiedzią prześladowań duchowieństwa. Już wkrótce miały nadejść czasy, gdy chrześcijaństwo zostanie wyparte przez religię obywatelską — Świątynię Boga zastąpi Świątynia Rozumu, a Encyklopedia zajmie miejsce Biblii. Przez cały wiek XVIII formował się mentalny zaczyn, na którym oparto późniejsze działania polityczne. Przewrót ideologiczny, rozpoczęty przez filozofów, wspierany przez towarzystwa naukowe, loże masońskie i salony dyskusyjne, dowodzi, że rewolucja była wielowymiarowym, skomplikowanym procesem socjologiczno–polityczno–kulturalnym. Lecz u swych podstaw była dziełem ideologu: materializmu, liberalizmu, ateizmu, racjonalizmu i immanentyzmu.

Rewolucja jest odbiciem zmagania się potęg nadprzyrodzonych, które są ponad historią.

Historia jest zawsze — tworzy się bez przerwy, wyznaczana przez niewidzialny splot czynników, które wyodrębniają dziejowy proces z chaosu wydarzeń. Jest jak dżungla karczowana rękami plantatorów, którzy nigdy nie zapanują nad roślinnością. Teorie historiozoficzne, prosty linearyzm, rozwidlenia światów, dziejowe wahadła — to próby nałożenia abstrakcyjnej siatki na chaos. Proces historyczny to teoretyzowanie porywów serca. Wszystko, co ma się zdarzyć na świecie, dzieje się

najpierw w zaświatach. Tam rodzi się historia.

Rewolucja francuska — tyle teorii na jej temat! Teorie spiskowe zemsta Galów, czyli stanu trzeciego, na Frankach — szlachcie i arystokracji, będących rzekomymi potomkami germańskich najeźdźców. Odwet potomków albigensów — heretyków wymordowanych częściowo w czasie krucjaty z 1209 roku. Odwet za „Noc św. Bartłomieja” — spisek protestantów i ateistów. Prywatna zemsta księcia orleańskiego, późniejszego Philippe’a Egalite, Wielkiego Mistrza francuskiej masonerii, który przebywając w areszcie domowym, poprzysiął zemstę Ludwikowi XVI. Śmierć króla miała być odwetem za spalenie na stosie Jakuba de Molay’a, mistrza zakonu Templariuszy.

Rewolucja — czas przemian i czas pogardy. Wzniosłe idee, uświęcające krew, pożogę i gwałt. Wolność kosztem zasad, równość kosztem tradycji, braterstwo kosztem miłości. Pod ostrzem gilotyny zginęło siedemnaście tysięcy osób, głównie ze stanu trzeciego. W czasie tłumienia powstania wandejskiego, wznieconego przez księży i chłopów walczących za wiarę i króla, wymordowano czterysta tysięcy ludzi. W Gujanie utworzono pierwszy obóz koncentracyjny dla księży. Powstała tajna policja, niezależna i posługująca się terrorem. Jeden z ideologów rewolucji, Francois Babuef, zalecał gilotynę jako środek do walki z przeludnieniem Ochotnicza armia zorganizowana w Marsylii, śpiewająca pieśń Rougetta de Lisie (późniejszą *Marsylianke*), praktykowała picie ludzkiej krwi. Rozprowadzano egzemplarze konstytucji oprawione w ludzką skórę. W miasteczku Clisson przetopiono ludzi na oliwę.

Oświecenie — *Lumieres, Aufklarung, Illuminismo, Enlightenment*. A może Oślepienie — uwiedzenie szatańskim światłem? Lucyfer to *luciferferrens* — niosący światło. W alchemii słońce jest symbolem Karmazynowego Króla, czyli Szatana.

Tego dowiedziałem się zaraz po skazaniu. Dowiedziałem się też, że Pan powierzył mi misję, by sprawdzić moją niezłomność. Zawiodłem. Lecz nawet gdybym nie uległ, nie powstrzymałbym tego, co nieuchronne. Rewolucja była częścią bożego planu. Wraz z nią Europa weszła w fazę upadku. Jedność, jaką dawało chrześcijaństwo, pękła pod naporem rzeki krwi i morza łez. Datujący się od rewolucji rozwój jest pozorny, bowiem ziarno upadku zostało zasiane. Każda cywilizacja jest immanentnie skazana na śmierć. Jest to konsekwencja jej procesu rozwojowego. Kulturze Zachodu wirus został zaszczepiony w XVIII wieku. Od tej pory jedyny ustrój odzwierciedlający Boży Porządek — monarchia — stawał się coraz węższy, coraz mniej stabilny — aż runął sto trzydzieści lat później w wyniku I wojny światowej.

Taka była przyszłość, którą ujrzałem. Pan rozkazał mi odejść. Wkrótce miałem udać się na planetę Aion.

Dalsza część opowieści związana jest z miejscem mojego zesłania. Wspomniałem już o pojedynkach w wymarłych miastach. To jeden ze sposobów sprawdzania bitewnej gotowości anioła. Po przybyciu na Aion stoczyłem dwa zwycięskie starcia z upadłymi. Najdziwniejszy, najbardziej brzemenny w skutki pojedynek odbył się w Londynie. Z początku nic nie zapowiadało przedziwnego zakończenia walki. Nic nie wskazywało na to, jak potoczą się moje losy. Po wejściu do Basenu Przejść zmówiłem modlitwę i zasnąłem.

Obudziłem się w parku. Rozłożyste gałęzie drzewa malowały moje skrzydła plamkami cienia. Słońce stało wysoko na niebie, nie było chmur. Pod ławką leżał kamień z wiadomością. Podniosłem go i odczytałem *Londyn, rok 1991*. Na drugiej stronie był plan miasta. Musiałem zapamiętać jak najwięcej szczegółów. W miejscu, gdzie stałem, migotała niebieska plamka. Druga, czerwona, pulsowała w zachodniej części. Tam, gdzie Tamiza przekraczała granicę miasta, budził się demon. Mieliśmy stoczyć pojedynek w wymarłym mieście.

Sprawdziłem rynsztunek i wyjąłem miecz. Kamień zniknął. Od tej chwili byłem zdany wyłącznie na siebie.

Pole indyferencjalne wytwarza grawitację, która uniemożliwia lot. Wykonałem pięć długich skoków i znalazłem się na Trafalgar Square. Kolumna Nelsona rzucała na plac ukośny cień. Nie było ani jednego gołębia. Od kwadratowego rynku odchodziły puste ulice. Kamienice, sklepy i restauracje świeciły pustką. Cisza jak w grobie. Wymarły Londyn, jedno z neutralnych miejsc w polu indyferencjalnym. Gdy przed pojedynkiem zasypiam w Basenie Przejść, nigdy nie wiem, gdzie się obudzę. Walczyłem już w Atenach, Paryżu, Tokio, Nowym Yorku, Kairze, Lizbonie i Kalkucie. Pojedynki są sprawdzianem poświęcenia. Poziom wiary i ekstazy jest u aniołów kontrolowany na bieżąco — za pośrednictwem wszczepionych do światłobiegu wirusów. Inaczej jest z poświęceniem. Anioły pierwszego Porządku muszą regularnie przechodzić test, którego stawką jest dusza. Nie wolno nam przegrać — inaczej trafiamy do obozu jenieckiego. Istnieje w drugim indyferencjale i jest podzielony na dwa sektory. W jednym przebywają pokonane anioły, w drugim zwyciężone demony. Upadli przechodzą test, jak my, z tą tylko różnicą, że wszyscy — bez względu na stopień. Zdarza się, że anioł trzeciego Porządku walczy z czterema demonami ósmego Kręgu. Szansę są wtedy wyrównane.

Tym razem miałem jednego rywala.

Pojawił się nagle. Z dachu National Gallery skoczył na mnie jak tygrys. Usłyszałem furkot skrzydeł. Wrzask skaleczył ciszę, popłynął ulicami i wrócił upiornym echem. Odskoczyłem na najbliższe drzewo. Jego miecz ciął powietrze. Potwór zatoczył się, ciągnąc za sobą welon śluzu. Ukryty w koronie drzewa mogłem mu się przyjrzeć.

Torturant trzeciego Kręgu. Walczyłem z podobnym w Tokio, trudny przeciwnik. Wygląda jak nietoperz skrzyżowany ze skorpionem. Ma miecz upleciony z tysięcy czarnych węży. Kłębiące się nitki wydzielają jad.

Krople błyszczały w słońcu, kapały na asfalt.

Wyczuł mnie i skoczył w stronę drzewa. Nie wiedział, że jedną z gałęzi pokryłem śliną. Złapał się w pajęczynę. Zraniłem go w skrzydło i wskoczyłem na kolumnę. Mieczem odciąłem posąg, rzuciłem w drzewo. Niestety. W ostatniej chwili się wyplątał.

Z jego miecza strzeliły węże. Śmiercionośne nitki ścigały mnie jak zdalne pociski. Ginęły w zetknięciu z moim mieczem. Jeden drasnął mój naramiennik.

Wycofałem się na schody National Galery. Czekałem na atak. Oślepiiony słońcem demon skoczył. Chybił. Uderzył w filar, który pękł na pół. Rozpoczął się pościg salami muzeum. Pejzaże, konterfekty, sceny religijne — tysiące obrazów stapało się w chaotyczną plamę, gdy mknęliśmy korytarzami.

Nagle stało się coś dziwnego. Zakrzywiła się sefiryjna czasoprzestrzeń. Indyferencjał zapadł się w niepojętym kolapsie, odkształcił i przenicował sam siebie. Muzeum skurczyło się do wielkości atomu, Londyn eksplodował. Otoczyła nas architektura chaosu, transformacja struktur, mglista plama Eteru wlała się do przestrzeni indyferencjalnej niczym powódź. Odzyskałem zdolność lotu. Nad głową ujrzałem prostokątny portal. Migotał, jakby zaraz miał zniknąć, więc skoczyłem. I zderzyłem się z Torturantem. Zamiast walczyć odepchnąłem go i wpadłem między krawędzie. Upadły chwycił brzeg mojego skrzydła — mimowolnie pociągnąłem go za sobą.

Błysk, mgła, światło.

Przedzieraliśmy się przez żółto-fioletowe chmury. Poczulem znajomą aurę, zanurkowałem w dół. To była planeta Aion. Nie wiem, jakim cudem przenieśliśmy się tutaj. Indyferencjał wypluł nas na mój teren. Musiałem dokończyć pojedynek. Odnalazłem Torturanta dzięki czarwilgoci, którą zostawiał w chmurach niby warkocz spalin. Podleciałem od dołu i wbiłem mu miecz w szyję. Zaczął

spadać. Nie zdążyłem uciec. Runął na mnie i wbił mi język w szyję. Przeciąłem mu tętnicę na czole, ale nie rezygnował. Schwycił mnie kurczowo i spadaliśmy razem. Nie mogłem się wyrwać. Pod nami było jezioro.

Uderzyliśmy w wodę. Ciecz trysnęła oleistym gejzerem, zabulgotała spieniona. Torturant szedł pod wodę jak kamień, nadal nie mogłem uwolnić się z jego uścisku. Wpadliśmy w skalną rozpadlinę. Zleciałem w dół lejowatej sztolni, on zsunął się za mną. Nie było tutaj wody. Staliśmy w ciemności, chyba w jakiejś grocie i przewiercaliśmy się wzrokiem. Niespodziewanie Torturant wykonał piruet i pomknął w głąb jaskini. Musiał być tam korytarz.

Poleciałem za nim, manewrując w labiryncie podziemnych tuneli. Zdumienie towarzyszyło mi wraz z bitewnym zacięciem. Podziemia planety Aion — nic o nich nie wiedziałem. Czemu służyły? Od kiedy istniały? Dlaczego instrukcja o nich milczała?

W końcu go dopadłem. Po kolejnym zakręcie stracił orientację. Poza tym musiał być wycieńczony. Raziłem go trzykrotnie hermowymi igłami. Drgnął, szarpnął się, odskoczył. Uderzył plecami w ścianę, resztką sił splunął. Zasłoniłem się skrzydłami, jad zasyczał na złotych piórach. Usłyszałem osuwające się truchło. Przyskoczyłem i bez wahania wbiłem hermy w jego oczy. Szarpnął się, wrzasnął i zastygł. Przekręciłem palce. Z oczodołów buchnęła ciemna ciecz. Otarłem paznokcie o skałę pozbywając się nabitych gałek ocznych. Wściekłe źrenice jarzyły się purpurowo, więc zdeptałem je; eksplodowały z miękkim plaśnięciem. Z oczodołów Torturanta wyciekało antyświatło, substancja płynąca w żyłach Upadłych.

Widok czarnej kałuży przypomniiał mi o obrażeniach. Czułem się osłabiony. Lewy przegub miałem nadgryziony, strużka światła kapała pozbawiając energii. Zerknięcie na wykres potwierdziło obawy parametry spadły poniżej normy. Powinienem czym prędzej wrócić do pałacu i zasnąć w wannie regeneracyjnej. Na powierzchni byłoby to łatwe. Tutaj, przykryty kobiercem skał, musiałem najpierw znaleźć wyjście. Na zewnątrz był świat, do którego przywykłem. *Paleion* krążył po orbicie — gdybym tylko wyczołgał się na brzeg, dostałbym energię niezbędną, by przeżyć. Ale nie tu Światło, które ze mnie wyciekało, natychmiast gasło, jakby lśniące krople wsiąkały w mrok. Nie mogłem odnaleźć szlaku, kierując się własną posoką. Którędy iść? Miałem osłabioną orientację, nie pamiętałem drogi.

Powlokłem się korytarzem w kierunku, z którego przybyliśmy. Przynajmniej tak mi się zdawało. Prawą dłoń przyciskałem nadgarstek, lecz światło ciekło przez palce. Z każdą kroplą traciłem siły. Skrzydła ciążyły jak kamienie. Najchętniej odpiąłbym je, lecz póki mogłem iść, nie ryzykowałem. Gdy już się wydostanę, z braku energii nie zdołam polecieć, lecz dzięki skrzydłom kilkunastoma skokami dotrę do pałacu. Poza tym złote wachlarze są dla anioła czymś świętym — porzucenie ich jest naruszeniem dyscypliny.

Korytarz zdawał ciągnąć się w nieskończoność. Miałem wrażenie, że stąпам w gęstej mgle maskującej wszechświat. Z każdym krokiem zanurzałem się w nieznanym. Modliłem się o przeżycie, lecz intuicja podsuwała inne obrazy nieskończony, straszliwy labirynt, z którego nie ma wyjścia, a korytarze splatają się w krętą drogę prowadzącą prosto w serce mroku. Ta ciemność była pierwotna, gęsta i nasyciona; zdawało mi się, że kroczę przez archetypiczną, skondensowaną czerń, która pochłonie każde światło. To twój koniec, Adorionie — znów nie sprostałeś zadaniu...

Było coraz gorzej. Wciąż przed siebie, po omacku i na oślep, przy rosnącym osłabieniu. Cisza i ciemność. Odczepiłem skrzydła. Chwyciłem je w zdrową rękę i wlokłem po ziemi. Złożone miały kształt sań, dzięki piórom tarcie było niewielkie, więc poczułem ulgę. Po jakimś czasie korytarz skręcił w lewo. Czas płynął w tempie, w którym szedłem, wlekliśmy się obaj. To paraliżujące odczucie, że chwile rozciągają się w wieczność... Jeśli wracałem drogą, którą tu przybyłem,

musiałem pamiętać o jednym: przeleciałem korytarz na skrzydłach, z szybkością błyskawicy. Byłem już ranny, lecz bitewne zacięcie kompensowało mi wyciek światła. Gdy zabiłem demona, napięcie opadło. W jednej chwili poczułem poniesione obrażenia.

Przystanąłem, aby odpocząć. Zmęczenie przelewało się otępiającą falą. Najchętniej zapadłbym w letarg. Walczyłem z myślą, by położyć się w kołysce ze skrzydeł i spać. To byłoby jak przyznanie się do porażki.

Szedłem więc dalej. Im głębiej zanurzałem się w labirynt, tym mniej wierzyłem w ocalenie. Zmęczenie znieczulało, byłem jak kukła anioła, niesiona przez pijanego uczestnika procesji, któremu z każdym krokiem wzrok mętnieje, a ciało omdlewa. Mimo otępienia wlokłem się podtrzymywany resztką nadziei; a także zdumieniem, które elektryzowało myśli. Kto zbudował podziemia? Skąd wzięły się korytarze, przedsionki i schody? Od jak dawna istnieje ta wymarła kondygnacja, ukryta pod skórą planety jak złowieszczy nowotwór? Odkryłem tajemnicę przez przypadek. A może Torturant celowo ściągnął mnie na Aion, przeleciał pół planety, odnalazł jezioro i zanurkował, by wprowadzić mnie do tego świata? Był ranny, a kiedy trafiłem go wiązką — obniżył lot i zleciał prosto w wodę. A jeśli symulował? Być może liczył, że zdoła ukryć się przed śmiercią, być może chciał mnie zaskoczyć — mrok jego sprzymierzeńcem — i resztką sił przechylić szalę zwycięstwa.

Ostatni wysiłek, do jakiego byłem zdolny — rozważanie motywów działania Torturanta. Gdy przestawałem myśleć, od razu wracało zmęczenie — nieznośny ból przenikający członki, jakby pył sefiry czny kurczył się, zmniejszając objętość żył, a światło tryskało kraterami ran. Puls, puls. Wciąż przed siebie, bez poczucia kierunku, światło umiera we mnie. Trzeba iść, zaprzecić się, zdławić zwątpienie — krok, krok, krok — ból rozsadza włókna, wciąż jednak idę, na przekór słabości, i nagle pojmuję że wciąż wlokę za sobą skrzydła, których złoto połknęła ciemność, których szelest zagłuszyła cisza, które są mi jedynie ciężarem, zbędnym balastem, bo przy takim wycieńczeniu nie wykonam nawet skoku. Zostawić, zostawić — myśl dudni w rytm kroków. Odpocząć, odpocząć — dubluje myśl druga. Zaniechać wysiłku, zatrzymać się, paść na ziemię. Ciemność kusi, przedzie pajęczynę, która obwija się wokół nóg i chce uśpić, dać wytchnienie. Ale to równoznaczne z poddaniem się odpoczywając, nie zregeneruję sił, jeno odpłynę w nieprzytomność. Mrok połknie mnie jak wielki, kosmaty pająk.

Potykam się; musiałem trafić na schody. Z trudem łapię równowagę; nagle pojmuję, że jestem w pułapce. Wspinaczka po niewidocznych stopniach to kres mojej wytrzymałości. Nie dam rady. Ale stojąc tak na pierwszym stopniu, czynię jeszcze gorzej; usypiam obolałe włókna — zaraz padnę ze zmęczenia. Zostawić skrzydła, iść, może się uda. Stawiam pierwszy krok, drugi, myśli szumią, drgają, gasną. Po kilkunastu stopniach wiem, że nie dam rady. Stoję odrętwiały i kołyszę się to w przód, to w tył, czekając, aż stracę równowagę i runę. To koniec, wiem, że to koniec, nie ma już we mnie światła; śmierć anioła, Adorion umiera. Rozkołysany balans przechyla mnie i spadam twarzą ku schodom, nie podnosząc omdlałych rąk.

Ludwik — V

Przyniesiono mi wieść o śmierci Wagnera. Osiemnaście lat temu musiałem wygnać Richarda z Bawarii. Wcześniej utrzymywałem go jako nadwornego kompozytora, finansowałem jego wystawny tryb życia, ale miarka się przebrała, gdy publicznie obraził rząd. Członkowie rodziny królewskiej wystosowali pod moim adresem ultimatum: miałem wybierać między kompozytorem a „miłością i szacunkiem moich wiernych i poddanych”. Dziś nie przejąłbym się szantażem, ale wtedy wybrałem lud. Dziesięć dni później okryty hańbą Wagner wyjechał do Szwajcarii.

Nie przestałem finansować wielkiego kompozytora. Posyłałem mu pieniądze, wspierałem duchowo, pomogłem też wybudować teatr w Bayreuth — odpowiednie miejsce do wystawiania jego monumentalnych oper. W sierpniu 1870 spotkaliśmy się z okazji wykonania w całości „Pierścienia Nibelungów”. A teraz otrzymuję wiadomość o jego śmierci.

Pamiętam, jak usłyszałem po raz pierwszy „Lohengrina”. Miałem 16 lat i nie mogłem powstrzymać łez. Postanowiłem zostać protektorem niedocenianego twórcy. Wagner żył w biedzie, był posądzany o prorepublikańskie poglądy, jego małżeństwo rozpadło się. Mój posłaniec znalazł go w Stuttgarcie na granicy załamania i doręczył pierścień z rubinem, moją fotografię i zaproszenie do Monachium. Po pierwszym spotkaniu z Wagnerem — miałem wówczas osiemnaście lat (od mojej koronacji upłynęły zaledwie dwa miesiące) — wiedziałem, że czynię słusznie, obejmując nad nim mecenat. Oddałem mu jedną z wiejskich rezydencji, sam zamieszkałem w pobliżu, w zamku Berg. To były piękne dni... Mój przyjaciel Richard Wagner zmarł 13 lutego 1883 roku w Wenecji. Na wieść o śmierci stwierdziłem: „Ciało Wagnera należy do mnie”, a następnie urządziłem mu pogrzeb w Bayreuth. „To ja odkryłem artystę, którego teraz wszyscy oplakują i ja ocaliłem go dla świata”.

Obudziłem się na ołtarzu wspomnień. Londyn, przejście, jezioro, labirynt, błądzenie po omacku, a w międzyczasie: zabicie demona. Dopiero później przyszła myśl: gdzie jestem, jak przeżyłem, co się ze mną działo? Nie zdążyłem się nad tym zastanowić, bo coś zwróciło moją uwagę.

Najpierw ją wyczułem. Komnata, w której się obudziłem, tętniła czyjąś obecnością. Szafirowy sufit odbijał dziwne światła — niepokojące, skaczące po lazurytowych szybkach. Odbijany obiekt znajdował się w grocie, nie mogłem go jednak dostrzec. Z trudem uniosłem rękę. Rany były zasklepione, lecz światło — powróciwszy do zamkniętego obiegu — nie zdążyło się jeszcze zregenerować. Ktoś opatrzył mi rany, włókna rozpoczęły produkcję brakującej jasności, lecz wciąż byłem wyświetlony. Odchyliłem głowę i ujrzałem ściany pokryte ommatidiami kryształowych łusek. Po ich powierzchni ślizgało się monstrualne odbicie. Cień skrzydeł — zwielokrotnionych rozrzuconych, sfraktalizowanych na miriady paralelnych obrazów, chromatycznych i jaskrawych. Zacząłem szukać źródła refleksu. Poruszanie głową sprawiało mi trudność, nie mogłem nadażyć za przemieszczającym się obiektem. Istota obchodziła mój sarkofag; ilekroć kierowałem spojrzenie w stronę aktualnego obrazu, plamki uciekały na inną część ściany. W końcu dałem za wygraną. Z powrotem wlepiłem wzrok w sklepienie. Cisza, kaleczona półsłyszalną wibracją, jakby ktoś szarpał struny dalekiej harfy. Krzyknąłem:

— Kimkolwiek jesteś, pokaż się!

Cisza.

— Kimkolwiek jesteś, ocaliłeś mnie!

Cisza.

— Jestem Adorion, anioł pierwszego Porządku. Chcę poznać twoje imię.

Wibracja stężała w jednostajny szum. Szarpnąłem głowę w stronę nowego dźwięku i oniemiałem.

Unosiła się pod sufitem w na pół zastygłej lewitacji i obserwowała mnie z zaciekawieniem.

Czułem się obnażony pod tym wzrokiem. Pierwsze wrażenie: jej postać mikrokosmosem gracji, każdy ruch, oddech i gest — plamkami cudnych laserunków; narkotyczna zieleń oczu, półkoliste brwi i nietoperzowate skrzydła — symfonią urody. Biła od niej czystość i duma, rezonowało piękno. Poruszała się lekko, tanecznie, w nieznacznych odchyleniach od pionu, niczym świetlisty strumień przelewający się między sklepieniem a podłogą. Połysk ściennie–sufitowych lazurytów stawał się w porównaniu z nią ciemnym tłem. Była plamą światła, padającą na kobierzec mroku.

Przyjrzałem się dokładniej. Wielkie, lekko skośne oczy, mały nos i usta nieznacznie wydęte. Lekko zmierzwione, postrzępione włosy. Krągłe kształty, pełne piersi i porośnięte złocistym mchem łono. Miałem wrażenie, że uroda ziemskich kobiet (zupełnie mi obojętna) zyskała w niej nowy wymiar, stała się szlachetniejszym stopem, jak zwykły metal przetransmutowany w złoto. Czułem dziwne pomieszanie podziwu i onieśmielenia. Miałem wrażenie, że jest godna najwyższej adoracji, tylko i wyłącznie za to, że jest piękna.

— Jestem Isza — zabrzmiało.

ISZA

akt I

Lazurytowa grotka. Isza siedzi na kamiennym oltarzu, na którym leży Adorion i sprawdza gojące się rany. Adorion śledzi jej ruchy, obserwuje jak palce Iszy wędrują wzdłuż jego ciała, naprawiają talizmaty, odwiązują bandaże. Zbroja i skrzydła Adoriona leżą pod ścianą, skrzydła Iszy są zwinięte na jej plecach. Oboje są nadzy.

— Leż spokojnie. To, że czujesz się już dobrze, nie znaczy, że jesteś zdrowy.

— Przesadzasz. Upłynęło dość czasu.

— Wystarczy nadmierny wysiłek i blizny pękają. Znowu będę musiała tamować krwotok.

— Uratowałaś mi życie. Mam wobec ciebie dług.

— Jesteś wystarczającą nagrodą.

— Nie rozumiem.

— Zrozumiesz.

— Kim jesteś, Iszo?

— Już ci mówiłam. Aniołem, jak ty.

— Jesteś kobietą?

— Jestem anielicą.

— Jak to możliwe?...

— Zwyczajnie. Przecież widzisz mnie, czujesz, dotykasz...

— Nie pojmuję tego.

— A czy możesz pojąć podziemia? Czy wiesz, skąd się tu wzięłam i dlaczego? Nie znasz całej prawdy, nawet o planecie Aion, a cóż dopiero prawdy o Eterze. O Bogu.

— Tej prawdy nie zna nikt, nikt poza Nim samym.

— Co innego mam na myśli. Nie chodzi o prawdę ukrytą, dostępną tylko komuś tak potężnemu, jak Przedwieczny. Ty nie znasz prawdy o sobie samym!

— O co ci chodzi, Isza?

— Nie wiesz, skąd się wzięłaś, po co istniejesz, dokąd zdążasz. Jak możesz żyć z tą nieświadomością?! Nawet ludzie zadają sobie takie pytania!

— Prawda jest brakiem pytań. To dlatego.

— Lecz nie kłamstwo. Ty mylisz te dwa pojęcia.

— Ty zaś błędzisz, Isza. Masz za złe Przedwiecznemu, że rozkazał ci żyć tutaj, dlatego opowiadasz głupstwa.

— Nie oceniaj mnie, Adorionie, gdyż nic o mnie nie wiesz.

— Pytałem: kim jesteś?

— Jestem inna, Adorionie, gdyż znam prawdę. Ty wciąż żyjesz iluzją.

- Isza!
- Wiem dużo więcej niż ty. Wiem też wszystko o tobie.
- To niemożliwe.
- Chcesz się przekonać? Przebywasz na Aion w ramach pokuty.
- Skąd wiesz?!...
- Kiedy leżałeś wyświetlony, przeczytałam twoje bandażę. Wiem o tobie wszystko.
- Nie wolno ci!
- Mylisz się, wiele mi wolno. Tobie zresztą też.
- Jesteś zagubiona. W ramach wdzięczności pomogę ci odnaleźć drogę, z której zesłaś. Ty też odbywasz karę, zgadłem?
- Częściowo.
- Czym przewiniłaś?
- Tym, że istnieję.
- Nie mówisz jasno. To kolejny dowód na to, jak bardzo jesteś zagubiona.
- Zbyteczna troska.
- Wyznaj mi swój grzech, Iszo!
- Nie popełniłam grzechu, Adorionie.
- Odbywasz pokutę, więc musiałaś zgrzeszyć.
- Czasami cierpi się niewinnie.
- Tylko ludzie tak cierpią. Przyczyną jest ich własne okrucieństwo.
- Spójrz mi w oczy, Adorionie. Nie lękaj się, dlaczego spuszczasz wzrok? Przecież podobam ci się, jesteś mną zafascynowany. Pragniesz mnie i jednocześnie odczuwasz strach.
- Posłuchaj, Isza...
- Dlaczego, Adorionie?
- Ja...
- Wiem o historii z Catherine. Człowiek, w dodatku kobieta stała się przyczyną twego upadku! Musisz czuć się upokorzony. Ale nie przenoś na mnie swojej niechęci.
- To nie tak, jak mówisz.
- Jest dokładnie tak.
- Isza...
- Nie bój się.
- Twój dotyk...
- Weź mnie za rękę. Śmiało, Adorionie.
- Dokąd idziemy?
- Nad Rzekę Ognia.

Wychodzą.

akt II

Wielki podziemny kanion, spiętrzenia skał. Między ścianami w kolorze ciemnego grafitu ruchoma czerwona wstążka. To koryto rzeki wypełnione bulgoczącą magmą. Niewielka łódź wyrzeźbiona w skale płynie ognistym nurtem. W środku siedzą Adorion i Isza.

— Dlaczego wybrałaś to miejsce?

— Z kilku powodów. Po pierwsze, lubię tu przychodzić. Po drugie, chcę ci się szczerze zwierzyć, a półmrok pasuje do takich wyznań. Po trzecie, to właśnie tu, płynąc Rzeką Ognia, marzyłam o kimś takim jak ty.

— Musiałaś czuć się samotna.

— Istotnie. Kiedy nie mogłam już wytrzymać, kładłam się na kawałku skały i nurt ponosił mnie w nieznane. Marzyłam wtedy o dzielnym rycerzu, wybawicielu, który zstąpi w podziemia, by mnie uwolnić. Kiedy cię znalazłam... Myślałam, że umrę ze szczęścia.

— Twój wybawiciel okazał się rannym aniołem.

— Gdy walczyłam o twoje życie, walczyłam o swój los. Gdybyś umarł, rzuciłabym się do ognia.

— Isza...

— Nie odpychaj mnie, Adorionie. Pozwól mi być blisko.

— Nie wiem, co powiedzieć. Czuję się tak dziwnie.

— Nie mów nic. Teraz ja będę powiadać.

Isza przytula się do Adonona, wplata mu palce we włosy. Adorion chwytają za nadgarstki i stanowczym ruchem odsuwa na skraj łodzi. Isza spogląda na niego z pretensją.

— Kim jesteś, Iszo?!

— Jestem częścią ciebie.

— To nie...

— Słuchaj i nie przerywaj. Oto moja opowieść. Na początku Bóg wyłonił z siebie Eter, podzielił go na sefiry, a następnie wydzielił z siebie anioły, gdyż pragnął stworzyć świat skończony i doskonały, będący ontologicznym odbiciem jego jestestwa. Stworzył *biangelów*, istoty duchowe, kategorię bytu nie różniącą się od niego samego. Panowała równość, nie było hierarchii ani stanowisk. *Biangelowie* mieli naturę Boga. Jako byty czysto duchowe różnili się od swego kreatora brakiem wszechwiedzy i wszechmocy. W świecie Pierwszego Eteru pełnili funkcję istot wyłonionych, skończonych liczbowo elementów eschatologicznej harmonii. Była wszakże jeszcze jedna, nie mniej istotna różnica między *biangelami* a późniejszymi aniołami. Chodzi o strukturalny dymorfizm, specyfikację natury. U swego zarania plemię aniołów przypominało ludzi, występował podział na byty zróżnicowane, na swego rodzaju płcie. Poczucie szczęścia i samorealizację *biangelowie* osiągnęli, łącząc się w pary. Każda z dwóch natur miała cechy przyciągające naturę przeciwną. Poszczególne *biangelowie* odczuwali pustkę, dopóki nie odnaleźli brakującej części. W planie Przedwiecznego wszystko było doskonale pomyślane. Każdy indywidualny anioł posiadał brakującą część samego siebie, dzięki odnalezieniu której mógł stać się *na nowo*. Obecność ukochanej osoby była największym szczęściem, rozłąka z nią — ciężkim przeżyciem. Aniołowie nazywali się *Hemit*, anielice — *Timeh*.

Na pewno znasz stary ziemski mit o istotach zamieszkujących świat przed ludźmi. Człowiek był wówczas *androgynę*, kobietą i mężczyzną w jednej osobie. Bogowie ukarali ludzi za wzniecenie buntu, rozłupując każdego na dwie istoty. Tak powstały płcie. Pisze o tym jeden z filozofów, Grek Platon. Odtąd rozdzielone połówki szukają się po świecie i ludzie łączą się w pary. Późniejsze mity powracały do tego tematu. Mit o Narcyzie, ukaranym miłością do samego siebie, niemożliwą do spełniania. Mit o Tejrezjaszu, trojańskim profecie, który spędził kilka lat w ciele kobiety i posiadał życiową mądrość. Mit o Hermafrodydzie — wyrażający ludzkie marzenie o doskonałym zjednoczeniu

kobiety i mężczyźni, stopieniu się ponownie w jedną całość. Świat ludzi urządzony jest parami, lecz ludzie są niedoskonalimi. Świat *biangelów* urządzony w ten sam sposób był światem doskonałym, zapewniającym szczęście obydwu płciom oraz Bogu.

A jednak była skaza na tej doskonałości. Świat zbudowany na absolutnym szczęściu nie chciał się rozwijać. Brakowało ruchu, dynamiki, równowaga oznaczała stan spoczynku, harmonia oznaczała stagnację. Światu groził bezruch, pograżenie się w inercji, dlatego Bóg zdecydował się działać. Potrzebny był impuls w postaci zmiany. Sytuacja musiała być dramatyczna, skoro Przedwieczny uczynił to, co uczynił. Chciał za wszelką cenę ratować świat, działał w stanie wyższej konieczności. Postanowił unicestwić część aniołów, wchłonąć ich w siebie, tak jak niegdyś wyłonił ich w pierwotnej eksterioryzacji. I uczynił to, a wybór padł na *Timeh*, czyli anielice. Szok i dezorientacja *Hemit* wybiła Eter z równowagi, pękły okowy stagnacji i Eter mógł się dalej rozwijać.

— Wierzysz w to wszystko?

— To nie kwestia wiary, Adorionie. Tak było. Taka jest prawda.

— Pytam, czy wierzysz we własne słowa?

— Tak, choć mam jedną wątpliwość. Bóg nie zniszczył nas, anielice dla dobra świata. Zauważył, że szczęście *Timeh* i *Hemit* jest uczuciem tak potężnym, że samowystarczalnemu. Poczuli się niepotrzebni, a przez to zagrożony. Stworzył nas, a my zapomnieliśmy o nim, żyliśmy tylko sobą i swoim szczęściem, poza którym nic się nie liczyło.

— Twierdzisz, że...

— Tak, Adorionie. Twierdzą, że Bóg unicestwił anielice z zawiści.

— Isza, to straszne słowa!

— Miałaś mi nie przerywać. Nie skończyłam jeszcze. Poruszenie, jakie nastąpiło w Eterze, oznaczało chaos. Zmiana zakończyła się całkowitą dezintegracją starego porządku. Ból i tęsknota doprowadzały *Hemit* do obłądzenia. Część aniołów pograżyła się w melancholii, część złorzeczyła Bogu, część popadła w zupełną obojętność. Przedwieczny musiał przeciwdziałać anarchii. Zastosował terapię szokową. Strach przed pustką i wieczną tęsknotą postanowił zabić czymś silniejszym — obawą przed unicestwieniem. Wprowadził drastyczne zasady eliminujące najslabszych. Część aniołów przewyciężyła rozpacz i podporządkowała się nowym regulacjom. Skończył się czas równości, każdy anioł został poddany powtórnej specyfikacji. W ten sposób Bóg przekształcił *biangelów* w nowych aniołów. Znikły, a raczej cofnęły się u nich cechy dymorficzne. Przedwieczny zróżnicował ich pod względem doskonałości, wprowadził podział na Chóry i Porządki. Tak powstały Zastępy, karna i bezwzględna armia Boga.

— Co stało się z resztą aniołów?

— Nie domyślasz się? Przedwieczny dał im wolny wybór. Mogli zostać i podporządkować się nowym zasadom, albo odejść i błąkać się po bezkresach Eteru. Część aniołów wybrała wolność. Kierowało nimi rozgoryczenie i żal wobec Boga, który przysporzył im cierpienia. Zanim odeszli — zażądali, by zwrócił im anielice, z którymi dzielili szczęście. Wobec odmowy przekleli Boga, wyrzekając się Go na wieczność. Tym samym przekleli siebie samych i własną przyszłość. Przedwieczny wyrzucił buntowników poza granice Eteru. Nie mieli więcej wstępu do Niebios. Czy już się domyślasz?

— Upadli...

— Tak. Ich przywódca nosił imię Satanael. Błąkali się po bezdrożach kosmosu, aż postanowili osiąść i założyć kolonię. Tak powstało Piekło. Skrzywdzone, poniżone istoty, które doświadczyły szczęścia tylko po to, by je bezpowrotnie utracić, postanowiły stworzyć przyczółek walki z Bogiem. Swój cel widzą w zemście. Opętani wspomnieniami nie wybaczą Mu nigdy.

- Są źli, po prostu. Ty ich usprawiedliwiasz...
- Nie są źli, Adorionie. Są rozgoryczeni. Piekło ma wymiar tragiczny.
- Zbyt dobrze ich znam. Zbyt wiele widziałem. Wiem, do czego są zdolni.
- A wy? Do czego wy jesteście zdolni? Wypełniacie bez wahania każdy rozkaz Boga, choćby kazał wam niszczyć i przelewać krew!
- Nie oceniaj Boga, Isza! Błuźnisz.
- Jesteś tchórzem, Adorionie. Odrzucasz prawdę.
- Prawdą jest Bóg, ty karmisz mnie kłamstwem.
- Odważ się uwierzyć!
- Daj mi choć jeden dowód!
- Ja jestem dowodem.
- Musi być inne wytłumaczenie tego, że istniejesz. Może Bóg poddaje mnie kolejnej próbie?
- Słuchaj dalej. Jestem ostatnią żyjącą anielicą...

akt III

Olbrzymia grota pokryta fosforyzującym mchem. Adorion i Isza siedzą na wielkiej skamieniałej muszli. Pod ich stopami warstwa piasku, okruchy skał i zeskorupiałe amonity. Pośrodku groty stoi kamienne drzewo bez liści i owoców. Podłogę przecina tektoniczny zygzak, bulgoczący lawą.

- To smutne, Isza. Twoja historia, twój los...
- Och!
- Co ci?
- Moje imię. Tak dawno nikt go nie wypowiadał.
- Isza to „Łza”?...
- Nie tylko. Również „Smutne piękno”, w staroanielskim.
- Piękno jest związane z Radością i Dobrem.
- Jak ty niczego nie rozumiesz, Adorionie!
- Piękno to mój atrybut. Znam się na tym.
- Jestem spoza porządku, który znasz. Istnieję wbrew twemu światu. Należę do starego świata *biangelów*. Zostałeś wyłoniony później niż ja, więc mnie nie pojmujesz.
- Twierdzisz, że Bóg nie unicestwił cię, ponieważ twoje istnienie utrzymuje równowagę między dwoma światami: starym i nowym?
- Tak. Musi istnieć pomost. Na podobnej zasadzie Przedwieczny pozwala żyć upadłym. Chodzi o zachowanie *continuum*, żywych łączników między Dobrem a Złem, Starym a Nowym, Piękniem a Brzydota. Przeciwniej strony szali nie da się usunąć, bo równowaga się załamie.
- Dlaczego zamknął cię tutaj, w podziemiach Aion?
- Nie wiem... To dobra kryjówka.
- A może jesteś potrzebna do czegoś? Istniejesz odcięta od świata, bo masz do odegrania jakąś rolę?
- A jeśli nasze spotkanie to plan Przedwiecznego? Zetknął nas razem, abyśmy rozpoczęli nowe życie...

— Tak długo żyliśmy razem, nie wiedząc o swoim istnieniu. Ty na powierzchni, ja w podziemiach. Zetknął nas przypadek albo... Adorionie, czy wierzysz, że było nam to pisane?

— Tyle zbieżności: Dwa oblicza piękna: starego i nowego; anielica i anioł. Ta sama planeta, ten sam czas. Tu, gdzie czas nie płynie...

— Eter zmienił się kiedyś, więc może Bóg znowu przewiduje zmianę? Adorionie, miałam sen... Zanim cię odnalazłam, śniłam, że byłam wolna i że świat aniołów ponownie był zróżnicowany. Stałam przed tronem Przedwiecznego, a on uśmiechał się ciepło. Nie padły słowa, ale zrozumiałam, że zostałam wybrana, aby odnowić przymierze. Świat aniołów ponownie miał być oparty na miłości. Okres dyscypliny i karności minął, groził stagnacją. Potrzebna była fala uczuć, aby Eter mógł trwać w równowadze... Myślałam, że to ledwie sen, jeden z wielu. Ale po przebudzeniu, kiedy szłam korytarzem, znalazłam ciebie. To nie przypadek... Wierzę, że nie...

— Zostaliśmy wybrani?

— Nie wiem. To dzieje się poza nami. Czuję, że jakaś siła skłania nas ku sobie. Adorionie, pragniesz mnie?

— Isza, przy tobie wpadam w... trans. Nigdy się tak nie czułem.

— To naturalne. Jesteś *Hemit*, ja jestem *Timeh*.

— To dziwne uczucie. Inne niż uwielbienie Pana.

— Przedwieczny jest absolutem. Absolut ma wiele aspektów. Poprzez ich uzewnętrznienie można brać w nich udział. Powiernikami absolutu miłości byli *biangelowie*.

— Nie rozumiem. Miłość to...

— Nie zrozumiesz, póki nie poddasz się jej.

— Czego oczekujesz?

— Mamy szansę odnowić pierwotną harmonię.

— Naprawdę w to wierzysz?

— Pragnę, a więc wierzę. Odkąd cię ujrzałam, tęsknię do twojej świetlistości. Chcę poczuć twoją istotę, Adorionie, posmakować twej inności. W tobie też budzą się uspięne pragnienia, gdyż moja bliskość wskrzesza twój dymorfizm. Ta cecha została wygluszona, ale nie zabita. Potrzebowałeś impulsu, żebyś poczuł, kim jesteś.

— Kim ty jesteś?

— Twoją *Timeh*.

— Isza, co robisz?

— Nie bój się. Przed nami harmonia pierwotnego szczęścia. Nie walczy z tym, Adorionie. Przeznaczenie kazało nam się spotkać, jesteśmy dla siebie. Podejdź i obejmij mnie. Tak... Mocniej, chcę poczuć twoje światło. Czujesz?... Tak smakuje mój miąższ...

— Isza...

— Och!

— Nic już nie wiem. Co jest prawdą?

— Ja jestem prawdą...

— Isza...

— Poczuleś? To *haimalaal*...

Sala zwierciadlana. Isza klęczy przed dziwnym ołtarzem: kawałki kryształów, pióra ze skrzydeł i kamienny posążek kobiety tworzą rzeźbę o organicznym kształcie. Adonon stoi za nią ubrany w strój ceremonialny (skrzydła, miecz, włosy spięte regulaminowo). Isza powtarza zapomnianą modlitwę w języku staroanielskim.

— Lequash dii alhimael confelo tzar, Adiolo Timeh, Adiolo Hemit, haimalaal Lequash confelo tzar, dii mefi querlin, Adiolo Timeh...

Adorion zmyka oczy i wsluchuje się w melodyjną deklamację.

— Dii Eter tzar dali, dii alhimael confelo, lotta meni Adiolo Timeh u Adiolo Hemit, lotta meni u alhimael tzar, haimalaal Lequash. Confelo.

Isza wstaje od ołtarza i przykrywa go kryształowym kloszem. Adorion podchodzi i obejmuje ją.

— Do kogo się modlisz?

— To nie modlitwa. W każdym razie nie taka jak myślisz.

— Aniołowie nie potrzebują ołtarzy.

— To nie ołtarz. To symbol.

— Ta figurka kobiety — co oznacza?

— Wiąż między anielicami a ich młodszymi siostrami — córkami Ewy.

— Poganie modlą się do posągów zwierząt, nie widzę jednak powodu, byś ty miała modlić się przed wizerunkiem istoty niższej.

— Mówiłam ci, że to nie modlitwa. To troska o los kobiet.

— Współczujesz im?

— Bardzo.

— Cierpienie jest integralnym składnikiem widzialnego świata.

— Nie o to chodzi. Podobnie jak anielice kobiety są szafarkami miłości, ale nigdy jej nie osiągną. Nie na ziemi.

— I co z tego? Czeka je życie wieczne.

— Czyli w połowie przypadków potępienie.

— To kwestia wyboru.

— Ale nie jest kwestią wyboru, że wszystkie kobiety są skazane na niespełnienie. Przez całe życie, od dzieciństwa marzą o miłości doskonałej. Nie osiągną jej jednak— ani te złe, ani te dobre.

— Przesadzasz ze znaczeniem miłości.

— Już zapomniłeś, jak dobrze było nam razem?! Dla ludzi *haimalaal* to ideał, nieosiągalne pragnienie pełnego zjednoczenia.

— Mogą doświadczać rozkoszy.

— Raczej jej nędznej namiastki, zwanej *copula carnalis*.

— Wszystko ma swój stopień doskonałości na drabinie bytów. Zwierzęta doświadczają bodźców psychofizycznych, ludzie psychofizycznych i metafizycznych, aniołowie zaś odczuwają wysublimowaną rozkosz właściwą bytom niewidzialnym. To odwieczny porządek.

— Adorionie, czy nie umiesz dostrzec obszaru smutku na obrzeżu tego porządku? Wszystko ma swoją cenę. Równowaga wymaga ofiar, jak wszystko we wszechświecie. Porządek, o którym mówisz, karmi się cierpieniem.

— Jesteś szlachetna, ale naiwna, Iszo.

— Nie, Adorionie. To ty jesteś naiwny. Poza tym wiem więcej od ciebie. Myślisz, że znasz wszystkie tajemnice drabiny bytów? Mylisz się.

Adorion chwytą Iszę za ramiona, stanowczo i gwałtownie. Patrzy jej w oczy.

— Czym narzędziem jesteś?

— Jestem demonem, który ma cię zniszczyć!...

— Co mówisz?

— Wiem, o co mnie podejrzewasz. Znam twoje wspomnienia. Boisz się, że jestem nowym wcieleniem Catherine, córką Lucyfera. To niedorzeczne. Choć, z drugiej strony, trudno ci się dziwić — obstajesz przy najprostszym wytłumaczeniu. Zresztą..

— Co takiego?

— Być może będziemy jeszcze musieli stawić jej czoła. Lucyfer poprzysiągł ci zemstę.

— To moja sprawa.

— Także moja. Być może spotkałeś mnie, bym cię przed nią obroniła.

— Ty?!

— Równie dobrze mogę stanąć po jej stronie!

— Co mówisz?!

— Nic, śmieję się z ciebie.

— Co w tym śmiesznego?

— Twoja podejrzliwość. I bezradność wobec faktów.

— Twoje słowa burzą mój obraz świata. Czego się spodziewasz?

— Uraziłam twoją dumę, bo wiem więcej od ciebie. Jestem starsza i znam prawdę, o której beze mnie nie dowiedziałbyś się nigdy. Za to mnie nienawidzisz.

— Kim ty jesteś?

— Prawdę.

— Boję się twoich oczu.

— Boisz się miłości. To najgorszy rodzaj tchórzostwa.

— Isza!

— Pamiętasz *haimalaal*? Adorionie, uwierz mi i uwierz we mnie. Jeśli czekałam tu tak długo, a Pan pozwalał na to, wtedy nasze spotkanie... Mówiliśmy o tym. Lękasz się, bo zostałeś ukarany. Ale inaczej nie spotkalibyśmy się. Spójrz mi w oczy, Adorionie.

— Isza, przepraszam... Mam taki chaos w głowie. Nic już nie wiem.

— Spójrz mi w oczy!... Właśnie tak...

— Isza, jesteś piękna.

— Kocham cię, Adorionie. Chcę, żebyś był moim *Hemit*.

Isza odprowadza Adoriona korytarzem, którym przybył walce z demonem. Oboje ubrani są oficjalnie. Idą w liczeniu, blask skrzydeł oświetla im drogę. Adorion kroczy pewnie z zaciętą twarzą, Isza idzie za nim ze spuszczoną głową.

Dochodzą do małego wodospadu, nad którym błękitnieje jezioro.

Niedaleko leży karnalna powłoka Torturanta.

— Dotarliśmy.

- Wiem.
- Raz jeszcze dziękuję ci za pomoc, Isza. Za ocalenie.
- Byłeś wystarczającą nagrodą.
- Ty też.

Obejmują się.

- Byłeś kroplą światła w moim życiu.
- Ty wyznaczyłaś mi drogę. Wiem, co powinienem zrobić. Zapytam Boga o twoją tajemnicę, a jeśli jest tak, jak myślimy, wrócę po ciebie. Zobacysz, jeszcze się spotkamy.
- Nie, Adorionie.
- Musisz uwierzyć.
- Nie mogę, to niemożliwe.
- Isza, co ci jest?
- Okłamałam cię, Adorionie. Wybacz mi.
- Ty... płaczesz.
- Okłamałam tylko raz. To nieprawda, że moje istnienie jest potrzebne Przedwiecznemu. Tak naprawdę odbywam karę. Jestem skazana.
- Co... zrobiłaś?
- Byłam jedyną anielicą, która wiedziała o planie unicestwienia *Timeh*. Stałam przed obliczem Boga i prosiłam o łaskę dla mnie i moich sióstr. On odmówił. Wtedy...
- Co wtedy?

Isza wyrywa się z ramion Adoriona.

- Wyrzekłam się Go!
- Isza!
- Idź już, Adorionie i nie dotykaj mnie. Jestem przeklęta.
- Teraz rozumiem, twoja kara...
- Zamiast unicestwienia spotkało mnie coś gorszego. Przedwieczny skazał mnie na wieczną samotność. Żyję tu od wieków i dźwigam pamięć o wszystkim. Samotna, zamknięta w ciemnościach.

Odwraca się.

- Żegnaj.
- Isza, zaczekaj!
- Idź już!
- Nie mogę cię tak zostawić.
- Wracaj na powierzchnię. Zostaniesz wyklęty, jeśli będziesz się ze mną zadawał. *Teraz*, kiedy już wiesz...
- Co zamierzasz?
- Nie jestem nieśmiertelna. Mogę rzucić się do Rzeki Ognia.
- Nie zrobisz tego!
- Idź już!
- Uratowałaś życie Tronowi. To zasługa, może uda mi się wyjednać u Pana łaskę dla ciebie.

— Nie potrzebuję łaski. Przez wszystkie lata żyłam nadzieją, że kiedyś przybędzie tu ktoś taki jak ty. Nie dowierzałam, kiedy odnalazłam cię rannego. To były najpiękniejsze chwile mego życia. Nie licząc tamtych, ze świata *biangelów*...

— Każdy grzech można zmasać. Nie wierzę, byś była wyklęta na wieki.

— A jednak jestem. Poza tym nie popełniłam grzechu.

— U źródeł grzechu często leżą szczytne intencje.

— Miłość nie jest przewinieniem.

— Isza, chodź ze mną. Zaprowadzę cię do mojego pałacu. Skontaktuję się z Jednią i poczekamy na wyrok. Łaska Pana nie zna granic.

— Nie kochasz mnie, Adorionie.

— Co mówisz!

— Ciągle myślisz o Nim. Ja nie liczę się dla ciebie.

— Przestań...

— Miłość jest wtedy, kiedy nic staje się wszystkim. Kiedy skrawek wszechświata urasta do rangi absolutu, bo kojarzy się z ukochaną osobą. Kiedy bogowie przestają być potrzebni, bo modlimy się do swojego zapatrzenia. Kiedy ciało ukochanej osoby staje się ołtarzem, przy którym celebруем nabożeństwo. Kosmos rodzi się z każdym dotykem i ginie z każdym rozłączeniem. Płoniesz, a jest to najczystszy z ognia. Spalasz się w nim bez reszty i nie czujesz bólu bo rodzisz się na nowo. Kiedy gaśnie — umierasz. Żegnaj Adorionie.

Isza oddala się w mrok korytarza. Po chwili wahania Adorion biegnie za nią. Chwyta ją za ramiona.

— Nie odchodź. Kocham cię!

— Zostaw mnie, ukochany...

— Isza...

— Adorionie...

— Chodź ze mną. Wyjdziemy na powierzchnię, choćbyśmy mieli zginąć. Nikt mi ciebie nie odbierze.

— Zastanów się, co robisz.

— Nic nas nie rozłączy. Choćby na przekór wszystkiemu — będziemy razem!

— A jednak mnie kochasz. Zrozumiałeś...

— Tak, Iszo. Chodźmy.

Idą za rękę ku kryształowemu meniskowi jeziora. Wspinają się po skałach wodospadu, przeciskają wąskim tunelem. Skaczą w nurt strumienia, który niesie ich ku jezioru. Trzymają się za ręce, kiedy woda unosi ich ku powierzchni, odpychają się skrzydłami. Po chwili wypływają i zmęczeni kładą się na brzegu. Woda znowu staje się gładka jak lustro. Nad nimi żółto-fioletowe chmury planety Aion. Adorion nachyla się nad Iszą.

— Jesteś wolna.

Wstają i wolnym krokiem idą w stronę wzgórza.

Ludwik — VI

Znowu namawiano mnie, bym pokazał się w Monachium, tym razem z okazji 700–lecia rządów Wittelsbachów w Bawarii. Oczywiście odmówiłem. Dałem się ponieść nerwom, bo widząc zdziwienie w oczach dworzan, krzyknąłem: „Nie! Nie! Już nigdy nie wyjdę ze swojej skorupy!”. Nie mogę dłużej udawać normalności. Sprawy Publiczne brzydzą mnie, polityka i życie oficjalne są nie do zniesienia. Myślę o budowie kolejnych zamków. Nic więcej mnie nie obchodzi. Mój dług wobec królewskiego skarbu wynosi czternaście milionów marek. Zwróciłem się do ministra finansów o kredyt w wysokości dwadzieścia milionów, 50 muszę dokończyć Neuschwanstein i Herrenchiemsee, a ten lotr mi odmówił! Odparłem, iż planuję budowę kolejnego zamku. Falkenstein, którego projekt sporządził już mój architekt, więc pieniądze są niezbędne. Rząd odmówił. Niegodziwcy! Zdobędę te pieniądze, choćbym miał zastawić rodzinne posiadłości, Q jeśli nie, wynajmę rabusiów, by ograbili banki w Berlinie Frankfurcie i Paryżu!

Zerwałem wszelkie kontakty z rządem. Ich reakcja nic mnie nie obchodzi. Pewnie zastanawiają się, co zrobić z szaleńcem na tronie, zapewne rozważają odsunięcie mnie od władzy. Będą mieli kłopot z następcą — mój brat Otto od dziesięciu lat przebywa w zakładzie dla obłąkanych. Mein Gott! — czyżby on także? ...

Wczoraj miałem sen, w którym kuzynka Elżbieta przebywała ze mną na planecie Aion. W pewnej chwili jej twarz nabrała blasku, urosły jej skrzydła i zamieniła się w Iszę. Może więc żyje w niej anioł, może Isza nie odeszła potępiona, lecz odbywa karę w materii? Jakże kusząca hipoteza! Nie wierzę w nią, bo nie ma we mnie nadziei; jest tylko chęć odcięcia się od świata. W liście do jednego z przyjaciół pisałem o moich zamkach: „Należy za wszelką cenę tworzyć takie rajskie miejsca, takie poetyckie sanktuaria, w których można by choć na chwilę zapomnieć, w jak strasznych czasach przyszło nam żyć”.

Pamiętnik Adoriona

[kryształ modlitewny C] **zapis pierwszy**

Odkąd wróciłem na powierzchnię, nie mam sygnałów od Boga. Nie skontaktował się ze mną żaden przełożony. Tak, jakby nic się nie stało! *Paleion* dobrze się spisał, zbudował nad Aion silne pole ochronne i choć wyczerpał się całkowicie (krążył po orbicie w czasie mojej nieobecności), zregenerował się natychmiast, gdy wróciłem. Niezwłocznie przystąpiłem do obowiązków. Isza jest przygnębiona, odkąd pokazałem jej ceremonię naznaczeń. Wiedziała, czym się zajmuję, a jednak bezpośrednia konfrontacja z duszami wprawiała ja w melancholię. Wyznała, że żal jej ludzi i że widzi w nich powtórzenie losu aniołów. Staliśmy naprzeciw szyby terminala, kiedy powiedziała:

— Tak bardzo chciałabym im pomóc.

Naznaczeni wlekli się w stronę kopuły. Zmierzchało.

— Adorionie, dlaczego Bóg wzbrania nam szczęścia?

Milczałem.

— Ci nieszczęśnicy są jak my, tylko jeszcze bardziej cierpią.

Bóg porozdzielał, wyłonił z siebie istoty dymorficzne, a później przemocą zmienił w byty jednorodne. Ich stworzył na nasz obraz i podobieństwo, lecz ograniczył materią, więc nie osiągną pełni szczęścia, łącząc się w pary.

— Szczęście czeka ich w niebie.

— Mieli je na ziemi, Adorionie. Utracili raj wyrokiem Boga, który nie wykazał zrozumienia dla ich słabości. — Spojrzała mi w oczy — A może to tylko alegoria? Sposób, w jaki Bóg chce wybielić siebie, dowodząc, że stworzył świat szczęśliwy, a to człowiek szczęście odrzucił? Myślę, Adorionie, że ludzie od początku skazani byli na cielesną udrękę. Raju nie było.

Milczałem. Naznaczeni zniknęli pod matowym kloszem. Puste futerały ciał wydzieliły z siebie dusze i esencje człowieczeństwa odpłynęły ku przeznaczeniu. Poczulem dojmującą pustkę. Był tylko pałac, a w nim anioł i anielica. Chmury nad Aion zastygły jak scenograficzna atrapa. Isza chwyciła mnie za rękę. W pamięci musiała mieć ceremonię, bo zapatrzona w dal, powiedziała:

— Chciałabym podarować im nasze światło.

zapis trzeci

Nasze pierwsze zbliżenie, jeszcze w podziemiach, było przeżyciem mistycznym. Kochałem się z Iszą jak mężczyzna z kobietą, a jednak człowiecza miłość nie jest wzorem miłości anielskiej. Gdy myślę o naszej rozkoszy w kategoriach lustra odbijającego ludzkie obcowanie — to dlatego, że znałem je wcześniej niż obcowanie anielskie. Tej drugiej, doskonalszej rozkoszy nauczyła mnie Isza. To tak, jakby zwierciadło odtwarzało niedoskonałość w doskonałości, jakby nie odbijało, lecz tworzyło pełniejszą wersję odbijanego obiektu. Mistyczna rozkosz, przenikająca nasze ciała, jest rozwinięciem doznań *copula carnalis*. W języku *biangelów* miłosne obcowanie to *haimalaal*.

Zanurzamy się w sobie, opadamy ku rewiroom gęstym i dusznym, ciepłym i nasyconym, a gdy jesteśmy na dnie wchłaniamy wodę, nasiąkamy nią i pęczniejemy, wydzielając energię, transformując ciecz w światło. Wtedy następuje spełnienie. Emitując świetlistość, doznajemy rozkoszy. Bo w istocie anielski seks polega na przepływie sefiryicznej energii, naznaczonej indywidualnymi cechami partnerów.

Wzniosłość powołania, poczucie chwały i potęgi bytu zostają w trakcie *haimalaal* zintensyfikowane. Pozytywne doświadczenia nawarstwiają się — pulsują, tętnią, błyszczą. światło zaczyna szybciej krążyć, nadfotony dążą do nadfotonów partnera, ciała spowija magnetyczna pajęczyna, coraz szczelniej i szczelniej... Doskonałość natury sublimuje się w nas do wartości granicznych, włókna tęsknią do czystej duchowości wznosimy się ku seksualnemu empireum, nasza niewidzialność osiąga ekstremum... Wtedy wybuchamy feeryczną bezbrzeżnością, uniesieni w cudzie, zamknięci w kokonie niepojętego światła...

Miłość jest wszystkim.

zapis piąty

Postanowiliśmy uwolnić ludzi od piętna. Zamierzamy urządzić im krainę, w której będą żyli bez trosk i obciążeń. Ich cierpienie kontrastuje z naszym szczęściem. Kochamy się, ale świadomość smutku, który przepelnia planetę, jest nie do zniesienia. Nasza miłość do siebie już nam nie wystarcza. Chcemy obdarzyć nią innych. Odcięci od świata, od spraw boskich i ludzkich, od aniołów i demonów, będziemy żyć, celebując uczucie, które przepelnia nas i dąży do stworzenia czegoś

wyjątkowego. Isza będzie królową, ja będę królem. Nasi poddani otrzymają wolność i szczęście. Planeta Aion stanie się rajem. Nasze uczucie przepęlnia nas mocą tworzenia. Wokół pałacu posadziliśmy kwiaty i drzewa. Mamy zamiar pokryć zielenią całą planetę, uczynić z niej ogród miłości. Tak będzie. Już wkrótce.

zapis siódmy

Planeta Aion ożyła. Powstała utopia bez niemożności. Uczucie Iszy i moje jest fundamentem tego świata. Stworzyliśmy tę krainę z kamieni naszego imaginarium: dobra, miłości i piękna. Stworzyliśmy świat wolnych ludzi. Planeta, która niegdyś była progiem upadku i kolebką potępienia, przestała istnieć. Nie wiem, dlaczego Bóg nie reaguje na moją niesubordynację. Nie wiem, czy uwalniając ludzi i obdarzając ich światłem, postąpiłem słusznie. Wiem tylko, że podarowałem im szczęście. Dopuszczam myśl, że Przedwieczny przeklął mnie, zyskałem jednak skarb bezcenny — wdzięczność ludzi. Czym jest dyscyplina anielskiego regulaminu wobec beztroski na ich twarzach? Choćby u tej pary, kroczącej ścieżką wśród fantastycznych krzewów. Trzymają się za ręce, a każdy ich gest zdaje się wyrażać czystą błogość. On zrywa przezroczyisty owoc i karmi ją perłowym mięszem, ona wplata mu dłonie we włosy; ich radość odbija się od drzew i rykoszetuje ku mojemu sercu.

Nie widzę nic złego w tym wszystkim. Bo choć nie ma w moim sercu bożej bojaźni i regulaminowej karności, jest obraz ludzkich figurek wśród arkadyjskiego pejzażu, tam gdzie niegdyś trwał skalisty bezruch pod żółto–fioletowym niebem.

zapis jedenasty

Kolejny dzień ma się ku końcowi, nad Aion zapada zmierzch. Siedzimy z Iszą na dachu pałacu w fotelach uplecionych z astrowrzosowych linek. Nad głowami złoto–fioletowe chmury, wyżej nie ma już nic. Szczyt kolumny jest miejscem obserwacyjnym: powierzchnia planety rozciąga się w perspektywicznej mikroskali, zyskując uporządkowany wymiar odległej przestrzeni. Dzień kończy się, gaśnie — dopiero teraz wiem, że to dzień, kawałek skwantowanego czasu. Wieczność jest abstrakcją, nieskończoność domeną nicości. Tutaj chwile łączą się w skrawki, nabrzmiewają opuchliwą godzin i spopielają w przeszłość... Dopiero teraz.

Rytm czasu, z regularnymi taktami dni i nocy, jest dzieckiem naszej miłości. Odczuwamy potrzebę świtu, południa i zmierzchu, tak jak dzień odczuwa potrzebę nocy. Złocista polichromia wieczoru jest scenerią naszych pieszczot; błękit poranka studzi nasze myśli. Planeta Aion żyje, po raz pierwszy, odkąd pamiętam. Wyzwolone dusze sięgają po owoce naszej hojności — żyją beztrosko, nieobciążone piętnem. Mam wrażenie, że to wielki sen, marzenie o świecie, w którym człowiek cieszy się wolnością i brakiem ograniczeń. W tym nie ma nic złego, naprawdę. Dając szczęście duszom skazanym na daremność, tworzymy dobro. To wszystko. Reszta jest bez znaczenia.

Ludwik — VII

Stało się. Zostałem odsunięty od władzy. Uwięziono mnie w zamku Berg na podstawie zaocznej diagnozy psychiatry, niejakiego doktora von Guddena, który zebrał wśród byłych członków dworu wiadomości na mój temat, a następnie opublikował je w 19-stronicowym raporcie, pisany na zlecenie rządu. Żalotne! Posadzono na tronie figuranta — mego Psychicznie chorego brata. W rzeczywistości Otto został królem jedynie z nazwy. Rzeczywista władza przeszła w ręce Luitpolda — mojego 65-letniego wuja, który został regentem.

Aresztowano mnie w groteskowych okolicznościach. Pierwsza próba nie powiodła się — kazałem aresztować komisję pod wodzą ministra spraw zagranicznych barona von Crailsheima. Wtrąceni do lochu dowiedzieli się, że ich zgładzę. Mam nadzieję, że uwierzyli. W końcu ich uwolniłem. Wieczorem, upiłem się szampanem i brandy. Jednemu z dworzan powiedziałem, że chcę popełnić samobójstwo.

Dwa dni później, 12 czerwca 1886 roku, wczesnym rankiem przybyła druga komisja, tym razem pod przewodnictwem von Guddena. Zwabiono mnie na schody wieży, gdzie zostałem obezwładniony przez sanitariuszy z monachijskiego szpitala dla obłąkanych. Von Gudden stwierdził: „Wasza Wysokość, misja, którą przyszło mi wypełnić, jest najsmutniejszą misją w moim życiu”. Widziałem fałszywe współczucie na jego twarzy. „Jak pan może mnie uznać za niepoczytalnego, jeśli nawet mnie pan nie badał?” —parsknąłem. „To nie było konieczne” — odparł lekarz.

Była czwarta nad ranem, gdy pożegnałem się ze służbą. Ostatni raz spojrziałem na zamek. Następnie wsadzono mnie do karety, która nie miała klamek od wewnętrznej strony. Ruszyliśmy.

zapis dwudziesty pierwszy

Dzisiaj umarła Isza.

Leżałem w wannie regeneracyjnej, gdy przyszła. Zza przymrużonych powiek widziałem, jak się zbliża, tajemniczo uśmiechnięta, dziwnie nieprzenikniona. Przystanęła na krawędzi basenu, tam gdzie położyłem bandażę posłuszeństwa i spojrzała mi w oczy. Unosiłem się na powierzchni wody, jej wzrok hipnotyzował. Świadomie wstrzymywałem chwilę przejścia w letarg. Czułem narkotyczne oddziaływanie Iszy, czekałem, co zrobi. Weszła do basenu i położyła się obok. Woda zafalowała, odbiła się łuskowatym refleksem na suficie. Isza chwyciła mnie za rękę; *Adorionie* — szepnęła — *chcę się kochać z tobą. Tu i teraz.* Objąłem ją i zanurkowaliśmy. Zmęczenie minęło, czułem rodzaj przyjemnego otępienia. Byłem gotowy na *haimalaal*.

Isza zlizywała świetlny nalot z moich rąk, ślizgała się wzdłuż pleców z gracją węża oplatającego pień drzewa. Kiedy wgryzła się w *anhemit* — poczułem falę ciepła i jasności. Trysnąłem światłem. Isza wypłynęła i ułożyła głowę na mojej piersi. Leżeliśmy tak chwilę, następnie chwyciła moje dłonie i zaczęła przykładać je sobie do twarzy. Oblizywała przeguby, lekko nadgryzała kanały światła. Wracało zmęczenie, czułem działanie basenu. W otępiającej malignie traciłem świadomość, zasypiałem, by połączyć się z Jednią. Pocałunki docierały do mnie jak przez watę. Nadchodził sen. Isza kołysała się ze mną, woda powieliała ruchy naszych ciał.

Eksplozja bólu. Ogień w lewym nadgarstku. Zanim pojawiłem, co się stało, Isza zdążyła przegryźć prawy. Światło rozświetniło się, trysnęło jak fontanna. W jednej chwili odzyskałem świadomość. Widok był makabryczny. Woda pojaśniała, nade mną pochylał się demon z koszmarnym pyskiem: źrenice czerwone, poczerwiałe wargi, zęby ociekające moim światłem. Ta istota nie była w żadnej mierze Iszą. Lilith, Asmodea albo Incubus — żeński demon w gorączce seksualno–morderczej. Nim ocknąłem się z przerażenia, potwór wgrzył się w moją szyję. Usiłowałem zrzucić go z siebie, ale przyssał się do tętnicy i zachłannie wysysał światło. Szarpnąłem dwa razy i znaleźliśmy się przy krawędzi basenu. Krwawiącą ręką sięgnąłem po bandaż. Bestia zajęta była raną, nie zauważyła. Walcząc z promieniującym bólem, zasklepiłem szczeliny i chwyciłem demona za włosy. Osłabł wyraźnie, charczał i krztusił się światłem. Uderzyłem go w szyję. Poleciał w róg basenu i przywarł do drabinki. Ociekał wybroczynami i drgał konwulsyjnie. W częściach ciała, gdzie kapnęło światło, widniały czarne rany.

Tamowałem krwotok i obserwowałem cierpienie demona, który niegdyś był Iszą. Wraz z pierwszą połkniętą kroplą światła rozpoczęła się jego śmierć. Ta świadomość była szybsza niż zdumienie, które nie pozwalało mi uwierzyć w to, co się stało. Ta, którą kochałem, wiła się jak zdychający wąż, wymiotowała połkniętym światłem, a woda bryzgała od uderzeń jej rąk. *Moja córka...* — huczał mi w głowie drwiący rechot Lucyfera. *Nowa wersja Catherine...*

Wtedy ogarnęło mnie współczucie. Nieszczęsna istota, wykorzystana przez upadłych, by zemścić się na dowódcy komanda, które udaremniło plan sekcje „Fraternite”... Byłem skończony, dałem się zwieść i oszukać, a jednak nie czułem nienawiści do Iszy. Przytuliłem jej umierające ciało, nie zważając, że tulę ścierwo demona. Wciąż żyła, serce tętniło sennie. Skąd mogła wiedzieć, że światło wewnętrzne jest dla upadłych śmiertelną trucizną, podobnie jak antyświatło dla nas?

Gdy głaskałem ją po włosach, stał się cud. Na kilka przedśmiertnych chwil Isza znów stała się piękna. Oczy odzyskały blask, usta świeżość, na twarz wstąpiła błogość. Gasnącym wzrokiem spoglądała na mnie i, choć była w tym spojrzeniu sama słodycz, moje oczy zaczęły łzawić, jak od środka toksycznego. *Isza* — szeptałem — *dlaczego?*, a ona powtarzała ustami, które niedawno chleptały moją krew: *Kochałam cię, Adorionie...* Moje łzy, dwie błyszczące krople światła, spadły na jej zmrużone oczy, wypalając w nich dziury. Krzyknąłem jak *biangel*, któremu Bóg odebrał anielicę, widząc czarne kałuże, rozlewające się na alabastrowej twarzy Iszy. Wtedy umarła.

zapis dwudziesty drugi (ostatni)

Zwłoki Iszy unoszą się na powierzchni wody, niczym strzęp wodorostu. Jest martwa, a wygląda, jakby spała. Ja jestem martwy, a wyglądam... No właśnie, jak wygląda pustka? Będę musiał spalić jej serce. Później podpale basen. Skoczę w płomień.

Myśli płyną przez mój otępiały umysł jak zwłoki zadżumionych nurtem rzeki.

Wszystko się kończy. Wszystko przemija, zostaje wytartym wspomnieniem lub okazuje się kłamstwem. Jedynie życie w iluzji daje szczęście. Pozwala ludzić się, że jest inaczej niż naprawdę, że wszystko ma sens. Prawda zabija. Sztuka życia polega na przymykaniu oczu. Miłość to fatamorgana na pustyni życia. Poza bezgraniczną suszą nie ma nic. Za odwagę zostajemy ukarani, za próbę kochania odrzuceni. Obumieramy dla miłości, jak ziarno, które chce piąć się ku słońcu, lecz okazuje się, że to kolejne emocjonalne samobójstwo. Spalamy się jak ćmy od płomienia świecy lub spadamy w otchłań strąceni pocałunkiem słońca. Miłość pozwala zapomnieć o śmierci, nigdy jednak jej nie przezwycięży. Tylko kłamstwo ma sens, jeżeli jest piękne i twórcze. Zapelniamy świat obrazami zrodzonymi w imaginariu, otaczamy się duchami, mirażem przesłaniającą pustynię. Lecz ta krucha skorupa pęka w końcu jak porcelana. Świat kończy się w każdej sekundzie i rodzi na nowo w

każdej chwili. Nosimy światy w sercach, zawieszeni między nocą niebytu a perspektywą bezistnienia. Śmierć jest przed nami i po nas. Nosimy w sobie nędzną terażniejszość, nieuchwytną i nieokreśloną. Wieczność jest zimna i nieczuła. Prawda zdejmuje maskę, odsłania oblicze, by nas unicestwić, i wtedy umiera sama. Kłamstwo jest lżejsze do udźwignięcia. Isza zabiła mnie, Isza umarła, Isza była prawdą, Isza była kłamstwem. Odebrano mi moje kłamstwo. Oddajcie mi moje kłamstwo! Ja, Adorion, utraciłem wiarę, utraciwszy nieświadomość prawdy. Dobro, zło, prawda, kłamstwo, cnota, grzech. Co znaczą te słowa?! Nie wiem. Nic już nie wiem...

Nie chcę myśleć o karze, jaka spotka mnie za powtórny niesubordynację. Za wiarę w kłamstwa, którymi karmiła mnie Isza. Za zbudowanie utopii na planecie Aion. Za odwrócenie się od Boga... Tylko jedna kara: zesłanie w ciało śmiertelnika.

Wzdęte zwłoki zatykają wylot kanału. Nie mogę myśleć więcej, myśli rozsadzają mi umysł. Zdrętwiałe wargi powtarzają mantrę śmierci: Isza, Isza, Isza...

Nad planetą Aion wstaje nowy dzień.

.....

Komando zwiadowcze namierzyło mnie, gdy bez celu przechadzałem się po Aion. Planeta wydawała się jeszcze bardziej wymarła. Eden, utopia, ogród miłości — to wszystko pękło wraz ze śmiercią Iszy. Rośliny uschły, wyschła woda w jeziorach, żyzna ziemia na powrót skamieniała. Światło, sączące się przez chmury o barwie błota, potęgowało wrażenie pustki. Wszędzie porozrzucone były ciała małpoludów, stopy trupów układały się w upiorne hałdy. Pamiętałem planetę tętniącą życiem, ów raj, jaki udało się stworzyć siłą uczucia; konfrontacja tego obrazu z pejzażem śmierci, jaki mnie otaczał, rozdzierała mi serce. Obok fontanny, gdzie spotykały się pary, a ja i Isza udzielaliśmy im cichego błogosławieństwa, leżało zwalone drzewo o poczerniałej korze. Przygwoździło zwłoki dwojga ludzi — mężczyzny i kobiety; ich twarze były wykrzywione w ohydny grymasie, błoto oblepiało włosy, a członki zaczynały gnić. Dalej widok był podobny. Jak okiem sięgnąć otaczała mnie panorama rozkładu. Śmierć i pustka przenikały się wokół jak dwie ponure barwy na palecie obłąkanego malarza. Mój pejzaż wewnętrzny wyglądał tak samo.

Słyszałem, jak trąby obwieszczają przybycie sądu, słyszałem furkot skrzydeł lądujących liktorów, wiedziałem, co się stanie. Nie zatrzymując się, szedłem bez celu w stronę niskiego horyzontu, który był jak przeznaczenie. Sporządzanie raportu było zbędne. Bóg wiedział o wszystkim, komando jurysdykcyjne zostało wysłane, by osądzić mnie na miejscu 1 bez zbędnych formalności. Działali z bożego umocowania — ich zadaniem było ująć mnie, przeprowadzić dowód, osądzić i skazać. A właściwie to sam miałem wymierzyć sobie wyrok. Wykonanie kary należało do Przedwiecznego.

— Adorionie.

Zatrzymałem się na brzegu wyschniętego stawu, którego zagłębienie wyglądało jak owalny grób.

— Odwróć się, Adorionie, zostaniesz osądzony. Przede mną stało trzech aniołów w szatach sędziów. Biel, czerwień i błękit — trzy barwy symboliczne. Za nimi stali liktorzy, ale ich obecność była zbędna — nie zamierzałem uciekać.

— Zejdz. — Anioł w białej szacie wskazał nieckę stawu. Splunąłem mu pod nogi; zbyt późno zdałem sobie sprawę, jak głupi to gest. Zeszliśmy.

Rozpoczęła się procedura. Przewodniczący składu podwinął białe rękawy i zaintonował:

— Uformować trójkąt pokutny.

Anioł w czerwieni i anioł w błękicie ustawili się obok mnie. Geometrycznie tworzyliśmy trójkąt równoboczny. Przewodniczący wyjaśnił:

— Podsądny sądzi sam siebie, nie będąc sędzią we własnej sprawie — jest zawsze obiektywny i

sprawiedliwy. Anioły replikalne przeprowadzają dowody, a podsądny orzeka o swojej winie.

Następnie wznosił ręce ku niebu.

— Panie, połącz ich w potrójną jedność.

Anioły replikalne uzyskały moją świadomość. Ja miałem ich poczucie sprawiedliwości. Rozpoczął się przewód dowodowy. Nie padły słowa. W myślach, które należały do mnie, słyszałem oskarżenia replikalnego oskarżyciela, po nich nastąpiła obrona replikalnego adwokata. Anioł w szacie czerwonej uosabiał moje wyrzuty sumienia i poczucie winy, anioł w szacie białej — usprawiedliwiającą racjonalizację, jakiej dokonywał mój umysł. Linia obrony zawierała się w formułce: „Nie jest winien, bo kochał. Miłość nie jest grzechem”. Ale argumenty oskarżenia były silniejsze. Wiedziałem, jaki wydam wyrok. Dlatego, gdy nadszedł odpowiedni czas, powiedziałem:

— Jestem winien. Skazuję sam siebie na uwięzienie w materii.

Do przewodniczącego składu należało uzasadnienie sentencji. Rzekł:

— Jest jedno Niebo i jest jedno Piekło. Jest Ziemia, planeta, która nie jest ani jednym ani drugim. Tam ludzie zdają egzamin z człowieczeństwa. Od jego wyniku zależy ich los po śmierci. Wieczność istnieje w dwóch aspektach: jest zbawieniem albo potępieniem. To nienaruszalny porządek. Gdyby na Ziemi zapanowało niebiańskie szczęście albo piekielne cierpienie, oświaty nie byłyby potrzebne. Widzialna rzeczywistość jest rozpięta na dwubiegunowej sieci: między dobrem a złem. Tak tworzy się równowaga. Stworzenie rajy poza Niebem jest niemożliwe. Stworzenie gehenny poza Piekłem jest niemożliwe. Mistyczny pakt nie dopuszcza tego. Tworząc na Aion rajską enklawę, naruszyłeś równowagę. Niebo przestało być twym poddanym potrzebne. Dostali je zanim jeszcze narodzili się na Ziemi. Nie musieli także obawiać się Piekła, nie musieli się starać. Ich szczęście było niezasłużone, gdyż nie było warunkowane wcześniejszą postawą: dobrymi uczynkami i wiarą. Tak jest na Ziemi. Dla człowieka świat widzialny jest mostem między nocą nieistnienia a życiem wiecznym. Ludzie są pielgrzymami zdążającymi ku zaświatom, ich życie to wielka próba. Od tego, co uczynią, zależy ich los po śmierci. Nie da się tego ominąć, Adorionie, jest to niezłomny porządek oparty na sprawiedliwości warunkowanej wolnością wyboru. Twoim przewinieniem nie jest podarowanie ludziom szczęścia. Zgrzeszyłeś, gdyż podarowałeś im szczęście bezwarunkowe — nie poprzedzone godnym życiem i prawowiernością. Tymczasem szczęście winno być nagrodą — czymś, na co trzeba zasłużyć. Nie pamiętałeś o tym, Adorionie. W tym leży twój błąd.

Sąd dobiegł końca. Zostawili mnie na dnie wyschniętego stawu, gdzie miałem czekać na wykonanie kary. Wiedziałem, jak odchodzą w milczeniu, jak wzbijają się w niebo i znikają na wysokości chmur. Zostałem sam. *Paleion* wędrował po orbicie zupełnie mi obojętny.

Kim będę w widzialnym świecie? Poeci, muzycy, malarze, święci, zakonnicy, marzyciele, melancholicy, szaleńcy — to często anioły zesłane karnie na ziemię. Z nich wywodzą się ludzie kochający prawdę, dobro i piękno. Z upadłymi jest odwrotnie — mieszkają w ciałach złych ludzi. Mordercy, zbrodniecy, sadyści, kaci i wszelcy inni — to diabły zesłane karnie do widzialnego świata. Wspólnym elementem jest tęsknota — my tęsknimy za światem dobra i jasności, oni za ciemnością.

Kim będę?... W jakich czasach, w jakiej części Ziemi przyjdzie mi żyć?... Za chwilę się dowiem. Za mną utracona miłość, przede mną kara dożywotniej męki. Jestem gotów. Stoję ze spuszczoną głową pod żółto-brązowym niebem i pogodzony z losem czekam na wykonanie kary.

Ludwik — VIII

Kim jesteś, ty który to piszesz? Skąd znasz moją historię? Jakim prawem opowiadasz o mnie? Śmiertelniku, mówię do ciebie! Nie wiem, kim jesteś, ale zabraniam ci pisać. To nie jest opowieść, którą inni mają prawo poznać. Kradniesz moje myśli, wspomnienia i tęsknoty. Skończ pisać, ani słowa więcej! Jeśli mnie słyszysz, zabraniam ci opowiadać o mnie. Zabraniam ujawniać tajemnice świata aniołów. Nic więcej nie mam do dodania. Moja historia kończy się na ziemi, jestem śmiertelnikiem jak ty, lecz noszę w sobie anioła. Nie wiem, gdzie jesteś, w jakiej części świata i w jakim czasie się ukrywasz, ale raz jeszcze rozkazuję ci, stojąc na balkonie zamku Berg i patrząc przez okratowane okno na wody jeziora Starnberg: uszanuj mój ból i nie pisz! Znasz moją historię, to prawda, nie wiem, jak ją poznałeś, ale nie wolno ci ujawniać jej innym. Jeśli jesteś jak ja aniołem, skazanym na wygnanie, proszę: zrozum moje położenie. Od kilku miesięcy odbieram twoje myśli, które początkowo brałem za własne wspomnienia. Ale to pisałeś ty, podszywając się pode mnie. Czyżbyś skanował moją pamięć? Nie wiem. Być może wymyśliłem cię i jesteś ledwie hipostazą, wytworem mego szaleństwa, a ja przemawiam do własnych rojeń. Lecz jeśli istniejesz i mnie słyszysz — wierzę, że mnie posłuchasz. Te wspomnienia boją, nie chcą roztrząsać ich kolejny raz, a gdy piszesz — coś zmusza mnie do tego. Oszczędź mi cierpienie i skończ pisać! Nie chcę znowu przeżywać tego samego. Mówię do ciebie ostatni raz: nie pisz więcej, słyszysz, skończ pis...

Mężczyzna szedł po wymarłej powierzchni planety. Nad głową miał niebo zastygłe w szaro-brunatnym bezruchu. Planetę pokrywały kobaltowe kratery i koryta wyjałowionych rzek. Mężczyzna kroczył w stronę drzewa mającego na horyzoncie. Młody i nagi, był jedynym gościem na planecie. Suche i szerniałe drzewo było jedynym elementem flory. Bose stopy mężczyzny deptały skałę i proch. Drzewo przybliżało się do niego z bezwonną koniecznością. W oddali postrzępione wzgórza obrysowywały horyzont.

Drzewo sięgało mężczyźnie skroni. Wąski pień rozwidlał się w kilkanaście splątanych gałęzi. Na najgrubszej wisały dwa jabłka, jedno skurczone, brązowe i gnijące, drugie duże, ciemnoczerwone, o zdrowej i błyszczącej skórce. Kuszący owoc zginał gałąź, zdawało się, że za chwilę spadnie. Mężczyzna wiedział, że skórka jest iluzją, kryjącą gnijący miąższ i obumarłe pestki. Drugi owoc — skurczony i brązowy — towarzyszył drzewu bez kontrastu.

Mężczyzna dotknął palcem szypułki i chore jabłko spadło. Większy owoc wciąż wisi na Drzewie Życia.

— Koniec — pomyślał Bóg.

Planeta Aion zniknęła.

„Dnia 13 czerwca 1886 roku, w niedzielę, około godziny dziewiętnastej, nad jeziorem Starnberg wydarzyła się tragedia: utonął król Bawarii Ludwik II Wittelsbach oraz towarzyszący mu w spacerze lekarz. Zaledwie kilka dni wcześniej konsylium psychiatrów uznało Ludwika za nieopracjonalnego, oświadczając w sprawozdaniu na temat zdrowia króla: <Umysł Jego Królewskiej Mości znajduje się w stanie daleko posuniętych perturbacji; J.K.M. cierpi na tę formę choroby

umysłowej, którą doświadczeni alieniści dobrze znają i którą zwie się paranoją (...) Ponieważ choroba kompletnie zniszczyła zdolność J.K.M. do samostanowienia, uważamy go za niezdolnego do sprawowania władzy, i to nie przez rok, ale do końca życia (Monachium, 8 czerwca 1886.)>. (...) *Przebywającego na zamku Neuschwanstein, w pobliżu rodowej siedziby Wittelsbachów króla aresztowano i wywieziono do twierdzy Berg, gdzie miał spędzić resztę dni w odosobnieniu, pod opieką psychiatry doktora Gudden (...) Do tragedii doszło podczas wieczornego spaceru, w którym królowi towarzyszył von Gudden. Zaniepokojona długą nieobecnością Ludwika służba rozpoczęła poszukiwania. Najpierw znaleziono kapelusz i diamentową agrafkę króla, później parasol lekarza. Ciało wyłowiono późną nocą. Zwłoki Ludwika leżały kilka metrów od brzegu, w wodzie, która dorosłemu mężczyźnie sięgała do piersi. Ciało lekarza znajdowało się jeszcze bliżej brzegu. Autopsja zwłok wykazała, że przed utonięciem król doznał wylewu krwi. Nie ma na razie odpowiedzi na pytanie: co się stało? Według jednej z hipotez Ludwik skoczył do wody, by popełnić samobójstwo, a Gudden próbował go ratować, w rezultacie czego obaj utonęli. Możliwe jest inne wyjaśnienie: król padł ofiarą zamachu, gdyż dopiero jego śmierć dawała dostateczną rękojmię, że już nigdy nie powróci na tron. Na razie sprawa jest bardzo niejasna i zapewne długo Pozostanie tajemnicą”.*

Neue Freie Bolts—Zeitung (Extra-Blatt), Nr. 135, 16 Juni 1886

„Wydaje się, że jakieś złowrogie fatum zawisło nad dwoma skoligaconymi rodami: bawarską dynastią Wittelsbachów, i cesarskim rodem Habsburgów. Tajemnicza śmierć obłąkanego króla Bawarii Ludwika II w 1886 roku była niczym kamień wzniecający lawinę: w 1889 popełnił zagadkowe samobójstwo w zamku myśliwskim w Mayerhngu arcyksiążę Rudolf — syn Franciszka Józefa i kuzynki Ludwika II Elżbiety Wittelsbachówny. W 1897 roku spaliła się żywcem druga kuzynka Ludwika, Zofia, siostra Elżbiety. Rok później śmierć spotkała brata Franciszka Józefa, Maksymiliana, który został marionetkowym władcą Meksyku i zginął w Veracruz, rozstrzelany podczas powstania. W tym samym 1898 roku w Genewie została zasztyletowana pilnikiem przez włoskiego anarchistę cesarzowa Elżbieta, kuzynka i korespondencyjna przyjaciółka Ludwika. I ostatni zgon: 28 czerwca 1914 roku następca tragicznie zmarłego arcyksięcia Rudolfa, Franciszek Ferdynand zginął z ręki serbskiego zamachowca z organizacji „Czarna Ręka”, wypowiadając przed śmiercią, jakże mylne, słowa: „To drobiazg...”. Zabójstwo arcyksięcia było bezpośrednią przyczyną I Wojny Światowej, w wyniku której nastąpił kres cesarstwa Habsburgów, jak i rozpad trzech największych europejskich monarchii, co było faktycznym końcem panowania monarchii w Europie”.

W. J. R. Mocker *The Sense Of History*, 1967

Gniezno, 5 IV 1999 r.

Eugeniusz Dębski

MagicBox™©

(Mitsubishi. Podwójnie wertyfikowana przestrzeń robocza. Matryca A4dX)

Wszedł po schodkach i przekroczywszy nafaszerowany czujnikami próg z hardestu, znalazł się w dyżurce posterunku.

W duchu przyznawał się do tego, że kocha to miejsce, wiedział, że zatrzymał się zaraz za progiem nie po to, by sprawdzić czy wszystko gra, i nie po to, jak sądzą jego koledzy, żeby sprawdzić, kto się obija. Po prostu — musiał przejechać rozmiłowany spojrzeniem po jasnej, czystej sali, po schodach i taflach drzwi. To było jego życie. Dom — to dom, rodzina, owszem — dzieci i tak dalej, ale życie toczyło się tu.

Posterunkowy Emil Slodovoyt pociągnął nosem, klepnął się w klamrę przepisowo obciążonego sprzętem pasa i ruszył do kontuaru. Siedzący za nim Lagerfeldt, szósta generacja policjantów w Lauckaevanna City, nawet o jedno pokolenie więcej niż w przypadku Slodovoyta, odłożył słuchawkę i wysunawszy do przodu żuchwę, skinął mu głową. Potem, rzucając szybkie spojrzenia na boki, ruchem brwi wskazał drzwi z numerem 3. Emil skinął głową. — „Rozumiem”, uścisnęli sobie ponad kontuarem dłonie.

— Coś się dzieje?

— Spokój, jak w zakonie o surowej regule — rytualnie odpowiedział Lagerfeldt.

— Oby tak zawsze — odruchowo odparł Slodovoyt. Lagerfeldt powinien był teraz powiedzieć: „Tylko żeby nie zredukowali policji, zanim my pójdziemy na emeryturę!”. Wydmuchnął głośno powietrze przez nos.

— Tak, ale żeby ten spokój nie natchnął naszych przełożonych pomysłem redukcji kadry. Niech wpadną na to, dopiero gdy znajdziemy się na emeryturze! — uśmiechnął się.

Potem wrócił do służbowego wyrazu twarzy. — Przyjdź potem do mnie. Mam coś.

Slodovoyt stuknął się palcem w skroń, co miało wyglądać na salut i poszedł do pokoju numer trzy. Zapukał w umówiony sposób — dwa razy, potem dwa razy i jeszcze raz. Cicho syknęły rygle i drzwi się otworzyły. W progu stał uśmiechnięty Abdahautch.

— Cześć. — Slodovoyt ominął go i znalazł się w pomieszczeniu aresztu rezerwowego. Najstarsi policjanci nie pamiętali, żeby choć raz był użyty. — Kupiliście? — zapytał, choć już zobaczył stojący w kącie MagicBox™. — Kurwa... Ależ masz-sz-szyna!... — syknął, wierzchem dłoni odsuwając czapkę na tył głowy i pocierając jednocześnie czoło opuszkami palców; gest wyrażający zafrasowanie, nabyty dawno temu, kiedy jeszcze bywały ku temu powody. — Ja-żeż ci powiadam!... — wycedził pełen podziwu.

Magicbox™ stał skromnie w kącie. Na panelu czołowym, czarnym i aksamitnym jak letni księżyc w nowiu, skromnie połyskiwał niewielki, ale dobrze wyliczony i zaplanowany napis „Mitsubishi”. Całe urządzenie było wielkości dobrego, rodzinnego fridge’a, wierzch i boki płaskie, front, jak się dobrze przyjrzało, wydawał się wypukły — taki niewielki fragment cholernie dużego walca. Ogromna, prawdziwie ogromna, komora podajnika w połowie wysokości urządzenia.

— Niezły, nie?! — Abdahautch trącił łokciem bok Slodovoyta. Obaj stali w odległości trzech metrów od MagicBoxa™, jakby obawiali się, że ich oddechy mogą zamglić nieskazitelną powierzchnię płyty czołowej. — Podczas prezentacji wysypał w ciągu minuty zestaw turystyczny: kocioł zupy, trzy zestawy kolacji... Furę różnych pieprzonych sałatek — zatarł radośnie ręce. — Pokażę ci coś.

Sięgnął po stojący na stole kubek i chlusnął resztką kawy na panel. Zanim Slodovoyt zdążył zareagować — krzyknąć, powstrzymać, rzucić się do wycierania — kawa ze śmietanką doleciała do panelu i nie dotknąwszy go, spłynęła na podłogę. A tam syknęła i zniknęła.

— działaś? — Abdahautch zadowolony z efektu trącił go łokciem w bok. — Niezniszczalny, jego mać. Sam się broni. Wylałem już na to tyle kawy, że pół, kurwa, posterunku dostałoby migotania zastawek, a widzisz coś?

— E! — zaprzeczył oszołomiony Slodovoyt Zrobił jeszcze krok — Te Japończaki to robią cuda! A niech to chuj strzeli! Czemu nie my?

— Nie tylko my jesteśmy daleko za ich dupami Popatrz ba Europę: Niemcy coś rzeźbią w fabrykach Opla, ale to tandeta wystarcza tylko im tam, w Europie. Podobno Merc ma coś lepszego, ale myślę, że to coś może być, co najwyżej, trwalsze. Może dizajn?... — wzruszył ramionami tak mocno, że niemal j sobie mmi uszy. — Patrz — wyciągnął rękę i machał ręką w miarę wyliczania: — Francuzi się nie liczą, Angole to samo. Chuj jedyny wie, co się dzieje w Ruslandii, może są w stanie produkować tylko takie coś, co im daje jakieś, kurwa, rowki z soi czy chleb z glonów. Tylko te, w dupę jebane, japońce...

Jednocześnie pokiwali głowami. Slodovoyt wziął długi wdech.

— Podwójnie zwertyfikowana powierzchnia robocza — powiedział z szacunkiem Abdahautch.

— Co to znaczy?

— Nie wiem. Inne modele tego nie mają, więc musi być lepsze..

Napawali się chwilę widokiem.

— Czy się to nam podoba czy nie — japońska, ale zajebista maszyna... — sapnął posterunkowy Slodovoyt .

— Ha, nie ma dwóch zdań. Zresztą, dlatego ją kupiliśmy. I popatrz, co — w dupę nożem rozwierceni — zawiera oferta gwarancja na trzy lata. Wydajność — nie ma lepszej. Dizajn — można się obsrać. A cena — tylko nieco wyższa od Forda, już nime mówiąc o GM czy USdate Jak oni to robią?

Ktoś zastukał w umówiony sposób. Abdahautch podszedł do judasza, zerknął i otworzył. Weszła trójka. Przywitali się z Slodovoytem. Widzieli już MagicBoxa™.

— Fajny, nie? — zapytał jeden, wskazując kciukiem urządzenie.

— Fajny? — prychnął Slodovoyt — Właśnie się zastanawialiśmy, dlaczego Japonczaki mogą robić maszyny dwa razy lepsze w tej samej cenie

— Może mają MagicBoxy™, które robią MagiBoxy™?

— Bajka! — z politowaniem popatrzył na mówiącego. — To jest to, czego by sobie życzyli wszyscy, ale gówno tam!..

— Dojdą do tego — z przekonaniem oświadczył najwyższy z nowoprzybyłych, Fox. — Tyle luda nad tym pracuje, że coś muszą wykombinować.

— A wtedy raj? Nie? No, bo po co będziemy pracować, skoro już naprawdę wszystko wyleci z boxa?

Zmarszczyli czoła, potem niemal jednocześnie pokiwali głowami. Tylko Slodovoyt pokręcił swoją przecząco.

— A energia? — Chwilę rozkoszował się ich zaskoczonymi minami. — Za energię trzeba będzie zapłacić, nie? Kto ją wyprodukuje?

— No, MagicBoxy™... Inne...

— A czym będzie napędzany taki box, co?

Fox zrozumiał, że plecie bzdury, skrzywił się, a gdy ktoś gwałtownie zastukał do drzwi, podskoczył do nich, zerknął przez judasza i syknął:

— Idzie!

Przekręciwszy zamek, odskoczył od drzwi. Ustawili się szeregiem, ramię przy ramieniu, ciasno, żeby dokładnie zasłonić MagicBox™. Ktoś otworzył drzwi, wpadła czwórka policjantów i migiem dołączyła do szeregu, za nimi wszedł kapitan Greenway. Widząc szereg podwładnych, stanął w miejscu i zmarszczył czoło.

— „For his a jolly good fellow!...” — ryknął szereg. Dołączyli do nich ci z tyłu, drzwi już nie zamykano. W tej chwili posterunek był odizolowany, a w najbliższym otoczeniu nie było ani kawałka obcego człowieka. Akcja została zaplanowana wspaniale i szlifowana od sześciu tygodni. Nie mogło się nie udać.

Kapitan kręcąc głową odczekał, aż ucichł chór, i plasnął w dłonie.

— Wy stare czuby! — powiedział. Chwilę trwał w milczeniu, tylko drgnęły mu kilka razy koniuszki wąsów, jakby chciał coś powiedzieć, a nie mógł. — Wy fiuty pomarszczone... — ruszył do pierwszego w szeregu, Foxa.

Wtedy rozstąpili się i kapitan zobaczył prezent. Potknął się i wpatrzył w MagicBoxa™.

— Co... — wyszeptał — ...co to... jest?...

— Kapitanie — zgodnie ze scenariuszem Slodovoyt wystąpił przed kolegów. — Znamy się nie rok i nie dziesięć. Wyszedłeś z naszego grona, prostych krawężników, wiesz, jaka to robota i kto ją wykonuje. Nie ma wśród nas ani jednego, kto uważałby, że skrzywdziłeś kiedykolwiek policjanta — sapnął, sam lekko wzruszony swoimi słowami. — Kochamy cię. I chcieliśmy, żebyś to wiedział... i... — W panice stwierdził, że nie pamięta, co jeszcze miał powiedzieć. — I... przyjmij po prostu nasz dar; miejmy nadzieję, że będzie ci służył długo i efektywnie.

— Jak ty społeczeństwu! — ryknął Abdahautch.

— Niech żyje kapitanisko! — wrzasnął ktoś z tyłu.

W powszechnym rozgardiaszu nikt już nie zwracał uwagi na skrót w przemowie Slodovoyta. Wszyscy rzucili się do ściskania i poklepywania kapitana. Greenway ścisnął dłonie, obejmował i okładał pięściami plecy ściskanych.

— Chłopaki... — powiedział w końcu. — Jestem... wzruszony... Wiecie, że cenię sobie was... waszą...

Slodovoyt poczuł, że kapitanowi za chwilę popłyną łzy, stanowił pomoc przełożonemu:

— Dobra, nie gadaj tyle, Tom. Lepiej poczęstuj nas kawą z tego pudła.

— A właśnie! — Greenway potrząsnął głową. — Chyba nie myślicie, że zabiorę to do domu...

— Właśnie tak myślimy, kapitanie! — ryknęli chórem.

Mieli to przetrenowane, ponieważ przewidzieli pierwszą reakcję kapitana.

Greenway zamachał rękami.

— OK! OK! — podszedł do MagicBoxa™. — Dwadzieścia mocnych kaw, śmietanka, cukier. Trzy tuziny pączków. — Dotknął weryfikatora. Odwrócił się do czekających policjantów. — Jak przyjdzie rachunek za energię elektryczną, to wywalą nas na bruk — mrugnął do podwładnych.

Roześmiali się. Slodovoyt odetchnął. Kilku z nich uważało, że to zbyt drogi prezent, że kapitan postawi się i nie zabierze pudła do domu, i wtedy cały pomysł się skisi. Ale, na szczęście, Greenway

zrozumiał, że odmową sprawi im zawód i przysporzy kłopotów. A i tak mieli w planie, gdyby stanął okoniem, nie oddawać maszyny, a zawieźć ją kapitanowi do domu. No, ale po kłopotcie.

Kawa zaczęła się materializować. We wnęce podajnika drgało i mgiło się powietrze, pojawiały się filiżanki: pierwsza wolno, druga nieco szybciej, potem sypały się jak groch. Naczynia były ładnie wykonane, cienki i miły w dotyku plastik, tłoczone wzorki i ani śladu spoin i zgrzewów. Naprawdę — dobra maszyna. I dobra kawa. Gorzka i nieco cierpka, gęsta i aromatyczna. Klasa!

— Pamiętajcie, od ósmej czekam na was w „Bojowym Motylu”! — Greenway wskoczył na krzesło i klaskaniem zwrócił Uwagę wszystkich na siebie. — Tak więc sprawy kończcie o szóstej, i gazem do mnie. To jest polecenie służbowe!

— Rozkaz, sir! — wrzasnęło dwadzieścia gardeł.

Slodovoyt trącił dyskretnie jednego i drugiego w ramię, ci trącali innych, policjanci zaczęli wyciekać z aresztu. Dzień, poza tym, że wyróżniały go urodziny kapitana, toczył się normalnie. Pewnie były jakieś sprawy. Wyszedł do hallu i podszedł do kontuaru. Lagerfeldt dotarł tam o dwa kroki przed nim.

— Jest taka sprawa. W zakładzie psycho siedzi od czterech tygodni jeden z naszych. Pół roku temu postrzelony przez jakiegoś gnojka, którego ścigał za wyrwę. Dziewczyna odzyskała torebkę, a on zyskał ołów w szyję. Lekarze nie wiedzą, co mu jest. Rodzina wniosła o separację małżeńską i rodzinną, podobno nie sposób z nim wytrzymać

— Agresywny? — Slodovoyt zmarszczył brwi.

— Nie, tylko wygaduje takie rzeczy, że otoczenie dostaje hysterii. — Lagerfeldt wrzucił ramionami — Ale nie pytaj mnie co jest, że dzieci się go boją. A dzieci to dwa chłopaki: osiemnaście i szesnaście lat.

Slodovoyt sapnął, nie był zachwycony zleceniem.

— No, stary, jesteś naszym rzecznikiem czy nie? — naciskał Lagerfeldt.

— Jestem, jednakowoż to facio nie z naszej dzielnicy, prawda?

— Prawda. Ale, po pierwsze, tamten rzecznik jest w szpitalu na żylaki i szybko nie wyjdzie. Dwa — prosił cię o to porucznik Stanford, i trzy...

— Dobra! — Slodovoyt uniósł ręce a potem plasnął nimi w kontuar. — Ale nie dziś, dobra? Jutro, jutro z samego rana, okay? Będę tu miał drugą zmianę, myślałem, że odeśpię kaca, ale skoro tak mnie, kutasie, naciskasz.

Podał Lagerfeldtowi płytkę notexu, tamten stuknął w dwa klawisze spinacza i przejechał notatnikiem nad otworem pisaka.

— Adres... i dodałem ci trochę danych o tym gościu — powiedział, zwracając notex.

— Jasne, jasne... Przydadzą mi się. Cześć!

Slodovoyt schował notatnik, nawet doń nie zajrzawszy, i poszedł do swojego biurka w sali numer sześć.

Otoczenie zakładu sprawiało miłe i ciepłe wrażenie — płot ukryty w bujnych, dzikich albo tylko udających dzikość, krzewach, szerokie aleje, obszerne trawniki. Dobrze zagospodarowana przestrzeń, ocenił Slodovoyt pejzaż od strony zachowania porządku i nadzoru nad pacjentami. Przyjechał tu w cywilnych ciuchach, mundur zostawił w samochodzie. W bramie przesunął nad czytnikiem płytkę notexu, rygle szczęknęły i furtka uchyliła się.

Był w środku.

Spokojnym krokiem przemierzył alejkę wejściową, pora lunchu, pewnie dlatego ciągnący się wzdłuż niej podwójny szereg plastikowych ławek był pusty. Doszedł do budynku, sprawdził, gdzie

znajduje się jego ident i — nie widząc dzwonka ani w ogóle żadnego tastera — zastukał zgiętym palcem w drewniane drzwi. Chwilę potem szczęknęły rygle i w drzwiach stanęła mocno zbudowana, przysadzista kobieta z koloraturką na szyi i wysokim czepcem na głowie.

— Posterunkowy Slodovoyt?

— Tak. Ja do Heweya Blackhghta. Wysłałem zapowiedź godzinę temu.

Zeszła mu z drogi. Przepuściła.

— Przyrowadzę go do sali tarasowej — wskazała kierunek.

— Stamtąd można wyjść do parku.

— Chwileczkę, siost... — Slodovoyt zawahał się. Nie wiedział, jaką funkcję pełni ta kobieta i do jakiego zakonu przynależy. — Chodzi mi o kilka... takich impresji, dotyczących...

— Ja panu nic nie powiem — odcięła kobieta i zacisnęła mocno blade wargi. — Nie czuję się upoważniona do oceniania bliźnich. Może pan rozmawiać z lekarzem prowadzącym, lekarzem dyżurnym. Proszę czekać.

Odeszła, posapując z dezaprobataą. Slodovoyt rozejrzał się i zauważył automat z wodą mineralną i szybko doń podbiegł. Oferta było szeroka — kilka wód mineralnych, cztery soki i mleko. Policjant wypił duszkiem dwa soki — czarna porzeczką i czarny bez — witaminowa bomba miała zagrozić drogę kacowi, gdyby ten przymierzał się do jego głowy. Chuchnął mocno w stulona dłoń i szybko wciągnął powietrze. OK.

Usłyszał kroki na schodach, kobieta–siostra–pastor–pielęgniarka prowadziła za łokieć mężczyznę w miękkiej, fluszowej pidżamie. Miał jakieś czterdzieści pięć do pięćdziesięciu lat, spięte na karku długie włosy, spojrzenie czujne, ale spokojne, lekko zaciekawione, czy też może zaintrygowane. Slodovoyt pośpieszył mu na spotkanie.

— Posterunkowy Emil Slodovoyt, z czternastego komisariatu — popatrzył na kobietę. — Możemy wyjść do parku?

— Jeśli pan Blacklight się zgadza — popatrzyła znacząco na pacjenta i Slodovoytowi wydało się, że oczekuje od niego protestu, jakby wcześniej uzgodniła z nim, że nie będzie chciał rozmawiać z kolegą po fachu. — Hewey?...

— Tak, oczywiście Przespaceruję się z kolegą. — Wyciągnął do Slodovoyta dłoń i mocno uściśnął dłoń Emila. — Chodźmy.

Nie zwracając uwagi na pielęgniarkę, odwrócił się i poszedł pierwszy. Na tarasie usiadł i założył nogę na nogę. Slodovoyt usiadł obok, nie mając pomysłu na rozmowę, a przynajmniej na jej początek.

— Masz papierosy? — zapytał pacjent.

Zaskoczony policjant poklepał się po kieszeniach i zaczerwienił.

— Nie... mam. Nie palę. — Zmełł w ustach przekleństwo. — Nie wiem, dlaczego szukałem — przyznał — przecież nigdy nie miałem.

— Pewnie nie jesteś pewien, po co tu przyszedłeś — protekcyjnym tonem powiedział Blacklight. — Nie przejmuj się, nie jesteś pierwszy u mnie. — Sięgnął do kieszeni i wyjął papierosy. — Mam swoje, ale mało, dlatego zawsze próbuję wyszabrować u kogo tylko się da. — Włożył do ust i na zmianę dwa razy mocno dmuchnął i pociągnął. Koniuszek rozjarzył się, aromat dymu, gorzki i miętowy, zdominował świeże parkowe powietrze. — Jedyne rzecz, jaka się mniej więcej zgadza... — Mruknął niezrozumiale. Podniósł wzrok na Slodovoyta. — Jakie masz zadanie?

— Słucham?

— Masz mnie pocieszyć, na przykład przy pomocy wyliczania, jakie gratyfikacje otrzymam za służbę? Czy masz wybić mi z głowy mrzonki? Czy może powiadomić, że żona złożyła pozew, a

dzieci podanie o zgodę na rozwiązanie rodziny?

— Nie, zwyczajnie... Przecież wiesz, że gdy ktoś z nas ma kłopoty, to zawsze może liczyć na kolegów.

— A ja mam kłopoty?...

Slodovoyt otworzył usta, chcąc powiedzieć coś takiego: „Gdybyś, chłopie, nie miał, nie siedziałbyś w Czubatkowie, prawda?!”, ale zanim odezwał się, uświadomił sobie, że Blacklight stwierdził: „Mam kłopoty”, a nie pytał: „Mam kłopoty?” Zaatakował krawędzią paznokcia złuszczony bąbel farby na stoliku, odłupał kawałek lakieru.

— No właśnie. Jakie masz kłopoty, co?

Blacklight zaciągnął się mocno, nerwowo strzepnął popiół na ziemię, rozejrzał się i już otwierał usta, ale w ostatniej chwili zamknął je i pokręcił głową.

— Daj spokój. — Wypuścił długą smużkę dymu z płuc. — To nie ma sensu.

— Sensu to nie ma, jeśli sam się męczysz z jakimś problemem, jeśli tłamsisz go w sobie. Nie będę ci wciskał takich gadek, że sama spowiedź już oczyszcza, że katharsis i takie inne. Po prostu — może możemy zrobić coś, co by ci pomogło odzyskać... równowagę, spokój, zaufanie do najbliższych — brnął w natchnieniu.

— Masz spluwę? — Blacklight wychylił się i palcem dźgnął posterunkowego w kolano. Ten siedział nieruchomo i nie odzywał się. — Nie? Szkoda. Gdybyś palnął mi w mózg, to właśnie byś mi pomógł, radykalnie i w jedyny możliwy sposób.

Odchylił się w fotelu, zaskrzypiało oparcie, na kamieniu posadzki zgrzytnęła noga mebla. Zaciągnął się soczyście i nagle w jego oku błysnął jakiś dziwny chytry ognik. Pochylił się do przodu.

— Słyszałeś to skrzypienie? — Slodovoyt skinął głową. — A przecież to pewnie nowiutki fotel, prawda?

Blacklight postukał czubkiem palca w poręcz ogrodowego fotela.

— Pewnie nowiutki? — powtórzył zaskoczony posterunkowy. — Dlaczego „pewnie”?

Jego rozmówca uśmiechnął się przebiegle i machnął ręką.

— Nieważne — wydmuchnął dym.

Slodovoyt zastanawiał się nad powodem jego widocznego gołym okiem powodem zadowolenia z siebie.

— Posłuchaj, Hewey... — Gorączkowo zastanawiał się, co powinien powiedzieć? zrobić? obiecać? W końcu wpadł na pomysł. „Niech podejrzany gada jak najwięcej, jak najdłużej. Wtedy sam się wkopie!” — przypomniał sobie podstawowe przykazanie przesłuchującego. — Możesz mi powiedzieć, skąd się tu wzięłeś i dlaczego tu siedzisz?

Blacklight przekrzywił głowę i chwilę wpatrywał się w kolegę po fachu. Potem syknął, gdy koniuszek papierosa oparzył mu palce. Szybko zaciągnął się jeszcze raz, wyraźnie żałując, że papieros już się kończy.

— Nie powiedzieli ci?

— Kurwa, przestań być taki podejrzliwy! — syknął posterunkowy. — Nie przyszedłem tu, żeby cię przesłuchiwać, tylko pomóc. Ale muszę wiedzieć, jaki masz problem?!

— Ja?! Problem!? — Blacklight poderwał się tak gwałtownie, że Slodovoyt szybko sięgnął ręką do kabury. Ale nie było jej w zwykłym miejscu. Zresztą Blacklight wcale nie zamierzał rzucać się na niego. — My! My mamy problem, my wszyscy! Ślepcy! — Machnął ręką. — Pierdolę was. Życie sobie, jak chcecie. Ja mogę tu siedzieć do zaszranego śmierci...

Nie żegnając się, ominął zaskoczony Slodovoyta i wszedł do budynku. Mocno pchnięte drzwi uderzyły z hukiem w ścianę, odbiły się i zamknęły gwałtownie. Kilka sekund później wyskoczyła z

nich zakonnica i energicznie podeszła do Slodovoyta. Wydało mu się, że uśmiecha się triumfująco, ale był to tak nieznaczny, subtelny uśmiech, że nie mógł jej rzucić w twarz oskarżenia.

— No to sobie porozmawialiśmy — powiedział.

— To trudny przypadek — zgodziła się kobieta.

Najwyraźniej była przekonana, że to pierwsza i zarazem ostatnia wizyta posterunkowego Rzeczywiście — tak zdecydował chwilę wcześniej, ale teraz, jakby na złość, zmienił zdanie

— Nie miałem złudzeń, że jedna wizyta coś zmieni — rzucił niedbale, z radością odnotowując zaskoczenie w spojrzeniu rozmówczyni — Wpadnę pojutrze, po służbie Może w mundurze? — zastanawiał się na głos, odnotowując kątem oka jej niezadowolenie — Powinien zareagować pozytywnie w końcu to było jego życie. Prawda?

Zakonnica zacisnęła wargi.

— Do widzenia, siostró — ukłonił się i odwrócił.

— Musi pan skontaktować się z lekarzem prowadzącym! — syknęła w kierunku jego pleców.

Skinął głową, zszedł po schodkach i ruszył alejką do bramy. Po przekroczeniu jej odwrócił się i chwilę patrzył na budynek zakładu. W kilku oknach widział owalne plamy twarzy, ale nie potrafił z tej odległości rozpoznać, czy jedną z nich jest oblicze policjanta Blackhghta. Skierował się do samochodu, zastanawiając, czy widział w zachowaniu Heweya coś nienormalnego. Ale — nie! To, że nerwowo palił — każdy zdenerwowany pali zachłannie, szukając w papierosie ukojenia, jakby dym utrzymywał człowieka na powierzchni normalności. Nic nie powiedział takiego, co dawałoby prawo do nazywania go świrem. Zaraz! Slodovoyt dotknął palcem czytnika na klamce, zamek szczerknął, ale policjant znieruchomiał z rękami na dachu dwuletniego Forda Greystone'a. „Co on — myślał — takiego powiedział? Coś takiego... A! „Jedyna rzecz, która się zgadza.” — powiedział tak, kiedy zapalił papierosa I jeszcze jedno ten fotel! Coś, że zaskrzypiał, mimo że chyba nowy! Zaraz, to co sam nie widzi? Nie, wzrok musi mieć dobry, przecież nie dlatego wsadzili go do zakładu!” Pisał chronometr sygnalizując, że do objęcia służby zostało pół godziny.

Slodovoyt wszedł do wozu i — ciągle jeszcze myślami w zakładzie — uruchomił silnik. Dwadzieścia minut później był w komisariacie. Akurat ekipa wynosiła MagicBox™ kapitana, panował lekki rozgardiasz Greenway miał przekrwione oczy, ozdobione workami, w których — jak mawiał ojciec Slodovoyt — można było zmieścić cały dobytek dwóch zamożnych żydowskich rodzin. Posterunkowy zgłosił się do dyżurnego, odebrał przydziały i poszedł się przebrać.

Jakaś myśl niczym cierń tkwiła gdzieś pod powierzchnią świadomości. Wiedział o jej istnieniu, ale nie potrafił, mimo wysiłków, wyciągnąć jej na wierzch i ocenić. Potem „bieżączka” pochłonęła jego uwagę, pod koniec służby omal nie został dźgnięty przez pijanego Irlandczyka cienkim szpilorem do spuszczenia świńskiej krwi, i to odsunęło na bok wszystkie inne myśli, nie dotyczące ulgi z powodu uniknięcia rany.

— Mam dla ciebie papierosy.

Wyjął z kieszeni dwie „Bravo Jean” i położył na stoliku.

— O kurczę! Dzięki, chłopie. — Blacklight zachłannie chwycił papierosy i dosłownie rozszarpał opakowanie jednej z paczek. Wykonał rytualne dmuchy we wszystkich kierunkach, rozpalił koniuszek i zaciągnął się. — Dobrze, że pomyślałeś o samozapłonach — pochwalił Slodovoyta. — Trochę psują smak, ale tu nie pozwalają mieć własnych zapalniczek czy zapalek. Rozumiesz — czub to czub, nie wiadomo, co takiego walnie mu w czachę.

— Dlaczego tu jesteś? — zapytał posterunkowy.

Hewey rzucił mu szybkie kosę spojrzenie. Wydmuchnął porcję dymu.

— Przecież masz akta!

— Mam, ale tam gówno co jest. Szarża na obsadzony tymi gnojami lokal, bohaterska postawa, postrzał w głowę.

— Nie głowę! — zaprzeczył dość gwałtownie Blacklight. Pochylił głowę i wskazał palcem biegnącą poziomo przez kark, równoległe do osi ramion bliznę. Znajdowała się już niemal na plecach, nieco tylko wyżej od barków. Gdyby ktoś chciał oddzielić tułów Blacklighta od głowy, to właśnie tam nastąpiłoby cięcie. — Pocisk przeorał mi kark.

— No, dobra — kark. To duża różnica?

Blacklight siedział pochylony, z łokciami opartymi na udach, gdy chciał popatrzeć na posterunkowego, musiał mocno przekrzywić głowę. Blizna wtedy skręcała się i zaczynała przypominać rozwarłe szerokie „v”.

— Spora. Duża. — Zaciągnął się dwa razy mocno papierosem i — gdy żar doszedł do czerwonego paska filtra — pstryknął mocno niedopałkiem poza taras. — Ech, zaraz mnie objedzie! — poderwał się i pobiegł po niedopałek. — Ciągłe mi się wydają, że w tym syfie — zamilkł i poszedł do popielniczki, a Slodovoyt nagle poczuł, że było to z niewiadomego powodu ważne oświadczenie.

Zmarszczył brwi, doszukując się sensu w tych kilku słowach, ale nie potrafił go odnaleźć. Wstał i pod pozorem przeciągania się podszedł do krawędzi tarasu popatrzył na trawnik. Nic. Pusto i czysto. Trawa, wystrzyżona i gęsta. Gdzie tu syf, o którym bąknął Blacklight?

— Dlaczego mówisz o syfie? — zapytał, gdy Hewey wrócił i usiadł w swoim fotelu.

— O syfie? — patrzył z dołu w oczy Slodovoyta. — A jak mam to nazywać? — Płynnym ruchem zakreślił półkole. — Siedzę tu, bez pracy, bez rodziny, szpikowany prochami, prycza w pryczę z czubami. To jak mam to nazywać, kapralu?

— Mów mi Emil — niespodziewanie dla samego siebie wyciągnął dłoń. Blacklight odczekał chwilę i, gdy Slodovoyt już pożałował swego spontanicznego gestu, chwycił jego dłoń i mocno uściśnął. — Ale wiesz, że możesz wyjść, gdy tylko...

— E-e! — pokręcił głową Blacklight. — Nie wypuszczą mnie, zanim nie odszczekam przekonująco wszystkiego, co powiedziałem wcześniej.

Posterunkowy przypomniawszy sobie fragment przekazany mu, uproszczony, jak to określił wysyłający ten tekst lekarz, opis schorzenia Blacklighta: „...widzi otaczający go świat w czarnych barwach. W jego wizjach wszystkie sprzęty poddane są daleko idącej dewastacji, ludzie wyglądają na schorowanych, starych i poddanych nieprzyjemnym mutacjom. Chory jest przekonany, że żyje w innym świecie, może innym wymiarze, ale — paradoksalnie — porozumiewa się z nami, z tymi, którzy żyją w tym miejscu i tym czasie”...

— No to odszczekaj — zaproponował bez przekonania. Już wyczuwał, że sprawa nie jest taka prosta.

— Myślisz, że nie chciałbym? — Blacklight siedział, opierając się łokciami o kolana, zerknął z dołu na Slodovoyta.

— Gdybym nie usiłował kiedyś wytłumaczyć wam... im... — poprawił się — ...co widzę, to mogłoby się udać. Ale ja byłem przekonany, że to moja misja — zakończył z nieukrywaną goryczą.

— Ale co, kurwa? Blacklight pokręcił głową.

— Niewa-a-żne... — machnął ręką. Siedzieli w milczeniu pół minuty.

— Na dodatek odkryłem, że mam dziury w pamięci — poskarżył się nagle Blacklight. — Kiedy pojawiły się MagicBoxy?

— Czterdzieści osiem lat temu — odpowiedział Slodovoyt.

— Sześć lat po wojnie. Pamiętam dokładnie, bo to był taki dobry miesiąc — moje siódme

urodziny, pojawienie się pierwszego seryjnego MagicBoxa i kilkudniowy karnawał z okazji ponownego uruchomienie kanału panamskiego, pod ołowianą, rzecz jasna, kopułą.

Blacklight pokiwał głową, podniósł wzrok na gościa.

— Zastanawiałeś się kiedyś nad naturą MagicBoxa™?

— A co mam się zastanawiać? — prychnął Slodovoyt, starając się dociec, do czego zmierza Blacklight. — Ja się na tym nie znam. — Coś tam wiem — to, co nazywaliśmy magią, to panowanie nad światem atomowym, mutacjami, permutacjami i innymi pierdołami! — zakończył popularnym toastem. — świat otaczający nas to informacja, a informację można zapisać, zmagazynować i podać w odpowiednim czasie. Ale, ty!... odczep się ode mnie, co? Ja nie jestem fizyk, ani producent. Ja się tylko cieszę, że zostały wymyślane i pozwoliły utrzymać cywilizację...

Blacklight mruknął coś pod nosem. Nie było to nic optymistycznego, ani pozytywnego. Slodovoyt w myślach zaklął. „Kurważ, dlaczego mam siedzieć z tym cudakiem i wysłuchiwać jego utyskiwań, pocieszać go i leczyć słowem? Kim ja jestem?”. Ale nie wstawał i nie odchodził. Intrygował go przypadek Blacklighta.

Ten siedział i wpatrywał się w płyty tarasu, czubkiem pantofla dłubał w szczelinie, spoinie między płytami; kilka wątych źdźbeł trawy zostało przeciętych między podeszwą i krawędzią betonu.

— Jak możesz widzieć co innego i żyć?.. — Slodovoyt zrozumiał, że zabrzmiało to niedobrze i poprawił się: — Skoro nie widzisz... — poszukał wzrokiem jakiegoś przykładu — ...poręcz tarasu, to dlaczego nie zaczepiasz o nią i nie uderzasz?

— Nie, ja widzę poręcz... — zaczął szybko Blacklight, ale zaraz zwolnił i cmoknąwszy niechętnie, urwał.

— Nie mogę ci pomóc, chłopie, jak nie wiem, co mam zrobić. — Posterunkowy plasnął dłonią w kolano. — Chyba wiesz, że ja nic nikomu nie powiem, masz to jak na spowiedzi. Ale muszę coś wiedzieć, żeby móc przekonać...

— Pogadamy kiedy indziej!

Blacklight poderwał się nagle i nie żegnając, poszedł do budynku. Slodovoyt zamarł, w osłupieniu wpatrywał się w jego plecy. Na płycie tarasu padł cień. Podeszła jedna z pielęgniarek. Policjant powiedział „h-ymgh!”, wstał i uśmiechnął się fałszywie do siostry. Nie odpowiedziała uśmiechem. Skinął w jej stronę głową i opuścił teren zakładu. Tuż za furtką omal nie został potrącony przez dwóch nastolatków, mknących z szaloną prędkością na czołganach.

— Cholerne szczeniaki! — syknął, patrząc z mimowolnym podziwem, jak chłopcy, przysiadłszy na wyposażonych w gaśnice deskach, lawirują między przechodniami, słupami i samochodami. — Jeszcze kogoś zabiją... — mruknął.

I natychmiast obsztorcował sam siebie: „Po prostu marudzę jak stary, stetryczały pierdoła. Czyżby starość?”.... pomyślał. „A niby dlaczego? Bo nie potrafię ustać na czołganie?” Przypomniał sobie, jak szwagier stanął na nowiutkiej zabawce, ta uskoczyła w bok, a szwagier upadł i dotkliwie stłukł sobie łokieć.

Wsiadł do Greystone'a i pojechał do domu. Przecznicę wcześniej dojrzał sztywno maszerującą po wąskim chodniczku pannę Burble i jej wyfiokowaną pudliczkę. Zatrzymał wóz i wysiadł. Zasalutowawszy, uśmiechnął się do staruszki.

— Mam nadzieję, że nikt już pani nie dokucza, panno Burble? — zagadał.

Rozejrzała się na boki, jakby chciała mieć pewność, że nikt ich nie podsłucha.

— Och, na razie nie! — pisnęła. — Ale wiem, że czają się na moją Bessie. — Zacisnęła usta, aż na wysokości oczu wystąpiły małe gruzelki mięśni. — A ona jest taka delikatna!..

— Proszę być spokojną — uśmiechnął się szeroko. — Rozmawiałem z tymi urwisami. Przysięgli

mi, że już nie będą się czepiać psiny, a ja wzmocniłem ich dobre postanowienie dużą porcją lizaków.

— Pfl! — chuda staruszka potrząsnęła głową, kędziorki, co rano starannie rozplatanie ze starożytnych papilotów, wzbity się w powietrze i opadły. — Zobaczymy — pisnęła niedowierzająco. Pudliczka ziewnęła.

— Do widzenia! — uśmiechnął się szeroko i zasalutowawszy, wsiadł do swojego samochodu i pojechał do domu.

Lisa zobaczyła go przez okno, zdążyła więc nałożyć na talerz dwie kulki ziemniaczanego puree, dołożyła cztery cienkie filety z grausa; w kuchni panował mocny apetyczny aromat czosnku i przypraw. Slodovoyt od progu wciągnął mocno powietrze i poklepał się po brzuchu, na co Lisa podeszła i wspiąwszy się na palce, pocałowała go w czoło. Poczul słodka wdzięczność do losu, do życia, za wspaniałą, wierną, oddaną i wciąż piękną żonę, za mądre i rozsądne dzieci. Krótko, bezgłośnie podziękował Panu i zasiadł przy stole.

— Jesz sam — oświadczyła Lisa. — Honey jest na wolontariacie w domu starców, a Fitz — na treningu. Ja już jadłam.

Slodovoyt puścił do niej oko.

— Nadal nie lubisz grausa, co? — Wbił widelec w kawałek ryby i podniósł do góry. — Najwspanialsze mięso, bez tłuszczu, czyste, lekkostrawne, z pozytywnym oddziaływaniem na choleste...

— Jedz! — postukała knykciem w stół, mąż posłusznie brał się do pałaszowania kolacji.

— Coś nowego z tym biedakiem?

Pokręcił głową.

— I dalej nie wiesz, co się dzieje?

Skinął głową. Przełknął kęs.

— Dzisiaj powiedział coś takiego, z czego wynika, że on widzi co innego niż pozostali. Zmarszczyła brwi.

— Może ma jakąś wadę wzroku?

Ponownie wzruszył ramionami. Zamieszał sałatkę — pomidory, sałata brukselska, mocno czosnkowy sos z oliwką i koperkowym octem. Pochylił się nad stołem, żeby nie pochłapać munduru i łapczywie pochłonał kilka liści. Oblizwał się.

— Nie. To nie ma nic wspólnego z oczami. Przecież skorygowaliby mu. Ummm... Wspaniała sałata!

Dokończył posiłek i nasycony odsunął się od stołu.

— Diabli wiedzą, co mu jest. — Cmoknął, oblizwał wargi. — Rozumiesz, wszystkim jest dobrze, wszyscy są zadowoleni, szczęśliwi, on jedyny, nie.

— Nie jedyny, przecież to cały zakład...

— Och, co innego wodogłowie, co innego uszkodzenia, urazy, jakieś wirusowe zapalenia i tak dalej. A u niego to co innego — on jest zdrow jak byk. On nawet wie, że ja widzę co innego, najczęściej wie, co widzę. Ale nie potrafi siebie zmusić do widzenia tego, co wszyscy.

Lisa zapaliła krótką fajeczkę nabitą waniliową mieszanką. Wypuściła dwa kłęby wonnego dymu i zapytała z chytrą miną: — Nie potrafi czy nie chce?

Slodovoyt prychnął i szarpnął do tyłu głową: „A skąd ją mam wiedzieć?”

Przez kuchnię płynęła cisza, taka dobra, zasiedziała, domowa, pachnąca znakomitym jedzeniem, czystością; Slodovoyt sycił się nią przez chwilę. Lisa pyknęła dymem.

— A jak tam Harry? Nie próbuje zwrócić MagicBoxa™?

— Coś ty! Nie wiem, co to znaczy, ale ten potwór ma dwójako zwertyfikowaną powierzchnię

roboczą, czy coś w tym guście — uśmiechnął się do niej mąż. — Tylko raz coś bąknął, że za drogi ten prezent...

— No bo i był drogi! — weszła mu w słowo Lisa.

— Zgoda, ale wiesz przecież, że to najlepszy przełożony, jakiego miałem w całym swoim glimarskim życiu. I, na Boga, składało się na tę maszynę kilkadziesiąt osób. A kawę parzy! — pokręcił głową z podziwem wydymając wargi.

— I nic więcej?

— Nie, no ma pełne spektrum. Nawet podobno obuwie.,

— Pytam, czy nic więcej nie dokładaliście, nie zbywaj mnie jego repertuarem!

Emil przyjrzał się swojej sprytniej i domyślnej żonie, przygryzł wargi, pogroził jej palcem.

— To jedynie do twojej wiadomości — powiedział poważnym tonem. — Wykorzystaliśmy trochę lewych zasobów, które normalnie, w każdym normalnym posterunku rozchodzą się na kawę, fajki i inne takie. Czasem trzeba wspomóc czyjeś startujące na uczelnię dziecko...

Patrzył, jak jego żona odkłada fajkę, wstaje i podchodzi do niego. Kończył mówić, gdy siadała mu na kolanach, mówiłby jeszcze, ale zamknęła mu usta pocałunkiem.

Posterunkowy Slodovoyt i jego żona, mimo niemal dwudziestu lat w małżeńskim kalendarzu, kochali się nadal. Czasem nawet robili to w kuchni. Tak jak dzisiaj.

— Chodźmy się przejść — zaproponował Blacklight. — Dupa mnie boli od ciągłego siedzenia. Pierdolone fotele, żylaste i pofałdowane...

Jakieś niedomówienie zawisło w powietrzu i po chwili rozwiało się, rozplynęło, jak obłok dymu z papierosa Heweya. A może — pomyślał Slodovoyt — powiedział mi przed chwilą coś ważnego, nie chcąc mówić wprost? Zeszli ze schodków. Posterunkowy rzucił okiem na meble — nowe, albo przynajmniej niestare. Blacklight szedł pierwszy, kopiąc bryłki żwiru, kilka razy kopnął coś, czego Slodovoyt nie widział, albo po prostu nie trafiał w kamyk. Dogonił pacjenta, wciągnął mocno powietrze, zamierzając powiedzieć coś o aromacie parku, uprzedził go Blacklight:

— Śmierdzi, co? — i zanim zaskoczony Slodovoyt zdążył otworzyć usta, dodał: — To ze stawu. Taka breja musi cuchnąć, nie? Dobrze, że przynajmniej zalane jakimiś chemikaliami, to komarów nie ma.

Posterunkowy powstrzymał się od zaprzeczenia. Rano długo rozmawiał z Lisa o Heweyu, i uznali, że najlepiej będzie, gdy da się choremu wygadać. W końcu — mówiła Lisa — te proste, oczywiste metody pewnie zostały już wykorzystane: zaprzeczanie i tłumaczenie, przekonywanie, wyjaśnianie — nie dały rezultatu, więc powtarzanie nie ma sensu. Niech Blacklight sam się wygada. Niech powie, jaka żaba siedzi mu na mózgu! — powiedziała Lisa.

Pozornie beztriosko rozglądając się dokoła, mruknął więc tylko coś, co można było odczytać jako wyraz aprobaty, dojrzał drzewach jakieś ptaki, nawet przemknął jakiś futrzasty czworonóg, pewnie wiewiórka. Gdzieś za plecami ktoś dziko zarechotał, to przypomniało posterunkowemu, gdzie się znajduje.

— Widziałeś moje papiery? — zapytał Blacklight, zerkając spod oka na Slodovoyta.

— Oczywiście.

— Wypadek, leczenie szpitalne, załamanie psychiatryczne, kuracja — jak to mówią — „prozaiczna” albo „prozacna”. Powrót do normalności i powtórne załamanie. Wszystko to wiesz?

— T-tak... — zawahał się Slodovoyt.

— A jakie podano ci powody? Powody załamań, mam na myśli.

Posterunkowy odwrócił się i splunął serdecznie na trawnik.

— Nie bawmy się w macanego, dobra?! — warknął. — Masz mi coś do powiedzenia, to gadaj. Ja ci nie jestem wrogiem i nie ja decyduję, ile będziesz tu siedział.

Hewey pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „Wiem to wszystko”. Ale nie odzywał się jeszcze przez długą chwilę. Doszli do stawu, który miał wydłużony kształt, przypominający krótkoskrzydły bumerang, czy też tak zwaną nerkę — naczynie na jakieś lekarsko–pielęgniarskie rupiecie. Znajdowali się w połowie długości, na zewnątrz bumerangu. Słaby wiatr, tu nie mający już przeszkód w postaci drzew, marszczył powierzchnię wody. Blacklight wykrzywił się, ale widząc, że Slodovoyt umyślnie mocno wdycha powietrze, kaszlnął tylko raz. Ale zaraz podjął decyzję:

— Przepraszam cię, chciałem odejść możliwie daleko od budynków, ale tu nie wytrzymam długo. Jeśli mamy porozmawiać, to chodźmy stąd.

Wyglądał na szczerze zmartwionego, Slodovoyt prychnął i wzruszył ramionami.

— Prowadź.

Ucieszony Hewey wskazał kierunek i uprzejmie poczekał, aż posterunkowy go dogoni.

— Ten gówniarz postrzelił mnie dwukrotnie — odezwał się nagle. — Jeden pocisk tylko otarł się o wewnętrzną stronę uda. Zapieкло jak cholera, a ja, tak sobie teraz myślę wystraszyłem się, że odstrzelił mijają i pewnie dlatego okręciłem się na pięcie. Wtedy dostałem drugi pocisk w kark. Zresztą — diabli wiedzą, co by było, gdybym się ustawił inaczej. Niektóre symulacje pokazują nawet, że dostałbym pocisk tuż pod lewe oko. Nie wiem więc — udało mi się czy nie, ale w końcu żyję. To wydawało mi się najważniejsze. Dlatego kiedy ocknąłem się miałem ważniejsze sprawy na głowie niż narzekać na szpital dopiero kiedy zrozumiałem, że mam wszystkie członki, że nic mi nie wycięto i nie odcięto, że nadal mam swoje *cojones*; zacząłem zastanawiać się, dlaczego wylądowałem w takiej norze. Rozumiesz — brudna, podarta pościel, zamiast szyb — kartony i sklejka, przewody do kroplówek z zaciekami po niestarannym myciu i płukaniu, śmierdzący oddech pielęgniarek, brudne paznokcie lekarzy. Mówię ci — syf syfiasty!

— Przecież leżałeś w Szpitalu Św. Krzysztofa! Zgłupiałeś, facet?..

— Aha, widzisz! — wskoczył mu w słowo Blacklight. — Tak mi mówiono, gdy się awanturowałem, a ja myślałem, że robią mnie w konia. Aż w końcu mogłem wstawać, więc pierwsze co zrobiłem, to wskoczyłem w wózek i wyjechałem na podjazd, żeby sprawdzić jak wygląda budynek. To był Święty Krzysztof! Ale inny! Kurwa — byłem tam nie raz, przyjeżdżałem do kolegów, przyjeżdżałem do świadków, do ofiar i przestępców. Znałem jego korytarze, windy, podwórze. To naprawdę był Krzysztof. Przez kilka dni lekarze tolerowali moje krzyki, a ja nie pozwalałem wbić sobie igły, bo widziałem te autoklawy, czy jak to się nazywa, w których narzędzia i igły leżały przez chwilę w ciepłej wodzie. Nie chciałem łykać pigułek, które wyglądały, jakby były mieszanką sierści, kurzego łajna i wapna niegaszonego. Po tygodniu wezwano psychiatrów, jeszcze kilka dni tolerowano moje wygłupy, potem zabrali mnie do psycholi, ponieważ fizycznie byłem niemal OK. Po kilku dniach zaaplikowali mi końską dawkę prozacu, czy czegoś tam innego. Zrobiło mi się dobrze, przestało mnie ruszać to wszystko — i podarte koszule szpitalne, i zgrzytające windy i odpadający płatami z sufitu tynk, podłe żarcie. Prowadziłem długie spokojne rozmowy z konsultantami i terapeutami. Było miło.

Odeszli od stawu, starannie zdeptaną aleją dotarli do pięciokątnego placzyku z jakimś głazem w centrum. Usiedli na ławce. Byli sami.

— Odstawili prozac. Zmieniło się tyle, że to, co jeszcze wczoraj mi zwisało, teraz stało się dokuczliwe; i nie potrafiłem tego ukryć. Nafaszerowany jakimiś globulami, blockerami patrzyłem obojętnie na spękaną wykładzinę, na łuski farby, ma kiwające się krzesła, smród, brud, kwaśne jedzenie, brzydkich ludzi... Kiedy przestałem łykać farmaty — nie dało się wytrzymać. Uwierz mi.

— Teraz... — zaczął Slodovoyt.

— Poczekaj, wiem, o co chcesz zapytać. — Blacklight chwycił posterunkowego za łokieć. — Co widzę teraz? Ale najpierw dokończę, żeby wszystko było ułożone w chronologicznym porządku. — Puścił rękę Slodovoyt i potrząsając wskazującym palcem, ostrzegł, że teraz dochodzi do ważnego momentu. — Wytrzymałem, ile mogłem, potem poprosiłem o prochy, ale mniej, a sam jeszcze zmniejszyłem sobie dawki, udało mi się po paru tygodniach eksperymentów, tak ustawić porcje, że mogłem wytrzymać w otoczeniu i jednocześnie nie byłem zdrewniało—zobojętniały. Wtedy udało mi się chyba najwięcej dokonać.

Popatrzył na Slodovoyta, jakby sprawdzał, czy tamten go słyszy, słucha, rozumie. Zobaczył zwątpienie, Emil nie był dobrym aktorem.

— No, wiem... Powiesz... myślisz: ale osiągi — siedzi w Czubatkwie i gada o wynikach. Wiem... Sam tak chwilami sobie przyszywam. — Wyprostował się i odetchnął tak głęboko, że można było obawiać się o całość jego płuc. — Za kilka dni wyjdę, chyba że coś się stanie, albo ty pójdziesz do naczelnego i dołożysz mi...

— Ja? Dlaczego miałbym ci dokładać?! Ochujales? Przecież chcę ci pomóc, po kiego wała inaczej bym tu łaził?! — Slodovoyt poderwał się z ławki i zawisł nad spokojnie siedzącym Blacklightem. — Jaki mam interes w tym, żeby ciebie tu trzymać?

— Nie wiem. Tak wprost to nie masz. Ale możesz uważać, że jestem ciężkim pojebem, i wtedy wrodzone poczucie sprawiedliwości...

— Pierdu—pierdu! Odczep się, facet. Ja nie czuję się Uprawniony do rozstrzygnięcia o losach ludzi... — Szukał w głowie argumentów, ale był zły i to przeszkadzało w wynajdywaniu logicznych i ważkich słów. — W końcu sam powiedziałeś przed chwilą, że znalazłeś złoty środek, trochę pigułek i trochę dobrej woli. Za jakiś czas wszystko się unormuje.

— Dobra. — Blacklight wstał również. — Cieszę się, że przynajmniej nie chcesz mnie dołować. W każdym razie, gdyby cię pytały kościołamy w kitlach, powiedz im, proszę, że mogę wyjść. — Wahał się chwilę, ale zdecydował się na szczerłość: — Słuchaj, Emilu Ja tu długo już nie wytrzymam. Naprawdę. Muszę stąd wyjść, wtedy mam po co żyć, nawet jeśli nie mam rodziny i pracy.

— Masz rentę — wpadł mu w słowo posterunkowy.

— Właśnie. Mam za co żyć, a cel jakoś sobie znajduję. Tu nie mam niczego — ani celu, ani sposobu.

Przygryzł dolną wargę i szybko rozejrzał się po niebie często mrugając. Slodovoyt poczuł, że coś go chwyta za gardło. Płaczący mężczyzna, kumpel z szeregów. Odchrząknął głośno i groźnie. „Kto mi tknie kumpla będzie miał do czynienia ze mną!”

— Możesz na mnie liczyć — oświadczył z mocą. Chwycił dłoń Blacklighta i ścisnął ją mocno — Ja ci nie jestem wrogiem i zrobię, co mogę, żebyś stąd wyszedł. Naprawdę.

— Dzięki — szepnął Hewey.

Po chwili poczuli się niezręcznie. Zaczęli sapać i pochrząkiwać, potem rozejrzeli się dokoła i nie uzgadniając tego, ruszyli w kierunku zgrupowania niskich bloków szpitala.

— Słuchaj — oświadczył niespodziewanie dla samego siebie Slodovoyt. Chwycił Heweya za łokieć i zatrzymał w miejscu. Drugą ręką sięgnął do kieszeni, wyjął portfel i wyćwiczonym ruchem wytrząsnął z dozownika wizytówkę. — Masz! Gdybyś wyszedł i miał, wiesz, kłopoty ze znalezieniem domu. To zawsze, ale to zawsze, możesz walić do mnie. Mam rodzinę spokojną i ułożoną, na pewno z nimi wytrzymasz.

— A oni ze mną?

— Na pewno — zapewnił go posterunkowy. — To dobry pomysł, myślę. W ogóle — jak

wyjdiesz skieruj się do mnie. Zjemy jakiegoś kuraka, u nas to często jest, bo wszyscy lubią. Wypijemy kilka piw. Zastanowimy się, co dalej. Ja przez te dwa dni popytam swoją drogą, gdzie się da.

Blackhght, nie zatrzymując się, przekreślił tylko pochyloną do przodu głowę i zerknął na towarzysza spaceru. Wyglądał trochę jak nastroszony kurczak, który nieufnie wpatruje się w nęcącego go gospodarza „Akurat, podejść, a ten mnie siekierką w łeb, w łeb!” W końcu pokiwał głową.

— Może. Nie wykluczam, ale nie zaprzataj sobie mną głowy. Nie zamierzam być ciężarem. Dla nikogo.

— Coś ci powiem, kolego! — Slodovoyt wyskoczył dwa kroki do przodu, zatrzymał się i dźgnął Blacklighta palcem w lewa pierś. — Ja jestem z pochodzenia. Europejczyk, jasne? Wschodnia Europa, kurwa jej mać! Tam się szanuje zaproszenia, a nikt nie zaprasza dla proformy! Jak zapraszam; to jest to szczerze, w dupę pilnik! Jasne? — Blacklight myślał chwilę, potem skinął głową. — No. Nie jesteś zmuszony do korzystania z zaproszenia, ale jeśli chcesz — nie wahaj się.

— Nie będę — powiedział Hewey Blacklight. Najwyraźniej był skrępowany tą sceną, odwrócił wzrok, nawet — tak się wydało Emilowi — zaczął zezować. — Dzięki...

Przyszedł do domu później niż zazwyczaj. Cholerna zmiana najpierw długi spacer pod górę do domu, z którego zgłoszono włamanie, a ulewa podmyła i zwała na szosę drzewo. Potem okazało się, że chwilę po tym, gdy wystartował do wspinaczki, przyjechała ekipa i pocięła pień na kawałki. Niepotrzebny spacer. W komisariacie nie dało się usiąść ani na chwilę, choć zawsze połowę czasu spędzał na pisaniu raportów. Dzisiaj — było inaczej.

Pod koniec wachty trafiła mu się jeszcze przebieżka po kwartale między Ham Street i Fresh Line. Dwie cholerne rundy! Ledwo dowlókł się do domu, doczłapał do lodówki, chwycił kawałek zimnego kurczaka i puszkę piwa, mięso przełknął jak wilk, dwoma kęsami, piwo pił wolno, już prawie leżąc na kanapie. Nie zdołał dopić puszki, poczuł, że powieki kleją mu się, jak wysmarowane supertackiem. Odstawił puszkę i zapadł w głęboki, słodki i upragniony sen.

Obudził go nacisk na dwa punkty na twarzy. Ktoś niemal zmiażdżył wargi naciskiem, po drugie, zimny twardy okrąg wbił się w skroń. Nie byłby policjantem od trzydziestu lat, gdyby nie zdefiniował od razu — obca dłoń na ustach, lufa wbita w głowę. Migiem wyskoczył ze snu, otworzył oczy. Ciemna kula zawisała nad jego twarzą.

— Bądź cicho, nic ci nie zrobię, chcę tylko pogadać, ale nie chcę, byś budził całą rodzinę a tym bardziej wszczynął alarm. To ja, Blacklight.

Dłoń zsunęła się z ust, ale lufa pozostała na poprzednim miejscu.

— Ocipiałeś!? — wściekły szept gospodarza nie zrobił wrażenia na gościu, wręcz przeciwnie — lufa drgnęła i nacisk na sekundę wzmógł się. Slodovoyt błyskawicznie przerzucił w myślach sposoby uwolnienia się z opresji, ale przypomniał sobie, że napastnik jest policjantem i wszystkie te knify dobrze zna. Rozluźnił mięśnie. — Co tu robisz o tej porze?

Ciemna postać, widoczna tylko dzięki temu, że była ciemniejsza od panującego w salonie mroku, odsunęła się, nie odsuwając broni. Coś zabrzęczało. Slodovoyt poczuł na piersi ciężar kajdanek.

— Z tyłu!

Sam założył obręcz na jedną rękę, wyprężył się na kanapie, przewrócił na bok i po chwili miał obie ręce za plecami; Blacklight chwycił drugą bransoletkę i założył na przegub.

— Emilu, chcę pogadać, ale nie tu. Jeśli wyjdiesz ze mną — nic się nikomu nie stanie, ale jeśli zaczniesz się szarpać albo robić jakiś sztuczki — wybaczyć, ale nie gwarantuję nikomu

bezpieczeństwa, a to twoja, w końcu, rodzina. — Chyba wytarł czoło lewym przedramieniem. — Jestem zdesperowany i zdecydowany, że nie wrócę tam.

— Przecież, kurwa nożna, miałeś wyjść! — syknął Sayennel.

Odpowiedziało mu milczenie. Chwilę dyszeli w ciemnościach

— Ja pierdołę! Zwiąłeś? — domyślił się Emil. — Po co? Przecież...

— Zamknij się! — Lufa dość wyraźnie dźgnęła go w nerkę — Nie uciekałbym, gdybym wychodził, nie? Zatrzymali mnie. Powiedzieli, że na razie nie, że rokowania — i sranie w banie! Nie, i koniec! Miałem zostać w Debil City. A ja nie chcę i nie zostanę.

— Ale...

— Wałę „ale”! — Blackhght podniósł głos. — Widzę, że chyba nie bardzo jest o czym z tobą rozmawiać. Dużo gadałeś o sobie, jako o moim kumplu. Ale teraz widzę, że nie słuchasz, więc nie słyszysz.

— Dobra. Dobra!. — Przewrócił się na bok, nie zwracając uwagi na broń. — Mów, czego chcesz.

Napaśnik chwycił go za ramię.

— Wyjdziemy z domu, żeby, na wszelki wypadek, nikomu nie stała się krzywda. Wzuwaj buty.

Coś szurnęło po podłodze, Slodovoyt poszukał stopami i trafił na swoje buty, wsunął w nie stopy. Wstał. Blacklight odsunął się i popchnął łagodnie gospodarza w kierunku drzwi. Chwilę potem byli już na podjeździe, wsiedli do wozu, Slodovoyt za kierownicę, a Hewey wsunął się na kanapę za nim i uwolnił mu ręce. Poleciał jechać w kierunku nabrzeży portu rybackiego. Pustych o tej porze, jak kieszenie nastolatka po pierwszej randce. Dojechali tam w osiem minut, w wozie panowała cisza, na zewnątrz spokój i ciemny bezruch Zatrzymali się pod drugim magazynem, zgodnie z mrukliwym poleceniem Blacklighta.

— Siadaj, kolego — oświadczył porywacz, gdy znaleźli się małym kantorku, najwyraźniej już wcześniej wykorzystywanym przez Blacklighta.

Był tu telewizor, strasznie mały i stary, odrapana lodówka kanapa, do której przysunięto stół, a po drugiej stronie stołu przytulił się poręczami do jego blatu porządny, bujany fotel. Blacklight wskazał Emilowi kanapę. Ten, skuty teraz z przodu, posłusznie usiadł Hewey odsunął bujak i usiadł w nim, posterunkowy odnotował, do ewentualnego wykorzystania, że przy sprzyjających okolicznościach, gdy pchnie stół na Blacklighta, ten musi się wywrócić na plecy, a może nawet stół go przywali.

— Emilu... Mogę tak jeszcze do ciebie mówić? — Slodovoyt milczał chwilę, a potem skinął głową. — Naprawdę jest mi strasznie przykro, że tak cię traktuję. Jesteś jedyną osobą, która, nieważne, służbowo czy nie, zainteresowała się mną. Biorę to za dobrą monetę. Dlatego muszę ci powiedzieć, co ja wiem, a ty, mam nadzieję, pomożesz mi. — Wsunął rewolwer Slodovoyta za pasek i zaczął się lekko bujać — Posłuchaj, streszczę ci wszystko, a potem wyjaśnię, skąd to wiem. Otóż tak, w trakcie wojny nasi naukowcy wprowadzili do użytku wszczepy, które pakowali żołnierzom w mózgi. Pozwalało to na kilka rzeczy: podniosło dyscyplinę na niespotykany wcześniej poziom, podobnie jak sprawność fizyczną żołnierzy, a ich odwagę do absurdu Po prostu mieliśmy chodzące automaty do walki. Żołnierze, którym kazało się atakować, szli do ataku, nie dbając o pola minowe i ogień wroga. Gdy miny urywały im stopy, żołnierze czołgali się, dopóki nie spłynęła im cała krew z kikutów, póki starczało sercu krwi do pompowania, i strzelali, strzelali, strzelali. Rozumiesz? Wszczepy sterowały nimi jak automatami.

— Bzdury!

— Nie, nie bzdury, ale poczekaj. Cały wysiłek jajogłowych poszedł właśnie w tym kierunku, bo

uzbrojenie sięgnęło szczytu możliwości u wszystkich zainteresowanych konfliktem stron —Indii, Pakistanu, Iranu, Rosji, Turcji, USA, Afganistanu, Iraku i reszty, o Afryce nie mówiąc. Tylko wszczepy się rozwijały, stawały się coraz pewniejsze, coraz mniejsze, coraz skuteczniejsze, bardziej niezawodne i — to jest dramat! — wszechstronniejsze. Teraz mogły sterować coraz większymi obszarami działania człowieka, coraz mniej miał on do powiedzenia od siebie — Uniósł rękę i uderzył pięścią w kolano. — Skaczemy teraz do przodu. Wygraliśmy wojnę. Ale kosztowało nas to wiele, w końcu niemal cała reszta świata była przeciwko nam! Gdyby nie Rosja, która w końcu zmieniła front i zwróciła się przeciwko hordom muzułmańskim. Nieważne! — machnął ręką. — Wygraliśmy. Kraj był zrujnowany, gospodarka szczątkowa, pola zasyfione czym się tylko dało — wirusami, szczepami bakteryjnymi, mutagenami, woda, powietrze żywność — wszystko do dupy. Nawet słońce nas napierdalało ultrafioletem i całą resztą bezpośrednio, bo ozonu już nad głowami nie mieliśmy. Wyglądało, że wszyscy zdechniemy, że cała ludzkość, całe nasze stado skażonych szczurów, jest skazana na zagładę. Ale któryś z jajogłowych wymyślił piękną i prostą rzecz. Mianowicie, człowiek zrozpaczony, podtruty, niedożywiony, schorowany i pozbawiony nadziei — zdechnie. Ale jeśli nie będzie zauważał tego wszystkiego, tego pierdolonego syfu dokoła, rdzy, mutacji, błota, próchna i — co najważniejsze — siebie w tym syfie, to może przeżyje!

Odbił się piętami od podłogi i zaczął się bujać mocniej potem raptownie zatrzymał. Wysunął palec w stronę skamieniałego Slodovoyta.

— Rozumiesz już? Mamy wszyscy, wy wszyscy, macie wszczepy, które wam robią berbeluchę z mózgu. Ja też miałem, ale po strzale tego gnoja nadzwyczaj fartownie wyrwało mi to gównno z karku i zacząłem widzieć wszystko takie, jakie naprawdę jest. O, Boże...

Slodovoyt parsknął krótkim śmieszkiem.

— I lekarze nie zauważyli, że coś jest nie tak?

— Pierwsza i najważniejsza zasada, od której zależy powodzenie całego przedsięwzięcia — nikt nie może zobaczyć wszczepów. To one same dbają, żeby pozostać niewidzialnymi, podejrzewam, że przez cały czas nadają sygnał „Nie widzisz mnie!” Ten sygnał ma priorytet przed innymi sygnałami. Podejrzewam że te chipy są wprowadzane do organizmów zaraz po urodzinach dziecka. A potem same wszczepy mają za zadanie, po pierwsze — nie pozwolić widzieć wszczepów, a poza tym — nie dać zobaczyć brudu, biedy, chorób, mutacji, kalectwa, głodu. Oczywiście, mają też i inne zadania wspomagać walkę organizmu z chorobami, wspierać przyswajanie meprzyswajalnych normalnie substancji, czyli naszego pożywienia. No i nie pozwalają nam zwariować, bo gdybyśmy przypadkiem zobaczyli jak żyjemy!

Pokręcił głową.

— Chcesz powiedzieć, że patrzę w lustro i widzę nie to, co tam jest naprawdę, że...

— Tak–tak–tak! Właśnie jest — pokiwał głową Blackhght. — Ty widzisz odmalowane gładkie wykafelkowane ściany, a ja łuszczący się tynk, sterczące pręty zbrojeniowe i kolana rur. Brunatną, śmierdzącą wodę. Rzygam, bracie, jak widzę, że ktoś nalewa sobie szklankę tej bryi i pije z zadowoloną miną!

— No, nie pierdol mi takich kawałków! Ja...

— Poczekaj! Masz ładną łazienkę?

— Ja? — Wpatrywał się w Blacklighta oszołomiony. — Tak, raczej tak. W każdym razie żadnych prętów, jak mówisz, żadnych rur.

Hewey pokręcił z politowaniem głową.

— Byłem w twojej łazience. Jest taka sama jak inne. Ale ty tego nie zobaczysz. Odpowiedz mi jak tylko możesz najszybciej, dobra? — Slodovoyt skinął głową — No, to powiedz mi, kiedy ostatni

raz robiłeś tam jakiś remont? No?

— Ja? To był...ło... No—o—o—o... Dwa la... Nie! — przypomniał sobie — W zeszłym roku!

Blacklight uśmiechnął się szeroko

— Widzisz? Przecież nie masz sklerozy? A tu nagle takie zacięcie? Nie pamiętasz ubiegłorocznego remontu? — zakpił i spoważniał od razu. Powiem ci — wszczepy nie dają rady obsłużyć wszystkiego, absolutnie wszystkiego. Szczególnie, jeśli ma to się odbywać w realnym czasie. Potem, jeśli będziesz chciał, dam ci taką listę pytań, które zadasz sobie sam i zrozumiesz, że nie wiadomo dlaczego nie potrafisz na nie odpowiedzieć szybko. Wszczepy się dławią, duszą, nie wyrabiają z podsuwaniem odpowiedzi. Pewnie, za jakiś czas będą lepsze, bo przecież komputery ciągle je usprawniają...

— To jest niezły bełkot — powiedział wolno posterunkowy. — Według ciebie wszystko jest zafałszowane, podrasowane. Nie dysponujemy swoimi własnymi zmysłami. Chłopie, to klasyczna paranoja, spisek przeciwko tobie i całej ludzkości. Powinieneś to wiedzieć.

— A ty powinieneś wiedzieć, że wariatowi się nie oponuje, że nie wolno wdawać się w sprzeczki z idiotą, a ty to robisz — uśmiechnął się chytrze Hewey. Odczekał chwilę. — Nie martw się, nie jestem idiotą, możesz się sprzeczać. Powtarzam, widzisz może normalnie, ale przecież to, co widzisz dociera do mózgu i dopiero tam jest obrabiane, rzucane, że tak powiem, na ekran. A jeśli ekran jest specyficznym preparowanym inteligentnym krzywym zwierciadłem? Patrz — rzucaś na ekran cienką szarą parówkę, a ekran przerabia to na kawał pachnącego salami; patrzysz na zaśmiecone ulice, a widzisz po korekcie — szerokie jasne bulwary I tak dalej, i tak dalej. Do tego dodaj zapach, który po drodze od nosa do mózgu zmienia się ze smrodu w przyjemny aromat skoszonej trawy i masz pełny obraz: aleja, trawniki, gładka nawierzchnia. I tak dzieje się cały czas, miliony czy miliardy bitów informacji dociera do mózgu, tam zostaje ona obrobiona i przetrawiona, skorygowana i podana po poprawkach.

Zadowolony z siebie kiwnął się na fotelu dwa razy, a potem zamarł wychylony do tyłu. Emilowi mignęła myśl, że teraz mógłby pchnąć stół, ale postanowił na razie spróbować perswazji. Blacklight nie wydawał się niebezpieczny czy zdesperowany.

Pokręcił głową: — Nie, to pieprzenie, nie potrafię tak od razu udowodnić ci, że całe to zasrane gadanie to gówno nad gównami, że... — pomachał rękami, szukając argumentów.

— Kolego! — Hewey Blacklight wychylił się do przodu i wczepił w krawędź stołu. — Gdybyś naprawdę mógł mi udowodnić, że kłamię, wyświadczyłbyś mi ogromną przysługę. Myślisz, że to przyjemne patrzeć na to, co wy żrecie, jak wyglądacie, jak śmierdzimy... jacy jesteśmy pokraczni, łysi, z plamami odbarwień skóry, z wrzodami, deformacjami palców, z dermatologicznymi skazami paznokci... Tfu! To jest jakieś pieprzone pandemonium, zbiornica koszmarów, z której nie można uciec. I wszyscy tacy zadowoleni!

— Przestał się zapierać nogami w podłogę, fotel przestał się bujać. Slodovoyt nagle zobaczył furtkę w dywagacjach Heweya.

— A skąd to wszystko wiesz, o chipach?

— To nie było trudne. Gdy wyszedłem ze szpitala, odwiedziłem kilka bibliotek, ja znajdowałem w nich te źródła, których nikt inny nie wiedział. Te materiały nawet nie są chronione, bo po co, skoro nikt ich i tak nie zobaczy. Po prostu słowo „chip” i „wszczep” od razu uruchamia w twoim umyśle cenzora, który nie pozwoli zobaczyć w bibliotecznym katalogu na przykład gazet z tamtych czasów. Ja miałem trochę czasu i zapału, wygrzebałem kupę danych, ale gdy pokazałem je pewnemu lekarzowi, ten zobaczył w miejscu artykułu o wszczepach sprawozdanie z meczu dwóch pułków lotnictwa, kapujesz?

— No to jak zamierzasz udowodnić mi, że masz rację? Chyba nie sądzisz, że uwierzę tobie, a nie pięciu swoim zmysłom?

— Zamierzam... Jestem teraz mądrzejszy, mam doświadczenie — pokiwał głową Blacklight. Myślał o czymś innym. — Wiesz, jak powstały te pierdolone magixboxy, w które wszyscy tak wierzą? To proste, trzeba było jakoś wytłumaczyć pojawianie się żarcia, tej papy ze słomy czy mchu szelfowego, więc zamiast mozolnie symulować obieg produkcji — pastwiska, stada rzeźnie, przetwórstwo i sklepy, uproszczono to do magicznej skrzynki, jakoby produkującej z rozproszonych tomów identyczne mięso jak to, które powstawało, gdy krowa zjadała trawę, która rosła i pobierała wodę oraz kwanty światła... — A krów przecież nie ma! Zrozum, po co zajmować się pozornie uprawą kawy, skoro można dawać ludziom śmierdzącą wodę, gorącą wodę, człowieku! A my pijemy to i chwylimy: „Ach, aromat! Ach, smak! Ach, tyle goryczki!” — wykrzywił się, parodiując zachwyty smakoszy. Potem ochłonął nagle. — Czasem myślę, że to jednak błogosławieństwo dla gatunku, że tylko dlatego ludzie jeszcze siedzą na globie, że inaczej dawno byśmy wyzdychali. Może tak trzeba, może to konieczne, dla przetrwania rasy, gatunku... Ale ja nie chcę być tym, który wie i nosi to w sobie. Po chuj mi to?! Kim ja jestem, jakimś ponadrasowym cenzorem?

— No to... — zaczął Slodovoyt i zamilkł.

— Co? — zainteresował się blado Hewey. — Masz na myśli, że powinienem się zgłosić gdzieś do wszczepienia drugiego sterownika? A pewnie! Myślisz, że nie chciałem? Ale gdzie? Oficjalnie nikt nie wie o czymś takim, a komputery nie przewidziały powtórki. Widocznie nie można go wyjąć bez uszkodzenia nosiciela, mnie się jakimś cudem udało... Jebany fart! — wycedził przez zęby. — Jak mam powiedzieć lekarzowi, że chcę zapomnieć, że chcę widzieć tak jak on? Skoro on nie widzi chipów?! — zaczął krzyczeć. — Właśnie to mówiłem i trafiłem do czubów! Rozumiesz? Rozumiesz?! RO-ZU-MIESZ!!??

Poderwał się i zawisł nad stołem, przez moment Slodovoyt miał w zasięgu ręki swój rewolwer, przyjaźnie i zachęcająco wystający zza paska w jego kierunku, ale zanim zdecydował się na gwałtowny ruch, Blacklight wykonał jeszcze gwałtowniejszy i odskoczył od stołu. Stał chwilę z pięściami wbitymi w skronie, kiwając się na stopach, wydając przy tym długi przeciągły jęk przez zaciśnięte zęby i wargi.

„Biedak. Biedak, chory i nieszczęśliwy — pomyślał Slodovoyt. — Ale jak mu pomóc? Wróci do szpitala — źle, skoro wszystko widzi w takim kształcie, jak opowiada. Nie wróci — to samo. Kurwa, jak z nim postąpić?”

— Hewey... — odezwał się, nie wiedząc jeszcze, co powiedzieć.

— Dobra, nie gadaj! — rzucił tamten stłumionym głosem. — Już jestem okay. — Gwałtownie zadarł do góry głowę i odwrócił się. — Nie po to cię porwałem, żebyś mnie pocieszał. Nie rozumiesz? Nie potrzebuję pociechy, nie potrzebuję przekonywania, że powinienem wrócić tam czy siam. Ja mam inny cel, chcę przekonać ciebie, cie-bie! Ale mam skrupuły, nie wiem, czy powinienem unieszczęśliwiać jeszcze kogoś innego... — Patrzył w podłogę. — Po co ma jeszcze ktoś cierpieć? Z drugiej strony, gdyby każdy taki uwolniony uwolnił jeszcze kogoś... Jak w legendarnych piramidach, w łańcuszku szczęścia Świętego Antoniego.. Moglibyśmy może wyrwać się z władzy komputerów, które niczego nie robią, żeby poprawić nam życie, bo przecież cieszymy się tym, które mamy?

— Uważasz, że komputery umyślnie utrzymują nas w tej... — poszukał odpowiedniego słowa — ...degrengoladzie?

— Nie tak, to nie są złośliwi zdobywcy, one po prostu działają metodą najmniejszych, optymalnych kosztów dla wytworzenia najlepszego efektu. Skoro wszczep za cztery centy pozwala przez całe życie podsuwać ludziom do żarcia papkę z szlamu czy alg, czy innego gówna, to jest to

efekt niesamowicie optymalny, nie? Zamiast leczyć wystarczy utrzymać przy życiu. Może to i metoda — machnął ręką. — Tyle, że bolesna dla niektórych...

— Dobra, chcę się przekonać sam — zdecydowanie plasnął dłońmi o stół Slodovoyt — Udowodnij mi.

Blacklight długą chwilę wpatrywał się w posterunkowego, wahał się, i to wahanie paradoksalnie spowodowało, że Slodovoyt poczuł zimne ciarki na plecach. Zaczął się bać.

— Nie wiem... — mruknął w końcu Hewey. Potoczył wzrokiem po kanciapie. Podrapał się po wierzchu dłoni, potem machinalnie popatrzył na swoje ręce i gwałtownie opuścił je, a potem nawet schował za plecy. Jakby zobaczył coś obrzydliwego. Podszedł do telewizora, ale nie włączył go, tylko sięgnął po leżącą na wierzchu obudowy kartkę. Podszedł do stołu, położył kartkę na stole i zaczął przeszukiwać kieszenie.

— Masz długopis? — zapytał spokojnie.

Slodovoyt wyjął z kieszeni na piersi pisak. Blacklight wziął go i narysował na kartce dużą kropkę, wyraźnie ją zaczernił. Potem odmierzył jakieś dwanaście centymetrów i narysował drugą, niemal identyczną, nieco tylko mniejszą.

— Wiesz coś o ślepej plamce w oku? — Slodovoyt pokręcił głową. Jego rewolwer był w zasięgu ręki. Tylko czy już? Teraz? Czy poczekać, aż uwaga Blacklighta będzie jeszcze bardziej zaprzątnięta czym innym? — Weź tę kartkę, odsuń na zasięg ramion — Slodovoyt wykonał polecenie — Teraz zamknij jedno oko, lewe, a prawym patrz na lewy kleks. Kapujesz? Teraz przysuwaj powoli kartkę, nie odrywając wzroku od lewej kropki, w pewnej chwili powinieneś stracić tę prawą z pola widzenia. Masz? Jeśli nie, przysuń bliżej, potem odsuń. — Slodovoyt wykonał polecenie, ale nie zyskiwał potrzebnego efektu. — Jeszcze raz — patrz na lewą kropkę, ale staraj się widzieć prawą, kątem jakby oka. I przysuwaj...

— Jest... — wolno powiedział Emil. — Mam... Rzeczywiście znika! — przyznał zdziwiony.

— Właśnie. Czasem jedziesz sobie, kątem oka powinieneś widzieć w tym miejscu samochód, ale nie widzisz go, jedziesz dalej a on wyrasta nagle z niebytu i wali w ciebie — oświadczył zadowolony Blacklight — Ślepa plamka. Nie wiem, w jaki sposób, ale coś wiąże tę plamkę i korektę naszego widzenia. W każdym razie po krótkim treningu możesz w tym właśnie miejscu widzieć świat, jakim jest naprawdę. Tylko musisz nabrać wprawy. Na początku możesz zrobić sobie kartkę z taką plamką i dziurką zamiast tej drugiej. — Wyprostował się. — Ale uważaj — zobaczy cię ktoś łąącego z kartką po ulicach i mamroczącego do siebie, to szybko trafisz do Debillandu! — Przeciągnął się z rozkoszą ulgą. Zadowolony z siebie.

Slodovoyt poderwał się i wyszarpnął zza jego paska swój rewolwer. Wymierzył w zaskoczonego Blacklighta.

— Dobra, gadałeś, ile chciałeś. Ale teraz dawaj kluczyki!

— Nie przekonałem cię? — zapytał ze smutkiem Blacklight.

— Jak miałeś przekonać? Przy pomocy plamki w oku?

— Tak. Mam nadzieję, że przekonasz się sam. Nie powiem ci, że istnieje jakaś klinika, w której usuwają chipy, niestety — nie istnieje. To jak mam cię przekonać?

— Daj mi klucze do kajdanek!. Będziemy gadać...

Blacklight pokręcił głową i nagle bez słowa skierował się do drzwi.

— Stój Hewey! Stój, mówię ci! — Slodovoyt przesunął lufę w bok i strzelił. Pocisk wyłupał kawał tynku w ścianie. Blacklight spokojnie maszerował dalej, zniknął za drzwiami — Skurwysynu!..

Policjant poderwał się na równe nogi i wybiegł z pomieszczenia. Blacklight wdrapywał się na stertę cegieł, za chwilę miał zginąć z oczu Slodovoyt. Ten wymierzył w nogi i strzelił, ułamek

sekundy przed tym noga Heweya omsknęła się na cegle i całe jego ciało obsunęło się w dół. Pocisk trafił nie w udo, a łopatkę.

— O Jezul!.. — Slodovoyt rzucił się do bezwładnie turlającego się w dół ciała. Zamarło nieruchomo, zanim przebył kilka dzielących go od niego metrów. — Hewey?!

Przykucnął przy ciele, odwrócił, ale już wiedział. Nie da się pomylić bezwładu martwego ciała z bezwładem rannego czy nieprzytomnego. Patrzył chwilę w zamknięte oczy.

— Kurwa Jas-sna... Nie chciałeś patrzeć, kolego? — odetchnął głęboko. — Biedaku...

Przetrząsnął kieszenie zabitego, znalazł kluczyki do bransoletek, uwolnił ręce. Poszedł do swojego samochodu.

Według jego teorii widzę dwuletniego forda, a w rzeczywistości to dwunastoletni rżęch bez klimasa i tych wszystkich szpejów, za które wywaliłem dodatkowo siedem setek. Bzdura! Widzę to wszystko, dotykam tych gałek — może nie ma tu najwyższej klasy odtwarzacza!? Wyciągnął słuchawkę z gniazda.

— Centrala? Tu posterunkowy Slodovoyt. Czwarty posterunek. Podczas pościgu za zbiegłym z zakładu Heweyem Blacklightem doszło do postrzelenia ze śmiertelnym skutkiem tego ostatniego. Proszę ekipę dochodzeniową do rybackich doków. Uruchamiam namiernik. Bez odbioru.

Przysiadł na masce i zdążył wypalić papierosa, zanim przybyła ekipa.

Późną nocą Lisa zeszła z sypialni do kuchni. Jej mąż, posterunkowy Emil Slodovoyt, spał siedząc przy kuchennym stole. W prawym ręku zacisnął niemal wykończoną butelkę koniaku, etykieta były zdarta, jakby pijący podważał zgodność złotozielonej etykiety i zawartości. Pod leżącą na stole dłonią znajdowała się kartka papieru. Zaintrygowana Lisa podniosła dłoń męża, chcąc zobaczyć, co napisał, ale nie było tam ani jednej litery. Tylko jedna spora kropka, a dziesięć centymetrów od niej dziura wypalona papierosem.

Emil obudził się i podniósł głowę. Popatrzył na żonę i nagle z jego oczu popłynęły łzy.

— Nie chcę... nie chcę patrzeć na ciebie...

— Emilu?!

— Nie chcę patrzeć na ciebie przez dziurkę...przez dziurkę, nie... — zaszlochał. — Wystarczy mi... że widziałem pannę Burble... i tego jej parszywego pięcionogiego mutanta...

— Emil, co ty wygadujesz?! Jakiego mutanta? Ta prześliczna pudliczka z medalami? Czyś ty zwariował?

— Zwariow...wał?.. — Wpił się w nią rozgorączkowanym spojrzeniem. — Tak, zwariowałem, ale nie tak jak on. Ja zwariowałem normalnie, tak? Proszę, powiedz, że normalnie! Bo inaczej... Inaczej... Zwariuję... — Uniósł do ust butelkę, ale nagle pisnął i odrzucił ją pod ścianę. — Nie mogę... — powiedział jakby zdziwiony. — Widziałem, co piję, i już nie mogę. — Zadarł głowę i nagle zawył niemal jak wilk. — To wszy-y-y-ystko... wda... gówno-o-o-o... Szlam, błoto i pleśń... Och!...

Lisa poczuła, że świat cały wali się na nią z olbrzymim hukiem. Na giętkich nogach dotarła do leżącej na lodówce słuchawki telefonu. Wystukała domowy numer Lagerfeldta, słuchawka serwowała regularny długi jęk, abonent nie odbierał, nie zgłaszała się również cyfrowa sekretarka. Lisa wyświetliła na matrycy spis numerów, szukając tego, który mógł się jej przydać w tej sytuacji. Znalazła kapitana Greenwaya, ale gdy wycelowała palec w klawisz „memory” za plecami rozległ się rozdzierający ryk Slodovoyta. Obejrzała się.

Jej mąż uniósł do góry kartkę z kleksem i dziurą. Zasłaniał się kartką przed nią, przed swoją żoną Lisą.

A po chwili wpatrywania zrozumiała, że nie zasłania się, tylko przygląda się jej przez otwór w kartce.

W wypalonej dziurze widziała jedno oko.

Szalone oko.

Bardzo już szalone oko.

Wrocław, październik '99

Jacek Inglot

Śpiew szczurołapa

Działanie toksyny ustępowało i powoli odzyskiwałem zmysły. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, był ogromny, zawieszony pod sufitem wiatrak — monotennie mełł piwniczne powietrze, co chwila przysłaniając szerokim skrzydłem jaskrawą świetlówkę. Raziła mnie w oczy, więc je zamknąłem. Gdzieś niedaleko skrzytnął wózek i usłyszałem niski, skrzekliwy głos Gonza.

— I co ty na to, belfrze? — Głos zbliżał się, aż w końcu brzmiał mi tuż nad uchem. Wózek Gonza stuknął o nosze, na których leżałem na wznak, starannie przytwierdzony brezentowymi pasami. — Naprawdę było warto wściubiać nos w nie swoje sprawy? A powiadają przecież, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Uchyliłem ostrożnie powieki — baloniasty łeb Gonza unosił się nade mną, zasłaniając światło. Widziałem tylko obrosły jasną szczecina zarys głowy, pośrodku którego tkwiła szyderczo wykrzywiona ciemność, sapiąca spazmatycznie — czułem na twarzy jego oddech, nasycony czymś zgniłym i mdlącym. Obróciłem głowę i omiotłem wzrokiem kwadratową, betonową komorę, ale nigdzie nie dostrzegłem ani Once, ani Klucznika.

— Ostrzegałem cię, ale ty konieczne chciałeś poznać prawdę — ciągnął. — Tak jakby była komuś potrzebna. W dzisiejszych czasach prawda to towar niechodliwy. I interesuje jedynie takich frajerów jak ty.

Szarpnąłem ręką, aby walnąć go w ten cuchnący pysk, lecz pasy przypinające mnie do szpitalnego wózka oczywiście wytrzymały, rozbijałem go tylko, aż stuknął metalową poręczą o betonową ścianę i zabrzączał jak rozstrojona, pordzewiała harfa. Gonzo roześmiał się rehotliwie i pochylił jeszcze niżej. W ciemności zajarzyły jego czerwone ślepie albinosa.

— Ale skoro tak bardzo chciałeś, to dostąpisz łaski wiedzy szepnął. — Już niedługo... naprawdę niedługo...

Zamknąłem z powrotem oczy i przestałem go słuchać. Skurwiel niewątpliwie miał rację. Tak, naprawdę chciałem wiedzieć.

Ręce pojawiły się na murach miasta wczesną wiosną, bok innych tradycyjnych graffiti, prehistorycznych kotwic Walczącej Solidarności, ideograficznych organów rodnych Ligi Wolnej Miłości, swastyk skinheadów i anarchistycznych „a” obwiedzionych, nie wiedzieć czemu, kołem. Czymś się jednak wyróżniały — starannością wykonania szablonu, na który przyskano sprayem z odblaskową farbą. Był też napisy — „ręce, które prowadzą”.

Ba, ale gdzie — pomyślałem mimochodem, oglądając czerwoną dłoń odbitą na facjacie patrona szkoły, generała ludowego wojska, w rzeczywistości kapitana KGB. Wykuty w szarym granicie posąg żołnierza, co to się kulom nie kłaniał, do czasu, aż go, pijanego jak bela, dopadli w Bieszczadach Ukraińcy — wciąż straszył swą toporną sylwetką. Ale nowe czasy wykorzystały nawet i jego: na żołnierskim szynelu ktoś zakreślił zamasyście „Coca-cola”. Tak oto, chcąc nie chcąc, towarzysz Walter został w końcu sługą amerykańskich imperialistów.

Poza tym pierwszy dzień w nowej szkole nie zaznaczył się w mej pamięci niczym szczególnym, w

końcu tyle już ich było, mogłem wręcz mówić o pewnej rutynie. Rano chwacko podpisałem umowę o pracę, potem wraz z dyrektorem poszliśmy zwiedzić szkołę.

Gmach jak gmach — czteropiętrowa przysadzista kamienica o wdzięku pruskiego blockhausu, przed wojną był tu podobno klasztor, zaadoptowany później na szpital. Nie czuło się w tych grubych murach atmosfery radosnej nauki, raczej trąciło tu posępną powagą zakładu karnego. Pytanie tylko, kogo tu właściwie uwięziono — uczniów czy nauczycieli? Klawisz i więzień różnią się tylko stroną drzwi, po której kiblują.

— Młódzież mamy raczej nieruchawą, nieco apatyczną — klarował mi po drodze dyrektor. — Ale pan, nowa miotła, trochę ich zaktywizuje...

— Nie taka znów nowa — mruknąłem. — Tu i ówdzie już się zdążyłem powycierać.

Zajrzeliśmy do męskiej ubikacji po sufit wysmarowanej graffiti — z napisów jasno wynikało, że wbrew jego zapewnieniom młodzież względem ciała pedagogicznego żywi sporo gorących, uczuć. „Mławińska to stara owca” — przeczytałem pierwszy rzucający się w oczy napis. Rzeczywiście niedobrze, skoro nawet w tym, tak sposobnym do swobodnej twórczości, miejscu nie stać ich było na oryginalność. Zaczniemy zatem od walki ze schematyzmem.

— Ma pan dwie klasy maturalne — mówił dalej dyrektor — 4f, dobre dzieci, choć niespecjalne bystre, kłopot może być z 4d, jest tam taki jeden urwis...

— Panie dyrektorze — wpadłem mu w słowo. — Pewnie na to nie wyglądam, ale zaliczyłem wojsko, dowodziłem plutonem junaków OHP, popracowałem sobie w klubie studenckim, przewinałem się też przez trzy szkoły i zaręczam, dam sobie radę z każdym urwisem czy innym nicponiem...

— No, zobaczymy — mruknął dyrektor, nawet nie starając się kryć sceptycyzmu. Ruszyliśmy w dalszy obchód, zwiedzając kolejne klasy, szumne zwane pracowniami. Najosobliwiej przedstawiało się wyposażenie gabinetu polonistycznego — oprócz rytualnych wizerunków wieszczów na ścianach znalazłem tam, walające się w szafkach, rumuńskie książki i kilka solidnie oprawionych roczników jakiegoś francuskiego periodyku z końca ubiegłego wieku, diabli wiedzą przez kogo i po co tu przywleczone. Ale nic to, rzekłem sobie, niczym mały rycerz przed wysadzeniem Kamieńca, wszak najważniejsza jest zawartość mojej mózgownicy. Prawdziwie rasowy belfer potrafi uczyć i w piwnicy, przy pomocy węgla i kawałka ściany. Ja byłem we wręcz rozpustnej sytuacji, skoro miałem kredę i prawdziwą czarną tablicę, trochę jeno pomazaną woskiem.

Przez resztę dnia poznawałem swoje klasy — za każdym razem obwąchiwaliśmy się nieufnie jak para obcych kundli. Mogłem wybrać dwie postawy, psora–kumpla, brata–łaty, usiłującego kupić sobie przychyłność uczniów spolegliwością, lubo też belfra–terrorysty, pana surowości, co to najpierw bierze za pysk, a dopiero potem pyta, o co biega. Oczywiście wybrałem tę drugą. Kierowałem się tu prostą zasadą — w stosunkach szkolnych łatwiej odkręcić śrubę, niż ją przykręcić. Jadłem chleb ze zbyt wielu edukacyjnych pieców, aby mieć jakiegokolwiek złudzenia — wiedziałem, że lepiej na tym wyjdę, jeśli na początku zaprezentuję się jako belfer surowy, bezwzględny nawet — mała aureola strachu jeszcze żadnemu nauczycielowi nie zaszkodziła.

Pierwsza z mą brutalnością zetknęła się 4d. Wszedłem do klasy równo z dzwonkiem, łupnąłem dziennikiem o biurko i dostojnie zasiadłem na krześle. Siedziałem tak bez ruchu, świdrując wzrokiem koło trzydziestki młodych osób płci obojga. Początkowo szemrali do siebie, pewnie komentując estetyczne walory mej fizys, w końcu ucichli, widać zaintrygowani mym upartym milczeniem. Trwało to może z pięć minut, w ciszy coraz bardziej krępującej, aż wreszcie nie wytrzymała siedząca pierwszej ławce pulchna brunetka, sympatyczna z wyglądu okularnimca.

— Proszę pana — powiedziała łamiącym się, bliskim płaczu głosem. — My powiemy prawdę...

my nic nie umiemy!

Też mi objawiła nowość — oni z zasady nigdy nic nie wiedzą. Postanowiłem grać brutala do samego końca.

— A co mnie to, do jasnej ciasnej, obchodzi— odparłem, cedząc z namysłem słowa — To nie mój problem. Kto tu ma zdawać wiosną maturę, ja czy wy?

Dopiero teraz ich naprawdę zamurowało. A ja, z miną pełną bezbrzeżnej obojętności, otworzyłem dziennik i przystąpiłem do czynności urzędowych. Polegały one na głośnym odczytaniu nazwiska i, w przypadku nieobecności delikwenta, wstawieniu do odnośnej rubryki krechy. I tu mnie po raz pierwszy zatkało — pod numerem siedemnastym widniał, nomen omen, Urwis. Dokładniej Urwis Robert.

Odczytałem nazwisko jeszcze raz i poleciłem mu wstać, aby go sobie dokładnie obejrzeć. Nawet pasował do tego nazwiska — chłopię było barczyste, obficie długowłose, odziane w czarną, heavymetalową kurtkę, przyozdobioną błyszczącym żelastwem. Na nieco kwadratowej twarzy błąkał się lekceważący uśmiezek, świdrował mnie przy tym czarnymi, lekko zmrużonymi oczyma.

Poczułem się przez chwilę jak bokser, który lada moment usłyszy gong i będzie musiał wyjść z narożnika. Z drugiej strony, nie należałem do kretynów tępiących ludzi za wygląd — jeśli ten Urwis ma coś pod kopułką, to... może się dogadamy.

Nie było tylko jednego ucznia, niejakiego Mariusza Niżynskiego. Klasa nie wiedziała, co się z człowiekiem dzieje — albo tak udawała. Prawdę mówi się belfrom w ostateczności, gdy nie ma już innego wyjścia.

— Dobra — zakończyłem bezpłodną dyskusję. — Gdyby ktoś z was go spotkał, niech powie, aby czym prędzej wrócił z tych przedłużonych wakacji. U mnie ma przecież czyste konto, zresztą tak jak każdy z was.

Urwis uśmiechnął się ironicznie, nie kryjąc braku wiary co do mej osoby i składanych przeze mnie deklaracji, ale nie miałem czasu na długie dysputy. Musiałem koniecznie sprawdzić, czy początkowe rozpaczliwe wyznanie pulchnej okularnicy istotnie było prawdziwe. Po godzinie już wiedziałem, że nie wszyscy uczniowie to notoryczni kłamcy.

„Ale czy są dość taktowni, dość wyrobieni i świadomi doniosłości misji, ażeby nauczać? — To najtęższe głowy w stolicy — odparł dyrektor — żaden z nich nie ma jednej własnej myśli, jeśliby zaś i urodziła się w którym myśl własna, już ja przegonię albo myśl, albo myśliciela To zgoła nieszkodliwe niedołęgi, uczą tylko tego, co w programach, nie, nie postoi w nich myśl własna. — Pupa, pupa — rzekł Pimko —widzę, że oddaję mego Józia w dobre ręce”

Odłożyłem *Ferdydurke* i uważnie rozejrzałem się dookoła. Gdyby Gombrowicz powstał z martwych i jakimś zrządzeniem losu wstąpił do naszego pokoju nauczycielskiego, przeżyłby koszmarny déjř vu — w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat świat rozpadał się i sklejał kilka już razy, ale polskiej szkoły takie drobiazgi nie ruszają. Na twarzach mych kolegów, starych i młodych, nie widziałem myśli własnych lubo obcych, jeno narastające wkurwienie. Przeważały oblicza złe lub zacięte, często obojętne lub głupkowato uśmiechnięte. Frustraci i nieudacznicy, zrobotyzowane Judymy edukacji Jezus Maria’ — zaskowytało coś we mnie. — Posiedzę tu jeszcze ze trzy lata i też będzie po mnie! Ludzie, ratunku!

Czort wie, czy nie poderwałbym się z obłędem w oczach i nie poleciał z wyciem w kierunku drzwi wyjściowych, gdyby nie siedzący we mnie dialektyk (pracowałem kiedyś u Czerwonych Pająków jako spec od redagowania dzieł Trockiego), który zaraz zaczął rozszczeniać włos na czworo. Tłumaczył on cierpliwie, że ci ludzie, podobnie jak uczniowie, to też ofiary szkoły, która

ich, kiedyś pełnych entuzjazmu (a może i, psia mać, szczytnej misji?), przeżyła w swych mocarnych szczękach, strawiła w betonowych trzewiach i wypluła jako zgorzkniałych tetryków. To przegrani wojownicy, teraz już tylko niewolnicy, których sobie zawłaszczyła i którymi teraz orze od świtu do nocy, płacąc zasiłek wystarczający na biologiczne przetrwanie. I czego, głupku, chcesz od tych ludzi? Mają może tu fruwać pod sufitem i radośnie ćwierkać?

— Panu profesorowi chyba niedobrze? — zapytała czule Mławińska, rusycystka, rycząca czterdziestka, mająca ambicje wyglądać na pojękującą dwudziestkę — Może zrobię panu herbatę? Jest pan taki blady...

Widać me duchowe rozterki odbiły się na facjacie, skoro zapłonęła do mnie takim afektem — zrozumiałem, że macierzyńskim.

— Nie, dziękuję — odparłem. — To nic takiego, pracuję was dopiero drugi tydzień i jeszcze się nie zaaklimatyzowałem.

— Chłopie, nie klimatyzuj się, tylko postaw flaszkę — zawołał Rybak, uczony anglista, namiętny czytelnik „Newsweeka” i polmosowskich nalepek, tak przynajmniej mi życzliwie podpowiedziano. — Jak ma się tu dobrze czuć, skoro się nie zintegrował z kolegami.

Przytyk był oczywisty — bez stadnego umoczenia mordy chyba się nie obejdzie.

— OK, men — odparłem. — Zbierz po lekcjach ekipę i skoczmy na jednego.

Rybak wyszczerzył się tak radośnie, jakby trafił szóstkę w totka. Mogłem mu tylko pozazdrościć nieskomplikowanej filozofii życia. Chciał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie zabrzmiał dzwonek i porwaliśmy się do boju tym żwawiej, że do pokoju nauczycielskiego zajrzał dyrektor i znacząco chrząknął. Pańskie oko konia tuczy.

W 2a rznąliśmy tępą brzytwą cierpienia niejakiego Wertera. Lekcja wlokła się tak ciężko i nudno, że sam najchętniej strzeliłbym palantowi w łeb, byleby poszło szybciej. W pewnym momencie zauważyłem, że szczupła, fertyczna blondynka wpatruje się we mnie z jakimś takim dziwnym, bolesciwym błyskiem w oku. Czyżby tak się przejęła dolą nieszczęsnego młodzieńca? E, prędzej boli ją ząb. Wreszcie dziewczyna nie wytrzymała:

— Panie profesorze, czy ma pan żonę?

— Tu zatkało mnie tak, że prawie zapomniałem języka w gębie.

— Nnniee... — wykrztusiłem — Co to ma do rzeczy?

— Bo bym już mogła zacząć cierpieć — wyjaśniło dziewczę, patrząc mi poważnie w oczy. Na litość Boską, w co ja wdepnąłem!

Rzecz jasna na jednym się nie skończyło — kiedy wyczerpaliśmy moje zasoby, piliśmy za zawartość kieszeni Rybaka, potem wziął nas na piwny wikt Lutyński, germanista lany, bo obłożony korepetycjami. Wieczór kończyliśmy w „Katakumbach”, niedawno otwartym nocnym klubie, który został urządzony w pomieszczeniach ponemieckiego bunkra, gryzonego w zbocze jednego z malowniczych wzgórz, uświetniających centrum naszego miasta. Było tu całkiem fajnie — na klub składał się labirynt nisko sklepionych komór oświetlonych kolorowymi neonami, układającymi się w przemawiające do młodzieży wzorki, tzn. gitary, giwery i trupie czaszki. Grano też czadowo, a powietrze przepelniał dym papierosowy zmieszany z marychą, którą popalano jawnie, choć bez ostentacji. W tłumie oskórowanej młodzi (mój semantyczny neologizm — nie obdarłej ze skóry, lecz właśnie w nią odzianej) przyklejonej do długachnych, ciągnących się wzdłuż ścian kontuarów, zauważyłem kilka znajomych twarzy.

— Nie wiem, czy to dobre miejsce — zwróciłem się do Rybaka. — Chyba widziałem uczniów z naszego liceum...

— No i co z tego? — prychnął Rybak i pociągnął piwa. — Od dawna jestem pełnoletni i mogę skuć pysk w takim miejscu, w jakim mi się podoba.

— Popieram cię w całej rozciągłości, szanowny kolego — powiedział Lutyński.— To ich zmartwienie, nie nasze. Zawsze mogą sobie pójść gdzie indziej.

Drawczyk, młody matematyk o fizjonomii ascetycznego mnicha, nic nie rzekł, utopił za to nos w pianie, spoglądając ponurym a pożądlwym okiem na dwie małolaty w bardzo kusych spódniczkach. Dekoltu też jakby prawie wcale nie było. Drawczyk oblizał się bezwiednie.

— Czadu, chłopie — powiedział na ten widok Lutyński. — One na pewno nie są z naszego liceum.

— Tak myślisz? — w głosie Drawczyka zajaśniała nadzieja. — Zaraz je tu sprowadzę.

Sam musiałem czym prędzej udać się do toalety, aby zwrócić dług naturze. Gdy tak stałem przy pisuarze, oddany rozkoszy odbarczania pęcherza, usłyszałem za sobą kpiarski głos:

— „*Dobrze się odlać to jak dobrze wypierdolić*” nieprawdaż, panie profesorze?

Obejrzałem się za siebie — przy drzwiach stał Urwis, z grabami w kieszeniach i arcysympatycznym uśmiechem na twarzy. Dobry humor zdaje się nigdy go nie opuszczał.

— Zegadłowicz, *Motory* — odrzekłem. — Dobry pisarz, tyle że ze świrem na punkcie czerwonych, których kochał głęboko i bezkrytycznie. A z tym odlewaniem miał świętą rację, co każdy może sprawdzić w okolicy piątego piwa.

Urwis wyszczerzył się jeszcze sympatyczniej — niech myśli, że i najkrwawszy belfer też potrafi być równiacką, przynajmniej po pijaku. Odwrócił się i chciał odejść, ale go zatrzymałem.

— Słuchaj, co się dzieje z tym facetem, jak mu tam... Niżyńskim? Minęło już dwa tygodnie od początku roku, a po człowieku ani śladu. Czy on w ogóle chce mieć maturę?

Gdy tylko wspomniałem o Niżyńskim, Urwis gwałtownie spochmurniał. Spuścił wzrok na czubki okutych srebrną blachą martenów.

— Nie mam pojęcia, gdzie jest Marucha — odparł po dłuższej chwili. — Ostatni raz widziałem go na początku lipca. Dziwnie się zachowywał... chyba się czegoś bał. A potem zniknął i nikt go więcej nie widział.

Zapiąłem rozporek i wsadziłem ręce pod strumień bieżącej wody. Ten Urwis mówił coraz ciekawsze rzeczy.

— Chodź, to ci postawię piwo — powiedziałem. — Jesteś, jak mniemam, pełnoletni?

Zainstalowaliśmy się przy jednym z kontuarów, okupowanych przez bandę neopunków, czy mną pokrewną subkulturę. Popalali trawę, pili piwo i kiwali się w takt dudniącej w podziemiach muzyki. Urwis zaabonował dwa piwa, które postawił przed nami barman, przyozdobiony różową fryzurą z seledynowymi pasemkami. Oczy bolały od patrzenia.

— I co z tym Maruchą? — indagowałem dalej — Widziałeś go w lipcu... i co?

— Facet najwyraźniej się czegoś bał — ciągnął Urwis. — Zawsze był nawiedzony, poobwieszany talizmanami i kryształami szczęścia... dzień zaczynał od czytania sennika egipskiego, ćwiczył tantryczną jogę, studiował gnozę i cholera wie co jeszcze wyprawiał. Dla mnie był to ewidentny pierdolec na punkcie New Age.

— To się zdarza w naszych poplątanych czasach — zauważyłem. — Ale czego się bał?

— Nie wiem Gadał coś, że chce go dorwać jakiś Gonzo czy ktoś taki... mówił też coś o błyszczakach... chyba.

— Gonzo? Błyszczaki? — nie wierzyłem własnym uszom. — To jakieś nieprzytomne brednie!

Urwis upił łyk utoczonego z beczki piwa i skrzywił się z niesmakiem — mnie z kolei nawet pasowało. Odstawił szklanekę i poprosił barmana o butelkowego żywca.

— Tak jakby. Siedzieliśmy w Rynku pod parasolem, kiedy Marucha o tym gadał, ręce mu się trzęsły jak paralitykowi. Naprawdę się bał. A potem, jak mówiłem, facet zniknął i nikt go już nie widział.

— A rodzice? Nie próbowali go szukać, nie zgłosili na policji zaginięcia?

Urwis pokręcił przecząco głową.

— Mało prawdopodobne. Marucha był sierotą i mieszkał z jakąś ciotką sklerotyczką... nie sądzę, aby zauważyła, że facio zniknął. Już przedtem wybywał z domu na całe tygodnie — ale nigdy na tak długo.

— Ciekawe — mruknąłem i machinalnie sięgnąłem po leżącą przed nami paczkę cameli. Dopiero po chwili zreflektowałem się, że przecież rzuciłem palenie przed miesiącem. — Czy ten Marucha nie miał żadnych przyjaciół?

Urwis wyjął mi z dłoni papierosy i sam zapalił. Poczułem w głębi organizmu wilczy głód tytoniu — chwilę jeszcze walczyłem ze sobą, potem poddałem się z wewnętrznym jękiem i sięgnąłem do paczki po camela.

— Niespecjalnie — odparł. — Łaził wiosną za jedną dziewczyną, nazywają ją Łans...

Pierwszy sztach wywołał mdłości, ale następny wydawał się darem bogów — trzeci już tylko herosów, a czwarty w ogóle mi nie smakował.

— Łans? Co za Łans?

— To po angielsku — wyjaśnił Urwis. — O-n-c-e — przeliterował.

Po piątym zaciągnięciu się zgasilem skurwysyna w popielniczce, tak kończy się wszelki brak konsekwencji.

— Czyli po naszymu „raz” — powiedziałem — Dlaczego akurat „raz”?

Uśmiechnął się szelmowsko, pokazując mocno już nadżarte camelami uzębienie.

— Tak trudno się domyśleć? Once to putana wolnoobiegowa, a tę ksywę dali jej dlatego, że ona nigdy drugi raz z tym samym facetem... Takie ma obyczaje.

Musiałem przyznać, że istotnie osobliwe. Kobięcy nihilizm w pełnym rozkwicie — naprawdę żaden z nas nie jest wart drugiego numeru? Wszystko przez te przekłete feministki.

— Widziałem ją dzisiaj gdzieś tutaj... — Urwis zaczął wykręcać szyję, rozglądając się dookoła — O, widzi pan, tam w kącie, przy tym stoliku w kształcie gitary.

Spojrzałem we wskazanym kierunku — rzeczywiście, przy trzyosobowym stoliku, mimo panującego w klubie tłoku, samotnie siedziała ciemnowłosa dziewczyna, odziana w obowiązkową skórę. Ukochana Maruchy siedziała bez ruchu, z pochyloną głową, hipnotycznie wpatrzona w stojącą przed nią szklankę z czymś żółtym, pewnie sokiem pomarańczowym.

— Pogadam z nią — oświadczyłem i zląłem z barowego stołka. Kiedy usiadłem naprzeciwko, po drugiej stronie ułamanego gryfa, dziewczyna zupełnie nie zareagowała i wciąż patrzyła nieruchomym wzrokiem na szklankę. Była niewysoka, szczupła i gibka, o pociągłej, interesującej nawet twarzy, lekko wystających kościach policzkowych, wąskich, długich egipskich oczach i małym nosku, zdradzającym ruchliwą, żywą naturę. Przypominała żwawą zazwyczaj myszkę, złapaną przez chwilę filozoficznej zadumy. Ładna bestyjka — musiałem, chcąc nie chcąc, przyznać.

Ręce trzymała ułożone równo na blacie, dzięki czemu mogłem podziwiać jej pomalowane na czarno paznokcie, poznaczone srebrnym cętkami. Nadal się nie ruszała. A może jest naćpana? — przyszło mi na myśl. Niestety, tak pochyliła głowę, że nie mogłem dokładniej obejrzeć sobie jej oczu.

— Możemy pogadać chwilę o Niżyńskim? — spytałem.

Nie zareagowała, wciąż wgapiona w tę cholerną szklankę. Odsunąłem ją na bok i chciałem mówić dalej, ale w tym momencie dziewczyna wstała, spojrzała na mnie przeciągle z jakąś

kosmiczną wręcz obojętnością, i bez słowa odeszła, znikając w tunelu prowadzącym do sali tanecznej. Porwałem się na równe nogi i rzuciłem za nią. Słabo się jednak orientowałem w katakumbowym interiorze, bo Once zniknęła mi prawie natychmiast z oczu, nurkując w gęstym tłumie, ochoczo gibającym się na parkiecie.

Ciżba rozochoconej młodzi to zresztą pestka w porównaniu z resztą atrakcji — „Katakumby” musiały mieć cholernie bogatego sponsora, który zafundował im tę najnowszą holograficzną zabawkę. Zamiast tradycyjnych stroboskopów pod sufitem wisiały laserowe projektory, generujące efekty specjalne nowej generacji. Prawdę mówiąc, chwilami nie wiedziałem, która z miotających się na parkiecie postaci jest prawdziwa, wszystko tonęło w roziskrzonym, niebieskim oparze, prawie uniemożliwiającym odróżnienie człowieka od projekcji, — wstawiała metoda prób i błędów — przeszedłem pomyślnie przez figurę wymachującego toporem wojownika Wikingów, ale podobny numer z grecką nimfą już nie wypalił. Panienska syknęła rozzłoszczona i walnęła mnie łokciem w bok. Jak najbardziej realny był także zylasty facet z obrozą na szyi, niezbornie podrygujący na podobieństwo paralityka. Balowicz w stroju Świętego Mikołaja okazał się za to hologramem, co poznałem, gdy go usiłowałem złapać za brodę. Słyszałem, że niedługo będzie można zamówić takiego holodancera do własnej dyspozycji, wprost z katalogu. Tylko jak poradzą sobie z obmacywankami?

Czas jakiś krążyłem, usiłując zaglądać w oczy napotkanej realnej czy wirtualnej czarnulce, ale bez rezultatu — od tej całej holodyskoteki można było dostać pomieszania zmysłów. I kiedy już straciłem nadzieję, znowu ją zobaczyłem.

Stała tuż przy przejściu do następnej komory, rozmawiając poza zasięgiem projektorów z wysokim facetem o wyczyszczonej na glanc czaszce, z kolorową apaszką pod szyją. Once coś mu klarowała, a łysol skinął głową i odszedł na bok. Dziewczyna poszła prosto przed siebie — odczekałem parę sekund i ruszyłem za nią.

Następna sala została przeznaczona dla niepalących i prawie nikogo w niej nie było — także Once. Po przeciwnej stronie zobaczyłem wąski korytarz, u końca którego widniały wybite w murze drzwi. Przeszedłem przez salę, korytarzyk i złapałem za klamkę. Było to pomieszczenie o najwyraźniej gospodarczym charakterze — nieduża kłitka, w której walały się jakieś stare kubły na farbę i stało kilka wysokich metalowych szaf na ubrania. Przyszło mi do głowy, że to może w którejś z nich schowała się dziewczyna. Szarpałem za kłódki, ale żadna nie puściła. Once może i była putaną, ale na pewno nie czarodziejką i nie zdołałaby od wewnątrz zatrzasnąć kłódki. Pokręciłem się tam jeszcze chwilę, oglądając ściany i sufit, ale nic mądrego nie wymyśliłem. Najprawdopodobniej dziewczyna zdołała mi się urwać wcześniej.

Wróciłem do mojego kontuaru, ale Urwisa już tam nie zastałem, widać się znudził jałowym czekaniem. Nie pozostało mi nic innego, jak dołączyć do mych zacnych kolegów. Tu zabawa trwała na całego. Rybak, cały rozanielony, patrzył, jak pijaniuteńki w sztok Drawczyk pcha paluchy za czerwony biustonosz blond kociaka, który się tym świetnie bawił. Drugą panienczkę trzymał na kolanie Lutyński i coś po ojcowsku klarował jej do ucha. Całe szczęście, że jutro była sobota i szkolny kombajn nie pracował.

Miałem już tego wszystkiego dosyć — klapnąłem na wolne krzesło i ukryłem twarz w dłoniach — Ludzieeee — zabuczałem. — Co ja tu robię?

Dobiegł mnie szydery, przepity śmiech Rybaka

— Jeszcze nie wiesz? Po prostu razem z nami chcesz doczekać świtu a potem zdechnąć.

Takich nazywają teraz umiarkowanymi optymistami.

Marucha niepokazał się w szkole także w ciągu następnego tygodnia. Stwierdziłem, że jak dla

mnie wystarczy i poszedłem ze sprawą do dyrektora. Ten wysłuchał zafrasowaną miną streszczonych przeze mnie rewelacji Urwisa. Stukał rytmicznie ołówkiem w blat biurka i milczał czas jakiś, zastanawiając się nad czymś intensywnie.

— Wygląda to rzeczywiście na robotę dla policji — wiedział wreszcie. — To już drugi wypadek tego rodzaju, wiosną zniknęła dziewczyna z 3a. Epidemia jakaś czy co?

W tej kwestii byłem równie mądry co i on. Rozeszliśmy się po ustaleniu, że szkoła zgłosi zaginięcie ucznia. Nic rozumniejszego nie przyszło nam do głowy. Nasz edukacyjny kombinat przerabiał rocznie około tysiąca dusz — jedna mniej czy więcej nie sprawiała istotnej różnicy, byle fabryka dalej pracowała. Przy taśmie nie ma czasu na zbędne sentymenty. Henry Ford byłby z nas dumny.

Z dyrektorem rozmawiałem w czasie swojego „okienka” — gdy wyszedłem z sekretariatu, przycisnął mnie organizm — chyba wciąż wydaląłem nadmiar piwa z zeszłotygodniowego pijaństwa, które skończyło się o czwartej nad ranem w kawalerce Rybaka. Opuściłem ją po krótkiej chwili, tłumacząc się późną porą i towarzyskimi zobowiązaniami na następny dzień. Choć tak naprawdę to nie byłem ciekaw, co wykręcą ze ściągniętymi z „Katakumb” panienkami — do dwóch śmieszek dołączyła jeszcze jedna punkowa i zapowiadał się szałowy finał.

Skręciłem w stronę męskiego klopa — nie chciało mi się schodzić na parter, do zarezerwowanego dla nauczycieli przybytku. W środku nikogo nie było, zatem bez krępacji władowałem się do pierwszej z brzegu kabiny. Gdy zamierzałem pociągnąć za sznurek wiekowego rezerwuaru, usłyszałem skrzypnięcie drzwi i dwa ściszone głosy. Tknięty bliżej nieokreślonym przecuciem zamarłem z uniesioną do góry ręką. Głosy zbliżyły się, minęły moją kabinę i zatrzymały się w głębi, pod ścianą z graffiti.

— Nie ma nikogo — powiedział jeden, niski i bezbarwny. — Co mówił Marucha? Gdzieś go widział?

Na dźwięk tego imienia postawiłem uszy na sztorc i wstrzymałem oddech.

— W górach, w schronisku. Pękał, cykor jeden — odpowiedział mu drugi głos, zadziorny i piskliwy. — Mówił, że Gonzo wytypował go do pierwszej fazy ewakuacji, ale on już nie chce. Dlatego prysnął. Gadał, że błyszczaki to diabły i takie inne. Całkiem go pokręciło.

Zapadła na moment cisza — któryś z nich zapalił papierosa.

— No to skończony frajer — odezwał się ten o bezbarwnym głosie. — Once przecież ostrzegęła, że nie można się już wycofać. Sam chciałem być na jego miejscu, byle z dala od tego syfu. I gdzie on widział błyszczaków? — słyszałem, jak zaciąga się łapczywie i wypuszcza ze świstem papierosowy dym. Nawet do mojej kabiny dotarła kotłująca się nad nimi chmura. Skubańcy ćmili emersony czy inne podobnie siekierzaste świństwo.

— Jak gadali z Gonzem, tak mówił — odparł ten piskliwy. — Jak mieli nie gadać, kiedy to przewoźnicy. Gonzo mówił, że niedługo odleci pierwszy transport na Bandałaj. Cholera, chciałem się na niego załapać!

Znowu zapadła cisza. Jego kumpel palił w milczeniu, wydmuchując pod sufit smog z emersonów.

— Może jeszcze zdążysz. Dzisiaj wieczorem jest msza. Jeśli Gonzo nie dopadł Maruchy, może kogoś dobierze.

— Nic z tego — właściciel piskliwego głosu nie krył przygnębienia. — Klucznik nie wpuści mnie bez hasła.

— Masz dziś, facio, szczęście — jego towarzysz wyrzucił wreszcie papierosa i przydeptał go z hukiem. — Spotkałem rano Once i powiedziała mi, zapamiętaj: „tyś jest nauczycielem”.

W tym momencie stała się rzecz straszna — kleisty czad z emersonów opadł raptem spod sufitu,

wpełził do mojej kabiny i tak zakręcił mi w nosie, że ciarki poczułem aż w okolicy pięt. Nim się zdążyłem połapać, kichałem jak oszalały, ledwo mogąc zaczerpnąć powietrza pomiędzy poszczególnymi atakami. Usłyszałem tylko, jak tamci z łomotem wyprysnęli z klopa — nim się wykaraskałem z kabiny, zniknęli bez śladu gdzieś w głębi szkolnych kazamatów.

Usiadłem na zlewie i wyciągnąłem chusteczkę, przeklinając w duchu me nadwrażliwe powonienie. Ci chłopcy najwyraźniej sporo wiedzieli o losach Niżyńskiego, a także o Gonzu i tajemniczych błyszczakach. Co mieli na myśli, mówiąc o transporcie na Bandałaj? Nazwa w sam raz dla wesołego miasteczka... Tak czy owak, w tej budzie działo się coś dziwnego — ale co?

Postanowiłem odłożyć sprawę na później, zwłaszcza że zabuczał dzwonek i trzeba było się szykować do kolejnych bojów. Z 4d rozkładałem na czynniki pierwsze Bułhakowa. O ile było to w ogóle możliwe z ludźmi, których pamięć historyczna sięgała najwyżej zeszłego tygodnia — dla nich zawsze rządził Kwaśniewski, a Wałęsa wydawał im się podobnie mityczną postacią, co praojciec Lech. Do takich ludzi miałem kazać o Ewangelii, komunizmie i rosyjskim mistycyzmie... Mimo to wznosiłem się na wyżyny polonistycznego polotu... których brutalnie strącił mnie w dół widok dwóch kokoszek, naradzających się w kącie nad rozłożonym pod ławką bajecznie kolorowym kobiecym żurnalem. Całym swym belferskim jestestwem zapragnąłem krwi.

— Nisiewicz, kiedy umarł Chrystus? — wystrzeliłem.

Zagadnięte dziewczę gapiło się na mnie bezbrzeżnie zdumionymi i przerażonymi oczyma.

— Eeee, nie wiem, panie profesorze — wyjąkała. — Byłam wtedy chora.

Nie, nie trafił mnie szlag ani nie wyskoczyłem przez okno. Podszedłem tylko do niego i popatrzyłem przez przykurzoną szybę, tam gdzie orły i aniołowie, wolne i szczęśliwe. A Bóg nie grzmiał.

Sprawa z Niżyńskim zaczynała mnie intrygować coraz bardziej. Wiedziałem jedno: wśród młodzieży działał jakiś Gonzo, którego Marucha bał się śmiertelnie, tak że prysnął z domu i zaszył się w górach. Gonzo obiecywał im wycieczkę do tajemniczego miejsca pn. Bandałaj. Urządzali jakieś tajemnicze „msze”, do których dopuszczał osobnik określany mianem „Klucznika”. Należało mu powiedzieć hasło, którego pierwszą część zdołałem usłyszeć w klopie, przypuszczałem, że jest zawsze aktualne do końca dnia. Ale gdzie mogły się odbywać owe msze i kto jest Klucznikiem? Co znaczyły gadki o „błyszczakach” i „ewakuacji”? Miałem przed sobą rebus złożony z samych niewiadomych — nie powiem, to byłoby nawet fascynujące, dla kogoś uwielbiającego rebusy. Ale ja nie znośm krzyżówek.

Gdy tak to sobie niechętnie obracałem między szypułami mózgowymi, stanął mi przed oczyma następujący obraz: Once rozmawiająca z łysolem w kolorowej apaszcze. Chwilę potem dziewczyna zniknęła, jakby się zapadła pod ziemię. A może to łysol ją gdzieś wpuścił, pokazał jakieś sekretne wejście? Może „msza” odbywała się w „Katakumbach”?

Hipoteza powyższa była równie dobra jak każda inna. Ba, więcej, okazała się wręcz znakomita, jako że nie zdołałem wymyślić nic innego. Pozostała jeszcze jedna niewiadoma — hasło.

Mełłem je w mózgu od momentu wyjścia z klopa „tyś jest nauczycielem...”. To wyglądało na początek jakiegoś zdania, a raczej cytatu. Nie mogłem się opędzić od wrażenia, że kiedyś już coś podobnego czytałem — ale u kogo?

Po powrocie do domu najpierw spróbowałem w internetowej przeglądarce, ale gdy zobaczyłem ok. 50 tysięcy haseł i domen do przejrzania, dałem spokój; nauczyciel to zbyt popularne słowo, choć parszywy zawód. Trzeba było pójść na skróty — rozłożyłem na podłodze podręczną bibliotekę i ryłem w stosie książek blisko pięć godzin, przerzucając wszystkie możliwe leksykony, księgi

cytatów, encyklopedie, o Biblii nie wspominając. Bez rezultatu jednak — im dłużej gmerałem w książkach, tym większej nabierałem pewności, że czytałem kiedyś to zdanie. Ale źródła nie byłem w stanie odszukać.

Pomógł mi przypadek — kiedy zrozpaczony wygarniałem półkę z filozofami, na podłogę sfrunęło *Tako rzecze Zaratustra* Nietzschego. Książka otworzyła się grzbietem do góry. Podniosłem ją i machinalnie spojrzałem na przypadkowy akapit ze środka strony. Odnośny cytat wskoczył mi wprost do głowy: „*Gdyż zwierzęta twe wiedzą wszak, o Zaratustro, kim jesteś i stać się musiałeś: patrz, tyś jest nauczycielem wiecznego wrotu — oto twe przeznaczenie!*”.

Tyś jest nauczycielem wiecznego wrotu — tak z pewnością musiało brzmieć hasło otwierając wrota, których pilnował Klucznik. Zatarłem z uciechy ręce i usiadłem w fotelu. Dobijała właśnie ósma wieczorem — jeśli dobrze pamiętałem, Once zniknęła mi wówczas około jedenastej, miałem więc trochę czasu.

Przetarłem zmęczone przeglądaniem papierzysk oczy i spojrzałem w wiszące na przeciwległej ścianie lustro. Patrzył na mnie stamtąd okularnik pod czterdziestkę, o nieco zmęczonym, ale dość inteligentnym wyglądzie, znamionującym człowieka, który skończył w terminie studia, oszczędzał się w piciu i dość wczesnie wyrobił sobie pogląd na życie. Czy kogoś takiego Klucznik wpuściłby gdziekolwiek?

Potrzebowałem pomocy, i to natychmiast. Sięgnąłem po telefon i wykręciłem numer Urwisa.

Robert naprawdę zrobił, co mógł — w ciężkim znoju uwijał się dobrą godzinę, aby wytrząsnąć mnie ze skóry nobliwego belfra. Efekt jego działań mogłem teraz podziwiać w prostokątnym lustrze, wiszącym nad najdłuższym w „Katakumbach” kontuarem. Znad baru spoglądał ku mnie z miną lekko pogardliwą ubrany w skórę żigolak, z włosami ciasno przylepionymi brylantyną do czaszki i przyciemnionymi okularami na nosie, pobrząkujący niklowanym żelastwem, jako że Urwis pożyczył mi swą kurtkę. W tym przebraniu nie poznałaby mnie własna matka, a cóż dopiero, mogący się kręcić klubie, licealiści. Dopilem piwo i zerknąłem w bok, na drugi koniec kontuaru, gdzie siedział łysol, domniemany Klucznik, tym razem przyozdobiony apaszką w kolorze jasnoseledynowym.

Obserwowałem go od dobrego kwadransa. Nie bez rezultatów.

Co trzy, cztery minuty podchodził do niego chłopak lub dziewczyna — raz była to para — i pochylając się ku niemu, mówili coś cicho w konspiracji. Łysol kiwał głową, potem lustrował każdego uważnie, wreszcie na moment pokazywał coś, co trzymał ukryte we wnętrzu dłoni. Młodzi ludzie, gdy tylko to zobaczyli, odwracali się na pięcie i maszerowali w kierunku sali dyskotekowej. Czyżbym psim swędem trafił na właściwy trop?

Odstawiłem szklanekę, rzuciłem barmanowi zmięty banknot i niespiesznie podszedłem do łysola. Gdy stanąłem tuż przed nim, na sekundę obrócił na mnie spojrzenie bladych, prawie bezbarwnych oczu, po czym jego wzrok zaczął błędzić po pomalowanym w biało-czarne pasy suficie.

— Tyś jest nauczycielem wiecznego wrotu — wyszeptalem, starając się zachować kamienną twarz.

Wzrok łysola znowu spoczął na mojej osobie — odniosłem nieprzyjemne wrażenie, że tym razem przygląda mi się odrobinę za długo. Wreszcie otworzył dłoń — przed oczyma błysnęły mi wymalowane fosforową farbą cyfry. Trzy szóstki, 666. Łysol zamknął dłoń i przestał się interesować moją osobą. Powinienem czym prędzej zniknąć, tak jak inni jego klienci. Ale gdzie oni znikali?

Pozostał mi jeden sposób — zacząć się gdzieś w kącie i zobaczyć, dokąd pójdzie następny klient Kluczniaka. Bo Łysol był nim bez wątpienia, skoro w taki właśnie sposób zareagował na hasło. Problem w tym, że na miejsce jednej niewiadomej wskoczyła druga — do czorta, co mogły znaczyć te trzy szóstki? Czyżbyśmy bawili się w satanistów?

Po czterech może minutach podeszła do łysola młodziutka punkowa — chyba ta sama, którą zgarnął swego czasu Rybak z Lutyńskim — szepnęła coś łysolowi, ani chybi hasło, skoro pokazał jej wymalowany na dłoni numer. Dziewczyna odwróciła się i ruszyła w kierunku parkietu. Tym razem nie pozwoliłem, aby delikwentka zniknęła mi w kotłującym się tam realno-wirtualnym tłumie. Tak jak przypuszczałem, przeszła do sali dla niepalących — siedziała tam jakaś parka i migdałiła się do siebie, poza tym było pusto. Punkowa dotarła do drzwi na końcu korytarza — prowadziły do, jak pamiętałem, podręcznego składziku — otworzyła je i zniknęła w środku. Podrapałem się w zamyśleniu po brodzie i niespiesznie podążyłem za nią.

W środku oczywiście nikogo nie było, paliło się tylko matowe, mrugające światło z dogorywającej świetlówki. Poza tym to, co przedtem — kubły z resztkami farby i metalowe szafie na ubrania. Punkowa rozplynęła się w powietrzu — albo została stąd teleportowana. Może od razu na Bandalaj?

Rozwiązanie okazało się znacznie prostsze. Kiedy obmacywałem ściany pomieszczenia, szukając ukrytych drzwi czy zapadni, szarpnąłem przypadkowo za szafkę. I wtedy cały ich rząd z ledwo słyszalnym zgrzytnięciem odsunął się od ściany, odsłaniając stalowe, błyszczące drzwi, bez klamki i zamka, za to z wmontowanym na wysokości oczu cyfrowym programatorem.

Więc tak to sobie urządzili — uśmiechnąłem się pod nosem i trzykrotnie nacisnąłem szóstkę. Drzwi musiały być świetnie naoliwione, ponieważ sekundę później wręcz zapadły się przede mną, odsłaniając wilgotny i mroczny korytarz. Chwilę dumałem jeszcze, zastanawiając się, czy gra jest warta świeczki, po czym postąpiłem krok do przodu. Usłyszałem zgrzyt zasuwających się na swoje miejsce szafek i zostałem sam, w ciemności.

Prowadziły mnie ręce. Setki dłoni, małych i dużych, umaczanych w zielonej fosforycznej farbie, odbitych na ścianach, podłodze i suficie. Szedłem ostrożnie w głąb korytarza, a dłonie wyskakiwały ku mnie z ciemności, rozczapierzone i niemo krzyczące. Mrowiły się całymi stadami, niczym widmowy ślady diabelskich małp, gnających na oślep do przodu. Często zaczynały się na podłodze, biegły po ścianie i znikały na suficie, aby po kilkunastu krokach pojawić się znowu na ścianie. Czasem znikały na dłużej i szedłem wówczas w całkowitej ciemności, rozjarzonej tu i ówdzie pojedynczymi kroplami fosforyzującej farby.

Wtedy usłyszałem jego śpiew.

A raczej pieśń bez słów — modulowany, nieartykułowany jęk, który grubiał, cieniał i zanikał, wznosząc się i opadając w niesamowitej melodii. Gardło, które go wydawało, musiało mieć nieludzkie wręcz możliwości, ponieważ chwilami czułem ból w uszach lub wibrowanie przepony, tak jakby tajemniczy śpiewak potrafił skakać po całym paśmie, włącznie z ultra i infradźwiękami. Nie to jednak najbardziej zadziwiało — w tym głosie było coś... przerażającego i fascynującego zarazem. Pieśń bez słów opowiadała o grozie świata, smutku samotności, pełna na przemian żalu i wściekłości. Była to skarga, wyrzut wezwanie — huczało mi ogłuszająco w głowie, mącąc myśli i zmuszając, abym dążył ku jej źródłu... coraz szybciej i szybciej, a oślep i bez opamiętania. Jak ćma ku światłu.

Ocalił mnie przypadek — galopowałem przez zupełnie już czarny tunel, z łbem rozwibrowanym kotłującymi się pod czaszką dźwiękami, machając jak wariat rękami, ale na szczęście me szpanerskie pikolaki nie nadawały się do takich sprintów. Zahaczyłem czubkiem buta o grudkę gruzu i walnąłem jak długi na betonową posadzkę. Ból był taki, że straciłem oddech, ale za to przestałem słyszeć ten piekielny jazgot. To mi pozwoliło się pozbierać. Resztką sił odwróciłem się na plecy i leżałem tak przez dłuższą chwilę, usiłując złapać trochę powietrza i zebrać myśli. W tym momencie śpiew ucichł, jak ucięty nożem.

Poleżałem tak sobie jeszcze przez minutę albo dwie, potem powoli, trzymając się ściany, dźwignąłem się na nogi. Panowała całkowita cisza — gdzieś przede mną błyszczał jaskrawy, czerwony punkt. Zacząłem iść w tym kierunku, a punkt stopniowo się powiększał, przybierając kształt dłoni — ogromnej łapy wielkoluda, nasmarowanej czerwoną, fosforyzującą farbą na zamykających tunel drzwiach. Znalazłem wmontowany we framugę podświetlony programator — trzy razy nacisnąłem szóstkę. Szczęknął zamek i drzwi samoczynnie uchyliły na jakieś dwadzieścia centymetrów. Ostrożnie wsunąłem się do środka.

Znajdująca się z nimi salka, nisko sklepiona i jaskrawo oświetlona rtęciową żarówką, mogła mieć ze dwadzieścia metrów długości i może sześć, siedem szerokości — na rozłożonych na betonowej podłodze karimatach siedziało kilkanaście młodych osób płci obojga, zupełnie zamarłych w pozycji lotosu, ani chybi wprowadzonych w trans. Ale nie oni okazali się najbardziej interesujący, lecz ci, co stali na niskim podeście pod przeciwległą ścianą. Dokładniej stała tylko Once, z tyłu za oparciem inwalidzkiego wózka, w którym siedział... nie wiem dlaczego, ale od razu poznałem, że mógł to być jedynie Gonzo.

Przede wszystkim rzucała się w oczy jego twarz — olbrzymia, czerwona i nabrzmiąta, jakby opuchnięta, obrośnięta rzadką, bezbarwną szczecina, o szerokich, gumiastych ustach i — dla odmiany — małych, świńskich oczkach; nawet z tej odległości widziałem, że miały charakterystyczne dla albinosów czerwone tęczęwki. Ten monstrualny łeb był osadzony na solidnym byczym karku, wyrastającym z nabitego, dobrze umięśnionego torsu. Prawdziwy szok jednak przeżyłem dopiero wtedy, gdy opuściłem wzrok niżej — masywny tors przechodził w nie mniej atletyczny brzuch, ale dalej... dalej były nóżki trzyletniego może dziecka, długości najwyżej trzydziestu paru centymetrów obute w małe, dziecinne buciki, w oczywisty sposób niezdolne do uniesienia potężnej reszty.

Gonzo na oko mógł mieć nie więcej jak czterdzieści, czterdzieści pięć lat. To mi nawet pasowało — na początku lat sześćdziesiątych rozprowadzano w Europie pewien środek uspokajający, talidomid, mający w intencji producenta szczególnie wspomagać kobiety w okresie ciąży. Ów ponoć rewelacyjny specyfik w istocie był wysoce mutagenny, co się dobitnie okazało w momencie, gdy na świat zaczęły przychodzić dzieci ze zdegenerowanym kończynami, albo i bez nich. W Polsce, zanim go wycofano z aptek, zdarzyło się kilkaset tego typu przypadków. Czy Gonzo był jednym z nich?

Tego oczywiście na pewno wiedzieć nie mogłem, w każdym razie widok olbrzyma osadzonego na nogach karła czynił piorunujące wrażenie. Kaleka podniósł do góry rękę — zaiste ogromną, z widocznymi odciskami od prowadnicy wózkowego koła — i wtedy zniknął.

Ta sala też została uzbrojona w laserowe projektory — w miejscu, gdzie siedział Gonzo, pojawiła się czerwona, nieznacznie drgająca kula, powiększająca się błyskawicznie. Spuchła tak, że zajęła całą ścianę, stając się czymś w rodzaju wypuczonego ku widowni ekranu. Pojawiły się w niej obrazy — różne, przeważnie fragmenty kronik z przemawiającym Hitlerem i Stalinem, kolumnami wozów ciągnących przez płonący step, stadami samolotów niszczących w dywanowym nalocie miasto... i twarze, krzyczące, ryczące i zapłakane, wykrzywione przerażeniem i zalane krwią, twarze polityków, wodzów, katów i ich ofiar.

Pulsował ten mix niczym jakiś koszmarny teledysk, zharmonizowany z głosem Gonza. Nie tyle głosem, co tubalnym, chrapliwym szeptem, dobrze wszak słyszalnym, bo dobiegającym z ukrytych w ścianach głośników.

— Mówią wam, że świat opiera się na porządku, a gdzie nie spojrzycie, widzicie chaos. Mówią wam, że musicie się przystosować, a wokół widzicie przystosowanych, którzy są martwi. Mówią wam, że nie wolno tego czy tamtego, a wszystkie zakazy są łamane przez zakazujących. Każą wam walczyć z grzechem, a sami grzeszą i nienawidzą, mówiąc o miłości. Ten świat tonie w fałszu i

obludzie, a nikt nie ma odwagi wiedzieć prawdy. Nasze dusze są zniewolone i błądzą w ciemności.

Kulisty ekran stał się naraz całkowicie biały — koszarne obrazy zniknęły, zastąpione przez trójwymiarową, krystaliczną, wypełnioną światłem przestrzeń, z ledwo widocznym horyzontem. Przypominało to ciągnące się w nieskończoność pole lodowe. Ktoś po nim szedł, zbliżając się coraz szybciej.

To był Gonzo — tak musiał o sobie śnić, jako o smukłym, wysportowanym, w pełni sprawnym mężczyźnie. Zdecydowanie stawiał kroki, jak człowiek, który wie, czego chce i co robi. Wreszcie, gdy miał już jakieś trzy metry wysokości, wypełniając sobą kulę, przystanął — w rękę trzymał oprawną w skórę książkę, którą otworzył i zaczął czytać:

„O duszo ma, jam cię wyzwolił ze wszystkich starych zakamarków, omiotłem z ciebie pył, pajęczynę i mroki.

O duszo ma, omyłem cię z drobnej wstydlivosti i podmówilem, abys naga w oczach słońca stanęła.

Nawałnicą, która zwie się duchem, zadąłem ponad twem rozfalowanym morzem; wszystkie chmury zdmuchnąłem precz, zdławiłem nawet tego dławca, co się grzechem zowie.

O duszo ma, nadałem ci prawo powiadać nie! jako nawałnica, i głosić tak! jako się jasne głoszą niebiosy: oto jesteś mi cicha jak światło, i cicha przechodzisz przez nawałnicę przeczenia.

O duszo ma, zwróciłem ci wolność nad wszystkim, co stworzone i jeszcze nie zdziałane: któż zasię zna, jako ty znasz, rozkosz rzeczy przyszłych?”

Robiło to, nie przeczę, pewne wrażenie, zresztą, czym miał im przyładować, jeśli nie *Zaratustrą*? — ledwo powstrzymałem wybuch lekceważącego rechotu, wciskając kulak w gębę. Nietzsche znowu wracał do łask, żyliśmy przecież w epoce wprost wymarzonej dla podobnych mu immoralistów. Czy o to chodziło Gonzowi, gdy mówił o „wiecznym wrocie”? Idee piewcy nadczłowieka wiecznie żywe... A może sukinkot ma się za awatar samego filozofa?

Holograficzny guru przerwał czytanie i wydało mi się, że spojrzał wprost na mnie — wciąż stałem tuż przy drzwiach z dłonią przy ustach, skrywającą kretyński uśmiezek. Oczywiście nie mógł mnie widzieć, ale na wszelki wypadek czym Prędzej usiadłem na najbliższej macie.

— Tyle Fryderyk Nietzsche. Ja zaś powiadam wam, nie ma grzechu, są tylko przypadki. Nie ma ładu, a jedynie okoliczności. Ta planeta umiera i nic na to nie można poradzić. Jesteśmy zatruci chemikaliami i oszukiwani przez polityków. Fałszywi prorocy przemawiają do was z gazet i telewizji, wytykają ludziom grzechy, a nie widzą własnych. Powiadam wam, czas się zbliża, nadchodzi koniec tej Sodomy, utonie w oceanie ognia i siarki. Wiem, że z centrum galaktyki zdąża ku nam strumień antymaterii, wypalając przestrzeń kosmiczną. Dni tej planety zostały już policzone. Ocaleją wybrani, których ze sobą zabiorę. Nasi bracia z kosmosu przyślą ratunkowe statki, dzięki którym niektórzy z nas, ci naprawdę czysti i gotowi, będą mogli opuścić ten skazany glob. Bądźcie cierpliwi, już niedługo. Zbliży się dzień, w którym powiodę was za sobą do nowego świata. Tam nastanie dla nas czas wyzwolenia i obmyjemy nasze dusze w blasku nowego słońca. Wasza nowa Ziemia krąży wokół gwiazdy Barnarda, jest dziewiczym globem, który możemy urządzić po swojemu, od nowa. Zaczniemy jeszcze raz, na zawsze wyrzekając się gniewu i nienawiści.

Gdy to mówił, systematycznie malał — pole lodowe pękło z trzaskiem i zapadło się w głąb. Kulisty ekran załała optymistyczna, szmaragdowa zieleń — wylaniały się z niej fantazyjne drzewa, o postrzępionych koronach, podobne trochę do paproci. Gonzo, wreszcie mniej więcej naturalnego wzrostu, przechadzał się między nimi niespiesznie. Spod jednego z drzew wylazło

świerszczopodobne stworzenie o wielkich, owadzych oczach, które na widok człowieka pisnęło przeraźliwie i dało nurka z powrotem w gąszcz.

— Bandalaj to planeta przyjazna dla człowieka, nie ma na niej groźnych, agresywnych form życia — perorował Gonzo. Szedł dalej, omijając kolejne drzewa i pierzchające mu spod nóg błonkoskrzydłe stwory, aż dotarł do skraju lasu, skąd rozpościerał się widok na płaską nieckę otoczoną niewysokimi wzgórzami, środkiem której płynął strumień — krajobraz jak z landszaftu babuni. Niebo miało szmaragdowy odcień, co zapewne odzwierciedlało osobliwe widmo emitowanego przez gwiazdę Barnarda światła. — Ta dolina czeka, aby uczynić z niej Nowy Eden. Będzie to modelowy świat, bez gniewu, zła, nienawiści, stworzony przez tych, których wybiorę. Już wiem, kto z was jest wart, aby uczestniczyć w tym nowym początku.

Ze wszystkich znaków na niebie i ziemi jasno wynikało, że mam do czynienia z newage'ową sektą — z gatunku tych obiecujących ucieczkę do nowego świata. Gonzo to po prostu kolejny guru, wciskający młodzieży kit o tym, jaki to świat jest okropny — na to zawsze można znaleźć klientów, złąknionych słów z krynicy „prawdy”. Pytanie dnia: czy jest niebezpiecznym, cynicznym draniem, czy tylko nawiedzonym idiotą? Co mógł mieć wspólnego ze zniknięciem Niżyńskiego? Czy kaleka może być zabójcą albo porywaczem? Może on sam nie, ale gdyby mu pomagał, dajmy na to, Klucznik? Bardzo mi się też nie podobały te ilustrowane gadki o dziewiczym świecie krążącym wokół gwiazdy Barnarda. To miała być owa tajemnicza Bandalaj?

Pozostawała jeszcze sprawa tej niesamowitej oprawy — po co facetowi konspiracja, cyfrowe zamki, ukryte kazamaty i wreszcie kosztujący majątek sprzęt do holoprojektacji? Coś mi tu zgrzytało, a siódmy zmysł szeptał do ucha, że powinienem się temu Gonzowi dokładniej przyjrzeć. Facet niewątpliwie był tego wart. W końcu miał być założycielem nowej ludzkości.

Rajska dolina otwierała się tymczasem przed moimi oczyma, niczym skarbiec legendarnego Ali Baby. Czegóż tam nie było?! Niebieska, falująca łagodnie trawa, bajecznie kolorowe krzewy o strzępiastych liściach, stwory przypominające ni to rośliny, ni to zwierzęta, ściekająca ze skał krystaliczna woda — projekcję zakończył sielski widoczek Gonza, spacerującego nad brzegiem złotawego ruczaju z Once. Trzymali się czule za ręce, jak para kochanków. Ten holofilm musiał im zrealizować spec od turystycznej reklamy.

— Listę zakwalifikowanych do pierwszego transportu zakomunikuje wam Once — guru wskazał na dziewczynę. — Zostawcie w domu listy, że wyjeżdżacie na długo... ci, którzy mają paszporty, niech piszą, że za granicę. Ani słowa o tym, jak się sprawy mają naprawdę.

To już mi się zupełnie nie podobało — ale w tym momencie projektory zgasły i znowu widziałem podest wraz z siedzącym na wózku kaleką. Gonzo wydał z siebie krótki, skrzekliwy dźwięk — przez nieruchomą do tej pory publiczność przebiegł dreszcz, zastygłe w pozie lotosu sylwetki zafalowały jakby pod podmuchem gwałtownego wiatru. Kilka osób podniosło się ociężałe i zmierzało ku wyjściu.

Wyglądało na to, że „holomsza” dobiegła końca. Ludzie wstawali z podłogi, poszeptując między sobą — ja sam rozglądałem się rozpaczliwie, szukając miejsca, gdzie mógłbym się schować. Chciałem jeszcze popatrzeć sobie na Gonza i posłuchać, czy powie coś ciekawego, zwłaszcza o tym, jak zamierza przetransportować szczęśliwych wybrańców do tego nowego świata. Po prawej stronie, blisko drzwi, dostrzegłem wąską, ale głęboką wnękę: kiedyś musiał tam wisieć sprzęt przeciwpożarowy, co poznałem po hakach na siekiery i gaśnice. Pozostawało poczekać na właściwy moment — akurat przy wyjściu utworzył się mały korek, przystanąłem, niby to czekając, aż się rozładuje — po czym, mając za plecami wnękę, cofnąłem się tam w chwili, gdy wychodzący znikali w drzwiach. Trzasnął zamek i zapadła cisza, którą przerwało skrzyknięcie źle naoliwionego wózka.

Gonzo gdzieś odjeżdżał.

Potem zgasło światło i zgrzytnęły drzwi, ale nie te wyjściowe, tylko inne, w pobliżu podestu, z którego przemawiał Gonzo. Wychyliłem się zza krawędzi muru i zerknąłem tam jednym okiem — zobaczyłem padającą z boku ukośną smugę światła. To tam musiał zniknąć kaleki guru. Mogłem teraz robić dwie rzeczy: albo wrócić do „Katakumb”, albo zobaczyć, co jest za tamtymi drzwiami.

Nie było to nic specjalnie rewelacyjnego, małe, prawie idealnie kwadratowe pomieszczenie, oświetlone gołą żarówką. Dawniej mógł to być podręczny skład amunicji czy coś w tym guście. Przez szeroką na dwa palce szparę widziałem siedzącą pod ścianą w pozycji lotosu Once, pogrążoną w medytacji. Gonza nie dostrzegłem, jedynie fragment koła i jego czerwoną łapę, spoczywającą na poręczy wózka. Ale był tam ktoś jeszcze, ktoś, z kim on rozmawiał.

Nie brzmiało to jak któryś ze znanych mi, choćby ze słyszenia, języków — w ogóle nie był to język. Odbierałem to jako basowe murmurando, które momentami cichło, przechodząc w kłujący uszy pisk. Gonzo operował na granicy słyszalnego pasma — nie miałem pojęcia, że ludzkie gardło jest w ogóle do tego zdolne. Trwało to nie dłużej jak dwie, trzy minuty, potem Gonzo zamilkł, a czerwona ręka zacisnęła się kurczowo na poręczy. Odpowiedziano mu w tej samej chwili, gładko i bez wysiłku — w uszy zakłuło mnie tak, że z całej siły zatkałem je kciukami, z mizernym skutkiem. Na szczęście trwało to krótko, Gonzo pisnął coś w odpowiedzi, a jego łapa skurczyła się kilkakrotnie.

Musiałem wiedzieć, z kim rozmawia — przystawiałem się do szpary tak i owak, ale nie byłem w stanie dojrzeć nic więcej nad medytującą pod ścianą Once — której wpadające w ultradźwięki piski zdawały się wcale nie przeszkadzać — i fragmentu inwalidzkiego wózka Gonza. Wpadło mi do głowy, aby ostrożnie poszerzyć szparę, ale przy tym stanie zawiasów równie dobrze mógłbym uderzyć w kościelne dzwony. Mogłem też po prostu otworzyć drzwi na oścież.

Tamci drgnęli i spojrzeli na mnie jednocześnie, jak sprzężone ze sobą automaty. W pierwszej chwili można było ich wziąć za dobrze prosperujących biznesmenów — w świetnie skrojonych garniturach, nieskazitelnie białych koszulach i gustownie dobranych krawatach. Wgapili się we mnie dwiema parami czarnych okularów. Patrzyliśmy na siebie niemo, a ja gorączkowo zastanawiałem się, co było z nimi nie tak.

Oni błyszczeli. Mienili się wszystkimi kolorami tęczy. Bardzo dyskretnie, ale widocznie. Byli czymś pokryci, jakby przezroczystym śluzem, który po nich pełzał — po twarzach, rękach i ubraniu — przemieszczając się powoli, tworząc zacieki, zakola i strużki, mieniające się w świetle żarówki. Któryś z nich kwiknął ostrzegawczo i śluz zniknął, wessany w głąb ciała.

Nie czekałem na więcej, obróciłem się na pięcie, zatrzasnąłem z hukiem drzwi i pobiegłem w ciemność.

Nikt mnie nie gonił.

Urwis słuchał i wcale się nie śmiał. Przeciwnie, wysłuchiwał moich rewelacji z twarzą napiętą i zaniepokojoną. Dwa razy kazał mi powtórzyć, jak wyglądali tamci dwaj.

— To ani chybi te błyszczaki — podsumował. — Jakim cudem zdołał im pan prysnąć?

— Nie mam pojęcia. — Siorbnałem łyk gorącej kawy. — Leciałem przez tunel jak wariat, nigdy jeszcze nie czułem takiego pietra. Nagle jakimś cudem znalazłem się w przedsionku, tym schowku na farby. Wszedłem stamtąd i wmieszałem się w balujący tłum. Nikt nie próbował mnie zatrzymać.

— Hmm, ciekawe — mruknął Robert i krytycznie przyjrzał się swojej kurtce, mocno nadwerężonej po tym, jak padłem na glebę w tunelu. — I co ma pan zamiar z tym zrobić?

Sięgnąłem po dzbanek i dolałem sobie kawy. Dochodziła piąta rano i nie warto było się już kłaść.

— A co ja mogę zrobić? — spytałem retorycznie. — Zapewne, wiele rzeczy. Na przykład pójść na policję i opowiedzieć im o wszystkim. Będą zachwyceni moimi rewelacjami o Gonzo, błyszczakach i pomyśle szkolnej wycieczki do gwiazdy Barnarda, po czym, jak znam życie, wezwą speców od kaftanów bezpieczeństwa. A jak będzie zachwycony dyrektor? Nie każdemu zdarzą się zatrudnić śniącego na jawie fantastę... Człowiek ten nie wygląda mi na zwolennika też Dänikena.

— Czyli nic nie możemy zrobić — podsumował prostodusznie Urwis.

— Niezupełnie — na stoliku leżała otwarta paczka cameli, ale dzielnie zwalczyłem pokusę, aby zapalić. — Potrzebujemy więcej informacji. To mi wygląda na naprawdę dużą układankę a znamy tylko jej niewielki kawałek.

— Chce pan znowu iść do podziemi? — spytał.

— Nie dadzą się nabrać drugi raz na ten sam numer — wstałem, wyjąłem z szuflady biurka nikotyzowaną gumę do żucia i wrzuciłem do ust. — A gdyby tak spróbować zadziałać coś z tą Once? Ta mała wiedźma musi sporo wiedzieć. Chciałbym z nią porozmawiać. Znajdź ją i powiedz, że wiem dużo, chcę się układać, na pewno mnie skojarzy z typem, który wypytywał ją o Niżyńskiego. Zasugeruj jej, że sporo się dowiedziałem o Gonzo i jego sprawkach, ale to wcale nie znaczy, że muszę o tym kłapać dziobem na policji. To na pewno zainteresuje i ją, i jej pryncypała. Powiedz, że najpierw chcę z nią o tym pogadać. Jak tylko zostaniemy sami, wycisnę z tej czarownicy wszystko, mam swoje sposoby...

Nie zauważyłem, kiedy się zaczął śmiać. Zatykał, co prawda, gębę kułakiem, ale niewiele to pomagało — rechotał coraz głośniejsze.

— Powiedziałem coś śmiesznego? — spytałem zimno.

— Owszem — przestał i przez chwilę łapał oddech. — Każdy kuty na cztery nogi belfer ma w sobie coś z inkwizytora. Nawet jeśli zgrywa superluzaka.

Dzień następny okazał się najgorszy w mojej dotychczasowej szkolnej karierze. W gruncie rzeczy jestem fanatykiem spania, zdrowy sen przedkładam nawet nad satysfakcjonujące spółkowanie — czego nigdy nie potrafiły zrozumieć moje partnerki, stąd pewnie tak duża rotacja w moim życiu uczuciowym. Od rana tedy podpierałem powieki zapałkami i tłumiłem ziewanie, czym wzbudzałem entuzjazm Rybaka, który patrzył na mą wymiętą facjatę z nieskrywanym zadowoleniem — pewnie wyczuwał we mnie potencjalnego kompaniona w nocnych eskapadach.

— Coś kolega mizernie dziś wygląda — zauważył Lutyński — Cóż to się stało? Pewnie jakaś hulanka, co?

— Skądże, całą noc pisałem konspekty — odparłem. Rybak i Drawczyk, jak na komendę, ryknęli śmiechem. Anglista mrugnął do mnie porozumiewawczo i uczynił ręką gest, jakby odkręcał zakrętkę. Odwróciłem się do niego plecami.

— A może to miłość? — zapytała Mławińska. — Ach, liubow krasiwaja, liubow priaklataja...

— Zajrzała mi głęboko w oczy, ale udałem durnia. Czekałem na dzwonek jak na zbawienie.

Wchodząc do klasy, potknąłem się o czyjś rzucony w przejściu tornister.

— No, ktoś tu chce, żebym się zabił! — warknąłem. Nie czekałem długo na odzew.

— Wszyscyyy! — zawyło chóralnie. Popatrzyłem na nich niedowierzaniem, ale miny 2a nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości.

— Dziękuję za szczerłość — odparłem, grzmotnąłem dziennikiem o biurko i zasiadłem na profesorskim tronie. Chciało mi się wszystkiego, poza nauczaniem — najchętniej wbiłbym się w jakieś miękkie (acz bez przesady) i rozległe wyrko. Tak naprawdę to przysnąłbym i na nieheblowanej desce, byleby z dala od tego miejsca i tych życziwych mi dzieci.

Zlustrowałem ich niechętnie. Trzydzieści jeden sztuk uczniów, rzekomo chciwych mej wiedzy. Tak naprawdę to i oni woleliby być gdzie indziej. Może w dyskotecce, a może w bramie, gdzie bez przeszkód odbiliby po jabolu albo przypalili trawę? Na pewno nie tutaj, ze mną i *Królem Olch*, którego mieliśmy razem wałkować.

To mi przypomniało o Gonzo. Błyskawicznie otrzeźwiałem — ciekawe, ilu z tej klasy chadzało na jego holograficzne „msze”? Patrzyłem na nich ponuro, usiłując odgadnąć to z oczu. Przeszywanym badawczym wzrokiem spuszczały głowy, udając, że czytają tekst wiersza lub przeglądają notatki. Aż w drugiej ławce trafiłem na Joannę Merny, osobkę bezczelną, wygadana i ze skłonnością do nazbyt wyeksponowanych dekoltów. Ta wytrzymała me spojrzenie bez mrugnięcia okiem.

— Co pan taki ponury? — zapytała. — Nic by się panu nie stało, gdyby pan nas choć trochę lubił. Zanim zdążyłem się zastanowić, już mówiłem.

— Nauczyciel nie jest po to, aby się z uczniami lubić, tylko żeby dawać im w dupę.

Zamilkłem, sam zdumiony tym, co oświadczyłem.

— Zboczeniec! — pisnęła Merny, a klasa, zbulwersowana, zaszemrała jak wzburzone morze Cholera, chyba przesadziłem.

— Ma pani coś przeciwko sadystom? — zareplikowałem. — Sadyzm to przecież na dobrą sprawę „inny” rodzaj miłości. Jedynie trochę bardziej... bolesny.

Ktoś zapukał do drzwi, które zaraz potem uchyliły się i w szparze zobaczyłem podsimitowane i niewyspane oko Urwisa. Kiwnął na mnie palcem. Wyszedłem na korytarz.

Przyjdzie do pana dziś wieczorem — powiedział. — Miał Pan rację, nie wyglądała na zaskoczoną.

Podziękowałem mu skinieniem głowy i wróciłem do klasy. Joanna Merny patrzyła na mnie z takim osłupieniem i przerażeniem, jakby widziała powstałego z martwych samego boskiego markiza. Pewnie szło o to dawanie w dupę. Tam do kata, naprawdę tak myślę?

Dziewczyna przyszła dopiero o dziewiątej wieczorem — nawet i dobrze się złożyło, bowiem zdążyłem uciąć sobie regenerującą drzemkę. Stała za drzwiami i dzwoniła nieprzerwanie, jakby się paliło. Kiedy otworzyłem, śmiało weszła do środka. Od pierwszego momentu zachowywała się tak, jakby mieszkała tu od lat — zrzuciła pantofle i bez krępacji spoczęła w moim ulubionym pulmanie, podkurczając pod siebie nogi. Usiadłem naprzeciwko i przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Wyglądała na zmęczoną, blada i z sińcami pod długimi egipskimi oczyma. Stanowczo za mało w tym towarzystwie sypiamy, uznałem.

— O czym chcesz rozmawiać? — spytała. Przeszła na „ty” bez żadnych ceregieli.

— O tobie — powiedziałem. — Ale najpierw może napijemy się herbaty?

— Może — kiwnęła zdawkowo główką. Wyszedłem do kuchni i postawiłem czajnik na kuchence, gorączkowo zastanawiając się nad dalszą taktyką ciągnięcia jej za język. Prawdę mówiąc, nie opracowałem żadnej i zdałem się na improwizację. Przygotowałem filiżanki i wróciłem do pokoju. Once stała przed regałem i zabawnie przekrzywiając głowę odczytywała tytuły książek.

— Znasz się na czarownictwie? — spytała — I na New Age?

— Trochę — odparłem. — Kolekcjonuję publikacje na ten temat, takie sobie niegroźne hobby. Kiedy spotkałaś tego Gonza?

Nie odpowiedziała, jedynie przesuwając ręką wzdłuż rzędu książek, odcyfrowując wciąż nowe tytuły. Trzeba było zacząć z innej beczki.

— Słyszałaś kiedyś legendę o szczurołapie?

Pokręciła przecząco głową — mogłem się tego spodziewać, jej pokolenie nie czytało już bajek.

braci Grimm. Homo hodiernus, człowiek „dzisiejszy”, egzystujący w rzeczywistości wyłącznie „tu i teraz”. Dla nich świat zawsze istniał w obecnej formie niczym kolorowy balon zawieszony w historycznej próżni. Witkacy wspominał w tym kontekście o epoce sportowo dancingowej, programowo akulturowej, nastawionej na rozrywkę i użycie. Coś mnie łączyło z tym przeklętym jasnowidzem–katastrofistą — także nie znosiłem sportu i tańca.

— To średniowieczna niemiecka legenda. Opowiada o miasteczku Hameln nad Wezerą, nawiedzonym przez apokaliptyczną plagę szczurów. Nie mogąc sobie z nią poradzić, radni i mieszczanie miasta Hameln wezwali wędrownego szczurołapa–czarodzieja. Ten podejmuje się uwolnić miasto od plagi za drobną sumę tysiąca guldenów. Gdy rada przystała a te warunki, przeszedł przez miasto, grając na fujarce — szczury wypełzły ze swych kryjówek i pobiegły za nim. Szczurołap doprowadził dokuczliwe gryzonie aż do rzeki i tam je potopił. Ale miasto, uwolnione od plagi, odmówiło wypłaty honorarium. Wówczas szczurołap znowu przeszedł przez Hameln, grając na fujarce — tym razem z domów wybiegły dzieci, uwiedzione czarodziejskimi dźwiękami. Szczurołap powiódł je na wzgórze Koppenberg do jaskini, która się za nimi zamknęła. Nikt ich więcej nie widział. Zaczarowane przez siebie dzieci szczurołap zaprowadził do podziemnej kramy, zwanej Bandalaj.

Umilkłem, ciekaw jej reakcji, zwłaszcza na ostatnie słowo — jeśli Once, wciąż z udawaną pilnością lustrująca moją biblioteczkę, cokolwiek słyszała i rozumiała, nie dała tego po sobie poznać. Wyciągnęła *Synagogę Szatana* Przybyszewskiego i przeglądała ją ze znudzoną miną.

— Wydarzenie powyższe przez długi czas uchodziło za historyczne — dodałem. — Podobno działo się to 1284 roku. Legenda o szczurołapie jest najpewniej baśniowym refleksem wydarzenia już bez wątplenia historycznego, tak zwanej dziecięcej krucjaty z 1212 roku. Wtedy to rozplynęło się w bezkresnych przestrzeniach Wschodu tysiące dzieci. Zginęły z głodu lub porwali je piraci, aby sprzedać na targu niewolników. Nikt ich więcej nie widział. Jakby zapadły się pod ziemię — podkreśliłem. — Jak masz na imię?

Rzuciła mi szybkie, jakby nieco zdziwione spojrzenie.

— Inana. Czy mogę się u ciebie wykapać? — odłożyła książkę na półkę i spojrzała na mnie pytająco.

A niech mnie — naprawdę zadomawiała się w ekspresowym tempie. Mogłem oczywiście ją wyrzucić lub, póki co, godzić się na wszystko. Poza tym to imię ki diabeł, chyba indiańskie?

— Dlaczego by nie? — uśmiechnąłem się możliwie luzacko. — Czyste ręczniki znajdziesz na półce nad kaloryferem.

Oczywiście nie raczyła nawet podziękować, bez słowa zniknęła w łazience. Usłyszałem szum puszczanej wody — jeśli miało to być inkwizytorskie przesłuchanie, to na razie szło mi jak po grudzie. Nie wiedziałem nawet, ile ma lat, wyglądała mi na siedemnastkę, ale równie dobrze mogła być młodsza.

— Ile właściwie masz lat? — krzyknąłem w stronę drzwi do łazienki.

— ...ście — doleciało ze środka. — Możesz tu przyjść na chwilę?

Sytuacja stawała się coraz bardziej dwuznaczna. Co właściwie ta mała puszczałka sobie wyobraża?!

— A po co? — odkrzyknąłem. Jednocześnie wyciągnąłem z biurka dyktafon, sprawdziłem, czy ma dobre baterie i ustawiłem nagrywanie na najwyższą czułość. Jeśli Gonzo kazał jej zaaranżować mały szantaż, to nie trafił na głupca.

— Nie potrafię... — dalszą część wypowiedzi zagłuszył szum wody. — Przyjdź wreszcie.

Co było robić, uchyliłem drzwi od łazienki i wsunąłem się do środka — Once leżała wyciągnięta

w wannie i spoglądała na mnie figlarnie czarnymi, smolistymi oczyma. Do licha, naprawdę miała śliczne, zgrabne ciało, o idealnych proporcjach małe, okrągłe piersi, ładnie sklepiony brzuch, szczupłe, pełne uda — bez trudu mogłaby zostać fotomodelką. W czarnym dzinsowym uniformie, w jakim zwykle paradowała, zupełnie nie było tego widać. Gonzo doskonale wiedział, co przysłać. Zastanawiałem się, czy widziała wsadzony do kieszeni dyktafon. Chyba nie, skoro zapytała.

— Czy nie mógłbyś umyć mi pleców? Chrząknąłem i demonstracyjnie wlepiłem wzrok w sufit. No, przynajmniej próbowałem.

— Z tyłu wisi czerwona szczotka na półmetrowej rączce. Myślę, że będzie idealna.

Spojrzała na mnie powłóczyście spod długich rzęs — repertuar standartowych chwytów nimfetki opanowała bez zarzutu. Okręciła się w wannie, niczym młoda, skora do zabaw wydra, a ja stwierdziłem, że chyba przeceniłem swą granicę wytrzymałości. Do licha, któż z nas nie jest choć trochę loliciażem?

— To nie to samo — szepnęła. — Co ci szkodzi... tylko raz. Jeden mały raz.

Urwis gadał szczerą prawdę, anglojęzyczna ksywa istotnie odpowiadała jej obyczajom. Chrząknąłem po raz drugi, bardzo już ostentacyjnie.

— Czy nie moglibyśmy się umówić, że mamy to już za sobą — spytałem. — Załóżmy, że się już rozebrałem i wlażem do tej wanny... i co dalej?

— Będę cię całowała — przysunęła się do krawędzi i patrzyła mi prosto w oczy. Oblepiona mokrymi włosami, przypominała syrenę, kuszącą zbłąkanego rybaka. — Tu, tam i jeszcze gdzie indziej — pokazywała palcem. Odsunąłem się na bezpieczną odległość.

— Dobrze, zapewne mam wspaniałą erekcję — kontynuowałem beznamiętnie. — Zbliżam się do ciebie...

— Czuję go w sobie — odwróciła się na wznak i zamknęła oczy — Jest taki duży i potężny, wypełnia mnie...

— Dziękuję — ten gadany seks nawet trochę zaczynał mnie bawić. — Wykonuję zatem ruchy posuwisto-tłoczące, z początku wolno, potem coraz szybciej...

— Szybciej i szybciej — jej dłonie powędrowały do zbiegu ud i znikły w pianie. Sapnęła spazmatycznie raz i drugi. Mnie zaś chciało się śmiać. — Szybciej — powtórzyła.

— Jak tłok parowy z wywalonym zaworem bezpieczeństwa — powiedziałem, z trudem zachowując powagę. — Jęczymy i młócimy się w tej pianie, jak para napalonych królików...

— Co? — otworzyła oczy i znieruchomiała.

— Albo marcujących kotów — objaśniałem dalej; nawet zaczęło mi się to podobać. — Mam oczywiście gigaorgazm, ty ślicznie udajesz, że też masz... i tak dalej, i wreszcie zaliczamy ten twój ukochany „raz”. Możemy teraz pogadać?

Twarz jej stężała i spojrzała na mnie z nieskrywaną nienawiścią. Znowu, kurwa, przegiąłem. Ostatnio jakoś w wielu sprawach nie potrafiłem znaleźć punktu równowagi. Może z nadmiaru entuzjazmu?

— Wynoś się — krzyknęła i chlusnęła we mnie wodą. Wypadłem z łazienki, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Usiadłem przy ścianie na podłodze, próbując się uspokoić — trochę za bardzo wczułem się w rolę. Przez szparę w drzwiach dobiegał stłumiony szloch. Wciąż grała? W takim razie była naprawdę niezła, jak po szkole Stanisławskiego. Naprawdę wczuła się w rolę.

Dopiero teraz usłyszałem, że czajnik w kuchni gwizdże jak opętany. Zdjąłem go z gazu i zalałem dwie filiżanki.

— Konkursowy z ciebie skurwieli, wiesz? — powiedziałem do wiszącego obok zlewu lustra. Facet po drugiej stronie zrobił głupią minę i wzruszył ramionami. Chyba miał zamiast serca ocet

siedmiu złodziei.

Na Inanę czekałem z herbatą prawie pół godziny — tyle trwało, zanim wyszła z łazienki. Przystanęła w drzwiach pokoju, opanowana, chłodna i obojętna, znowu była Once, mistrzynią stylu „cool”. Wskazałem krzeselko naprzeciwko siebie.

Co prawda z herbaty zrobiła się Ice tea, ale to nie powinno nam przeszkadzać. — Starąłem się być tak szarmancki i uprzejmy, jak to tylko było możliwe. — Mieliśmy porozmawiać. Chyba już pytałem cię o Niżyńskiego? Nie wiesz przypadkiem, dlaczego ukrywa się przed Gonzem?

Stała wciąż bez ruchu na progu pokoju, patrząc na mnie z namysłem tymi wąskimi, egipskimi oczyma. Nie lubię takiego wzroku — odwróciłem głowę i zacząłem gapić się w kąt pokoju, gdzie sterczał wyrzeźbiony w drewnie totem Paunisow, подарowany mi przez znajomego z Ameryki. Wolałem wytrzeszczone ślepie indiańskiego demona. W oczach Once było coś... nad czym wolałem się nie zastanawiać.

— On chce z tobą mówić — powiedziała cicho. — Pojutrze, wieczorem w klubie.

Nie odwróciłem głowy, słyszałem tylko, jak wychodząc, zatrząskiwała za sobą drzwi. Potem, już w nocy, pomyślałem, że chyba się pośpieszyłem — wszak, jak mówią ludzie doświadczeni, całowane usta nie tracą smaku.

Pewnie bym to ominął, gdyby nie nazwa. „Bandalaj — klub gier cyberprzestrzennych” przeczytałem na elektronicznej tablicy wiszącej nad wejściem. Wydawało mi się, że jeszcze niedawno była tu siedziba firmy handlującej konfekcją... Na tablicy pojawił się nowy napis. „Polecamy nowości — Cyberextasy, Quake 14, First Date, Inquisitor...”

— Tego inkwizytora powinien pan zaliczyć — usłyszałem za sobą. — Bardzo by się panu podobało...

Obejrzałem się — z tyłu stał oczywiście Urwis, któremu zaskakiwanie mnie w różnych dziwnych sytuacjach weszło chyba w nawyk.

— Kto jest właścicielem tego klubu? — zapytałem.

Urwis podrapał się po brodzie, brzęcząc przy okazji swym niklowanym żelastwem.

— Takich dwóch młodych gostków, którzy wzbogacili się na piratowamu oprogramowania. Ale gadają, że naprawdę ma ten interes taki jeden wysoki, szczupły łysoł...

— Klucznik?

— Nie wiem, nie widziałem człowieka na oczy. Może to i Klucznik.

— I to on tak kazał nazwać knajpę?

— Podobno. — Urwis zdradzał wyraźnie oznaki zniecierpliwienia. — Wejdziemy? Za pół godziny biorą pięć dych, to całkiem tanio.

Wzruszyłem ramionami i wszedłem na wąskie, wiodące na parter schodki. Za oszklonymi drzwiami ciągnął się nie mniej wąski korytarz, u końca którego zauważyłem kasę. Błada panienska za szybą pobrała opłatę i wręczyła mi błękitny, plastikowy kartonik.

— To elektroniczny bilet — wyjaśnił Robert. — Uruchamia się nim stanowisko.

Dalej była okrągła salka, ciasno zastawiona czymś, kojarzyło mi się z urządzeniami do teleportacji, które widziałem na filmie „Star Trek”. Każde składało się z dwóch elementów — mechanicznej mikrobieżni podobnej do tych stosowanych w klubach treningowych i zwisającej z sufitu maszyny, przypominającej baloniasty, wojskowy hełm, opleciony grubymi warkoczami kabli.

Kilka stanowisk było zajętych — opuszczone hełmy obejmowały całkowicie głowy klientów, ich ręce tkwiły w pufiastych rękawicach, chyba bezprzewodowych, bo nie widziałem żadnych połączeń z resztą urządzenia. Macali przed sobą przestrzeń — jeden, sądząc po ruchach, zapewne gładził jakieś

wirtualne ciało, inny z kolei gnał gdzieś przed siebie, zwawo przebierając nogami po bieżni. Inni stali spokojnie, jedynie od czasu do czasu wykonując jakiś gwałtowniejszy ruch czy gest.

Urwis stanął na bieżni, po czym wsadził bilet do umieszczonego w ścianie czytnika. Obok odsłoniła się wnęka, skąd pobrał parę rękawic. Kiwnął na mnie ponagłajaco — trzeba było iść w jego ślady. Kiedy wdziałem rękawice i ustawiłem się mniej więcej na środku bieżni, liźnął mnie z góry laserowy promień — ani chybi zostałem sfotografowany przez skaner. Chwilę później hełm zjechał z cichym szelestem i przestałem cokolwiek widzieć.

Prawie zupełnie go nie czułem — przez ułamek sekundy poszczególne jego fragmenty dopasowywały się do kształtu mojej głowy, sensory dotknęły skóry na policzkach i cofnęły się natychmiast. Mogłem bez problemu obracać głowę na wszystkie strony, nie wyczuwając żadnego oporu, sensomotoryczne mechanizmy reagowały błyskawicznie, z ledwo dostrzegalnym opóźnieniem.

Zapalił się panel kontrolny, zielono, czyli wszystko funkcjonowało, jak należy. Nie wybrałem jeszcze gry, ale Urwis zdecydował za nas obu. Wskoczyła ikona z gotyckim napisem „Inquisitor” i kilkoma standardowymi opcjami. Podniosłem rękę i pacnąłem w ENTER.

A potem wjechałem.

Przewracałem strony ogromnej, oprawnej w skórę i drzewo księgi, usiłując coś odczytać w chybottliwym świetle pochodni. Co jednak zbliżyłem nos do pożółkłej karty, to duże, kreślone czarnym tuszem litery rozlewały się w bezkształtne plamy. Najpewniej musiałem być dalekowidzem — oderwałem wzrok od księgi i spojrzałem na niską, kopulasto sklepioną izbę, zatęchłą i wilgotną. W ceglanych ścianach tkwiło kilka pochodni, rzucających czerwony blask na dziejącą się tuż pod moim nosem scenę.

Na solidnym dębowym stole leżała rozpięta naga kobieta, dziewczyna właściwie, sądząc po szczupłości kształtów. Ktoś ją starannie ukrzyżował, wiążąc przeguby kończyn konopnymi sznurami. Obok stołu, odwrócony do mnie plecami, stał rosły pacholek w skórzanym kaftanie. Gmerał żelaznymi szczypcami w koszu pełnym płonących węgli.

— Najpierw tedy musimy znaleźć na ciele czarownicy punkt nieczuły, tajemny znak diabła — usłyszałem znajomy głos. — Najlepiej szewskim szydłem.

Odwróciłem się — z tyłu, za pulpitem z kałamarzem i stertą pergaminu, urzędował jakiś człowiek w habicie. Kozia bródka i wychudzona, fanatyczna gęba w istocie kogoś mi przypominały... Drawczyk, matematyk z mojej budy? Skąd on się tu wziął?! Też w to grał?

— Nie chciałbym oczywiście wtrącać się w inwestygację Waszmości Pana Sędziego — dodał ów pseudo-Drawczyk. — Ostatecznie możemy zacząć od próby ognia, będzie nawet krócej. Hej, mości kacie!

Człowiek w skórzanym kaftanie przestał grzechotać rozżarzonym węglami i obrócił się ku nam, trzymając w rękach dymiące kleszcze. Jego gęba też była mi dziwnie znajoma... Urwis?

— Od czego zaczniemy, łona lubo piersi? — zapytał i szcęknał parę razy cęgami. — Trza, Wasza Miłość, pospieszać, dziewczka ledwo dycha po naciąganiu.

— Czekał — rzuciłem szybko i wyszedłem z za stołu, gdzie przeglądałem ową nieczytelną księgę. — Chcę z nią pomówić.

Pseudo-Urwis skinął głową, schylił się i nim zdążyłem otworzyć usta, porwał z kamiennej podłogi drewniany kubek i wylał jego zawartość na dziewczynę. Woda musiała być lodowata, ponieważ rozpięte na stole ciało wzdrygnęło się gwałtownie. Podeszedłem bliżej i odgarnąłem jej z twarzy długie, czarne włosy. Pociągła, o wąskich, egipskich oczach i małymi delikatnym nosku także była mi nieobca... Inana?

Otworzyła oczy i mogłem zajrzeć w ich smolistą głębię. Poruszyła ustami — dopiero teraz

spostrzegłem, że pogryzionymi do krwi — i usłyszałem gruby, chrapliwy szept.

— Nie tak łatwo, inkwizytorze. Od razu wszystko chciałbyś wiedzieć... a wiedza kosztuje, czasem drogo. A ty jeszcze nie znasz mojej ceny.

Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się tryumfująco — śmiech ten przemienił się raptem w znajome, jęklive wycie. Śpiew szczurołapa uderzył mnie jak obuchem. Zachwiałem się, pociemniało mi przed oczyma, czułem, że coś z neodpartą siłą popycha mnie do przodu. Przymuszony, postąpiłem o krok i straciłem grunt pod nogami. Śpiew potężniał, rozsadzając mi czaszkę, huczało w niej ogłuszająco, jakby była wnętrzem ogromnego dzwonu. W końcu sam zacząłem krzyczeć, wymachując rozpaczliwie ramionami.

Spadałem na dno wypełnionej wyciem studni.

Leżałem, rozplaszczony jak żaba, obok bieżni, a nade mną pochylało się dwóch ludzi, chuderławy brunet w niezbyt świeżym podkoszulku i Urwis. Podniosłem rękę do czoła i pod palcami wyczułem rosnącego, gorącego guza. Zerknąłem do góry — hełm wrócił do wyjściowej pozycji, zdjęli mi też rękawice.

— Bardzo pana przepraszam — odezwał się blondyn. — Ktoś zawirusował system i wdarł się do gry. Już sobie z tym poradziliśmy, może pan powtórzyć seans...

— Chyba sobie tym razem odpuszczę — powiedziałem i znowu dotknąłem głowy. Guz osiągnął wielkość Kilimandżaro. — Ma pan trochę lodu?

Urwis nic nie mówił, przyglądał mi się tylko z zaintrygowanym wyrazem twarzy.

Rano obudziłem się z potwornym bólem głowy. Zwlokłem się z łóżka, z trudem wytrząsając z łba resztki koszmaru. Ulżyło dopiero, gdy wsadziłem głowę pod zimny prysznic. Potem dwie kawy, dwie aspiryny i wreszcie mogłem mówić o jako takiej używalności.

Na pamiątkę po wizycie w klubie zostało mi olśniewające limo, zdobiące czoło nad prawym okiem. A potem przypominałem sobie grę — z najdrobniejszymi szczegółami.

Czy Gonzo posiadał aż taką władzę, że potrafił swobodnie bujać po sieci i modyfikować programy gier? Co chciał tym osiągnąć — ostrzec mnie czy przerazić? Dlaczego nazwał swój — czyli Klucznika — klub „Bandalaj”? Prowokacja czy wyzwanie? Jednego byłem pewien: stałem oto na brzegu wielkiej niesamowitej tajemnicy, która pociągała mnie ku sobie z neodpartą, magiczną siłą, podobnie jak zeszlowiecznych podróżników kusily niezbadane głębie Afryki czy Azji. Pozostawała tylko jedna kwestia — jaką będę musiał zapłacić cenę za jej poznanie?

Nie pamiętam, jak przeżyłem powszedni szkolny kierat — coś tam improwizowałem niezdarnie, często przerywając i gapiąc się w zamyśleniu w okno. Oprócz śladów pobicia musiałem zdradzać objawy kaca, ponieważ po minach uczniów było widać, że wreszcie wiedzieli, co ze mną zrobić: zakwalifikowali mnie do grona pedagogicznych pijaczków, z którym na dłuższą metę nie powinno być kłopotu. Jakoś nie miałem ochoty wyprowadzać ich z błędu.

Czas do spotkania z Gonzem dłużył mi się niemiłosiernie. Prawdę mówiąc, nie byłem pewien, czy powinienem się na nie stawić. Być może mimo wszystko rozsądniejszym byłoby złożenie wizyty na policji — ale co właściwie mogłem im powiedzieć? Nie dysponowałem niczym, żadnym konkretnym dowodem, poza garścią własnych obserwacji, które dla postronnej osoby z pewnością wydałyby się bredniami na pograniczu czystej fantastyki. Tylko bym się ośmieszył i spalił sprawę. Koniecznie musiałem dowiedzieć się więcej.

Dlaczego Gonzo w ogóle chciał ze mną rozmawiać? Powód wydawał się jasny i oczywisty — zamierzał się zorientować, co właściwie wiem. Widocznie podejrzewał, że wiem na tyle dużo, aby

stać się niebezpiecznym. Pytanie, na ile jestem dla niego niebezpieczny?

Może wystarczyło, że widziałem owych „błyszczaków”? Udający biznesmenów faceci nie sprawiali wrażenia istot z tego świata, tego byłem pewien. Skąd przybyli i po co? Jakie łączyły ich związki z Gonzem? Czy to dzięki nim potrafił „śpiewać”? Dużo było tych pytań — odpowiedzi kryły się za podwójnymi, wybitymi w betonowej ścianie wrotami do „Katakumb”. Chodziłem przed nimi tam i z powrotem ponad pół godziny, rozważając wszystkie za i przeciw. Poza tym, co tu kryć, miałem pietra. Solidne, wzmocnione żelaznymi okuciami drzwi do klubu przypominały wrota do więziennych kazamat.

Raz jeszcze wróciłem pamięcią do rozmowy z Once — przyszła do mnie do szkoły nazajutrz po tym, jak odwiedziła mnie w mieszkaniu, na długiej przerwie. Chyba nie spała lepiej ode mnie, wyglądała dość blado i mizernie. Muszę przyznać, trochę się zdziwiłem na jej widok — charakter naszego rozstania raczej nie wróżył szybkiego ponownego spotkania. Bez zbędnych ceregieli otworzyłem przed nią drzwi polonistycznego zaplecza.

Usiadła na brzegu krzesła i przypatrywała mi się uporczywym milczeniem. Uniosłem pytająco brew, a kiedy wciąż nic nie mówiła, sięgnąłem po stos zaległych kartkówek i przeglądałem je pobieżnie, czekając, aż dziewczyna się odblokuje.

— Nie powinieneś tam iść — powiedziała wreszcie.

Odłożyłem jeden stos bazgrołów i sięgnąłem po następny.

— Doprawdy? — spojrzałem na nią kątem oka. Twarz miała poważną i skupioną. — Gonzo wie, że tu przyszedłeś?

Na tę ostatnią kwestię nie zwróciła najmniejszej uwagi.

— Wplątujesz się w rzeczy, o których nie masz najmniejszego pojęcia — wbiła wzrok w stary, odrapany blat stołu, przy którym siedzieliśmy. — Najlepiej, gdybyś zapomniał o całej sprawie. Jeszcze możesz się wycofać. Po co ci to? Żyj sobie, tak jak żyłeś, w spokoju... Nic nie rozumiesz, ta sprawa cię przerasta. On... potrafi być groźny.

Mówiła to śmiertelnie poważnym tonem — nie potrafiłem odgadnąć, czy to Gonzo ją przysłał z ostatnim ostrzeżeniem, czy też przyszła tu z własnej woli. Zbyt dobrą była aktorką, abym mógł u niej odróżnić uczucia prawdziwe od udawanych. Może sama ich już nie rozróżniała.

— Tak, strasznie się go boję — rzuciłem zdawkowo i znowu zająłem się kartkówkami. — Coś jeszcze, panienko?

W tej chwili zabrzmiał dzwonek oznajmiający koniec przerwy i Once wstała.

— Mimo wszystko szkoda mi cię, belfrze — dobiegło spod drzwi. A potem wyszła. Zostałem sam, zamyślony, niespecjalnie przejmując się tym, że powinienem z wywieszonym ozorem pognać na lekcję. Do licha, popełniłem błąd. Ta dziewczyna mogła się okazać najslabszym punktem Gonza — gdybym tylko był odrobinę mniej pyszałkowaty. Kiedyś mnie to zgubi, ta moja nieznośna duma i uprzedzenie — jestem taki sam jak ten arystokratyczny wypierdek z powieści Jane Austin. Tak naprawdę to nigdy nie opanowałem sztuki podawania ręki. Czasem ta umiejętność się jednak przydaje.

Wciąż niezdecydowany sterczałem przez „Katakumbami”, a ludzie wchodzili i wychodzili zza żelaznych wrót, niektórzy obrzucali mnie zdziwionymi spojrzeniami, gdym tak błędnie laził w kółko, zmagając się z myślami — dobry czas na zabawę w Hamleta. Pokazała się też Once, zerknęła gdzieś ponad m głowę i weszła do środka. Po chwili z klubu wylazł łysol, zwany Klucznikiem, i niecierpliwie kiwnął na mnie ręką.

Na coś musiałem się zdecydować. Hm, jeśli Gonzo będzie chciał mnie załatwić, to robi to, tak czy owak, choćby wynajmując na targowisku Ruska z bezrobotnym kałasznikowem. Odetchnąłem

głęboko parę razy, jak przed zanurzeniem w głęboką wodę, i podszedłem do Klucznika.

Nie poszliśmy tam, gdzie się spodziewałem, do pełnego świecących rąk tunelu i „sali wykładowej”. Przeciwnie, rozmawialiśmy w głównej klubowej komorze, przy czteroosobowym stoliku w kształcie czaszki, który stał w kącie obok baru. Poza mną i Gonzem siedzieli przy nim Łysol i Once, ale nie brali udziału w rozmowie. Guru przysunął swój wózek tak blisko do blatu że nie widziałem jego groteskowych, skarłałych nóg. Chyba wstydził się swego kalectwa. Przeszedł kelner i postawił przed nami po piwie. Gonzo sięgnął po swoje, ale wtedy, tknięty jakimś przecuciem, powstrzymałem go — bez słowa zamieniłem nasze szklanki. Gonzo skrzywił się lekceważąco i ostentacyjnie łyknął z podsuniętego mu przeze mnie naczynia.

— Aż tak się boisz? — spytał. Jego chrapliwy, szorstki szept nieprzyjemnie dźwięczał mi w uchu. — Gdybym chciał, nieznani sprawcy zastrzeliliby cię przed klubem.

— Dlaczego w takim razie tego nie zrobiłeś? — ostrożnie pociągnąłem swojego piwa. Nie było w nim nic niezwykłego, przynajmniej nie wyczuwałem tego językiem.

— Bo zdołałeś mnie zaciekawić — kontynuował, a jego czerwone oczy albinosa badały mnie uważnie. — Wiesz dużo, choć nie wszystko. Masz zdumiewające szczęście, inaczej nie potrafię tego wytłumaczyć.

— A co ze szczęściem Niżyńskiego? — zaatakowałem. — Czy i on powinien się uważać za wybrańca losu? I dlatego tak panicznie przed tobą ucieka?

Gonzo z udawaną uwagą oglądał sobie paznokcie. Nieciekawe, poobgryzane tuż przy skórze.

— Tak, Niżyński... narobił nam trochę kłopotów, ale już go mamy. Żyje, jeszcze — dodał, uprzedzając moje pytanie. — Dokładniej przebywa w stanie pewnego zawieszenia... między jednym a drugim. Jak ci się podobał mój wykład? W pewnym sensie jesteśmy kolegami, nie uważasz?

O mało nie zakrztusiłem się piwem. Odstawiłem szklankę i wytarłem usta. Tam do kata, psi syn był jego kolegą.

— Doprawdy, nauczycielu wiecznego wrotu? — nawet nie kryłem ironii. — Mylisz się, między nami jest dość istotna różnica. Ty działasz tak jak newage'owy guru, to znaczy mówisz im to, o czym chcą słuchać, wabisz ich do siebie urokliwym słowem jak lep słodyczą muchy lub grający na czarodziejskiej fujarce szczurołap...

Na dźwięk tego ostatniego słowa twarz Gonza skurczyła jak u rozwścieczonego boksera pragnącego wbić przeciwnikowi mózg w kręgosłup. Nie zrażony tym ciągnąłem dalej:

— Ja przeciwnie, zazwyczaj mówię swoim uczniom to, czym absolutnie słuchać nie chcą — i taka moja rola, jestem bowiem belfrem, a nie schlebiającym im szarlatanem. Chcę ich do tego świata przygotować, a nie pomagać od niego uciec.

Uspokoił się i wyduł wargi w lekceważącym grymasie.

— I myślisz, że będą cię za to kochać?

Czy ten facet naprawdę myślał, że potrafi mnie rozrobić na rzadko, jak któregoś ze swoich małolatów? Chyba za bardzo przyzwyczaił się do sukcesów. Westchnąłem z politowaniem.

— Nie płacą mi za uczucia, a za efekty. Nie dbam o uwielbienie moich uczniów, nie potrzebuję go, bo i nie prowadzę ich za sobą do ciemnej jaskini... miłość oraz fascynacja oślepiają i czarują, czynią z wolnego człowieka niewolnika. Gdzie jest Niżyński?

Na twarzy Gonza odbił się wyraz zniecierpliwienia.

— Przypiąłeś się do tego Niżyńskiego jak menel do belta. Spokojnie, niedługo się z nim spotkasz. Uważasz zatem, że ich zniewalam?

Nasza rozmowa stawała się coraz bardziej bezcelowa — nie przyszedłem tu na

pseudofilozoficzną dysputę. Gonzo wiał się jak piskorz, uciekając od naprawdę interesujących kwestii. Reszta była bełkotem — ale skoro sobie tego życzył...

— Oczywiście. Najłatwiej zniewolić człowieka, wmawiając mu, że jest absolutnie wolny. To stary mechanizm, świetnie wypróbowany już przez Stalina — tyle, że oni o tym nie wiedzą, bo i nie chcą wiedzieć. W tym pokoleniu zanika pamięć historyczna. Są jak czysta tablica, na której każdy może pisać, co mu się żywnie podoba. To przecież niewolnictwo.

— I ty ich uczysz wolności prawdziwej? — pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Tak, ponieważ wolność jest owocem starcia przeciwności — ręka, w której trzymałem szklankę, odrobinę mi zdrętwiała. Uniosłem ją do góry i zacząłem gimnastykować, rytmicznie zaciskając w pięść. — Zadaniem rasowego belfra. — rasowego, powtarzam — jest zmuszenie ucznia do zajęcia samodzielnej pozycji, nawet w opozycji do nauczyciela. Ty robisz dokładnie odwrotnie, podporządkowujesz sobie wyznawców w imię nadrzędnych racji. Co chcesz zrobić z ludźmi, których zakwalifikowałeś do ewakuacji? Jak chcesz ich wysłać na te cudowną planetę, Bandalaj?

Gonzo znowu nic nie odpowiedział i sięgnął po swoją szklankę. Gimnastyka ręki niewiele pomagała, czułem że zdrętwienie obejmuje mi prawe ramię i promieniuje ku szyi. Chciałem wstać, ale nie mogłem ruszyć się z miejsca. Tamten tymczasem spokojnie dokończył piwo, odstawił szklankę i mrugnął na Klucznika, który nieznacznie skinął głową. Usiłowałem coś powiedzieć, ale w ustach zamiast języka miałem kawałek drewna. Z trudem obróciłem głowę w stronę Once — siedziała zgarbiona, rozpuszczone włosy zasłaniały jej twarz. Nie tknęła piwa, które przed nią stało — podobnie jak i Klucznik.

— Tak, tak — potwierdził z westchnieniem Gonzo. — Biotoksyna w drinku, greps prosty, ale zawsze skuteczny. Oczywiście próbowałeś temu zapobiec, zmieniając szklanki, z tym, że ja wziąłem antidotum. Ludzi, którzy zbyt blisko zbliżyli się do prawdy, zwykła ona powalać. Żegnaj, profesorze.

Nie byłem w stanie nawet zamknąć oczu. — Klucznik wstał i przechodząc obok mego krzesła, zahaczył o nie nogą. Z hukiem zwałem się na podłogę.

Przekręciłem w bok głowę, aby tylko nie widzieć tej unoszącej się nade mną mordy. Szczęknęły drzwi i z tunelu wynurzył się Klucznik, wioząc na szpitalnym wózku opakowane w foliowy worek ciało.

— Chciałeś wiedzieć, co się stało z Niżyńskim? — tchnął mi Gonzo wprost do ucha. — Zrobię więcej, masz moje słowo, że będziesz z nim do końca.

Jakiego końca? — chciałem zapytać, ale język odmówił mi posłuszeństwa i wydałem z siebie jedynie nieartykułowany bełkot. Widocznie toksyna najdłużej paraliżowała organy mowy. Klucznik ustawił wózek pod ścianą i spojrzał pytająco na Gonza. Ten pokazał mu jakiś gest, którego nie dostrzegłem. Klucznik odwrócił się i wyszedł.

Gonzo energicznie złapał za prowadnice kół swego inwalidzkiego wózka i z szumem podjechał do noszy z owiniętym w plastik ciałem. Chwycił za poręcze wózka, uniósł się i spojrzał leżącemu w twarz. Pokręcił z zadowoleniem głową.

— Moi odbiorcy będą w pełni usatysfakcjonowani — powiedział głośno. — Dwa zdrowe okazy, w pełni sił. Piękna zaiste para, wiarołomny uczeń i jego pełen poświęcenia nauczyciel — szydził.

— Dlaczego nie pytałeś o błyszczaków?

Milczałem, bo i tak nie mogłem odpowiedzieć. Zamiast języka czułem kostkę pumeksu.

— Może nie zdążyłeś? — dywagował dalej — A właściwie, po co ci to wiedzieć?

Odsunął się od noszy, na których leżał Niżyński, i wyjechał na środek pomieszczenia, tuż pod wentylator — szerokie skrzydła wiatraka rzucały na niego smugi gęstego cienia. Jego krępa sylwetka

to wynurzała się, to znów znikwała w ciemności.

— Ziemia jest zbudowana jak rosyjska babuszka, z kilku wewnętrznych skorup. Oni pochodzą z tej ostatniej, siódmej, licząc od naszej. My zwykliśmy nazywać to miejsce Piekieł. W ich języku zwie się ono Bandalaj.

Zaśmiał się chrapliwie. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął papierosa.

— Chcesz może zapalić? — spytał. Pokręciłem przecząco głową. Gonzo pstryknął zapalniczką, przypalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Palił szybko, mach za machem.

— Aczkolwiek z drugiej strony równie dobrze mogą być to międzygwiazdni handlarze, podróżujący po kosmosie celem zebrania ciekawej kolekcji istot zamieszkujących obrzeża galaktyki. Wyobraź sobie, że tam też wynaleźli zoo. Będziesz pięknym okazem w Bandalaj City.

Odrzucił niedopałek w kąt. Bawił się ze mną, jak kot z myszą. Niestety, raczej nie mogłem mu tego zabronić. Pod czaszką tłukła mi się opętańczo jedna przerażająca myśl: co ten skurwiel chce ze mną zrobić?

— Ale też równie dobrze mogą być to ofiary tajnego eksperymentu genetycznego o kryptonimie „Bandalaj” — mutanci zyskali, co prawda, pewne niezwykle możliwości, ale szybko się zużywają i potrzebują części zamiennych. A człowieka można przecież rozmontować jak samochód. Mam nadzieję, że okażesz się przydatny.

Nie chciało mi się już tego słuchać — obróciłem głowę i zamknąłem oczy. Znowu szczęknęły drzwi, to chyba wrócił Klucznik. Skrzypnęło obracane koło i w nozdrza uderzył mnie słodko–mdlący odór. Ktoś podciągnął mi rękaw koszuli. Poczulem ukłucie. Odrętwienie, które prawie już minęło, zaczęło gwałtownie wracać. Gonzo przysunął się tak blisko, że czułem na policzku jego gorący oddech.

— A może to po prostu ukryty zakątek sieci, wirtualny Eden, w którym przetrzymuję moje owieczki, nim z ich ciałami zrobię to, co zechcę? Jedno mogę ci obiecać — tchnął mi wprost w ucho. — Nim naprawdę się skończysz, będziesz wiedział. Wszystko, tak jak chciałeś. Choć nie wiem po co — czy jest coś smutniejszego niż rozwiana do końca tajemnica? Do zobaczenia na Bandalaj!

Nim zdążyłem się zastanowić nad jego ostatnimi słowami, przestałem słyszeć i czuć cokolwiek, tyle tylko, że coś pchnęło do przodu mój wózek i runąłem w przepaść. Ogarnięty kokonem ciszy i ciemności, spadałem w otchłań. Z jej dna wznosił się ku mnie tryumfalny śpiew szczurołapa. Potem już nic.

Znajdowałem się, jakby w środku gigantycznej bani wypełnionej sinoniebieską wodą morską o niezwyklej wprost przejrzystości. A może była to gruba tafla ołowiowego szkła, podbarwiona bijącą z góry upiorną poświatą? Zdawała się pochłaniać światła stojących na skrzyżowaniu samochodów — miałem wrażenie, że ciemne, burzowe chmury wiszą nie wyżej jak dwadzieścia metrów nad jezdnią. Świat zamarł w bezruchu, wszyscy zdawali się na coś czekać — wreszcie u góry błysnęło coś pomarańczowego, lunęły strugi deszczu, na sygnalizatorze światła zmieniły się na zielone i samochody ruszyły ławą do przodu. Na twarzy poczułem mokry podmuch — nie był to zatem wirtualny spektakl.

Uratowała mnie Once.

Odkleiliśmy się od słupa szerokiej arkady, spod której obserwowałem ulicę, i cofnąłem się nieco w głąb, chroniąc przed coraz intensywniejszym deszczem. Policja powiedziała mi, że tuż przed północą otrzymano anonimowy telefon — młody, dziewczęcy głos poinformował, że zostałem porwany wraz z jednym z uczniów i jesteśmy wiezieni w kierunku południowej granicy. Dyżurny policjant początkowo nie chciał w to wierzyć, ale dziewczyna podała moje nazwisko. Zadzwoił do

mnie — telefon z oczywistych powodów milczał, więc na wszelki wypadek kazał sprawdzić patrolom drogowym opisaną przez tajemniczą informatorkę furgonetkę.

Dwaj policjanci zauważyli ją w małej miejscowości na pogórzcu. Jechała boczną drogą w stronę wysokich gór. W kabinie kierowcy siedziało dwóch ludzi w ciemnych garniturach. Nie zareagowali na polecenie zatrzymania się i radiowóz podjął pościg. Po trzech kilometrach furgonetka wpadła w poślizg i wbiła się w zbocze kamienistego wzgórze. Z kabiny kierowcy zostały drzazgi — nie znaleziono jednak żadnych szczątków kierowcy ani siedzącego obok pasażera, policjanci mówili tylko o przezroczyście, mieniącym się w świetle śluzie, który pokrywał wszystko na kilka metrów wokół rozbitego wozu.

Ja i Marucha — ten okazał się chuderlawym blondynkiem o wystraszonej spojrzeniu — ocaleliśmy wyłącznie dlatego, że bardzo starannie zostaliśmy przytroczeni do umocowanych przy ścianach furgonetki noszy. Byliśmy wciąż nieprzytomni, a zatem rozluźnieni — impet uderzenia przepłynął przez nas, jak przez szmaciane lalki, jedynie Marucha nadwerżył sobie trochę obojczyk.

Oczywiście policja zażądała wyjaśnień — opowiedziałem im to, co uznałem za stosowne, milcząc o roli Once. To samo na moją prośbę zrobił Niżyński. Przeszukano mieszkanie Gonza, ale gość rozplątał się bez śladu, nie został po nim nawet śluz jak po błyszczakach. I żeby było jeszcze dowcipniej, tej samej nocy w „Katakumbach” wywaliło hydrant i w ciągu pół godziny klubowe podziemia znalazły się pod wodą. Zapewne zrobił to Klucznik — Gonzo umiał zacierać ślady. Zamknięto też klub z wirtualnymi grami, a jego właściciele ulotnili się równie tajemniczo.

Pozostała tylko Once. Pytałem ją rzecz jasna, dlaczego zadzwoniła na policję — odpowiedziała po dłuższym namyśle, że dlatego, jestem dobrym człowiekiem. Chciało mi się śmiać: w dzisiejszych czasach brzmiało to jak obelga.

Tym niemniej zrobiła to i ocaliła mą nieszczęsną, belferską dupę przed wycieczką na Bandalaj. Czyli właściwie gdzie? Tego jeszcze nie wiedziałem, ale mieliśmy czas na wyjaśnienia dużo czasu.

Z tyłu trzasnęły drzwi — obejrzałem się za siebie i zobaczyłem, że wychodzi ze sklepu z siatką pełną zakupów: pieczony kurczak, owoce, sałatki, butelka czerwonego wina. Tak to sobie wymyśliłem: romantyczna kolacja przy świecach. W gruncie rzeczy jestem bardzo sentymentalny.

— Idziemy? — spytała, wymachując siatką.

Tak, oczywiście, że pójdziemy. Zapalę świece i zjemy tego kurczaka, pijąc czerwone wino i patrząc sobie w oczy. Będę przy tym myślał o niej ale chyba przede wszystkim o Gonzu, z którym nie zakończyliśmy naszych rachunków. Jeszcze się spotkamy, wiedziałem o tym — podobnie jak i on. Musimy wreszcie rozstrzygnąć, kto z nas jest lepszym belfrem i komu należy się uczniowski rząd dusz.

Ciekawe, o czym pomyśli Once, gdy będzie na mnie patrzeć tymi długimi, egipskimi oczyma? O mnie? O Gonzu? O tym co zrobiła? Co nas jeszcze czeka? Doprawdy, tego się chyba nigdy nie dowiem. Nawet gdybym dumał o tym do samego końca świata.

Choć wiem, co stanie się potem. Tak, wreszcie to zrobimy. I to nie raz... wiele razy. I nie z Once. Z Inaną.

Mirosław P. Jabłoński

Droga do Saliny

NIGDY NIE POZNASZ PRAWDY

*Ekumeniczna Agencja Informacyjna. Wczoraj o godzinie 12 czasu watykańskiego przyleciał do Warszawy nowy dyrektor filii amerykańskiego Federalnego Biura Śledczego (FBI) na Europę Środkowowschodnią, słynny agent **Mox Fulder**. Nowego namiestnika USA powitali na lotnisku Dożywotni Minister Spraw Wewnętrznych i Administracji Leszek Filler; kapelan połowy Policji Państwowej arcybiskup generał Feliks Nalej–Słódź; córka Jaśnie Pana Prezydenta; ambasador USA Wodzi Rey–Konopka; przedstawiciele partii politycznej oraz licznie zgromadzeni mieszkańcy Stolicy. Po oficjalnym powitaniu w salonach korpusu dyplomatycznego Okęcia, nowy dyrektor i witający go oficjale udali się do restauracji Geslera na Rynku Starego Miasta na bankiet wydany na koszt Ambasady Amerykańskiej...*

WARSZAWA, EUROPA ŚRODKOWO–WSCHODNIA FILIA FBI, 11.05 A.M.

Fulder, szef filii FBI na Europę Środkowowschodnią, poprawił zimny kompres na bolącą głowę i odrzucił gazetę na biurko. Gazeta była sprzed miesiąca, ale ciągle się łudził, że wyczyta w niej coś nowego. Natomiast kac był, jak najbardziej, po wczorajszym. Odsunął się z fotelem od biurka i oparł nogi na jego blacie. Spojrzał przez okno. Pod nim rozpościerała się Warszawa. Jego gabinet znajdował się na dwudziestym siódmym piętrze Pałacu Teologii i Wiary im. św. Józefa. Był u siebie, ale nadal czegoś mu brakowało. Zdjął nogi z biurka, mokry ręcznik, który zagrzał się już nieprzyjemnie rzucił na podłogę i otworzył szufladę. Mebel był stary, drewniany, pamiętający czasy batuszki Józefa Stalina, który pałac ufundował. Szuflada zacięła się i Mox, szarpiąc się z nią, przeciągnął biurko dobre pół metra. Wreszcie puściła. Fulder zanurzył w niej dłonie, wyszperał taśmę klejącą i podszedł z nią do okna. Na szybie nakleił wielki znak — „igrek” Od razu przybyło tajemniczości i poczucia zagrożenia. Nikt nie wiedział, dlaczego Fulder nakleja wszędzie to „Y”, nawet on sam, ale wywoływana przez ten prosty akt atmosfera pomagała mu myśleć. Tak jest dobrze. Od razu wiedział, co ma zrobić. Wyjął telefon komórkowy i wystukał dawno nie używany numer.

— *It's me* — powiedział świadom, że jak zawsze zostanie bezbłędnie rozpoznany. — To ja.

— Mok? — spytała Dully — Gdzie jesteś?

Nie rozmawiali ze sobą od ponad dziesięciu lat, w czasie których ich drogi się rozeszły. Sana odsunęła się od świata po tym, gdy urodziła dziecko kosmity — dlatego Fulder przestał jej ufać. Sanę bardzo to zabolalo i odsunęła się od świata jeszcze bardziej, tak bardzo, że FBI nie potrafiło jej znaleźć. Nawet teraz Fulder nie wiedział, gdzie Sana ukrywa się ze swoim zielonym bękartem. Najbardziej złościł go fakt, że nie chciała mu powiedzieć, jak to się stało (że zaszła w ciążę z kosmitą). Mox przez całe życie poszukiwał Obcych, a oto najbliższa mu współpracowniczka najwyraźniej poprowadziła w tej sprawie dochodzenie na własną rękę. I to śledztwo niewątpliwie

ukoronowane powodzeniem.

Natomiast Fulder, po awansie na wicedyrektora FBI (zajął miejsce Skutera, który został wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych), rozbudował Archiwum Y tak bardzo, że w końcu Biuro nie zajmowało się już niczym innym jak tylko poszukiwaniem duchów, UFO, rosyjskich klonów i zabójczych, samoorganizujących się glonów, dlatego też klasyczna przestępczość wzrosła do tego stopnia, iż Fulder dostał od wiceprezydenta Skutera takiego kopa w tyłek, że ciupasem znalazł się w Warszawie.

— W Warszawie — powiedział.

— Gdzie to jest? — chciała wiedzieć pedantyczna Sana; w szkole i w Akademii FBI zawsze była ceterką.

— W Europie, to stolica Stanów Zjednoczonych NRP, naszego sojusznika.

— Już wiem — przerwała mu, pragnąc pochwalić się swą wiedzą. — W skład Stanów Zjednoczonych Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej wchodzi Polska, Litwa, Słowacja, Zachodnia Ukraina i Białoruś. Tylko co ty tam robisz?

— To sprawa z naszego Archiwum — zagał tajemniczo.

— Och, Mox, daj spokój! Przecież sam powiedziałaś, że po tym, co się stało, kosmici nie mogą już być dla mnie tajemnicą!

— Przepraszam, Sana. Jesteś mi potrzebna.

— Jak zawsze. Przylatuję najbliższym samolotem.

MIĘDZYNARODOWE LOTNISKO OKĘCIE, HALA PRZYLOTÓW IM. ARCHANIOŁA GABRIELA, 10.15 P.M.

Przyleciała po tygodniu. Najwyraźniej tam, gdzie się ukrywała, nie było regularnych połączeń z Najjaśniejszą. W tym czasie Mox okrzepł w nowym miejscu (poprzednia filia Biura mieściła się w budynku Ambasady Amerykańskiej), obudził z uspienia kilku byłych agentów i zebrał trochę nowych faktów do sprawy. Wyrzucił także drewniane biurko, które trzeba było porąbać, gdyż nie mieściło się w drzwiach — wyglądało na to, że Pałac Teologii i Wiary, dawniej Kultury i Nauki, zbudowano pod tym meblem i wokół niego.

Dla niepoznaki Dully przyleciała nocnym rejssem z Reykjavíku i Fulderowi się zdawało, że przywiozła ze sobą fragment zorzy polarnej — włosy Sany fosforyzowały fioletową poświatą. Na jej widok kilku polonusów zza oceanu na wszelki wypadek przeżegnało się — nie wiedzieć, czy od uroku złego ducha, czy też uznając Sanę za otoczoną nimbem świętą, natomiast celnik Najjaśniejszej pokiwał na agentkę specjalną palcem, i powiedział:

— *Nu, pakażi czto tam imiejesz, zapadnaja bladzi!*

Fulder wyratował ją z opresji, błyskając swą odznaką i rugając funkcjonariusza po polsku.

Kiedy siedzieli już w samochodzie, Sana powiedziała:

— Nie wiedziałam, że znasz polski.

— Moj dziadek nazywał się Mietek Fulderski, był piaskarzem znad Wisły. Mieszkał na Powiślu. Co się stało z twoimi włosami, Sana?

— A z twoimi?

Siedziała obok niego, więc widziała, że chociaż nadal ma bujną czuprynę (mimo, iż lekko szpakowata), to z prawej strony, ponad skronią, włosy Fuldera są wyraźnie uszczuplone, jakby jakiś nieostrożny fryzjer nieuważnie ciachnął nożycami. Albo jakby ktoś chciał wydrzeć Moxowi garść kłaków.

— Kobieta? — poddała.

— Potem ci powiem. To ma związek ze sprawą. Najpierw musisz się z nią zapoznać.

Ze schowka na rękawiczki wyjął cienką teczkę i rzucił ją Sanie na kolana.

— Masz, przestuduj to w nocy. Na razie wynająłem ci miejsce w Hotelu pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny, dawniejszym Mariottcie.

HOTEL POD WEZWANIEM NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY, WARSZAWA, 2.15 A.M.

DULLY:

Wejdiesz, Fulder?

FULDER:

Nie, dziękuję, Sana. Mam mnóstwo roboty. Dobranoc.

MIEJSCE JAK WYŻEJ. 2.16 A.M.

— *A tak prywatnie, wejdiesz, stary? — zapytała aktorka.*

— *Nie, dzięki Jutro od rana mam zdjęcia. Muszę powtórzyć tekst.*

WARSZAWA, EUROPA ŚRODKOWO–WSCHODNIA, FILIA FBI, 9.30 A.M.

— Ktoś mnie śledził — powiedziała Sana rano, rzucając teczkę na biurko Fuldera — Od hotelu aż tutaj.

(AKTOR zauważa, że cienie z niewyspania pod oczami AKTORKI zostały skutecznie zapacykowane. Dziewczyna nie wyspała się, bo udało jej się zwabić do pokoju pracownika room servisu, który do rana fachowo wykonał usługę)

— Papierośnik czy Srajiček?

— Papierośnik nie żyje, a Srajiček jest szefem naszej komórki w Pradze. Powinieneś to wiedzieć. Szła za mną jakaś postać w szarym habicie.

— To standard — skrzywił się Fulder. — Miejscowa rutynowa procedura Kościelnego Urzędu Ochrony Państwa — odpowiednika naszej Firmy. Nawet nie wiadomo, czy w ogóle byłaś śledzona.

Wzruszyła ramionami.

— Jak to? Szedł za mną...

— Szedł? A może szła lub szli? Widzisz, na tym polega ich system — śledzącego widać jak na dłoni. Z drugiej strony — jednakowe przebranie ich agentów nie wyklucza, że podczas tropienia cię inwigilujący mogli się zmienić nawet kilka razy. Śledziło cię wielu, więc w zasadzie nikt. Poza tym, śledzono może kogoś całkiem innego; kogoś, kto naprawdę cię tropił, tylko ty, zauroczona postacią w habicie, nie zauważyłaś go. Mogło to być także — przepraszam za wyrażenie — podwójne krycie. Ten — lub ci — w habicie mieli za zadanie odwrócić twoją uwagę od rzeczywistego szpicla.

— Ale po co, skoro i tak zaszli za mną aż tutaj?

Fulder ponownie wzruszył ramionami.

— To ich system, nie nasz — powiedział, jakby to cokolwiek wyjaśniało. — Zapoznałaś się z aktami?

— Tak...

— I?

— To nie są akta tylko wyciąg z rocznika statystycznego. Dane demograficzne. Średnia długość życia mężczyzn i kobiet. Umieralność dzieci. Liczba zgonów. Ilość samobójstw na sto tysięcy mieszkańców. Ta ostatnia zdaje się niepokojąco wzrastać, szczególnie w wielkich miastach i

rejonach uprzemysłowionych. To nic zaskakującego — Polacy równają do średniej światowej. Jeszcze do niedawna komunizm oraz niższy poziom cywilizacyjny chronił ich przed wyzwaniem współczesności, przed stresem, jaki w systemie kapitalistycznym niesie ze sobą walka o byt. Teraz to się zmieniło. Zanieczyszczenie środowiska i wcześniej miało znaczenie, ale przy jednoczesnym występowaniu kilku elementów w grę wchodzi zjawisko synergizmu.

— To znaczy?

— Działanie czynników nie sumuje się algebraicznie, ale wzmacniają się one wzajemnie, co powoduje, że skutek ich działania rośnie czasem niemal wykładniczo. Rozkład liczby samobójstw, jak chodzi o grupy wiekowe, także nie odbiega od średniej dla krajów wysoko uprzemysłowionych.

Fulder sięgnął do szuflady nowoczesnego biurka (którego szuflada z niewiadomych powodów również się zacięła) i rzucił na jego blat kilka cieniutkich teczek o przezroczystych okładkach, założonych w punkcie przy Marszałkowskiej — „XERO, pieczętowanie, foliowanie, bindowanie”

— A to?

Przejrzała pobieżnie ich zawartość i podniosła głowę.

— Nie widzę nic dziwnego w tym, że śmiertelnie chorzy ludzie odbierają sobie życie.

— Ja także nie. Pod warunkiem, iż wiedzą o tym, że są chorzy.

Wyjął rewolwer i wysypał z niego naboje, pozostawiając w magazynku tylko jeden. Zgrabnym ruchem nadgarstka zatrzasnął bębenek i zakręcił nim z grzechotem.

— Rosyjska ruletka? — domyśliła się Sana.

Skinął głową i przystawił sobie lufę do prawej skroni.

— Podbij mi rękę, jeśli dojdiesz do wniosku, że może paść strzał.

— Zwariowałeś, Mox...

Nacisnął spust. Suchy trzask. Zakręcił bębenkiem, dotknął lufą głowy. Znowu pusty. Za trzecim razem Sana rzuciła się przez biurko, podbijając Foxowi dłoń z rewolwerem. Padł strzał, kula strzaskała szybę i trafiła lecącego za oknem gołębia. W pomieszczeniu rozszedł się swąd kordytu i palonych włosów. A więc to stąd, pomyślała Dully.

— Chodźmy — powiedział Fulder, ładując ponownie rewolwer. — Musisz zbadać tego gołębia.

UNIwersytet Warszawski, Katedra Ornitologii im. Św. Franciszka z Asyżu, 11.20 A.M.

Na stole leży ścierwo gołębia. Dully, w zielonym czepku, fartuchu i twarzowych pomarańczowych okularach ochronnych, obmacuje zwłoki dłońmi w chirurgicznych rękawiczkach. Ptak nie ma głowy, którą urwał pocisk. Po upadku z wysokości dwudziestu siedmiu pięter ścierwo nie wymaga użycia skalpela — gołąb przypomina pizzę wampira. Fulder patrzy na to zza szybki w drzwiach — pancernej, pionowej, zbrojonej drucikiem.

DULLY /do dyktafonu/.

Gołąb, odmiana miejska, zdekapitowany i poddany defenestracji. Wiek — z siedem miesięcy. Samiec. Dość parszywy i brudny. Pasożyty skóry. Wnętrznosci mocno zaatakowane przez raka. Nie pożyłby długo.

KOSTNICA SZPITALA MIEJSKIEGO IMIENIA CZTERDZIESTU CZTERECH MILIONÓW MĘCZENNIKÓW REFORMY SŁUŻBY ZDROWIA, 0.25 A.M.

Fulder i Dully idą w głąb długiego i wąskiego po mieszczenia, którego ściany wydają się

wyłożone prostokątnymi panelami. Widziane z bliższa, panele okazują się krótszymi bokami skrzyń chłodniczych, zawierających zwłoki.

DULLY

Po co mnie tu przywiozłeś, Fulder?

Wysforowawszy się nieco do przodu, Mox odwraca się tak, żeby ukazać do kamery swój lepszy *en trois quarts*. Wykonuje szeroki gest, wskazując w głąb pomieszczenia.

FULDER:

Ci wszyscy ludzie zginęli w dramatycznych okolicznościach, Dully. W wypadkach, głównie samochodowych, ale także związanych z pracą... Popełnili samobójstwa lub stali się ofiarami zabójstw — zostali zastrzeleni, wysadzeni w powietrze, utopieni... Są tu zwłoki dzieci, które wpadły do dołów z wapnem, wjechały pod auto na deskorolkach, wypadły z okien i balkonów, rozbrajały niewypały lub zostały zamordowane przez swoich kolegów...

Idąc przed siebie, Fulder wysuwa, na pozór przypadkowo, kolejne skrzynie chłodnicze, które wyjeżdżają na zewnątrz z odgłosem charakterystycznym dla dobrze naoliwionych przewodnic, sponad oświetlonego na niebiesko wnętrza szuflad unoszą się białe, mroźne obłoki.

FULDER:

Jest tu trzech żołnierzy zastrzelonych na warcie przez przełożonego zdradzonego przez żonę... Herszt gangu, który udławił się ością. Bezdomy pijaczek, ugotowany na miękko w kanale ciągu ciepłowniczego, w którym puściła wadliwie założona uszczelka pod kryzami łączonych rur.

Dully, idąc za Fulderem, wsuwa z powrotem wyciągnięte przez niego szuflady

FULDER:

Chcę, żebyś zbadała wszystkie te ciała i odkryła, co ofiary mają ze sobą wspólnego.

Fulder wychodzi przez drzwi na końcu pomieszczenia.

DULLY /na poły do siebie/

Skąd wiesz, że coś je łączy?

FULDER /off/:

Mam takie dziwne wrażenie.

Przejdźcie na:

SŁUŻBOWE MIESZKANIE FULDERA, LOKALIZACJA UTAJNIONA, 8.03 A.M.

Fulder jeszcze spał, kiedy zadzwonił telefon. Mox wysunął rękę spod kołdry, którą był przykryty wraz z głową, ujął słuchawkę i wciągnął ją pod okrycie.

— Fulder — powiedział słumionym, zaspanym głosem.

— Agent Fulder? — upewnił się rozmówca.

— Agent specjalny Fulder — sprecyzował Mox, żeby udaremnić dalsze pytania. — Agent specjalny Mox Fulder. Ale imienia prawie nie używam. Przyjaciele mówią mi po nazwisku. Skąd pan zna mój numer telefonu?

— My wiemy wszystko.

Zaintrygowany Fulder wysunął spod kołdry głowę i trzymając słuchawkę przy uchu, rozejrzał się bacznie po pokoju.

— My...? — zawiesił głos

— Tak. Dotarło do mnie, że interesuje pana zjawisko nagłych śmierci. W związku z tym chciałbym panu coś pokazać.

— Śmierć?

W słuchawce rozległ się śmiech, przechodzący w suchy kaszel.

— Coś dużo ciekawszego. Samochód przyjedzie po pana o dwudziestej.

POKÓJ HOTELOWY. WIECZÓR.

Sana siedzi przed rozłożonym na stoliku laptopem. Wystukuje na nim swój raport. Kamera jedzie łukiem za plecami siedzącej, z lewa na prawo, pod koniec ujęcia ogniskując się na monitorze urządzenia i klawiaturze, po której szybko biegają palce Dully.

SANA /off/:

Po zbadaniu, na polecenie agenta specjalnego Moxa Fuldera, osiemnastu ciał ofiar wybranych losowo spośród dwustu sześćdziesięciu jeden zwłok ludzi rasy białej, zmarłych w nagły sposób, doszłam początkowo do wniosku, że nic tych wypadków śmierci nie łączy. Ofiary są w różnym wieku, pochodziły z odmiennych grup społecznych, miały rozmaite zawody i — o ile można być pewnym danych miejscowej policji — nie znały się ani nie łączyły ich żadnego rodzaju związki, łącznie z przestępczymi. Dane na temat dwustu sześćdziesięciu jeden zmarłych, wprowadzone do komputera i zbadane przy pomocy programu „Parka 3 — Antropos”, również nie ujawniły żadnych statystycznych regularności. Ten sam wynik dało zastosowanie programu „Parka 1 — Kloto”, badającego dotychczasowe życie ofiar, oraz „Parka 2 — Lachesis”, sprawdzającego zależności pomiędzy przodkami ofiar. Wszystkie trzy programy nie znalazły żadnych zależności wykraczających poza dopuszczalny błąd statystyczny. (W dwóch ostatnich wypadkach winić za to można fragmentaryczność danych na temat ofiar oraz biografii ich wraz z ich rodzin, jakie udało się zebrać w tak krótkim czasie. Jednak w świetle dalszych odkryć, o których za chwilę, powtórzenie badań z zastosowaniem dokładniejszych danych jest zbędne.) Spośród dwustu sześćdziesięciu jeden ciał znajdujących się w kostnicy Szpitala Miejskiego imienia Czterdziestu Milionów Męczenników Reformy Służby Zdrowia, do przeprowadzenia dokładnych badań medycznych komputer wybrał losowo osiemnaście. Zgodnie z rozkładem statystycznym w całej grupie, pięć ciał było kobiecych, a trzynaście męskich. Pięć (jedna kobieta i czterech mężczyzn) pochodziło z grupy wiekowej 51–70 lat, dwa (męskie) z grupy 41–50 lat, sześć (jedno kobiecie, pięć męskich) z grupy 26–40 lat, trzy (2 kobiece, jedno męskie) z grupy wiekowej 16–25 lat, dwa (1+1) z grupy wiekowej 0–15 lat. Zgodnie z rozkładem statystycznym, panującym w całej populacji 261 ciał, pięcioro zmarłych popełniło samobójstwo, trzy ofiary zostały zamordowane, sześcioro padło ofiarami rozmaitych wypadków, a przyczyna zgonu czterech ofiar pozostawała nieznana. Zagadka wyjaśniła się.

Obraz rozmazuje się i przechodzi w stop klatkę. Dźwięk jękliwie zamiera. Potem z rozjaśnienia

wyłania się wewnątrz studia filmowego, a w nim postać REŻYSERA w baseballówce z napisem „Fuck off everybody” na głowie

REŻYSER /off/:

Kamera stop! Co to jest, do kurwy nędzy?! Serial o Głównym Urzędzie Statystycznym czy o Archiwum Y? Script, dawaj tu migiem scenarzystę!

Szczupła, myszowata dziewczyna z elektronicznym klapssem w dłoni idzie do reżyserki studia, w której zastaje DRUGIEGO REŻYSERA i SCENARZYSTĘ. Na monitorach podglądu, na których zasadniczo mieli obserwować akcję w studiu, oglądają mecz o mistrzostwo Najjaśniejszej pomiędzy zespołami Solorz–Polsat FC i Iskrownikiem Kijów.

KOMENTATOR /off/:

Wnimanje, tepier futbolnoj mjacz pa polasatowej staranie.

SCRIPT /do SCENARZYSTY/ Stary chce cię widzieć

Idąc bokiem i odwracając cały czas twarz do ekranu monitora, SCENARZYSTA wychodzi z reżyserki. Potykając się o kable, podchodzi do stołeczka z napisem REŻYSER, na którym to stołeczku siedzi REŻYSER.

SCENARZYSTA

Co jest?

REŻYSER

Za długie. Trzeba skrócie monolog Sany.

SCENARZYSTA

Nie da rady. Ona ma to w kontrakcie. Należy się jej trzyminutowy monolog w każdym odcinku Aha, Iskrownik prowadzi dwa jeden.

SCENARZYSTA odwraca się i odchodzi REŻYSER ma taką minę, jakby miał się rozplakać, a potem podnosi tubę do ust i mówi:

REŻYSER /płaczliwie/:

Kamera! Kręcimy!

Obraz i dźwięk ruszają jednocześnie — obraz początkowo jest rozmazany, bo taśma dopiero się rozpędza, dźwięk z tej samej przyczyny — jękliwy.

SANA /kontynuuje/:

...wówczas, gdy dowiedziałam się, iż z braku środków finansowych nie przeprowadzono do tej pory autopsji niemal jednej piątej z całkowitej ilości znajdujących się w kostnicy zwłok. Dokonałam więc sekcji osiemnastu ciał, zaczynając od owych czterech zagadkowych zgonów, przy czym okazało się, można je zaklasyfikować (nie znając innych okoliczności), jako ofiary samobójstwa, wypadku bądź morderstwa — wszystkie legły śmiertelnemu zatruciu (w jednym przypadku grzybami). Nie wnikając w to, jakich działań wynikiem była ich śmierć, przeprowadziłam (powtórna) autopsję pozostałych czternastu ciał, nie znajdując żadnych łączących je statystycznie regularności ani znaczących przeoczeń miejscowej społecznej służby zdrowia. Pobrałam próbki organów wewnętrznych do dalszych badań laboratoryjnych. Na ich podstawie, oraz dzięki temu, co stwierdziłam podczas sekcji osiemnastu losowo wybranych zwłok, mogę stwierdzić, co następuje:

Wniosek 1: spośród osiemnastu pięcioro (czterej mężczyźni i jedna kobieta) cierpiało za życia na mniej lub bardziej zaawansowane choroby nowotworowe, troje (dwaj mężczyźni, jedna kobieta) było nosicielami HIV, jedno (mężczyzna) cierpiało na złośliwy przerost prostaty, cztery (trzy kobiety, jeden mężczyzna) miało zaawansowaną osteoporozę, a u pozostałych (sami mężczyźni) stwierdziłam istnienie genetycznych skłonności do wystąpienia w najbliższym czasie śmiertelnych lub

przewlekłych chorób (białaczka, stwardnienie rozsiane, choroba Parkinsona).

Wniosek 2: na powyższej podstawie stwierdzam — choć zaprzecza to statystyce — iż wszyscy gwałtownie zmarli byli — lub niebawem mieli być — poważnie chorzy.

Przejdźcie na

WARSZAWA — MOKOTÓW. PRZED UTAJNIONYM MIESZKANIEM FULDERA. 7.59 P.M.

Kiedy Fulder wyszedł z bloku, w którym FBI wynajmowało mu służbowe, tajne mieszkanie, od razu spostrzegł czekający na niego samochód — długą, czarną, błyszczącą limuzynę lincoln Continental, jaką w jego kraju jeździli przedstawiciele rządu lub mafii. Kiedy podszedł do tylnych drzwi, te odskoczyły usłużnie. Pociągnął za klamkę i ciekawie zajrzał do wnętrza. Na tylnym siedzeniu, zagubiona w jego ogromie, kuliła się drobna postać w habitcie.

— Niech pan wsiada, Mox — powiedział zakonnik i zakasłał znajomo. — Nie mamy dużo czasu.

Fulder wsiadł posłusznie. Kierowca, którego okryta kapturem głowa ledwo majaczyła za przyciemnioną, rozdzielającą obie części pojazdu szybą, ruszył natychmiast.

— Jestem ojciec Matuzalem — przedstawił się gospodarz Fuldera.

— Z? — podrzucił Mox chytrze.

Ojciec Matuzalem uśmiechnął się pobłaźliwie i Fulder zrozumiał, że podobne sztuczki nie działają na kogoś, kogo wspiera dwa tysiące lat tradycji unikania bezpośrednich odpowiedzi.

— Z KUOP? — dokończył więc za tamtego.

— Powiedzmy, że jestem nieco głębiej zakonspirowany. Ten sam uśmieszek na gładkiej, choć zdecydowanie wiekowej twarzy zakonnika. Mox przyjrzał mu się uważnie. Ojciec Matuzalem był właściwie cały szary — szara, niczym nie wyróżniająca się twarz, szary habit, stalowoszare włosy — Fulderowi przypominał mistrza Jodę z „Gwiezdných wojen”, a ponieważ wychował się na tym filmie, Mox poczuł do rozmówcy irracjonalną sympatię.

— Działa pan... to znaczy ojciec, na własną rękę, czy z czyjegoś upoważnienia?

Ojciec Matuzalem przymknął oczy i stał się jeszcze bardziej podobny do Jody. Dłonie skrywał w rękawach habitu i Fulder — starając się zachować czujność i nie poddać ogarniającej go sympatii — zastanawiał się, czy zakonnik pieści tam palcami paciorki różańca czy laserowy miecz.

— Doniesiono mi, że nakleił pan „igrek” na szybie — powiedział mnich na poły bez związku — a to znaczy, że chce pan wiedzieć dlaczego*. Ja także.

Mox zastanowił się nad słowami zakonnika. Nie tylko niczego nie wyjaśniały, ale niosły dodatkową zagadkę — kto był w stanie wypatrzeć „Y” na szybie okna dwudziestego siódmego piętra Pałacu Teologii i Wiary im. Św. Józefa? Westchnął, jego życie składało się ze spotkań z podobnymi tajemnicami.

— My wiemy wszystko — odezwał się zakonnik, jakby czytając w myślach Fuldera.

— Dokąd jedziemy? — zainteresował się Mox.

— Na lotnisko.

Limuzyna przejechała obok odsuwającej się w bok bramy i podjechała do pomalowanego na biało śmigłowca „Orzeł Biały”. — Ojciec Matuzalem i Fulder wysiedli z lincolna i weszli na pokład maszyny, której wirnik zaczął się powoli obracać z wizgiem elektrycznego startera. Usiedli i przypięli się pasami do foteli. Matuzalem wyciągnął coś z przepastnego rękawa habitu i podał Fulderowi. Przekrzykując coraz głośniejszy huk, powiedział:

— Proszę to założyć na oczy.

Fulder przyjrzał się czarnej opasce. Na tyle, na ile się na tym znał, zdobiące je znaki były chaldejskim zaklęciem chroniącym przed okiem złego ducha.

GÓRY ŚWIĘTOKRZYSKIE. KLASZTOR BRACI ZMARTWYCHWSTAŃCÓW POD WEZWANIEM ŚW. ŁAZARZA. 9.15 P.M.

Śmigłowiec wylądował na dziedzińcu zabudowań klasztornych, wzbijając kłęb kurzu i podnosząc powyżej pasa habity oczekujących na niego braci zakonnych. Rotor zaczął stopniowo zwalniać, kiedy więc ojciec Matuzalem zdjął Fulderowi opaskę z oczu, zamorskiego gościa ominął ucieszny widok mnichów w podkasanych strojach. Pilot odwrócił się do pasażerów, i powiedział.

— Możecie wysiadać, ojcie Matuzalemie.

Zeskoczyli na brukowane kocimi łbami podwórze i kuląc się pod nadal silnym wiatrem, wywoływany przez helikopter, schyleni pobiegli ku krużgankom klasztoru. Kiedy znaleźli się tam, silnik maszyny zaryczał głośniejsze, śmigłowiec wzniósł się w powietrze, najpierw ciężko, a potem coraz szybciej, i po chwili wzbił się ponad dachy głównych zabudowań, by zniknąć za wieżą dzwonnicy.

— Chodźmy do refektarza — Matuzalem wskazał kierunek zapraszającym gestem. — Pewnie pan głodny.

Refektarz okazał się zimną, ponurą i ciemną izbą, w tej chwili — jako że było już po komplecie — zupełnie pustą. Długie drewniane stoły stały na kamiennej, wyfroterowanej do połysku posadzce, na której gumowe podeszwy butów Fuldera skrzypiały nieprzyjemnie.

— Siadajmy.

Przy dwóch miejscach u szczytu stołu znajdowało się coś, co można było nazwać nakryciami — drewniane talerze z czarnym chlebem, aluminiowe kubki, zawierające jakąś niezidentyfikowaną ciecz, a na mniejszych, wyszczerbionych talerzykach z fajansu, ozdobionych niebieskimi napisami „Centrala Spółdzielni Mleczarskich”, leżało trochę sera, po jednym pomidorze i połówce surowego ogórka.

— Kuchnia nasza niebogata — odezwał się Matuzalem — ale może tak jest lepiej, jeśli wziąć pod uwagę to, co pan później zobaczy. Choć, jak słyszałem, żołądek ma pan mocny.

Pozostawiając, jak zwykle, tę zagadkową uwagę bez wyjaśnień, zakonnik zmówił krótką, bezgłosną modlitwę, do której Fulder dorzucił grzecznościowe „amen”, po czym sięgnął po chleb. Żując, zastanawiał się, czy wypada zacząć rozmowę na temat celu, w jakim go tu przywieziono. W poszukiwaniu natchnienia rozglądał się po sali, dłużej zatrzymując wzrok na witrażu, przedstawiającym — jak się domyślał — zmartwychwstałego Łazarza, wychodzącego ze skalnego grobu. Witraż oświetlony był przez księżyc. Księżyc znajdował się w pełni.

— Czy mój żołądek i ten witraż mają ze sobą coś wspólnego? — zagadnął wreszcie milczącego mnicha.

— Wiele o panu słyszałem — odezwał się pozornie nie na temat ojciec Matuzalem, kładąc nacisk na słowo „słyszałem”. — Wiem, że umie pan kojarzyć fakty i ma otwarty umysł. Świadczy o tym choćby pańska fryzura.

Fulder odruchowo pogłaskał poprzepalane włosy, sterczące mu nad prawą skronią.

— Dostrzegł pan zewnętrzną manifestację pewnego tajemniczego zjawiska i swoim zwyczajem podążył tym tropem, nie bacząc na to, że pańskim zadaniem w tym kraju jest tropienie zorganizowanych grup przestępczych o międzynarodowych powiązaniach. Choćby kradnących w Stanach Zjednoczonych samochody i szmuglujących je na Wschód.

— Na przykład lincolny continentale? — uśmiechnął się Fulder.

— Na przykład — zakonnik skinął głową i także się uśmiechnął. — Tamten należy do Kurii Metropolitarnej. O ile wiem, został sprowadzony legalnie. Ale do rzeczy — my też (a mówiąc „my” mam na myśli Kościół), zauważyliśmy owo niepokojące pana zjawisko. Dużo wcześniej, muszę przyznać. W końcu to księża odprawiają pochówki, rejestrują zgony i prowadzą statystyki — dużo sprawniej niż GUS, gdyż nasze zestawienia dotyczą tylko pewnego wycinka życia kraju — narodzin, chrztów, bierzmowań, ślubów i śmierci — pozostawiając na boku koszty dopłat do wydobywania węgla, skali bezrobocia na wsi czy kominy płacowe w administracji państwowej. Obraz, jaki się z tych statystyk wyłania, potwierdza pańskie spostrzeżenia — umierają, na rozmaite sposoby, ludzie — nie chciałbym używać tego słowa, ale samo ciśnie się na usta — „wybrakowani” czy „niepełnowartościowi”. Choćby już ze sposobu, w jaki ich nazywam, wynika jasno, przed jakim problemem stanął Kościół, miłujący wszystkich ludzi jednakowo — nawet tych pokrzywdzonych i potrzebujących mocniej. Jednak dzieje się tak i nie możemy na to zjawisko zamykać oczu.

Ostatnio zaczęło występować coś jeszcze.

— Zaprowadzę pana teraz do pokoju, żeby pan odpoczął, i przyjdę przed północą — zakończył niespodziewanie swą wypowiedź o Matuzalem.

KATAKUMBY POD KAPLICĄ KLASZTORU ZMARTWYCHWSTAŃCÓW POD WEZWANIEM ŚW. ŁAZARZA, GÓRY ŚWIĘTOKRZYSKIE, 11.30 P.M.

Odsuwając dłonią zwisające z kamiennego stropu pajęczyny, ojciec Matuzalem prowadził Fuldera wąskim korytarzem, czy raczej tunelem wyflukanym w wapiennej skale i powiększonym rękoma człowieka. Nieco światła dawały rozmieszczone z rzadka lampy w odrutowanych oprawach z grubego szkła. Fulder miał swoją nieodłączną latarkę, na której była wygrawerowaną dedykacją *Fulderowi, żeby zawsze trafił do celu. Sana.*

Korytarz stopniowo rozszerzał się, dodatkowo wrażenie to potęgowały msze, w których znajdowały się zasuszone ciała byłych mieszkańców klasztoru Fulder wpuszczał od czasu do czasu snop światła do któregoś z zagłębień, wrywając z wiecznego mroku obrazy przysłoniętych kłębkami włosów czaszek, niekiedy pokrytych skorą, a czasem błyskających nagą kością, oraz zapadniętych ciał odzianych w zbutwiałe, brunatne, czy też po prostu brudne i zakurzone habity. Stopniowo, w miarę jak zagłębiali się w podziemne ostępy, Fulderowi wydawało się, że kryjące się w niszach ciała są coraz „młodsze”, to znaczy pochodzące z coraz mniej odległych czasów.

— Mumie przy wejściu są najstarsze — odezwał się przewodnik agenta specjalnego, jakby znowu czytając w jego myślach, oddech miał nieco świszczący. — Chowając swych współbraci, zakonnicy postępowali stopniowo od wejścia w głąb katakumb, tak że im dalej w las, tym „młodsze roczniki” — w głosie ojca Matuzalema zabrzmiało rozbawienie.

Doszli do miejsca, w którym korytarz rozdzielał się na trzy odnogi. Fulderowi otoczenie zaczęło przypominać sceny z *Przygód Tomka Sawyera*, kiedy to tytułowy bohater wędrował podziemną jaskinią w towarzystwie swej ukochanej Becky.

Zakonnik wyjął z zagłębienia w ścianie lampę naftową, zapalił ją i wybrawszy prawą odnogę korytarza, wszedł w nią bez dalszych wyjaśnień. Fulder odruchowo poświecił w głąb dwóch pozostałych chodników, ale nic nie zobaczył.

— ...tutaj będzie dobrze — dobiegł go stłumiony odległością głos ojca Matuzalema. — Poczekamy sobie trochę, zobaczymy.

Kiedy Mox dołączył do zakonnika, ten siedział na wieku jednej z odkrytych trumien, na której

postawił lampę i wpatrywał się w leżące w sąsiednich skrzyniach zwłoki. Ciała wyglądały nad wyraz „świeżo”.

— Długo? — spytał Fulder.

— To zależy...

Siedzieli. Czas się włókł, lampa kopciała, Fulder się nudził, przenosząc wzrok z jednego ciała na drugie. Zaczęło mu się zwidywać, iż jedno z nich nabrało żywszych kolorów. Odwrócił się do swego towarzysza i spostrzegł, że tamten obserwuje go spod oka.

— To brat Hilary. Miał dwadzieścia siedem lat, kiedy w 1955 roku zmarł na wirusowe zapalenie wątroby typu C. Zgromadziliśmy w tej pieczarze ciała zakonników, których rozmaite choroby zakaźne zabrały w sile wieku. Zmarli w różnym czasie — w osiemnastym, dziewiętnastym i dwudziestym wieku. Można by powiedzieć, że stopniowo dochodzą do siebie — w głosie ojca Matuzalema znów pojawiło się ledwo skrywane rozbawienie. — Niech pan mu się przyjrzy, agencie Fulder.

Mox spojrział na ciało, które wyraźnie się poruszyło. Właściwie poruszało się teraz cały czas — powierzchnię miejscami wciąż pergaminowej skóry przebiegały delikatne, szybkie drżenia, zbiegając się koncentrycznie w owych osłabionych miejscach, po czym skóra tam jędrniała i uwypuklała się, opinając regenerujące się mięśnie. Kadawer, choć ślepy, bo powieki nadal były zapadnięte, kryjące prawdopodobnie puste oczodoły, najwyraźniej usiłował się podnieść — usiąść czy wstać. Ręce i nogi wykonywały nieskoordynowane robocze ruchy, głowa — z chrzęstem kręgów szyjnych — miotała się z lewa na prawo, a z workowatego gardła i trzepoczących ust wydobywało się jakieś buczenie, które — osiągnąwszy dosyć znaczne natężenie — poczęło zamierać wraz z tym, jak ustawały oznaki owej nienaturalnej aktywności. Fulder czuł, że nad prawą skronią zjeżyły mu się włosy i odruchowo je przygładził. Jeszcze parę konwulsyjnych ruchów i ciało zamarło. Z sykiem uszło z niego powietrze, cielesna powłoka zapadła się w sobie i znieruchomiła.

— To już koniec na dzisiaj — powiedział ojciec Matuzalem; wstał, podniósł lampę i sprawdził godzinę na nowoczesnym, topornym elektronicznym zegarku, jakiego używają rajdowcy lub płetwonurkowie. — Dwunasta dwadzieścia pięć. Godzina duchów minęła. *Spiritus ubi vult spirat.*

— Co to znaczy?

— Duch kędy chce, tchnie. Ewangelia według świętego Jana, trzy, osiem.

Fulder rozejrzał się oszołomiony. W świetle jego latarki wszystkie ciała wydawały się teraz jednakowo stare i martwe. Cokolwiek tu się działo, już minęło.

— Co ja mam z tym wspólnego? — zapytał. — Ze zmartwychwstawaniem, duchami i Wulgatą? To chyba wasza działka, duchownych?

Ojciec Matuzalem usiadł ponownie, opierając lampę naftową na kolanie.

— Niech pan siada i słucha, panie Fulder. Wobec tego, co pan tu widział, istnieją w Kościele dwa stanowiska — pierwsze, że to cud, sprawa boska, którą mamy tylko obserwować i czekać, co się z tego wykluje, gdyż nieznane są wyroki Pańskie. I druga, że to także cud, ale sprawka Szatana — a pod tym określeniem kryje się wszystko, nauka, nieznane zjawiska przyrodnicze, najeźdźcy z kosmosu lub celowe oszustwo, mające na celu albo zdyskredytowanie Kościoła i świętej wiary w oczach wiernych, albo zdobycie przy pomocy fałszywego cudu nowych wyznawców, a potem owego cudu zdyskredytowanie. Ja należę do tego nurtu, który upatruje w tym zjawisku — najogólniej rzecz ujmując — działanie sił nieczystych. Stąd pańska tu obecność. Gdybym był bliższy pierwszemu stanowisku, leżałbym krzyżem w kaplicy, czekając na objawienie się bożego zamysłu.

— Czy to dzieje się także gdzie indziej?

Mnich wzruszył ramionami.

— Na tyle, na ile wiemy, to nie. Mamy tutaj, mówię o NRP, takie radio, „Radio Matka Boska”,

któremu przewodzi niejaki ksiądz Podgrzybek. Już on by roztrąbił na cały świat o tym cudzie, który od jakiegoś czasu „usiłuje zejść” o północy. Podczas pełni — może dlatego, że północ uważa się powszechnie za godzinę duchów, a pełnię za czas wilkołaków.

— Powszechnie?— przeciągnął Mox, nie wiedząc, co go w tym słowie zaintrygowało

— Coś panu przeczytam, agencie Fulder.

Zakonnik wyjął spod habitu mocno zniszczoną książkę i podniósłszy wyżej lampę, odczytał zaznaczony zakładką fragment:

„Mogę już mówić? Panie komisarzu, panie doktorze, mogę już? Miałem dobrą latarkę, żona mi ją dała, temu rok, na nocną służbę. Za jednym razem, jak szedłem, on leżał wciąż tak samo z rękami tak, a za drugim posłyszałem gruchnięcie, jakby spadł worek kartofli. Zaświeciłem przez to drugie okno, on leżał na podłodze, pomyślałem, że wyleciał z trumny, a on już się ruszał tak powoli mu się nogi ruszały. Ja pomyślałem, że może mnie się to śni i przetarłem oczy śniegiem, ale on tam dalej suwał się i wciąż się przewracał. (...) ..ja nie wiem, jak to długo trwało ale dosyć długo. Świeciłem latarką i nie wiedziałem, czy iść tam do środka, a on się tam składał i przewracał i tak dolazł do okna i już gorzej widziałem, bo był pod samym oknem, przy ścianie, i wciąż hałasował. To wtedy okiennica otworzyła się (...) i nie zauważyłem, aby się szkło sypało. Może i tak, ale nie wiem (...) Ja tak stałem, a on tak siedział czy co, widziałem tylko głowę, byłbym mógł dotknąć, panie komisarzu, było bliżej niż do tego stołka, poświeciłem dobrze do środka, a tam nic nie było, tylko się wióry w pustej trumnie zaświeciły i nic, i nikogo więc tam nie było. Jak się nachyliłem, to był na dole, nogi mu się rozjeżdżały, a tak się kiwał, panie doktorze, jak pijany, na boki cały chodził i stukał, jak ślepy kijem stuka, a on to tak rękami. A może miał co Powiedziałem, stój, co robisz, co to jest? — tak powiedziałem. Mniej więcej tak powiedziałem. (...) Tak się piął, aż znów się wywrócił. Ja mu kazałem, powiedziałem, żeby przestał, ale on nie żył, ja najpierw pomyślałem, że on nie umarł, przebudził się, ale on nie był żywy, nie miał oczu, tylko tak, jak to jest, to nic nie mógł widzieć, a też nic nie czuł, jakby czuł, to by nie tłukł tak w te deski, a tłukł się jak potępieniec, więc nie wiedziałem, co krzyczałem do niego, a on tak i tak, zębami się za parapet złapał, co? (...) A ja mu całkiem z bliska w twarz poświeciłem, to takie mętne miał, no, te, jak u ryby śniętej, a co było dalej, nie wiem”*

Brat Matuzalem zamknął z trzaskiem książkę, ścisnąwszy energicznie okładki jedną dłonią

— Stanisław Lem, *Śledztwo*. Coś panu przypomina ten opis? — spytał. — Czyta pan po polsku?

— Tylko szylidy sklepowe.

Zakonnik uśmiechnął się.

— Nie dziwota, skoro większość z nich jest po angielsku. Ale poważnie mówiąc, mamy to w tłumaczeniu. Dam panu, niech pan przeczyta do poduszki.

MNISIA CELA. KLASZTOR. NOC.

Fulder z dyktafonem w jednym ręku, a książką w drugim, chodzi po przyznanej mu sypialni od drewnianych, okutych żelazem drzwi do zakratowanego okna.

FULDER.

...powieść polskiego pisarza opowiada o śledztwie, jakie Gregory, porucznik Scotland Yardu, prowadzi w sprawie „poruszających się” czy też „znikających” zwłok. Zjawisko zachodzi na ograniczonym obszarze pomiędzy Londynem, a pasem brzegowym Kanału. W powieści występuje silnie zaznaczona korelacja pomiędzy znikaniem zwłok na tym terenie, a średnią zachorowalnością na

raka. Niejaki doktor Sciss twierdzi, że może istnieć pewien czynnik — nazwijmy go „N” — „‘agens’ o naturze biologicznej” — podobny do czynnika, który powoduje powstawanie raka. Bada fenomen metodami statystycznymi, dochodząc do wniosku, że takie zjawisko jak samodzielnie poruszające się zwłoki, jest — statystycznie — równie prawdopodobne jak wiele innych rzeczy. Rozwiązaniem zagadki zdaje się być jednak działanie człowieka i — jak to w Anglii — mgły. Zdaniem przełożonego Gregory’ego, winnymi „poruszania” czy „kradzenia” zwłok są cierpiący na psychozy kierowcy, popadający pod wpływem długotrwałej jazdy we mgle w majakalne stany, podczas których odwiedzają szpitalne kostnice i cmentarne kaplice angielskich kościółków w małych miejscowościach...

Fulder wyłącza dyktafon.

Przejdźcie na:

GDZIEŚ. KIEDYŚ.

Fulder budzi się na porośniętym trawą terenie, otoczonym zrujnowanymi fragmentami ścian jakiejś kamiennej budowli. Jest w niej odległe podobieństwo do klasztoru, w którym wczoraj bawił, ale zabudowania sakralne w przeszłości były do siebie tak podobne, jak obecnie supermarkety — świątynie współczesnego człowieka. Dwoje dzieci, wspieranych przez łaciatego kundla, zagania w stronę brodu niedalekiej rzeki kilka krów. Fulder wyczesuje z włosów źdźbła słomy i sprawdza swoje majątkości — rewolwer, telefon komórkowy, latarkę, i dyktafon ma przy sobie.

FULDER /woła/:

Hey, kids, where am I?

Dzieci patrzą na niego, a potem wybuchają śmiechem i uciekają, gnając przed sobą krowy. Kundel ujada. Zrezygnowany Fulder wlecze się w drugą stronę, w kierunku drogi. Asfaltowa nawierzchnia jest dziurawa. W pewnej odległości stoi tablica z nazwą miejscowości. Fulder wyjmuje lornetkę, w której szklach widzi napis: SOBKÓW. Obracając się w drugą stronę dostrzega wzniesioną z nie otynkowanych pustaków budę z podświetlaną, okrągłą reklamą coca coli. Bar nazywa się „Manhattan”. Fulder chowa lornetkę, a wyjmuje telefon komórkowy. Rusza w stronę baru, wystukując numer.

Przejdźcie na:

BAR „MANHATTAN”, SOBKÓW, WOJ. STAROPOLSKIE, 10.12. A.M.

Bar „Manhattan” okazał się pojedynczym, pudełkowatym pomieszczeniem, które Fulder omiótł krótkim spojrzeniem. W jednym rogu blat szynkwasu, a za nim półki dźwigające trunki, obok lustro z logo piwa „Podwójnie pienione”, szafa chłodząca zawierająca materializację szczytnych myśli ludzkości w zakresie gaszenia pragnienia — cola, fanta, sprite, w rogu przy wejściu kolejna chłodziarka z lodami Schollera, ozdobiona wielką tablicą poglądową, przedstawiającą te smakołyki nagie, w całości odarte z opakowań, i w anatomicznych przekrojach, pośrodku cztery stoliki na metalowych nóżkach, przykryte półprzezroczystymi obrusami z folii przyciśniętymi do blatów wazonikami ze sztucznymi kwiatkami W najciemniejszym rogu stelaż z gazetami. Z głośników źle nastawionego radia ryczała skrzekliwa muzyka. Za barem stał autochton.

— Mógłby pan to wyłączyć? — powiedział Fulder zamiast powitania, wskazując ruchem głowy głośniki.

Miejscowy spojrzął na klienta nieprzytomnym wzrokiem; a potem ściszył nieco radio.

— Coś jeszcze? — spytał.

— Chciałbym coś zjeść.

Barman wykonał szeroki, zapraszający gest.

— Mamy chipsy, draże, batony... orzeszki ziemne... Fulder nie odpowiadał przez chwilę, bo jego uwagę przyciągnęła ręcznie napisana kartka, zawierająca ceny ferowanych napojów alkoholowych. Najbardziej zainteresował drink „Nagła śmierć” i „Piękna sobkowianka”

— Śniadanie — powiedział wreszcie — *I would like to get breakfast.*

Tubylec wzruszył ramionami i już chciał odpyskować, że tu jest Europa, a nie żadne bary mleczne, ale ocenił, że gość wygląda na przybyłego z daleka. — Może być jajecznicza — stwierdził niechętnie. — Poślę Kaśkę do matki po jajka... Kaśka! — rozdarł się w stronę mikroskopijnego zaplecza, po czym sam w nim zniknął.

Pertraktacje z tajemniczą Kaśką trwały dosyć długo. Fulder zdjął ze stelaża pochodzący sprzed miesiąca numer „Wall Street Journal”, a potem usiadł przy stoliku w pobliżu drzwi, gdzie było najwięcej światła.

Szelest zasłony z paciorków uzmysłowił mu powrót barmana z zaplecza.

— Jajecznicza będzie do pół godziny.

Fulder wzruszył ramionami.

— Nie spiesz mi się. Te ruiny, tam, przy drodze — wskazał głową za siebie — co to takiego?

Barman poskrobał się po głowie.

— Dawny dwór w Sobkowie. Luterski czy ariański...

Miał wyraźną ochotę splunąć na podłogę, ale powstrzymał się z uwagi na klienta.

— A jak daleko stąd do klasztoru Zmartwychwstańców?

Autochton wybałuszył oczy.

— Nie słyszałem o takim. Musi gdzieś dalej..

Zanim pojawiła się chłodna jajecznicza, Fulder przestudiował od deski do deski gazetę, pozostając pod sporym wrażeniem wyczytanych nieaktualnych wiadomości giełdowych.

Kiedy skórką chleba wycierał fajansowy, wyszczerbiony talerzyk z niebieskim napisem „Centrala Spółdzielni Mleczarskich”, w drzwiach baru „Manhattan” pojawiła się Dully.

— Fulder?

— Wszystko w porządku, Sana. Siadaj. Jajeczniczy już nie dostaniesz, ale są chipsy, draże, batony i fistaszki. Także koktajle „Nagła śmierć” i „Piękna sobkowianka”

— Dobrze się czujesz?

— Znakomicie. Muszę ci coś opowiedzieć.

Fulder zakończył swoją relację streszczeniem *Sledztwa*, i odczytaniem jego fragmentu dotyczącego zmartwychwstawiania zwłok, a Dully odwdzieczyła mu się swoim raportem z sekcji (*Nie wspomniła przy tym o incydencie z REŻYSEREM, nie było warto, gdyż po tym wysoku REŻYSERA zastąpiono innym, co dla akcji odcinka nie miało wielkiego znaczenia*)

Na stoliku leżały teraz trzy nośniki słowa pisanego książka, gazeta i raport Sany.

— Ta gazeta — Fulder postukał w zamyśleniu palcem w „Wall Street Journal” — otworzyła mi oczy na to, co się tutaj dzieje, stanowi ostatnie ogniwo układanki. Posłuchaj, Dully, co tu wyczytałem otóż nasza wstrząsana kryzysami i konfliktami planeta zaczęła się od jakiegoś czasu „uspokajać” — na giełdach panuje hossa, znacznie zmalało zadłużenie krajów Ameryki Łacińskiej, zmniejszyła się

plaga głodu i przyrostu naturalnego w Afryce oraz wygasły tam bratobójcze walki. Znajdują się środki na zażegnanie lokalnych krachów gospodarczych, inwestycje na całym świecie rosną jak grzyby po deszczu, wzrastają nakłady na walkę z zanieczyszczeniem środowiska, burzy się stare, szkodliwe dla otoczenia zakłady przemysłowe, a buduje nowe, zniszczone tereny poddawane są rekultywacji, zieleń porasta wysypiska śmieci, a nawet zaobserwowano pierwsze nieśmiałe oznaki regulowania się klimatu — jednym słowem — Ziemia jest na najlepszej drodze, by zacząć przypominać rajski ogród. Co ciekawe, analitycy zajmujący się światową gospodarką upatrują źródło owych korzystnych globalnych trendów właśnie w Polsce, którą pewni ludzie nadal postrzegają jako Chrystusa narodów. A nie zapominaj, że pisarze monastyczni nazywali Chrystusa Feniksem.

— Z drugiej strony — Fulder przeniósł palec na raport Dully — ktoś lub coś prowadzi tajną operację „Tajget” (nazwałem ją tak od greckich gór, w których przepaście Spartanie wrzucali kalekie albo słabe niemowlęta) — chorzy lub mający niebawem śmiertelnie zachorować wypadają z okien i giną w rozmaitych wypadkach, popełniają samobójstwa albo są mordowani przez przestępców, którzy niedługo potem dławią się ościami i umierają — słowem, są eliminowani, by nie psuć obrazu ogólnej szczęśliwości.

— I po trzecie — Fulder wskazał na *Śledztwo* Lema — to co wczoraj widziałem, dowodzi, iż ludzie, którzy byli generalnie zdrowi oraz genetycznie nie podatni na wystąpienie u nich w sile wieku nieuleczalnych chorób a zmarli w przeszłości na choroby zakaźne, *vide* ten mnich z 55 roku, „usiłują” zmartwychwstać, jakby „chcąc” w ten sposób wyrównać niedobór w zasobach ludzkich, powstały na skutek nadmiernej śmiertelności wśród tych z „drugiego koszyka” Kojarzysz?

Sana pokręciła głową.

— Co prawda, ten facet za szynkwasem wygląda jak zombie ale już samemu barowi daleko choćby do McDonalds’a w Kielcach. To wszystko, co mam do powiedzenia na temat kolejnej teorii szalonego Fuldera.

Szalony Fulder przymknął oczy.

— Co robisz, Dully, gdy chcesz sprzedać samochód?

— Daję ogłoszenie do prasy

— Nie o to mi chodzi. Większość sprzedających cokolwiek, szczególnie gdy chodzi o rzeczy używane, stara się ukryć wady towaru lub nieco go odpicować. Takie drobne, niezbyt kosztowne zabiegi, które zwykłą chabetę zmieniają w trudnego do ujarznienia mustanga. Od dawna stare dychawiczne konie poi się przed jarmarkiem różnymi podniecającymi wywarami, żeby bucefały brykały niczym młode arabskie ogiery. To samo z samochodem — szpachlujesz dziury w karoserii, do skrzyni korbowej sypiesz grafit lub trociny, żeby wał się nie tłukł, do silnika lejesz gęsty zimowy olej, uszczelniasz dyfer, pastujesz opony, polerujesz deskę rozdzielczą i pierzesz pokrowce na fotelach. Dziewięciu nie kupi tego konia o krzywych zębach ani samochodu z dwa razy przekreślonym licznikiem, ale dziesiąty się nabierze. A teraz pomysł o naszej Ziemi jak o starym samochodzie. Pomysł, że chcesz ją komuś sprzedać. Co trzeba zrobić, żeby jakiś głupek ją kupił?

— Doprowadzić do porządku...?

— Właśnie. My, ludzie, uważamy się za właścicieli Ziemi tylko dlatego, że na niej mieszkamy. Ale gdzie mamy stwierdzającą ten fakt księgę wieczystą? W jakim Niebieskim Notariacie znajdują się dokumenty głoszące, że właścicielem Ziemi jest Ród Ludzki? Mrówki czy termity, gdyby myślały, uważałyby dokładnie tak jak my — że są właścicielami mrowiska czy termitiery. Ale mrowisko znajduje się na czyimś polu — choćby tego zombie z za baru — który sprzedaje swą rolę razem z mrowiskiem, nie pytając mrówek o zdanie. Nie tylko z mrowiskiem — z innymi owadami, dżdżownicami, gryzoniami, ptactwem.

— Chcesz powiedzieć, że ktoś sprzedaje Ziemię? Wraz z nami, zwierzętami, roślinnością? Z fabrykami, kopalniami, portami, elektrowniami ?

— Tak. Nawet z FBI, NASA, z raketami jądrowymi i z długim federalnym. Idziemy pod młotek, Dully. Ktoś robi porządki, żeby wziąć za nas lepszą cenę. Jeśli sprzedajesz stado krów, to zabijasz najstarsze, chore sztuki, a resztę pasiesz kilka dni kukurydzą z domieszką alkoholu — krowy są ożywione, sierść im lśni, oczy błyszczą. Być może ktoś kupuje cały Układ Słoneczny lub coś jeszcze większego — tego nie wiem. Nasz dotychczasowy Właściciel długo nie interesował się nami — tak jak wielu posiadaczy, którzy mają jakiś leżący odłogiem płachetek ziemi, jakąś komórkę zawałoną starzyzną, jakiś rdzewiejący na podwórzu wrak samochodu. Aż przychodzi taka chwila, gdy zachce mu się — lub zostanie zmuszony — pozbyć się tego. Powiedzmy, że nasz dotychczasowy Właściciel poniósł stratę na jakiejś Galaktycznej Giełdzie i teraz szuka na gwałt pieniędzy. Gdzieś poleciał, na łeb na szyję, jakiś kosmiczny Dow Jones czy Nasdaq. Poszkodowany robi więc spis majątności i przypomina sobie o jakimś małym składziku w zapadłej części wszechświata, który kupił kiedyś lub wygrał w karty. Zaczyna interesować się swoją posiadłością i odkrywa, że jest to zasmrodzona przez prymitywny przemysł planetka, zamieszkała przez wyrzynające się co i rusz istoty — ale mimo to stanowiąca pewną wartość. Postanawia więc nieco ją podrasować — wybija chore sztuki, pompuje w jej gospodarkę spekulacyjne pieniądze, wycisza konflikty...

Z szeroko otwartymi ustami, Dully wpatrywała się w Fuldera szeroko otwartymi oczami.

— Wiedziałam, że jesteś kopnięty, Fulder — powiedziała — ale żeby do tego stopnia... Kiedy piętnaście lat temu zjawiłam się w Archiwum Y, miałeś już tę fiksację na temat małych zielonych ludzików, lecz trzymałeś się z dala od polityki i gospodarki. Przynajmniej tej na skalę międzyplanetarną!

— Dully, mogę to wszystko udowodnić! Pytaj, o co chcesz.

— Jak się to dzieje? Tu, na Ziemi.

— Nanotechnologia. Wysoce zaawansowany nanoware. Ale tam, w kosmosie, magiczny pył też nie jest za darmo, więc ktoś opylił nim jeden obszar, Polskę, tak jak my opylamy pola. Nanoware robi z nami to samo, co środki ochrony roślin, nawozy i herbicydy robią dla naszych upraw — eliminują chwasty, powodują wzrost pożytecznych roślin, zabijają szkodniki. A pole morfogenetyczne, ta przyczynowo skutkowa otoczka, która otula Ziemię, „uczy się” tych zmian i „roznosi je” po całej planecie. Nanoware oczyścił nam środowisko, zmniejszył skalę głodu w Afryce, zażegnał konflikty. Ponieważ jednak te zmiany to picowanie przed sprzedażą starego wraka, to podejrzewam zatem, że część owych hurraoptymistycznych doniesień. — Fulder postukał w „Wall Street Journal” — to też sprawka nanoware’u, który zainfekował nasze komputery, sfałszował statystyki, zamazał rzeczywisty obraz świata i zawyżył wskaźniki giełdowe oraz kursy walut i akcji. Uważam, że większość brazylijskiego długu umorzył właśnie ten — jak chce Lem — agens „N”, a nie wysiłek ludu pracującego miast i wsi” Brazylii czy Meksyku oraz światowa koniunktura — też najprawdopodobniej będącą w sporej części fatamorganą.

— Dlaczego Polska?

Fulder wzruszył ramionami.

— A dlaczego nie? Przypadek. Na kogoś musiało paść. Może zresztą nasz Właściciel przeprowadził jakieś badania i kierował się w wyborze miejsca nieznanym nam kryterium. Nie wiem. Jak chodzi o te zmartwychwstania, to lud tutaj pobożny i zabobonny, który w każdej szybie umytej w chałupie do czysta autowidolem widzi obraz Matki Boskiej. Widać nieczęsto myją okna. Takie nastawienie powoduje, że zbiorowa psychika mocniej oddziałuje na pole morfogenetyczne, a to z kolei sprawia, że niebawem i gdzie indziej zaczną zmartwychwstawać — w Ameryce Łacińskiej,

Irlandii, Hiszpanii — wszędzie tam, gdzie panuje silny, prymitywny katolicyzm. Widzisz, ojciec Matuzalem użył przy mnie słowa powszechnie. To mi częściowo otworzyło oczy — pole morfogenetyczne jest właśnie powszechne, otacza całą Ziemię, wpływa na nas wszystkich i na wszelkie zjawiska.

— Pole magnetyczne też — zaryzykowała Dully — ale obecnie nie przypisuje mu się magicznych właściwości.

— Kiedyś jednak to, że metalowa igła rzucona na powierzchnię wody wskazywała północ, uważano za cud. Bardzo pożyteczny, praktyczny cud. Być może z polem morfogenetycznym stanie się tak samo.

— Już to widzę — ktoś kichnie, a cała planeta będzie miała katar!

Fulder wstał i zebrał ze stolika swoje „dowody rzeczowe”

— Zapłacę — powiedział — Zaczekaj na mnie w samochodzie.

DROGA E7, KIELCE–WARSZAWA, 0.45 P.M.

Samochód prowadzi Dully.

DULLY:

Muszę wracać do domu, Fulder. Rozwiązałeś swoją sprawę. Nie jestem ci już potrzebna. O północy mam samolot

FULDER

Nie boisz się tego, że ten, kto nas kupi, będzie miał wobec Ziemi inne zamiary niż nasz dotychczasowy Właściciel? Że będzie chciał na nabytym gruncie poprowadzić drogę lub zbudować przeładunkową stację kosmiczną, i w związku z tym wytrzebi i wykarcazuje wszystko, co żyje?

Dully wzrusza ramionami

DULLY:

Nie mogę na to nic poradzić. Ani ty.

FULDER

Odwiozę cię na lotnisko. Chciałbym się z tobą pożegnać.

Przejdźcie na:

WARSZAWA, POKÓJ DULLY W HOTELU POD WEZWANIEM NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY, 9 P.M.

Pukanie do drzwi rozległo się w momencie, gdy Dully dopychała kolanem nie dającą się zamknąć walizkę. Sana porzuciła ją i poszła otworzyć drzwi, za którymi spodziewała się ujrzeć Fuldera. Nie zawiodła się.

— Przyniosłem wino — powiedział Mox, rozwijając z pierwszej strony „Gazety Polskiej” brązową butelkę z nalepką „Uśmiechu Teściowej”. — To miejscowy trunek, zawsze staram się spróbować lokalnych specjałów.

Sana była w zwiewnym peniarze, co Fulder odnotował z wyraźną przyjemnością. Jednocześnie z żalem skonstatował, że mają dla siebie tylko godzinę. Zręcznie odbił korek i nalał wino do dwóch

szklanek. Podniósł jedną i powąchał zawartość. Zaleciało siarką.

— *Prosit!*

Dully upiła trochę, a Fulder — widać dalej postępując w myśl miejscowych zwyczajów — duszkiem wyduldał wszystko „pod boczek”, czyli wzięwszy się pod bok. Mlasnął, odstawił szklanę i nalał ponownie. Potem wyciągnął spragnione ręce po Dully, ale ta odtrąciła je zrećźnie i wyciągnąwszy z walizki spakowanego już Glocka, wymierzyła go w Moxa.

— Siadaj, Fulder.

Oszołomiony Mox zrobił, co mu kazała. Dully usiadła naprzeciwko w drugim fotelu, po czym ze stanika spomiędzy piersi, wyjęła czterocalowy tłumik, który wkręciła w lufę broni, nie spuszczając przy tym Fuldera z okam Mox w tym czasie marzył o biuście Dany, wystarczająco obfitym, skoro w jego *la colline* zmieściła się ta armata. Zwykle erotyczne myśli pomagały mu pokonać strach. Odprężył się nieco.

— Jeśli nie masz ochoty, mogłaś to po prostu powiedzieć.

— Nie o to chodzi, Fulder.

(Naprawdę chodziło o to, że AKTORKA grająca Sanę Daily nienawidziła AKTORA odtwarzającego postać agenta specjalnego Fuldera za to, że za rolę w kinowej wersji filmu o Archiwum Y [premiera w Najjaśniejszej wrzesień 2001], AKTOR wziął 4 miliony dolarów, podczas gdy ona tylko dwa)

— Widzisz, ja także zastanawiałam się nad naszą sprawą i po południu, po powrocie do Warszawy, przeprowadziłam pewne badania. Pobrałam próbki DNA ofiar, którym robiłam sekcję, i obejrzałam je przy pomocy mikroskopu elektronowego. Udało mi się osiągnąć rozdzielczość dwóch angstromów, chociaż w sąsiedztwie padło trafo. I co? Żadna z próbek nie ujawniła śladu nanoware'u, o którym mówiłaś. Doszłam więc do wniosku, że agens „N” nie istnieje. Wiem natomiast, dlaczego to wszystko zaczęło się dziać w Polsce.

— Doprawdy?

— Tak. To ty jesteś katalizatorem tego zjawiska, Fulder.

— Masz na to jakiś dowód?

Dully ponownie sięgnęła za stanik i wyjęła z mego polaroidową fotografię. Rzuciła ją Fulderowi, który zaczął się zastanawiać, co Sana ma jeszcze w biustonoszu? Myśli te pierzchły na widok tego, co przedstawiało zdjęcie — najwyraźniej młodego wiekiem Obcego — zielonoszara twarz, wielkie, ciemne oczy — przytulonego do różowego, pluszowego królika.

— To Obcy!

— I tak, i nie, Fulder.

— To znaczy?

— Że to jest nasz syn, a Obcym jesteś ty, Mox. Pamiętasz ten obskurny motel przy drodze do Salmy? Nazywał się „James Dean Motel”, bo niedaleko stamtąd zabił się w swoim porsche'u ten „buntownik bez powodu”. Wszystkie ściany były wytapetowane jego zdjęciami. Nieważne Pamiętasz, jak pocieszałam cię, płaczącego po tym, gdy sprzed nosa — jak twierdziłaś — uciekł ci latający talerz, zanim zdążyłaś do niego wbiec? Było mi cię tak żal, że ci się oddałam — jeden, jedyny raz. Było to niemal jedenaście lat temu. Nasz syn, Mox junior, ma teraz dziesięć lat. Wtedy, w tamtym motelu, uważałam, że rozpaczasz tak dlatego, iż straciłaś okazję, żeby stanąć oko w oko z kosmitami. Teraz wiem, że chciałaś wsiąść do latającego talerza i odlecieć stamtąd ze swoimi... Twoim ojcem nie był pułkownik Fulder, tylko Papierośnik, też kosmita — dlatego zabił twego nominalnego ojca, mającego podejrzenia w obu tych kwestiach — i przez całe życie cię ochraniał. Teraz i ty masz syna, Fulder, i dlatego muszę cię zabić.

— Dlaczego? Nie uważasz, że to nieco pokrętna logika?

— Żeby on mógł żyć. Jeśli jesteś czynnikiem „N”, jeśli za sprawą pola morfogenetycznego operacja „Tajget” ma na całym świecie zebrać śmiertelne żniwo, to Mox jr, jako odmieniec zginie. A ja go kocham i chcę żeby żył bez względu na to, komu twoi kumple czy kontrahenci twoich kumpli, sprzedadzą nasze ziemskie mrowisko wraz z sześciennymi hektarami otaczającej je kosmicznej pustki. Albo on, albo ty, Fulder. Wybieram jego..

Dully mocniej zgięła palec na spuście...

TO BE CONTINUED

CREATED BY

MIROSLAW P. JABŁOŃSKI

Jerzy Grundkowski

„Fantomas” przeciwko najwyższej fazie rozwoju

Mój okropny statek, wyprodukowany przez podupadającą firmę, której akcje od lat pięknie dołują, jakoś tam poruszał się w międzygwiazdnej przestrzeni, co wypada uznać za niechybny dowód na nadzór Opatrzności nad Kosmosem.

Nie dość, że się poruszał, to jeszcze podążał w nadanym mu kierunku. Statek zwał się „Fantomas” i nie należał do mnie.

Czemu zwał się tak dziwnie? Nie wiem; i słusznie; wiedza unieszczęśliwia. Dlaczego nie był moją własnością? A czemu miałby być? Czyż nie istnieją przyjemniejsze sposoby wydawania pieniędzy?

A pewnie!!! Można na przykład urznąć się w trupa. Lub wydać forszę na sympatyczne i chętne panienki... Jako tako sytuowany obywatel zdegenerowanej planety Ziemia (nie potwierdziła się teza głoszona przez pewnego francuskiego teologa: gówno prawda, iż ludzkość wznosi się duchowo), może także kupić w miarę nowoczesny samochód, stwarzający podczas jazdy wirtualne doznania erotyczne, co jest najdroższym gadżetem; wszelako i tak opłacalnym, per saldo. Wirtualny AIDS pozostaje wciąż w sferze marzeń.

Zdegenerowany obywatel w ogóle może wiele. Nazywamy to pociechą płynącą z prawideł historycznej konieczności. Ja na Przykład — szczerowość dzisiaj w modzie — urznałem się podczas lunchu i podpisałem kontrakt na przelot tym złomem.

Sam lot nie jest celem. Cel wypada określić jako bardziej szczytny.

Swego czasu utalentowany reporter (i zarazem znany gwiazdokrażca) I. Tichy popełnił niezły artykuł o planecie, której cywilizacja osiągnęła Najwyższą Fazę Rozwoju (NFR).

Mnie redakcja zleciła pogłębienie tematu. Powiedzieli tak trzeba polecieć, zobaczyć i opisać na nowo. Nakład wzrośnie przyjdą ogłoszenia, żyjemy.

Nie chciałem. Byłem pijany jak Szwed, ale nie chciałem. Zmusili mnie. Szef rzekł:

— Pijesz, ciebie nie szkoda.

Szybko wytrzeźwiałem, oj, jak szybko! I zaatakowałem.

— Lot jest drogi. Po co wam to?

— Nie martw się, stary — usłyszałem. — Mamy układ z dobrą stoczną. Wypożyczą nam jedno z tych podprzestrzennych cudeniek.

— Za ile?

— Lecisz, albo się żegnamy — rzekł złośliwie, krzywiąc gębę w ponadczasowym grymasie. — Sam jesteś sobie winien. Wszyscy moczą mordy, lecz nie każdy pozwala się przyłapać.

I wstrzyknął sobie (no, chyba raczej ostentacyjnie) odrobinę morfiny. Zawsze cierpiał na dyskopatię. I za cholere (też wróciła!) nie potrafi się z tego wyleczyć, mimo częstych wizyt u magistrów New Age.

— Mnie wyście nie przyłapali — oznajmiłem z godnością człowieka pierwotnego. — Sam, w ramach obowiązującego standardu politycznej poprawności, na kolektywie, opowiedziałem o moich

drobnych problemach. Właściwie żyje mi się z tym świetnie, lecz skoro wszyscy inni tak mocno cierpią, to pomyślałem, że i mnie wypada.

— Bo wypada. Ale my cierpimy postępowo, odpowiadając na wyzwania epoki, a ty — niesłusznie, konserwatywnie. Tak się godzi. To przejaw nieobyczajności. Poza tym masz piękną kartę w curriculum vitae. Latałeś kiedyś na Marsa.

— Niestety, zapomniałem tych umiejętności. Jak mi przykro!

— Krotki kurs pilotażu odświeży twoją pamięć!

Na wszystkich guru Nowej Ery, rzeczywiście odświeżył!

A jeśli nawet nie do końca, to należy filozoficznie zauważyć, że na ogół ludziom mało co się udaje w taki sposób, że już nie można do niczego się przyczepić.

Co więcej, szef był nie do ruszenia. A zaszkodzić mógł — bardzo. Jego wuj był ekspertem komisji pracującej nad ujednoczeniem przepisów prawnych obowiązujących w Stanach Zjednoczonych Ameryki i Unii Europejskiej, niezbędny wstęp do zlania się tych dwóch państwowych organizmów w jedno. Nieprędko dojdzie do tego, albowiem postulaty Amerykanów aż iskrzą się od arogancji. Proponują oni, w przyszłym kongresie, parytet głosów w stosunku jeden do jeden. Czyli, każde państwo europejskie i każdy stan amerykański mają być traktowane na zasadach równości.

Najradośniej zareagowali Niemcy, krzyknęli „tak” i zażądali po mandacie dla każdego swego kraju związkowego.

Projekt pryncypialnie oprotestowała Wspólnota Niepodległych Państw. Jak chodzą słuchy, niebawem wzmocni się ona Polakami. Tym źle było w Unii, która stale coś od nich chciała, i rzucają się teraz w objęcia Rosji. Rosjanie zaś kręcą nosem, rząd niby jest „za”, lecz opinia publiczna woła wniebogłosy, iż zdrajcy powinni poczekać.

Tysiąc lat, a jaka pamięć! Toż zakrawa to na nieśmiertelność. Narody podobne są gigantowi który nigdy nie umiera.

Szef był przeto naprawdę nie do przejścia. Poleciałem.

Jako urodzony humanista odwiedził mnie na kosmodromie. Wyczałował, wyściskał i życzył powodzenia. Kąśliwie spytałem, czy ja naprawdę muszę być ostatnią nadzieją Białych.

Smutno pokiwał otumanioną od narkotyków głową i rzekł:

— Wszyscy Czarni niestety odmówili. Powiedzieli, że gównem rozsypie się za Saturnem.

— Dlaczego akurat za Saturnem? — spytałem, raczej absurdalnie.

— Może są uczuleni, skąd ja to mogę wiedzieć. Spieprzaj już! Ale wracaj! Musimy na tobie zarobić! Wywalę na mordę, jak nie wrócisz!

* * *

W połowie drogi między Słońcem a Proximą uległem rutynowej hibernacji. Zimowy sen nie przyniósł ukojenia starganym nerwom.

Śniłem koszmar za koszmarem, moja uwolniona świadomość podróżowała po rajach, piekle i czyśćcu. Toteż z ulgą powitałem przebudzenie. Ucieszył mnie widok znajomego wnętrza „Fantomasa”.

Rychło rozpoczęły się procedury zwalniające bieg statku, który raczył właśnie docierać do celu.

* * *

Potwornie się tym zdenerwowałem Najchętniej popełniłbym samobójstwo przez skok w przestrzeń kosmiczną, lecz złośliwy komputer nie chciał mnie uwolnić. Ostrzegł też, że nie dopuści do żadnych zniszczeń, bo odpowiada za to latające mienie, a że nie przechodzi kryzysów psychicznych ani jego umysł nie zagłębia się w objęcia Morfeusza, moje szanse na jakiś nierozważny krok nie wyglądają wesoło. Poza tym jest władny nauczyć mnie moresu. Wystarczy, iż uruchomi program „Bicz na Samotnych Astronautów”, gdzie wszystko zostało bez pudła przewidziane.

Wysłuchałem tego w dumnym milczeniu... Nie mogło być wątpliwości, iż rzeczywiście dotarliśmy do układu NFR.

Nieśmiertelni i znudzeni sobą mieszkańcy, biegli przy tym, a jakże, w sztuce astroinżynierii, tak pozmieniali orbity swych ciał niebieskich, iż utworzyły one błyszczący napis: NAJWYŻSZA FAZA ROZWOJU

Reportaż Tichego także o tym wspominał!

Jakiś czas oglądałem to kosmiczne чудо, a potem wybrałem się do kosmolotowej siłowni, by wypocić z siebie frustrację i lęk.

* * *

„Fantomas” opadał prawidłowo. Nie taki był on gruchot, skoro wszystkie podzespoły funkcjonowały tak, jakby statek wyszedł ze stoczni na Tytanie.

Wylądowałem na ustronnym płaskowyzu, otoczyłem się ekranem siłowym, dla kurażu wychyliłem kieliszczyk brandy, pograłem trochę w szachy, by przygotować umysł do nowych zadań, a później przestawiłem swoją podświadomość na procedury instrukcji zwiadowczej.

Sztuka pozytywnego myślenia jest doprawdy łatwa, jeśli robią to za ciebie... Kiedy opuszczałem okręt w pojeździe terenowym, czułem się już niby prawdziwy zdobywca.

Naturalnie, jechałem z wywieszoną białą flagą. Tego w instrukcji nie było, lecz wydeliberowałem sobie, iż skoro tamci osiągnęli Najwyższą Fazę Rozwoju, to sygnał tak uniwersalny powinni raczej pojąć.

Mylłem się. Na swą obronę mam to, iż procedury opracowane przez ekspertów również ni słowem nie zająkowały się o tym, że spotkać mnie może to, co właśnie spotkało.

Łazik przetaczał się przez czerwone góry. Droga zaś była niebieska i wyboista. Pojazd nie był uzbrojony, bo nie przyjechałem tu na wojnę. Zresztą, jak można obronić się przed atakiem przeprowadzonym przez siły, które osiągnęły NFR?

Nie były to wysokie góry, trafniej już byłoby nazwać je górkami i wzniesieniami. Wyglądałoby to nawet dość przyjemnie, gdyby nie ten paskudny, rdzawo-krwisty kolor. Ewidentnie je tak przemalowano. Pomyślałem, że tubylcy technologicznie są na pewno bez zarzutu, lecz artystycznego gustu nie mają za grosz. I to była moja myśl ostatnia. Atak nastąpił tak szybko i został przeprowadzony tak zdradziecko, iż nawet nie zakonotowałem sobie w umyśle momentu jego rozpoczęcia.

Otoczały mnie kule: żywe i gadające. Obłe i z wypustkami. Z gębami i bez. Pełen ewolucyjny rozrzut!

Niewątpliwie kształt kuli jest najbardziej doskonałym ze znanych w przyrodzie; nie dziwiło mnie, iż NFR—owcy właśnie ten wybrali. Tylko czemu mnie napadli? Przecież jako wyżej cywilizowani powinni wiedzieć, iż nie żywię wobec nich złych zamiarów

— Ty łupieżu! — rozdarła się, w galaktycznym standardzie, kula bardziej przeźroczysta od innych, mieniając się później wszystkimi kolorami tęczy. — Nadeszła twoja ostatnia chwila! Przerobimy cię na maselko i weźmiemy z ciebie całą wodę!

— Przejdź na angielski — zaproponowałem bez przekonania, że naprawdę przejdzie. O dziwo kula posłuchała, wygłaszając identyczny tekst. I wtedy błysnąłem dowcipem:

— Możesz mówić po polsku?

Przywódca napastników (z konsternacji) stracił swoje precudne barwy.

— To jakiś ziemski język? — zapytał.

— Tak.

— Martwy?

— Nie. Żywy, choć ledwie dychający.

Kule zaczęły się niepokoić. Wyraźnie nie lubiły przypominania o przemijaniu.

— Moment — powiedział przywódca. — Muszę się go od ciebie nauczyć.

— A proszę bardzo.

— No to wał.

— Ty szpiegu łupieżczy! — zawołał z radością, znów się mieniając tak, iż wprost nie można było oderwać odeń oczu, tak to przepięknie robił.

Wyjaśniłem, że nie jestem szpiegiem i wyjawilem im moją nieszczęsną historię.

— We wszystkich galaktykach zbieracze niedozwolonych informacji stroją się w piórka kupców, reporterów i misjonarzy! Gorszej legendy nie mogłeś sobie wymyślić! Na pal łajdaka!

— Jak to? Skąd wiecie o palu!

— Od ciebie, idioto!

— O, ja nieszczęsny!

— Faktycznie. Fartu nie masz. Ale nawet gdybyś miał więcej szczęścia, i tak byśmy cię złapali. Nasz kontrwywiad skuteczny jest, i basta!

— Przecież złapaliście mnie przypadkowo. Widzieliście, że samotnie przedzierałem się przez góry... Jak możecie myśleć, że jestem wrażym wywiadowcą, skoro w niczym was nie przypominam?

Na to kule zaczęły podskakiwać z radości i emitować już całkiem nieziemskie światło.

— Ha, ha! Aleś nas ubawił, szpiegu! Ten, kto osiągnął Najwyższą Fazę Rozwoju, potrafi przybrać kształt najzupełniej dowolny. Tyś dla niepoznaki przeistoczył się w leniwego Ziemianina. I dobrze: skończysz na palu. Wetkniemy ci go w otwór służący wydalaniu nieczystości Brr... jaka to straszna śmierć!

— Pragnę złożyć uroczyste oświadczenie jestem niewinny.

— Na pal, na pal!

— Skoro, jak powiadacie, staliście się NFR—owcami, to skąd w was strach przed wrogami, nasyłającymi na was szpiegów?

— Nie udawaj, że nie wiesz.

— Naprawdę nie wiem. Uczyńcie mi tę łaskę i wyjawcie mi to przed moją niechybną i bolesną śmiercią. Mam już zresztą dość życia. Obrzydła mi długa kosmiczna podróż na niezbyt nowoczesnym statku. Nie chcę już robić kariery. Nie zamierzam dalej męczyć się na tym padole łez. Proszę was tylko o to, żebyście zgładzili mnie humanitarnie — a jestem przekonany, że to umiecie — wcześniej tłumaczając mi, dlaczego wzięliście mnie za obcego agenta?

— Tyle możemy dla ciebie uczynić. Ten, kto osiągnął Najwyższą Fazę Rozwoju, jest dobry. A że nie jesteśmy już całkowicie dobrzy, jak kiedyś, to skutkiem działalności łupieżców. Tak zwiemy tych, którzy przejęli władzę na naszej planecie, głosząc potrzebę uspołecznienia nie tylko środków technicznych i dóbr materialnych, lecz także dóbr duchowych; to jest myśli, wyobrażeń i pragnień.

— Jak to? Z relacji naszego gwiazdokrańcy, słynnego reportera Ijona Tichego, wynikało, że u was każdy sobie rzepekę skrobie, dowolnie wymieniając to rękę, to nogę, które to części ciała wygrzebywał na życzenie z piasku nadmorskiego. Poza tym nie robiliście nic, pogrążeni w leniwej doskonałości!

— Wasz agent musiał trafić w jakiś wyjątkowy moment i dość omylnie tę akurat chwilę historyczną uznał za stan wiecznotrwały. Wiedz, że ów wybuchały indywidualizm myśli, pragnień i celów, przy powszechnej dostępności technologi niezbędnych do realizacji marzeń, doprowadził do pewnych niepokojów społecznych, i trzeba go było ograniczyć, gdyż inaczej planetę szlag by trafił.

— Jak to?

— A tak to. Wyobraź sobie, nędzny niby—Ziemianinie, sytuację, w której jedna frakcja chce słońce nasze przesunąć bliżej powierzchni planety, bo jest im za zimno, a druga odsunąć, bo się gotują? Oprócz tego istnieje milion innych sprzecznych dążeń, rozsadzających porządek i wystawiających na szwank poczucie błogostanu. Ba! Nawet nieśmiertelność jednostek, nasza starodawna i banalna zdobycz, zaczynała być poważnie zagrożona...

I przywódcza kula załała się łzami, a inne rychło też się popłakały.

— Musieliśmy z powrotem powołać rząd centralny i wyposażać go w rozległe kompetencje, dając mu zarazem środki do ich wykonywania IM BARDZIEJ ZAŚ RZĄD RÓŚL W SILE, tym słabsi stawali się zwykli obywatele. W końcu rządzący wpadli na pomysł ujednoczenia wszystkiego — z wygody naturalnie. Jak nas przekonywali, był to jedyny sposób opanowania groźnej sytuacji.

— Rozumiem! — zawołałem w zachwycie. — To ich właśnie nazywacie łupieżcami, bo niby dla waszego dobra zamierzają obrabować was z wszelkiego indywidualizmu! I prowadzicie z nimi walkę! Jesteście rewolucjonistami!

— Oni o nas mówią: kontrrewolucjoniści, swój program unifikacyjny określając mianem rewolucyjnej odnowy życia w Najwyższej Fazie Rozwoju... Ale. Zdradziłeś się! Tak szybko na to wpadłeś, że musisz być agentem!

— Skąd — prychnąłem. — Jestem po prostu inteligentnym Ziemianinem. A poza tym my to też przerabialiśmy, tyle że na niniejszą skalę.

Nagle błysnęło, huknęło... i znalazłem się w pieczarze oczywiście rdzawoczerwonej. Nawet stalaktyty i stalagmity były krwiste niczym befsztyki.

Zmrużyłem oczy, nie mogąc znieść tego obrzydliwego widoku, aliści jakaś tajemnicza siła rozwarła mi powieki i...

— Ty zdrajco! Ty pęczaku!

— Zaraz — powiedziałem w oszołomieniu. — Co się stało?

— To się stało, iż akt sprawiedliwości dziejowej został dokonany — oświadczyła najbliższa kula.

— Jaki akt? — dociekałem dalej. — Przecież tak przyjemnie nam się rozprawiało.

— Przyznał się — oznajmiła druga kula. — Przeróbmy go.

— Przeróbmy? — wystękałem.

— Udaje, że nie wie, o co chodzi.

— Naprawdę niczego nie rozumiem.

— Boś pęczak.

— Kto?

— Pełzający kontrrewolucjonista, czyli w skrócie pęczak. Skróty są piękne. Podczas procesu przerabiania też najpierw będziesz skracany. Zacznie się od głowy.

— Dawniej nazywano to dekapitacją...

— Dość gadania! — wzburzył się lider napastników. — Startujemy!

Nie nam, zacofanym Ziemianom, oceniać techniczne sztuczki NFR-owców, choć z ręką na sercu przyznaję, iż dynamika tych działań mocno mi się nie podobała. A już szczególnie odrażający wydawał mi się być rezultat końcowy. Milczałem jednak — na tej planecie panowała taka szpiegomania, iż szkoda było strzępić język.

Wystartowaliśmy i dolecieliśmy.

To, że dolecieliśmy, poznałem po zmianie krajobrazu. Skończyły się pseudomarsjańskie góry i doliny. Rdzawoczerwone pogórze ustąpiło miejsca błękitnemu miastu. Jego ogrom poraziłby mnie, gdyby nie to, że wciąż egoistycznie rozmyślałem o mojej głowie... Czym będę myślał, gdy mi ją zabiorą? Czy istnieje życie po życiu?

Nagle dobiegł mnie ostry głos:

— Wysiadaj!

Statek nadal płynął w chmurach, toteż uznałem, iż NFR owiec się pomylił.

— Wysiadaj! — ryknęła kulokształtna istota.

— Gdzie niby?

— Och, jak on pięknie udaje! Ale niech wreszcie się zamknie! I postara się zapamiętać, że od pytań to my jesteśmy.

I w tym momencie jakaś tajemna siła poczęła mnie zmuszać do opuszczenia powietrznej jednostki. Ze zdumieniem przekonałem się, że chodzę po chmurach. Głowę miałem w obłoku różowiejącym, a nogi — w niebieszcącym.

— Eureka! — wrzasnąłem, powtarzając okrzyk Archimedesesa. — Ciało zanurzone w chmurach wypiera tyle samo chmur, ile waży! Odkryłem nowe prawo fizyczne! Muszę koniecznie wrócić na Ziemię, by to opisać i odebrać należnego mi Nobla! Czy wiecie, marne istoty, zbyt rozwinięte, coście się już posunęli do absurdu w tym zakichanym postępie, ile to teraz szmalu? Czy wy rozumiecie, czym jest w ogóle szmal? Jak on nas, ludzi, nieprzytomnie rajcuje?

— To nie są żadne chmury. Rozumek masz malutki. Może ty rzeczywiście jesteś zacofańcem?

— Skąd — wyrzekł ktoś inny. — Udaje.

— Gra — powiedziała inna kulista istota, na moich oczach przybierając kształt nieco wydłużony.

— To czym są chmury?

— Pasem transmisyjnym, pęczaku.

— Ja tam widzę chmury.

— Każdy widzi to, co chce widzieć. Turbulencja! I runęliśmy jak kamienie — oczywiście w dół.

Choć nie — było to niczym zjazd windą. Po kilku fikołkach zacząłem opadać w pozycji

pionowej, co mi się nawet podobało. Odnutowałem jednak fakt, iż na planecie nie wszystko było absolutnie doskonałe, o czym świadczył ostatni okrzyk. Był w nim lekki przestach. Rozdzierający NFR-owską społeczność konflikt wewnętrzny sprawił, iż tutejsza technika przestała być niezawodną.

Naraz wyrósł przed nami zimny, bezlitosny budynek, dziwacznie kołyszący się na wietrze. Zmierzaliśmy teraz ku niemu. Okropny seledynowy błękit aż bił po oczach i mroził duszę.

— Czemu on tak się chwieje?

— Powiedzieć mu?

— Co nam szkodzi. Powiedz.

— Nie, on udaje.

— Absolutnie — zaprzeczyłem. — Naprawdę nie wiem. Dajcie mi szansę na zaspokojenie ciekawości, zanim mnie zetniecie.

— Najpierw wbijemy cię na pal, żebyś nie miał za dobrze.

— Rozumiem.

Z bliska okazało się, iż płaszczyzna punktowca jest co prawda zimna i bezlitosna, lecz nie całkiem jednolita.

Naznaczały ją kanały i kanaliki Kojarzyło mi się to z boniowaniem, ulubionym zajęciem barokowych specjalistów od fasad budynków.

Wstrętny igłowiec kołysał się jednakowoż dość rytmicznie czyli że nie był to przypadek Trochę mnie to pocieszało. Deliberowałem sobie, iż przed kaźnią czeka mnie przesłuchanie a potem może nawet proces. Trochę mi jeszcze życia zostało i nie chciałem bynajmniej skończyć pod gruzami, nim mój czas się dopełni.

Rozwarła się piekielna brama i wjechaliśmy do środka. Potem kule zaprowadziły mnie do jakiejś celki i odeszły.

Nie zasnąłem natychmiast, męczony głodem, wszelako w końcu sen przybył.

Obudziłem się, czując silne szarpnięcie za ramię. Nade mną stał człowiek. Ten człowiek, względnie istota człowieka udająca, co, znając perfidię wysoko rozwiniętych kul, wcale by mnie nie zdziwiło, patrzył na mnie ironicznie i jakby nawet trochę pobłażliwie.

— Już czas? — burknąłem.

— Czas na co? — zapytał.

— Na egzekucję.

— Przyszliśmy cię stąd zabrać.

— Gdzie będziecie mnie wbijać? Czy kaźń będzie publiczna? Co z procesem...?

— Nie jestem od tych kulistych potworków. Jestem z Glaxo.

— Glaksjanin! Jeszcze lepiej! To ty jesteś od tych owadzich glonów z południa Metagalaktyki, z którymi toczą śmiertelny bój nasi sojusznicy z Aldebarana, powiadający o sobie, że to oni przed milionami lat zainicjowali życie na Ziemi i dlatego musimy ich wspierać?

— Bredzisz — rzekł. — Ale cię rozumiem. Przepraszam, nie przedstawiłem się. Hans Bregword, korporacja Glaxo.

— Glaxo?

— Nie słyszałeś o Glaxo? Twoja erudycja pozostawia wiele do życzenia. Ale i tak muszę cię uratować, bo mi za to płacą. Nie dostanę premii, jeżeli nie znajdziesz się na Ziemi w oznaczonym czasie i miejscu.

— To jakiś podstęp. Poza tym chce mi się spać.

— Boże — zawołał Bregword. — Jestem agnostykiem ale czasem nie mogę powstrzymać się od wezwania boskiego imienia, zwłaszcza, kiedy spotykam się z tak chorym przypadkiem! I kogo myśmy

posłali z misją! Słuchaj, jestem jeszcze słaby po hibernacji, nie będę cię dźwigał na plecach!

Rozpacz w jego głosie wyglądała na rzeczywistą

— Może i naprawdę pochodzisz z naszej pięknej błękitnej planety.

— Zapewniam cię, że tak.

— Ale jak się tu dostałeś niezauważony i w jaki sposób stąd uciekniemy?

— Nie sugeruj się zbyt tym, iż tutejsza cywilizacja osiągnęła Najwyższą Fazę Rozwoju. My z Glaxo mamy swoje sposoby na takich typków. Nasz koncern to potęga.

Budynek zaczął się kołysać. Co więcej, kołysał się obrzydliwie uporczywie.

— Co to?

Bregword odetchnął.

— Sam widzisz, trzeba wiać.

— Nie widzę wyjścia.

— Zaraz ujrysz — oznajmił Bregword z niezachwianą pewnością. Pstryknął czymś i pokazały się drzwi. Ci z Glaxo faktycznie niemało potrafili.

Za drzwiami był ciemny tunel. Porwał nas ku seledynowej jasności. Wszystko wibrowało. Ja drżałem, lecz i mój wybawiciel również.

— Fatalnie — powiedział. Co za głupie pomysły mieli ci kinetowcy.

— Kto?

— Tak nazwano przedstawicieli NFR—owskiego ruchu artystycznego, który negował konieczność wznoszenia stabilnych domów, co gorsza swoje idee wprowadzając w czyn Kinetowcy uważali, iż budynek powinien być w ruchu, aby nie było nudno.

— No i nie jest.

— Moje życie jest dostatecznie ciekawe i bez tego.

— Popieram.

— Nie filozofuj — zgromił mnie agent korporacji Glaxo, czy kim on tam był.

— Czemuż to mam nie filozofować?

— Gdyż jest to oznaką słabości — orzekł Hans Bregword, przybierając minę sklonowanego potomka Batmana.

Cały czas pędziliśmy, wibrując już nieco mniej. A może się przyzwyczajałem?

— Czy ta winda nie jedzie aby zbyt wolno?

— Plan ucieczki został opracowany na Ziemi, przez naszych programistów — odparł mój wybawiciel. — Każdy z nich zarabia milion dolarów rocznie, czyli coś chyba potrafią.

— Tylko milion?

— Tylko.

— A skąd ci chłopcy wiedzieli, iż najwyżej rozwinięte kul» wsadzą mnie do tego akurat igłowca o nieprzyjemnym zabarwieniu?

— Czemu nieprzyjemnym?

— Bo mi się ten błękit nie podoba.

— Zamiast cieszyć się, że jeszcze żyjesz, kaprysisz.

— To jest właśnie oznaką radości życia. Czy ci się nie wydaje, że stanęliśmy?

— Tak mi się wydaje — powiedział Bregword.

— Dobrze to czy źle?

— Nie filozofuj. Nasi spece od symulacji galaktycznej są prawdziwymi mistrzami. Dlaczego mi nie wierzysz? Czyż nie trafiłem do twojej celi bez pudła?

— Nie wiem, za którym razem.

— Trzynastym — odpowiedział agent, jakby czymś rozeźlony. — Trzynastka do szczęśliwa liczba. Kiedy w młodości pływałem kajakiem po jedynej czystej rzece w okolicy, to nosiłem koszulkę z trzynastką.

— I ani razu się nie wywaliłeś?

— Ledwie trzynaście razy. Co to jest. Nic.

— Ale stoimy.

— Fakt. — przyznał tajny emisariusz. — Trochę krzyżuje mi to szyki, ale tylko trochę.

I pstryknął jakimś urządzeniem, czyniąc to jednak z pewną obawą.

Nie myliło go przecucie.

Tajemna ściana windy rozwarła się, lecz zamiast przycumowanego wahadłowca, którym mieliśmy dotrzeć do statku — matki, zobaczyliśmy coś w rodzaju krwistoczerwonej pieczary, wspomniana pieczara zamiast stalagmitami wypełniona była podskakującymi z radości idealnymi kulami.

— Mamy was!!! — krzyczały po angielsku te szybko uczące się istoty.

Oczekiwałem, iż Bregword, jak na potomka Batmana przystało, da im popalić, ale nie. Milczał. Stres był silny, że nawet wizja niechybnej premii nie była w stanie nakłonić go do działania.

Rzekłem doń: — Zdaje się, że twoim wirtualistom coś nie wyszło.

Wszelako nawet tak jawna prowokacja nie zmusiła go do czynu. Drżał. Był zdany na siebie samego. Któż jednak powiedział, iż żywot gwiazdokrażcy musi być pasmem nieustających sukcesów! Jako żywo, nikt tego nie obiecywał! Tak mi się pomyślało. Kule zaś rzekły

— Jesteście szpiegami. To jasne. Wspólnie będziecie odpowiadać za swoje zbrodnie.

W pierwszym odruchu odrzuciłem domniemanie, iż ponownie znaleźliśmy się w łapach sił rządowych. W dalszej kolejności — że znów przejęli nas kontrrewolucjoniści, alias pęczacy. Najwyższa Faza Rozwoju musiała być tym razem reprezentowana przez wspólnościowych sekciarzy.

NAGLE!!! Bum i błysk. Wielkie bum i rozdzierający błysk.

WRESZCIE...

Udało mi się otworzyć oczy. Oto, co zobaczyły:

Kule obezwładnione i przygaszone. Bregword nieprzytomny. Ja — jednak reagujący. Pieczara — jaka była. Tyle że pojawił się w niej nowy obiekt. Typ zdecydowanie nordycki. Rzeczywisty Ziemianin. Włos długi, jasny, rozwiany. Spojrzenie — wzrok szalonego Wikinga.

— Ha! — powiedziała nowa istota. — To mi się podobało.

— Porządek, jaki uczyniłem.

— Międzyplanetarny, ma się rozumieć.

Skrzywił się z pewną dezaprobatą. Ale generalnie wyglądał na zadowolonego z siebie.

— Gumnar Glaxo. Rewident do specjalnych poruczeń. Znaczy Anty-Agent.

— Ok. — powiedziałem. — Podoba mi się to, że jesteś dobrze wychowany. Co zrobimy z NFR-owcami?

— Gdybym nie miał, niestety, jasnych instrukcji, iż trzeba unikać przelewu krwi, to bym wiedział, co z takimi gadami zrobić.

— To są kule, a nie gady.

— Oni oszukują — machnął ręką. — Tak często zmieniali swą fizyczną strukturę, że już nie wiedzą, kim są, ani kim byli.

— Ale to nie nasz problem.

— Byłby to nasz problem, gdybyśmy mieli więcej czasu. A także — gdybym nie był limitowany. Moi przodkowie mieli lepiej. Nic ich nie obchodziły żadne limity ani oraz instrukcje. Sami stanowili

prawo, zabijając wszystko, co się ruszało, kiedy tylko żywili pragnienie tego rodzaju.

Nie miałem wątpliwości: prawdziwy Wiking. Jak on się zaplątał w Najwyższą Fazę Rozwoju? Niezbadane są wyroki boskie...

— Wstawaj!

To było skierowane do Bregworda.

Ten zaś leżał. Podniósł się dopiero, kiedy Gumnar zaaplikował mu kilka kopniaków.

— No?

— Nie „no”, Bregword, tylko podnoś się. Wracamy!

— Gdzie ja jestem?

— Nie filozofuj, Bregword. Jesteś nieudacznikiem!

— To prawda — dodałem, choć nikt nie pytał mnie o zdanie. Zamilkli. Istniała między nimi pewna duchowa więź, lecz niezbyt silna.

— Statek czeka — powiedział Gumnar. — Mieszkańcy tej planety pograżyli się w odmęcie wzajemnych waśni, toteż słabo panują nad sytuacją, lecz zawsze może znaleźć się ktoś, kto czuwa. Jeśli nas odszukają, to nie dam za naszą skórę ani centa.

Przyznaliśmy mu słusność. Kapsuła ratunkowa była przycumowana do dachu igłowca. Gumnar, niczym kapitan ze starych filmów, wszedł ostatni.

Krażownik korporacji Glaxo krążył nad planetą. Nawet go było wyraźnie widać. Wystartowaliśmy.

Kiedy minął pierwszy szok przeciążenia, spojrzałem — sądząc, że po raz ostatni — na planetę. Wyglądała normalnie, to jest, dziwacznie jak na mój ziemiański gust. Kiedy popatrzyłem znowu — statek był już oddalony o ładnych paręset milionów mil — zauważyłem, iż jedna z liter w napisie „NFR”, mianowicie „F”, jakby straciła równowagę... Znowu się pożarli!

Powrót do naszego układu solarnego był niczym przejażdżka po Wełtawie czasów Franza Kafki. Żadnych niespodzianek. Szokiem było dla mnie dopiero to, czego dowiedziałem się po wylądowaniu.

Owszem, moja macierzysta firma jakoś tam była w sprawę zamieszana... wszakże nie ona grała pierwsze skrzypce.

A kto grał?

To jasne: Glaxo.

Nie było łatwo dowiedzieć się tego, lecz są na tym świecie miejsca jak gdyby stworzone do ciągnięcia ludzi za język... Powiem więcej: w pewnych sytuacjach bliźni opowiada nader ochoczo i wcale zbytnio nie trzeba go do tego nakłaniać.

Wszelako. Nim się dokopałem prawdy, bohaterem. Przynajmniej medialnym. Cały układ solarny z zapartym tchem śledził moje wystąpienia. Gumnar i Bregword schowali się w cień. Tak im kazał prezes. Kiedy prezes potężnej korporacji raczy się odezwać, nawet prawdziwi Wikingowie robią w majtki. Taki już jest nasz świat. Nie warto go szerzej opisywać.

Toteż w skrócie: Moją wyprawę sfinansowało Glaxo. Po co? Dlatego, że wpierw ją wymyśliło.

Z jakiego powodu wymyśliło?

Otóż doprawdy z niezbyt oczywistego!

Glaxo cały czas zbijało giełdowy kurs spółki produkującej ten typ jednostek, na jednej z których polecałem. Skoro zaś dokonałem swego dzieła na tej właśnie okropnej — niby — maszynie, kurs ów zaczął się wznosić w sposób nieprzytomny.

Naturalnie — większość papierów tej firmy znajdowała się już w tym momencie w posiadaniu szacownej korporacji. Nie wiem, ile oni spodziewali się zarobić, lecz bezspornie była to trafiona inwestycja.

Brawa dla Glaxo; etat u nich dla mnie; a ku potomności opinia:

Choć prywatyzacja Kosmosu odziera całe przedsięwzięcia z resztek romantyzmu, to jednak krzepiące jest, że pozwala ona dokopać nawet gościom, którzy osiągnęli Najwyższą Fazę Rozwoju.

I tym optymistycznym akcentem wypada zakończyć.

Krzysztof Kochański

Sen o potędze

Gabinet znajduje się na trzydziestym czwartym piętrze wieżowca. Na tej kondygnacji, zajmowanej w całości przez przedsiębiorstwo Jacquesa de Montherlant, mieści się jeszcze dziewiętnaście innych dyrektorskich pokoi i cztery hale biurowe, oplecione siecią kamer, faksów i komputerów, wypełnione po brzegi personelem. To tutaj zbiega się pajęczyna licznych filii firmy, osadzonych również daleko poza granicami Układu Słonecznego.

De Montherlant siedzi samotnie za konferencyjnym stołem, z wyraźną przyjemnością zaciągając się cygarem. „Nigdy nie zaciągaj się cygarem” — niejednokrotnie pouczał go jego lekarz. — „To nie tylko zabójcze dla twoich płuc, to nie tylko profanacja tytoniu, to sprzeczne z zasadami *savoir vivre*”. Mówi się trudno, zwykł odpowiadać Jacques de Montherlant, magnat przemysłu tytoniowego. On i używka, która przez wieki towarzyszyła ludzkości, a z którą związał swoje życie, wciąż miały się dobrze, mimo iż obu niejednokrotnie przepowiadano kres.

Obserwuje szczura, buszującego w wielkim jak wanna akwarium, stojącym pod ścianą. Jeśli wierzyć człowiekowi, od którego go kupił, szczur liczy sobie pięćdziesiąt sześć lat. De Montherlant zadał sobie trud sprawdzenia, ile naprawdę żyją te paskudne synantropy i okazało się, że mniej. Znacznie mniej. Kilkunastolatek to już matuzalem. Być może sprzedawca zbyt zagalopował się w reklamie swego towaru, faktem jednak pozostaje to, że w ciągu ostatnich trzech lat, odkąd de Montherlant wszedł w posiadanie szczura, ten postarzał się może o kilka miesięcy. Potwierdzały to ponad wszelką wątpliwość regularne, comiesięczne badania krwi, sierści i wycinków skóry— jeśli wciąż wierzyć sprzedawcy, tę niewiarygodną wieczność zwierzę uzyskało za młodu, powite przez zwyczajną szczurzą samicę w jakimś zakamarku, w gnieździe, wyścielonym sianem o dziwnym zapachu. Tamten człowiek był w posiadaniu fragmentu gniazda i zbył go wraz ze szczurem, jednak analiza chemiczna nic nie wykazała, poza tym, że wysuszona trawiasta roślina była całkowicie nieznana.

To oczywiste, że de Montherlant zapragnął poznać tajemnicę rośliny. Ilekroć wrzucał pokarm do akwarium mięso, kości, czasem żywe chrząszcze lub małe myszki, tylekroć rosło w nim to pragnienie.

Ktoś puka do drzwi. Sekretarka wprowadza pracownika, na którego de Montherlant czeka. Magnat wstaje od stołu, przechodzi za olbrzymie mahoniowe biurko o połysku świeżo zamrożonego lodowiska, i dopiero gdy osiada w fotelu, wyjmuje z ust cygaro.

— Jak długo dla mnie pracujesz? — odzywa się poniewczasie.

— Prawie pięć miesięcy — odpowiada Wiktor Jerzman, szczupły, doskonale wysportowany mężczyzna w średnim wieku.

— Nie masz dość?

Przybysz uśmiecha się kącikiem ust, unosi lekko brwi.

— Nie.

De Montherlant rechocze z aprobatą, po czym kwituje:

— Łziesz jak pies. Jesteś zbyt inteligentny, żeby przez resztę życia być ochroniarzem jakiegoś mafioso... Niezaprzeczaj, muszę być mafioso, jeśli chcę płynąć na grzbiecie tej fali. Może nie

wszyscy o tym wiedzą, ale my dwaj na pewno, nieprawdaż Wiktorze?

Szczur za szybko akwarium staje na dwóch łapkach i strzyże długimi wąsikami, jakby to on nazywał się Wiktor. Zawsze tak robi, słysząc ludzkie głosy. Odslania przy tym nietypowe, białe przebarwienie sierści na prawym boku, wielkości dużej monety.

— Nie zaprzeczam. — Jerzman zachowuje obojętność. Nie wygląda, żeby udawał. — Zapewne ma pan rację, skoro tak pan mówi.

— Hm... Rozumiem. Szef ma zawsze rację, chcesz powiedzieć.

De Montherlant ponownie dostarcza płucom porcję cygarowego dymu i bez słowa przesuwa w stronę Jerzmana gazetę. Pewien fragment tekstu zakreślono czerwonym flamastrem.

— Znam to ogłoszenie — mówi Jerzman — Zaglądam do wojskowej rubryki z przyzwyczajenia

— I co?

— Nic. Facet potrzebuje żołnierza.

— Nie masz ochoty spróbować?

— Nie jestem żołnierzem.

— Ależ jesteś — de Montherlant dmucha dymem, a potem macha dłonią, rozganiając dym — Powiedz raczej, że brak ci pieniędzy, żeby tam się dostać,

— Brak — przyznaje Jerzman. — Ale to bez znaczenia, gdyż z wojskiem skończyłem pół roku temu.

Jerzman leżał wtedy poważnie ranny w polowym szpitalu w samym centrum Puszczy Białowieskiej. Potem poprosił o rentę, choć wcale nie musiał tego robić. Dobiegał czterdziestki a człowiek w tym wieku jakoś bardziej skrupulatnie zaczyna się rozglądać, czy jutro słońce wstanie również dla niego. Renta była taka sobie, ani duża, ani mała, za to czas dłużył się niemiłosiernie. Dlatego przyjął pracę ochroniarza.

— Zaglądasz do wojskowej rubryki z przyzwyczajenia — podejmuje de Montherlant. — A co byś powiedział na małe wakacje?

Jerzman milczy przez dłuższą chwilę.

— Tam! — wskazuje gazetę.

Kosmodrom był dobrze ukryty. Skromna, zaledwie dwustanowiskowa platforma mieściła się w okolicach bieguna Kedrus, na lodowcu, a właściwie w wykutej w lodzie studni o gigantycznej średnicy. Wiktor Jerzman stał na dnie szybu z zadartą w górę głową, podziwiając kontrast, jaki tworzyły szklane ściany z błękitem bezchmurnego nieba. Kolor nieba zależy od składu atmosfery, wiedział o tym, ale i tak był zaskoczony, jak bardzo ten niebieski, eliptyczny wycinek przypomina mu ziemskie niebo.

Było bardzo zimno. Kosmodromu nie ogrzewano, gdyż przez znaczną część roku nie przebywał tu nikt, komu ciepło byłoby potrzebne. Tylko maszyny i komputery.

Jerzman wsiadł do windy, która wyniosła go i jego skromny ekwipunek na pokrytą śniegiem powierzchnię, boleśnie odbijającą słoneczny blask. Został o tym zawczasu uprzedzony przez mechaniczny głos kosmodromu i założył lustrzane gogle, których kilkanaście par znajdowało się w windzie.

Przywitał go smok. Miał siedem głów, na każdej dwoje czerwienią oczu. Z trzech pysków sączyły się smużki.

— Witamy na Kedrus — rzekł robot i odrzucił iluzję. Wyglądał na dość sfatygowane urządzenie, przynajmniej jeśli chodzi o obudowę. — Jerzman uznał, że w poprzedniej, egzotycznie zamaskowanej postaci, było mu znacznie bardziej twarzowo.

Otworzyły się drzwi kabiny. — Zapraszam do środka. Podróż potrwa niestety aż cztery godziny, ale można wziąć kąpiel i zdrzemnąć się.

— Dzięki, jestem czysty — odparł Jerzman. — I wyspany. Przeładował rzeczy go luku bagażowego. Gdy skończył, odesłał windę z powrotem. Nim dotarła na miejsce, wysięgnik szybu zrównał się z podłożem i nawet z odległości pięciu metrów nikt postronny nie zdołałby zauważyć kosmodromu. Rutynowy zbytek ostrożności, o ile Jerzman dobrze się orientował, planetę Kedrus zamieszkiwało kilkanaście tysięcy ludzi na etapie cywilizacyjnym określanym jako organizacja plemienna. Bardzo wątpliwe zatem, aby ktokolwiek z tubylców odwiedzał lodowiec. Wnętrze robota okazało się sześcienną kłitką o wymiarach niewiele większych od psiej budy. Nawet nie można było się wyprostować. Na szczęście stał tu fotel, w którym Jerzman usiadł z przyjemnością. Odłożył okulary na przykręconą do ściany atrapę stolika.

—Gdzie? Ciekawe, gdzie miałbym się wykąpać? — mruknął.

— Pysznic jest w luku bagażowym — padła mechaniczna odpowiedź. — Już za późno chyba że zabierzesz swoje rzeczy.

— Nie, nie. Wszystko w porządku.

Coś zaszeleściło. To robot ponownie otoczył się smoczą iluzją.

Podczas lotu Jerzman z zainteresowaniem zaglądał w bulaj z ręcznie regulowanym obiektywem, w dole jednostajnie przesuwała się powierzchnia jedyne go kontynentu planety. Lodowiec kończył się jak śmietanowy tort obcięty gigantycznym nożem, i niemal natychmiast pojawiła się roślinność, początkowo rzadka z niewielkimi kępami krzewów, potem coraz śmielsza, aż wreszcie cały niemal obszar pokryty był lasem. Mało było rzek i jezior. Nie dostrzegał ani jednego osiedla, żadnego choćby śladu działalności człowieka, tylko w pewnym momencie, daleko na horyzoncie pojawił się jakiś wał, nasypyany wzdłuż koryta rzeki lub kanionu.

— Co to jest? — zapytał.

— To jest informacja zastrzeżona — odparł smok.

* * *

Baza przypominała zminiaturyzowany zamek barbarzyńskiego księcia. W całości wykonana z ogromnych głazów, spajanych glinianą zaprawą i mniejszymi kamieniami. W otaczającym, niewysokim ostrokołe widniał szereg strzelniczych otworów, wąskich najwyżej na dłoń. Warowny zamek: tyle, że nie miał fosy ani zwodzonego mostu. Wyrastał wprost z murawy, pnąc ku niebu swe dwie, okrągłe w przekroju wieżycy. Jego wygląd zaimponował Jerzmanowi, szczególnie gdy przekonał się, że konstrukcja jest prawdziwa, że to nie jakaś iluzja, zaprojektowana przez utalentowanego plastyka.

W bocznej furcie zamku stała ładna kobieta.

— Nazywam się Wiktor Jerzman — rzekł. — Pan Russel mnie oczekuje....

Nie odpowiedziała. Była bardzo wysoka, w dodatku niezwykle chuda, co jeszcze bardziej podkreślało jej nieprzeciętny wzrost. Później Jerzman dowiedział się, że wszyscy mieszkańcy Kedrus wyglądają podobnie, a szczupłość wcale nie świadczy o niedożywieniu. Jeszcze raz zapytał o Russela. Zdawało mu się, że kobieta rozumie, co się do niej mówi, ale wciąż nie odezwała się ani słowem. Odczekała, aż zamilknie, po czym wręczyła mu kartkę, śmiałym gestem chwyciła za rękę i

zaprowadziła go do wnętrza bazy.

Pierwsze pomieszczenie nie pozbawiało złudzeń co do surowego charakteru zamku, zapewne tutaj Russel przyjmował interesantów. Ogromna, zimna komnata otoczona była podwójnym rzędem galerii — pierwsza na wysokości może trzech metrów, druga dwa razy wyżej, jakieś dwa metry pod stropem. Na obie wiodły solidne, choć dość sfatygowane drabiny. O ile z pierwszej galerii odchodziło kilka grubo ciosanych, drewnianych drzwi, o tyle druga bez celu obiegała nagą ścianę, a jej balustrada przypominała raczej dziecięcy płotek.

Kobieta przeprowadziła Jerzmana przez komnatę, wskazując jedną z drabin. Za nimi wtoczył się robot, który wypluł zawartość bagażowego luku, po czym zaległ w kącie, przeistaczając się w siedmiogłowego smoka, tym razem zmorzonego snem. Z wszystkich siedmiu paszczy, pomiędzy uniesionych groźnie chrap wydobywał się dym, delikatny niczym kadzidełko.

Jerzman wziął jedną z toreb, tę z osobistymi rzeczami, i wspiął się na drabinę w ślad za cichą autochtonką, która już czekała na niego na pierwszej galerii. Otworzyła najbliższe drzwi ale okazałym kluczem, który wręczyła mu, wymownie wskazując na kieszeń.

— Tak, będę go pilnował — rzekł.

Usatysfakcjonowana pchnęła Jerzmana lekko w plecy, odwróciła się i zbiegła po drabinie w dół, nawet nie przytrzymawszy się ręką.

Wszedł do pokoju i aż zmrużył powieki, porażone słonecznym światłem. W centralnej komnacie panował półmrok, okna były małe, a znaczna grubość muru dodatkowo zmniejszała ich przelotowość, natomiast tutaj pół ściany zajmowało tarasowe okno; nie miał pojęcia, jak było to zrobione, skoro z zewnątrz nic takiego nie zauważył. Usiadł na łóżku. Pokój był zwyczajny — żadnych masek, żadnego udawania rzeczywistości — meble jak wymontowane z kosmicznego statku (niewykluczone, iż tak właśnie było), trochę sprzętu elektronicznego, książki. Rozwinął kartkę otrzymaną od kobiety na powitanie. Dawno nie widział odręcznego pisma, nie licząc własnych bazgrołów.

Szanowny Panie. Niestety, nie doczekałem Pańskiego przyjazdu. Ufam, że tym razem de Montherlant się pomylił, choć biedak zapewne jest przekonany, że mylił się wcześniej. Proszę czuć się jak u siebie. Praktyka jest Pańska. Rozliczenie i papiery za rok, jeśli się Pan sprawdzi. Jeśli nie, to Tuala Pana zabije.

PS. Jeśli Tuali stanie się krzywda, umrze Pan według rytuału jednego z tutejszych plemion. Zaoszczędzę Panu szczegółów, ale rytualna śmierć trwa jakieś sześć dni. Byli tu już tacy, którzy tak umierali, można ich znaleźć na górze, jeśli kto ciekawy.

Pozostając z szacunkiem.

Dominik Russel

Jerzman przeczytał list dwukrotnie, potem położył się na łóżku i przeczytał go raz jeszcze. Za każdym wydawał mu się mniej zabawny. Skąd, u diabła, Dominik Russel mógł wiedzieć o de Montherlancie? I te sformułowania... Żywił nadzieję, że „nie doczekałem” nie oznaczało zapowiedzi śmierci Russela, prawdopodobnie zabrakło tam po prostu „się”, „nie doczekałem się”, przecież za rok (cokolwiek było przyczyną niewiarygodnej wprost zwłoki) zamierzał podpisać umowę.

Ale przynajmniej dowiedział się, jak ma na imię milcząc gospodyni.

Wyjął z torby czarny przedmiot, niewielki, swobodni mieszczący się w kieszeni, otworzył klapkę, wystukał na klawiszach cyfrowe hasło dostępu i nadał zakodowany sygnał Informacja, mknąc z prędkością światła, w ciągu ułamka sekundy dotarła do satelity na orbicie parkingowej Kedrus stamtąd niecałe osiem minut wędrowała do punktu tranzytowego, potem, już bez straty nawet jednej

nanosekundy hipertunelem do stacji księżycowej w Układzie Słonecznym. Jeszcze tylko trzy sekundy i znalazła się w wirtualnej skrzynce pewnego osobistego komputera. Najwięcej czasu upłynęło, nim odczytał ją właściwy adresat, gdyż na tej półkuli Ziemi panowała wówczas noc. De Montherlant obudził się dopiero trzy godziny później.

* * *

Znajdował się na Ziemi, w szpitalu położonym w samym sercu białowieskiej puszczy. Był późne popołudnie i słońcu niewiele już brakowało do osiągnięcia zachodniej linii horyzontu. Wyszedł na spacer. Przeszedł przez dziurę w ogrodzeniu i wkroczył w cień rzucany przez wiekowe drzewa. Poskręcane bukowe liście chrzęściły pod stopami, trzaskały przydeptywane uschłe gałęzie, których wciąż było pełno, mimo ognisk palonych wieczorami przez personel i pacjentów szpitala.

Spacerował bez celu dość długo i już miał zamiar wracać, gdy natknął się na stado żubrów. Jeden samiec, kilkanaście samic i młodziaków. Ponieważ stał pod wiatr, nie zdawały sobie sprawy z jego obecności. Ostrożnie przesunął się za drzewo i obserwował. Były spokojne, wręcz flegmatyczne, trudno uwierzyć, jak potrafią być niebezpieczne.

I nagle:

— „*Trudno uwierzyć, jak potrafisz być niebezpieczny*”

Głos był niski, jakby dobiegał z jakiejś tuby.

Przestraszył się. Przykucnął, oparł plecami o drzewo i z rękami wspartymi palcami o ziemię, niczym sprinter gotowy do biegu, lustrował okolicę. Nie dostrzegł nikogo. Cisza. Tylko ptasi świergot i szum koron drzew nad głową.

— Kto tu? — zawołał półgłosem, wciąż napięty. Cisza. I znowu — „*bison bonasus*”.

Teraz zlokalizował kierunek, gdzieś z tyłu, za drzewem. Wyrzwał ostrożnie.

Spoglądał prosto w ciemne, zaropiałe oczy żubra. Samiec poruszał rytmicznie szczękami, obojętnie, jakby miał przed sobą martwy przedmiot, nie człowieka. Ze skołtunionej brody skapywała strużka śliny. W pewnej chwili przymknął nabrzmiałe powieki.

— „*Spróbuj!*”

Głos wydobywał się z pyska zwierzęcia.

Patrzyli sobie w oczy, nieruchomi, jak zahipnotyzowani, gdy nieoczekiwanie żubr zakołysał się. Runął na ziemię jak rażony piorunem. Spłoszone stado, z głośnym tętentem uciekało w labirynt buków i jodeł. Ucichły ptaki.

Ponieważ żubr nie poruszał się, odważył się do mego podejść. Dotknął dłonią twardej, ciepłej skóry. Nie zważając na odpychający smród, obmacał cielsko. Czego szukał? Podczepionego głośnika? Magnetofonu?

Zwierzę oddychało ciężko i powoli. Spało. Po prostu spało, w chylącym się ku zachodowi słońcu, u stop człowieka, podczas gdy jego stado rozpierzchło się po lesie. Raptem przez pokryte licznymi narostami ciało przebiegł dreszcz.

Powieka odskoczyła jak klapka judasza.

Obserwował, jak żubr przytomnieje, zdając sobie sprawę, że powinien uciekać, nim zwierzę odzyska siły, ale nie mógł się poruszyć. Okrągłe, ciemnobrązowe, niemal czarne oko zdawało się go hipnotyzować. Nagle zobaczył w nim zniekształcone, jak w soczewce, odbicie twarzy.

To nie była jego twarz.

Ale rozpoznał ją.

Twarz Dominika Russela.

W tym momencie Jerzman obudził się. Było mu gorąco, a serce skakało jak oszalałe. To nie był zwyczajny sen. Do pewnego momentu wszystko było prawdą, wydarzenia sprzed kilku miesięcy przesunęły się w nim jak filmowy replay. Rzeczywiście przebywał w szpitalu, rzeczywiście wyszedł na spacer i spotkał żubry. A wieczorem przeczytał list od de Montherlanta z propozycją pracy jako ochroniarz.

Tyle, że żaden żubr nie wydobywał wtedy z siebie ludzkiego głosu, ani nie padł przed nim.

Ale nie o to chodzi. Tym, co teraz przeraziło Jerzmana, był fakt, że skądś wiedział, że twarz należała do Dominika Russela. Jak można rozpoznać — choćby we śnie — kogoś, kogo nigdy się nie widziało?

Swoje czterdzieste urodziny Wiktor Jerzman spędził w średniowiecznym zamku, w ogromnej kamiennej komnacie w towarzystwie smoka. Smok był siedmiogłowy, a z każdej paszczy sączyła się ostrzegawcza smużka dymu, lecz tak naprawdę nie był żadnym smokiem, tylko siedmioelementową inteligentną macierzą w cielsku tytanowej maszyny.

— Jestem prywatnym żołnierzem — powiedział Jerzman niezbyt wyraźnie. Przed nim stały dwie butelki jakiejś alkoholowej mikstury, którą podała mu Tuala. Jedna z butelek była już pusta. Smok nie pił. Ani kropli. — Przyleciałem wczoraj a dziś jestem prywatnym żołnierzem. W dodatku nie zainwestowałem złamanego centa. Nie uważasz, że to ciekawe?

Smok pokiwał głowami, co, zważywszy na ich ilość wyglądało wiarygodniej niż jakiegokolwiek słowa.

— Gdzie jest Russel? — zapytał Jerzman.

— Informacja zastrzeżona — usłyszawszy odpowiedź, przypomniał sobie, że przecież zadawał już to pytanie.

— Umówiłem się z panem Russelem na kupno tej praktyki, w zasadzie wszystko jest uzgodnione, możesz, że tak powiem, śmiało wykonywać wszystkie moje polecenia.

— Proszę pokazać umowę i wprowadzić kod dostępu. Jerzman skrzywił się i po raz kolejny nalał do kubka płynu koloru zgniłej zieleni. Ufał, że Tuala nie podała mu jakiejś rytualnej plemiennej trucizny, po której wic się będzie w męczarniach przez najbliższych sześć dni. Tuala! Jerzman uśmiechnął się. Ta dziwaczna kobieta wciąż nie odezwała się do niego ani słowem. Informacje, jakie dotąd zdobył, pochodziły od robota, jeśli ten nie zasłaniał się zastrzeżeniem.

— Dobra jest — rzekł. — Może w takim razie spełnisz pewną prośbę. Prośbę chyba możesz spełnić, co? Pokaż mi, jak wygląda Russel.

Robot wyświetlił hologram i Dominik Russel stanął przed mmi jak żywy. Jerzman bez słowa gapił się w jego twarz. W twarz z własnego snu.

— Ktoś idzie — powiedział smok. — Będzie tu za jakieś dwa dni.

Jerzman przysunął sobie bliżej butelkę.

* * *

Szaman wypowiedział swoje imię, lecz stanowiło ono zlepek tak niezrozumiałych dźwięków, że

Jerzman nie był stanie ich zapamiętać. Powiedział, że jest jedynym człowiekiem właściwego świata, który zna język Ziemi, gdyż tylko on obcuje z Grooghostem. A ponieważ to Grooghost wynajmuje Obcych, żeby bronili właściwego świata przed innymi Obcymi, zatem tylko z nim osobiście można uzgadniać wszelkie działania. Na dowód, że mówi prawdę, szaman bez obawy podszedł do zalegającego w kącie smoka i pogłaskał go po jednym z łbów. Robot nie zareagował, ale i też nie zrzucił maski, nadal więc nie było wiadomo, czy szaman wie, jak się sprawy mają, może tylko chciał popisać się odwagą.

Jerzman zapytał go o Russela i ku swemu zdziwieniu otrzymał odpowiedź, choć może nie taką, która by go satysfakcjonowała.

— Był bardzo chory i postanowił skorzystać ze snu Grooghosta.

— Sen? On śpi?

— Nie — zaprzeczył szaman. — Przecież mówię: korzysta ze snu Grooghosta.

— Czy to znaczy, że nie żyje? — nalegał ostrożnie Jerzman.

Szaman patrzył na niego z wyraźnym zakłopotaniem. — Korzysta ze snu — powiedział po chwili.

— W twoim języku nie ma innego słowa, a w twoim umyśle nie ma innego pojęcia.

Russel rozumiał.

— To może powiesz, kim jest Grooghost? Waszym władcą? Zakłopotanie nie zniknęło z oczu szamana; podrapał się po brudnych, skołtunionych włosach, po czym westchnął, jakby w piersiach gniótł go ogromny ciężar.

— Jak to jest — zapytał — że znacie magię, ujarzmiacie potwory, podróżujecie przez krainy bez powietrza, a nie wiecie tego, co najistotniejsze? Nie mogę tego pojąć.

— Więc mi wyjaśnij.

Szaman zmarszczył brwi. Wyglądał jak bohater szekspirowskiej sztuki; z czarną jak smoła brodą, ze śladami jedzenia na włosach, z mieczem za pasem i skórzaną, poprzątaną metalem, odzieżą. I ze słowami: — Najważniejsza jest odpowiedź. Czym jesteśmy. My i cały nasz świat?

Jerzman słuchał z mieszanymi uczuciami. Był to pierwszy tubylec, nie licząc Tuali, z jakim miał do czynienia, i o ile jego wygląd ściśle odpowiadał pojęciu „plemienna organizacja”, o tyle zachowanie i wypowiedzane słowa, zdawały się pochodzić ze zgoła innej rzeczywistości.

— W takim razie — podjął Jerzman — może po prostu wyjaśnisz mi, czym jesteśmy...

Szaman pokręcił przecząco głową.

— Można rzecz ująć w sposób, w jaki dawno temu próbowałem uświadomić prawdę Russelowi. Ale minęły całe lata nim mi uwierzył, więc nie wiem czy warto.

— Może jednak spróbujesz.

— Może. Zastanowię się.. — szaman wstał z ławy. — Najpierw chciałbym jednak, żebyś zrobił coś dla mojego plemienia. W końcu to właśnie z tym przyszedłem.

I wyłuszczył sprawę. Była prosta, co Jerzman przyjął z ulgą; ostatecznie miało to być jego pierwsze zadanie.

— Przychodzą o świcie — mówił szaman. — Odkąd Russel korzysta z Jego Snu, nie ma na nich rady. Nie zabierają dużo Trawy, zawsze to jednak strata. Poza tym zabili dwóch naszych.

— Jest ich wielu?

— Tak sobie. Ale miecze mają ostre. Moje plemię nie umie walczyć.

— Pytam o liczbę.

Szaman zastanawiał się tak długo, że Jerzman zaczął podejrzewać, że pewnie też nie umie liczyć.

I niewiele się pomylił. — Więcej niż palców rąk jednego człowieka, ale mniej niż u dwóch ludzi — padła wreszcie odpowiedź.

— W takim razie nie widzę problemu — powiedział Jerzman — Może poza jednym.

— Tak?

— Widzisz. Ja nie wiem, jak płacicie. Jak wygląda zapłata?

— Masz co jeść. Masz Toaletę. To wszystko jest od nas.

— Chcesz powiedzieć, że przebyłem pół wszechświata za wikt i opierunek?

— Russel nie przekazał?

— Co miał przekazać?

— Każdy dzień służby dla Grooghosta to dodatkowy dzień życia dla ciebie. Podobno to dla was ważne. Podobno ludzie z Ziemi chcą żyć dłużej niż ustalone.

— Nie bardzo rozumiem. Mówisz mi, że nie umrę?

— Umrzesz. Ale dopiero, gdy zechcesz.

— To jakaś bzdura!

— Taka jest umowa. Russel nazywa to kontraktem.

— I ja mam w to wierzyć?

Szaman wzruszył ramionami.

Przecież to prawda. Zapytaj Russela, gdy wróci.

Jerzman pokiwał głową.

— Zapytam. Za rok.

Gdy szaman odchodził, zatrzymał go jeszcze: — Czy inni z twojego plemienia są podobni do ciebie? Nie mam na myśli wyglądu, tylko...

— Ależ skąd — wpadł mu w słowo szaman. — Szczerą prawdę oznajmiał Russel, gdy mawiał, że my, Kiksu, durniejsi jesteśmy niż jego buty. Musisz pamiętać, że ilekroć rozmawiasz ze mną, to tak naprawdę wcale nie jestem ja, lecz Grooghost. Gdybyś rozmawiał tylko ze mną, dowiedziałbyś się tyle, co od bison bonasus.

* * *

Mina nazywała się „Wiedźma”. Nie była może tak widowiskowa, jak Demon, ale nie mniej skuteczna i zdecydowanie tańsza. Jerzman rozstawił ją w naprędcie wykopanym rowku, w poprzek ścieżki, przysypał z lekka piaskiem i nakrył liśćmi. Potem wdrapał się na drzewo i czekał.

Nadeszli szybciej, niż się tego spodziewał. Trzech pierwszych przeszło nad Wiedźmą, szczęśliwie uniknąwszy kontaktu, za to czwarty wdepnął w sam środek miny. Brodaty mężczyzna niemal wyfrunął w powietrze, miecz wypadł mu z ręki i zatoczywszy łuk, przepadł gdzieś w trawie.

Mina przez dłuższą chwilę syczała, sącząc ciemny, duszący dym, który nie rozchodził się, lecz formował zaprogramowany kształt, niczym obłok rzeźbiony podmuchami wiatru. Wojownicy ze zdumieniem wpatrywali się w zjawisko. Trzej, którzy przeszli wcześniej, odwrócili się, wyciągając przed siebie miecze. Nic nie widzieli, stracili z oczu resztę oddziału przesłoniętą dymną ścianą. Wreszcie uformowała się Wiedźma. Siedziała na wielkiej miotle, splecionej z setek gałązek spiętych powrozami. Jej rzadkie, rozwiane włosy, szamotały się we wszystkie strony, jakby żyły własnym życiem. Sępi nos, wielki na pół twarzy, drgał, zdawał się węszyć w poszukiwaniu ofiary. Na uszach pobrzękiwały srebrzyste obręcze. W pewnej chwili odwróciła się do tych z tyłu ścieżki, wykrzywiając w jadowym uśmiechu bezzębne usta. W miejscu języka drgało coś ciemnego,

lepkiego, obrzydliwie ociekającego śluzem.

Nagle twarz Wiedźmy przeobraziła się w oblicze szamana. Kiksu. Żeby nie mieli wątpliwości, od kogo przychodzi kara.

Sekundę po tym, gdy któryś z przytomniejących wojowników rzucił hasło do ucieczki, mina eksplodowała z hukiem. Zasięg rażenia wynosił kilkanaście metrów, co wystarczyło, by dosięgnąć tych trzech z przodu i ostatniego z uciekających. Reszta znikła już wśród drzew, a Jerzman nie miał nic przeciwko temu. Zadaniem miny były przede wszystkim szerzenie strachu. Bez tych, co ocaleją, strachu nie ma.

* * *

— Dobrze się spisałeś — powiedział szaman. — Grooghost mówi, że przyjmuje twoje usługi. Odtąd każdy dzień jest twoją nagrodą.

— Mówiłeś, że Grooghost śpi.

— Grooghost mówi przez sen — odparł poważnie szaman.

* * *

Wozów było dwadzieścia. Ciągnięte przez multile, przemieszczały się ze skrzypem drewnianych kół, grzęznąc w bagnistym o tej porze roku dukcie leśnym. Na każdym wozie siedziało dwóch mężczyzn; jakby nie liczyć, zebrała się tu pewnie piąta część wioski. Piąta część plemienia Kiksu.

Głupota.

Głupota, ocenił Jerzman, zważywszy, że plemię wciąż pozostawało w stanie wojny z najbliższym sąsiadem.

Coś trzasnęło na przedzie konwoju. Jeden z wozów zakołysał się, po czym osiadł na prawym boku. Kwiknął multil, którego uprzęż pociągnęła w tył i zmusiła do przysiadu na zadzie. Woźnica stoczył się prosto w błoto. Zaprzęgi stanęły, mężczyźni pozeskakiwali z zydli, biegnąc do miejsca wypadku. Również Jerzman, niewidoczny w leśnej gęstwinie, skierował się w tamtym kierunku. Skuter był iluzją zebra, jedynego dzikiego zwierzęcia na Kedrus, które (na próżno dociekał, jak to się mogło stać) występowało również na Ziemi.

Pękło tylne koło. Potrzaskane kawałki drewna sterczały z błota, a wóz wspierał się na osi. Naprawa nie trwała długo, Kiksu mieli ze sobą drugie koło, co nieoczekiwanie rozśmieszyło Jerzmana, kojarzącego je z zapasowym kołem samochodu.

Ruszyli dalej. Ciekaw był, dokąd multile ciągną wyładowane Trawą wozy. I co tak naprawdę z nią robią. Nie mieściło mu się w głowie, żeby, jak twierdził szaman, cały plon wiosennych zniw, trud wielu dni, złożyli w ofierze jakiemuś bóstwu.

Jechali do zmierzchu. Jeszcze jedna noc pod gołym niebem, tym razem również dla Jerzmana. Dotąd co noc wracał do domu, mknąc na skuterze, jak szybko się dało, nie przejmując się hałasem i światłem reflektorów; kto by zobaczył w tej głuszy, a jeśli nawet, to mało jest upiorów i demonów

plemiennych wierzeniach? Dzisiaj jednak zamierzał zostać, droga powrotna zabierała coraz więcej czasu (ostatnio ponad trzy godziny), poza tym nie miał nic przeciwko temu, by przypomnieć sobie stare czasy najemników, gdy noce w bardziej dziwacznych lasach nie należały do rzadkości. W tym celu zabrał ze sobą namiot, śpiwór i wystarczające na długo racje żywności i wody.

Detektor obecności obudził go w środku nocy. W namiocie było zupełnie ciemno. Nałożył gogle i nasłuchiwał, podczas gdy oczy przyzwyczajały się do pozbawionego ostrości, poczerwieniałego obrazu. Coś zaszeleściło na zewnątrz i otarło się o poszycie namiotu.

— Hej! Jerzman!

Błyskawicznie zerwał się do klęczącej pozycji, sięgnął po broń i wyprostował, na ile pozwoliła wysokość namiotowego stelaża. Intruz mówił uniwesalem. Nikt na tej planecie, poza szamanem, nie znał umwersalu, a to z pewnością nie był głos szamana. Zresztą, starzec nie uczestniczył w ekspedycji.

— Jerzman!

— Tak? — rzucił półgłosem i natychmiast zmienił pozycję, aby głos nie identyfikował miejsca, w którym się znajdował. Zbytek ostrożności. Nic się nie stało.

— Nie zamierzasz chyba siedzieć wiecznie w tym kokonie?

Z zewnątrz. Podczas jego nieobecności ktoś przybył z zewnątrz, spoza Kedrus. Nie było innego wyjaśnienia. Chyba, że... Russel?

Rozluźnił się Rozpiął suwak wyszedł z namiotu.

Przed nim stał Kiksu. Brodaty, brudny, śmierdzący zwierzęcymi odchodami. Ponieważ Jerzman był w goglach, otaczała go poświata, charakterystyczna dla podczerwieni.

— Nie powinieneś tego robić — powiedział mężczyzna.

Jerzman zwrócił uwagę, że nie miał żadnej broni.

— Czego robić? — zapytał ostrożnie.

— Niszczyć świata.

Jerzman zdarł z twarzy gogle. Teraz Kiksu wydał mu się jeszcze wyższy i dłonie Jerzmana mocniej zacisnęły się na kolbie pistoletu.

— Nie mam zamiaru niszczyć świata — odrzekł. Jego oczy powoli przestawiły się na normalne widzenie. I nagle rozpoznał słabo widoczną w mroku twarz przybysza. To był Kiksu powożący wozem, który przed wieczorem stracił koło. Nawet się nie umył po upadku na ziemię, choć obozowali nad rzeką jego prawą skroń i włosy pokrywało zaschnięte błoto.

— Nie wolno budzić Grooghosta.

— To zrozumiałe...

— Nie dla ciebie. Nie rozumiesz. Chcesz zabrać Trawę. Trawa, Grooghost i świat to zasada domina.

Zasada domina. Jerzman wolno wypuścił powietrze z płuc. Żaden Kiksu nie mógł wiedzieć, czym jest zasada domina.

— Kim jesteś?

Powiał wiatr. Nadspodziewanie zimny, nadspodziewanie silny. Kilka liści zatańczyło w powietrzu i nagle wpadły wprost w rozwarte usta przybysza. A on nie zwrócił na to uwagi.

— Świat jest tylko snem — padły słowa. — Gdy się obudzę, przestanie istnieć. To dobry sen. Lubię go. Lecz gdy zabraknie Trawy, przestanę śnić. Kiedyś zasnę powtórnie, zawsze zasypiam, ale tamten świat będzie już całkiem inny.

— Jaki świat? — szepnął Jerzman.

— Sen jest niepokorny. Nie zawsze śnisz to, co byś chciał, ale czasem się udaje. Jeśli mnie

posłuchasz, możesz żyć dłużej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić...

Tubylec recytował niczym mechaniczna lalka i nagle zakrztusił się. Mokry od śliny kłęb liści wyskoczył z ust, upadając wprost pod nogi Jerzmana. Wiatr ucichł.

Kiksu odwrócił się i pobiegł w las. Biegł na oślep, wpadając na drzewa, łamiąc krzewy i leśne chaszczce.

* * *

Tej nocy Jerzman nie był już w stanie zasnąć. Czuwał do brzasku, siedząc na pniu powalonego drzewa. Wreszcie przełknął treściwe śniadanie, złożył namiot i ruszył na skraj lasu, do obozu plemienia. Kiksu już wstali, niektórzy jedli zimne mięso z wygasłych wczorajszych palenisk, kilku dyskutowało o czymś zżywieniem, inni wycierali derkami multile, których metabolizm powodował wydzielanie przez skórę kropel wody, niczym rosy na roślinach.

Przez lornetkę szukał swojego wczorajszego gościa. Nigdzie go nie dostrzegął. Dopiero gdy grupa diskutujących mężczyzn rozeszła się, zauważył leżące na ziemi nosze a na nich nieruchomą postać. Ustawił zbliżenie i przyjrzał się uważniej. Na noszach leżał jego nocny gość Wyglądał na martwego.

Gdy wzeszło słońce, Kiksu ruszyli w dalszą drogę. Nosze wrzucili na jeden z wozów, a sposób, w jaki to zrobili, niedbały i arogancki, rozproszył ostatnie wątpliwości. Ten człowiek nie żył. Jerzman nie potrafił odpędzić myśli, że był martwy już w nocy.

Okolo południa pojawiły się pierwsze skały, zrazu pojedyncze, gładkie głązy narzutowe, potem było ich coraz więcej — Jerzman orientował się, co oznacza ta zmiana krajobrazu. Zbliżali się do wąwozu, dziwnej grobli, którą po raz pierwszy dostrzegł zaraz po swoim przylocie, z wysokości maszyny-smoka. Nie uszło też jego uwagi, iż szlak, którym podążał konwój, był linią prostą, mimo niewątpliwych przeciwności terenu. Szlak przetarty przez lata, może całe wieki, gdy każdego roku dwukrotnie przybywały tu karawany z Trawą, po zakończeniu okresu jej zbiorów. Imponująca konsekwencja, jakby nie oceniać jej celowości.

Ponieważ skończył się las i teren był odkryty, obserwacja konwoju stała się znacznie trudniejsza. Jerzman podążał w znacznym oddaleniu, w końcu znudziło mu się to i zboczył z drogi, postanowiwszy okrążyć wlokące się wozy, wyprzedzić je i zaczekać przy samej rozpadlinie, do której najwyraźniej zmierzały. Dla skutera nawet takie warunki terenowe nie stanowiły problemu.

Po pewnym czasie wrócił na szlak, ale nie zdołał dotrzeć do grobli przed wieczorem. Znowu przyszło rozbić namiot i spożyć suchy prowiant na kolację.

Długo nie mógł zasnąć. Nasłuchiwał, kilkakrotnie wychodził z namiotu, odganiając natrętny niepokój oczekiwania na ponowne odwiedziny martwego, ochlapanego błotem Kiksu. Nikt jednak nie przybył, nie licząc dziwnego, wielkości sporego psa zwierzęcia, które natychmiast uciekło w popłochu. Wreszcie usnął i obudził się o brzasku, tak jak budził się zawsze, gdy przychodziło spać pod gołym niebem, jeszcze za czasów służby w oddziałach najemnych.

Zdawał sobie sprawę, że wyprzedza konwój o dobrych parę godzin, zatem nie spieszył się. Spokojnie zjadł śniadanie i spakował bagaż. Wsiadł na skuter i ruszył prostym jak igła szlakiem. Nie ujechał daleko. Zaraz za następnym wzniesieniem pokazała się bezdrzewna, zielona równina, przeorana w poprzek skalistym wałem, gołoborzem z niezliczoną ilością różnej wielkości kamieni.

W obie strony, na prawo i lewo, wał rozciągał się po horyzont, mogłoby się wydawać, iż ciągnie się w nieskończoność. Ponieważ Jerzman stał na wzniesieniu, widział pustkę za wałem, szerokim na kilkadziesiąt może metrów, a za nią drugi, taki sam. Różnica była taka, że ten z jego strony miał pokaźną wyrwę, niczym bramę, do której prowadził trakt utarty karawanami Kiksu. Tam właśnie podjechał i zsiadł ze skutera. Podeszedł pod samą krawędź urwiska i, wychyliwszy się lekko, spojrzął w dół. Nie widział dna. Daleko, może kilkaset metrów niżej, zalegała szara mgła jakby deszczowe chmury schowały się w rozpadlinie na spoczynek. Wrażenie było przytłaczające. Po chwili wahania Jerzman usiadł na ziemi, wciąż przy samej krawędzi i nasłuchiwał. Co spodziewał się usłyszeć? Oddech śpiącego Boga?

Wpatrywał się w zachmurzone niebo pod stopami i nieoczekiwanie poczuł się jak chłopiec, leżący na wznak na łące, odczuwający błogi spokój przy wyszukiwaniu znajomych kształtów w zmieniających wciąż formy obłokach. Opadł na plecy i oto miał przed oczami prawdziwe niebo; bezchmurne, niebieskie, jeszcze z lekką mgiełką po niedawnym wschodzie słońca.

— Oto jak legendy wchodzą w człowieka — rzekł trzeźwo. — Prawie uwierzyłeś w Grooghosta, co?

* * *

Kilkadziesiąt metrów od traktu, na samym brzegu skarpy, rosło samotne, powyginane drzewo. Przypominało ziemską sosnę, z tych porastających nadmorskie wydmy, zahartowane w upałach i wietrznych sztormach. Było to pierwsze szpilkowe drzewo, jakie Jerzman spotkał na tej planecie.

Wyjął ze skutera alpinistyczną linę i haki; włączył maskę mimikry. Urządzenie w kilkadziesiąt sekund przeskanowało otoczenie, przyoblekając pojazd w iluzję kamienia.

Jerzman obmacał pień sosny, który okazał się taki solidny, na jakiego wyglądał. Zaczepił linę węzłem kantyjskim i rzucił drugi koniec do wąwozu. Nie spodziewał się dotrzeć do dna — lina miała zaledwie kilkanaście metrów długości — chciał jedynie przyjrzeć się wszystkiemu z bliższej perspektywy. Za pasem miał oskard i dwa haki, które nie okazały się jednak potrzebne, gdyż niżej, wciąż jeszcze w zasięgu liny, znajdowała się skalna półka, wystarczająco szeroka, by mógł zmieścić się na niej dorosły mężczyzna. Opadł na płaską powierzchnię. Półka ciągnęła się daleko w obie strony, niczym galeryjka widokowego tarasu bez balustrady. Wyglądała raczej na konstrukcję inżynierską niż na dzieło natury. Jerzman przesunął się kilkadziesiąt metrów w kierunku szlaku i zauważył, że galeria nie wszędzie jest wykuta w skale; często była to prostu wygrzebaną w ziemi połówką tunelu. Jakby niegdyś tę ścianę narysował gigantyczny diamentowy kij, dla którego twardość struktura materiału nie robiła różnicy.

Znajdował się akurat pod miejscem, gdzie rozjeżdżony wozami trakt wpadał do wąwozu, gdy zobaczył jaskinię. Była obszerna, a światło dnia bez trudności docierało do samego jej krańca. Zaciekawiony Jerzman zajrzał do środka; ostrożnie, choć mało prawdopodobne było, aby w tak niedostępnym miejscu mieszkało jakieś dzikie zwierzę.

Pod ścianą stał wyciosany z drewna stół, może raczej ława z nogami wkopanymi w ziemię. Ktoś na nim leżał. Na wznak, z rękami ułożonymi wzdłuż tułowia, niczym nieboszczyk w prosektorium. Mężczyzna był siwy, a jego strój i fizyczna budowa wskazywały na ziemskie pochodzenie. Niewątpliwie był Ziemianinem: ludzie z Kedrus nie siwieją.

Jerzman zbliżył się i nagle rozpoznał leżącego Nie udało mu się to wcześniej chyba tylko ze względu na obfity zarost na brodzie i policzkach.

Dominik Russel.

Z wahaniem dotknął twarzy mężczyzny, potem położył dłoń na szyi, sprawdzając tętno. Nic nie wyczuł, a ciało było zimne. Lecz skóra, choć woskowate blada, pozostawała miękka i elastyczna. W swoim życiu Jerzman widział niejednego nieboszczyka i Russel doskonale pasował do tego wizerunku, jednak ta miękkość skóry...

Naraz poczuł pod palcami — wciąż dotykającymi aorty — lekkie tętnięcie, a zaraz potem echo. I nic więcej. Tylko te dwa sygnały. Uderzenie pulsu.

Byłby przysiągł, że odskoczyła powieka.

Jak kłapka judasza.

„*Bison bonasus*”.

Jerzman odskoczył jak oparzony.

Russel leżał z zamkniętymi oczami, z rękami wzdłuż tułowia, tak jak przedtem. Może to tylko wyobraźnia. Może był martwy. Może spał w kataleptycznym odrętwieniu. Może...

Jerzman wyszedł z jaskini i usiadł na brzegu galerii, zwieszając nogi nad przepaścią. Nigdy nie miał lęku wysokości. Postanowił zaczekać. Pomyśleć i zaczekać. Aż przyjadą Kiksu i zrzucą z wozów swój ładunek. Chciał zobaczyć, jak spada Trawa. Tony Trawy. Jak ludzki trud ginie w nieudolnej kopii nieba, w otchłani rozpościerając się pod jego stopami.

Nie czekał długo. Najpierw z góry stoczyła się mała lawina kamiaków, przemieszanego z ziemią żwiru, a potem zaczęła spadać Trawa, całe masy Trawy, powiązane w snopy i luzem. Z krótkimi przerwami, spowodowanymi zapewne wymianą rozładowywanych wozów. Liczył te przerwy. Przy ósmej po raz pierwszy poczuł zawrót głowy, lecz nie od razu skojarzył go z pyłkami rośliny, unoszącymi się wokół jak kurz w promieniach światła. Na wszelki wypadek odsunął się od krawędzi przepaści.

Był zadowolony i, jak przypuszczał, de Montherlant również będzie zadowolony. I to bardzo. Nie trzeba będzie stosować żadnych sztuczek, żadnych negocjacji z tubylcami czy z Russellem. Wystarczą proste załadunkowe urządzenia na dnie rozpadliny i można zbierać plon. Dostawy z pewnością będą regularne i obfite.

Dopiero przy dwunastym zrzucie zorientował się, że popełnił błąd, bagatelizując dyfuzujące pyłki. Działo się coś niedobrego. Ten zapach... Narkotyk! Próbował odejść gdzieś dalej, ale okazało się to niemożliwe. Z przerażeniem stwierdził, że nie jest w stanie ruszyć się z miejsca. Stał jak przykuty, czując tężejące mięśnie. W dodatku oddychał z coraz większym trudem. Wykonał jeszcze ostatni wysiłek, by uciec, ale przewrócił się tylko, sztywny jak kłoda drewna, nieomal staczając się w podziemne niebo.

* * *

Otworzył oczy. Promienie słońca, wpadające przez tarasowe okno, boleśnie ukłuły swym blaskiem Słońce. Bliźniacza gwiazda Ziemi. Ziemia...?

Poderwał się gwałtownym ruchem i przed oczami zatańczyły ciemne plamy. Chwilę trwało nim wrócił do siebie, odzyskując ostrość widzenia. Zobaczył standardowe meble, sprzęt elektroniczny,

książki. Nie, nie Ziemia. To Kedrus. Baza Leżał w łóżku, w dobrze sobie znanym pokoju na piętrze, ubrany w piżamę, w dodatku nie swoją. Nigdy nie nosił piżamy.

Skrzypnęły drzwi, tutaj wszystkie drzwi skrzypiały, taki był ich urok, i do pokoju weszła Tuala. Bez pukania.

— Będziemy mieli gościa — powiedziała. — Smok poleciał na lodowiec.

Po raz pierwszy usłyszał jej głos. Był niski, nieco zachrypnięty, pomyślał, że pasuje do niej, jak żaden inny.

— Sądziłem, że nie potrafisz mówić — rzekł. — Udało ci się nie nabrać, jeśli taki był twój zamiar.

— Smok poleciał — powtórzyła. — Niedługo wróci.

Spróbował wstać i nagle zrobiło mu się niedobrze. Niespodziewanie zwymiotował wprost na podłogę.

— Przepraszam! — skrzywił się.

Momentalnie wszystko sobie przypomniał: jaskinię z Russelem, biel okrywającą dno rozpadliny, Trawę spadającą z niebios niczym manna.

— Kto mnie stamtąd wyciągnął?

— Ja.

Zaskoczyła go. Miał ją dotąd trochę za niespełna rozumu; może z mrocznym instynktem, sądząc z dziwnego listu Russela, ale niewiele zorientowaną w tym, co naprawdę działo się wokół.

— Skąd wiedziałaś?

— Kiksu mi powiedzieli.

— Widzieli mnie? — zdziwił się — Nie przypuszczałem...

— Widzieli żubra, który szedł za nimi, a potem zniknął. Domyśliłam się, że to ty. Oni nie. Oni tylko mi powiedzieli. Nieważne. Teraz ważne, że smok...

Znowu go ponaglała.

— No to co? — odparł zniecierpliwiony. — Przylecą, to będą. Jestem chory. Czego ode mnie chcesz?

— Chodź — chwyciła go za rękę. Uścisk miała silny, męski. Poczłapał za nią, ledwie żywy, męczony torsjami.

Wyprowadziła go z pokoju i powiodła ku drabinie prowadzącej na galerię pod stropem, o której sądził, że pełni jedynie funkcję dekoracyjną. Przeszli wąską półką jakąś jedną czwartą obwodu i okazało się, że galeria jednak nie jest ślepa. Małe, zamaskowane drzwi, w kolorze muru, wiodły na poddasze.

W środku śmierdziało. Nim zdążył się zastanowić co to takiego, weszli do drugiego pomieszczenia, gdzie smród był jeszcze intensywniejszy. Panował tu okropny bałagan, przewracane sprzęty, jakieś narzędzia i solidny, drewniany stół, który skojarzył się Jerzmanowi z ławą w jaskini Russela, tyle, że ten był znacznie większy.

Na stole stało coś dziwnego. Trzy ciemne przedmioty, jednakowego kształtu, ustawione rzędem, jeden obok drugiego.

— Przyjrzyj się! — powiedziała Tuala.

Podszedł bliżej i nagle rozpoznał co to jest. Nie zorientował się wcześniej, bo były małe, pomarszczone i prawie czarne. Ludzkie głowy. Trzy.

„...Można ich znaleźć na górze, jeśli kto ciekawy”. Na górze. Cały czas byli dokładnie nad jego pokojem.

Jerzman zapomniał o tym, że jest chory. Każdy by zapomniał, widząc coś takiego. Po dłuższej

chwili ogarnął się i spojrzął na Tualę.

— Dlaczego mi to pokazujesz?

— Nie wiesz?

Wrócił wzrokiem na stół. Podszedł bliżej. — Widywałem już dzieła łowców głów. Jeśli sądzisz, że mnie wystraszysz...

Nie dokończył. Rozpoznał ich. Najpierw tę środkową z jasnym skalpem, a potem również pozostałe. Znał tych mężczyzn. Wszystkich trzech. Pracowali dla de Montherlanta i kolejno znikali, jeden po drugim, sądził, że po prostu rezygnowali z roboty. Pierwszy, ten blondyn, wyjechał zaraz po tym, gdy Jerzman zatrudnił się jako ochroniarz; zapamiętał go, ponieważ właśnie od niego przejmował swoje obowiązki. Mówił, że jedzie na urlop.

„Co byś powiedział na małe wakacje?”, czyż nie tak zapytał de Montherlant?

— Dominik potrzebował zastępcy — powiedziała Tuala. — Wiesz, że ma dwieście dziewięćdziesiąt lat? Przybył na Kedrus jeszcze przed moim urodzeniem. Dwieście dziewięćdziesiąt lat to bardzo dużo. Trudno wytrzymać. Tak mówił. Nie wiem, czy to prawda, ale tak mówił: trudno wytrzymać. Miał dość. Chciał wrócić na Ziemię i żyć tam, jak mu przeznaczono. I tam umrzeć. Ale nie mógł nas zostawić. Potrzebował zastępcy. Nie znał nikogo, wszyscy jego przyjaciele dawno już umarli. Jego ziemscy przyjaciele. Dlatego dał to ogłoszenie. Ale za każdym razem...

— Za każdym razem przybywał człowiek de Montherlanta — podjął Jerzman. — Nie prawdziwy żołnierz, który chciałby tu zamieszkać, lecz wynajęty człowiek.

— Dokładnie tak. Dlatego musieli zginąć.

— A ja?

— Dominik powiedział, że się nadasz.

— Skąd mógł wiedzieć coś, o czym nawet ja nie mam pojęcia.

— Nie wiesz skąd?

— Nie.

— Nieprawda. Domyślasz się. Sen. Sen wszystko ci powie, jeśli tylko Grooghost zechce.

— Jesteście pomyleni — powiedział, lecz słowa zabrzmiały cicho. Sen. Twarz Dominika Russela. *Bison bonasus*.

— Dominik był z Ziemi tak jak ty. A jednak po pewnej nocy, gdy przyśniłeś mu się, nie czekał już twojego przyjazdu... Wiedział, kiedy sen pochodzi od Grooghosta.

Jerzman nie mógł oderwać oczu od spreparowanych głów, jakimś sposobem hipnotyzowały go. Niewiarygodne, jak mała jest ludzka czaszka. I te ciemne, pomarszczone twarze. Żaden z tych trzech nie był murzynem.

— Dlaczego są tacy czarni?

— Ogień. Strasznie krzyczeli, gdy skóra zmieniała barwę.

Zesztywniał.

— Chcesz powiedzieć, że jeszcze żyli, gdy... — zawiesił głos.

— Zgadza się.

— To bardzo okrutne. Kto jest tak okrutny?

— Ja. — Nawet jeden mięsień nie drgnął na jej twarzy.

— Jezu! — Jerzman cofnął się. — Nie. Chcesz mnie tylko wystraszyć.

— Jak uważasz — wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju.

— Masz zadanie! — krzyknęła z holu.

— Jasna cholera! — ruszył za nią, zastanawiając się, jakim sposobem zdołała kolejno pokonać trzech, nieźle przecież wyszkolonych mężczyzn.

— I nie zasypiaj. Kto zasypia, nie jest bezpieczny! — zawołała, udzielając tym samym odpowiedzi na niewypowiedziane głośno pytanie.

* * *

Siedzieli na ławce przed ostrokołem zamku, pod rozłożystym drzewem z powykręcanyimi malowniczo konarami. Czekali na smoka.

Milczeli.

— Gdy przyleci, nie wtrącaj się. Sam będę rozmawiał — odezwał się Jerzman.

Nie odpowiedziała.

W zamyśleniu potarł ręką o podbródek. Prawie nie miał zarostu, jakby golił się zaledwie wczoraj.

— Jak długo byłem nieprzytomny? — zapytał ze zdziwieniem.

— Osiemdziesiąt dwa dni.

— Stoisz sobie żarty?

— Nie.

— Umarłbym z głodu.

Wzruszyła ramionami. — Nie umarłeś.

Odpowiadała lakonicznie. Kobiety, które znał, nigdy nie mówiły lakonicznie. Zawsze myślał, że to wada.

— Posłuchaj — zaczął. — Człowiek nie może być nieprzytomny przez osiemdziesiąt...

— Ciii... — przysunęła mu rękę do twarzy. — Leci smok.

Wpatrywała się gdzieś daleko w niebo. Musiała mieć wzrok sokoła, bo dopiero po dobrej minucie również i on dostrzegł na zachmurzonym tle ciemną sylwetkę.

Smok leciał prosto ku bazie, szybko tracąc pułap, niczym podchodzący do lądowania myśliwiec. Jerzman z podziwem obserwował jego lot. Jedno było pewne: gdyby nie wiedział, czym jest w istocie ta iluzja, nie byłoby go już w tym miejscu, uciekałby gdzie bądź, bez względu na posiadaną broń, byle ukryć się przed nadciągającym potworem. Przez ułamek sekundy smok zawisł nad dziedzińcem, po czym delikatnie opadł na trawiaste podłoże.

Z wnętrza wyszła kobieta, co zaskoczyło nie tylko Jerzmana, ale najwyraźniej również Tualę. Jerzman spodziewał się, że może tym razem de Montheriant zdecydował się przysłać kilku ludzi, może wymyślił coś nieprzewidzianego, ale kobieta? W dodatku nigdy jej nie widział. Może ktoś nowy w menażerii...

Ona również wydawała się zaskoczona. Drobna szatynka, na oko dobrze po trzydziestce, ubrana w zwykły podróźny kombinezon. Gdyby nie okazałych rozmiarów pistolet w odpiętej kaburze, wyglądałaby na zwykłą turystkę.

Patrzyła na Wiktora Jerzmana, jakby zobaczyła ducha.

* * *

Jedli śniadanie. Siedmiogłowy smok tkwił w swoim kącie, lecz nie był już smokiem — oszczędzając energię odrzucił iluzję.

— Co trzy dni miałeś się meldować — powiedziała kobieta. Nazywała się Selena Trister. Jerzman znał to nazwisko ze słyszenia. Selena Trister była człowiekiem z branży. — Najrzadziej raz na tydzień.

— Spotkał mnie wypadek — odparł. — Byłem... hm... — zająknął się. — Przez kilka tygodni byłem nieprzytomny. Aż do dzisiejszego ranka.

Jeśli pomyślała, że ją oszukuje, to nie dała nic po sobie poznać. Spożywała posiłek, jakby rozmawiali towarzysko w restauracji.

— W takim razie de Montheriant fatygował mnie niepotrzebnie — stwierdziła bez emocji.

Weszła Tuala, niosąc kolejną potrawę. Odkąd przybyła Selena, nie odezwała się słowem, a Jerzman zaakceptował wznowienie gry w niemowę i nie próbował zadawać żadnych pytań.

— Nieźle tu sobie dogadzacie — powiedziała Selena, patrząc na zastawiony talerzami stół. — A może postanowiłeś zagrać miejsca przy dobrej kucharce, co? — zapytała ze śmiechem.

— Może — odrzekł, patrząc jej w oczy.

Nie spuściła wzroku.

— A więc akurat dzisiaj zamierzałeś wysłać sygnał? — zmieniła temat.

— Prawdę mówiąc, nawet o tym nie pomyślałem. Przebudzenie miałem, że tak powiem, pełne wrażeń. Widzisz... na przykład ten posiłek... powinienem być głodny jak wilk.

— A nie jesteś.

— Nie. Dziwne, nieprawdaż?

Tuala sprzątała opróżnione naczynia. Jerzman zauważył, że gdy krzątała się obok Seleny, coś zmieniało się w jej twarzy. Pamiętał to coś. Wtedy, w pokoju na górze, gdy zapytał, kto to zrobił, a ona odparła: Ja!

— Może wyjdziemy? — zaproponował Selenie. — Oprowadzę cię po okolicy. Spodoba ci się.

— Nie wątpię.

Opuścili dziedziniec i wyszli poza ostrokół. Dzień był pogodny, ciepły wiatr wiał od południa, niosąc zapach pobliskiego lasu. Baza położona była na niewielkim, bezdrzewnym niemal wzniesieniu, do którego nie prowadziła żadna droga. Zamek bez traktu.

Jerzman postanowił skończyć podchody z Seleną.

— Wiesz, czego chce de Montherlant? — zapytał bez ogródek.

Wpatrywała się w falujące zielenią równiny. Milczała, jakby nie usłyszała pytania. Już chciał zapytać po raz drugi, gdy odezwała się:

— Wierzy w jakiś narkotyk. Ponoć rewelacyjny. Co za różnica? Zadanie jest proste, mam mu przywieźć próbkę. Znaleźć sposób na ciche sprowadzenie większej ilości. — Spojrzała chłodno na Jerzmana. — To było również twoje zadanie, czyż nie tak? Zdaje się, że nie sprostałeś.

— Miałem być tylko kilkanaście dni, zorientować się w sytuacji i nawiać pod byle pretekstem, ale sprawy się skomplikowały. Russel zniknął. W liście zasugerował scedowanie na mnie praw do ochrony planety. Wyobrażasz sobie coś takiego?

— Chciał cię kupić.

Zignorował te naiwne słowa.

— Po drugie, zorientowałem się, że de Montherlantowi nie chodzi o narkotyk ani o żadną używkę. Ta roślina wygląda na coś znacznie poważniejszego.

Opowiedział jej o Trawie. Po kolei. Jak śledził tubylców jak dotarli do wąwozu i jak zasnął,

odurzony pyłkami.

— Sprawdziłem czas na wszystkich komputerach. Zgadzał się. Czy widzisz, jak wyglądam?

Uśmiechnęła się.

— Bardzo korzystnie.

— Czy jak ktoś, kto umarł na osiemdziesiąt dni?

— Nie — odparła lekko kpiącym tonem, w dalszym ciągu nie patrząc na Jerzmana, lecz gdzieś w dal, jakby ciągnące się po widnokrąg lasy ważniejsze były od jego słów. — Nie. Jeśli mówisz prawdę.

— Jasne, że tak. W jakim celu miałbym opowiadać ci bajki?

— A skąd mam wiedzieć? Ale jeśli nie kłamiesz, ta planeta może stać się centrum wszechświata.

— już jest.

— Czyżby? — uniosła w górę brwi.

Dla Kiksu — wyjaśnił. — Oni święcie wierzą, że tu mieszka Bóg a cały wszechświat jest tylko jego snem. Długim, niepojętym snem, który jednak kiedyś się skończy.

— Można powiedzieć, że mają przeczucie — skwitowała Selena. — Gdy tylko cię zobaczyłam, również miałam przeczucie. Że próbujesz wyrolować de Montherlanta. I nie powiem, żeby mi się to podobało.

— Niczego nie próbuję. Ja tylko zaczynam się zastanawiać. Zapytam cię o coś: czy wiesz, że nasz kochany szef przed nami przysyłał tu już innych?

Wreszcie przestała udawać zainteresowanie krajobrazem.

— Nie wydaje mi się — odparła wyczekująco.

— A jak ci powiem, że było ich pięciu, w kilkumiesięcznych zaledwie odstępach, i że wszyscy nie żyją, a ich głowy są ozdobą pewnego salonu?

Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, lecz w ostatniej chwili zrezygnowała. Jednakże z układu warg Jerzman zdołał odczytać to słowo. Sprostowanie. Cyfrę. Kłamała, że o nich nie wie.

— Ja również o nich nie wiedziałem — kontynuował, jakby niczego nie zauważył. — A tym razem stary lis zmienił taktykę. Przysłał kobietę, w dodatku niezupełnie w ciemno, powiedział jej chociaż o mnie. Jeśli zginiemy, jak myślisz, ilu będzie tu jeszcze przysyłał? Jak wędkarz, zarzucający wciąż nową przynętę, w nadziei, że wreszcie złapie rybę? Pasuje ci taka rola?

Nieoczekiwanie Selena parsknęła śmiechem.

— Nie bądź naiwny. A cóż innego robimy przez całe życie?

— No to, myślę sobie, może wystarczy?

Pokręciła niejednoznacznie głową i wróciła do kontemplacji okolicy. A potem wypowiedziała słowa, które człowieka o zdrowym rozsądku nie powinny zboleć. Ale zboleły. Może dlatego, że padły z ust kobiety.

— Słyszałam, że jesteś na rencie. Teraz wiem, dlaczego. Przez chwilę miał ochotę ją uderzyć.

— Jutro — rzekł. — Jutro polecimy do tego wąwozu. Sama zobaczysz.

Odchodząc, zdał sobie sprawę, że nawet słowem nie wspomniał o swoim śnie, o Dominiku Russelu, spoczywającym w jaskini, ani o duchu Kiksu. O niczym, co wiązało się z *bison bonasus*. I nie, żeby zrobił to specjalnie. Po prostu nie pamiętał, podczas rozmowy z Seleną ani razu o tym nie pomyślał. Jakby jakiś tajemniczy demon dostał się do jego głowy i zakrył swym cieniem odpowiednie synapsy.

Miał zamiar położyć się spać gdy usłyszał pukanie. W drzwiach pojawiła się Selena Trister. Miała na sobie szlafrok. Włosy, mokre po niedawnej kąpieli, lśniły w półmroku.

— Skoro już tu jestem, to może przydam ci się na coś? — zapytała.

* * *

Obudził się w środku nocy. Było gorąco. Światelko nocnej lampki przekształcało ciemność w skąpy półmrok. Wydłużone cienie malowniczo kładły się na ścianach. Naga Selena spała obok, nie przykryta kołdrą. Nie była specjalnie zgrabna, jednak Jerzman patrzył na nią z przyjemnością. Co jak co, ale nie służyło mu życie w celibacie. Im dłużej trwało, tym bardziej malały wymagania. Jeszcze miesiąc, dwa — i może spróbowałby szczęścia z Tualą.

Nieoczekiwanie spostrzegł, że ktoś stoi na samym środku pokoju. Postać wyraźnie mu się przyglądała.

Tuala! Jakby wywołał upióra.

Jak mógł zapomnieć zamknąć drzwi?! W jednej chwili stanęły mu przed oczami poczernione miniatury ludzkich głów, ozdoba pokoiku na górze. Tyle, że teraz widział o dwie więcej: Seleny i swoją własną.

Gorączkowo usiłował przypomnieć sobie, gdzie położył broń, lecz równie nagle informacja ta przestała już być potrzebna. Tubylka odwróciła się i wyszła. Bezszelestnie niczym upiór.

Jerzman przez dłuższą chwilę leżał nieruchomo w łóżku po czym wstał i nalał do szklanki zimnej wody. Pił łapczywie, wielkimi łykami. Potem wrócił do pościeli, ale tym razem nie zapomniał o drzwiach.

Rankiem obudził się związany sznurem jak baleron.

Selena Trister stała nad nim kompletnie ubrana i uśmiechała się.

„Pomyliłem je. Nie przeciwko tej należało szukać broni.” — pomyślał Wiktor Jerzman. — „Po prostu pomyliłem kobiety”.

* * *

Baleron w postaci Wiktora Jerzmana miał wolną tylko jedną, lewą rękę. „Wiem, co to znaczy, nie móc się podrapać”, oznajmiła wspaniałomyślnie Selena.

— To tam — powiedział, wskazując w dół. Smok leciał na kilkusetmetrowym pułapie i z tej wysokości wypełniony mgłą wawóz wyglądał jak zamarznęta, pokryta puszystym śniegiem rzeka, czy może raczej kanał, gdyż nie ma rzek, których koryto przez wiele kilometrów jest linią prostą.

— Imponujący widok — odparła Selena Trister.

— Trawę ścinają dwa razy w roku i cały plon przywożą tutaj. W ten sposób podtrzymują sen swojego boga. Czują odpowiedzialność za istnienie najmniejszego pyłka. Za każdą upływającą

minutę. Jeśli przestaną dbać o sen Grooghosta, on obudzi się, a świat zniknie.

— Fascynujące, przyznaję.

— Nie tylko ich świat. Zniknie wszystko, cokolwiek ma jakąś postać. Również to, czego nie znają. Najdalsze gwiazdy i planety.

— Rozumiem, że również i Ziemia.

Jerzman poweselał.

— Nie traktowałbym tego tak zaściankowo.

— W końcu robią wszystko, żeby zapobiec zagładzie. Jakby nie patrzeć, czują się odpowiedzialni także za ciebie. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Również za de Montherlanta.

— Odnoszę wrażenie, że traktujesz ich serio.

— To piękna legenda — skwitował.

Smok obniżył lot. Zgodnie ze wskazówkami miał lądować na skraju rozpadliny, w miejscu, do którego dochodził trakt. Kiksu. Jerzman spodziewał, że lina, przy pomocy której zszedł na skalną półkę, wciąż jeszcze tam będzie.

W tej sytuacji ani myślał jednak pokazywać jej swej partnerce.

— Wylądujemy tam! — zawołała niespodziewanie Selena. Wskazywała wprost na wąwóz.

Tego się obawiał. — Nie widać dna — zaprotestował. — Nie wiemy, co tam jest.

— Przekonajmy się. Chyba nie sądzisz, że trafisz w zaświaty?

— Nie sądzę — odparł niechętnie. A po chwili dodał: — Może do piekła.

I nagle spodobało mu się to. — Do piekła! — wrzasnął, aż Selena drgnęła w swoim ciasnym foteliku i spojrzała na niego jak na wariata.

— Odbiło ci?

— Jazda! — zignorował ją.

Wydał odpowiednie polecenie. Przez moment oczekiwał jakiejś reakcji maszyny, czegoś w rodzaju „informacja zastrzeżona”, lecz nic takiego się nie wydarzyło. Zanurkowali we mgłę. Ostro, bez zbędnych podchodów, niczym kamień wrzucony w śniegową zaspę.

Maszyna momentalnie zwolniła. Przez sekundę czy dwie parła jeszcze naprzód, wyhamowując rozpęd, by wreszcie zatrzymać się.

— Tracę orientację — poinformował smok. — Urządzenia nawigacyjne pokazują sprzeczne koordynaty.

Jerzman spojrzał znacząco na Selenę.

— Rezygnujemy czy bawimy się rosyjską ruletkę?

— W dół! — zdecydowała — Opadaj bardzo powoli. Grawitacja przecież nie wysiadła!

— Pole grawitacyjne w normie — odparł monotonicznie smok. Niczego nie widzieli przez bulaj, który wydawał się zamalowany białą farbą. Milczeli, a maszyna wciąż opadała, coraz niżej i niżej. Temperatura otoczenia wyraźnie wzrastała, aż w pewnej chwili zrobiło się stanowczo za gorąco.

— Jak tak dalej pójdzie, ugotujemy się — powiedział Jerzman.

I wtedy się zatrzymali. Bez żadnego sygnału, najmniejszego choćby wstrząsu.

— Czy to dno? — zapytała Selena.

Robot nie odpowiedział.

— Maszyno, czy osiągnęliśmy dno wąwozu?

Cisza.

— Jasna cholera! — zaklął Jerzman i powtórnie wywołał maszynę.

Wciąż cisza.

— Co się stało?

— Sam chciałbym wiedzieć.

Przez dłuższy czas na przemian próbowali nawiązać łączność z pojazdem, lecz odpowiedzią wciąż była cisza. Jerzman wcisnął przycisk uruchamiający awaryjny program powrotu do bazy po koordynatach przelotu, ale i to nic nie dało.

— Musimy wysiadać — powiedziała Selena. — Zwiedzimy piekło na piechotę.

— Ciekawe jak? W jaki sposób otworzysz to bydło?

— Jest chyba jakieś ręczne sterowanie?

Wzruszył ramionami. — Szukaj. Mnie nic o tym nie wiadomo.

Zrobiło się duszno. Przestała działać wentylacja.

Selena Trister zawyła z wściekłości. — Robisz to specjalnie! — krzyknęła do Jerzmana. — Co kombinujesz z tym swoim Russelem?

— Co kombinujesz z tym swoim de Montherlantem? — odparował Jerzman. — Dobrze wiedziałas, że przede mną przysłał tamtych trzech.

Zaskoczył ją. — Skąd wiesz?

— Widziałem jak zareagowałaś, gdy powiedziałem, że było ich pięciu. Nie jesteś dobrą aktorką.

Selena zaczęła walić pięścią w bulaj, potem rozejrzała się w poszukiwaniu bardziej konkretnego narzędzia. Nie znalazła. Nie było tu żadnych zbędnych przedmiotów. W pewnej chwili napotkała wzrok Jerzmana.

— Jak możesz tak siedzieć! Tak spokojnie. Ty coś wiesz! Coś knujesz. Wiedziałam — stwierdziła zdyszana. Temperatura wciąż wzrastała i jej twarz stała się czerwona od gorąca.

— Wściekasz się, bo sama wpakowałaś się w tę kabałę — odparł. Po nim również spływały strumienie potu.

— Dobra. Wygrałeś. Już cię rozwiązuję. — Złapała za węzeł na plecach Jerzmana i zaczęła go szarpać.

— Bison bonasus! — krzyknął.

— Co?

— Bison bonasus! Bison bonasus! Bonasus! Czy nie rozumiesz, kobieto, że nic nie da się zrobić?! — Był rozgoryczony. Tamtej nocy powinienem pozwolić Tuali zabić tę cholerną Selenę Trister. Teraz rozumiał, że to jej głowy chciała. Nie jego. Powinien udawać, że śpi. Powinien. Powinien! Bison bonasus.

— Co to znaczy bison bonasus — zapytała Trister.

Przez chwilę patrzył na nią, nie rozumiejąc nic.

— Tak powiedziałem?

Odsunęła się gwałtownie. — Czy... — Nie dokończyła zdania. Coś chrzęstnęło w kadłubie maszyny. A potem jeszcze raz. I jeszcze. Zgrzyt pocieranych o siebie elementów. Albo miażdżonych.

— Co to? — zapytała szeptem.

— Tam coś jest. Na zewnątrz.

Wtem maszyna zadygotała. Jakby obrzucono ją kamieniami. Zewsząd dobiegał łoskot walących się skał. Zważywszy na ciszę, jaka dotąd panowała, hałas stał się nie do wytrzymania, na szczęście ucichł równie nagle, jak się pojawił. Tylko trzaski wciąż trwały. W dodatku były coraz częstsze.

— Jakby lawina — stwierdziła pobladła Selena Trister.

Jerzman wciąż nasłuchiwał. — To nie lawina — rzekł.

— Więc co.

— Nie wiesz? Naprawdę nie wiesz? Czy nie chcesz przyjąć do wiadomości?

— O czym ty mówisz?

— Ktoś się budzi — nieoczekiwanie nie mógł opanować nerwowego śmiechu. — Będziemy mieli szczęście, jeśli tylko przewróci się na drugi bok.

— Oszalałeś kompletnie — powiedziała Selena. Jej głos drżał. Ręce również. A już podejrzewał, że nie ma w niej żadnych ludzkich odruchów. — Przestań, proszę. Błagam cię. Zrób coś!

Nagle krzyknęła rozpaczliwie i skoczyła do przodu, uderzając głową w twarz Jerzmana. Na ścianie, gdzie przed chwilą opierała rękę, pozostał wyraźny ślad dłoni. Pulsował. Cała ściana pulsowała. Wszystkie ściany. Spod lamperii zaczęły wyskakiwać tłuste bąble, zupełnie jak w jakimś trującym bagnisku. Było już tak gorąco, że parzyło nawet powietrze.

Krzyczała nie tylko Selena. Krzyczał również Wiktor Jerzman. Odepchnął od siebie kobietę. Wpadła na ścianę z głośnym plaśnięciem, jakby rzeczywiście było to błoto. Gorąca galaretowata masa, w którą przeistoczyła się kabina, otuliła ją swą kołdrą.

A potem to samo stało się z Jerzmanem.

* * *

Nadlatywał smok. Leciał w kierunku zamku. Nisko ociężałe, niczym raniony przez drapieżnika ptak. Przelatując nad ostrokołem, niedostatecznie mocno machnął skrzydłami i zawadził o sam szczyt. Stracił równowagę, przetoczył się na drugą stronę i runął na dziedziniec.

Z bazy wybiegła Tuala. Zaskoczona wpatrywała się w pełzające ku niej gadzie cielsko. Smok broczył krwią i śluzowatą wydzieliną, pozostawiając za sobą oleisty ślad. Tuala niewiele wiedziała o magicznej maszynie z Ziemi, ale jednego była pewna. Z jej ran nie mogła sączyć się krew. To tylko przedmiot, powtarzał niejednokrotnie. Dominik Russel, tylko przedmiot, jednak pamiętaj, że nie wolno ci tego zdradzić nikomu. Dla nich ma to być potwor.

Potwór.

Leżał teraz przed nią, usiłując dosięgnąć ją swymi kłami. Z całą pewnością nie był przedmiotem.

Odkoczyła z gracją. Odwróciła się i wbiegła do zameczku. Zaraz wróciła, szybka, zwinna. W rękę trzymała miecz, lekki, jak na jej warunki fizyczne, lecz o długim, ostrym ostrzu. Okrążyła gada, podchodząc do niego od strony zranionego boku, instynktownie wyczuwając, że tak będzie najłatwiej.

Nie musiała walczyć. Smok westchnął, z jego gardzieli wydobyły się gorące kłęby pary, a potem opadł ciężko na podłoże. Przez kilka chwil jeszcze jego tylne kończyny drgały nerwowo, po czym i one znieruchomiały. Wyglądał na martwego.

Tuala, zachowując ostrożność, przyłożyła miecz do rozdartej, krwawiącej rany i ukłuła. Gad ani drgnął. Pchnęła głębiej. Nic. Nie żył. Wyciągnęła ostrze i wtedy dostrzegła dziwaczne, nieregularne wyrzuszenie smoczej skóry. Podeszła bliżej, zaciekawiona. Skóra w tym miejscu rzeczywiście była jakaś inna, traciła swój brudny, zgniłozielony kolor. Wyglądała na silnie naciągniętą. Nacięła ją i wtedy brzegi rozeszły się jak fałdy napiętego materiału.

Ze środka wyskoczyły owinięte sznurem nogi. Zakrwawione, ociekające śluzem.

Kobieta odrzuciła miecz. Chwyciła za stopy i pociągnęła. Z wnętrzości wynurzyło się obwiązane sznurem ciało Wiktora Jerzmana.

Nie zważając na smród smoczycy wydzieliny, przecięła więzy i przyłożyła głowę do klatki piersiowej mężczyzny. Podniosła się i kilkakrotnie uderzyła pomiędzy żebra ściśniętą kulką dłonią.

Potem znowu nasłuchiwała. W pewnej chwili a jej twarzy pojawił się ślad uśmiechu.

Jerzman kaszlnął. Zakrzuszył się, złapał ze dwa hausty powietrza i zwymiotował. Minęło sporo czasu nim spróbował wstać. Wtedy Tuala podniosła go, słaniającego się, bladego niczym trup, i poprowadziła do zamku. Resztki sznura spadały z Jerzmana, jak z jaszczurki gubiącej złuszczoną skórę.

Godzinę później wrócili na dziedziniec. Jerzman był wykąpany, w czystym ubraniu, lecz wciąż tak samo blady, jak w chwili gdy odzyskał przytomność. Powiódł wzrokiem ponad ostrokołem, uważnie, z namysłem.

Szukał.

Czegokolwiek.

Ale niebo zachowało swój koloryt. Pierzaste obłoki, z takim samym entuzjazmem popędzał wiatr. Jerzman odetchnął pełną piersią. Aż zabolalo w płucach.

— Tak samo — rzekł. Jego twarz rozpogodziła się. — Zupełnie tak samo.

— Wiem — odezwała się Tuala. — Na Ziemi jest jak tutaj. Dominik mi mówił.

— Nie — zaprzeczył. — Ja nie o tym. TUTAJ jest tak samo. Tak samo, jak wczoraj.

Spojrzała na mego z zakłopotaniem. Nie rozumiała.

— Świat jest zawsze taki sam — powiedziała. — To ludzie się zmieniają.

Jerzman pokiwał głową, choć nie wyglądało na to, żeby słuchał. Oderwał wreszcie wzrok od nieba i ruszył w kierunku otwartej bramy. Zatrzymał się, wpatrzony w otwarte równiny, w pobliski las po prawej stronie.

— Przecież nic się nie zmieniło — rzekł dobitnie. Jakby pragnął samego siebie przekonać o prawdzie tych słów. Jakby wciąż nie mógł uwierzyć.

Potem spojrzał na Tualę.

— Nie obudziłem go — dodał, uśmiechając się.

Tym razem może zrozumiała. W każdym bądź razie odwzajemniła uśmiech. Wtedy zdał sobie sprawę, że przecież Tuala nigdy się nie śmiała.

To ludzie się zmieniają, tak powiedziała?

Wciąż była obca. Wciąż znacznie wyższa od niego i chuda. Ale jakaś ładniejsza?

— Stało się coś? — zapytała.

Niespodziewanie przyszło mu do głowy, że może zupełnie błędnie ocenił tamtą noc, gdy spał z Seleną Trister, a ona pojawiła się w jego pokoju. Może wcale nie chodziło jej o Selenę. Nie zamierzała zabijać nikogo. Nie po to przyszła...

Może po prostu nie wiedziała, że nie jest sam.

Wrócili na dziedziniec. Smocze cielsko wciąż tam leżało, nie było iluzją. Na rozszarpanym mięsie siadały owady. Jeszcze więcej było ich na wnętrznościach, które wypłynęły przez ranę. Rozlana krew rdzawo krzepła na trawie.

— Gdzie twoja maszyna? — zapytała Tuala.

Dobre pytanie. Gdzie maszyna?

— Nie wiem — odparł. — Może tak naprawdę zawsze była smokiem?

— A to co? — kobieta pochyliła się i podniosła coś z trawy. Niewielki czarny przedmiot, swobodnie mieszczący się w kieszeni. Komunikator Jerzmana.

— Musiał wypaść mi z kieszeni — powiedział. — Ciekawe, czy działa.

Otworzywszy klawiaturę, wystukał hasło dostępu. Wyświetlacz zgłosił gotowość wysłania wiadomości, ale Wiktor Jerzman nie zamierzał sprawiać mu tej frajdy. Rzucił urządzenie o kamień, odbiło się, odskoczyły kawałki rozbitej obudowy, a zielona płytką z milionem złotych ścieżek

przepadła gdzieś w trawie.

Jerzman nie wiedział, że pod wpływem wstrząsu komunikator nadał swój ostatni, zakodowany sygnał. Informacja, mknąc z prędkością światła, w ciągu ułamka sekundy dotarła do satelity na orbicie parkingowej Kedrus, stamtąd niecałe osiem minut wędrowała do punktu tranzytowego, potem, już bez straty nawet jednej nanosekundy, hipertunelem do stacji księżycowej w Układzie Słonecznym. Jeszcze tylko trzy sekundy i znalazła się w wirtualnej skrzynce pewnego osobistego komputera.

— I co dalej? — zapytał Jerzman.

Tuala nie odrywała wzroku od smoka. — Chodźmy na kolację. Wieczorem, jak się ochłodzi, musimy tu posprzątać. Do jutra zacznie śmierdzieć.

Żadne z nich nie wspomniało, choćby jednym tylko słowem, o Selenie Trister.

— Chodźmy.

— Pojutrze spodziewam się szamana Kiksu.

— Pojutrze?

— Jak dojdzie. Ostatnio coraz szybciej się męczy.

Przed wejściem do zamku Wiktor Jerzman odwrócił się. Wziął Tualę za rękę i raz jeszcze wskazał ponad ostrokół.

— Popatrz jakie to niesamowite — rzekł. — Nic się nie zmieniło.

* * *

Mężczyzna nazwiskiem de Montherlant siedzi w szopie na przedmieściach i zaciąga się cygarem. Jest to markowe cygaro, jedno z tych, które sprzedają na sztuki w metalowych tulejkach, przypominających wypolerowane pociski.

— Jak możesz, Jacques, zaciągać się tym świństwem. Cygara to nie papierosy, wykończysz się — pouczała go niegdyś Livia, zawodowa prostytutka, jego kochanka i jedyna w życiu przyjaciółka. (Nie licząc matki — zwykł zaznaczać de Montherlant, gdy mówił o przyjaciółkach — nie licząc matki).

Livia odeszła na tamten świat już jakiś czas temu. Wykończyła ją koka. Koką nie sposób się nie zaciągać.

De Montherlant siedzi na krześle z rozprutą tapicerką. Na taborecie, który służy mu jako stolik, leży popielniczka zrobiona ze starego piecowego kafla. De Montherlant jest brudny i śmierdzi jak pchła, która wyskoczyła spod pachy zapaśnika wagi ciężkiej. W szopie, od lat pełniącej funkcję mieszkania (a i nierzadko wychodka) nie ma łazienki, ale de Montherlantowi to nie przeszkadza. Nikt nie czuje smrodu gówna, w którym siedzi. Żeby go poczuć, trzeba stanąć obok.

Dzisiaj de Montherlant ma nie tylko cygara w złożonych tulejkach. Ma kilka innych drobiazgów, z których złożony zegarek wcale nie wydaje się najcenniejszy. Choćby ten walizkowy komputer, który włącza się automatycznie po otwarciu i przy starciu wcale nie żąda hasła dostępu, jak to usiłują wmówić człowiekowi w różnych filmach.

— Tak, tak — mówi sam do siebie de Montherlant. Gość rozbił się swoim ekskluzywnym wozem na prostej drodze. Okaleczył jedyne w tej pustynnej okolicy drzewo i oddał ducha. A mówią, że szczęście sprzyja tylko bogatym! Jacques de Montherlant zebrał, co się dało i czym prędzej. Ulotnił się stamtąd, gdyż dobrze wiedział jak zmienny i kapryśny bywa los.

— Tak, tak — powtarza, przeglądając zdobycz w swojej szopie.

Coś szeleści w rogu pomieszczenia i spod sterty zatłuszczonych gazet wynurza się szare zwierzątko, zwabione ludzkim głosem. Szczur. Na prawym boku ma okrągłe białe znamię wielkości półdolarówki, dzięki czemu de Montherlant nie myli go z innymi, o które tu nietrudno, a z których większość — otruta lub po prostu zadżgana pogrzebaczem — dziesiątkami gnije w rowie na tyłach szopy.

Szczur strzyże wąsikami i odważnie spogląda na człowieka. Nie czuje respektu. Już dobrych kilkanaście lat de Montherlant mieszka w tej szopie, odziedziczonej po jakimś podobnym do niego menelu.

Zapewne niektórym ludziom trudno byłoby w to uwierzyć, ale przeprowadzka do szopy znacznie poprawiła warunki bytowe de Montherlanta. Pod mostem było zdecydowanie mniej przytulnie.

Współlokator szczur był w szopie od początku. Zamieszkiwał tu już wtedy, gdy Jacque w chwilach rzadkiej prosperity wpadał do swego kompana, rychłego nieboszczyka, na degustację, i wyglądało na to, że będzie wylegiwał się w kopcu starych gazet również wtedy, gdy dusze starych druhów spotkają się tam, gdzie ich miejsce w wieczności.

Jacques de Montherlant, choć bezwzględny dla wszelkiego pomiotu, nigdy nie odważył się wystąpić przeciwko szczurowi z białym znamieniem. Uważał za naturalne, że dokarmia gryzonia, a byli i tacy, którzy przysięgali, że widzieli, jak klęczał przed nim, ze złożonymi po chrześcijańsku rękami.

Może to prawda, może nie, w każdym bądź razie teraz ignoruje szczura. Siedzi na krześle z nadprutym obiciem, pochylony nad włączonym automatycznie komputerem, zastanawiając się, ile też zażądać za niego od tego gnidy Szredera, krwio pijczego pasera, dobroczyńcy ubogich.

Nagle jakiś sygnał dźwiękowy rozprasza ciszę, a ekran komputera skacze, aż w oczach ćmi. Szereg bez ładu i składu uporządkowanych cyfr pokrywa kolorową płaszczyznę. Czasem tylko jakieś liter. Na przykład tam: JERZMAN.

Przestraszony de Montherlant szybko zamyka komputer. Boi się, że coś popsuł. A to byłoby niedobrze.

Nocne wyścigi w głąb Anny

Może to była łąka, a może tylko leżące odłogiem pole uprawne, jak tyle podobnych w okolicy. Z boku snuła się wątła rzeczka, porośnięta po jednej stronie olchami, dalej przechodzącymi w zagajnik. Nigdzie w zasięgu nie rejestrowałem Tutejszych, choć zwykle wszędzie się od nich roiło. Nie mogłem też sobie uzmysłwić, jakim cudem zniosło nas na takie manowce, gdzie zwykle nie mieliśmy nic do roboty, ale fakt był faktem szybowaliśmy nad tą niby łąką w szyku półrozwiniełym, jakby nawet ostatnia porażka nie zdołała nas wyzwolić z okowów dyscypliny. Harbona jako najstarszy trzymał się w przodzie, Karkas niedaleko za nim, a ja z Zeterem bardziej z tyłu i po bokach, jakby dla podkreślenia dystansu.

Z braku lepszego zajęcia przyglądałem się okolicy. Teoretycznie nic tu nie powinno nas dziwić, a jednak przy byle okazji przystawałem i śledziłem a to strużkę potu na skroni robotnika, szeroką jak rzeka, a to polatującą w powietrzu ważkę, wielką jak helikopter, aż zirytowany Harbona zawracał i w starannie odmierzonych inwektywach łajał mnie za gapiostwo. Nie dyskutowałem z mm, bo uważałem, że kiepska passa rozregulowuje nas psychicznie. Jego i mnie.

Inni nie okazywali aż tyle wyrozumiałości. Taki Karkas na przykład, przy każdej okazji odsądzał Harbonę od czci i wiary i dawał mu poznać, jak ocenia jego posunięcia. Unosił się dosłownie tuż za nim, jakby chciał spaść na niego i zatłamsić go fizycznie. Ale Harbona jak gdyby nigdy nic spokojnie sunął przez ciemniejący przestwór.

Burza wybuchła nagle, mimo że przeczuwaliśmy ją wcześniej po warunkach elektrostatycznych. Z miejsca poszliśmy w rozsypkę, bo gdyby ktoś nas nie lubił, trudno o lepszy moment do ataku, ale rozpoznawszy, że chodzi wyłącznie o fenomen pochodzenia naturalnego, z powrotem zbiliśmy się w grupkę, dryfując z grubsza w tym samym kierunku. Było na co popatrzeć: strugi wody, z których każda mogłaby zatopić nasz Zespół, siekły ukośnie, spadając ku ziemi; trawy i gałęzie ugiwały się pod razami deszczu, demonstrując jak gdyby drugą, skrywaną na co dzień naturę, wszystko było pobudzone, gwałtowne. Przyroda bez żenady demonstrowała swą dzikość. Wkrótce ziemia zniknęła w szarawym woalu, wśród błysków i grzmotów przestałem widzieć wyraźnie, czując ciągle partnerów obok siebie. Nade mną z ciemnego nieba, na pozór z jednego punktu, leciały jasne smugi deszczu, nie od razu zorientowałem się, że przestaliśmy się przemieszczać, gdyż wewnątrz grupy rozgorzała kolejna scysja.

— To twoja wina! — krzyczał rozsierdzony Karkas. — Gonimy w kółko bez żadnych efektów!

— Tak ci się zdaje? — Harbona usiłował zachować spokój — To może mi powiesz, co konkretnie masz mi do zarzucenia?

Wycie wiatru, szum ulewy pasjonowały mnie bardziej więc dyskusji Harbony z Karkasem poświęcałem jedynie minimum uwagi.

— Nie chodzi tylko o złe decyzje — podniecił się Karkas i aż pobiełał ze wzburzenia. Przez ścianę wody widziałem go niewyraźnie — jak widmo.

— A o co?

— Sam dobrze wiesz, o co. Dobrzy dowódcy mają fart, marni przynoszą pecha. Czego się chwycisz, to spartolisz. Wisi nad tobą fatum. Będziemy się tak z tobą męczyć, póki nie opuści cię zły omen albo dopóki nas ktoś od ciebie nie wyzwoli!

— Lepiej odejdz — hamując złość zaproponował Harbina.

Karkas na moment zaniemówił, zbyt zaciętrzewiony, żeby się wycofać

— Ty sam odejdz! Ciekawym, jakie sukcesy odnosiłeś przed przyłączeniem się do nas. Takie same, czyli żadne! — ryknął z tryumfem. — Jesteś przeklęty, a my razem z tobą!

— Nie przyłączyłem się do was — sprostował Harbina. — Ja was utworzyłem.

Od kiedy operowałem z Harboną, widziałem go w akcji tylko raz, ale to wystarczyło. Karkas doszedł później, więc nie miał się na baczności. Zainkasował cios spoza Puklerza, ale zdążył osłonić się swoim i zbierał się do odpowiedzi, gdy wszystkich nas ogarnął zamęt. Zawirowaliśmy w energetycznym uścisku, zamieniwszy się w kłęb, w którym każdy rozdawał razy na ślepo i coś po drodze obrywał, aż ja i Zeter wyhamowaliśmy, odrzuceni przez Puklerz Harbony. To była jego rozgrywka, wyprowadził decydujące uderzenie, poszło trochę residualnej energii na zakresie kompletnie nie rejestrowalnym przez Tutejszych — i szlus. W sumie było tej energii tyle, że nikt by nie dostrzegł, zwłaszcza podczas burzy; już miejscowy potwór, zwany świetlikiem, emitował więcej. Na Karkasa jednak wystarczyło, zamilkł i zwinął się w sobie. Cios Harbony załatwił go na cacy.

— No? — powiedział Harbina. — Ktoś jeszcze?

Nie odezwaliśmy się. W tej samej chwili wyczułem w pobliżu czyjaś nadprogramową obecność, przybysz wyłonił się z półmroku i nadał sygnał powitania. Musiał świadczyć bijatyce, która nie przynosiła chwały żadnemu z nas. Gdyby chciał nas teraz zaatakować, mielibyśmy spore kłopoty. Wszyscy byliśmy wyczerpani, a pokiereszowany Karkas wydatnie zmniejszył manewrowość oddziału. Nikt kto ma olej w głowie nie postępuje w ten sposób.

— Nazywam się Mehuman — przedstawił się przybysz. — Widzę, że zaprowadzenie w tej grupie jakże pożądanej dyscypliny natrafia niekiedy na trudności.

— Do rzeczy — warknął Harbona, zły że daliśmy się podejść.

— Chciałbym do was dołączyć jako jednostka wspomagająca.

Harbona nic nie odrzekł, cofnął się taksując nowego.

— Nie potrzebujemy wsparcia, ale zostań, jeśli chcesz. A nuż się przydasz. O jednym chcę cię uprzedzić: ja tu rządzę i bez względu na to, jak się nam wiedzie, nie zniosę fatalistycznego pobekiwania. — Dołącz do szyku.

Bez dalszych ceregieli Mehuman włączył się w obwód pomiędzy Zetera i mnie. Pozwoliliśmy mu na to. Nie mieliśmy siły, żeby się z nim przepychać.

Burza szalała w najlepsze.

Stary Mitręga miał 62 lata, amputowaną nogę i rentę w wysokości przekraczającej nieco połowę średniej krajowej. Nogę stracił w wypadku na kopalni kiedy w wyniku tąpnięcia osunął się na niego skalny strop i przywalił go całkowicie. Z tej katastrofy Mitręga uszedł z życiem, bo zwał, idąc z góry i trochę bokiem, obalił się na kombajn, który tak się ustawił, że na murze pogiętego żelastwa wsparły się dziesiątki ton kamienia. W ten sposób powstało coś w rodzaju wnęki, gdzie dochodził powietrze i gdzie Mitręga dekował się przez caluśkie trzy dni, jak się po odkopaniu dowiedział na powierzchni. Spoczywając w całkowitych ciemnościach, na nierównym i ma się rozumieć twardym podłożu, czuł jednak coś w rodzaju satysfakcji, ale nie z tego powodu, że przeżył, tylko dlatego, że przepadają mu kolejne płatne szychty, a on tu sobie leży jak gdyby nigdy nic i poleży jeszcze, oj, poleży w szpitalu, tak że kopalnia będzie mu dłuższy czas becalowac za friko. Nadzieje związane ze szpitalem nie były

bezpodstawne, gdyż lewa noga Mitręgi ugrzęzła w zawale i coś ją tam zaciekle trzymało jak w imadle. Mitręga przekonywał się o tym, ilekroć przystępował do oddawania moczu. Była to operacja skomplikowana i bolesna, gdyż nie chcąc lać na ani pod siebie próbował się obrocić i wtedy jego komfort ulegał zakłóceniu. Ale poza tym uszło mu właściwie płazem wyciągnęli go, dali pić, bo taki pobyt pod ziemią bez wody niezłe człowieka wysusza, oraz poinformowali, że mu się i tak upiekło, bo Romanowskiemu z Budziaszkim nie pozostało nic innego jak zastukać do bram świętego Piotra. Dopiero potem wyszło na jaw, jak to jest naprawdę ze szczęściem Mitręgi. Nogę odjął chirurg, z kopalni zwolnili, a rentę przyznali nie za wysoką, bo Mitręga nie miał na łapówki dla komisji lekarskiej. Przypominał poniekąd żołnierza zastrzelonego w ostatniej godzinie wojny; stracił kulasa akurat wtedy, gdy całe polskie górnictwo konało i wkrótce potem wyzionęło ducha.

Choć działo się to prawie dwadzieścia lat temu, Mitręga lubił wracać do tamtych wydarzeń, bo to była ostatnia ekscytująca rzecz, o której mógł opowiadać. Potem w jego życiu nic ciekawego już nie zaszło. Żona go opuściła, bo pieniędzy Mitręga nie miał, a dorobić nijak nie mógł i nawet stosownie do swej trudnej sytuacji trochę się rozpił. Dzieci pokończyły szkoły i rozjechały się po Polsce, dla ćwiczenia pamięci Mitręga oddawał się niekiedy rozważaniom, które z nich widział ostatnio, kiedy i w jakich okolicznościach. Noga pobolevała regularnie, ale czy miało to związek z pogodą, trudno dociec, bo pogoda prezentowała się teraz niewyraźnie — ni to, ni sio. Mitręga przesiadywał więc w domu — na szczęście miał gdzie mieszkać — kultywując swój status odludka, póki w jego życiu nie pojawiła się Ludmiła.

Panna Ludmiła, smutnawa dwudziestoczteroletnia siostra PCK, dwukrotnie w tygodniu odwiedzała weterana pracy w ramach obowiązków, które ktoś tam na nią nałożył.

Od początku Mitręga zapatrywał się na te wizyty entuzjastycznie, chociaż nie uważał się za osobnika do cna niedołęznego. Potrafił na przykład mimo protezy wyjść do sklepu po piwo, a i do kościoła, gdyby poczuł taką potrzebę, pewnie by trafił. Panna Ludmiła, która rzeczywiście była miła, młoda i miała ten dodatkowy walor, że nazywała się po ludzku, nie Świetlana, Wiera czy Eryka, wniosła w jego życie promyk, który je rozświetlił. Czekał niecierpliwie na jej odwiedziny, a dni jej przyścia miał zaznaczone w kalendarzu na czerwono. Wcześniej golił się, żeby wyglądać pociągająco i w ogóle starał się sprawiać dziarskie wrażenie. Raz, gdy panna Ludmiła zwierzyła się, że na party nikt z nią nie chciał iść w tany, Mitrędze wyrwało się, że gdyby nie kulas, już on by z nią zatańczył. Coś w jej spojrzeniu migiem powstrzymało entuzjazm ex-górnika.

Dzwonek do drzwi — i Mitręga wystartował z krzesła, które okupował od dwóch godzin, ustawionego tak, by miał blisko do zamka, żeby Ludmiłka nie musiała czekać. Weszła jak zwykle zamasyście, roztaczając wokół siebie szpitalną woń, co świadczyło, że nawiedza Mitręgę bezpośrednio po pracy na oddziale ogólnym.

— No i co tam nowego, panie Karolu — zagadywała standardowo, zbierając machinalnie jakieś rzeczy, które Mitręga specjalnie dla niej porozrzucał. Potem wyrównywała stos gazet sportowych, od miesięcy tych samych, i zabierała się do prasowania. Gdy naciskała na żelazko, bluzka na jej piersiach rozchyłała się apetycznie. Lecz Mitręga najbardziej lubił, gdy zasiadała naprzeciwko przy herbacie, jak teraz, i zakładała nogę na nogę. A nogi miała, o Matko Boska! Na samą myśl Mitrędze ciemniało przed oczami.

Wezwany do relacjonowania nowości roztaczał przed nią czar najświeższych wiadomości z radia i netu: że dolar już po dwadzieścia siedem złotych, więc wszyscy wolą euro, że liczba nielegalnych imigrantów ze wschodu przekroczyła milion, że bezrobocie w miastach, i tak wysokie po napływie zredukowanych zgodnie z zaleceniami Unii rolników, jeszcze wzrosło, że akcyza na benzynę zrównała się z ceną litra w hurcie i inne takie tam. Słuchała z niejakim znudzeniem, bo to samo tłukło

przez cały dzień radio w kanciapie pielęgniarek.

— Rząd nie ma pieniędzy na emerytury, niektórym grupom zalegają po pół roku. Podobno system świadczeń społecznych się rozkraczył.

Lecz Ludmiła jako osoba młoda nie przywiązywała wagi do takich kwestii. Zaczęła nucić pod nosem.

— Mówią, że są jakieś walki na pograniczu chińsko-syberyjskim. Chińczycy wdarli się na sto kilometrów.

— Co pan zmyśla, panie Karolu — patrzyła na niego spod zmrużonych rzęs. — Niech pan lepiej opowie, jak było tam, na dole. Wierzył pan, że pana uwolnią? Ja chyba bym się załamała.

— E tam — rzekł bohatersko Mitrega. — Nie myślałem o tym. Najpierw postanowiłem się wyspać. Potem myślałem o seksie. Na końcu chciało mi się tylko pić.

— I nie bał się pan?

— Czego?

— No... że skała się poruszy i pogrzebie pana do reszty?

— Nie. Nic by to nie dało. Zresztą słyszałem grzebaninę na końcu przodka, wsadzili rurę i wołali, że idą. Więc co mogłem zrobić?

I tak sobie gadali. Rzecz jasna byliśmy także i tam, obserwowaliśmy ich przekomarzania, ale ta sytuacja nie rokowała wielkich nadziei, choć z rozpoznania wiedzieliśmy, że panna Ludmiła nie ma stałego absztyfikanta. Ale ponieważ znajdowała się w wieku rozrodczym, lepiej było mieć ją pod kontrolą.

Prowadziliśmy Annę Strąk skrajem chodnika, koślawego, zaśmieconego co się zowie i bez względu na porę roku wilgotnego. Wcześniej przed budynkiem szkoły grono koleżanek rozpierzchło się we wszystkie strony, a ona poszła samotnie, jak zawsze, minęła halę dworcową, przecisnęła się tunelem pod torami, gdzie było ciemno i wionęło chłodem kazamat, wydostała się na plac załadunkowy. Tu zwykle przyśpieszała kroku, ponieważ robotnicy, polegający malowniczo między pustymi bębami po kablach, gwizdali na nią i wykrzykiwali sprośne uwagi. Przed sklepem na rogu zwalniała, a czasem nawet wstępowała, jeśli miała parę euro, ale najczęściej omijała go, bo w środku rezydowali kumple tych z placu, raczący się piwem i dobrze skumani ze sprzedawczynią. W ten sposób dochodziła do Rozdroża, jak sobie nazwaliśmy ten punkt miejsce, skąd powyginany chodnik z łatami kostki wiódł pod górę, do domu, albo gdzie należało przeciąć drogę przed skrzyżowaniem i skrócić ku kopalni.

Gdy była młodsza, bardziej lekkomyślna, bo nie wiedziała o świecie tyle co teraz, decydowała się na skrót: przed placem załadunkowym skręcała w poprzek bocznicy, czego kategorycznie zakazywały odrapane tabliczki. Przekraczała cierpliwie dziesiątki szyn o wyslizganych przez koła grzbietach, następnie drapała się pod stromą górkę, łapiąc się brzózek, które tam rosły i które w zimie okazywały się jedyną pomocą na wyslizganej ścieżce. Pewnego razu zaskoczyła przy tej okazji jednego z robociarzy, pewnie z tych, którzy po piwie rozleźli się szukać miejsc do swobodnego oddania moczu. Ten folgował sobie aż tutaj, o dobry rzut beretem od sklepu; na odgłos kroków obrócił się ku niej trzymając w ręku olbrzymi białawy przedmiot i gapiąc się na nią z niedowierzaniem, póki nie dotarło doń, z kim ma do czynienia. Zrobił wtedy rzecz dziwną, nad którą później wielokrotnie debatowała — poruszając ręką zaczął wywijać owym przedmiotem we wszystkie strony, skupiony na jej reakcji. Uciekała słysząc za sobą jego urągliwy rechot.

O wszystkim tym wiedzieliśmy dzięki rozpoznaniu, do którego zobowiązany jest każdy Zespół. Wiedzieliśmy też o wielu innych sprawach, znaliśmy jej krótkie życie, jej myśli bodaj lepiej niż znała

je sama. Porządne rozpoznanie jest nieodzowne, jeśli chce się osiągnąć Sukces. Wyczerpująca wiedzą o Obiekcie pozwala nie tylko osaczyć go jak należy i usidlić, ale w optymalnie krótkim czasie doprowadzić do jakże pożądanego finału. Tak ją nazywaliśmy zgodnie z obowiązującymi w tej mierze zwyczajami. Obiekt, ale zaręczam, że wszyscy myśleliśmy o niej ze swego rodzaju czułością.

Miała prawie osiemnaście lat, ale wyglądała na więcej — są takie dziewczyny i wiedzieliśmy, że po kilku marnych Obiektach trafiła nam się prawdziwa gratka. Każdy z nas o niej marzył na swój sposób, choć nie przyznawaliśmy się do tego przed sobą. Przyglądałem się im ukradkiem, skupionym na Zadaniu — zatroskany Harbona, najstarszy z nas, którego już trzykroć w mojej przytomności ominęła Nagroda, zaraz obok mego Mehuman, operujący z nami od niedawna, i Karkas, który starał się sprawiać wrażenie, jakby mu na niczym nie zależało. Oni stanowili centrum akcji, polatując przed naszą Anią na wysokości jej oczu, może trochę wyżej. Zeter i ja obsadziliśmy flanki, które tak paskudnie zawodziły poprzednio.

— Skupcie się, kochani — powiedział Harbona błagalnym głosem, w którym dawało się wyczuć emocję. Rozumiałem go: jeśli w najbliższym czasie znów nam się nie powiedzie, nic nie uchroni Zespołu przed rozproszeniem. Wtedy każdy z nas trafi do innych Zespołów, zajmując tam najbardziej poślednią pozycję i otrzymując najbardziej wyczerpujące zadania. Niby nie wolno było w ten sposób dyskryminować nowych, ale każdy wiedział, jak jest. Nie wyobrażam sobie, żeby na przykład Mehuman miał jakieś szansę w ostatecznej rozgrywce, gdyby dziś do niej doszło. Teoretycznie powinien zwyciężyć Harbina, należało mu się to jak nikomu innemu, ale Nagroda nie przypada temu, kto najdłużej czeka w kolejce. Nic bym nie miał przeciwko temu, gdyby udało mi się go przechytrzyć w finale. Zeter też by nie miał, o ile go znam. Spojrzałem na niego przelotnie, uśmiechał się.

Obiekt — w takich chwilach, kiedy coś się decydowało wołałem o niej myśleć w ten sposób, bezosobowo — zbliżał się do Rozdroża i musieliśmy się postarać, żeby skreślił we właściwą stronę, to znaczy ku kopalni. Polegało to na umiejętnym podsunięciu myśli nie do domu, w domu ludzie umierają, tak się mawiało u niej w szkole. Kiedy stanęła na brzegu chodnika skoncentrowaliśmy się maksymalnie, żeby wywrzeć na nią decydujący wpływ. Jeżeli pójdzie do domu, wszystko ulegnie opóźnieniu.

Stojąc na brzegu chodnika wahała się, poprawiając na ramieniu pasek plecaka z książkami. Wyglądało to tak, jakby szybowiała myślami niezmiernie daleko, a teraz nie potrafiła sobie przypomnieć, jak tu się znalazła. Poczekała, aż przejadą samochody, po czym — o radości! — wstąpiła na wyznaczony przez nas szlak. Teraz krążyliśmy nad nią z tyłu jak niewidoczny półpierścień zagrządzający jej drogę odwrotu. Widziałem jej płaszczyk z wyprzedaży, zgrabne nogi migające w rytm kroków i botki, też już nie pierwszej nowości. Myślałem o tym, że gdybym mógł, gdybym miał większy i nie tak selektywny wpływ na ten świat, to z pewnością coś bym dla niej zrobił. Ale to były tylko myśli, o których zaraz się zapominało — ileż spośród Obiektów, z którymi mieliśmy do czynienia, budziło nasze zainteresowanie, gdy wszystko było już definitywnie rozstrzygnięte? Do ilu wpadliśmy potem z wizytą, dla zaspokojenia ciekawości, jak im się dalej wiedzie? Dobrze znałem odpowiedź na to pytanie.

Ania przeszła przez ulicę, ale zamiast skierować się ku kopalnianemu osiedlu, ruszyła przeciwległym chodnikiem w górę, czyli do domu. Zakręciliśmy się wokół jej głowy w chaotycznym tańcu, a gdy i to nic nie dało, wniknęliśmy do jej mózgu. Nigdy nie lubiłem taplać się w tym szlamie, bo choć swobodnie przenikaliśmy przez materię tego świata, mózg Tutejszego wydawał mi się podobny do więzienia. Te gleje, te neurony obkurczające się wolno w rytm chemiczno-elektrycznych poleceń, wydawanych wedle nieznanego kodu, te uruchamiane bez żadnej zapowiedzi pozornie uśpione fragmenty — wszystko to działało na mnie przygnębiająco. Zgodnie z naznaczoną procedurą

robiłem co w mocy, starając się wpływać na podległy mi sektor. Brak wiary czy brak wprawy był powodem, że szło nam jak z kija? Jeśli każdy czuł się jak a przytłoczony tym ogromem, jego komplikacją, nikłością naszych przypominających widmowe rozwiłki organizmów, próbujących zatrzymać albo poruszyć te góry mięsiwa, sterować nimi jak wierzchowcami — to nie ma się co dziwić, że z każdej takiej konfrontacji wychodziliśmy pobici.

No i naraz znaleźliśmy się na zewnątrz, wypluci przez jakieś niepojęte, a zarazem wyrafinowane działanie białkowej mózgowicy Tutejszej. Było jasne, że wsparcie Mehumana na nic się nie zdało. Patrzyliśmy ze zgrozą na oddalający się Obiekt.

— Kurwa mać — powiedział złamanym głosem Harbina. — Znowu kłapa.

Od samych, drzwi, skąd panną Ludmiłką wniosła do domostwa Mitręgi powiew szpitalnej świeżości, czuły na zmiany rytuału odwiedzin weteran pracy wyczuł, że coś jest nie w porządku. To straszne podejrzenie Ludmiłki potwierdziła w całej rozciągłości swoim zachowaniem. Zamiast jak zwykle rzucić się do prasowania albo zmywania talerzy czy innego sprzątnięcia, przysiadła w fotelu ledwo rozpinając płaszcz. Koszule i gacie, precyzyjnie rozmieszczone po domostwie, nie wzbudziły tym razem jej najmniejszego zainteresowania. Rękę z torebką opuściła na podłogę gestem człowieka prawdziwie zrezygnowanego i cała jakby zapadła się w sobie. Oczy miała zaczerwienione jak od płaczu.

— Panno Ludmiłko, co pani? — Mitręga zasiadł naprzeciwko z zatroskanym wyrazem twarzy. — Co się stało?

Pielęgniarka wydała z siebie krotki szloch na sucho, jakby uznając, że dalsze lanie łez nie zda się na nic.

— Ach, panie Karolu — rzekła z westchnieniem, a była tak śliczna w swym bezbrzeżnym smutku, że Mitrędze po prostu dech zaparło — co ja będę panu mówić. Lubiłam przychodzić do pana, bo zawsze był u pana wzorowy porządek i umiał pan tak ciekawie opowiadać o tym, jak pana przywalił węgiel.

— Co to znaczy lubiłam, Ludmiłko? To już pani nie lubi? Przestała pani? Czym ja się pani naraziłem? — W jego głosie rozbrzmiała autentyczna trwoga.

— Nie, niczym, pan niczemu nie winien. Pamięta pan, jak pan mówił o wojnie Chin z Syberią? Miał pan rację. A ja, głupia, musiałam wtedy, że pan zmyśla.

— No nie — rozpromienił się Mitręga, rad że może się znów wykazać. — Jakże bym mógł oszukać panią dla taniego efektu? Przecież ma pani radio, zagląda do netu, czytuje gazety. Co by sobie pani o mnie pomyślała? Nabiera mnie stary nudziarz...

— W tym rzecz, że wołałabym już to nabieranie. Zrobię herbaty, dobrze?

Popijali herbatę, a panna Ludmiłka kontynuowała zwierzenia. Nikt nie zna tajemnic duszy kobiety i nie wie, kiedy jak i przed kim dusza ta wykazuje skłonności do otwierania się, międlil w głowie Mitręga wyczytane gdzieś zdanie zbulwersowany jego głębią.

— Czy mówiłam panu o doktorze Skrobaczu? To nasz szpitalny uwodziciel. Bierze przeważnie nocki, żeby podokazywać z dziewczynami, jak pacjenci się pośpią. Raz kazał mi przyjść do siebie i dawał do picia wino, choć to w szpitalu zakazane. Myślał, że rozbiore się jak inne i będę mu dogadzać do rana. Pracowała u nas taka Roksana z Charkowa... ta to nie miała żadnych skrupułów. Jak tylko kończył się wieczorny obchód, ściągała wszystko i zostawała w fartuchu na gołe ciało, żeby było szybciej.

— Nie rozumiem — przyznał Mitręga, półprzytomny z podekscytowania.

— Oj, panie Karolu, gdzie pan żyje! Czy za pana czasów ludzie nie kładli się ze sobą do łóżka?

— Kładli, kładli, i to jeszcze jak — pospiesznie zapewnił Mitręga. — Ja sam, nie przymierzając...

— No właśnie. Widzi pan. Więc ta Roksana szła do Skrobacza i gzili się do rana. Czasem w nocy dzwoni jakiś pacjent, jednemu trzeba tego, drugiemu owego, trzeciego potrzymać za rękę .. — zachichotała bezgłośnie. — Udawałyśmy, że śpimy albo że nas nie ma, a ta Roksana migiem narzucała fartuch, zapinała się na dwa guziki i już była na oddziale. Skończyła z pacjentem — i buch do Skrobacza. Rano w koszu pełno było zużytej ligniny. Wie pan, czasami szczerze ją podziwialiśmy za bezczelność. Nic sobie z niczego nie robiła. Wyszła podobno za jakiegoś biznesmena, a nieutulony w żalu Skrobacz przerzucił się na inne.

— Ale pani nie dotknął? — kłapnął z nadzieją Mitręga

— Panie Karolu, co pan? Ja nie idę z byle łachudrą, co to dziś ta, jutro inna. Powiedziałam mu w oczy panie doktorze, gdzie pana etyka zawodowa? Za ścianą ludzie umierają.

— I co on na to?

— Powiedział, że dziś nikt nie umarł. Ale dał mi spokój.

— Ale co dalej z tym Skrobaczem? Przestał się przystawiać czy dalej pannę Ludmiłkę molestuje? Bo pójdę i obiję go łagą!

Pogłaskała go po świeżo ogolonym i nawet nie bardzo pozacinanym policzku.

— Pan zawsze był dla mnie taki dobry... A dziś Skrobacz przyszedł na oddział i oznajmił, że wie z pewnego źródła, wszyscy zostaniemy zmobilizowani, cały szpital. NATO weszło do wojny, a Polska ma organizować szpitale w Mandżurii. Myśli pan, że tak tylko straszyl?

— No, wojna cały czas się rozszerza, ale atomów na razie nie ruszają Podobno ONZ rozpoczyna rokowania pokojowe.

— Potem dopadł mnie samą w korytarzu, zapewniając, że to nie są puste groźby. Wie pan, przy przyjmowaniu do pracy podpisywałyśmy taki papierek o mobilizacji, wtedy nie zwróciłam uwagi, kto by tam myślał o jakiej wojnie. — Wyjęła z torebki papierosy.

— Panna Ludmiłka pali?

— Tylko jak jestem zdenerwowana A chyba pan Karol przyzna, że trudno się nie denerwować, jak człowieka wysyłają do Mandżurii. Zostawić mamę, tatę...

— ...narzeczonego — poddał ostrożnie Mitręga.

— Na szczęście nie mam. Wolał taką jak ta Roksana. — Zadumała się nad przedziwnymi kolejami losu. — Ale co mi jeszcze powiedział ten bezwstydnik Skrobacz. Tylko niech pan obieca, panie Karolu, że nikomu pan nie powtórzy. Słowo honoru?

Mitręga uroczyście poświadczył. Kręciło mu się we łbie.

— Powiedział, że nie chciałam dać jemu, to teraz będę dawać w Mandżurii Japońcom, Ukraińcom, Mongołom, Chińczykom, jak szpital wpadnie im w łapy, i kogo tam jeszcze przywieje. On myśli, że pielęgniarki to takie pogotowie seksualne.

— Myli się — oświadczył z mocą Mitręga.

— Czy ja wiem? Albo to wiadomo co pewnego o tej Mandżurii? Aha, powiedział też: wie pani, skąd się wzięła ta wojna? — parodiowała Skrobacza sposobem wyćwiczonym podczas szpitalnych pogaduszek. — Chińczycy mogą mieć tylko jedno dziecko, więc jak się rodziły dziewczynki, to je zabijali. W ten sposób powstała tam generacja niewyżytych samców, którym wystarczy włożyć karabin do ręki i wskazać kierunek. Myśli pan, że to możliwe?

— Nie mam pojęcia — wzruszył ramionami Mitręga. — Nigdy nie byłem w Chinach. — Wydało mu się, że zbyt oschle podchodzi do dramatu panny Ludmiłki, więc natychmiast dodał: — Kobiety mają jednak zbawienny wpływ na nas, mężczyzn. Żle postępowali... z tymi dziewczynkami.

— Będzie mi pana brakowało w Mandzurii — znowu pogłaskała go po policzku. Jej wielkie oczy, podobne do znanych Mitrędze z dzieciństwa chabrów, zaszklily się — Pan zawsze był dla mnie taki czuły...

— E tam — krygował się Mitręga. — Przesadza panna Ludmiła.

— I dlatego — powiedziała patrząc w dal z determinacją z piastką zaciśniętą pod szyją na guziku bluzki — dam panu coś na pamiątkę. Żeby pan myślał o mnie, jak będę w Mandzurii. Coś — westchnęła zdumiona własną śmiałością — czego nie dostał nawet doktor Skrobacz.

— Panno Ludmiłko, co pani.

— Nie chce pan? Kiedy miał pan ostatni raz kobietę? Przecież widzę, jak pan na mnie patrzy.

Wstała energicznie, odwieszając płaszcz na oparcie krzesła. Ruchem ręki straciła z kapy na łóżku ineksprymable weterana pracy pod ziemią i z zadziwiającą siłą pochwyciła rękę Mitręgi. Ten zamarł jak posąg, porażony samą możliwością. Ucałowała pracowicie wyszlifowany golidłem Gillette, acz nieco obwisły policzek.

— Pan Karol będzie tylko leżeć... ja wszystko zrobię. Niech pan się nie boi, to nie zastrzyk.

I stało się to, o czym Mitręga nie marzył w najbardziej wyuzdanych snach. Piękne ciało panny Ludmiłki kołysało się nad mm jak egzotyczny kwiat nie z tej planety, mógł go dotykać wszędzie rozedrganymi łapami, znane mu ze słyszenia oraz z odległej przeszłości orgazmy skręcały mu wnętrzności w powrósła, a serce balansowało ustawicznie na skraju zawału. Aż panna Ludmiłka, gorąca i zmierzwiona, opuściła późnym wieczorem gościnne domostwo, a Mitręga, zostawszy sam ze swoim odjętym kulasem, starością i brakiem perspektyw zapłakał rzewnymi łzami, że już jej więcej nigdy nie zobaczy. Czuł się najbardziej nieszczęśliwym człowiekiem na świecie.

Rzecz jasna i tę melodramatyczną scenę obserwowaliśmy w całej rozciągłości, acz bez specjalnych emocji, gdyż zaraz na początku panna Ludmiłka zainstalowała panu Karolowi model europejski kondoma w rozmiarze średnim, niweczając w zarodku nasze nadzieje. Ale że wnikliwe obserwowanie zwyczajów prokreacyjnych Tutejszych jest i ciekawe, i zajmujące, i pouczające, wytrwaliśmy do ostatniego spazmu, ostatniego kurczu i ostatniego pocałunku w policzek, i nareszcie nikt, nawet Karkas, nie miał żadnych pretensji do pozostałych.

Na miejsce narady wybraliśmy wnętrze kropli wody zwisającej z liścia. Mogliśmy zdecydować się na dowolną inną lokalizację: płomienie ogniska, plwocina gruzlika, pył pod nogami przechodniów albo flaki komara, innego miejscowego potwora. Ale komar, o ile nie śpi, jest wiecznie w ruchu, więc musielibyśmy albo za nim nadażać, albo opuścić jego potężne jestestwo. W obu przypadkach nie sprzyjałoby to koncentracji Zespołu, a chcieliśmy się skupić na kwestiach o znaczeniu zasadniczym. Kropla porannej rosy — dla nas zbiornik porównywalny z oceanem — stwarzała ku temu odpowiednie warunki. Ranek był piękny, światło tęczało na wodzie, nagrzewając kroplę i wywołując w mej groźne wiry, dla których na szczęście pozostawaliśmy niedosiężni.

— Słuchajcie — zagał obrady Harbona — chcemy, jak to wszyscy wcześniej zadeklarowali, porozmawiać o tym, co się dzieje. Czemu jest tak a nie inaczej. Dlaczego nic, za co się bierzemy, nie udaje się nam w stopniu satysfakcjonującym.

— W żadnym stopniu — przerwał mu Karkas. — Nic się nam nie udaje. Nazywajmy rzeczy po imieniu.

— W porządku — Harbona nie dał się zbić z pantafyku. Jego sytuacja była niegodna pozazdroszczenia, a mimo to pozostawał nieugięty. — Nic się nam nie udaje. Nie odnosiliśmy spodziewanych sukcesów i dalej nie będziemy odnosili, jeśli ta narada zakończy się niczym. A tak

się zakończy, jeśli będziemy sobie tylko dogryzali i koncentrowali się na szukaniu kozłów ofiarnych.

— Kto jest bez winy, mech pierwszy rzuci kamieniem — bąknął Zeter.

Harbona przyglądał mu się przez chwilę, po czym rzekł:

— Czy ktoś ma jakieś pomysły poza tym jednym oczywistym, że zawiodło dowodzenie?

— A nie zawiodło? — spytał jadowicie Karkas.

— Być może. O ile nie znajdziemy innych czynników, Ustąpię z funkcji lidera Zespołu i przejmie ją któryś z was. Na razie spróbujmy poszukać mniej ewidentnych przyczyn sprawczych niż tępota czy opieszałość Harbony.

— Intryguje mnie — odezwał się Mehuman — kolejność dochodzenia do grupy. Kto był w niej od samego początku i jak wtedy wyglądał jej skład? Jeśli mieliśmy jakichś poprzedników to co się z nimi stało? To mi się wydaje interesujące.

— Ja jestem najstarszy — powiedział Harbona. Odczekał jakby dając czas oponentom, ale nikt się nie kwapił. — Najpierw byłem sam. Nigdy przedtem nie należałem do żadnego zespołu.

— Ha, to prawdziwa nowość! Ukrywałeś to przed nami! — tryumfował Karkas.

— I tak, i nie. Nie pytaliście, więc i ja się nie zwierzałem. Zastanawiałem się wprawdzie od czasu do czasu: skąd przychodzę, kim jestem, dokąd zmierzam, jakie jest moje przeznaczenie. — Pomilczał, jakby nadal rozpatrując tę kwestię — Potem dołączył Birta — wskazał na mnie — i przez jakiś czas działaliśmy we dwóch. Po nim...

— Jak długo to trwało?

— Z grubsza tyle, ile dojdzie kolejnych. Po Bircie dołączył Zeter... Nie, Karkas. Po Karkasie dopiero Zeter. No i Mehuman.

— Co robiliście z Birtą? Próbowaliście wnikania?

— Nie. Ani razu. Nie mieliśmy o wnikaniu pojęcia. Dziś wiem, że byliśmy za słabi... za mało liczni. Uczyliśmy się. Natknęliśmy się na inne zespoły, i częściowo z rozmów, a częściowo z obserwacji, z przebiegu różnych incydentów dowiadywaliśmy się, o co w tym wszystkim chodzi.

— Z jakich incydentów? Z użyciem siły? — Pytania stawiał Mehuman i musiałem przyznać, że jak dotąd z grubsza pytał o to, co trzeba.

— Cóż to, Mehuman, śledztwo? — nasrożył się Harbona, ale raczej żartobliwie, bez wpadania w złość. — Raz zostaliśmy zaskoczeni podczas obserwacji Obiektu. Tamci myśleli chyba, że szykujemy się do wnikania, ponieważ rzucili się na nas i mimo Puklerzy solidnie nas poturbowali. Potem przyglądaliśmy się ich wnikaniu.

— Pozwolili wam?

— Straszliwie się przepychali i handryczyli, więc na ten czas zapomnieli o naszej obecności. Może uznali, że im nie zagrażamy. Po wniknięciu uszedł z nich cały wigor.

— Nie próbowaliście przyłączyć się do tych, co zostali?

— Jakoś nie — powiedziałem.

— Czemu?

— Byli liczni. I chyba byliśmy w szoku — spojrzałem na Harbonę, szukając jego aprobaty. — Musieliśmy to przetrwać.

— Moim zdaniem nie widzieliśmy dla siebie miejsca w takim zespole... tak bezwzględny w rywalizacji. Gdy dochodziło do wnikania, pryskała wszelka dyscyplina i górę brał chaos — dodał Harbona. — Żadnej dyscypliny, żadnego porządku. Dopiero potem przekonaliśmy się, że ten amok to norma, nie wyjątek. Powiem wam coś, bo może w tym tkwi szkopuł: czułem się tam obcy. Nieprzystosowany. Być może wszyscy jesteśmy w mniejszym lub większym stopniu nieprzystosowani. Inni. Odmieńcy. Tak naprawdę za mało w nas przekonania, że warto się

przepychać... w taki sposób, jak tamci. Nie chce nam się.

— Mnie się chce — zrzędził Karkas — tylko nie mam okazji.

— W porządku — powiedział Mehuman lekceważąc jego uwagę. — Teraz Birta. W jaki sposób dołączyłeś do Harbony?

— No... zobaczyłem go, podjechałem bliżej i spytałem, czy nie moglibyśmy wodzić się razem. Zgodził się szybko. Widocznie dopiekła mu samotność.

— Pytam o to, czy natknąłeś się na niego przypadkiem, czy z premedytacją szukałeś kogoś takiego jak on?

Zastanowiłem się. — Chyba nie. To znaczy nie szukałem. Wpadłem na niego dość niespodziewanie. Tak, określiłbym to jako przypadek.

— Dobrze. Następny.

— Ja? — upewnił się Karkas. — Też chyba znalazłem się z mmi za sprawą przypadku. Żałuję tego do dziś. Ale nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.

— Cierpliwości. Zaraz się dowiesz. Czemu nie próbowałeś odejść?

— Próbowałem, nawet kilka razy! To właśnie jest najgorsze!

— Strach cię oblatywał?

— Niech będzie — Karkas podjął decyzję — powiem wam. Strach nie. Może obawa. Niepewność.” Nigdy nie byłem w żadnym innym zespole, to raz. A dwa: ile razy chciałem się oddalić, tylekroć doświadczałem przemożnego uczucia, że wykonuję błędne posunięcie, że moje miejsce jest jednak w Zespole — i wracałem. Męczyłem się z wami, ale bez was jeszcze bardziej. Nie wiem tego lepiej wytłumaczyć.

— Jednak lepiej ze starym Harboną niż sam na sam z Karkasem — tym razem Harbona nie zdołał się powstrzymać od szyderstwa.

— Błędy w taktyce, w wykonaniu są faktem. Tu nie ustąpię. Jedno nie wyklucza drugiego.

— Teraz ty, Zeter. Jak było z tobą?

— Też przypadek. Natknąłem się na nich trzech, a że byłem sam, zaproponowałem, że się przyłączę. No i jestem.

— I także dla ciebie jest to pierwszy zespół?

— Owszem, jeśli mnie pamięć nie myli. Ale co to ma...

— Może ma, może nie ma. Posłuchajcie teraz mnie Otóż ja o was wiedziałem — nie mam pojęcia, skąd, i szukałem was. Bez świadomości, kogo i czego szukam, lecz gdy kierowałem się we właściwą stronę, odczuwałem zadowolenie, gdy zaś błądziłem, nękało mnie poczucie dyskomfortu. Dalej już sarni wiecie. Aha, także i dla mnie jesteście pierwszą grupą, do której trafiłem.

— Czyli jakby stowarzyszenie żółtodziobów — podsumował Harbina. — Czy też wolicie nazwę legion dziewic?

— Za mało nas na legion — poddałem

— Może będzie nas więcej? — zastanowił się Mehuman — No, mili moi, pora na wnioski. Wygląda na to, że na tle podobnych do nas istot, działających w tym świecie w zbliżony do naszego sposób, jesteśmy formacją obcą. W zbliżony oznacza niestety w odmienny. Ta odmienność jest na tyle znaczna, że nas dyskwalifikuje, a w każdym razie zaczyna przesądzać o niepowodzeniach we wszystkim, do czego się zabierzemy. Jesteśmy jakby mutacją, która na każdym kroku zbiera cięgi w konfrontacji z większością populacji, gdyż nie została odpowiednio wyposażona do rywalizacji.

— Jakże to? — zdumiał się Karkas — mamy przecie Puklerze.

— Puklerz słabo nadaje się do wnikania — skontrował go Mehuman. — Jeśli więc jesteśmy odmieńcami, których przypadek albo ślepa siła zegnały do kupy, widzę przed nami dwa wyjścia:

albo opanować reguły obowiązujące w tym świecie i nauczyć się zwyciężać w rywalizacji z innymi zespołami, albo znaleźć dla siebie niszę, w której się urządzimy i w której to my będziemy najlepsi. Tam my będziemy dyktować warunki. Oznacza to ni mniej, ni więcej, tylko dalsze poszukiwanie własnego przeznaczenia i własnej roli w tej rzeczywistości.

— Ba, ale jak to zrobić? — spytał z powątpiewaniem Zeter.

— Ja na razie nie mam żadnego antidotum — przyznał Mehuman. — Może wy macie. Albo będziecie mieli. Dopóki czegoś nie wymyślimy, starajmy się robić to co dotąd, ale bez wzajemnych pretensji i niesnasek. Zmiana dowódcy moim zdaniem nic nie da.

Karkas spojrział na niego z powątpiewaniem.

— A nie da dlatego — potwierdził Mehuman — że dowodzić skutecznie można tam, gdzie z grubsza znane są reguły. To w oparciu o tę znajomość podejmuje się decyzje. Ale tam, gdzie...

Urwał, bo kropla nagle znikła, pozostawiając nas w przejrzystym powietrzu. Zalało nas jaskrawe światło. Obserwowaliśmy, unosząc się nad wilgotnym liściem, jak nasza kropla wali się w dół i znika w trawie.

. — Ktoś nadchodzi — ostrzegł Harbina.

Uruchomiliśmy Puklerze, na zajęcie optymalnych pozycji nie starczyło już czasu. Na szczęście niepokoił nas pojedynczy osobnik, nie przejawiający wrogich zamiarów. Zaraz po ujawnieniu się nadał sygnał powitania, rozpoznając lidera jakimś piętnastym zmysłem. Harbona nie zareagował.

— Nazywam się Af — powiedział nowo przybyły.

W życiu Anny Strak tyle się przez ostatnie dni wydarzyło, że chodziła jak w transie nie mogąc uwierzyć, że los się do niej nareszcie uśmiechnął. Ustalenie, komu zawdzięcza tę odmianę, nie wymagało specjalnych deliberacji: gdyby nie Jolly Gatz, po dawnemu łąziłaby do szkoły w szarej beznadziei. Choć poznały się na ulicy, co podobno źle wróży znajomości, to jednak nadzwyczajnie przypadły sobie do gustu i dziś, po ledwie czterech dniach zażyłości, Jolly była jej najlepszą Freundin. Także Jolly wydawała się Anią zachwycona. Jedna tylko rzecz nie budziła jej akceptacji: imię.

— Zmień je jak najszybciej — poradziła. — Ono do ciebie nie pasuje. Z wyglądu niby dorzeczna dziewczyna — na te słowa Ania okryła się lekkim pąsem — a tu takie prowincjonalne, nieeuropejskie Name. Żywcem z dziewiętnastego wieku.

— Mama mówiła, że to imię biblijne. I królowych angielskich. — Pod wpływem kpiącego spojrzenia Jolly Ania do reszty straciła rezon. — A przynajmniej księżniczek.

— Biblijne — prychnęła Jolly. — Szkoda, że nie Nabuchodonozor. Wiesz co, będę ci mówiła Shannon. Musisz się prezentować światowo i europejsko, nie jak jakaś polska prowincjonalna gęś.

Światowość i europejskość Shannon miała się potwierdzić w najbliższy weekend. Jolly jak gdyby nigdy nic zaprosiła ją na orgiette.

— Wiesz, moi znajomi organizują właśnie orgiette w barze „Mnemo”. Musisz być koniecznie. Opowiadałam o tobie kilku ludziom, bardzo chcą cię poznać. — I nie dość, że poradziła Shannon, w co się ma ubrać, to jeszcze przyjechała po nią samochodem.

Idąc za radami Jolly Shannon założyła przezroczystą bluzkę, którą od niej dostała, bo sama taką nie dysponowała.

Pod nią miała ciemną koszulkę bez stanika, będzie ją łatwo zdjąć w toalecie, gdy zabawa się rozkręci, powiedziała Jolly. Słowo orgiette nie powinno budzić przerażenia Shannon, nikt tam nie będzie biegać nago, używa się go dla hecy, picu i szpanu żeby było fajnie i po europejsku. Zresztą sama się przekona. Jolly przyobiecowała żarliwie, że przez cały czas będzie się trzymać blisko i nie

pozwole, by Shannon wpadła w jakieś tarapaty.

Bar „Mnemo” okazał się wykwintnym lokalem za miastem gdzie gromadziła się zamożna młodzież z suburbiów. Urządzono go z europejskim przepychem, w barze wskutek tego obowiązywał stosowny poziom cen: szklanka najtańszego energetyzera kosztowała pięć euro Jolly miała w torebce dziesiątkę, wycyganioną od matki, która spoglądała na wyjście córki powłóczystym i jakby wilgotnym spojrzeniem, mamrotając bezcenne rady. Jej uwagi tylko Shannon zirytowały.

— To było dobre w piętnastym wieku, mamó! — wykrzyknęła i już jej nie było.

Poza szumną nazwą orgiette w barze „Mnemo” dość przypominała zwyczajne party ożenione z nieśmiertelnym disco: kto chciał, oddawał się konwersacji albo pochłanianiu trunków, a kto nie, szedł huścić się na parkiet. Przy ogłuszającej muzyce, która wypełniła ją całą, Shannon rychło zapomniała o codziennych troskach i wątpliwościach, tym bardziej, że adoratorów jej nie brakowało. Była w tym miejscu nowa, dysponowała olśniewająco spreparowaną na ten wieczór urodą, więc każdy pragnął zawrzeć z nią znajomość.

Przed północą obie z Jolly zrzuciły w toalecie koszulki, zostając tylko w przezroczystych bluzkach. Shannon nigdy nie czuła się tak naga, ale stopniowo rozluźniła się, widząc że jej goły biust nie budzi żadnej sensacji, a inne dziewczyny są jeszcze bardziej rozneglizowane. Siedziała właśnie z niejakim Ramonem, jego kochankiem Timothym i chudą jak szczapa lafiryndą o imieniu bodajże Mary, która została w bluzce z tafty, bo w ogóle nie miała biustu, więc nikt tego nie żałował, kiedy przypadła do niej rozgrzana zabawą Jolly. Oczy jej błyszczały i w ogóle wydała się nienaturalnie ożywiona. Musiała coś wypić, zdecydowała Shannon — lecz alkoholu od niej nie poczuła.

— No, Shannon, coś taka markotna — walnęła ją łokciem w bok. — Chodź, to dam ci coś, co cię trochę rozrusza. Najnowszy specyfik kanadyjski.

— Co to jest? — Shannon obracała w palcach niewielką pigułkę. — Narkotyki? Nie zaszkodzi aby?

— Nie bardziej niż aspiryna. Nazywa się euphory. Bierz, głupia, bo czas leci. Musiałabyś zjeść tego z kilo, żeby przez kwadrans zabolęła cię głowa. No, łykaj, bo pretty boys czekają. Cycków nie chowaj tak między ramionami, nie masz się czego wstydić. Łopatki razem — ściągnęła ramiona Shannon do tyłu, co okropnie wyeksponowało jej piersi.

No i Shannon łyknęła, popijając resztką energetyzera. Z początku nie poczuła żadnego efektu i w wirze zabawy zupełnie zapomniała o euphory. Płasała właśnie po parkiecie z jakimś Vintonem czy Harrym, gdy przestrzeń wokół niej łagodnie wygięła się i zafalowała. Spomiędzy głów ludzkich, zdeformowanych i jakby zadziwionych, zaczęły napływać kolorowe pasma, a łomot muzyki, zyskując na ornamentacji, zsynchronizował się z biciem serca Shannon. Nie rozumiała tego efektu, nie spodziewała się go, ależ jasne, to nie muzyka grała, to jej własne wibracje aparatura transmitowała na salę i wszyscy wpadali w takie konwulsje, jakie im dyktowały wewnętrzne rytmy Shannon. Jakaś para kopulowała zajadle przy ścianie, przy czym kobieta stała przodem do tancerzy, lekko pochylona i naga, osłonięta jedynie wątlą szmatką na biodrach, jej biust kołysał się sprężysto, nasmarowany jakby rtęcią, skakały po nim światła i pełzały bodaj jakieś stworzenia, nie, nie pełzały, krążyły wokół jej głowy jak złote baki, tworząc cienką aureolę niczym na starych i niemodnych wizerunkach świętych. Shannon uważnie wpatrzyła się w powietrze i natychmiast ze zdumieniem dostrzegła, że pełno tam latającego robactwa, przechodzącego dalej w złotawy kurz, jakby ktoś rozpylił wizualny środek wziewny, o którym ostatnio uczyli się w szkole. Ktoś coś do niej wołał, wzywał ją z daleka, ona odpowiadała jak na drugi kontynent, ktoś gmerał wokół jej majtek w kroku, ale w ogóle ją to nie gniewało, przeciwnie, czuła się wolna i szczęśliwa, obłapiając cudze karki i jeżdżąc biustem po twarzach nie ustępujących szlachetnością starożytnym posągom greckim. Ktoś trzymał ją za rękę,

gdzieś prowadził, zagłębili się w labirynt lochów, biegła za mm ochoczo, pokrzykując z ekscytacji, a jej kryształowy głos wznosił się ponad ogólny tumult jak skowronek. W pomieszczeniu, do którego trafili, znajdowało się kilku ludzi przebranych za arlekiny, magów i cyrkowców, ale w strojach w znacznej mierze zdekompletowanych, złote muszki polatywały tu i tam, były ich całe roje, uwijały się ochoczo nie wydając żadnego dźwięku, ale na pewno był to taniec i Shannon wydało się nietrudne dojście do tego, w rytm jakiej muzyki się odbywał. Kładąc się na biurku, którego blat opalizował perłowo, dostrzegła Jolly w stroju kolombiny i wesoło pomachała jej ręką. Z sufitu natychmiast jął się na nią sypać deszcz konfetti, a mózg zimnych ogni, nie miała czasu się przyjrzeć.

— Podłóż jej koc pod plecy — poradził jeden z przebierańców. Na oku miał przepaskę pirata. — Powinien być gdzieś tutaj.

— Nie trzeba — rzekł ten, który ją przyprowadził. — Zdejmij to już, kochanie. — Rozpiął jej bluzkę, zmiął w garści i odrzucił za siebie. Wśród przebierańców wybuchła krótka walka o to trofeum. — Jak się lekko spoci, nie będzie mi jeździć po blacie.

Przyjęła jego oświadczenie wybuchem śmiechu. Ten, który chciał szukać koca, cofnął się w ciemność, gdzie światło lampy nie sięgało. Ten zaś, który ją przyprowadził, zaszedł ją od rogu biurka, rozpiął i opuścił pludry — teraz odkryła, że był szlachcicem weneckim. Shannon rozumiała, do czego zmierza, więc postanowiła mu pomoc, uniosła pupę i pozbyła się majtek, zakręciła nimi na palcu i puściła je w ciemność, na pastwę kolekcjonerów. Powodowana impulsem zarzuciła szlachcicowi nogi na ramiona. Przyglądała się tym nogom, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu, urzeczona ich nieziemską doskonałością, przekonana, że tego manekina postawiono przed nią tylko dla ich należytej ekspozycji.

Poruszał się w mej spokojnie i pewnie, jak badacz. Potem coś mu się odmieniło, zdjął sobie nogi Shannon z barków i ujął je pod kolanami, rozchylając na boki. Miał teraz o wiele lepszy dostęp, a na jego skupionej, białej, jakby gipsowej twarzy pojawił się cień uśmiechu. Za to Shannon była wniebowzięta: orgazmy przetaczały się po niej jak czołgi, tam i z powrotem, jeden ruch odpowiadał teraz godzinie dawnych zmaganiań o podobnym charakterze, czuła się zjednoczona z całym kosmosem, ba! czuła się jego królową, w nagłym przebłysku pojęła sens całej tej monstrualnej maszynierii, te gwiazdy, mgławice i galaktyki puszczono tam w ruch z myślą o niej, żeby dla płoczej uciechy coś jej migotało nad głową. Krzyknęła uradowana tym odkryciem, a może ich widokiem, bo zobaczyła je właśnie, ich dostojny i nieskończenie celowy ruch, ich porażające piękno, aż gwiazdy zaczęły sypać się na nią i sypały się wciąż i wciąż, bez końca.

Lecz to nie były gwiazdy, a owe polatujące niespokojnie zuczki, tak, te same, unosiły się nad jej ciałem złotawym obłoczkiem, wytwarzanym przez ich zapobiegliwą krzątanicę. Czy to elektrony? — zastanowiła się przelotnie. Chyba nie, elektrony powinny być mniejsze, a te są wielkie jak smoki.

— Widzę was! — zakrzyknęła z entuzjazmem. Ten, który ją przyprowadził, na moment przestał się gibać, ale zaraz wznowił swoją działalność charytatywną. — Jesteście mikroskopijni, ale ja was powiększam. Macie ogromne oczy i białe włosy, i nie macie skrzydeł. To jak latacie? Jakim cudem świecicie na złoty kolor?

— Bądź cicho, Shannon — powiedział łagodnie ten, który ją przyprowadził.

— Ależ nie — sprzeciwiła się. Jej plecy przywarły do gładkiej płyty i ten, który ją przyprowadził nie musiał co chwila ciągnąć jej ku sobie. — Zdaje mi się, że wy ich nie widzicie, a to takie miłe stworki. Wszędzie ich pełno a jakie niespokojne! Jak się czają. O, są i inne! Mój Boże — westchnęła, gdyż szlachcic wenecki wystrzelił z ociąganiem swój ładunek i jęknął na znak, że jego występ dobiegł końca. Skulił się w sobie, jakby chciał rozplątać w swoim ciele jakiś węzeł bólu, odetchnął głęboko i znowu się uśmiechnął. Nogi Shannon, które trzymał, odłożył na biurko jak zbędne

przedmioty.

— Teraz chyba ty, Śrubarz — zadysponował.

Ten, co wspomniał o kocu, już bez przepaski na oku, nadszedł w pełni gotowy. Przypasował sterczące, nabrzmiałe prącie do instrumentu Shannon i płynnym ruchem znalazł się w środku, podejmując dzieło poprzednika dokładnie w tym miejscu, w którym tamten je zakończył.

Shannon nie posiadała się z zachwytu. Zaśmiewała się do łez, to znowu łkała ze szczęścia, jakie się jej niespodziewanie przytrafiło. Gdy fala egzaltacji z lekka ustąpiła, rozejrzała się wokół z autentycznym niepokojem.

— A gdzież to moje milutkie chrząszczyki? — aż się uniosła na łokciach. — Nigdzie ich nie ma. Poznikały. — Wpatrywała się z uwagą, jak gruby fallus Śrubarza wyłania się i niknie w jej ciele. — A, tu się chowacie, zbereźniki! Słuchajcie, urządźły sobie we mnie wyścigi! Pownikały do plemników i prują przed siebie ile sił! Kto pierwszy, ten dostanie Nagrodę! Ale co to? Spadają na nie inne, wypędzają tamte i zajmują ich miejsca! I teraz one się ścigają, który pierwszy dobiegnie do mety! Och — westchnęła, bo pod wpływem eufory oraz solidnego wykonawstwa Śrubarza nadchodziła kolejna fala uniesień. — Mamy teraz trochę czasu. To wyścig długodystansowy, gdzie prowadzenie zmienia się ustawicznie. Obiecuję, że powiem wam, który wygrał.

— Oszalała — bąknął ktoś półgłosem.

— Niezłe nawija — skwitował inny.

— Nigdy jeszcze nie byliśmy tak blisko — powiedział markotnie Harbona — Prawieśmy ją mieli.

Nikt się nie odezwał.

— Początkowo myślałem, że to wasza wina. Powinniśmy trzymać się ściśle tego, co było ustalone i na co wszyscy się zgodzili. A ustalone było tak wchodzę ja, natomiast pozostali z Puklerzy budują mi osłonę. Mając pewność, że nikt mi nie siedzi na karku przesiadam się na kolejne mobile i do samej fazy finalnej kontroluję sytuację. Ale z wami jak z dziećmi ustala się jedno, robi zaś co innego. Czyżbyście myśleli, że uda nam się spowodować sześcioraczki? — zakpił. — Pozbawieni osłony daliśmy się podejść jak nowicjusze i wyprzeć z Obiektu. Takim to sposobem znowu znaleźliśmy się w punkcie wyjścia, zajęci biadoleniem.

— Tyle roboty na marne — załkał Zeter.

— To Karkas zaczął! — nie wytrzymałem. — Dzierżyliśmy osłonę, póki on się nie wyłamał! A jak już zrobił przerwę w osłonie, poszliśmy w rozsypkę. Ogarnął nas jakiś amok — dodałem spokojniej.

— Przecież tłumaczyliśmy sobie tyle razy: wszyscy pracujemy na sukces jednego i przesuujemy się w kolejce zgodnie z chronologią dołączania do grupy. Gdyby się powiodło, byłbyś, Karkas, drugi w kolejności. To, co zrobiłeś, to nawet nie brak lojalności — to zdrada. Powiniennem cię zdegradować na ostatnie miejsce w hierarchii. Jeśli taka jest również wola pozostałych, nakazuję ci odejść. Nikt ci nie stanie na drodze.

— Zostaję — upierał się Karkas. — Coś mnie tu trzyma, nawet teraz.

— Niestety, skazuję cię na banicję. Nikt się za tobą nie ujął. Wynocha.

Przeglądaliśmy się smętnie, jak Karkas zbiera się z ociąganiem. Predefilował przed każdym z nas, jakby się zegnał, a potem zaczął odpływać aż zniknął.

— Cóż, musimy chyba wrócić do naszej narady o kolejności dołączania do grupy — kontynuował Harbina. Pamiętacie może, iż pojawił się tam wątek niedostosowania, nierozeznania własnych możliwości i własnego przeznaczenia. Innymi słowy ciągle bierzemy się za nie swoje powinności.

Zasępił się — Myśl ta nie przestaje mnie nurtować, bo coś jest na rzeczy, trajektorie naszego błędzenia pozostają kwestią drugorzędną. Dla kogoś, kto się zagubił i nie umie odnaleźć swej drogi, istotny jest sam fakt mylenia się, bo błędzenie jest wielką, permanentną pomyłką. To, gdzie się myłę, w jaki sposób, w jakich okolicznościach, posiada znaczenie marginalne.

— Sprowadza się to do nierozpoznania własnej tożsamości — zauważył Mehuman.

— Tak. Ciągłe nie wiemy, kim jesteśmy i co tu robimy. Dlatego nie wiem, czy dobrze uczyniłem wypędzając Karkasa. Wracając do owej feralnej nocy, właściwie powinienem mu podziękować, że tamci nas wykołegowali. Ich lider nie cieszył się długo wcieleniem, gdyż następnego dnia Shannon zażyła środek wczesnoporonny i płód został wyeksmitowany, ma się rozumieć razem z chwilowym zwycięzcą, zanim osiągnął fazę szesnastu komórek, a więc piorunem. Ale to sami wiecie najlepiej.

A jakże, wiedzieliśmy. Następnego dnia po orgiette w barze „Mnemo” Ania-Shannon rozmawiała z Jolly i z chłopakami, którzy ją przelecieli w nocy. Było trochę kontrowersji, połało się kilka łez, ale w końcu obie strony doszły do porozumienia. Oskarżenie o gwałt miało słabe podstawy, bo istniał dokument video, na którym zarejestrowano, że Shannon nie czyniła kolejnym fatygantom żadnych wstrętów, a przeciwnie, przyjmowała ich z entuzjazmem, miejscami jakby nadmiernym. Ponieważ obyło się bez konsekwencji, czy to w postaci ciąży, czy HIV-a, gdyż boys jak jeden przedstawili zaraz świeże certyfikaty zdrowia, postanowiono przejść nad incydem do porządku dziennego i spędzić winę na ową feralną tabletkę kanadyjską.

— Ostrzegałam cię przecież, że to nowy specyfik — przypomniała Jolly. — A w głowie cię przecież nie łupie.

— W głowie nie — skwitowała Shannon.

Sprawę ostatecznie załagodziła pewna suma, którą po krótkich targach zebrali winowajcy, oraz obietnica zorganizowania dla Shannon wyjazdu do pracy na Zachodzie w charakterze kelnerki. Wiedzieliśmy, jak się takie wyjazdy kończą tureckim burdelem w Niemczech albo w Holandii, ale ostatecznie cóż nas to obchodziło.

— Pozostaje kwestia dalszego postępowania. Moja propozycja jest taka trzeba się trzymać ustalonej strategii, która wydaje się najbardziej obiecująca. To znaczy kontrolować miejsca takie jak „Mnemo” i obiekty takie jak Shannon, które są w wieku rozrodczym i okresowo popadają w ruję, nazywana przez Tutejszych elegancko dniami płodnymi. Musimy staranniej wybierać okazje, bo Tutejsi mają bzika na punkcie antykoncepcji, a te ich środki wczesnoporonne to doprawdy istny horror. Sytuacja robi się coraz trudniejsza, bo napływają bez przerwy nowe ekipy z Afryki, gdzie AIDS i wojny koszą ludzi jak zboże, a w perspektywie mamy całe zastępy nowych dusz z wojny chińsko-syberyjskiej. Napływ nowych z tamtej strony przybrał już zauważalne rozmiary. No i nie zapominajmy, że Tutejsi po dawnemu abortują co najmniej tyle, ile jest urodzeń. Ponieważ liczba tych ostatnich ciągle spada, aborty zaczynają nawet dominować. Prawda jest taka, koledzy, że teatr działań zaczyna puchnąć od konkurentów, grozi nam bezrobocie, zaczynamy się dusić i kto zdoła się wcielić, ten może mówić o olbrzymim szczęściu. No, Birta, nie bądźże taki markotny!

Tym razem obradowaliśmy bez żadnej fizycznej osłony, bo kto by tam dybał na nasze marne życie. Gorzej już i tak być nie mogło. Dlatego kolejny sygnał, że ktoś się kręci w pobliżu, odebraliśmy z zaskoczeniem.

— Dwóch — wyczuł Mehuman — Jeden to Karkas.

— Szyk obronny — zakomenderował Harbona — Puklerze. Żądła na Maksa.

Nowo przybyły także miał włączony Puklerz, ale po nadaniu powitania zlikwidował go Karkas, który włókł się za nim, wyglądał jak ostatnie nieszczęście. Nie chciało mu się nawet postawić żądła.

— Nazywam się Kolazonta — oświadczył nowo przybyły. — Poszukiwałem was wytrwale i

cieszę się, że osiągnąłem cel. Chwila jest doprawdy ostatnia.

Czuliśmy dziewiętnastym zmysłem, że nie tylko ostatnia, ale i wyjątkowa. Ogarnął nas podniosły nastrój. Coś miało nastąpić. I to lada chwila.

Na wezwanie Harbony Kolazonta dołączył do szeregu, stanął z wyboru tuż obok Afa.

— A więc dokonano się — rzekł uroczyście Harbona — Karkas, do szeregu, nie damy sobie rady bez ciebie. — Odczekał w ciszy, aż Karkas, blady z wdzięczności, znajdzie się na swoim miejscu, po czym wypowiedział Słowo.

Przeistoczenie ogarnęło nas jak ogień. Rośliśmy w oczach — z nędznych półprzeźroczystych rozwiłitek, którymi z łatwością mogłyby pomiatać wichry tego świata, gdyby tutejsza materia nie była dla nas doskonale przenikalna, do postaci gigantów sięgających nieba, wznoszących się wyżej od najwyższych drzew. Już dotykaliśmy głowami chmur, już poczułem na twarzy ich wilgoć, co oznaczało, że i nasz status fizyczny radykalnie się odmienił i oto doznaliśmy prawdziwego Wcielenia — innym, niepojętym, dostępnym tylko dla wybrańców sposobem. Spoglądałem z dumą na braci gigantów oto Harbona Zagłada, Mehuman — Zamęt, Zeter — Obserwator Występku, oto Af — Gniew, i Kolazonta — Karciciel. Czterech aniołów zamętu i dwóch aniołów zagłady. Ja, Birta, Burzyciel Domów, byłem siódmy. Nawet Karkas — Kołaczący, teraz milczący olbrzym, pozbył się dawnej małostkowości i wyglądał równie straszliwie jak pozostali.

Płynęliśmy nad ziemią, głowami dotykając chmur, a nogi nasze wlokły się ponad kominami najwyższych budynków. Panowała noc, ale miało się ku świtaniu. Zaczepiłem nogą o dach jakiegoś domostwa na wzgórzu i dla płoczej rozrywki zerwałem go jednym ruchem, odrzucając dwa tysiące forsangów dalej. Przemieszczający się obok Af skwitował tę akcję śmiechem, który zahuczał w powietrzu jak grzmot. Spojrzałem za siebie; z pozbawionej dachu chałupy wychynęła właśnie czereda lamentujących ludzików, małych jak gronkowce. Śmiech Afa huczał nad nimi urągliwie; jego cielsko, wysokie na pięćset forsangów, wydawało się zbudowane ze słupów czarnego i czerwonego ognia.

Podążaliśmy na wschód, z grubsza w tym samym kierunku, w którym udawała się także panna Ludmiłka. Wschodzące słońce już nas witało swym krwawym obliczem.

styczeń 2001

Jacek Dukaj

Aguerre w świcie

1. Mord w Aguerre

Qumceyowiec klęka, przyciskając twarz do podłogi, prawe oko ginie w dywanie, spogląda na zwłoki lewym. Wielki zegar z żelaza, mahoniu i kryształu wybija w kącie pokoju dwudziestą siódmą. Lady Amiel na odgłos pierwszego uderzenia kryształowego serca upuszcza kielich z fioletowym spiere, zaraz jednak wino i odłamki szkła unoszą się z podłogi i wracają do nieposłusznej dłoni; to wchodzi Scylla. Błyskawicznie robi się też ciemniej. Albedo skóry xenotyka nie przekracza procenta. Scilla jest w białej koszuli i białych spodniach, boso. Nie ma włosów. Czarne stopy toną w dywanie. Spogląda na plecy quinceyowca i klęczącemu płaczą się myśli, podnosi się i mówi:

— Piękne.

— Proszę?

— Mord.

Lady Amiel odstawia zawrócony z czasu kielich i nalewa sobie do nowego. Wygląda przez okno, by nie patrzeć na ciało męża. Za miastem, na północnym horyzoncie, pod pierścieniem, trzeszczą poziome, czerwone błyskawice.

— Mijamy Śmierć Tataux — mamrocze w przestrzeń. Karmin kilometrowych piorunów odbija się w jej źrenicach krwawymi niteczkami. Zamyka oczy. Oddycha, oddycha, oddycha. Boże. Co ja teraz zrobię. W Iluzjonie już się pewnie gotuje Gabriel, niech cię szlag, na co ci był ten de Quincey. Kręci jej się w głowie, opiera się o barek. *Kreist*, jaka pustka. Mięśnie brzucha drżą w nie kończących się skurczach.

Nagle bardzo ciężka, musi się teraz opierać obiema rękami, odstawia więc kielich. To wszedł Aguerre.

— *Gritz*.

— *Gritz, frei*.

Podchodzi do niej.

— *Meigaud*, Carla, naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Nie miałem pojęcia. Ogłoszę *vendettę*.

— Nie trzeba.

— Chcę *Jiis* — Obejmuje ją, ściska za ramię. — Nie rozumiem.

Lady Amiel czuje, jak zapada się w ciało xenotyka. Stampa *Primusa OHX* zaburza gradienty grawitacji. Wdowa uwalnia się, z wysiłkiem unosi głowę i spogląda w twarz Aguerre. Maską współczucia. Z podocznych wybroczyn przebija ohydny fiolet gleju. Wolałaby już Aguerre tak jednolicie czarnego, jak Scilla, przynajmniej nie byłoby widać tego. Oni czasami pocą się glejem i mąż pozostaje na przedmiotach i osobach, które dotykali.

Aguerre kręci głową.

— Cokolwiek. Tylko powiedz.

Lady Amiel chyba nawet nie słyszy. Wykonuje błędny ruch dłonią.

— Muszę usiąść — mamrocze.

Wbiega krzesło. Aguerre wyciąga rękę i mebel wpada mu w nią, zakręcając w locie.

— Proszę.

Kobieta siada.

Okno otwiera się na oścież, zimne powietrze nieziemskiej nocy wpada do środka, wprawiając w drżenie płomień świec, mierzwiąc białe włosy wdowy, szeleszcząc papierami na regale. Porusza się także rękaw szaty lorda Amiel.

Scilla obchodzi jego zwłoki, bezgłośnie. Tam, gdzie spogląda, momentalnie robi się jaśniej, gdy wpatruje się dłużej w poderżnięte gardło mężczyzny na fotelu, rana rozjarza się do białości, wręcz kaleczącej oczy.

Quinceyowiec stoi w bezruchu. Patrzy, ucztuje. Na wysokości jego łokcia obraca się w powietrzu korona kurzu, spleciona w małym residuum oktomorficznym. Quinceyowiec czyni w zamyśleniu pół kroku w bok i syczy z bólu, gdy ręka trafia w mikro węzeł 4D.

— Znam go? — pyta wdowa przez ramię, ocucona odgłosem cierpienia.

— Aguerre — głowa w Iluzjonie — odpowiada.

— Chyba nie. Pokazać?.

— Dziękuję. Nie trzeba.

— Ucieka.

— Tak.

Aguerre ogląda się na Scyllę. Scilla Miaso OHX, numer 16 według sierpniowych notowań Luźnego, 356 7 oct, dwadzieścia dwa lata bezsenności, pies Aguerre. W takich sytuacjach słowa między nimi nie są potrzebne, ani w Glinie, ani w GRI. Pół spojrzenia, drżenie stamper, żyła gleju, to wystarcza Scilla kiwa głową, zakręca na pięcie, mija zgarbioną lady Amiel i wyskakuje przez okno z siedemdziesiątego piętra. Noc połyka czarno-białą postać bezdźwięcznie.

Aguerre masuje ramiona wdowy. W końcu coś się w niej przełamuje pod jego dotykiem i kobieta wydaje z siebie pierwszy krzyk rozpacz, na razie jeszcze bardziej szept, westchnienie — ale tak uwalnia się dusza.

Aguerre podnosi wzrok na quinceyowca. Spojrzenie xenotyka czują nawet nieprzytomni, teraz quinceyowiec wzdryga się pod nim, ogląda nerwowo i wychodzi.

Minuta ciszy. Zwłoki stygną. Nocny wiatr. Kobieta w rozpacz. Zapach gleju.

Aguerre czyta w iluzyjnej bibliotece konstytucję zabitego. Konstytucja w punkcie piątym cytuje pełny tekst Deklaracji Londyńskiej, włącznie z ortodoksyjną Zasadą Arté. Aguerre pyta bibliotekarza o indeks i ten wskazuje mu przypisy. Egzekucja Zasady wymaga ustalenia estetycznego statusu zabójstwa. Ponieważ Zasada zgadza się co do smutnego faktu, iż obiektywne piękno, choć istnieje, nie może zostać orzeczone po tej stronie śmierci — przybędzie tu dwunastu quinceyowców i oni wydadzą sąd. Informacja już pomknęła glejowodami, autotestament Gabriela się wykonuje.

Czyli morderca może jednak jeszcze podpaść pod lokalną jurysdykcję.

Aguerre, masując kark i barki wdowy, otwiera drzwi do Scilli i wchodzi przez Stróża do jego głowy.

— Złap mi tego artystę — myśli mu.

W Glinie, dwa pokoje dalej, nadal trwa bal z okazji piątej rocznicy zakupu planety, płynie muzyka i soczysty śmiech, ludzi oraz xenotyków.

2. Pies i Kameleon

Scilla Miaso wyskakuje przez okno, nogawki i bufoniaste rękawy furkoczą w chłodnym powietrzu, biel rozedrgana ponad sprawność ludzkiego oka, gdy tak spada w morderczym pędzie, siedemdziesiąte, sześćdziesiąte, pięćdziesiąte piętro, błyskawicznie ciemnieją i jaśnieją mijane w locie gargulce, płaskorzeźby, wielokolorowe okna, płaszczyzny lśniącego żywokrystu zazębiające się na ścianie Aguerre Tower w Penrose'owe mozaiki.

W okolicy czterdziestej kondygnacji xenotyk zaciska przestrzeń nad głową, szybko przesuając punkt zapaści wzwyż i wzmacniając węzeł, aż studnia grawitacyjna zakleszczona zostaje dwieście metrów ponad ziemią, w środku ulicznego kanionu między Aguerre Tower a Zamkiem Zakonu. Z początku studnia musi być głęboka, by wyhamować upadek Scylli: zanim Miaso się zatrzymuje, a potem wznosi do lokalnego pseudo-Lagrange'a (osiemdziesiąte drugie piętro) od Wieży i Zamku odpada kilka słabszych fragmentów zewnętrznych dekoracji, z narożnego tarasu Zamku wyrwane zostają też cztery wielkie sztandary OHX, gigantyczne płachty złego fioletu z nakreślonymi na każdej z nich trzema srebrnymi literami — spadają w węzeł, oplatają się wokół niego, długie drzewca wystają z kłębowiska pod dzikimi kątami, jedno się łamie. Kolczaste fioletowe słońce nad głową xenotyka.

Scilla, zawieszony w punkcie nieważkości, przygląda się Aguerre City, astygmatycznie, bo zarazem w Glinie i w Iluzjonie. W Glinie miasto błyszczy blaskiem podwójnie odbitym — jest noc (zawsze jest noc), słońce pod horyzontem, lecz złotoniebieski pierścień planety dostarcza wystarczająco dużo światła, by żywokrystna metropolia jaśniała na tle starego, wulkanicznego płaskowyżu, niczym diament na żużlu. Diament jest sześcioboczny, przy czym fasety przednia i tylna (należy bowiem orientować go na płaszczyźnie) są nieproporcjonalnie wydłużone przez identyczne odbicia transferowanej dzielnicy. Aktualnie transferuje się Dystrykt Handlowy, rosną przed miastem szpiczaste Trojaczki Goose'a, jeszcze nie upadłe po przeciwnej jego stronie, a już lśnią kryształowym żywokrystem w awangardzie Aguerre City, przez Dzielnicą Kabalistów. Ponieważ centrum oraz osie miasta nieustannie się przesuwiają — i to w różnych kierunkach, jako że zmienny jest kierunek Przemieszczenia się metropolii — wzór jej ulic z konieczności posiada strukturę fraktalową, zawsze z paroma ogniskami do których dojdiesz z każdego punktu, stosując się do jednego i tego samego algorytmu wędrówki. Ognisko, najbliższe geometrycznemu środkowi Miasta Chaosu, zwą Wielkim Traktorem. Aguerre Tower i Zamek OHX zostały przekopiwane ponad dwa tygodnie temu i Scilla, wisząc tak między nimi i patrząc ku frontowi metropolii, ma przed sobą cztery atraktory, osiemdziesiąt procent Aguerre City, a dalej — czarną równinę pociętą płytkimi wąwozami, wschód pierścienia ogromną kopułę gwiazd, nawet po stronie dnia nigdy do końca nie blaknących.

W Aguerre mieszka zaledwie czterysta tysięcy ludzi, zważywszy na porę, nie należałoby się spodziewać wielkiego ruchu, lecz jako że trwa święto — dachy i tarasy, powietrzne kawiarnie i dancingi są wypełnione. Pograżone w niemal pełnym mroku chodniki naziemne służą wyłącznie bezludnemu transportowi automatycznemu, w tym nieustającej żywokrystnej perystaltyce wędrownego miasta, a ze zgodnie z zarządzeniem burmistrza zabroniony jest ponad AC transport powietrzny — wróciła tu do łask zapomniana sztuka spaceru, Aguerre City jest wystarczająco małe.

Od swych narodzin poddane konwencji architektury trójwymiarowej — gdzie żaden z kierunków nie jest dyskryminowany z uwagi na wektor grawitacji i niedoskonałość technologi materiałowych — miasto wykształciło tradycję podróży po ścieżkach łączących dowolne dwa punkty znajdujące się pod jego dyfuzyjną półsferą powietrzną. Węższe i szersze ścieżki z najszybszego, czarnego, wysokoenergetycznego żywokrystu rosną pomiędzy budynkami ze średnią prędkością 3 km/h, jeszcze szybciej kruszą się potem do piezoelektrycznej sadzy. Fazę aktywności miasta można osądzić po jednym rzucie oka jak gęsta jest sieć dróg powietrznych. Dłuższe spojrzenie pozwala na precyzyjniejszą ocenę punkty zagęszczeń, zbiegów opadających i wznoszących się alejek, wskazują — niczym w strukturze zmarzliny, w schemacie polimeru — centra krystalizacji, miejsca, gdzie najmocniej bije puls miasta. Teraz nie ma wątpliwości, iż uwaga metropolii skupia się na Aguerre Tower: żywokrystny ziggurat otacza ciasna rozgwiazda czarnych wstęg, niektóre jeszcze rosną, niektóre już się rozpadają, i to przeważnie poczynając od końców odleglejszych od wieży — to znak, iż wciąż więcej gości przybywa, niż opuszcza komnaty planetodzierzcy. Sieć owa jest w tej okolicy tak gęsta, że należy uznać za cud, iż nagłe wybicie przez Miaso grawitacyjnej dziury nie naruszyło konstrukcji żadnej z alejek. Jedną ma pod sobą, jedną po lewej, jedna na poziomie fioletowego słońca — ta prowadzi od Strażnicy, najwyższego budynku miasta, opadając ku balkonowi sześćdziesiątego drugiego piętra Aguerre Tower (jeszcze don nie dorosła) Mężczyzna w białym garniturze i kobieta w granatowej sukni z odsłoniętymi piersiami przystanęli na mej, oparli się o poręcz, spoglądają na Scillę, kobieta unosi ku niemu w niemym toaście asymetryczny kielich–konchę. Miaso ich ignoruje — jest już w Iluzjonie.

W Iluzjonie/Open/Aguerre00 panuje tłok czterokrotnie większy. Na obchody rocznicy przybyło ponad milion gości, głównie z Ziemi, lecz także nieproporcjonalnie wiele z kolonii. Zaproszeni są bowiem w większości (w ten czy inny sposób) powiązani z ICEO lub wręcz z OHX. Teraz tłoczą się na widokowych instalacjach miasta, kaskadowych tarasach, żywokrystnych drózkach powietrznych, glinnych i iluzyjnych. Dla gości iluzyjnych lewitujący xenotyk stanowi większą atrakcję troje stojących na alejce za parą w wieczorowych strojach wskazuje Scillę palcami, kobieta z kielichem tłumaczy im coś przez ramię. Miaso nie zwraca na to uwagi, jest już w Iluzjonie/Open/Aguerre00/Personal/Track07. Ściągnięte przez Stróża nagranie sprzed kilkunastu minut nakłada się na obraz czasu rzeczywistego. Morderca wyskakuje przez okno z Aguerre Tower — ale nie jest xenotykiem i sztuka. Rzeźby czasoprzestrzeni jest mu obca, więc i jego strategia inna wyskoczył, obrócił się w locie, przywarł do ściany, wisi na palcach. Miaso przygląda mu się z uwagą. Mężczyzna jest wysoki, szczupły, ma długie ręce i długie nogi, czarne włosy splecione w warkocz, twarzy nie widać, przyciśnięta do muru. Jasnoszary garnitur marszczy się i zwija — na kolanach, na ramionach, w pasie. Morderca szybko strąca ze stop skórzane mokasyny — lecą w przepaść. Nogi wyszukują punkty podparcia. Nie ma skarpet i teraz widać, co się dzieje z jego palcami wydłużają się, wykrzywiają, grubieją. Scilla mierzy tempo metamorfozy: rząd sekund. Tak brutalna RNAdycja wymaga gęstej sieci nanowodów energochłonnych na poziomie komórkowym, potężnych zapasów szybkich analogów ATP Zabójca musi być ciężko znanocyborgizowany.

Budzi się w Scilli nagle pragnienie: złapię tego artystę dla Aguerre.

— To Kameleon — odpowiada swemu suwerenowi.

Kameleon, metamorficzny asasyn, zakończył już optymalizację fenotypu (genotyp optymalizuje błyskawicznie) i teraz schodzi po elewacji wieży w tempie kondygnacji na sekundę. Miaso przesuwając sobie spektrum odbieranych fal elektromagnetycznych w lewo: widzi pozostawianą przez Kameleona smugę ciepłego powietrza, gorączkę jego ciała. Temperatura organizmu asasyna utrzymuje się tuż pod progiem denaturacji białka.

Na pięćdziesiątym drugim piętrze Kameleon skręca ku balkonowi, odwraca się i skacze w przepaść — znajdowała się tam żywokrystna ścieżka, której teraz już nie ma. Miaso wywołuje ją w Iluzjonie. Kameleon biegnie po niej stałym rytmem niezmordowanego sprintera, na ciągłym długu tlenowym, w biegu od nowa się RNAdytując, błękitny termowarkocz za nim.

Oczywiście, gdyby Scilla chciał prześledzić poczynania mordercy lorda Amiel w skali czasowej 1:1, nigdy by go nie dopadł — zawsze o ten kwadrans w tyle. Toteż przyspiesza projekcję do 1:4, 1:10, 1:20. Dojdzie go w minutę. Miaso odpala NavigatoraXG i rozpoczyna się pościg — Pies i Kameleon w Mieście Chaosu, pod zimnymi gwiazdami.

Raz, dwa, trzy, co krok, to nowa rzeźba czasoprzestrzeni. To już są szybkości i precyzje niedosiężne dla nągich umysłów, nawet jeśli xenogenetycznych, milisekundy, milimetry, ugięcia pola grawitacyjnego co do 0 00001 g — a i tak niechlujne i pospieszne w porównaniu z Rzeźbą wielkoskalową, chlebem codziennym bezsennych. Tutaj to zaiste spacer. Raz, dwa, trzy, co krok, to kilkadziesiąt metrów, po wysokich łukach, między płataniną czarnych ścieżek, przez zawieszony w nocnym powietrzu tłum, gliny i iluzyjny, przez światła, muzykę i śmiech, w furkocie białej tkaniny, w obłoku cienia, zawsze spadając, zawsze „w dół”, ku kolejnemu węzłowi, też zaraz się rozwiązującemu — i tak od studni do studni, czarny Pies w siedmiomilowych butach. A gdzie spojrzy, tam ogień, a gdzie przejdzie — po niewidzialnych mostach nocy, setkę metrów nad ziemią — tam nagle wszystko nieważkie: mijani zbyt blisko glinni goście łapią się poręczy, kolorowe trunki uciekają z poruszonych przez nich naczyń, ich ubiory marszczą się w przeciwnych zamierzonym kierunkach. Raz, dwa, trzy, za duchem Kamelona przez kolorowe Aguerre City. Dopada go na placu Wielkiego Traktora.

I bynajmniej żadnych tu bojów, żadnych zmaganiań efektownych, pompatycznego *mano a mano* Kameleon jest w stanie wyRNAdytować sobie gruczoły produkujące najzłośliwsze zarazy, jady ultratoksyczne, nie musi dotknąć, by zabić, lecz Scilla to przecież xenotyp, glej w jego żyłach, glej w jego genach by zabić, nie musi nawet znajdować się na tej samej planecie.

Odpala ze wszczepki jedną z wersji Cage’a, szybkie makro NavigatoraXG. Kameleon przecina właśnie rondo, przeskakuje powolne gąsienice transportowego żywokrystu — i po kolejnym skoku po prostu zawisa w powietrzu. NavigatorXG odpowiednio zmniejsza moc zafiksowanego przez Cage’a węzła, który zniwelował pęd mężczyzny, i teraz znajduje się on w punkcie zerowego bilansu grawitacyjnego, subtelna Rzeźba dookoła więzi go w ciasnym bąblu nieważkości. Z tej klatki nie ma ucieczki nawet nagły odrzut go nie uratuje, NavigatorXG natychmiast zoptymalizuje Rzeźbę, wszelki ruch będzie ruchem pozornym.

Miaso opuszcza Iluzjon i spada na bezludny Wielki Atraktor Gliny. Zatrzymuje się kilkanaście metrów od Kameleona, trochę wyżej od pochwyconego. Asasyn obrócił się w powietrzu, spogląda na czarnoskórego xenotypa wielkimi oczyma barwy miodu. On na Scillę, a Scilla patrzy na Kameleona — powoli rośnie dookoła zabójcy aureola złotego blasku. Kameleon dyszy głośno przez wpółotwarte usta, gęsta ślina ścieka mu na brodę. Nie opuszcza wzroku. Wydawałoby się, że powinni sobie coś teraz powiedzieć, wytłumaczyć, zapytać, przekląć, ale żaden nie mówi nic.

Scilla przechyla głowę. Klatka zaczyna się wznosić. Zabójca podciąga kolana pod brodę, kuli się do pozycji fetalnej. Miaso przeczuwa jakąś potężną RNAdycję, lecz nie jest w stanie jej zapobiec — więc tylko gotuje makro sejf atmosferyczny, ClosedCircuit.

Szybują w ciszy.

Pół minuty później, gdy zbliżają się ponad AC do Zamku, Kameleon płonie już w podczerwieni błękitną zagwią. Gdy zaś lądują na górnym tarasie, ów sekretny nowotwór dociera do jego skóry i martwy asasyn na oczach Scilli Miaso rozpada się, rozplywa w kupę gorącego djenajowego błota.

3. Jak wdowa

Co dziwne, potem zasnęła. Spała długo i chyba nawet śniła, na pewno śniła, wszak wyrzuciło ją na jawę z taką siłą, że prawie spadła z łóżka — ale co właściwie? Nie przypomni sobie.

Stoi teraz oparta o futrynę drzwi balkonowych, zakutana ściśle w jedwabne kimono, Aguerre City lśni przed nią siedmioma barwami nocy, Śmierć Tataux grzmi i błyska, świeci pierścien, na ścieżce dwa piętra niżej tańczy zakochana para Carla Paige stoi i liczy lata. Ile przed Gabrielem, ile z Gabrielem ile po nim. I co przeważa. Nie jest smutna, nie rozpacza, nie oplakuje — jest spokojna, nadszedł dla niej czas arytmetyki.

Ktoś puka. Carla wchodzi do Iluzjonu/Personal i ogląda się na drzwi. Rozpuszczają się pod jej spojrzeniem w rzadką mgłę: to Frederick Aguerre. Wpuszcza go.

— Wstałaś. Muszę z tobą porozmawiać.

Ona kiwa głową niepewnie — przytakując? zapraszając? okazując rezygnację? Zaraz odwraca się z powrotem ku miastu. Widok wielkich przestrzeni wywołuje u niej dreszcze, podświadomie buduje wrażenie zimna, więc tym mocniej obejmuje się ramionami, ściślej zamyka szatę.

Aguerre — już w bardziej swobodnym stroju szarych lnianych spodniach o szerokich nogawkach, niedopiętym kaftanie OHX (fioletowa satyna przesywana srebrem, czarne mankiety) — podchodzi do niej, nachyla się. Znowu sam nie musi jej dotykać, stampa przyciąga ją i tak, Carla ciąży ku xenotykowi, odchyła się od futryny, traci równowagę. W ostatniej chwili odwraca się i z wysiłkiem odstępkuje wstecz. Przelotny gniew na jej twarzy.

— Chodź, przejdziemy się — mówi szybko Aguerre. Wychodzi na balkon, w Iluzjonie/Edit/Aguerre03 zamawia ścieżkę. Czarny jęzor wyrasta mu spod stop wprost w przepaść. W półobrocie burmistrz wyciąga zapraszająco rękę ku lady Amiel.

Spacerują pod gwiazdami. Ścieżka szybko wybiła wzwyż, meandrują po niebie ponad dachami Aguerre City. Najmocniejszy teraz jest cień nie od pierścienia, lecz od Śmierci Tataux — stroboskopowe światło, stroboskopowa ciemność.

Stampa w końcu, rzecz jasna, zwyciężyła i wędrują bok w bok, Aguerre obejmuje Carlę długim ramieniem, ona zapada się w niego, kryje twarz w miękkim fiolecie — barwie gleju.

— Gdybyś popłynął z nami do Sardynii — odzywa się po raz pierwszy.

Aguerre mruga szybko. Gdybym popłynął z mmi do Sardynii. Moj Boże, czyż i ja nie śniłem o takich niemożliwościach? Przekleństwo wyborów dokonanych. Dwadzieścia trzy lata, ona miała wówczas niecałe dwadzieścia. Duszny koniec sierpnia, Adriatyk, wesele w jakiejś wiosce, bodajże córka wójta wychodziła za męża. Głośna muzyka zwabiła turystów. Przemieszciliśmy się, pośród tańczących tubylców, w chybocie świateł kolorowych żarówek, w zapachu potu, alkoholu i morza, tak bliskiego przecież — wystarczyło spojrzeć ponad murkiem ogrodu gospody, Księżyc ślizgał się po ciemnych falach — Fred, Carla, poznajcie się. — Kto nas sobie przedstawił? Tego akurat nie pamiętam. Pierwszy taniec i potem wszystkie inne, przez sześć godzin do świtu. Najśmieszniejsze jest to, że nawet jej nie pocałowałem, także słowa były niewinne, jeśli w ogóle jakieś były, bo we wspomnieniu nie rozmawiamy, tylko tańczymy, coraz wolniej, coraz bliżej, patrząc sobie w oczy i

uśmiechając się, lekko, najlżej, tym podświadomym skurczem warg, bardziej do swoich myśli, aniżeli do drugiej osoby, w milczeniu. Była w biało-błękitnej bawełnianej sukience do kolan, na wąskich ramiączkach, przepocony materiał przylgnał jej do pleców, tym bardziej, że przyciskała go moja dłoń. Nie miała stanika. Przesuwałem kciuk cał w górę, cał w dół, po linii jej kręgosłupa. Tyle. Wszystko było w spojrzeniu. Musiałem być pijany w tym potrząśnięciu głową, którym odrzucała wstecz długie blond włosy (wówczas nosiła długie), widziałem przyszłą grację ruchów naszych jeszcze nie poczętych córek. Zapadała mi się w pierś, już wtedy (są stamperki glejowe i są stamperki psychologiczne, które potężniejsze!) Ale zaraz musiała się odrywać, by ponownie zajrzeć mi w twarz, albo ja ją odchylałem. Cały czas utrzymywałem się w tym przyjemnym stanie ćwiercerekcji, na granicy fizycznych pożądań. Przez materiał sukienki oraz koszuli czułem nacisk jej brodawek. Zanurzeni byliśmy nawzajem w swych aurach, aż po podświadomą harmonię ruchów. I spojrzenie, i ten uśmiech. Bolały mnie nogi, ją zapewne też. Kiedy usiedliśmy i opróżniliśmy szklanice miejscowego wina, słodkiego i kwaśnego zarazem, powiedziała: — Wypływamy pojutrze z przyjaciółmi do Sardynii, na trzy tygodnie, znajdzie się miejsce. — Jak tylko zrobię test na zgodność, mam już opłacony, we wtorek. — Okay — odparła i uśmiechnęła się do Księżyca. Dolałem jej wina. Chłodny wiatr osuszał skórę. Była zbyt piękna, balon euforii rozsadał mi klatkę piersiową. Uścisk jej dłoni, i jak we wnętrzu mojej kuliły się jej palce. Nigdy nie popłynąłem do Sardynii. Szansa niczym jeden do kilkuset milionów a jednak w czwartek miałem już Stróża, w piątek zasnąłem ostatni raz, w niedzielę byłem xenotykiem. Dwadzieścia sześć lat temu *Kreist*, gdybym popłynął!

— Musimy porozmawiać. O Gabrieli.

Carla nie odpowiada. Zatrzymują się, ale ścieżka rośnie dalej, kreśląc ponad miastem randomiczną krzywą.

Aguerre siada, opierając się plecami o balustradę, stamperka grawitacyjna pociąga kobietę za nim — stamperka oczywiście sama z siebie nie jest na tyle silna, by powodować pozostającym w równowadze ciałem człowieka, lecz Carla znajduje się obecnie w takiej otchłani bez woli, że najslabsze nawet pchnięcie, o ile umiejętnie przyłożone, ciśnie ją ku czynom najstraszliwszym, usiąść na chwilę ponad stolicą xenotyków u boku alternatywnej miłości swego życia takie rzeczy nie sięgają nawet powierzchni jej myśli.

— To nie był quinceyowiec. Ten morderca. To znaczy orzeczenie Sądu Estetycznego wypadło na jego korzyść, zabił go zgodnie z ich kanonami piękna, ale tak naprawdę to był Kameleon.

Zerka na nią, by się zorientować, czy Carla rozpoznaje termin — ale wygląda, że ona w ogóle nie poświęca mu uwagi z dłonią płasko przyciśniętą do karbonowej powierzchni alejki, głową przechyloną, nasłuchuje dźwięków zza kurtyny ciszy.

— Słyszysz? — pyta szeptem. — Ten szum.

Aguerre nakrywa jej dłoń swoją dłonią, większą, przeciętą dwiema żyłami gleju, drobne krople gęstego fioletu wypacają się na owłosionej skórze.

— To wewnętrzne Artérie żywokrystu — tłumaczy jej powoli. — W każdej rosnącej jeszcze ścieżce wyczujesz to drżenie. Nawet najgorętszy żywokryst nie podola krzywej energetycznej dla przyrostu masy w takim tempie transportuje się wewnętrznymi kanałami moduły makrocząsteczkowe, płynne masy rekonfiguracyjne. To słyszysz, to czujesz. Jak rośnie. O Kameleonach coś wiesz?

— Tak. Chyba tak.

— Ktoś to zlecił. Wysokie sfery. Polityka, a wbrew pozorom nie ma tak wielu powodów dla mordy politycznego. W dzisiejszych czasach, po prawdzie, nie ma już chyba żadnych. A jednak to musiało przejść przez oficjalne struktury rządowe. Któreś z mocarstw. To jest ten poziom technologii. Słuchasz mnie?

— Mam czterdzieści pięć lat.

— Tak.

— Jedna trzecia życia. Dwie trzecie, jeśli nie liczyć ewidentnej starości. Na cholere mu był de Quincey?

— Nie masz racji, ta furka w konstytucji Gabriela to był tylko szczęśliwy bonus dla wykonawcy, skoro posłali aż kameleona, zabiliby go i tak. Opowiedz mi.

— Co?

— Opowiedz, czym on się ostatnio zajmował. Z kim kontaktował. Jakies konflikty. Kontrakty. Groźby może. Cokolwiek.

— A co powiedział Kameleon? Zatrzymał go przecież Prawda?

— Kameleon nic nie powiedział Miał zawieszono go execa autoletalnego, sperwertował się nam momentalnie do rakowatej zgnilizny.

— Ach.

Zaciska palce na dłoni Carli.

— Opowiedz.

Kobieta podciąga kolana, opiera o nie brode. Wiatr zsuwa połę szlafroka z jej ud, ta sama gładkość jedwabiu. Aguerre odruchowo poprawia materiał.

— Jak się czujesz? — pyta cicho.

Carla po raz pierwszy podnosi na niego wzrok. Wszystko jest w spojrzeniu.

4. Iluzjon/ Open/Venice00

W Wenecji pada deszcz, gołębie się gdzieś skryły. Na Piazza San Marco glinna staruszka walczy z glinnym pudełkiem na długiej smyczy. Aguerre przeskakuje ponad smyczą — choć nie musi. Staruszka go nie widzi, zamknięta w *CLay, Corpo real Layer (of Realisty)*. Widzą go za to bodaj wszyscy goście i obsługa glinnej restauracji, niegdyś kawiarenki Byrona i Balzaca, do której Aguerre wchodzi, fioletowy kaftan skrzy się pod ich astygmatycznymi spojrzeniami.

Yesada Ori OHX (ledwo dwa lata bezsenności, numer 603 u Luźnego) wstaje na powitanie. Aguerre, jak nakazuje etykieta Zakonu — Aguerre czuje, że Yesada wstałaby i tak, z czystego, szczerzego szacunku. Ta dwudziestoletnia xenotyczka, oryginalnie na genach hinduskich i japońskich fenotypuje się Postacią tak młodej, drobnej, filigranowej wręcz dziewczyny, że Frederick w bezpośredniej jej obecności — glinnej czy iluzyjnej, bez znaczenia — mimowolnie zapada się w formy paternalistyczne, a ona odpowiada mu symetrycznym odbiciem. Bardzo długie kruczoczarne włosy, skóra jak miód. Technologia poszła przez ten czas znacznie do przodu, syzygie z ostatnich lat są już prawie bezbłędne żadnych zewnętrznych skaz glejowych, wybroczyn fioletu.

Yesada uśmiecha się, kłaniając. Zawsze jakoś instynktownie budzi w nim sympatię. Pamięta, jak składała przysięgę, cały rytuał na sztywnej edycji — tak była przerażona. Jej rodzice, dziadkowie, pradziadkowie — od świtu w błocie pół ryżowych, gdyby nie Karta Bostońska, nigdy nie opuściłaby swojej wioski.

— *Gritz.*

— *Gritz.*

Siadają. Podchodzi kelner, podaje menu, zapala świece. Fiolet odświętnego kaftana Yesady lśni mokro, w Glinie i na planecie xenotyk zobowiązany jest ściśle stosować się do kodu Zakodu, także w ubiorze. Iluzyjny Aguerre właściwie mógłby wystąpić po cywilnemu. Ale z kolei jemu, który jednak jest *Primus Inter pares Ordo Homo Xenogenesis*, nie bardzo wypada. Tak więc siedzą naprzeciw siebie fiolet i srebro, subtelne piękno i toporna szpetota, *CLay* i *GRI* — mały paradoks ontologiczny pod dachem „Caffe Florian”.

Przyniesiono zamówione przez nich potrawy, jedzą teraz sen i materię. Bardzo to niegrzecznie spotykać się z glinnymi w publicznych miejscach, w zamkniętych hierarchiach Iluzjonu nie należy dodatkowo porcjować rzeczywistości, inaczej wszyscy skończymy jako technoautyści, spacerujący z jednakowo szeroko rozwartymi oczyma przez zimne burze i gorące noce, i rozmawiający z duchami. A tak przynajmniej wszyscy widzą te same duchy i kiedy Aguerre konwersuje przyjaźnie z małą Yesadą ponad truflami i lasagnią, cała restauracja obserwuje każdy gest i każdą minę pary xenotyków, restauracja i kilkanaście jej odbić z niższych szczebli hierarchii Iluzjonu, to popularny lokal. Nalegała na publiczne miejsce spotkania.

Aguerre nie bardzo się to podoba, ale oczywiście nie może — na razie — spytać ją o powód, nie tutaj. Chociaż w istocie doskonale go zna — lecz i tak ciekaw jest odpowiedzi Yesady. W sumie niewiele wie o młodej xenotyczce, ale na tyle zdążył ją poznać zbyt jest nieśmiała, by umiejętnie kłamać.

Rozmawiają zatem o rzeczach neutralnych: powodzi w Ameryce Południowej, Trzeciej Wojnie o Tajwan, antymonopolistycznym truście kontr-ICEO, ostatnim *software* do Stróży, książce Droppa, nowego guru ultrakonwergencjonalistów, manifeście *frei* Ivana Petra, dyżurnego kontestatora OHX, także o pogodzie giełdowej. Trzy lata temu sto dolarów to był dla Yesady majątek z marzeń — dziś przelewa między spekulacyjnymi rachunkami sto milionów. A jest jednym z najbiedniejszych xenotyków. Czy jednak można zapomnieć o własnym dzieciństwie? Aguerre obserwuje ją dyskretnie podczas posiłku, okazując bezinteresowną sympatię. Tak, w końcu zapomnisz, ale ono nadal pozostanie w tobie, w odruchach najpierwotniejszych, w podświadomości, w snach, w gustach, nie podlegających logicznej argumentacji. Dojmujące poczucie nieadekwatności, cichy lęk przed sprawiedliwą zemstą bogów i wielka radość z rzeczy najmniejszych, kompleks niższości. Lub właśnie na odwrót kompleks wyższości, pewność wyniesienia. Oszczędny, dyskretny sposób, w jaki Yesada kroi i spożywa swoją pieczeń (w „Caffe Florian” każde mięso na oryginalnych genach!), wywołuje z jakiegoś powodu w Aguerre lekki wstyd. *Frei* On zdecydowanie bliższa jest pierwszej ścieżce. Paradoksalnie, może to jednak oznaczać, iż tym trudniej przyjdzie Frederickowi nagiąć ją do swojej woli.

— To wino naprawdę takie dobre?

— O, tak.

— W każdym razie przykładają się tu do aplikacji iluzyjnych. Mhmm.

Potem wychodzą na spacer po nocnej Wenecji. Przestało padać, kamienie błyszczą rybno od świeżej deszczówki. Ująłby Yesadę pod ramię, gdyby nie była o tyle odeń niższa.

Piazza San Marco wygląda niczym jezioro oleju w koronie świateł, trapez cienistych arkad dookoła, z Palazzo Ducale wybiegają rozchichotane nastolatki, na gorzejącej tarczy zegara Torre dell Orologio dziewięta czterdzieści. Robi się chłodniej, Yesada naciąga na dłonie purpurowe rękawiczki.

Aguerre tylko potrzebował sygnału. Nakłada na transfer pieczęć krypto ich Stróży. W hierarchiach otwartych będą odtąd oboje, Frederick i Yesada bełkotać bezsensowne sylabizacje, w przypadkowych układach warg i wibracjach krtani.

— Słyszałaś o Gabrielu Paige?

Nawet nie unosi na niego wzroku.

— Tak, *frei*.

— A co konkretnie?

— Sporo o tym w mediach. Mord na szlachcicu w święto xenotyków, w Aguerre City. Głośno było, głośno jest Odżyli quinceyowcy. Trzeci w historii pozytywny werdykt Sądu Arté. Znowu się podniosą rewizje prawne osobistych konstytucji.

Zbyt wiele mówi, zbyt szybko. I nie patrzy na niego, patrzy przed siebie. Ręce założone na piersi, czerwone rękawiczki pod pachami. Ikona skrywanego lęku.

Aguerre ścisza lekko jej ramię.

— Yesada — mówi cicho. — Przecież ja wiem.

Przez chwilę idą spokojnie. Pozwala mu utrzymać uchwyt. Patrzy pod stopy, omija kałuże. Po nich można poznać iluzyjną naturę Aguerre: nie istnieją komplementarne aplikacje symulacyjne dla stamp xenotycznych.

— W rejestrach Zakonu tego nie ma — odzywa się wreszcie Ori.

— Nie.

— Przelewy szły z przysięgi, na krypto Stróża Podawałam tylko regulaminowe dane. Malareth to spółka wirtualna.

— Wiem, sprawdzałem podstawiony prezes zarządu i tak dalej.

— Więc skąd?

— Zwierzał się żonie.

Yesada wypuszcza z płuc powietrze — obłoczek oddechu przed twarzą, skroplone westchnienie.

— Ach tak.

— Taak.

Przystają na moście ponad kanałem. Dwie, potem trzy, wreszcie cztery gondole zderzają się pod nimi, burta w burte, fala od motorówki spycha je na kolejne łodzie. Stampa *frei* Ori jest łagodniejsza i nie tak oczywista, jak xenotyków starszych generacji, zaburza dookolną probabilistykę.

— Dokąd lataliście?

To ją podrywa. Prostuje się, spogląda na Aguerre szeroko otwartymi oczyma, a oczy ma ciemnobrązowe, bardzo duże, prawie bez fałd mongoidalnych. Gdy nie mruga — dziecinne zdumienie na gładkoskórej twarzy.

— Z tego się jej nie zwierzał?

— Najwyraźniej nie.

— Cóż.

— Dokąd?

— *Frei* Aguerre!

— Oburzona?

— Przysięgałam...

— Alę to nie jest prawo, to zaledwie obyczaj Yesada w końcu mruga (może coś wpadło jej do oka).

— Nie mogę uwierzyć, że to mówisz. Ty.

— A któż wie lepiej ode mnie? — Z powrotem ujmuje ją za ramię, sprowadza na nabrzeżny trotuar. Zawracają ku Piazza San Marco. — Opowiem ci, jak to naprawdę było. Po syzygii pierwszego tuzina złożyliśmy grupowy pozew. Wtedy patent xenogenezy posiadały tylko CasLabs NASA. Nie udało im się uciec poza jurysdykcję sądów miejscowych. Wygraliśmy i postawiliśmy warunki. Wówczas już wszyscy szukali na gwałt nowych kandydatów, żeby złamać nasz monopol. „Nasz” — bo od początku stanowiliśmy grupę. Wtedy też Stiepanow wyciągnął kopyta i okazało się, co znaczy śmierć xenotyka. Wymusili ściślejszy nadzór Stróży, zdołaliśmy wywalczyć tylko niepodległe krypto. Już było jasne, że istnieje i, co gorsza, pogłębia się ostra opozycja „nas” do reszty ludzkości. Musieli coś z tym zrobić, zbyt wiele zależało od xenotyków, byliśmy zbyt cenni, ale zarazem zbyt groźni. Bezpośrednia kontrola, środki represji i tym podobne sposoby nie wchodziły w grę, nie tylko z racji ich niepraktyczności, lecz przede wszystkim, aby nie odstraszać kolejnych kandydatów. To było zresztą już po kilkudziesięciu grubych umowach z prywatnymi konsorcjami i dysponowaliśmy małymi fortunami na batalie prawne i lobbying; tak czy owak nie daliby nam rady. Więc co zrobili? Wynajęli inżynierów memetycznych. Ci skonstruowali optymalny mit. *Ordo Homo Xenogenesis*. Jednocześnie wywyższający nas i ukorzeniający etos służby. Struktura hierarchiczna, etyka i estetyka wzorowane na organizacjach religijnych. Symbolika bezpośrednio wywiedziona z cechy wyróżniającej, piękno z brzydoty, nie wstydzicie się, a szczyścić. Stąd glej na sztandarach, glej na ubiorach. — Przesuwa dłonią po fioletowym kaftanie. — Także reguła Zakonu, i przysięgi poufności. To jest nic innego, jak system zabezpieczający, Yesada. Nagroda i kajdany. Na tym polega prawdziwa potęga inżynierii memetycznej: jesteś świadoma manipulacji, a mimo to ulegasz, wiedza nie chroni przed urzeczeniem irracjonalnym. Więc taka jest prawda. To wszystko sztuczne, *frei*.

Przed nimi Basilica San Marco. Wchodzą w półmrok kościoła, ale zaraz zatrzymują się w sieni,

nawy nie są objęte sieciami Iluzjonu.

— Co znaczy: sztuczne? — pyta Yesada. — Prawdziwe. — Obraca się ku odległemu ołtarzowi. — Kto może stwierdzić z całą pewnością, jaki był początek tego?

Aguerre źle się czuje w sytuacjach tak patetycznych, z chęcią uciekłby w ironię, cynizm, prześmiewcze aforyzmy człowieka, który wszystko to już dawno temu przemyślał, przeżył i wypluł, ale ten lekki wstyd–niewstyd wobec Yesady, tak młodej, tak szczerej, wciąż go kłuje i łapie się Frederick na cichej zazdrości. Czego zazdrości xenotyczne? Naiwności?

— Honor zatem — mruczy. — Czy ja namawiam cię tu do zdrady?

Yesada odwraca głowę.

— Tak, chyba tak.

— A przecież wiesz, że w ten sposób chronisz mordercę.

Dziewczyna uśmiecha się nieśmiało.

— A czy nie taka właśnie etykę nam zaprojektowano? Księży, lekarzy, prawników.

— *Gaud*, jaki piękny paradoks? Opiera się Aguerre o zimny kamień.

Yesada odgarnia nerwowo włosy, purpurowe palce w czarnych splotach.

Mija ich para turystów stuprocentowo glinnych, prawie się zataczają, zagapieni na Ori.

— Wenecja, Glina — szepcze Aguerre, powoli, ledwo słyszalnie, jak przystoi duchowi w domu Pana. — Gdzież większe nagromadzenie zabytków? Gdzie byłoby to większa katastrofa? Nie zabijają tu xenotyka. Prawda? Prawda, Yesada? Jak długo zamierzasz się tutaj kryć? Następny Kameleon już na ciebie czeka. Powiedz, a stracą motyw.

Ona tylko kręci głową.

— Po co ty w ogóle chciałeś się ze mną spotkać? Aguerre. Daj spokój. Z góry wiedziałeś, że nie powiem, nie mogę powiedzieć. Po co ci to było?

— Będę wróżył.

5. Siedem Miecz, Papieżycy

Nie powiedziała, pozostają zatem dane z oficjalnych rejestrów Zakonu Malareth Ltd wynajmowała Yesadę Ori OHX z licznymi przerwami, przez ponad dwa miesiące, poczynając od września. Odpisy rachunków znajdujące się w archiwach Zakonu mówią o siedmiuset dwunastu godzinach aktywnej. Rzeźby oraz niemal równie długim sumarycznym okresie dyspozycyjności. Przysięgły pod Stróżem ujawnia wysokość honorarium xenotyczki, zwyczajowy jeden procent dla OHX. Lord Amiel, *via* atrapowa Malareth, wypłacił młodej Ori osiemdziesiąt osiem milionów dolarów brutto. Zważywszy na poziom obecnego popytu na usługi xenotyków, trudno uznać tę kwotę za wysoką. Jeśli jednak spojrzeć na to od strony Gabriela. Tylko najwięksi krezusi mają xenotyków na prywatnych kontraktach, a lord Amiel do nich nie należał. Osiemdziesiąt osiem milionów to musiał być dla mego spory wydatek.

W archiwach Zamku znajdują się jeszcze regulaminowe wypisy z dzienników pokładowych Yesady Ori, ale znów jest to absolutne minimum wymagane przez Zakon nagie bilansy czasu i odległości. Nic o kierunkach i celach lotów. I tak być powinno — inaczej któżby zaufał xenotykowi? Każdorazowy najem równałby się dla kompanii zdradzie tajemnic handlowych. Przysięga, której Yesada tak kurczowo się trzyma, może faktycznie jest tylko zwyczajem — lecz w takim razie jest to jeden ze zwyczajów konsyтуtywnych dla współczesnego pojęcia xenotyka i jego roli w gospodarce. Słusznie Yesada się dziwiła. Aguerre nie miał prawa oczekiwać, iż wyjawi przedśmiertne tajemnice lorda Amiel. Po co zatem odwiedził ją w Wenecji?

Bo z góry wiedział, iż ucieknie się do tego, do czego xenotycy zawsze się w podobnych sytuacjach uciekają wróżby irracjonalnej, a żeby wzbudzić rezonans, trzeba membranę jak najbardziej zbliżyć do źródła wibracji.

Jeszcze spacerując z Yesadą po deszczowej Wenecji, opuścił Aguerre City i Przerzeźbił się ponad atmosferę, do Ogrodów Orbitalnych. Ogrody Orbitalne Aguerre rozpościerają się na stu pięćdziesięciu kilometrach sześciennych, na stacjonarnej równikowej, powoli rozrastając się ku kształtowi pierścienia. Naturalny pierścień planety zaczyna się sporo wyżej, jednak Ogrody nie są bezpieczne od pochodzących stamtąd przypadkowych odprysków, kosmicznego gruzu spychanego na niższe orbity. Flanele miękkiego żywokrystu wypełniają dziesięciokrotnie większą przestrzeń, i to bynajmniej nie ku kształtowi kuli, ani elipsoidy — większość żywokrystnej waty, tak delikatnej, że całkowicie przezroczystej, buforuje przestrzeń pomiędzy Ogrodami a pierścieniem. Mniejsze i większe bloki kosmicznego gruzu grzęzną w tej niewidocznej gęstwie — kamienie i lód, aż po mikrometeory. Taki jest system chłono–trawiący Ogrodów. Z przechwytywanej materii żywokryst transmutacyjny dobudowuje nowe segmenty Ogrodów lub inne, niezależne moduły, wedle zapotrzebowania priorytetów, stosunku podaży do popytu oraz proponowanych sum. Aguerre wszystko to niewiele obchodzi: posiada większościowe udziały w spółce kontrolującej Ogrody Orbitalne. Złożył zamówienie i niemal natychmiast reprogramowano podług niego żywokryst w jednym z granicznych sektorów. Zmienia się front fali przyrostu struktury.

Podczas gdy pod pierścieniem rośnie powoli jego prywatny Ogród, Aguerre dotrzymuje towarzystwa lady Amiel oczekującej przybycia kursowego transportowca na Błękit (niemal

wszystkie regularne Rzeźby FTL zahaczają o planetę xenotyków, jej odległość od Punktu Ferza wciąż nie przekracza roku świetlnego). Wnętrze Ogrodów Orbitalnych zarastają ściśle wielokolorowe nieważkościowce kutrypiczne. Skłębione masy kutrypicznego życia odcinają widoki dalszych fragmentów Ogrodów, nie ma tu ścian żywokrystnych, jedynie sam szkielet — reszta to drzewa, kwiaty, pnącza, grzyby i mchy tudzież gatunki zupełnie pozbawione analogów w świecie flory DNARodnej. Tym bardziej nie widać przez nie gwiazd, pierścienia, ani planety, chyba że w Iluzjonie — ale oboje są w 90% w Glinie.

Aguerre rozkłada karty. Carla zagłąda mu przez ramię.

— Na co wróżysz?

— Wędrowni Gabriela.

— Ach. No tak. — Przygląda się przez chwilę Arkanom Aguerre ciągnie z potrójnie przełożonej talii, od serca. Błat okazuje się za krótki, więc wydłuża go szarpnięciem o kolejny metr. Carla marszczy brwi. — Mhm, ale jak właściwie? Przy takiej ilości zmiennych...

— Nie jest tak źle, a z archiwów Zakonu mam zgrubne dane na temat odległości, więc już zamykam się w sferze. Od tego odejmuję wewnętrzną kulę, bo nie było meldunków o Rzeźbie Ori w podanych przedziałach czasowych.

— Ale i tak — to są tysiące, miliony gwiazd. Mylę się?

— *Nai*.

— Więc? — Carla wychyla się do tyłu, kutrypiczna drzeworośl pochłania energię ruchu i przeoneritowuje korzenną kolebkę, unosząc ją nieco ponad błat i obracając lekko na osiach prostopadłych. Wiszą teraz oboje nad złoto-srebrnym tarotem (talia według Wzoru Luźnego), rozłożonym na ebonitowo czarnym stole. — Nigdy do końca nie rozumiałam, na jakiej zasadzie to działa

— Tarot?

— Wróżby xenotyków. Przecież to zabobon.

— *Gaud*, następna! — wzdycha Aguerre.

Carla posyła mu kosę spojrzenie, przez sekundę znowu zdolna do arystokratycznej wyniosłości. Jedwabny wachlarz trzaska ostro, złożony szybkim ruchem palców.

— Okay, okay — mamrocze xenotyk. — Przeczytaj *Sny o Karakorum Luźnego*; ja ci mogę tu dać kulawe streszczenie. Ze wszystko jest w gleju.

— Oczywiście — sarka kobieta. — *Deus ex gluex*, mogłam się spodziewać.

— Ale taka jest prawda Zeroczasowe transmisje wewnątrzglejowe otwierają drzwi na otchłanie pozaobliczalności. Co prawda, na razie nie potrafimy tego wykorzystać — niemniej GRI i międzygwiazdna sieć informacyjna funkcjonują w czasie rzeczywistym tylko dzięki bioprzekaznikom glejowym, chociaż niby ułomnym i tracącym nanosekundy na sztucznych sprzęgach. Przecież wiesz. Natomiast my, bezsenni, nie tylko że mamy go w modułach łączności wszczepek, w Stróżach — mamy go w genach, we krwi, w mózgach, myślimy nim. Po części Ta część impulsów nie idzie w ogóle przez synapsy, lecz przez residua glejowe. A glej i glej — we mnie, w innych bezsennych, w Bagnach, na Szadrze — jak odróżnić? gdzie się kończy, gdzie zaczyna? Nie posiada nawet liczby mnogiej.

Wykłada kolejną kartę. Papieżyca. Tak zamyka lewy krzyż, otwarty Rydwanem.

— Więc kiedy wróżę, próbuję sięgnąć właśnie tam. Dać szansę na ujawnienie się tej wiedzy, której nie mam prawa posiadać, zorganizować formę dla pochwylenia informacji nieuchwytnych; dać ujście rozumowaniom, których nie sposób przeprowadzić. Stworzyć matrycę dla odbicia kształtu rezonansu, jaki wzbudziły we mnie rzeczy, których nie byłem nawet świadomy. Złamana nuta w głosie

frei Yesady. Ruch oczu Gabriela. Setna pogłoska na przyjęciu Drobne anomalie w którejś z tysiąca statystyk; niedawno wchłonałem wszystkie raporty Zakonu z ostatniego roku Wiem tylko, że nie wiem. Wróżę więc.

Carla wachluje się w zamyśleniu. Spogląda na Aguerre, na karty, znowu na Aguerre, przygryza krawędź wachlarza.

— Tarot.

— Tak.

— Popularny.

— Tak. Większość z nas ucieka się do kart. Niektórzy rzucają zwierzęcymi kośćmi. Niektórzy łodygami krwawnika.

Niektórzy składają ofiary, wróżą z wnętrzości lub krwi. W każdym razie musi to być jakiś zbiór podlegających randomicznej permutacji elementów o przypisanej bogatej symbolice.

— Rorschach.

— *Z feedbackiem*. Ujęty w reguły. Podlegający skupieniu.

— Czemu nie zapytasz od razu o mocodawcę Kameleona?

— W końcu zapytam. Gdy zbiorę wystarczająco dużo danych, by wzbudzić rezonans, i zamknę liczbę możliwych odpowiedzi.

Znowu dłuższą chwilę zamyślona Aguerre rozkłada karty raz za razem. Kutrypowe owadoidy roznoszą szczepienia dla podróżnych udających się na Błękit, Szukacz i Wojtyłę. Jeden przysiada na ramieniu kobiety, kłuje przez bluzkę. To wytrąca ją z transu, a może z Iluzjonu.

— Musieli się spodziewać.

— Mhm?

— Suwereni Kameleona. Że któryś z was wyciągnie ich z takiej wróżby. Na litość boską w stolicy xenotyków, na oczach całej ludzkości! Musieli się spodziewać.

— Tak

— A mimo to...

— A mimo to.

W Iluzjonie/Open/OrbitalGardenAguerre00 ogłoszone zostaje ustanowienie żywokrystnego korytarza z kursowcem na Błękit. Carla wciąga głęboko powietrze. Przechyla się ku Aguerre i drzeworośl gnie się wraz z nią. Chwyta xenotyka za ramię, ściska mocno.

— Powróż sobie, Fred — szepcze. — Powróż sobie samemu. Nie jesteście nieśmiertelni.

Aguerre mruga, zaskoczony. Z sekundowym opóźnieniem odrywa rękę od kart, unosi do dłoni kobiety, następnie całuje ją, wewnątrz, nadgarstek. Spojrzenia złączone. Drżą kutrypiczne liście.

Półuśmiech.

— Lecz jakże głośno umieramy.

Przez następne szesnaście godzin, po odlocie Carli Paige ze zwłokami męża do ich majątku, zanim wyrosnie Ogród Aguerre, xenotyk wróży nieprzerwanie.

6. Przeciwno nieskończoności

Cóż poradzi człowiek przeciw nieskończoności? Co poradzi Wróżba niepewna prowadzi *Fredericka Aguerre* krętym szlakiem przez galaktykę.

Ogród Aguerre, zrealizowany według standardowego programu, nie jest duży, lecz, jako struktura otwarta, stwarza złudne wrażenie przestronności. Sześć ażurowych płaszczyzn przecina się wzdłuż ośmiu linii, nie do końca prostopadłych i nie do końca równoległych, w ten sposób powstaje jedno pomieszczenie zamknięte oraz dwadzieścia sześć mniej i bardziej otwartych na gwieździsty kosmos. To jedno zamknięte też nie do końca jest zamknięte żywokryst każdej z płaszczyzn jest nieco inny — a to półprzezroczysty, a to siatkowy — i do wnętrza komory sączy się zimne światło gwiazd. W komorze znajduje się jacuzzi oraz inne utensylia łazienne. Zapas wody i żywokrystne instalacje filtrujące zajmują kubik dolny, pięciościenny, z szóstej strony woda napiera tam na próżnię. A przynajmniej tak mogłoby się wydawać patrzącemu na Ogród z zewnątrz. W rzeczywistości Ogród posiada ściśle określone granice: gruby, całkowicie przezroczysty żywokryst termoizolacyjny chroni go przed próżnią zabudowuje w kształt bliski kuli.

Aguerre spoczywa na futonach w górnym przednim kubiku trójściennym. Wciąż w stu procentach w Glinie, obserwuje spod wpołprzymkniętych powiek jak gwiazdy rozjeżdżają się na boki przed Ogrodem. NavigatorXG jedzie ostro na Aguerre, wykonywane są równoległe trzy makra, w tym klasyczny SpaceSculptor na 99 7% maxoct. Gdy w sumie wykorzystywany jest prawie cały oktormorficzny potencjał Fredericka, gdy mózg puchnie mu w uścisku Stróża — zapada się Aguerre w stan najbliższy snowi spośród mu dostępnych. Ogarnia go przyjemne ciepło, kończyny ciężą. Ogród tymczasem płynie przez kosmos z pozalokalną wielokrotnie przewyższającą prędkość światła.

Pierwsze makro, OnTheGround, zafiksowuje Rzeźbę lokalnej studni grawitacyjnej pod wodnym kubikiem Ogródu, ustalając kierunki ciężenia. Drugie makro, bardziej wyrafinowana wersja Cage'a, ustanawia zewnętrzne ochronne pola grawitacyjne. Natomiast SpaceSculptor v 16 12 (*upgrade* sprzed czterech dni) Rzeźbi „lokalne siodło” czasoprzestrzeni oraz w sposób ciągły przekształca bezpośrednio jego sąsiedztwo, z przodu ją „ściągając”, z tyłu „rozciągając” Aguerre leci do pierwszej spośród gwiazd wskazanych przez tarot.

Tymczasem myśli półświadome dryfują mu ku Carli, Gabrielowi i Carli. Były trzy fazy jego niemałżeństwa z Carlą. Przez pierwsze lata po syzygii, kiedy nawet celibat stanowił po części kolejną ze snobistycznych ekstrawagancji, prawie w ogóle o Carli nie pamiętał. Potem poznał ją po raz drugi, jako żonę Gabriela Paige (jeszcze zanim otrzymał on szlachectwo) — i tak zaczął się jego niemożliwy związek z Carlą. Siedem, osiem lat żył tak, w najbardziej niespodziewanych momentach zapadając się w infantylne marzenia o zycm alternatywnym, w którym popłynął za nią na Sycylię, marzenia substytut snów. Miał alternatywny dom (pod Sewillą), alternatywną karierę (jako tłumacz przy Lidze Suwerenów), alternatywnych przyjaciół, alternatywne smutki i radości, i dzieci, i chwile ekstazy, i miłość śmiertelną — dla których alternatywy nie było. Rzecz jasna, nigdy o tym Carli nie powiedział. Zresztą podczas owej fazy po pierwszym ponownym spotkaniu nie rozmawiał z nią ani razu, z Gabrielem — tak (Gabriel ogłosił już swe prace ksenobiologiczne, zabezpieczył patenty i zaczął współpracę z ICEO i OHX) ale nie z Carlą. Nie należy mieszać marzeń z rzeczywistością,

schizofrenia była sterylna. Więc faza trzecia zaczęła się od ich rozmowy w Glinie. Życie alternatywne zostało sfalsyfikowane. Carla była żoną Gabriela, nie jego. Nie było dzieci, nie było miłości, nie było niczego — istniała jedynie, przez chwilę, przez ułamek adriatyckiej nocy, możliwość, nigdy nie zrealizowana.

Zostało więc kłamstwo, sen bezsenego, pustka tym niemniej pamiętał A pamięci nie odmieni, jak i nie odmieni siebie, chociażby chciał. (Nie chce.) Toteż po prawdzie Carla jest jego żoną, w każdym razie jego stosunek do niej zbudowany jest w dużej mierze na wspomnieniach wspólnego z nią życia. Stąd wyrastają Frederickowe odruchy, reakcje psychologiczne, obecne jego dla mej uczucia, także kompleksy — jak na przykład ten, który każe mu teraz przemierzać na fali FTL Mleczną Drogę w poszukiwaniu tajemnic, które sprowadziły na lorda Amiel artystyczną śmierć z rąk Kameleona o nieznanym pochodzeniu.

A przecież czekają na mego ważne sprawy w Aguerre City, przecież wie, że źle czyni, wychodząc na tyle godzin z Iluzjonu. Lecz zarazem czuje, że powinien doprowadzić do końca to śledztwo, że inaczej nie potrafiłby spojrzeć żonie w oczy.

No i leci. Pierwsza gwiazda odległa jest od Punktu Ferza o ponad tysiąc siedemset lat świetlnych. Błękitny olbrzym, brak planet, w każdym razie odbicia żadnej nie wychwytuje rozpylony na miejscu z Ogródu żywokrystny teleskop dyspersyjny, ani nie drga od jej rezonansu prowizorycznie rozstawiony grawitometr. Czy to tutaj Przerzeźbiła Gabriela Yesada? Uwolniony ze szponów NavigatoraXG stoi Aguerre przy krawędzi bocznego kubika i wygląda w ciemność, obracając się wokół jaśniejszej od bieli tarczy olbrzyma, w dłoni — karafka z putaporrem. Dwa kubiki wypełnione zostały przed odlotem kutrypiczną biomasą i ze szczepionek zdążyły rozwinąć się wkomponowane w żywokryst rosimy, Ogród zaczyna przypominać ogród, żółte powoje płożą się pod bosymi stopami xenotyka Klęka, odstawia karafkę, rozkłada nad próżnią dwie mandale, Trojka Pucharów przesłania słońce. Leci zatem dalej. Cóż poradzić przeciwko nieskończoności? Trzeba oszukiwać.

Układ podwójny. Pulsar. Poczwórny. Biały karzeł. Nebula G3 z planetami. G5 bez planet. Dni, miesiące. Coraz dłuższe przystanki przy sprawdzanych gwiazdach — wtedy wchodzi w Iluzjon/Earth, Iluzjon/AguerreCity, wypełnia zaległe obowiązki.

Znowu krąży plotka o hackerskich atakach na Stróże, musi więc Aguerre zwoływać konferencje prasowe u Kabalistów. Podnosi się to z regularnością pływów odksiężycowych, na nic mu racjonalne analizy, strach jest przemożny. Co gorsza, boją się także sami xenotycy.

— Ja już przestałem wierzyć, że kiedykolwiek się to skończy — wzdycha doktor Szarski, szef kryptologów Zakonu, gdy oczekują w atrium Pałacu Szyfrów w Aguerre City na otwarciu chaty iluzyjnego. Atrium mieści się na najwyższym, czterdziestym piętrze rozległej, barokowej budowli i przez otwarty dach wpada tu światło odpierścienne, przechadzający się między fontannami paw nie zwraca uwagi ani na kryptologa, ani na xenotyka, nie ma w nich ani promila Gliny. — To jest jak z Kennedym, Roswell albo Corradolami — tłumaczy Szarski. — Teoria żyje własnym życiem. Wystarcza wyobrażenie potencjalnego zagrożenia. Bo rzeczywiście, teoretycznie Stróże mogą wejść na obwodówki i edytować was w czasie rzeczywistym wbrew waszej woli, jeśli ktoś złamie ich kod. Fakt, że kody są nie do złamania, traci na znaczeniu, gdy się pomyśli o piekle, jakie by rozpętał jeden przemyślny programik na mózgach xenotyków, niech się Holocaust schowa. To proste zasady psychologii. — Nie pomnę, ile już wydaliśmy na inżynierów memetycznych. — Wiem. Ale tak samo było podczas Zimnej Wojny z arsenałami jądrowymi. A wy jesteście jeszcze groźniejsi. — Czas. Atrium ekspanduje tysiąckrotnie, wypełniając się iluzyjnym tłumem.

ICEO odracza kolejną rundę negocjacji w sprawie sześcioletniej umowy zbiorowej z Zakonem. W hanowerskich biurach kancelarii Lowell, Lowell & Chei, reprezentującej *Ordo Homo*

Xenogenesis, spotykają się pełnomocnicy stron. Mniej więcej od chwili zawiązania się trustu pomniejszych korporacji i agencji rządowych skierowanego przeciwko molochom zrzeszonym w *Interstellar Commercial Enterprises Organization*, ta ostatnia zaczęła stosować taktykę opóźnień i uników. Dla Aguerre i Marie-Anne Licozzi OHX, która nadzoruje działania prawne Zakonu, pozostaje to polityczno-ekonomicznym absurdem. Negocjatorzy Lowell, Lowell & Chei rozkładają ręce. — To nie ma sensu, *frei*. Oni właśnie powinni dążyć do jak najszybszego podpisania umowy, zanim jeszcze trust zdąży coś wykombinować. A w ten sposób strzelają sobie samobójca. — Chyba ze jakiś nowy Żłobek... — mruczy Licozzi. — Ale Elka z Syriusza niczego nie zarejestrowała.

Atak terrorystyczny na Windę Kordylierską, w efekcie kumulacja opóźnień i tłok na ziemskiej orbicie. Z trzech Wind ta jedna padała ofiarą sabotaży już sześciokrotnie. Nigdy nie spowodowano wielkich uszkodzeń (konieczne dla dokonania poważniejszych zniszczeń żywokrystnej instalacji rozmieszczenie ładunków wymagałoby faktycznej kooperacji zarządców Windy), jednak przestoje powstające na skutek ogólnego zamieszania, prowadzonych dochodzeń i nieustannych nalotów eksperckich ekip firmy ubezpieczającej Windę, kompletnie rozkładają harmonogram. Rząd Brazylii wykupuje usługi dwójki xenotyków na bezpośrednie Przerzeźbienie swego najpilniejszego cargo na orbitę. Jeden z tych wynajętych to John „Dowcipniś” LeMote dla zabawy miesza w atmosferze nad Ameryką Środkową Deszcze, powodzie i susze. Znowu Aguerre musi robić za ambasadora dobrej woli.

Odkrycie młodej ziemiopodobnej planety daleko wzdłuż ramienia: Wektor Ferza skręca i rośnie. Może czas najwyższy Przerzeźbic planetę Aguerre na orbitę gwiazdy przecinanej przez Wektor? Sytuacja dodatkowo się zaciemnia, bo grupa utytułowanych ekonomistów z Oxfordu występuje z rewizją niektórych współczynników pierwotnego algorytmu Ferza i teraz są dwa Wektory. Komu wierzyć? Tu mała różnica może skutkować stratami bilionowymi. Stary Ferz przeprowadził swoje obliczenia na zamówienie proto-ICEO. Każdej gwiazdzie przyporządkował zestaw wskaźników opisujących jej oddalenie od innych gwiazd, częstotliwość lotów, wartość wymiany gospodarczej *etc.*; wszystko w jednostkach sprowadzalnych do roboczogodziny xenotyka o 100 oct. Tak zapuszczona na algorytmach genowych symulacja galaktyki oczywiście zeruje się na 99 99999% lokacji, lecz dla tego ułamka z okolicy Słońca znajduje miejsce stanowiące początek najbardziej ekonomicznych tras do wszystkich tych gwiazd. To właśnie jest Punkt Ferza i bynajmniej jego położenie nie pokrywa się z położeniem Ziemi: rozkład przestrzenny interesów ludzkości w galaktyce nie jest idealnie symetryczny. Niewiele trzeba mały przewrót technologiczny, sprawniejsza metoda syzygii, ziemiopodobna planeta na peryferiach i już. — Punkt dryfuje przez kosmos o całe parseki. Często zmiany niwelują się wzajemnie, lecz czasami właśnie nakładają, kumulują, i wówczas Wektor wystrzeliwuje niczym hydrauliczna lanca. Wektor Ferza bowiem to wskaźnik wysoce spekulatywny opisuje przewidywane przesunięcie Punktu w zadanym przedziale czasowym. Dla *Primusa* OHX wszakże jest kwestią honoru utrzymanie pozycji swej planety jako placówki najbliższej Punktowi, a zatem — centralnego węzła komunikacyjnego. Wszystkie drogi winny prowadzić do Aguerre.

Hesjog, prefekt policji Aguerre City, składa raport o zamknięciu śledztwa w sprawie mordu na lordzie Amiel, w świetle konstytucji zabitego po orzeczeniu sądu quinceyowców, i tak było ono pustą formalnością — Całe AC i Ogrody Orbitalne objęte są skanem Iluzjonu, więc mamy pełny zapis jego poczynań od chwili opuszczenia czarteru CT do śmierci, minus sfery prywatności. Występował jako Daniel Dilalle, miał jego fenotyp, genotyp, papiery i kody ID. Prawdziwy pan Dilalle nie opuścił domu na Horyzoncie, nie jest jasne, czy został przekupiony, czy też zmanipulowany. Ze szczątków Kameleona odzyskaliśmy nieorganiczne nano jego wszczepki, ale nie udało się odtworzyć struktury, ani, tym bardziej, rozszyfrować kodów jego *software*'u RNAdycyjnego. Trop finansowy także

prowadzi donikąd. „Dilalle” płacił z kont hasłowych nabitych gotówką parę dni wcześniej. Słowem czysto. Przykro mi. — Całuje pierścień *Primusa* i znika.

W Nowym Jorku, w Lidze Suwerenów, wystąpienie przedstawiciela Francji, składa on projekt rezolucji zakazującej stosowania wysokoenergetycznych RNAdytorów w technologiach wojskowych, poseł OHX popiera.

Yesada kupiła mieszkanie w Rzymie, oczywiście nie ma mowy o wynajmie dla xenotyka, dobrze, że nie musiała kupować całej kamienicy — residua postampowe potrafią utrzymywać się latami, drobne perwersje czasoprzestrzeni. Nie opuszcza Yesada miasta Rzym! Tu będzie bezpieczna.

Utrakonwergencjonalisci założyli fundację, wynajmują xenotyków i latają na własną rękę szukać planet glejonośnych.

Wybory w UE, frekwencja jednocyfrowa.

Xenotycy w Watykanie, prywatna audiencja.

Dni, miesiące.

Czy owa pielgrzymka ma w ogóle sens? Chowa się w kolorowej gęstwie kutrypowego ogrodu/Ogrodu przed ogniem tych samotnych słone, coraz odleglejszych od Punktu Ferza. Po ilu daremnych próbach zrezygnuje?

7. GŁupiec

Zatrzymawszy SpaceSculptora 10 AU od Głupca, nawet nie wychodzi z wewnętrznego kubika, gdzie moczy się w wyłączonej jacuzzi. Procedury obserwacyjne wykonują się same, Ogród rozpyła teleskop, rozstawia porty grawimetryczne, Cage zaś rozszerza się dla ochrony przed wewnątrzsystemowymi meteorami.

Pierwsza nadchodzi informacja o kształcie rezonansu grawitacyjnego: są tu planety, co najmniej trzy. Teleskop ogniskuje się na punktach o zadanych parametrach i Aguerre zanurza się w Iluzjon. Nie rozluźnia skryptu i pozostaje ograniczony do skanu pod praktycznie jednym kątem; nie wejdzie w bezzasadne symulacje. Bez pośpiechu zagląda planetom w twarze. Dwa olbrzymy gazowe — im przygląda się pilnie, z nawyku wypatrując oznak gleju (i tak w Bagnach Aguerre przeprowadzone zostaną stosowane analizy ich ruchu). Potem planeta wewnętrzna — i tu jakieś kłopoty, obraz niewyraźny, jakby rozmazany, chmura cienia. Nieważne; nie ma pośpiechu, przyjrzy się z bliska. Zapuszcza Hornpipe'a. Makro Rzeźbi przestrzeń przed Ogrodem w grawitacyjny lej, zasysający wszelką materię. Przeorganizowany zostaje Cage i przeprogramowany żywokryst w punkcie otwarcia, gdzie styka się on z „wylotem” Hornpipe'a. Teraz czekać.

To są już dla Aguerre standardowe procedury poszukiwawcze, podpiął je pod jedną makrodefinicję wyższego rzędu i nie poświęca ich automatycznej egzekucji ani ćwierci myśli.

Bo gdy tak płynie łagodnie na słabym SpaceSculporze (15% maxoct), prawie nieważki w ciepłej wodzie jacuzzi, z bladym światłem Głupca, przebijającym się przez siatkową ścianę kubika — zasysa go Iluzjon/Personal/Amiel01: Carla Paige wystosowała zaproszenie na jego oficjalny adres w Zakonie, to pierwszy sygnał od niej, licząc od Święta. Aguerre nie jest w stanie skupić się na niczym innym.

Zaproszenie oficjalne — i przybywa tak, jak wymaga tego jego funkcja i tytuł: we fiolecie, z Wielkim Pierścieniem Przysięgi na serdecznym palcu prawej dłoni, w śpiewie anielskich mezzosopranów.

Błękit jest Nową Kolonią prawa brytyjskiego, sto czternaście lat świetlnych od Punktu Ferza, w układzie podwójnym, którego mniejszy składnik to taki Jowisz z przerostem ambicji — widać go w dzień, ale ledwo-łedwo. Błękit jest błękitny swymi oceanami; w braku czap lodowych jedyny ład stały to wulkaniczne wyspy, zgrupowane w mniejsze i większe archipelagi. Amiel leży na Zwrotniku Koziorożca.

— *Gritz, ma'am.*

— *Gritz, frei.*

Zaprasza go na konną przejażdżkę. Konie są djenajowe, kutrypowa biologia nie sięga jeszcze takich wyżyn królestwa zwierząt. Osobliwy jest stęp tych wierzchowców w 0.74 g. Błękitu. Aguerre mógłby pogrzebać w setupie swojej wszczepki, wszak tylko obraz i dźwięk stanowią w Iluzjonie odbicie rzeczywistości, reszta to symulacje komplementarne; wygładziłby przez to doznania. Ale nie robi tego, symulacje nie są w końcu brane z sufitu, a on chce przydać tej chwili jak najwięcej pozorów realizmu. Chociażby Glina i GRI zrosły się na podobieństwo Móbiusowej wstęgi, zawsze

pozostaną różnice w odbiorze kulturowym, mentalności. A przynajmniej dopóki zachowa się pamięć o pierwotnym rozdziale materii i snu.

Jadą przez gaje pomarańczowe (djenajowe; jaki pożytek z owoców kutrypicznych?), wiatr od oceanu przynosi egzotyczne zapachy, żółte cirrostratusy wiszą na seledynowym niebie. W oddali, nad polinezyjską wioską, widać słupy dymu od ognisk rytualnych. Aguerre przygląda się Carli, gdy ta go wyprzedza. Radują go jej proste plecy, wysoko podniesiona głowa, odrastające włosy, rozpuszczone do ramion. Nie jest tak opalona, jak można by się spodziewać, gruby płaszcz atmosfery Błękitu mocno ścina UV.

Kiedy jadą obok siebie, wymieniają nic nie znaczące uwagi. Tak się toczy z długimi pauzami rozmowa o niczym. Aguerre cierpliwie czeka, aż Carla poruszy ciężący jej temat; wreszcie dojeżdżają nad brzeg jeziora, zatrzymują konie i lądy Amiel bierze głęboki wdech.

— Chyba się zjawili.

— Kto?

— Oni.

Aguerre zerka pytająco, ale zanim powie cokolwiek, nakłada na transfer pieczęć symetrycznego krypto. Carla akceptuje, klepiąc siwka po szyi.

— Chodź, przejdziemy się. Zsiadają.

Frederick zanurza dłoń w jeziorze. Woda okazuje się ciepła (niczym w podgrzewanym jacuzzi).

— Najpierw spotkałam go w otwartym Nowym Jorku — mówi Carla zza jego pleców. — Wstąpiłam ze znajomymi do „Marty’s”, potem wyszliśmy na spacer; z Gliny był tylko jeden z nas. Jakiś clown zaczepiał przechodniów, zostałam z tyłu... Tamten musiał mnie śledzić przez Iluzjon. Z miejsca składa kondolencje. Nawet się nie zdziwiłam, mógł przecież chodzić z WhoIsWho na oczach. Ale on zaraz zaczął mętne insynuacje: jak to dobrze, że znam wartość milczenia, i że spółka po Gabrielu ma kłopoty ze splatą ostatnich kredytów...

— A ma?

— Ma, ma.

— A ta wartość milczenia? Jaka?

— No właśnie. Powinnam coś wiedzieć. Nie wiem. Potem jeszcze parę razy inni, a może ten sam pod fałszywkami, bo wszystko rozgrywało się w Iluzjonie — że dwa lata milczenia wyceniają na dwa giga; że rynek jest niespokojny...

— Naprawdę dają dwa miliardy?

— Tak mówią.

— Dwa lata... Dziwne. — Aguerre wstaje, przygląda mokrą dłonią włosy. Carla siedzi na stoku kilka metrów dalej, splata nerwowo długie źdźbła traw. Z jednej strony jest w niej ta chorobliwa energia, widać owo rozdygotanie wewnętrzne; z drugiej — aż nadto wyraźne niezdecydowanie, pierwsze cienie wielkiego zmęczenia, zniechęcenia, skrzywienie warg ogłaszające zde gustowanie światem. Ale też bez przekonania.

Aguerre odwraca głowę, przygląda się pasącym się wierzchowcom. — Masz jakieś podejrzenia?

— Kilkuset kłastrów Gabrielowej pamięci w Bagnach do tej Pory nie otworzyłam. Nie mam pojęcia, co tam jest. Przeszukałam rzeczy po nim, ale nie znalazłam żadnych haseł, wskazówek, nic. Krypto jest infinityczne: dałam kabalistom — policzyli sobie zdrowo, a nie zwojowali nic.

— Mogę?

— Rzucę ci na konto zakonne. — Wzdycha. — Czego nie rozumiem: dlaczego to nie kolejny Kameleon? Mimo wszystko byłby tańszy niż dwa giga. Co nie?

— Gabriel działał świadomie; ty co najwyżej możesz ujawnić odziedziczoną po nim wiedzę. A

— kto dziedziczy po tobie? Ktoś na pewno — płacić musieli by i tak. Kupują czas. I to mnie zastanawia. Co takiego miałyby się wydarzyć za dwa lata? Powiedz, czym on się interesował przed śmiercią? Jakies ślady musiały zostać w otwartych zapisach, chociażby najogólniejsze odnośniki...

— Więc właśnie chciałam cię zapytać... Jak tam? Tarot skuteczny?

— Głupców jest tak wielu...

Potem pływają w ciepłych wodach starego krateru. Z przyklejonymi do głowy włosami Carla wydaje się starsza, przeżarta jakimś toksycznym smutkiem. Schnąc na rozślonecznionym piasku, Aguerre opowiada jej anegdoty z życia xenotyków. Chmury kłębią się na zielonym niebie. Wkrótce zajdą nad Amielem oba słońca. Chciałby wyciągnąć rękę, ścisnąć jej dłoń — nie zrobi tego, ma nadzieję na więcej. Póki niewypowiedziane na głos, wszystko jest możliwe.

— Chyba wezmę te dwa miliardy, skoro i tak nic nie wiem. Czy to dlatego chciała się z nim spotkać? Ma jej pobłogosławić? Rozgrzeszyć?

— Poczekaj jeszcze chwilę.

Głupiec płonie zimnym ogniem, oko szatana. Aguerre wychodzi do bocznego kubika pięciościennego, staje nad krawędzią. Pod stopami wielka dziura w kobiercu gwiazd, bezkształtna plama ciemności absolutnej: Głupiec Jeden. Nad Dwójką i Trójką pracują już moduły badawcze wyrosłe z przeżutego materiału pochwyconego w Hornpipe'a, Ogród wyrzucił je po drodze. W żywokryształach zaimplementowano glejowe przyłącza, Aguerre w płytkim Iluzjonie obserwuje w czasie rzeczywistym postępy eksploracji. Dwójka (do której sonda dotarła wcześniej, Trójka znajduje się aktualnie po przeciwnej stronie Głupca) ma kilkadziesiąt pomniejszych satelitów, dwa solidne księżyce oraz potężny pierścień lodowy Sonda przyziemiła na kilometrowej planetoidzie, żywokryształ wżera się w skałę, trwa cud nanoalchemii; żywokryształne mikroszperacze wystrzeliwiają w próżnię na słupach nagle uwalnianych gazów, by spaść po długich hiperbolach w burzową atmosferę olbrzyma, w tysięczmilowe pasma szkarłatu, różu, żółci, gdzie mogą się kryć organiczne chmury ciężkich zawiesin prokariotycznych transkomórkowców — czy to jest to, co przywiodło tutaj lorda Amiel (jeśli przywiodło): kolebka gleju? Postępuje sondowanie wodorowych otchłani. Trójka jest kilka godzin w tyle, moduł dopiero szuka żywiciela. Natomiast z Jedyneką są kłopoty.

Planetę skrywa coś na kształt obłoku mikrometeorów, rozpiętego na pół miliona kilometrów wzdłuż orbity najgrubszego z nich. Aguerre wpuszcza sondę w chmurę, by mimo wszystko jakoś rozpocząć proces multiplikacji miliszperaczy — i wtedy skaczą Frederickowi ciśnienie krwi i krzywe hormonalne. Stróż wkracza do akcji, tonując odruchy fizjologiczne, gdy przewalają się przez Aguerre fale zdumienia i ekscytacji — bo to nie są mikrometeory. Ten obłok już składa się cały z żywokryształu; żywokryształu i gleju.

8. Sen kabalisty

Doktor Immanuel Szarski wchodzi do górnego czworościennego kubika Ogrodu Aguerre, siada na pokrytej białym futrem otomanie i wzdycha głośno. *Frei* Aguerre odwraca się od czarnej chmury planetarnej, zza której wschodzi Głupiec wielkości pięści; wyciąga rękę. Doktor Szarski podrywa się, przyklęka, całuje pierścień. Potem znowu pada na otomanę. Xenotyka przygląda mu się z założonymi na piersi rękoma, w aureoli zimnej poświaty odgwiezdnej.

— No i?

— Nie masz pojęcia, *frei*, jak bardzo żałuję swojej przysięgi.

— Dzisiaj bardziej niż wczoraj?

— Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek. Nigdzie nie zgłoszono nawet projektów patentów tej technologii.

— Ale badania są prowadzone?

— A to niby skąd miałbym wiedzieć? Teraz wszyscy uciekają z laboratoriami jak najdalej od Ferza.

— Uważasz, że to są pozostałości takiego laboratorium?

— Chyba że małe zielone ludziki...

— Już byśmy je do tej pory spotkali w Iluzjonie — śmieje się bez przekonania Aguerre.

Żart krąży od lat. Skoro planety glejonośne są rozrzucone po wszechświecie (a przynajmniej — po Mlecznej Drodze) ze stałą gęstością, a sprzęg rezonancyjny między kwant—organellami komórek glejowych nie zależy od ich wzajemnego oddalenia, to w Bagna mogą się przez swój glej włączyć Obcy z dowolnego zakątka uniwersum (a przynajmniej — galaktyki). I jak sprawdzić, czy już się nie włączyli? Impuls to impuls, a bez nałożonego stosownego krypto nie sposób rozpoznać jego pochodzenia.

— No to pokaż mi to чудо.

Doktor Szarski wyczarowuje w powietrzu przed otomaną niesymetryczny, matowy kryształ. Skala powiększenia rozdyma go na ponad metr; w rzeczywistości należałoby go mierzyć w kiloangstremach.

W ciemnoszarych graniastosłupach Aguerre rozpoznaje symbolikę megacząsteczek żywokryształnych. Lecz spód kryształu oblepiony jest różową masą — i to myli xenotyka, który spodziewa się fioletu. Ale standardową ikoną niesklasyfikowanych komórek niedjenajowych jest różowa kula.

— To nie glej?

— Glej. Ale inny. Trudno mówić o klasycznych mutacjach w przypadku *Xenogenesis procaryota gleiophyta*, niemniej jednak mamy tu do czynienia z przemyślną wariacją o kilka rzędów wielkości większą od dotychczas spotykanych różnic wewnątrzgatunkowych. Przełom technologiczny stanowi ta bezkonfliktowa hybrydyzacja komórki glejowej z nanoziarnem żywokryštu logicznego.

— Komputer FTL.

— Tak. A precyzyjniej: komputer taktujący z szybkością nieskończoną.

Aguerre ogląda się na planetarną chmurę. Jej nieostra krawędź prześwietlana jest przez oślepiający blask Głupca. Komputer zeroczasowy. W takich chwilach człowiek mimowolnie zaczyna nucić Wagnera.

W tle, czego oczywiście gołym okiem nie widać, obraca się jeden z dyspersyjnych teleskopów w rozszanego po układzie żywokrystu Aguerre, sprzężonych z systemem grawimetrów; Frederick rozstawił je dla jak najszybciej detekcji Rzeźby innych gości w układzie Głupca, jeśli tylko się pojawiają.

— Ale żeby pożreć całą planetę... — kręci głową. — Co oni tu robią?

— Już nic. — Doktor Szarski powtarza czar; tym razem pojawia się mały, kanciasty, jednolicie czarny kryształ. — Nano analityczne, najszybsza, niesprofilowana wersja. Dziesięć lat za posiadanie cząsteczki. Tu masz miliardy ton. Rozkłada ten glejokrystny komputer do wolnych molekuł Według naszych ocen wymazali już ponad jedną dziesiątą materiału.

— Zrealizowali program, a teraz formatują dysk — kwituje Aguerre.

— Coś w tym stylu.

— Zdążyli?

— *Frei...*?

— Czy zdążyli z tym formatunkiem? Da się jeszcze coś odczytać?

Doktor Szarski krzywi się, zakłada nogę na nogę, rozpiera na otomanie, gapi w kosmos, machinalnie przesuwa w powietrzu kryształy... dalej się krzywi.

— Żeby to był przynajmniej regularny komp genowy... Ale na gleju? Tu poza kontekstem nie sposób nawet odczytać pojedynczej operacji, bo nie znamy schematu wzajemnych połączeń glejowych. Niejakie wnioski moglibyśmy wyciągać z porównania w naturalny sposób obumarłych mas żywokrystnych, to znaczy tych wykluczonych już z dalszych komputacji. Ale z glejem na cząsteczkach nic takiego nie musiało zachodzić, mogli emulować algorytm genowe „na sucho”, poziom wyżej —jakaż strata czasowa, gdy odejmujesz od nieskończoności? Zresztą proces się już najwyraźniej zakończył; na dodatek nano dezintegrujące przeżera wszystko na wylot. No i mam pewne osobiste podejrzenia... Dałeś nam tylko dwa dni i ograniczyłeś do bezpieczeństwa pod przysięgą Zakonu i o kompatybilnych konstytucjach, więc niewiele mogliśmy zrobić, zwłaszcza bez zwracania na siebie uwagi wynajmowaniem jakichś zupełnie nieprawdopodobnych obszarów Bagien dla równoległych symulacji. Niemniej...

— Tak?

— Zwróć uwagę na oddalenie od Punktu. Na tyle duże, by nie trafiła tu któraś z regularnych misji eksploracyjnych, zarazem na tyle małe, by nie zwracać uwagi długością lotów w rejestrach Zakonu. Bo zdajesz sobie sprawę, *frei*, że przecież usieli ich tu Rzeźbić jacyś bezsenni.

— Zastanawiałem się nad tym — rzecze powoli xenotyp, zwracając się z powrotem ku Głupcowi. Jeden, plecami do iluzyjnego kryptologa.

— Nie wątpię — mruczy Immanuel. — Do czego zmierzam: oni stosują wszelkie możliwe zabezpieczenia, więc zapewne i to ostateczne: partycjonowanie procesu. Po co wkładać wszystkie jajka do jednego gniazda? Kombinowałem, co bym zrobił na ich miejscu i doszedłem do wniosku, że — nawet jeśli zadanie tego nie wymaga, a mam przeczucie, że wymaga — rozdzieliłbym rzecz na kilka planet, przy kilku różnych gwiazdach, po przeciwnych stronach Punktu Ferza, z dala od Wektora. Co więcej: crossglejowałbym pomiędzy nimi każdy najmniejszy subalgorytm; wszak w glejowodach odległość faktycznie nie ma znaczenia, wszystkie połączenia zeroczasowe. Nawet przy dodawaniu trzech do trzech, szłoby to przez pół galaktyki, na tuzinie takich centrów glejokrystnych. I chociażby ktoś znalazł jedno — nic by mu to nie dało.

— Więc sądzisz, że są inne...

— Założyłbym się. A jeśli faktycznie tak gęsto crossglejowali, możemy przynajmniej z pewnością stwierdzić, iż proces się już zakończył, otrzymali wynik. Nie komputują tutaj — nie komputują nigdzie.

Aguerre nie ma tej pewności, jego podejrzenia sięgają tam, gdzie Szarski nawet w koszmarze by się nie zapuścił. Pomija to jednak milczeniem i pyta o szacunki czasowe.

— Około trzech lat od inicjacji — mówi doktor. — Pół roku od rozpoczęcia wymazywania. Dwa lata do ostatecznego rozłożenia glejokrystu.

Dwa lata! Dwa lata, Carla; weźmiesz te pieniądze — co miałaś zdradzić, już zdradziłaś. Dżinn wydostał się z butelki. Już nie ma po co mordować, nie ma po co przekupywać. Muszę też dać znać Yesadzie, niech się nie boi niepotrzebnie; winienem jej przynajmniej tyle...

— Te pliki, które ci posłałem...

— Ach, to. — Kryptolog rozkłada ręce. — Biały szum.

— Tam coś jest.

— Możliwe. Póki co, pod krypto infinitycznym to jeden chaos. Ale przecież nie wszystko stracone, teraz dopiero zabierzemy się do roboty.

— Więc mówisz, żeby szukać plików–kluczy? Może nawet na materialnych nośnikach...

— Nie wiem, czy jest w ogóle czego szukać. Skąd to masz *frei*? Właściciel mógł szyfrować swoimi *mindprintami*.

Kryptologia jest nasieniem paranoi, z niej rośnie i ją płodzi Klucze tak proste, że zawierające się w liczbie przekształceń możliwej do zapamiętania, okazują się podatne na ataki aproksymujące xenotyków (metodą wróżb naprowadzających) Klucze jednorazowe (koniec końców wszystkie sprowadzające się do randomicznego ciągu zer i jedynek, czego nie sposób już łamać krok po kroku) muszą zostać zapisane: albo na nośniku materialnym — który można przecież ukraść — albo w plikach komputerowych — do których można się włamać, chyba że same zostały zabezpieczone krypto, i wówczas znowu pozostaje kwestia jego skuteczności... wróć do kroku pierwszego i powtórz. Trzecim wyjściem, unikającym obu tych pułapek, jest szyfrowanie *mindprintami*. Stosowne programy na wszczepki dokonują zapisów stanów mózgowych, formatują je, odcinają warstwy obojętne oraz zanieczyszczające, po czym prześwietlają przezeń informację pierwotną. Aby plik rozszyfrować, należy dokonać odwrotnej operacji przy identycznym setupie programu oraz skanie tego samego mózgu znajdującego się w takim samym stanie. Cała rzecz kryje się w definicji „takiego samego stanu mózgu”. Nowsze programy umożliwiają już zdejmowanie *mindprintów* tak wyrafinowanych, iż dla uzyskania zgodności wymagane jest wywołanie w umyśle szyfrującego konkretnego wyobrażenia, przy konkretnej aurze emocjonalnej. Wyklucza to między innymi skanowanie pod przymusem; na nic również *brain-phreaking* bez znajomości konkretnego momentu skanu. Nie sposób ukraść wspomnienia pierwszego pocałunku.

Jeśli pliki z Bagien lorda Amiel zostały zaszyfrowane jego *mindprintami*, są już nie do odcodowania: wiele rzeczy pozostaje do odtworzenia po śmierci człowieka, ale z pewnością nie struktura jego umysłu, pamięć. Po prawdzie również za życia oryginału byłyby nie do zrekonstruowania. To pewniejsze od odcisków linii papilarnych, kodów DNA.

— Doktorze Szarski... dam wam wolną rękę w programowaniu tutejszego żywokrystu i zdejmę ograniczenia poufności. Jak szybko będziecie mogli coś powiedzieć o celu obliczeń? Cokolwiek?

Immanuel na dłuższą chwilę się wyślepia.

— Nie sposób ocenić — mówi, wróciwszy.

— W każdym razie próbujcie.

— To się roznieśie poza Pałac.

— Zdaję sobie sprawę.

— Co z patentem na glejokryst?

— Na Zakon.

Szarski bije pięścią w otomanę, aż coś pęka w meblu.

— Wiedziałem — syczy — wiedziałem.

— Przykro mi. *Ordo Homo Xenogenesis über Alles*.

— Masz pojęcie, jak po wejściu tej technologii skoczą akcje projektu SWING? Daj przynajmniej czas na spekulacje!

— *Agape!*

Projekt SWING wyzyskuje ten sam fenomen, który doprowadził w ogóle do odkrycia gleju w atmosferach gazowego olbrzyma HD 92788, Szadry — to znaczy samorzutną, chaotyczną Rzeźbę, powodowaną przez swobodny glej. Swingowcy szukają grawitacyjnie niewytłumaczalnych minianomalii w ruchu planet, podobnych do tych, które zwróciły uwagę astronomów na Szadrę. Projekt wyróżnia się jednak skalą: ma ambicję ogarnięcia całej Mlecznej Drogi i sprawdzenia „poprawności” ruchu wszystkich planet wszystkich jej gwiazd. Na potrzeby SWING-a pracuje największy, syriuszowy grawitometr typu „L”, miliony kilometrów kwadratowych dyspersyjnych teleskopów optycznych i radiowych, setki tysięcy megaklastrów Bagien... Ale to się opłaca, bo glej na poszczególnych planetach — mimo iż bez wątpienia jest to jeden i ten sam gatunek — różni się jednak między sobą, także potencjałem oktomorficznym, i syzygie tych nowych odmian z *Homo sapiens* tworzą xenotypów silniejszych, o łagodniejszych stampach, większej rozdzielczości Rzeźby, być może również o większej intuicji glejotycznej; na pewno zwiększają przedział zgodności *Homo sapiens* i *X. procaryota gleiophyta*, tak że po każdym odkryciu planety glejonośnej egzekwuje się Kartę Bostońską od nowa, od nowa testując kandydatów z prawdopodobnych przedziałów wiekowych, genetycznych i fizjologicznych.

Kryptolog wzdycha, wstaje, gasi czary... wychodząc zawraca jeszcze.

— Mówią, że to od lorda Amiel — rzecze, nie patrząc w oczy xenotypowi, który tymczasem przysiadł w fotelu, twarzą do Głupca i glejokrystnej mgławicy. — Że Rzeźbisz, *frei*, dla wdowy po nim.

— O? A skąd tak genialne dedukcje, można wiedzieć?

— Z fusów i ptaków na błękanie, *frei* — parska Immanuel. — Prawda to? Te pliki. Jego?

Aguerre teatralnie kręci głową.

— Straszna rzecz — wydyma wargi — ten glej.

Doktor śmieje się uprzejmie, dłonie w kieszeni u marynarki, lewa noga ugięta.

— I co teraz? — pyta po chwili, ciszej.

— Dotąd się nie pojawili — stwierdza xenotyp — i nie mam nadziei, że kiedykolwiek się tu pojawią właściciele tego abakusa Wiedzą, że wiemy. Jak sądzisz, doktorze — uśmiecha się krzywo — czyżby sami zasięgnęli rady u jakiejś wróżki?

Kryptolog mruga szybko. Otwiera usta, lecz ani jedno słowo nie wydostaje się z nich pod ciemnym spojrzeniem Aguerre. Teraz obaj boją się tego samego.

9. Nadchodzi inkwizytor

Pierwszy przychodzi mu na myśl Scilla Miaso; ale nie, tu już trzeba działać oficjalnie, nie będzie dla Aguerre dobrze wyglądało wysługiwanie się Psem w sprawach tak wielkiej wagi.

Druga myśl dotyczy Inkwizycji.

Inkwizycja istnieje, lecz nic dziwnego, że nie od razu przyszła Aguerre do głowy: od założenia Zakonu nie wyszła poza suchy zapis ze statutu OHX. Jest zapomniana do tego stopnia, że *Primus Interpares* Zakonu musi sprawdzić w rejestrach, sam bowiem nie pamięta, kto jest aktualnie Wielkim Inkwizytorem *Ordo Homo Xenogenesis*. Sprawdza: *frei* Nastazja von Ravenstiick. Aguerre przypuszcza, że sama Nastazja nie pamięta o swej — dotąd tylko tytularnej — funkcji. Nie łączą się z nią żadne finansowe przywileje czy zobowiązania, a i inne prawa wchodzą w życie dopiero z nadania *Primusa*; potem inkwizytor musi pod Stróżem złożyć ze swych poczynań pełny raport Wysokiej Radzie Zakonu. W sumie bardzo to wszystko zbiurokratyzowane i niewygodne. Na dodatek na czas pełnienia swych obowiązków inkwizytor ma zakaz Rzeźby komercyjnej — kary za złamanie przez niego umów płaci Zakon, ale marna to pociecha.

Nastazja von Ravenstiick OHX (nr 103 u Luźnego, czternaście lat bezsenności) wyróżnia się także faktem, iż zdążyła przed syzygią urodzić dwoje dzieci; jej córka również wykazała na testach glejokomplementarność, lecz odmówiła przeprowadzenia prób syzygijnych.

Aguerre posyła Nastazji wysokopriorytetowe żądanie kontaktu, ale przez kolejnych kilka godzin dostaje tylko informację o pustce w Iluzjonie z jej strony. Kiedy wreszcie łącze zostaje ustanowione (od początku pod infinitycznym krypto) i Aguerre odwiedza Nastazję, szybko staje się jasne, dlaczego czekał: dopiero co skończyła Rzeźbę na *full SpaceSculptorze*. Przyjmuje *Primusa* w swym Ogrodzie — przybudówce, na orbicie Dao Xia, w przerwie przez Rzeźbą podatmosferyczną.

— *Frei*. Coś się stało? — niepokoi się, zawiązując białe kimono i prowadząc Fredericka do salonu.

Ogród Nastazji nie jest wielki — ot, standardowa przyrósł na gargantuicznym cielsku chińskiego stutysięcznika. Żółto—niebieska Dao Xia, obracająca się powoli pod ich stopami (żywokryst podłogi jest przezroczysty), to kolejna z planet kolonizacyjnych ChRL; „stutysięcznik” nie oznacza tu tonażu, lecz liczbę pomieszczonych imigrantów. Masowa imigracja międzygwiazdna jest opłacalna tylko dzięki xenotekom. Sumaryczne koszty są w istocie bardzo niskie: piętnaście dolarów na osobę za transport Winda Clarke’a, pięćset za Rzeźbę i jakieś zupełnie pomijalne grosze za żywokryst habitatu. Więc mandaryni wypychają ich, transport za transportem, byle dalej od Ferza. ChRL ma na stałych kontraktach dwa tuziny xenotyków.

Aguerre i von Ravenstiick siadają w salonie; stampa xenotyczki sprowadza światło planety i gwiazd do gruboziarnistego ćwierćmroku. Zanim jednak usiądą, Aguerre podaje jej kopertę. Nastazja obraca ją ostrożnie w palcach o długich, ciemnoliliowych paznokciach: koperta zamknięta jest oficjalną pieczęcią OHX. Von Ravenstiick łamie wosk, wyjmując dokument. Czyta i oczy się jej rozszerzają. Gdyby nie Stróż, zapewne przyspieszyłoby jej oddech i tętno.

— Co to...

— Glinny oryginał czeka już na panią w Zamku.

— *Jiiss*.

— Nie mają tu jeszcze Windy, więc Przerzeźbi ich pani na powierzchnię, ale zaraz potem zrywa pani kontrakt i zaczyna przesłuchania. Wszystkie na otwartych Stróżach — daję pani najwyższe uprawnienia inkwizycyjne, może ich pani edytować hormonalnie.

— Ale — kogo?

— Wszystkich, *frei*, wszystkich.

Nastazja von Ravenstuck patrzy na Aguerre jak na proroka-wariata.

Xenotypk śmieje się przelotnie. Nachyla się ku niej, ściska krótko za kolano.

— Spokojnie. Na razie nic się nie stało. Opowiem pani.

I faktycznie, opowiada. Całą historię. Nastazję, jako inkwizytora, obowiązuje teraz przysięga poufności stokroć mocniejsza. Aguerre zaczyna od Kameleona i lorda Amiel kończy na Głupcu i glejokrystnym kompie FTL.

Nastazja słucha uważnie, już nieco spokojniejsza niewątpliwie nagrywając całą tę rozmowę.

— No, ale ciągle nie widzę tu pola dla inkwizycji — mówi wreszcie. — Stoi za tym jakieś mocarstwo, bez wątpienia. Kameleon. Technologie. Ta skala przedsięwzięcia. Sam zresztą pan mówił. Więc co to za materiał dla śledztwa wewnątrzakonnego?

— Są dwie przesłanki zaangażowania w aferę bezsennych — Aguerre wznosi palec. — *Primo*: oddalenie Głupca od Punktu Ferza oraz czas trwania przedsięwzięcia. Proszę to sobie policzyć. Ilość Rzeźb, liczba roboczogodzin xenotypków. Z pewnością musieli wynająć kilku, może nawet kilkunastu, o ile nie były to umowy na wyłączność, a nie mogły być, bo wówczas nie uniknęliby zwrócenia na siebie uwagi. Toteż ci bezsenni wiedzieli. Przez trzy lata! A lord Amiel — ledwo zaczął węszyć, zabili go. Czy więc zawierzyliby przysiędze xenotypków? Jak pani sądzi?

— Musieli związać ich ze sobą znacznie silniej.

— Tak. Ale w jaki sposób? To jest pierwszy powód śledztwa. — Aguerre unosi drugi palec. — *Secundo*: skąd wiedzieli? Skąd wiedzieli o lordzie Amiel? Nikt nie wiedział, nawet jego żona; a oni tak. Skąd? Załóżmy, że mieli tam detektory wysokiej czułości i wykryli Rzeźbę. Ale to wciąż nie zdradziłoby im tożsamości Yesady, ani, tym bardziej, lorda Amiel.

Nastazja wstaje, podchodzi do barku, nalewa sobie szybko jakiś trunek (zapewne bezalkoholowy — dla bezsennych niewielki pożytek z alkoholi), wychyla nerwowo szklanicę.

— Wróżby xenotypckie — mówi, nie oglądając się na Aguerre.

— Otóż to.

— *Kreist*. — Von Ravenstuck oddycha głęboko, minutę, dwie. Znowu sobie nalewa. — Ilu nas było w ostatnim biuletynie Luźnego?

— Tysiąc sto siedmioro po syzygii, treningach i przysiędze.

— I ja mam ich wszystkich... przesłuchać?

— Jednego po drugim — przytakuje spokojnie Aguerre. — pod otwartymi Stróżami.

— *Kreist!*

Nastazja siada z powrotem. Zmęczonym ruchem odgarnia rude włosy na kark. Rozchylone kimono ukazuje przyjemną krzywiznę dekoltu. Po Dao Xia przesuwa się terminator i w Ogrodzie inkwizytora robi się jeszcze ciemniej.

Spoglądają w zamyśleniu w gwiazdną otchłań; równoległe spojrzenia, równoległe toki myśli.

— Wkrótce urodzi mi się wnuk... — zaczyna bez związku von Ravenstuck, prawie szeptem. — Miałam być przy porodzie. Czy jest emerytura dla xenotypków? Kiedy przyjdzie nam umierać... ze starości... dokąd nas Przerzeźbią? Grawimetry ras dziś jeszcze z mułu nie wyniesionych będą czytać

nasze cmentarze, głośniejsze od jądra galaktycznego... Jak ja się właściwie wpakowałam w to inkwizytorstwo?

— Wybrano panią w tajnym głosowaniu z puli kandydatów wylosowanych.

— Demokracja. Uch. Z bliska traci wiele uroku. Zostawia ją tu, przytłoczoną wyobrażeniem siebie samej jako Wielkiego Inkwizytora OHX, strachem przed śmiercią z rąk asasynów zagrożonego dekonspiracją mocarstwa — wchodzi w Iluzjon/Open/Rome00, gdzie budzi ze stymulowanych przez Stróża marzeń Yesadę Ori, by powiadomić ją, iż dobiegło końca jej wygnanie; nie złamała przysięgi, tajemnica sama się wydała, i nie musi już obawiać się o swoje życie. W trakcie rozmowy, gdy stoją pod oknami przestronnego holu mieszkania xenotyczki, jeszcze niezbyt przytomnej po wynurzeniu z tak głębokiego VR, dociera rozsyłany przez demona Zamku okólnik o powołaniu inkwizytora. Yesada spogląda na Fredericka wielkimi oczyma, nazbyt zdumiona, by w ogóle pytać.

— Wracaj na Aguerre — mówi jej. — Zwołam Radę; złożysz wtedy zeznania, przed raportem inkwizytora.

— Ja nie chcę...

— Czego nie chcesz? — aż pochyla się, by usłyszeć jej słowa.

— ...w politykę.

Znowu wywołała w nim poczucie winy.

Następnie nawiedza w Iluzjonie/Personal/Amiel01 Carlę Paige.

Nad tą częścią Błękitu słońce właśnie wschodzi. Carla zasnęła w gaju za hacjendą, w wiklinowym fotelu; teraz budzą ją: Aguerre i blask jutrzeńki. Przebiega po kobiecie dreszcz — a może świadomie otrząsa się z zimnej rosy.

— Ccoo...? — ziewa, otulając się ściślej czerwono niebieskim kocem.

Xenotyki wyciąga rękę.

— Chodź.

— Aa-a... dokąd to?

— Otwórz tylko łącze; zobaczysz.

— Dlaczego właściwie ja ci tak wierzę? — Ale już się podnosi, już sięga ku jego dłoni; łatwiej się poddać, niż sprzeciwić, do sprzeciwu trzeba siły, jakiejś motywacji — ona tego nie posiada.

— Bo i tak masz moje serce w garści.

— O, jacy jesteśmy dzisiaj romantyczni! — A stanąwszy na krawędzi czterościennego kubika Ogrodu Aguerre: — Co to jest?

Więc opowiada jej; minuta, dwie, kwadrans, w powolnych słowach, w gawędziarskim rytmie.

W miarę opowieści Carla przeobraża się w tamtą lady Amiel z wieczora po śmierci Gabriela, w końcu nawet w taki sam sposób obejmuje się przeciwko zimnu wielkich przestrzeni, tak samo opiera barkiem o ścianę.

— Był tu? — pyta po chwili milczenia.

— Gabriel? Tak.

— Jak tu trafił?

— Dobre pytanie. Przypuszczam, że za glejokrystem. Z tego, co wiem, ostatnie badania jego zespołu szły w tym kierunku, a w dzisiejszych czasach wywiad jest integralną częścią każdego projektu naukowego — musiał mieć

konkurencję na oku. W rzeczy samej, z chęcią bym porozmawiał z jego współpracownikami...

— Przejdź się do kampusu nad Zatoką. — Carla wskazuje ruchem głowy gwiazdę. — Dlaczego „Głupiec”?

— Na pamiątkę. Aha, możesz już wziąć te dwa miliardy. Posyła mu kosę spojrzenie.

— Próbowałam. Nikt nie odpowiada. Najwyraźniej oferta jest już nieaktualna.

10. Kto się boi Fredericka Aguerre?

— Scilla, chłopie, gdzie cię znowu wcięło? Trzy miesiące nie widziałem cię w AC. Ty zawsze wybierasz jakieś szemrane zlecenia!

— Ha, tym razem Rzeźbiłem po stronie aniołów. Liga znowu zaczęła macać za Żłobkami. Ktoś w Nowym Jorku wymyślił, że nasi szaleni naukowcy kryją się w szumie jądra. Uwierzysz?

— Tak czy owak, wracaj szybko, czuję, że będę cię potrzebował.

— Właśnie widzę. Inkwizytor! *Jiis!* Myślisz, że tak po prostu z nich to wyciągniesz?

— Ba! Przecież wiem, że nie są idiotami: odmówią Nastazji.

— I ci, którzy odmówią...

— Otóż to.

— *Frei.*

Przemierzywszy już Iluzjon wzdłuż i wszerz, puściwszy w ruch tryby polityki, nie może dłużej zwlekać i zapada w objęcia NavigatoraXG, na maksymalnym SpaceSculporze Rzeźbiąc gładko ku Punktowi Ferza i swej planecie. Inną drogą leciał do Głupca, inną zeń wraca, już nie meandrując, nie wróżąc od gwiazdy do gwiazdy. Ale i teraz nie może Rzeźbić po linii prostej: pomiędzy Głupcem a Punktem znajduje się rozbuchana na parseki Śmierć Stiepanowa.

Rzeźbiąc, marzy o Sardynii. Bardzo dobrze pamięta te trzy tygodnie spędzone z Carlą Fiore pod lazurowym niebem, przeglądającym się w roziskrzonym morzu oraz w szklach jej okularów przeciwsłonecznych, gdy spoglądała na niego, uśmiechnięta, z głową w półprzechyloną, na pół realna w obłoku biało-żółtej zawiesziny śródziemnomorskiego światła; mrużył wówczas oczy, oślepiiony. Zapach jej potu, zmieszany z zapachem olejku do opalania... Gdy się nie opalali i nie pływali, chadzali na bardzo długie spacerunki kamienistymi i piaszczystymi plażami Sardynii; Carla boso, jest coś przemożnie erotycznego w widoku kobiety depreczającej ziemię i kamień nagimi stopami. I te jej sukienki, długie do kolan lub pół łydki, na wąskich ramiączkach, zawsze w jasnych barwach, z delikatnej bawełny... Robił jej zdjęcia, ale tylko z zaskoczenia, zatopionej w słońcu i wietrze, złapanej w dziwnych pozach, z włosami zasłaniającymi twarz, opaloną ręką wzniesioną do nieba, w zachwianiu równowagi. Przyglądała się potem tym fotografiom z ptasią uwagą, przechylając głowę z boku na bok, mrugając w zdumieniu. Nie padało ani jeden dzień i to ciągle wystawienie na prawie afrykański żar naładowywało ich jakąś niespokojną energią — po zmroku, gdy się ochładzało, oni ją oddawali. Pamiętał żar jej nagrzanej skóry pod opuszkami, pod językiem woń dobrze nasłonecznionego otoczaka w jej zbrązowiałym naskórku; zapach jej włosów. Pili miejscowe, tanie wina — i tak smakowała, kiedy już noc zapadła najgłębsza i tylko właśnie smak, zapach, dotyk, z rzadka — słowo niedoartykułowane, szept bezmyślny. Budził się w gruboziarnistych mrokach przedświt, by z letargicznym zdumieniem konstatować harmonię, z jaką wydostawały się ku pościeli ich powolne oddechy; nawet serca biły w tym samym rytmie. Ponoć niektóre zwierzęta — szczenięta z jednego miotu, członkowie jednego stada sypiający w tych samych jamach — potrafią się tak zgrać. Budził się wcześniej, parzył jej kawę. Otwierał okna; przeważnie i tak były otwarte, przynajmniej uchylone. Nad portem krążyły mewy. Dźwięk mowy tubylców, język, którego nie pojmował — dodawał owym chwilom koniecznego posmaku tajemnicy, magii nazbyt egzotycznej, by w ogóle

mogła być dla człowieka zrozumiała. Wówczas, zapatrzonego, zaszuchanego, zaskakiwała go z tyłu, skóra do skóry, ciepły oddech na karku, i kiedy...

Zmiażdżony. Zabity. Wije się w ciasnych i zacieśniających się splotach morderczej Rzeźby czasoprzestrzeni. NavigatorXG informuje o stanie wykonania makra SpaceSculptora: Aguerre jest już prawie na miejscu. Więc tym bardziej: całą moc wkłada teraz Frederick w zrewersowanego Cage'a, rozpychając wrogą Rzeźbę. A co to właściwie za makro, jaki przepis Rzeźby, która go tak dusi, prawie imploduje? Też pewnie jakaś wersja Cage'a. Nie zdaje sobie Aguerre z tego sprawy, ale kiedy tak unosi się nad powierzchnią łoża w górnym czworościennym kubiku swego Ogródu (skasował OnTheGround i objęła go z nagłą nieważkość), na twarzy, na szyi, z węzłów chłonnych — wypacają mu się wielkie, tłuste łyzy gleju, fioletowa maź na białej skórze; taki ból, taka męka. Stróż pracuje na najwyższych obrotach, pompując hormony i ich wygaszacze, drażniąc stosowne ośrodki mózgowe. Ćwierć, pół sekundy, sekunda, dwie... pfuch! — pęka Rzeźba, zewnętrzna, Ogród Aguerre jest w otwartym kosmosie. Pół AU od planety Aguerre, między nią a gwiazdą, trzydzieści stopni nad ekliptyką. NavigatorXG od razu wskazuje źródło morderczej Rzeźby i uruchamia makro IronMaiden, znowu szarpiąc z Fredericka sto procent mocy. Xenotykowi wypiera dech z piersi; ale poddaje się rozkazom programu, to są słuszne procedury, jedyne możliwe reakcje w takiej sytuacji. Która, co prawda, nie ma precedensów, lecz co przezorniejsi xenotycy ułożyli sobie skrypty bodaj na każdą ewentualność, z bliskim vvybuchem nowej włącznie, i teraz następują po sobie, szybsze od myśli świadomych: ataki, kontrataki, finty oktomorficzne, Rzeźby nagłe a podstępne, mord brutalny w uścisku niematerialnych kleszczy, gdy nagle otwierają się na powłoce oddalonego o miliony kilometrów Ogródu wroga prawie punktowe leje grawitacyjne, w regularnych i nieregularnych mozaikach, każdy ciągnący żywokryst w swoją stronę. Żywokryst nie jest narażony bezpośrednio na te naprężenia, najpierw pokonać trzeba „pancerz” ochronnego Cage'a, o przeciwnie biegnących gradientach grawitacji. Milisekunda, trzy... różnica mocy jest nazbyt wielka, IronMaiden Aguerre połyka Cage'a skrytobójcy. Teraz przychodzi pora na żywokryst — nawet on, najwytrzymalszy z wytrzymałych, o ciasnych wiązaniach krystalicznych, pęka i rozpryskuje się w tysiącu kierunków naraz. Spuszczony w ciasne leje grawitacyjne Ogród zamachowca błyska krótką rozgwieżdżoną materii, ściśniętej do postaci plazmy, po czym — po zdjęciu makra Fredericka — zostaje uwolniony w próżnię w formie korony białych dżetów. Potem znowu wraca ciemność.

Sześć sekund; tyle wszystko trwało. Aguerre opada na łożo. Tętno wraca do normy. Drżącą ręką ściera z siebie pot iglej.

Ną wejściu do Iluzjonu aż gęsto od fantomów zgłoszeń kontaktu. Wszczepka Aguerre, *via* prowizoryczne detektory Ogródu oraz ponadbiegunowe grawimetry pobliskiej planety, mapuje Śmierć Asasyna. Poglejotycka perwersja czasoprzestrzeni jeszcze przelewa się w swym niedokształcie, nie fiksując się na końcowej figurze — może to potrwać minutę, może rok, w takim przedziale zawierają się dotychczasowe cztery przypadki.

Aguerre zajmuje się czym innym. Wchodzi w Iluzjon/Personal/Aguerre 17 i podnosi się na nogi w Skryptorium Zamku. Od pierwszego z brzegu skryby bierze ostatnie notowanie Luźnego i zakreśla bezsennych o potencjale do 10% większym lub mniejszym od mocy oktomorficznej zmierzonej na obronnym Cage'u zamachowca. Dostaje siedem nazwisk. Inicjuje wysokopriorytetowe połączenia z tą siódemką, śląc oficjalne kody *Primusa* OHX. Tylko troje się nie zgłasza. Skryba sprawdza mu tę trójkę w aktualnych rejestrach. Dwójka realizuje kontrakty, w myśl których Rzeźbi teraz gdzieś kiloparseki od Ferza. Kto się ostał drogą takowej eliminacji — Bartolomeo Cuomo, bezsenny od sześciu lat; Frederick przypomina go sobie mgliście. Ostatnie miejsce pobytu: Ogrody Orbitalne Aguerre. Zamawiał ultraszybki żywokryst.

Aguerre odwiedza Nastazję von Ravenstuck. Inkwizytor przyjmuje go w żywokrystnej willi na Dao Xia, na patio wysuniętym nad dwustumetrowy wodospad, w sercu niedjenajowej dżungli.

— Ilu zdążyła już pani przesłuchać?

— Szesnaścioro, *frei*.

— Odbierała pani od nich przysięgi milczenia?

— Nie; nic pan o tym nie wspominał.

— Wiem. Właśnie próbował mnie Zarzeźbić na śmierć *frei* Bartolomeo Coumo. Był w tej szesnastce?

— *Nei*. — Xenotyczka spogląda na Fredericka z jawną podejrzliwością. — Co pan właściwie planuje, *frei*? — I z nagłym gniewem: — Spełniłam swoje zadanie, czy też mam ich dalej przesłuchiwać?

— Jak najbardziej. Wszystkich.

Prefekt Hesjog oczekuje Aguerre w swym gabinecie w najwyższej kondygnacji Sraźnicy. Stąd rozciąga się widok na całe Aguerre City. Strażnica znajduje się już za Wielkim Atraktorem, wkrótce czekają transfer. Frederick gliny płynie w swym Ogrodzie ku planecie na 10% SpaceSculptora, 40% Cage/Armoura; Frederick iluzyjny wygląda przez obramowane kutrypicznym zielskiem panoramiczne okno na Miasto Chaosu, pogrążone w wiecznej nocy, lśniące pod bladymi gwiazdami i jasnym pierścieniem. Sądząc po zagęszczeniu ścieżek powietrznych, nadchodzi wieczór.

— Wstecz po życiu Cuomo aż do jego syzygii — mówi Aguerre, nie oglądając się na Hesjoga, który wraz z kilkunastoma iluzyjnymi współpracownikami stoi w postawie na baczność. — Cała własność prywatna, materialna i niematerialna. Przekopujcie pliki kabalistom. Lista kontaktów, zwłaszcza z ostatnich trzech lat. Przyjaciele, jeśli miał. Analiza statystyczna zleceń, które wykonywał. Analiza jego inwestycji. Opinie o jego zdolnościach wróżbiarskich. Najdrobniejszy ślad powiązań z lordem Amiel i...

Wszystko chwieje się, skacze w pionie i poziomie, drżą krawędzie, przedmioty spadają na podłogę, ludzie krzyczą. Zaraz włączają się zaburzenia symulacji ciężenia; Aguerre odruchowo usiłuje odpalić makro lewitacji, ale reflektuje się i tylko odstępuje od okna. Zresztą szybko wszystko się uspokaja.

— Co to było...?

— *Kreist*, to Śmierć Cuomo — spluwa Aguerre. — Poszła widać w ciężkie zapadlisko. — Obraca się do sekretarza. — Nowa mapa grawitacyjna układu!

— Robi się, *frei*.

Tymczasem Aguerre konferuje ze śledczymi. W Milicji Zakonu służą wyłącznie bezpieczeństwa zezastandaryzowanych konstytucjach i przysięgach wasalnych. Zamach na zwierzchnika *Ordo Homo Xenogenesis* jest zbrodnią główną, podobnie jak uczestnictwo w spisku na jego życie. Milicja Zakonu nie posiada oczywiście żadnych uprawnień do prowadzenia dochodzeń na innych planetach, pod jurysdykcją zwierzchnich państw — lecz w Iluzjonie/Open operować może wszędzie.

Na zakończenie spotkania wszyscy całują pierścień *Pñmusa*.

W swych apartamentach w Aguerre Tower Frederick próbuje odzyskać równowagę emocjonalną. Zamach na życie każdego by zdenerwował, trudno przejść nad czymś takim do porządku dziennego — dla xenotyków jednak, w sekundy uspokajanych przez stosowne programy Stróży, przemocą utrzymywanych w wąskich ramach norm chemicznych i neurofizjologicznych, zamknięta jest naturalna droga psychicznej rekonwalescencji. Wykresy diagnostyki Stróża pokazują, że Aguerre jest spokojny; ale jakże może być spokojny, gdy nie minęło jeszcze pół godziny od ataku? Pamięć, prześwietlona do bladego tableau zdarzeń, niepokoi tym bardziej. Chciał mnie zabić! Chciał mnie zabić! Chciał mnie

zabić! I przewija to, na zimno, spacerując po bezludnych apartamentach. Apartamenty Fredericka w Aguerre Tower rzadko wypełniają się gwarem rozmów, a jeśli już — to iluzyjnych. Stanowi to kolejny z efektów ubocznych funkcji tonujących Stróży: niezdolność do wytworzenia silnych więzi uczuciowych, wyzwolenia jakichkolwiek mocniejszych reakcji psychologicznych. Mogą bezsenni, co najwyżej, wspominać uczucia, te gorączki duszy, jakich doświadczyli w czasach przed syzygią — jeśli doświadczyli jakichkolwiek. Ale czy wspomnienie ognia parzy? Czy wspomnienie strachu przeraża? Wielkie i puste SA apartamenty Fredericka Aguerre. I kto teraz dzwoni, kto dobija się w Iluzjonie? Dziennikarze, politycy, podwładni i partnerzy w interesach Zakonu; oni.

I Carla Paige.

— Nie chcę zawracać ci głowy, na pewno masz teraz masę roboty, po prostu kiedy gruchnęła ta wieść, że był zamach także na ciebie... i że to xenotyk...

— Już taka wielka afera, co? Spokojnie, nic mi się nie stało.

— Mówiłam: powróż samemu sobie. Wróżyłeś?

— To nie działa w ten sposób — krzywi się *Primus*, wyglądając na wietrzną noc.

Gwoli prawdy, nikt nie wie, jak to działa.

Znowu trzęsie się ziemia. Ludzie na powietrznych alejkach nad AC chwytają się kurczowo poręczy, padają płasko na żywokryst, odpalają się edycje jego ratunkowych sieci. Niebo nad Miastem Chaosu zarasta czarnymi fraktalami.

Z tłumu pozostałych iluzyjnych zgłoszeń program sekretaryjny Fredericka jedno indeksuje na czerwono: prośbę o bezpośredni kontakt od Ivana Petrc OHX, aktualnie numeru szóstego u Luźnego, bezsennego od siedmiu lat. *Frei* Petrc załączył do kodów ID zaszyfrowany symetrycznym krypto zestaw współrzędnych. Aguerre odszyfrowuje wiadomość swoim kodem i sprawdza współrzędne: to Głupiec.

Otwiera połączenie.

Petrc zjawia się we fioletowej kamizelce nałożonej na czerwoną koszulę; kamizelka haftowana jest w karminowe róże. Długie włosy spięte ma srebrną kłamrą. Glej nie pokazuje mu się na skórze, lecz zabarwia białka oczu, są to oczy demona: czarne źrenice w kulach sinego granatu.

Aguerre wyciąga do Petrc dłoń, wpółzamkniętą, grzbietem do góry, z wielkim, błyszczącym pierścieniem.

Długą chwilę patrzą na siebie w milczeniu, obaj znieruchomiali w swych pozach, mrozący się nawzajem spojrzeniami. Nareszcie Ivan wyrywa się spod uroku, odwraca, wychodzi powoli na balkon.

Aguerre opuszcza dłoń. A zatem — dokonano się.

11. Schizma

Znają się przecież z Petrcem bardzo dobrze. Petrc kandydował do Rady trzy lata temu; przegrał o włos. Głośno kwestionuje politykę Zakonu. Na tajnym forum OHX w Iluzjonie postulował alternatywną strategię postępowania w negocjacjach z ICEO i zdobył dla niej takie poparcie, że Aguerre do tej pory ściera się z opozycją w łonie Rady. Przy tym wszystkim nie jest jednak Petrc nieszczerym, podstępny uzurpatorem, czego mógłby się spodziewać człowiek wychowany na stereotypach pop; Petrc zawsze postępował wobec Aguerre uczciwie (przynajmniej podług wiedzy tego ostatniego), swe zastrzeżenia wyrażał otwarcie, zazwyczaj najpierw w cztery oczy, i nie przenosił sporów programowych na płaszczyznę personalną.

Frederick zdaje sobie sprawę, iż większość „xenotyków nowej generacji”, tych z czasów po Karcie Bostońskiej, o łagodnych stampach i po bezkonfliktowych syzygiach, postrzega Ivana jako swego naturalnego przywódcę. Przyjął on giej późno, zdążył wcześniej zrobić doktorat z chaotycznych systemów negentropicznych, popracować naukowo. Jako xenotyk słynie z niewielkiej ilości akceptowanych zleceń.

Wyszli ponad miasto, idą krystścieżkami między monumentalnymi budowlami; nie boją się trzęsień ziemi, obaj iluzyjni — zresztą nawet gdyby byli tu w Glinie: są xenotykami. Idą bardzo powoli, przystając, oglądając się na kolorowe AC. To hierarchie Personal, nikt nie widzi spacerujących; a symetryczne krypto infinityczne obraca krążący między nimi strumień danych w czysty szum.

Idą tak w milczeniu i Aguerre zaczyna podejrzewać, że Petrc z własnej inicjatywy nie odezwie się nigdy.

— Będą następni? — pyta Frederick. Ivan unosi głowę.

— Kto?

— Tacy Cuomo. A może jakiś Kameleonek.

— Sądzisz, że chciałem czegoś podobnego?

— Taa, każdy zawsze chce dobrze. Tylko potem trudno zliczyć trupy.

— Uch. Aleś walnął.

— Gadaj lepiej, skoro sam zadzwoniłeś.

Petrc przystaje, obraca się plecami do Aguerre Tower, przysiada na balustradzie. W fioletowych oczach odbija się pierścień planety.

Bierze głęboki oddech.

— To schizma.

— Zauważyłem.

— Rozmawiam z tobą, żeby uniknąć dalszych podchodów. Ja już nie panuję nad nimi, uwierz mi, zresztą niby jak można panować nad bezsennymi? Sam wiesz najlepiej.

— Dlaczego nie wcześniej? Dlaczego w ogóle... Gabriel?

— Odruch paniki. Nie mój. Paige Przerzeźbił się do Koziółka, a zaraz potem poleciał spotkać się z tobą, prosto na Święto, nawet nie zahaczył o Błękit. Nic nie wiedziałem, Rzeźbiłem na *full*, prywatnie. A oni zdecydowali się zyskać na czasie.

— Wypuścili nano analityczne dopiero po wizycie Gabriela?

— Jak tylko się pojawił. To znaczy, jeszcze nie wiedzieli, kto to; że obca Rzeźba, i tyle. Dopiero potem, z wróżby eliminacyjnej...

— Było już obliczone.

— Z grubsza, tak.

— Co?

— *Frei...*

— Czyjej tajemnicy strzeżesz? Mhm? Nie powiesz? — Podchodzi do Petrc'a coraz bliżej. — Kto was kupił? Dla kogo Rzeźbicie po kryjomu? Czyj to był Kameleon? Co tam się komputowało?

Ivan znowu przeciąga długą chwilę milczenia. Glejowate oczy nie mrugają.

— No? — naciska Frederick.

Petr c wzdycha.

— Zdaje się, że czeka mnie mowa Wielkiego Kusiciela. Coś w tyłu Goethego. Czujesz się na siłach? Jak tam twoja dusza?

— Dziękuję, nie narzekam. Przestań się wygłupiać.

— Dobra, posłuchaj. Pamiętasz, jak mówiłem ci o Twierdzeniu Greasona? Że dowiódł go *frei* Muczachan? Pamiętasz?

— Bo co?

— Jaki jest nasz największy atut, Fred? Xenotyków. Powiedz. Co daje nam największą przewagę?

— Rzeźba.

— Nie.

— Nie będę grał w dwadzieścia pytań.

— Glejomysłność. Nigdy nie chciałeś mnie słuchać, kiedy próbowałem cię przekonać. Rzeźba to praca fizyczna, wozimy u? te i we w te ludzi oraz towary, zrobili z nas wysokopłatne woły robocze; ale prawdziwe szansę, prawdziwe cuda kryją się w bezpośrednich sprzęgach naszych mózgow; w glejem. Nie widzisz tego? To dopiero Sezam! Bo czym tak naprawdę jest alej? He? Masz tu — ogarnia ruchem ręki połowę Aguerre City — tysiące biologów pracujących wyłącznie nad tajemnicami *Xenogenesis procaryota gleiophyta*, ale czy odpowiedzieli na choćby jedno z pytań, które postawił jeszcze Łużny? Bo na jakiej właściwie zasadzie działają glej—organelle zeroczasowego rezonansu? W jaki tak naprawdę sposób glej odkształca czasoprzestrzeń? Co to za oddziaływania i jakie są ich nośniki? Skąd pobiera energię i jaka to energia? Jak to możliwe, że znajdujemy te same organizmy w ekosferach różnych gwiazd? Gdzie są relikty ich ewolucji, jak wyglądali ich przodkowie, jak to przebiegało? Czy glej, jako jeden organizm, plankton galaktyczny, na pewno nie posiada inteligencji, świadomości? Jak jest stary? Dokąd sięga? — Mleczna Droga? gromada galaktyk? wszechświat? Czy znasz odpowiedź na choć jedno z tych pytań?

— Nie, wiesz, że nie.

— A nosisz go w każdej komórce swego ciała, nowe mitochondria; krąży ci we krwi; symbiozuje na dendrytach. Zatem kim jesteś ty sam?

— Xenotykiem.

— Ale to tylko słowo. Elegancko skrojona szata.

— No więc przemów, proroku!

— Ach. Gniew. Widzę twój gniew, Fredericku. Okazanie uczuć przez xenotyka. Takie chwile należy dobrze zapamiętać. Drogocenne kamienie, które obracać będą we wspomnieniach aż do zupełnej gładkości. Rzadkie — i coraz rzadsze, bo za każdym razem Stróż uczy się na błędach,

koryguje algorytmy; nie spodziewaj się drugiej wpadki, odtąd wszczepka reagować będzie jeszcze szybciej, jeszcze precyzyjniej, dopalacze dokrewne stłumią w zarodku wszelki niepokój hormonalny, indukatory nakorowe wygładzą nagłe sztormy EEG... Cichy i doskonale przejrzysty jest świat bezsennych, niczym chińska sadzawka, staw w japońskim ogrodzie medytacyjnym.

Petrz zeskakuje z balustrady, ujmując Aguerre za bark.

— Wiesz, że próbowałem tego uniknąć — mówi. — Ale ty usiłujesz zbiurokratyzować Tajemnicę. Tak nie można.

— Pieprzenie. Co tam liczono?

— Chodźmy, *frei*.

Znowu długie minuty. Ścieżka (iluzyjna, rzecz jasna) zakreśla nad AC skomplikowaną spiralę wznoszącą, o coraz większym promieniu. Mijają transferowany właśnie fragment metropolii: bunkropodobne baseny Bagien, kutrypiczny park amfiteatr; to wszystko pod ich stopami. Nad głowami — blade gwiazdy.

— ...do czegoś więcej, aniżeli wybór lepiej rokującej spółki — mówi Ivan, nie podnosząc głosu ponad poziom ledwie—słyszalności, tak że Aguerre musi skupić na nim całą swą uwagę; kusi go, żeby podkreślić dźwięk w setupie. — Pośród xenotyków jest siedemnaścioro, którzy rozpoczęli przed syzygią kariery naukowe; jedenaścioro z nich w naukach ścisłych. Przerwali je. Dlaczego? Powiedz mi, Fred. Żeby Rzeźbić dla szemranych kompanii i równie podejrzanych państw od gwiazdy do gwiazdy, miasto Chińczyków, parę ton uranu, kolorowe menażerie... kim jesteśmy, jeśli nie tragarzami—eunuchami? Miliony, o, miliardy nawet dają nam w zamian, proszę, kto chce kupić planetę, wyhodować miasto, ogłosić się królem —czy to jest kres naszych możliwości? pułap marzeń? sens bycia xenotykiem? Bo ja potrafię wyobrazić sobie więcej; ja i inni. Pytasz, komu sprzedaliśmy się, dla kogo zdradzili. Dla nikogo. Ty ciągle myślisz w stary sposób. Nie musimy się sprzedawać. Sami mamy wszystko, czego nam trzeba. Kapitał — jesteśmy miliarderni. Ziemię — mamy dla siebie cały kosmos. Potencjał intelektualny... czy muszę mówić dalej?

— Lokacja w próżni międzygwiazdnej — recytuje sucho Aguerre. — Przeciwnie do Wektora. Żywokryst i Bagna. Twoi xenotycy—naukowcy. Nie marnują czasu na Rzeźbienie... wróżą. Ten glejokryst, *gaud*, ten glejokryst...! Kto to był?

— Doktor Arvenna Deuce; u Luźnego w ostatniej setce, ale w nanobiologii — jeden z najlepszych umysłów. Rzeźbić? Po co? Dla pieniędzy? Ile milionów więcej stanowi różnicę? Po syzygii odkrycie glejokrystu zabrało jej cztery miesiące. Kształty krwi w gorącej wodzie.

Aguerre kręci głową, pustym wzrokiem mierząc miasto.

— I co jeszcze, co jeszcze?

— Przykro mi. Teraz jest już za późno. Sam się odciąłeś. —Straszne oczy Petrcy są suche, nieruchome, gdy z analitycznym spokojem obserwuje reakcje zwierzchnika Zakonu. — Nie próbuj jej szukać; już nie jest członkiem *Ordo Homo Xenogenesis*. Żadne z nas nie jest. Przykro mi — powtarza.

Ale czy istotnie jest mu przykro? To mimo wszystko chwila jego tryumfu, moment chwały; może nie od razu spełnienie marzeń, lecz bez wątplenia — nowy pokarm dla ambicji.

Aguerre wciąż błądzi po omacku, myślami i wzrokiem.

— Skoro glejokryst to w całości wynalazek *frei* Deuce, skoro nie współpracowaliście z nikim... to jak właściwie Gabriel trafił do Głupca?

— Gdzie? Ach, tam. Szczerze mówiąc, też mnie to zastanawia. Przypadek? Nie sądzę. Musiał kogoś z nas śledzić, wraz z Yesadą. Ale skąd podejrzenie...

— Projekt SWING. Czy zaburzyliście moment obrotowy gwiazdy?

— Nie; wiedzieliśmy przecież, że monitorują całą galaktykę. Sami mamy udziały w SWING-u.

— Nie dziwię się. Z tą technologią glejokrystu...

— Tobie też radzę. To się będzie...

— Cuomo — przerywa Petrcowi Aguerre.

Ivan cofa się, czerwone rękawy wydymają się na iluzyjnym wietrze — ptak drapieżny w pozycji obronnej.

— Mówiłem ci: ja nie panuję nad nimi.

— To jest bardzo dobra wymówka — przyznaje Aguerre, odwracając się do schizmatyka plecami. — Nie przypuszczam, byś wydał rozkaz. Ale z pewnością podejrzewałeś... liczyłeś się z tym, że prędzej czy później, ktoś, pod jakimś pretekstem... Prawda? I czekałeś, po prostu czekałeś; bo „nie panujesz nad nimi”. Zaprzecz.

Na zafraktalowanym czarno niebie już prawie w ogóle nie widać gwiazd. Normalnie ów żywokryst szybko by się rozpadł, ale miasto wciąż co jakiś czas się trzęsie i sieci asekuracyjne są utrzymywane. Aguerre i Petrc przystanęli przy wschodniej, przedniej granicy miasta, na wysokości trzydziestego piętra; widok na równinę blokuje im gigantyczna ściana budynku akceleratora Instytutu Thorpe'a — tak, że mogą patrzeć tylko ku zachodowi, na zaciemnione Aguerre City. Jakby znajdowali się w jaskini żywokrystu: poniżej agresywna architektura, niejasnych symetrii, powyżej zaraza czarnego szronu. Frederick przygląda się temu w wielkim rozkojarzeniu, dżungla skomplikowanych kształtów uruchamia mu dziwne łańcuchy asocjacyjne.

— Może i masz rację — mruczy powoli zza jego pleców Petrc. — Może faktycznie takie były moje podświadome motywy... Ale tego typu podejrzeń nie sposób sprawdzić. Nawet jeśli się teraz szczerze przyznam, pod otwartym Stróżem, na czystych wariografach, to też nie będzie nic znaczyć, bo mogłem sobie w międzyczasie wmówić najgorsze i prawdziwie w to uwierzyć. W każdym z nas czai się to zwątpienie w samego siebie, podejście mroku, więcej: nawet jakieś perwersyjne pragnienie znalezienia w sobie jak najliczniejszych cech ciemnego bliźniaka. Każdy, mówiąc „Jestem absolutnie niewinny” odruchowo już szuka w sobie winy; któż dziś wierzy w niewinność? Nie ma czegoś takiego. Tylko gradacja podłości, między biegunami różnowartościowych egoizmów. Tak się...

Nie jest to tarot, brak jego łatwej symboliki, nie ma też Aguerre żadnego wpływu na wzór — a jednak czuje to samo delikatne, fantomowe swędzenie, gdzieś między tyłomózgowiem a oponą, początki ruchu, którego finału nie sposób przewidzieć, lecz którego każdy etap jest tak samo nieunikniony. Skojarzenia przystają do siebie niczym wnętrzości dobrze naoliwionego tłoka. Ruch przenosi się coraz szybszymi falami, prawie go Frederick słyszy, tłummm-tuummm, tłummm-tuummm, począwszy od krzaczastego cienia na ścianie Strażnicy, skończywszy na fioletowych oczach milczącego Ivana Petrc'a.

Aż obraca się ku niemu i spogląda w te oczy, i nagle wszystko staje się jasne: powód wizyty schizmatyka, styl konwersacji, długie okresy jego milczenia, niespodziewana otwartość... Wszystko, byle maksymalnie przeciągnąć rozmowę. Czas! Czas!

Tylko wymieniają spojrzenia. Petrc otwiera jeszcze usta, lecz Aguerre ucina połączenie bez słowa, Ivan znika ze ścieżki niczym wyegzorcyzmowany duch.

Czas! Fredericka roznosi nieukierunkowana energia. Czy zdąży? Czy też Ivan wygrał?

Ale jaka właściwie jest stawka?

12. Gwałt

Nie wie, co robić, więc faktycznie układa tarota. Sama ta czynność uruchamia wyciszające procedury Stróża, bo teraz już każde odwołanie się do glejintuicji będzie Frederickowi przypominać o Ivanie Petrcu i o tym, iż w tej kwestii od początku miał on niewątpliwą rację — że to glejomyślność, nie Rzeźba, stanowi o prawdziwej potędze — więc wygląda to tak, jakby za każdym wyłożeniem Arkanów korzył się przed Petrcem, omalże składał mu przysięgę wasalną, zwłaszcza za pierwszym razem, kiedy jeszcze ciężką goryczą zalegają Aguerre w ustach słowa w dobrej wierze wypowiedziane do Petrcza, podczas gdy on był zawsze o ten jeden krok w przodzie, o jedną odpowiedź mądrzejszy, bo... glej.

Na jaki zysk mógł Petrc liczyć? Ile mogliby tak rozmawiać? Godzinę? Dwie? Nie więcej. Co się przez ten czas stanie? Przed czym Ivan go powstrzymywał?

Czwórka Kielichów, Ósemka Buław.

Nie wymienił całkowitej liczby schizmatyków. Von Ravenstieck wciąż pracuje — prędzej czy później ujawnią się wszyscy, lecz to jest rząd dni, nie godzin. Więc nie w tym rzecz.

Nastazja. Ile już trwa postępowanie inkwizycyjne? Jak dawno temu poszedł po Iluzjonie okólnik? Czy jest jeszcze xenotyk, do którego nie dotarł? Tylko jeśli przez cały ten czas, bez przerwy Rzeźbił. Czy jest ktoś taki?

Aguerre bierze od skryby aktualny rejestr, zakreśla warunki czasowe. Zaledwie jeden kandydat: *frei* Richard Horpache, 208.4 oct., nr 284 u Luźnego. Aguerre go zna, Horpache jest z wykształcenia astrofizykiem, składał przysięgę niecały rok temu. Pasuje do profilu schizmy wręcz idealnie. Aguerre sprawdza szybko cel Rzeźby Horpache'a i na kilka sekund przyśpiesza mu puls: Horpache Rzeźbi tutaj, przewidywany czas przybycia: czterdzieści minut; minął już Punkt Ferza.

Tak oto wyłania się, dotąd ukryta, logika zdarzeń. Aguerre wypuścił inkwizytora, schizmatycy dowiedzieli się o przedmiocie śledztwa od pierwszych przesłuchiwanym, sprawdzili cel Rzeźby Fredericka (muszą mieć jakieś dojście do Rady Zakonu), przerazili się demaskacji Horpache'a, w każdym razie Cuomo się przeraził (może przyjaźnił się z Horpachem; czy to nie na spotkanie z nim w Glinie leci tu Richard?), postanowił prewencyjnie Zarzeźbić Aguerre, nie wyszło, a że to tylko zwiększyło szansę demaskacji Horpache'a, włączył się Petrc próbując odwrócić uwagę Fredericka do czasu, aż info o inkwizycji dotrze do pechowego schizmatyka; też nie wyszło.

Do czego posuną się teraz? Czy pójdą na otwartą konfrontację w obronie Horpache'a, nad planetą Aguerre?

— Skrybo.

Frederick sprawdza, kto z OHX przebywa w AC i okolicy. Wbrew pozorom „stolica” xenotyków nie roi się od nich, w każdym razie nie w *CLay*. Czterech bezsennych, nie licząc samego Aguerre — czy to mało, czy dużo? Jakie właściwie jest prawdopodobieństwo, iż znajduje się pośród nich kolejny schizmatyk? Przyzerowe — o ile nie zbierali się tu planowo. Tak czy owak, żadnego z nich nie zna Frederick na tyle, by mu zawierzyć w sprawie Horpache'a. Jednak z drugiej strony — 208 oct. to nie w kij dmuchał; z Cuomo było ciężko, a przecie z Horpachem musi pójść bez porównania szybciej... A Scilla wciąż gdzieś przy jądrze...

Trzydzieści pięć minut. Wynurza się w Iluzjonie pięciowymiarowego odwzorowania czasoprzestrzeni: tu tylko gwiazda, samotna planeta i długie tuleje Rzeźb, dżdżownice zbyt pokręcone, by dały się opisać słowami wywiedzionymi ze świata dostępnego dla zmysłów *Homo sapiens*. Jest tych robaków 5D cztery: jeden samego *Primusa*, jeden niejakiego Vetona McBlaya OHX, już opuszczającego dolinę gwiazdy, 5000 AU od niej i coraz dalej; jeden Richarda Horpache'a. I jeden Yesady Ori, zgodnie z poleceniem Fredericka przybywającej do Aguerre City.

Frederick szybko estymuje na Bagnach wyprzedzenie Yesady względem Richarda: około dziesięciu minut, jeśli oboje trzymać się będą optymalnych torów. Sam rozkazuje swemu Navigatorowi XG pójść na przechwycenie. Spotkają się na krzywej wyprzedzającej planetę.

Tymczasem dokonuje się autodestrukcja jego Ogrodu. Aguerre potrzebuje specjalistycznego, wysokoenergetycznego żywokrystu, i to w dużych ilościach; jedyny materiał, jakim dysponuje do jego hodowli, to żywokryst Ogrodu oraz wypełniające go masy organiczne ze szczepami QTRP i DNA (DNA, bo xenotyk musi coś jeść podczas lotów). W kanibalistycznej gorączce Ogród rozgrzewa się do ponad 60°C. Aguerre izoluje się w wewnętrznym kubiku, odcinając całkowicie od reszty Ogrodu — która nie jest już Ogrodem.

W głębszym Iluzjonie konferuje z ekspertami Zakonu, wybierając najlepsze programy inwazyjne. W plytszym — obserwuje nieuchronne zbliżanie się do siebie trzech larw 5D.

Jedenaście minut. Znika jedna, a zaraz potem druga larwa.

Yesada jest zmęczona. Nie rozumie lub nie chce zrozumieć, o co prosi ją Aguerre; a Aguerre się śpieszy, nie ma czasu na wyrafinowane podchody.

— Schizma, *frei* — podnosi głos, a mała Yesada odruchowo cofa się pół kroku w kutrypiczną gęstwę swego salonu,

1 Fredericka znowu ściska za serce poczucie winy. — Ujawnili się; trzy godziny temu jeden z nich chciał mnie tu Wyrzeźbić na nice. Oni zabili Gabriela. Jakie tu, do cholery, można mieć jeszcze wątpliwości?

— Po prostu nie rozumiem, dlaczego sama schizma musi być koniecznie zła.

— Popierasz ich? To mordercy.

— Niektórzy z nich, zapewne. To wciąż nie świadczy o słuszności czy niesłuszności ich sprawy.

Aguerre widzi, że wobec takiego podejścia niewiele zdoła. Mógłby wydać xenotyczne bezpośrednie polecenie jako *Prímus Interpares* OHX, ale jeśli Ori odmówiła jego wykonania, pchnąłby ją w ten sposób wprost w objęcia Petrea. Zresztą nie chce jej przymuszać.

Zatem:

— Yesada, Yesada... — kładzie się na sofie pod kutrypiczną palmą, garbi się bezradnie. — Byłaś jedyną osobą, do której sądziłem, że mogę mieć pełne zaufanie; obok Scilli. Zaimponowałaś mi wtedy w Wenecji. Sądziłem, że skoro tak cenisz sobie etos xenotyka... że przysięga złożona Zakonowi... Nic już nie wiem.

Przykłęka przed nim, dotyka lekko jego pokrytej fioletowymi plamami dłoni, zagląda w twarz w cieniu.

— Przecież nie powiedziałam, że nie Frederick. Chodź, pomogę ci.

Tak rodzi się plan gwałtu.

Richard Horpache do końca niczego nie pojmie. Wszak nadal nic nie wie ani o odkryciu Głupca, ani o inkwizycji, ani o Cuomo i ujawnieniu schizmy. *Full SpaceSculptor* przymuła go ciąglą Rzeźbą do poziomu ciężkiego letargu. Pozostaje mu niecałe cztery minuty do zakończenia wykonywania makra, gdy w jego falę FTL uderza kontrfala, tak przesunięta w fazie, że całkowicie niwelująca Rzeźbę. Od razu zamyka się na Ogrodzie Horpache'a ciężki Cage/Needler, na grawitacyjnych

szpicach niosący gęste chmury inwazyjnego żywokrystu Ochronna Rzeźba Horpache'a przebita zostaje tak szybko że Richard nawet nie ma czasu wzmocnić makra — cały atak prowadzony jest przez programy na wszczepkach Aguerre i Ori, żadne decyzje nie są tu podejmowane na żywo, rozbudowany skrypt odpowiada za całość operacji, milisekunda po milisekundzie. Horpache jeszcze nawet nie zaczyna odzyskiwać przytomności, gdy w zewnętrzny żywokryst jego Ogrodu wżera się małowzrostkowe nano destrukcyjne, przeżegując do wnętrza habitatu niezliczone mikrotunele, którymi włacza się do środka specjalistyczny żywokryst medyczny. Tu następuje — spodziewane — opóźnienie akcji, moment krytyczny, nie sposób bowiem przyspieszyć wędrówki molekuł w powietrzu ponad pewną graniczną prędkość i w zależności od tego, gdzie konkretnie w owej chwili znajduje się w swym Ogródzie Horpache, schizmatyk może zyskać od sekundy do kilkunastu sekund na reakcję. Aguerre liczy wszelako na dezorientację Richarda oraz *default* posunięć jego wszczepki — standardowo priorytety układane są w ten sposób, iż najpierw program uruchamia makra hermetyzujące, ochronne, przeróżne Cage/Armoury; dopiero potem (jeśli w ogóle, bo podobny atak nie miał precedensu w historii OHX) troska schodzi na poziom chemii. Aguerre liczy po cichu na dodatkową stampę Yesady; dlatego też wysunął ją na pozycję najbliższą Ogródowi schizmatyka. Może stampa przysłuży się szczęśliwej konfiguracji i opóźnienie nie będzie duże... Ostatecznie okazuje się, że wynosi trzy koma trzy sekundy — i dla Richarda jest to co najmniej o pół sekundy za mało. Żywokryst inwazyjny dotarł do jego ciała i rozpoczyna egzotermiczną krystalizację we wnętrzu płuc, jednocześnie prac z krwią ku mózgowi i w szybkich reakcjach z osoczem wytrącając mu w żyłach substancje narkotyczne, brutalne analogii hormonów, neuroleptyki kompleksowe. Stróż próbuje kontrować, ale jest zbyt wolny, zresztą zaraz i do niego dociera stosowny żywokryst i blokuje mu połączenia nerwowe. Kolejna sekunda i pada ostatni bastion: mózg *frei* Horpache'a zostaje spenetrowany przez neurokryst komplementarny, nano logiczne przyrasta do rozplenionej po korze wszczepki, osadza się na drzewach dendrytowych, mapuje impulsy aksonowe. Omijany jest tylko glej, nie ma bezpośrednich połączeń do *X. procaryota gleiophyta*. Żywokryst inwazyjny niesie własne komórki glejowe, dzięki czemu struktury mózgu i wszczepki Horpache'a zostają sukcesywnie odwzorowywane czasie rzeczywistym na Bagnach Zakonu. Pierwszym zadaniem „egzowszczepki” jest powstrzymanie wszczepki oryginalnej od wszelkich działań autodestrukcyjnych, ucieczek pod infinityczne krypto, wymazywania danych, w szczególności — indeksu dyslokacji plików. Wszczepka i Bagna mogą być kryte krypto, lecz jakiegokolwiek pochodzące z nich dane, zanim są poddawane kompleksami bodźców neuralnych mózgowi człowieka czy xenotyka, muszą zostać zdeszyfrowane. Aby zatem wdrzeć się do tych skarbców, należy zeskanować implementowaną informację niejako *in statu nascendi*; potem pójść za nią wstecz, pod klucz stosowany przez wszczepkę; poznawszy klucz, wejść na zarząd wszczepki i skopiować indeks; następnie przyznać sobie uprawnienia właściciela i z jego ID skopiować, zdeszyfrowane, wszystkie dane z samej wszczepki oraz Bagien i serwerów, których adresy posiadała ofiara. W momencie, gdy żywokryst inwazyjny Aguerre kończy powyższą procedurę, *frei* Richard Horpache jest już zaledwie nieświadomym otoczenia, pozbawionym pamięci połciem glejomięsa, o jedynym sprawnym wegatatywnym układzie nerwowym; całą resztę protezuje egzowszczepka, stymulując w zaprogramowanych przez kognitywistów OHX sekwencjach stosowne ośrodki mózgowe. Między innymi restartuje ona NavigатораXG Horpache'a, narzucając mu nowy setup i wyznaczając nowe zadania, tak że schizmatyk „samodzielnie” Rzeźbi się pod pierścień planety, ku Ogrodom Orbitalnym Aguerre i rozpościerającym się przed nimi polom żywokrystnym, już profilowanym w próżniowe więzienie. Podczas gdy sam Richard Horpache (jego ciało) unosi się bezwładnie nad fotelem w gabinecie swego Ogrodu, ślina leci mu z ust, glej z nosa, i ciężko dyszy, bezmyślnie wpatrując się w wirującą na suficie galaktykę jasnych gwiazd; zgwałcony.

13. Projekt REVUM

Przekopiowano 148.5 TB w 25437 plikach. p0 sformatowaniu i przepuszczeniu przez filtr tematyczny pozostały 84 pliki, głównie danych redukowalnych do linearnego przekazu dyskursywnego. Turingówka Zamku kompiluje i streszcza pakiety aż do postaci opracowania przyswajalnego przez Aguerre w rozsądnym czasie; opracowanie jest palimpsestowe, gęste od połączeń hipertekstowych. Niektóre linki, zamiast do innych partii tekstu, prowadzą do lokacji iluzyjnych lub plików skanów wszechmysłowych. Aguerre jednak wyłącznie czyta — w przypadku wiedzy w znacznym stopniu opierającej się na pojęciach abstrakcyjnych bądź o niejednoznacznych desygnatach, jest to najszybsza i najefektywniejsza forma transmisji.

Założenia Projektu REVUM sformułowane zostały tuż po drugim spotkaniu Grupy Petrea. Było ich wtedy zaledwie siedmioro, cichych opozycjonistów, niezadowolonych marzycieli; jeszcze nie padło słowo „schizma” i nie ustaliła się struktura spisku. Spotykali się w Iluzjonie *sub rosa*, wymieniali idee, luźno dyskutowali... Pierwsze pytanie zadał *frei* Klinger; później to on i Horpache nadzorowali realizację Projektu — stąd tak obszerne archiwa u Richarda.

Pierwsze pytanie było zresztą zupełnie niewinne. Co z Równaniem Drake’a, spytał Klinger. Co z *silentium uniwersi*? Trochę już sobie Porzeźbiliśmy, postawiliśmy parę teleskopów, grawimetrów — i mocno zawężyły się przedziały większości zmiennych Równania. Jeśli nie w naszym oknie kontaktu, to w każdym razie kiedyś w przeszłości musiało tu zaowocować innymi psychozoikami. Skamieliny meteorytowe pozostałe po planetokłaźmie glejonośnego Posejdon datują glej w tym ramieniu Mlecznej Drogi co najmniej dwanaście milionów lat wstecz. Taki więc okres należy brać pod uwagę. Przeliczywszy na nowo Drake’a..., jakie jest prawdopodobieństwo, iż żaden inteligentny gatunek nie przeszedł przed nami tej ścieżki technologii glejowych? (Zgodzili się, że nikłe). Więc skoro ktoś — przynajmniej jedna cywilizacja — zrealizował te wszystkie etapy przed nami, a miał na to miliony lat... to gdzie jest teraz? 1 to zarówno w znaczeniu metaforycznym — „gdzie” na ścieżce technologii glejowych — jak i całkowicie dosłownym — gdzie, no gdzie Oni są?

SETI przeżywa swą drugą młodość, radioteleskopy dyspersyjne zapełniają zapisami szumu gwiazdowego rnegaklastry Bagien; na razie bez efektów. *Silentium uniwersi* potęguje zagadkowość sytuacji. W owym czasie Soure i Vlasky zaczęli popularyzować w środowiskach akademickich ideę „ultrakonwergencjonalizmu”; obok kassandrycznej teorii Spirali, przynajmniej tłumaczyła jakoś tę sprzeczność. Wszelako Petrcowi zapaleńcy nie dawali wiary tym — nazbyt prostym w ich mniemaniu — odpowiedziom. Zresztą dlaczego mieliby? Właśnie podpisali się wspólnie pod doktryną „nauki glejomysłnej”: dedukcji i, przede wszystkim, indukcji inicjowanych, wspieranych, stymulowanych i domykanych dzięki „wróżbom” xenotyckim — „prawdziwe powołanie bezsennych”.

Soure i Vlasky (z uniwersytetów w Seattle i Johannesburgu) odpowiadali na pytania o los braci w rozumie, wskazując na glej: oto jak kończy każda cywilizacja igrająca z *Xenogenesis procaryota gleiophyta*. Najpierw mają swoich xenotyków, potem swoje Żłobki... zwieńczeniem trendu jest konwersja w sam glej lub formę tak doń podobną, że praktycznie tożsamą gatunkowo. Dlaczego? Tego na tym etapie jeszcze nie wiemy; lecz poczekajmy kilkaset lat, nasi glejolodzy na pewno

wysuną przekonujące argumenty. Hipotezą ta jest o tyle wiarygodna, że tłumaczy zarazem wiele aspektów samego gleju: jego rozprzestrzenienie po galaktyce, lokalne różnice we właściwościach, niezrozumiałe „Rzeźby swobodne” (że niby są to efekty uboczne procesów zachodzących na nieznanym poziomie, gdzie kryje się inteligencja gleju). Oponenci oczywiście pytali o początek procesu: skąd mianowicie w myśl powyższej teorii miałby się wziąć pierwszy glej? Soure i Vlasky mieli gotowych kilka wariantów wyjaśnień: że wyewoluował naturalnie w atmosferze jednego z gazowych olbrzymów, w jakiejś pierwotnej, dalece „słabszej” postaci; że został stworzony całkowicie sztucznie, to taki ichni kutryp; i parę wersji pośrednich.

Hipoteza Spirali była jeszcze bardziej pesymistyczna. Nie spotykamy Ich, nie słyszymy — ponieważ już Ich nie ma, a w każdym razie nie w dostępnym nam kosmosie. Niezależnie od różnic gatunkowych, istnieją pewne „kroki stałe” dla każdej inteligencji, a mianowicie te wynikające z praw fizyki, bo z jakiej niszy by psychozoik nie startował, zawsze w końcu potknie się o prędkość światła, nieoznaczoność Heisenberga i im podobne bariery wmontowane w strukturę wszechświata. Spiraliści zakładają, że przewyżczenie każdej kolejnej takiej bariery zawęży ścieżkę wyborów technologicznych/cywilizacyjnych i w końcu doprowadza wszystkie gatunki do tego samego punktu. Tu spiraliści posiłkują się tezami filozofów cywilizacji i twierdzą, iż żadna cywilizacja nie jest w stanie wybierać drogi swego rozwoju; że każdy kolejny etap determinowany jest mniej lub bardziej ściśle, przez poprzednie; i że nigdy nie można przewidywać dalej, niż jeden etap do przodu. Pędzimy po zacieśniającej się spirali i nie mamy możliwości się zatrzymać. Gdzie są Obcy? Przed nami. Ci za nami jeszcze nie wyszli z błota; ci z przodu — równie dobrze też mogą kryć się w błocie. Któż odgadnie pięć etapów na przód, kto przejrzy kurtyny przejść fazowych, niespodziewanych odkryć? To niemożliwe.

Oczywiście Xenotycy Petrcy, ci racjonalistyczni augurowie, wystąpili z rozumowaniem (czy może prorocstwem?) konkurencyjnym. Od Sourego i Vlasky’ego wzięli przekonanie o wszechświatowym uniwersalizmie technologii glejowych; od spiralistów — wiarę w pankosmiczny przymus konwergencji. Początek trendu przecież sami widzimy — mówili — a nawet realizujemy. Prędzej czy później anomalie w ruchu planet wykryje każdy gatunek; zainteresuje się nim, odkryje glej, będzie próbował wykorzystać nieznane siły. Tak powstają xenotycy wszystkich możliwych ras. Ale przecież są dalecy od ideału — o i ile lepsze byłyby organizmy od początku, od blastuli, immanentnie glejotyczne: inteligentni i panujący nad swoimi emocjami glejotycy. Tak więc zaczynają się eksperymenty ze Żłobkami. U nas niby wciąż obowiązuje zakaz, ale padnie, padnie na pewno, gdy tylko nasi glejolodzy podciągną wskaźniki oktomorficzne i wyjdziemy poza galaktykę. Spontaniczna Rzeźba płodów glejotyckich, zbyt niedorozwiniętych, by był w ogóle sens instalować im Stróże, nie będzie wówczas grozić dewastacją Mlecznej Drogi.

Co po glejotykach? Z pewnością pójdzie to (kalkulowali Petrcowcy) w rozwiązania potęgujące moc glejotyków oraz ich następców, i to wykładniczo, bo tym szybciej, im lepsza glejomysłność naukowców, a Petrcowcy nie wątpili, iż ta dziedzina stanie się domeną naukowców—wróżbitów: glejotycy projektujący postglejotyków projektujących postpostglejotyków... *etc.*

Analogiczny progres nastąpi w Rzeźbie. Jakie jest tu ekstremum? Rzeźba totalna: na stałe deformująca dowolnie duże fragmenty czasoprzestrzeni. Cywilizacje rozporządzające ową technologią szachowałyby się wzajemnie na podobieństwo mocarstw jądrowych z czasów Zimnej Wojny, bo jakże zniwelować takie zagrożenie?

Petrcowcy kojarzyli tak: podczas Zimnej Wojny trzeba byłoby w tym celu uciec na inną planetę; zaś podczas wojny ultymatywnych glejotyków — Odrzeźbić się do prywatnego kosmosu.

Oto jest powód, dla którego nie spotykamy Obcych, ani śladu też po nich: Odrzeźbili macierzyste

układy gwiazdne, grupy układów, zabierając wszystko ze sobą i zabezpieczając się tym sposobem przed wraźmi Rzeźbami. Oto jest powód, dla którego ich nie słyszymy: komunikują się przez własny Iluzjon, a nawet jeśli podróżują między Odrzeźbami, to na tak „zawiniętych” falach FTL, że nie wykrywamy nawet drgnięcia faktury czasoprzestrzeni.

Zważywszy na te dwanaście milionów lat (a zapewne znacznie więcej), takich Odrzeźb powinno być już sporo, także w Mlecznej Drodze (bo o występowaniu gleju w innych galaktykach nic na razie nie wiemy). No, ale tu pojawia się problem: jak znaleźć w naszym wszechświecie coś, co *de facto* do niego nie należy? Wprawdzie wszelkie modele oktomorficzne pokazują, że jakaś łączność musi zostać zachowana — ale Jakaś” może oznaczać (i najpewniej oznacza) szczeliny przyplanckowe. Znaleźć coś takiego w galaktyce... to już nie jest poszukiwanie igły w stogu siana, to czysta niemożliwość.

Nie dla naszych niezłomnych spiskowców. Z pomocą „*I Cing*” przebywają morze rozpaczy i w momencie, gdy Deuce występuje ze swym nieskończenie szybkim komputerem glejokrystnym, Klinger zna sposób na znalezienie drogi do postglejotyckich Obcych z najdalszych odcinków Spirali. Tak rodzi się Projekt REVUM.

Po Odrzeźbionych fragmentach Mlecznej Drogi —argumentował *frei* Klinger — nie pozostał oczywiście żaden ślad, żadna „dziura” czy superpustka w kosmosie; po prostu ich sąsiedztwo „zbiegło się” ku sobie. Jednokowoż miejsca takich „zbiegów” da się wykryć, ponieważ zaburzają bieg naturalnych procesów w galaktyce. To znaczy, wszystko to teraz wydaje się dla nas naturalne — ale kiedyś w przeszłości nastąpiło brutalne, niewytłumaczalne zaburzenie grawitacyjnej struktury galaktyki. I te niezgodności da się wykryć. To tak jak z kostką Rubika: cofając się po ruchach, zawsze powinieneś móc dojść do stanu pierwotnego porządku — chyba że jakiś sześcian został w niej przekręcony przemocą do „nienaturalnej” pozycji.

Procesując wstecz Mleczną Drogę, winniśmy dojść do etapu jej formowania — chyba że gdzieś po drodze nastąpiło oszustwo. Wówczas zatną się algorytmy na stanie samosprzecznym, wskazując nam miejsce przekrętu.

Przeprosować Mleczną Drogę...! W porównaniu z tym Projekt SWING to algebra niegodna pierwszoklasisty. Aguerre czyta i myśli: niemożliwe. Zaraz jednak przypomina sobie o glejokryście i wątpi. Niemniej... *Primo*: równania ruchu tyłu mas (właściwie ilu? — przy nieznanym wymaganym poziomie dokładności, nieskończenie wielu) pozostają praktycznie pozaobliczalne. *Secundo*: nawet zważywszy moce kompów FTL, nie da się uniknąć pewnych kompromisów w przekładzie równań na formuły numeryczne, co z miejsca stawia wyniki operacji pod znakiem zapytania. *Tertio*: choćby i ten problem przeskoczyli, pozostaje kwestia nieusuwalnej niedokładności rezultatów, spowodowanej kumulacją przybliżeń pomiarowych w kolejnych przekształceniach procesów nieliniowych, czyli klątwa teorii chaosu. Nieważne, ile teleskopów rozpylą, ile grawimetrów postawią, o jak dużej czułości — to zawsze będzie za mało, żeby ostateczne wyniki nie rozjechały się w marginesy niepewności szersze od średnicy Mlecznej Drogi. A przecież niektórych danych początkowych (na przykład rozkładu w czasie sił grawitacyjnych spoza Drogi, zwłaszcza międzygalaktycznej ciemnej materii) w ogóle nie da się aproksymować.

I powtarzając sobie wszystkie powyższe argumenty —niemożliwe! niemożliwe! — czyta Aguerre listę obliczonych na glejokryście, prawdopodobnych punktów Odrzeźbień, o marginesie błędu od kilometra do kilkuset kilometrów, rozrzuconych po galaktyce w skupiskach przypominających skręcone warkocze; jest tych punktów na liście Horpache’a 3479. Petrc i jego xenotycy od prawie pół roku sprawdzają je po kolei, poszukując wejścia do kosmosów postglejotyckich. Realizowany jest ostatni etap Projektu REVUM.

14. Ordo Homo Xenogenesis vs Societas Rosa

Oczywiście, wybucha potężna bomba polityczna. Schizma w OHX to więcej niż jakaś personalna przepychanka w szefostwie kompanii czy rządzie państwa; bardziej coś w rodzaju zuchwałej kradzieży części międzynarodowego arsenału broni ostatecznych, pucz generałów. Bo prawdę mówił Aguerre Yesadzie, wówczas, w Wenecji: Zakon, jego struktura, prawa, obyczaje, nawet estetyka — służy przede wszystkim za system bezpieczeństwa dla społeczeństw niexenotycznych. Jeśli *Ordo* przestanie ograniczać xenotyków...

Aguerre ma setkę spraw na głowie, w jego mniemaniu znacznie ważniejszych, tymczasem musi poświęcać długie godziny na debaty ze sztabami inżynierów memetycznych Zakonu.

— Przede wszystkim należy stłamsić w zarodku trendy armageddoniczne — mówi szef najemników. — Tu wybuchnie zaraz setka prognoz o „szalonych xenotykach”, co poza kontrolą Zakonu wypruwają sobie Stróże, by następnie Przerzeźbić Ziemię na wylot. To jest największy strach dla szaraczków, więc takie teorie pojawią się na pewno, bez żadnych przesłanek, a nawet im wbrew. Musimy je zgasić, zanim zawładną masową wyobraźnią.

— Nie bardzo widzę, jak — mruczy Aguerre — skoro Petrc istotnie może sobie odłączyć Stróża i Rzeźbić na durch przez planety.

— A co to ma do rzeczy? To nie fakty budują trendy memetyczne.

— Będziemy kłamać.

— *Frei*, nasza praca wybiega poza kategorie prawdy i kłamstwa. Układu odniesienia nie stanowi rzeczywistość, lecz reakcje psychospołeczne na tę rzeczywistość; a to dwie zupełnie różne rzeczy. Czyja muszę przypominać takie oczywistości?

— *Nai*, trzeba mi tylko zastrzyku cynizmu dla Uodpornienia... — krzywi się Frederick.

Bo teraz co godzina, co dwie odprawia w Iluzjonie/Media konferencje prasowe, kontrując napływające sukcesywnie oświadczenia poszczególnych państw, kompanii, organizacji ponadnarodowych i ponad korporacyjnych. W miarę jak i pojawiają się kolejne informacje o schizmie, ton wypowiedzi loficjałów staje się coraz bardziej ostry. Przede wszystkim trzęsą się giełdy: rozłam w OHX oznacza między innymi zmianę parytetów Rzeźby komercyjnej, co może wyrzucić na nice światową gospodarkę, w tej chwili już tak mocno uzależnioną od transportu międzygwiazdowego, że praktycznie z nim tożsamą. Aguerre wizytuje w Iluzjonie giełdy londyńskie, nowojorskie, tokijskie, pekińskie, wygłasza uspokajające komentarze w kolorowych scenografiach. Inżynierowie memetyczni Zakonu ustalają wspólną strategię z inżynierami międzynarodowych instytucji finansowych, burze na morzach ekonomii nikomu nie są na rękę. Kryzys kumuluje się, niczym dochodząca szelfu fala tsunami.

W międzyczasie zbiera się Wysoka Rada Ordo Homo *Xenogenesis* i Frederick musi odpierać rozliczne oskarżenia. Sytuacja jest o tyle skomplikowana, że *Primus Inter pares* pamięta przeciw swoje podejrzenie uczestnictwa w Petrcowym spisku któregoś z członków Rady, tymczasem żaden z nich jeszcze się do schizmy oficjalnie nie przyłączył. Aguerre rozważa przez chwilę, czy nie polecić Nastazji zmiany kolejności przesłuchań, aby postępowała z nimi od góry hierarchii OHX. Ale gdyby to zrobił w tej chwili z obradującą Radą na karku, nigdy już nie oczyściłby się z zarzutów brutalnej

manipulacji politycznej.

Pięć godzin później wybucha kolejna bomba: wypływa sprawa patentu na glejokryst, zabezpieczonego właśnie przez jakąś atrapową spółkę, marionetkę schizmatyków, podczas gdy prawnicy Zakonu starali się do tej pory załatwić ów patent po cichu; ale schizmatykom na dyskrecji widać nie zależy — i pierwsze analizy dyżurnych informatyków/kryptologów mediów podnoszą wszystkim włosy na głowie. Komputer FTL oznacza między innymi koniec krypto infinitycznego.

Aguerre wpada do Pałacu Szyfrów w Glinie.

— Czemuś mnie nie ostrzegł? — syczy na Szarskiego.

Szarski zdziwiony.

— Przed czym?

— Przed złamaniem naszego krypto!

Doktor aż się cofa.

— Sądziłem, że to oczywiste. Przecież komputer FTL z definicji łamie szyfry wymagające nawet prawie—nieskończonej lub nieskończonej liczby prób.

Aguerre zaciska zęby. Po raz kolejny przypomina sobie o Prawie Tępego Studenta: istnieje graniczna odległość dzieląca poziom wiedzy nauczanego od poziomu wiedzy uczącego, powyżej której jakość nauki zaczyna asymptotycznie spadać. Gdy bowiem przychodzi do *psyche*, okazuje się, że nie wszystkie emulacje prostszych procesów myślowych przez układy bardziej skomplikowane są możliwe. Należy zatem sukcesywnie zmieniać przewoźników w trakcie podróży przez kraj Ateny.

— Co teraz?

— Szybka przesiadka na *mindprinty*.

Aguerre kręci głową.

— Nie o to pytam. Petrc dysponował tą technologią od trzech lat. Przecież nie jest powiedziane, że wykorzystywał ją tylko do Projektu REVUM. Jak możemy sprawdzić, czy już nie włamał się do Stróża któregoś z wiernych Zakonowi bezsennych i nie zmienił go w swą marionetkę, edytowaną na żywo przez turingówki na ichnich Bagnach albo tych kompach FTL? He?

Kryptolog blednie.

— *Kreist...*

— No?

— Pierwszym, kogo Ivan chciałby przeedytować, byłbyś ty, *frei*, więc skoro jednak reagujesz samodzielnie...

— A skąd ty możesz wiedzieć, z kim tu naprawdę rozmawiasz? — Stróż wchodzi mu ostro na układ dokrewny i Aguerre zaraz się uspokaja. — Napiszcie mi taki program diagnostyczny. Szybko. Przekopiuję inkwizytor von Ravenstuck, niech go zapuszcza na przesłuchiwanym Stróżach. I pośpieszcie się z tymi szyframi mózgowymi!

Immanuel Szarski kornie całuje pierścień Fredericka, lecz Aguerre ma umysł zajęty już czymś innym: planowaniem kontrstrategii memetycznych. Bo gdy ta wiadomość przedostanie się do mediów... To znaczy ona już się wydostała, w końcu to tylko kwestia skojarzenia danych — lecz w momencie, gdy wypłyne jako trend dominujący, zaraźliwy *neius* o wysokim stopniu atrakcyjności... Nigdy nie udało się przecież Zakonowi do końca zdusić tego lęku przed „opętanymi” xenotykami, pomimo iż był całkowicie bezpodstawny; no a teraz posiada podstawy jak najmocniejsze. Długofalowe reakcje są nie do przewidzenia.

Tak zaczyna się wielogodzinny maraton iluzyjnych konferencji ze sztabami inżynierów memetycznych OHX i poszczególnych rządów, także Ligi Suwerenów.

Równolegle nadchodzą raporty o pierwszych starciach prawników patentowych w procesach o

glejokryst; szykują się długie i kosztowne batalie.

Siedem godzin potem eksploduje trzecia bomba: ICEO ogłasza podpisanie ekskluzywnej umowy na usługi xenotyków Petrcza, zrzeszonych już oficjalnie w *Sodetas Rosa*.

— To dlatego tak kręcili! Kusił ich od miesiący! Skurwysyn! Stróż Fredericka ledwo wydała.

Frei Marie—Anne Licozzi, rozmyta do postaci przezroczystego ducha, aktualnie w trybie multitaskingu negocjuje z siedmioma korporacjami niezrzeszonymi w ICEO i w konwersacji w gabinecie *Primusa* w Zamku OHX — na ósmej ścieżce percepcji — uczestniczy z kilkusekundowym opóźnieniem.

— Możemy zaskarżyć ich na podstawie listu intencyjnego. Iluzjoni prawnicy z Lowell, Lowell 86 Chei krzywią się sceptycznie.

— List intencyjny? Procesować się zawsze można, ale zwycięstwo jest tu wątpliwe, poza tym i tak przyszłoby za późno, żeby cokolwiek zmienić.

Lowell, Lowell 85 Chei nie pracuje dla *Ordo* za stawki godzinowe.

Frederick kroczy nerwowo wzdłuż otwartego na Aguerre City okna. On jeden jest tu z Gliny i gdy przechodzi, czarne story zawijają się ku niemu, zasysane przez pulsującą stampę, półwiry ciemnego płótna; podsufitowe residuum postampowe ściąga je ku sobie, drapując w powietrzu barokowy kandelabr aksamitu; a za oknem roziskrzona noc nad AC.

— Tylko że ja nadal nie widzę w tym posunięciu ICEO sensu! *Societas Rosa* nie zapewni im nawet jednej dziesiątej takiej obsługi jaką zapewniamy my! Poza tym to wbrew filozofii samego Petrcza: xenotycy nie są od Rzeźby, jeno od odkrywania niemożliwego. Zatyrają się na śmierć, chcąc zadowolić ICEO.

Marie—Anne przekrzywia głowę, bujnę fioletowe włosy zasłaniają większość bladej twarzy.

— Ciągłe napływają nowe dane, *frei*. Szczegóły kontraktu oficjalnie nie zostały ujawnione, ale dotarłam do w miarę wiarygodnych przecieków. Ponoć SR zrezygnowało z honorariów gotówkowych i jego xenotycy będą Rzeźbić za opcje giełdowe, udziały w stosownych przedsięwzięciach, z wieloletnią prolongatą, także za te ryzykowne, wysoko oprocentowane obligacje Nowych Kolonii. Z punktu widzenia ich klientów musi to wyglądać nader zachęcająco: imigracja za friko, zero ruszonego kapitału własnego... Chiny, w postaci *China Space Lines*, siedzą w ICEO po uszy; radziłabym wystąpić szybko z jakąś kontrofertą, inaczej mocno nas to trzaśnie po kieszeni.

Aguerre rozumie już, że posunięcie Petrcza nie ma charakteru ekonomicznego (a raczej nie przede wszystkim), lecz polityczny. Petrc wykupuje dla swoich xenotyków przyszłość.

W samym Zakonie nigdy do tej pory nie uzyskałoby się zgody na tak drastyczną zmianę, zbyt wielu xenotyków pozostaje przywiązanych do image'u multimilionera—spekulanta, ciągły napływ pieniędzy jest im niezbędny dla utrzymywania w ruchu maszyn giełdowych; istnieją całe biura maklerskie wyspecjalizowane w transakcjach z bezsennymi.

— Muszę jakoś dogadać się z Petrcem — stwierdza wreszcie Frederick. — Wyślijcie otwarte zaproszenia na stare forum Zakonu. Pilna prośba. Rozmowa pod symetrycznym krypto infinitycznym; o ile ono jeszcze cokolwiek warte.

Sekretarz kiwa głową.

— Następna sprawa — rzuca Aguerre.

— *News* sprzed trzech minut: Buenos Aires, Glina, pierwsza próba linczu na xenotyku. *Frei* Tomaso Gorgolia. Odrzeźbił się z małym uszczerbkiem dla otoczenia. Ofiar śmiertelnych nie zanotowano.

— *Kreist!*

15. Iluzjon/Krypto/Amiel02

Po raz kolejny, gdy nawiedza hacjendę Carli, znajduje kobietę śpiącą w środku słonecznego dnia Błękitu. Niepokoją go kumulujące się oznaki zapadania wdowy w stan jakiejś niemocy, ogólnej powolności, omal narkotycznego letargu. Pytał, czy aby nie szpikuje się stymulantami chemicznymi — powiedziała, że bierze tylko standardowy pakiet antygerontyczny. I nawet jej wierzy. Tym bardziej jest to przerażające. Pytał, ile właściwie godzin dziennie śpi. Oczywiście nie miała pojęcia, zagadnęła domowy program zarządzający. Ten obliczył średnią trzynastogodzinną. Zdziwiła się. Aguerre nie.

Teraz znowu stoi nad przesłoniętym moskitierą wielkim łóżem w sypialni hacjendy (Carla udostępniła Frederickowi kody swoich sfer prywatności), patrzy na skuloną pod cienkim jedwabiem sylwetkę kobiety, śpiącej, z niezdrowymi rumieńcami na policzkach, włosami skołtunionymi na krzywo ułożonej poduszce... Tropikalne słońce wlewa się do środka między uchylonymi okiennicami. A ona śpi. To nie jest zdrowy sen Czy rzeczywiście Gabriela kochała tak mocno, czy też po prostu przyzwyczała się? I niby jak odróżnić jedno od drugiego? Nieważne; tak naprawdę jest przecież moją żoną.

Kiedy w końcu budzi się, widzi Fredericka Aguerre siedzącego przy łóżu w iluzyjnym fotelu, w reprezentacyjnych szatach *Primusa OHX*, nasłoneczniony fiolet prawie razi jej oczy.

— Najwyraźniej już po kryzysie — ziewa — skoro nie masz nic lepszego do roboty.

— Powinnaś założyć sobie Stróża.

— Co?

— Tylko tak się z tego wydobędziesz.

— Że niby mam nie spać?

— Trochę więcej aktywności też by nie zawadziło, ale chodzi o ogólne sprofilowanie hormonalne, które wydstałoby cię z tej spirali depresji.

— Nie jestem w depresji.

— Będiesz.

— A idź do diabła.

— To za chwilę. Na razie posiedzę i popatrzę na ciebie. Carla zaczyna płakać. Frederick siedzi i patrzy. Ona przewraca się na łóżku na drugi bok, plecami do niego. Aguerre okręca na palcu pierścień. Światło — bardzo jasne, bardzo ostre, omal monochromatyczne — ma w trzech czwartych zza pleców, wypala wszelkie cienie z rozkłóconej pościeli.

Oddech Carli jest płytki, nieregularny, co jakiś czas jakby krztusi się, wówczas drżającej plecy. Nie widać twarzy, dodatkowo kryje ją ramieniem.

— Kiedy popłynęliśmy na Sardinie — zaczyna Aguerre, coraz szybciej kręcąc pierścieniem — przez trzy tygodnie niebo było całkowicie bezchmurne i gdy spacerowaliśmy tymi gorącymi plażami, a spacerowaliśmy co dzień...

Mówi i mówi, już w ogóle nie patrząc na nią; ona też nie odwraca się — ale przynajmniej przestała szlochać, słucha.

Wchodzi służąca, krząta się po sypialni, otwiera szerzej okna, przechodząc przy tym przez Aguerre; oczywiście nie widzi go, ani nie słyszy.

Po jej wyjściu, i gdy Frederick wreszcie milknie, Carla obraca się na wznak. Oczy są już suche. Przelotnie spogląda na Aguerre; twarz ma bez wyrazu.

— Daj mi lepiej spokój. — (Szeptem). — Chce mi się spać.

Aguerre wychodzi, w głównym holu mijając jeszcze szepczące o pani domu pokojówki. Na dziedzińcu hacjendy uderza go w skronie słoneczny żar. Wyczarowuje sobie szerokoskrzydły, biały kapelusz, nasuwa na oczy. Kiedy odezwie się ten cholerny Ivan? A glejokryst — pieprzyć patent, lepiej niech Szarski popracuje na materiale i pokaże, co potrafi komp FTL, na początek odszyfrowując tamte pliki Gabriela. Trust anty-ICEO — Marie-Anne powinna się skontaktować także z nimi... Dwa kroki przed wrotami dogania go okrzyk Carli.

— Fred!

Ogląda się. Stoi w progu, przecięta w pasie granicą cienia, jeszcze półnaga, prosto z łóżka.

Aguerre przeindeksowuje się do holu, tuż za nią. Zdejmuje kapelusz. Ruch dodatkowo mierzwi białe włosy wdowy.

Carla nie odwraca się; za to zapada się w Aguerre z westchnieniem, jakby faktycznie czuła ciężką stampę xenotyka. Frederick obejmuje ją odruchowo.

Tak łatwiej jej mówić.

— Masz rację, masz rację, ja po prostu nie mam siły się z tego wydostać, może gdybym miała z Gabrielem dzieci, może wtedy, może one, ale nie mam i przeczuwam tę ciemność, ja nawet chcę się zanurzyć, to, rozumiesz, to takie...

— Łatwe.

— Nieuniknione.

— Spirala. Każdy krok słuszny, a po siedmiu pełzasz w błocie; i nie było błędu.

— Tak. Powoli. Zassie mnie. Powiedz. Tobie nawet silniej serce nie zabiło.

— Kiedy?

— Teraz. Kiedykolwiek. Przy mnie. W ogóle.

— Nie, chyba rzeczywiście nie.

— Dobrze. — Głośny wdech. — Daj mi.

— Co?

— Stróża. Przekopij mi z Zamku wzory nano i programy.

— Carla...

— No co? Teraz boisz się procesu?

— Okay.

Wywija mu się w ramionach, całuje szybko w policzek przecięty fioletowym żylakiem.

— Opowiesz mi potem o naszych nocach.

— Mhm...?

— Na Sardynii.

I ucieka w mahoniowe cienie wysokich pokoi.

Aguerre wraca na słońce. Idąc ku zatoce, pochylony lekko pod kapeluszem — latawcem, kalkuluje swoje szansę w najbliższych głosowaniach w Wysokiej Radzie OHX. I Co począć z groźbą deszyfracji każdego krypto dwustronnego; jak teraz komunikować się przez Iluzjon. Od czasu ogłoszenia patentów Frederick chodzi tylko w Iluzjonie/Krypto, ale zdaje sobie sprawę, że co zmyślniejszy hacker może wepchnąć się na odpowiedzialne ze transmisję Bagna i kopiować sobie cały ten szum, by potem — kiedy? już pewnie za tydzień, dwa — odszyfrować go na komputerze

FTL. Petrc jest w stanie uczynić to już teraz. Czy to dlatego do tej pory nie odpowiedział na zaproszenie? Bo nie dowierza żadnemu krypto? Powinniśmy dokonać wymiany pakietów randomicznych; ale to też...

Campus Instytutu rozciąga się na łagodnych wzgórzach okalających zatokę od południa; na przeciwległym łuku rozrosła się polinezyjska wioska. Konstytucje tutejszych Polinezyjczyków są dosyć ekscentryczne (pochodzą oni z pierwszej fali emigracji kulturowej) i w Glinie raczej nikt się do nich nie zbliża. Aguerre skręca na pierwszym skrzyżowaniu ku campusowi i wyższym — cztero — , pięciopiętrowym budynkom Instytutu Paige'a. Na oko sądząc, przechadzka dwugodzinna. Oczywiście, może się Aguerre przeindeksować od razu na miejsce — ale w ten sposób straciłby wymówkę dla dwóch godzin nieróbstwa z dala od piekła polityczno — gospodarczego kryzysu spowodowanego schizmą w OHX. Licznik bezwarunkowych żądań połączeń z Frederickiem Aguerre, tych już przesianych przez filtry programu sekretaryjnego *Primusa* i rozpoznanych jako ważne, wskazuje dwa tysiące i bije wzwyz.

W trzech czwartych drogi do Instytutu, gdzie pokrycie sieci Iluzjonu jest najrzadsze i dwie trzecie danych idzie z symulacji, sekretarz otwiera jedyne połączenie, dla którego Aguerre ustawił priorytet najwyższy.

— Błękit, tak? — pyta Ivan Petrc SR, odwracając się ku oceanowi. Schodzi ze ścieżki, przykłęka, wciska dłoń w miękki piasek. — O czym chciałeś rozmawiać? Mam nadzieję, że o niczym ważnym... — Wstaje, spogląda ku Instytutowi. Mija ich para na rowerach, skręcająca zaraz ku campusowi. Petrc spaceruje w cieniu kutrypicznych zarośli. — O interesach tylko w Glinie.

Aguerre przygląda się spod nisko nasadzonego kapelusza tym niby niezbornym ruchom Petrc'a. Petrc jest w obcisłym białym swetrze z emblematem róży na lewej piersi. Nic nie chroni jego twarzy przed słońcem; czasami odwraca się odeń, chowa pod drzewami, ale czasami zgoła próbuje je pokonać sinogranatowym spojrzeniem. Frederick nie pamięta, czy i podczas rozmowy w AC Ivan był tak rozkojarzony. Nie, tam jednak miał jakiś cel, sztywny plan: zająć Aguerre, skrać mu czas. Co więc robi teraz tutaj?

— W Glinie? Chcesz się spotkać w Glinie? Proszę bardzo. Gdzie?

Petrc odchodzi jeszcze dalej od drogi, kładzie się w trawie, kutrypicznej lub djenajowej, tego nie sposób poznać. Śmieje się cicho na pospieszne pytania Aguerre.

— Chciałbyś, co? Podam ci lokację, a jak się tam o czasie pokażę, już się nie wyplączę z Cage/Netu setki twoich Rzeźbiarzy.

— Więc jak? Chcesz, czy nie chcesz?

Petrc rozkłada szeroko ręce i nogi, wczepia się długimi palcami w bladoseledynowe źdźbła.

— Zakładam, że prędzej czy później ktoś złamie to krypto i posłucha sobie naszej rozmowy — mówi powoli. — Zakładam także, że ty sam zdradzisz czas i miejsce, gdy tylko je poznasz.

— No to *finito* — irytuje się Aguerre. — Dalej będziemy się tak podchodzić przez prawników. Żegnam.

— Ejże, moment! Nie uciekaj. Ja ci powiem, jak to zrobić. Uważaj. Poślę ci ze stosownym wyprzedzeniem godzinę startu. Dokładnie o tym czasie zaczniesz Rzeźbić wzdłuż Wektora. Starego Wektora. Po czterdziestu godzinach zwalniasz SpaceSculptora i wróżysz. Arkana Luźnego, tak?

— Tak.

— Czy skręcasz, czy nie. I dokąd. I na ile. Aż się pokaże, że to już ta gwiazda. I tam, i wtedy się spotkamy.

— Odbiło ci.

— Powiadasz? No popatrz, jak to łatwo poznać. Tylko mnie, durnemu, wydaje się inaczej. Pa.

I zapada się pod ziemię; trawa momentalnie zarasta miejsce pochłonięcia.

Aguerre wraca na drogę. Czy on po prostu nie usiłuje mnie wyciągnąć z AC, odciąć od Iluzjonu na czas Rzeźby? Będę się plątał dookoła Wektora Ferza jak głupi, tymczasem Petre przeprowadzi jakąś kolejną kombinację. O której dowiem się o godzinę za późno. Blef, blef. A może nie? Lepiej spytam się kart. (I tu znowu Stróż musi wyciszać odruchowy gniew Aguerre). Glejomyślność, szlag...!

Przy wejściu do parku Instytutu wita Fredericka doktor Czen, glinny.

— *Frei*. Oczekiwaliśmy pana wizyty. Lady Amiel podała mi kody. — Ścisła mocno dłoń Aguerre; i nawet później nie wyciera swojej o nogawkę spodni, chociaż to może przez pamięć o iluzyjności xenotyka. — Wiem, że przyjaźnił się pan z Gabrielem.

— Znałem go, tak.

Czen prowadzi przez park ku największemu z budynków.

— To, co robimy tutaj, w instytucie... Większość naszych poważniejszych projektów badawczych i tak pan zna, *frei*, przynajmniej z założeń, bo w części lub całości prowadzimy je na zamówienie Zakonu. Ale stać nas, Gabriela było stać, na kilka programów niekomercyjnych, w każdym razie nie planowanych jako komercyjne. I to nimi zajmował się pod koniec najintensywniej. Więc jeśli...

— Wiecie o Głupcu.

— To pan go tak nazwał, prawda? Tak, wiemy, oczywiście.

— Jak Gabriel trafił do tego glejokrystu schizmatyków?

— Po równaniach szumowych Goldberga, przypuszczam.

— *Gaud*, a co to takiego?

Czen śmieje się cicho. Wchodzą już do wnętrza budynku, doktor przytrzymuje przed Aguerre drzwi, zawiasowe, nieautomatyczne.

— Organelle rezonujące *gleiophyta* u Goldberga rozpisane są w tablicach makrofunkcji kwantowych. Przeprowadza się analizę statystyczną korelacji dryfu kwadratu modułu Schrödingera ze zmianami konfiguracji przestrzennych najbliższego gleju oraz orientacji względem komórek glejowych, docelowych dla indukowanych rezonansów. Ów „dryf” jest kumulacją takich drobnych, ledwie rejestrowalnych pod Heisenbergiem drgnień funkcji falowych składników organelli. Przez pierwsze lata glejologii kryło się to w marginesie błędu pomiarowego. Goldberg się zawziął i ułożył te swoje tablice. Na wyjściu dostajemy wiązki równań określających rozkład prawdopodobieństwa położenia komórki glejowej aktualnie sprzężonej z badaną. Metoda nie zyskała uznania, bo wyglądało to po prostu na rozdymanie chmur probabilistycznych w makrokosmos, na dodatek przecież nie znamy schematów tych sprzęgów międzykomórkowych, ba, nie wiemy nawet, czy są to przyporządkowania jednoznaczne.

— No to jak Gabriel...

— Nie wiem. Ale wiem, że ładował Bagna równaniami Goldberga na maxa. Więc jeśli... No dobra, jesteście.

— *Kreist*... co to takiego?

— Ostatni, o ile wiem, pomysł Gabriela Paige.

Stoją nad morzem żywego gleju. Zeszli tu krętymi schodami i przez coś w rodzaju śluzy, która zaraz się za nimi zatrzasnęła; teraz znajdują się na wąskim, kratownicowym balkonie, zdaje się, że biegnie on wokół całego pomieszczenia — ale tego Aguerre nie jest pewien, bo to hala potwornych rozmiarów, przeciwległa ściana ginie w mroku, zresztą oświetlenie nie jest najlepsze: jakieś żółtawe lampy na niskim suficie. Już więcej światła oddaje sam glej, z basenu bije zimny, fioletowy ogień.

Oto jest jezioro krwi, utoczony z bezdusznych bestii Hadesu; oto jest piekło nie zrodzonych z Adama i Ewy, kolor nieczłowieczeństwa. Lecz w Szadrze, w wysokich atmosferach gazowych olbrzymów o podobnych jej warunkach — tam, gdzie glej występuje w swej naturalnej postaci, nigdy nie spotyka się go w takim zagęszczeniu. Unosi się w formie wolnego planktonu, komórka obok komórki w gęstej zawieszynie gazowej planety; nie tak jak tu, gdzie po ciężkiej zupie glejowej wręcz przetaczają się fale, od ściany do ściany... Jak wielkie jest właściwie to pomieszczenie? Ile ton czystego gleju tutaj zebrano?

— Złął wszystkie jego odmiany — mówi Czen. — Na początku wystarczała mu obserwacja gleju wyjętego ze środowiska, w supersteżeniu. Liczył, że może wreszcie niektóre komórki zaczną obumierać. Ale nie. Wtedy wlał wirusy skręcone z łańcuchów QTRP. Nie planował. Szedł w gry przyspieszonej ewolucji. Walił ciężkim promieniowaniem rozbijającym wiązania. Czekał na spontaniczne pojawienie się prymitywnych form kutrypicznego glejożycia. Potem by to akcelerował, stymulował radiacje... Rozumiesz, *frei*.

— Kutrypiczny glejotyk.

— Coś w tym stylu. W ścianach są grawimetry. Oczekujemy ponadstatystycznych wahań.

— I co?

— Słabo, słabiutko.

— A liczył się z tym, że jak mu się uda, kamień na kamieniu może nie zostać z tej wyspy? Albo i planety. He? To nie jest Żłobek, ale gdyby pociągnął ten projekt tak konsekwentnie, jak pan mówi...

— Taaak. Widzi pan te fale? Błękit nie ma księżyców. Glej w takim zagęszczeniu oczywiście skręca gradienty grawitacji.

Notujemy częstotliwość i amplitudy. Gabriel zorientował się tuż przed śmiercią. Istnieje korelacja między nimi a przekłamaniami w naszych Bagnach. Mamy tu obszerne Bagna, kilkaset metrów stąd. To jest pierwsza poważna poszlaka za powiązaniem reakcji wewnątrzkomórkowych *gleiophyta* z ich wzajemnym położeniem, *frei*. W szczycie zupełnie dezorganizuje nam wszelki procesunek na Bagnach. Gabriel szukał jeszcze sposobów dla wzmacniania, sztucznego indukowania... Pan zdaje sobie sprawę, co to oznacza.

Chyba Stróż jest w robocie, Aguerre czuje tę krótkotrwałą lekkość myśli, ulotne wrażenie oderwania „ja” od „Ja”. Inaczej wizja naprawdę by nim wstrząsnęła. Cokolwiek chciał tu Gabriel wyhodować, wyszedł mu bicz na xenotyków. Czy Petrc wiedział i o tym? Czy i to wywróżył? Frederick patrzy, jak fala granulastego fioletu nakrywa inną falę, tłuste cielsko marszczy swą ciekłą skórę, kalejdoskopowe rekonfiguracje wzorów powierzchniowych zaczynają budzić w xenotyku coraz szybsze i dłuższe łańcuchy skojarzeń, coraz bardziej ekscentrycznych, coś go swędzi z tyłu głowy...

— Szkoda, że nie odwiedził nas pan w Glinie, *frei*.

— Czemu?

— Ciekaw jestem, czy w takiej bliskości... rozumie pan... Czy czujecie cokolwiek?

16. Technologie mordu

Witalij Prokopowicz Łużny podrzemuje na drewnianym leżaku, otulony kraciastym kocem. Nieregularne porywy wiatru miotają po Jeziorze Bodeńskim białymi trójkącikami żaglówek, od strony Reichenau sunie wielki jacht motorowy. Zaczyna mżyć wieczorny deszczyk i na taras sanatorium wychodzi pielęgniarka, by zabrać starca do środka — ale Łużny, ponownie ocknąwszy się, odgania ją niecierpliwym machnięciem ręki, poza tym niezdatnej chyba do niczego.

— Taki jest problem z uczciwymi opiekunami — mówi. — Im więcej im płacisz, tym większe mają poczucie winy, że nie robią nic wartego takich pieniędzy i zatruwają ci każdą chwilę; nie na pokaz, ale desperacko próbując na nie zapracować.

— Płać mniej.

— Tamci są jeszcze gorsi. Oczekują wdzięczności ode mnie.

— No to weź sobie na wasali jakichś wykształconych medycznie biedaków z Południa.

— Jestem obywatelem Rosji.

— Ach, zapomniałem.

— Chssss!

— Co, znowu boli? Jak tam skrzydła?

— Już chyba w atrofii. Dobrze, żeś jeno duchem, inaczej pewnie bym nie wytrzymał i rozprostował je po raz ostatni. Ach, to jednak jest rzecz nie do podrobienia żadnymi iluzjami, jak ja wam zazdroszczę...! Ten ruch nieskrępowany, Frederick, to poczucie, że zaciśnięciem pięści skręcasz materię wszechświata. Straszliwi aniołowie fioletu. Bredzę, prawda? Zacząłem się bawić haiku, gdzieś tu mam...

Łużny mówi w Iluzjonie; w Glinie nie potrafi, zdeformowana krtań nie generuje modulowalnych dźwięków. Po prawdzie trudno wskazać część jego ciała, która nie byłaby groteskowo zdeformowana. Założonych ma kilkanaście stałych drenów (większość kryje teraz koc), w które spływają obfite wybroczyny mazi glejopochodnych. Nie ma włosów, a guzowata czaszka jest trwale trepanowana dla swobodnego sterowania ciśnieniem płynów podoponowych. Przez bodaj dwie trzecie ćwierćwiecza swego kalectwa Łużny uciekał się do wspomaganie różnymi egzozskielekami, pełnymi i częściowymi. Aguerre pamięta go z czasów procesów z CasLabem, Witalij występował na rozprawach jako świadek, potem już bardziej w charakterze biegłego. Wyglądał wówczas niczym zdewastowany Robocop, poruszał się jak źle animowana kukła. A raz Aguerre widział, jak Witalij lata: nie jest xenotykiem i ten jego lot nie miał nic wspólnego z Rzeźbą, był to autentyczny ślizg powietrzny, tyle, że na niewidzialnych płatach nośnych jego pseudostampowych skrzydeł.

Łużny nie jest xenotykiem, chociaż dzierży niezagrozenie tytuł Pierwszego Syzygenta. To on, przed dwudziestu siedmiu laty, w prymitywnym labie orbitalnym nad Szadrą, dokonał po raz pierwszy pełnej implementacji gleju w organizm *Homo sapiens* — swój organizm. Szok xenofilaktyczny prawie go zabił. Konieczny był szereg ratunkowych RNAdycji, szukano wzorca po omacku, genotyp Łużnego to istne muzeum glejologii, pobjowisko teorii naukowych; nie lepiej jest z

fenotypem.

Nie jest xenotykiem, nie jest bezsennym — nie ma Stróża, może spać, może dawać upust dowolnym emocjom, oddawać się organicznym ekstazom i mękom, wszak stany jego mózgu nie posiadają przełożenia na formy aktywności sprzężonego gleju i nie grożą z jego strony w podobnych okolicznościach żadne szalone Rzeźby, rozpruwające planety i destabilizujące słońca. Tym niemniej nosi glej w ciele i w duszy, sztywna stampa ugina bliską czasoprzestrzeń w istne origami 4D, z najwyraźniejszymi dwoma płaskimi uskokami, zakotwiczonymi gdzieś pod łopatkami, a rozpościerającymi się na pięć metrów każdy; w porywach i do dwudziestu.

I zna także Łużny ową nieubłaganą natarczywość przeczucia glejintuicyjnego, straszliwy rozpęd ciągu dzikich skojarzeń, to skupienie — roztargnienie, niemal gnostyckie. W istocie jest jedyną osobą zdolną zarazem do glej — wróżb oraz snu i kiedy śni, są to sny niczym błysk nuklearny, iluminacje *high definition*. On pierwszy rozłożył karty i rzekł: „To też jest nauka”. Z niego my wszyscy; także Petrc i jego schizmatycy.

— Petrc, Petrc, Petrc, *meigaud*...

— Więc sądzisz, że ma rację?

Łużny wydaje przeciągły świst, mający zapewne stanowić oznakę irytacji.

— Pytasz jak przedszkolak. Pokaż mi ideologię, za którą nie stoi przynajmniej częściowa racja. Każda utopia posiada głębokie uzasadnienie w rzeczywistości, od której się odbija. Teraz, rozżalony, zapytasz, czy cel uświęca środki; i tak będziemy sobie gawędzić banałami. Fred, na litość boską...! Ech. Przejdźmy się lepiej.

Wstaje, nagle znowu piękny i młody; nieruchoma powłoka pozostaje na leżaku. To są prawdziwe *out of body experiences*, uśmiecha się w duchu Aguerre; tak odrywa się pneuma od somy.

Schodzą z tarasu na stok wzgórza, zielonymi falami sphywający ku odległemu jezioru. Trawa lśni od deszczu, chłodna wilgoć wieczornego powietrza wypełnia płuca. Zmierzch nad Helwecją.

— Ja wiem, o co ty tak naprawdę pytasz. Chcesz, żebym cię zapewnił, że nie popełniłeś błędu.

— Łużny zerka na idącego obok z pochyloną głową Aguerre. — A może właśnie ty błąd popełniłeś i wina jest twoja. Ale oczywiście nic takiego rzec ci nie mogę.

— No, już.

Łużny śmieje się, klepie xenotyka po ramieniu.

— Dobra, odpuszczam ci.

— Żadnych rad dzisiaj?

— Rad? A bo to ja kiedyś dawałem ci rady? Opowiadałem tylko o przeczuciach; a jakie decyzje ty na tej podstawie podejmowałeś, to już inna sprawa.

— Nie mów, że nie przewidywałeś także ich.

— Być może, być może. Teraz na przykład powiem ci, że to dopiero początek.

— Co?

— Ivan, ta jego schizma. Będą kolejne. Skoro pokazał, że można i że nie oznacza to końca świata.

— Akurat!

— Bo nie oznacza. To wszystko się uspokoi, ustali się nowa równowaga. I będą od was odchodzić kolejni, tak czy inaczej motywowani. Zakon robi obecnie za konserwatywnego molocha duszącego marzenia młodych; idealnie nadaje się do kontestacji.

— Dziękuję pięknie.

— Ale pocieszę cię: oni długo jeszcze pozostaną marginesem, to *Ordo* stanowi prawdziwą reprezentację xenotyków.

— Jak wielu?

— Nie wiem. Jedna trzecia.

— *Goud*.

— Dobra, gadaj, po coś naprawdę przyszedł.

Aguerre siada pod sosną, prostuje nogi, opiera głowę o pień. Opowiada o ostatnim projekcie Gabriela Paige, odtwarza słowa doktora Czena. Łuźny krąży w pobliżu, przystając, unosząc twarz ku deszczowi.

— Rozumiem — mówi wreszcie. — To sposób na morderstwo doskonałe xenotyka. Pobudzamy stosownie bliski basen żywego gleju i wybranemu xenotykowi wypląszcza się EEG.

— Tak.

— Boisz się, że ciebie pierwszego wezmą na cel, gdy tylko poznają technologię. A może już znają. Nigdy nie darują ci tego Horpache'a.

— Przecież to hipokryzja czystej wody! Sami próbowali mnie załatwić. Gabriela zarżnęli bez zastanowienia.

— Szukasz dla siebie usprawiedliwień? Fred, ty jesteś *Primus Inter pares Ordo Homo Xenogenesis*, dla ciebie nie ma usprawiedliwień; im wolno, ale tobie nie. To nie jest hipokryzja, a jeśli już, to szczególny, szlachetny jej rodzaj...

— Słucham i uszom nie wierzę.

— Nie mów, że nie zdawałeś sobie sprawy. W podobnych strukturach hierarchicznych takie projekcje ideałów są nie do uniknięcia. W końcu tak właśnie zaplanowano OHX. Jesteś królem, pomazańcem bożym, jakkolwiek absurdalnie by ci to nie brzmiało. Sądzisz, że co czują, całując twój pierścień?

— Przygnębiasz mnie, Witalij.

— Taki mój urok.

Aguerre podźwiga się spod drzewa, otrzepuje spodnie. Przestało padać, za to cienie rozlały się szeroko po zielonych polach. Brodzą w kałużach mroku.

— Więc pytasz, czy śniłem o twojej śmierci.

— Śniłeś? — pyta szybko Aguerre.

— O swojej także.

— Jeszcze nie wyganiają cię z Ziemi, widać nie jest tak źle.

— Ja nadal uważam, że niepotrzebnie się boją. Nie jestem xenotykiem, nie Wyrzeźbię żadnej Śmierci.

— Taa, znam twoje teorie: Śmierć formą spotęgowanej stampy.

— Ale to jest prawda! Porównaj dotychczasowe Śmierci i stampy zmarłych xenotyków, residua po nici; Widziałem już mapę Śmierci Cuomo. A Marcel Tataux? On chodził w zorzach elektromagnetycznych!

— Wciąż mamy zbyt mało danych.

— Nie bój się, nie bój, będziecie umierać.

Aguerre aż przystaje.

— Czy to jest Sen Luźnego?

Łuźny wzrusza ramionami.

— Za wiele sobie wyobrażacie. Nie wszystkie domysły muszą być słuszne. Nie popadaj w drugą skrajność: wróżba glejowa nie gwarantuje poprawności wniosków. Niezależnie od tego, co się roi Petrcowi.

— Jesteś tego pewien?

— Słuchaj, to jest ich rewolucja, muszą ekstremalizować, inaczej nie przekonaliby samych

siebie; ale z czasem to im przejdzie, ustatkują się.

— Nie sędzę. Chodź.

— Mhm?

Między sosnami po lewej uchylają się wysokie drzwi, futrynę częściowo przesłaniają mokre gałęzie. Ze szczeliny bucha żółte światło. Aguerre ciągnie Luźnego za ramię, druga ręką uchyla drzwi szerzej.

Wchodzą do bocznego gabinetu w Aguerre Tower.

Za oknem nocne AC, zewsząd muzyka i gwar rozmów. Pokój na razie jest pusty.

Frederick prowadzi Luźnego do kąta odległego od drzwi. Witalij — minus — trzydzieści — lat opiera się o regał, zakłada ręce na piersi. Mrugając, obserwuje xenotyka.

— Ten glejokrystny komp/reiDeuce... skoro łamie krypto infinityczne... — Aguerre zapala cygaro, zaciąga się. Wygląda na kolorowe miasto. — Ivan zdawał się sugerować, że sami posiadają dostęp do technologii Kameleonów i że stać ich na własnych; ale potem zacząłem się zastanawiać. Szarski przysłał mi wreszcie tę listę zagrożeń, wywołanych odkryciem komputera FTL, i zdałem sobie sprawę, iż oni nie musieli hodować swoich Kameleonów. Wystarczyło im wejść na wszczepkę najbliższego zlokalizowanego — amerykańskiego, chińskiego, niemieckiego, francuskiego, bez znaczenia — pomonitorować chwilę, złamać kody kontroli i odtąd samodzielnie edytować asasyna. Sędzisz, że właściciel zgłosiłby kradzież takiego agenta? He, ja mam nawet podejrzenia, czyj to był Kameleon.

— Francji.

— Francji.

Otwierają 4ię drzwi, do gabinetu wchodzi lord Amiel. Prowadzi z kimś ozywioną dyskusję w Iluzjonie/Personal. Nie porusza ustami, ale zdradza go urywana gestykulacja, szczątkowa mimika wycelowana w pustą przestrzeń — nie wygaszone do końca i nie do końca przejęte przez wszczepkę kompleksy bodźców nerwowych. Wyraźnie się irytuje; wreszcie siada z westchnieniem w skórzanym fotelu pod regałem, zawinawszy nerwowo obfitą szatę. Macha ręką w geście rezygnacji. Odchyliwszy głowę na oparcie fotela, przymyka oczy. I kiedy zaczyna w tej pozie kłać, w basicu i po hiszpańsku, brzmi to prawie jak modlitwa.

Na to zjawia się w drzwiach Kameleon. Nie zwalniając kroku, podchodzi Gabriela z za jego pleców i przesuwa mu szybko paznokciem po odkrytym karku. Paige sztywnieje, sparaliżowany. Teraz Kameleon wraca do drzwi, zamyka je delikatnie. I w tym momencie kończy się jego zdecydowanie. Asasyn zaczyna obchodzić fotel z lordem Amiel po mniejszych i większych półokręgach, przystając, przykucając, wręcz klękając przed Gabrielem, zaglądając mu w zamrożoną twarz. W pewnej chwili, w apgabrielum, opiera się łokciami o parapet okna, wychylając się wstecz, w chłodną noc, długi, czarny warkocz powiewa nad przepaścią, gdy studiuje kształty gwiazdozbiorów.

To go widać na nowo dopinguje, bo podrywa się, podchodzi szybko do biurka, wysuwa szufladę, wyjmuje nóż do papieru. Sprawdza ostrość klingi kciukiem. Ssąc palec, krąży teraz po pokoju, lewa dłoń w zapomnieniu kreśli łagodne krzywe. Ba, zapomina się morderca do tego stopnia, że upuszcza nóż i długą minutę maca za nim w głębokim dywanie, zapatrzony na lorda Amiel. Znalazłszy, podchodzi do fotela, przesuwa ramię Gabriela, obraca mu głowę, drapuje szatę na kolanach, prawą stopę w zamszowym pantoflu skręca na zewnątrz, jeszcze odgarnia włosy, po czym, wydawszy wargi, podrzyna lordowi Amiel gardło. Tryska krew, Gabriel zaczyna rzeźić, krtań zalewana posoką wydaje świszczące dźwięki, szybkie drgawki wstrząsają torsem siedzącego. Asasyn odstępkuje, przygląda się swemu dziełu z przekrzywioną ku barkowi głową. Nóż schował do kieszeni marynarki. Prostuje się,

zakłada ręce za plecami. Przez chwilę patrzy w milczeniu. Lord Amiel kona dyskretnie. Kameleon przykłada palec do podbródka, zerka na drzwi, odwraca się i wyskakuje przez okno.

Wchodzi quinceyowiec, powiadomiony przez autotestament Paige'a.

— No i? — pyta cicho Aguerre. — Co myślisz?

— Jak cię znam, masz już całą teorię — mruczy Łuźny. — Wal.

Aguerre strzepuje popiół z cygara, opuszcza przy tym wzrok, jakby zdjęty nagłym atakiem nieśmiałości.

— Widzisz, ja wiem, że tarot, te wszystkie sztuczki, to tylko rekwizytorium, w gruncie rzeczy przypadkowe. Rezonans może wzbudzić cokolwiek. Ostatnio zdarzyło mi się nawet... W każdym razie doskonale wyobrażam sobie, co w konsekwencji zrobiłby Petrc. Dlaczegoż ograniczać się do jednej ogniskowej, jednej symboliki? Glejomyślność jest naturalnym stanem umysłu xenotyka! Czyż nie to głosi? Pomyśl, ty to powinienes wiedzieć, pytam cię, Witalij: czy doprawdy niemożliwym jest napisanie takiej aplikacji na Stróża, która...

— Tak. To jest możliwe.

Aguerre ogląda się szybko na Luźnego.

— Napisałem ją kilkanaście lat temu — mówi Łuźny. — Słabszą, bo na wszczepkę, nie na Stróża. Zapewniam cię, na dłuższą metę to bardzo męczące.

— Trudno się skupić.

— Tak.

— Każdy widok, każdy dźwięk — tysiąc skojarzeń.

— Tak.

— I zawsze sześć ruchów do przodu.

— To prawdopodobne. Nie wytrzymałem aż tak długo.

— Jak się wtedy zachowujesz? Jak reagujesz? Kiedy cały świat jest otwartym tarotem.

Łuźny odruchowo spogląda na Gabriela.

— Masz rację, ten Kameleon... to zdecydowanie nie był przykład skryptu efektywnego mordy.

Podejrzewasz, kto zarządzał panem Dilalle?

Aguerre odpowiada nie wprost, serią prędkich pytań.

— Widziałeś się ostatnio z Petrcem? Widziałeś, jak on się porusza? Jak prowadzi rozmowę?

— Mówi, że wtedy Rzeźbił. Że zrobili to poza jego plecami.

— Taa, też mi to sprzedał. Niby Rzeźbił prywatnie i dlatego nie ma tego w rejestrach zleceń.

Wierzysz mu?

Łuźny kręci głową.

— To nie jest typ kłamcy.

— Fakt. Dotąd też bym go nie posądzał... Ale w takim stanie permanentnej glejintuicji, jaki tu właśnie widzieliśmy, kiedy błysk odległej gwiazdy odmienia ci życie... Czy to w ogóle jest jeszcze człowiek, xenotyk? Czy raczej chodząca wróżba, pod twardym — Stróżem, na kościach glejowych?

Łuźny nie odpowiada i tak oto pytanie Fredericka okazuje się pytaniem retorycznym.

Quinceyowiec klęka przed zwłokami lorda Amiel.

17. Przeciwno nieskończoności

Cóż poradzi człowiek przeciw nieskończoności? Co poradzi xenotyk? Wróżba niepewna prowadzi *frei* Fredericka Aguerre krętym szlakiem przez galaktykę.

Ogród Aguerre został w międzyczasie odbudowany do swej pełnej postaci, uzupełniono zapasy biomas i zarodków QTRP i DNA. Aguerre Rzeźbi wzdłuż Wektora, jednak znacznie wolniej niż oczekiwał Petrc, bo wkładając w SpaceSculptora zaledwie jedną czwartą swej mocy oktomorficznej. To pozwala mu na wchodzenie w Iluzjon i utrzymywanie kontaktu ze światem — chociaż nawet na 25% maxoct. nie jest to łatwe, snuje się p0 swych apartamentach w Wieży i Zamku niczym duch ducha, smętny zombie; często w środku rozmowy z jakimś oficjałem lub odprawy pracowników OHX znajdując się tak obojętnym wobec poruszanych tematów, że bez pomocy aplikacji mnemonicznych wszczepki, zupełnie niezdolnym do odtworzenia prezentowanych mu ścieżek rozumowań.

Mówi Alfons Kier, główny analityk giełdowy Zakonu:

— ...z papierów wartościowych na nieruchomości, ziemię, rzadkie pierwiastki; jeśli koniecznie w udziały, to tylko w quasi — monopolistycznych firmach w branżach pierwszej potrzeby lub funduszach kumulacyjnych. To się zacznie nawet wcześniej, jeszcze przed upowszechnieniem technologii, zanim ruszą na kompach FTL pierwsze AI maklerskie, bo bardzo szybko inni inwestorzy dojdą do tych samych wniosków, co ja, i przedsięwzją te same kroki. Ich matematycy wygłaszają przecież identyczne ostrzeżenia: rynek pod władzą programów procesowanych z nieskończoną szybkością wymknie się wszelkim analizom, zero sensu, żadnych związków przyczynowo — skutkowych — w każdym razie nic widocznego dla nas czy programów na kompach podFTL. Daleko posunięte restrykcje w operacjach giełdowych są nie do uniknięcia. Prawdopodobnie wszystkie giełdy, także towarowe, walutowe i *human resources*, zejną z notowań ciągłych. Na dodatek SR już teraz zapowiada ostry szturm w oparciu o te ich glejwróżby. Już to samo rozchwiałoby światową gospodarkę. A OHX nie jest głęboko ukorzeniony, szliśmy w inwestycje mocne, ale o odległym horyzoncie, Petrc od lat miał tu wpływ na naszą strategię, pamięta pan, *frei*, te długie dyskusje po wyborach — pan wygrał, ale on jednak zyskał spore poparcie, być może za kilkanaście lat *Ordo* realizowałby w istocie dzisiejszy program *Societas Rosa*...

— Co, co ty mówisz? — Aguerre próbuje skupić się na słowach analityka. Czy on imputował mi naśladownictwo Ivana?

Po czterdziestu godzinach nie jest oczywiście ani w połowie tego odcinka Wektora Ferza, jakiego przebycia spodziewałby się Petrc (przełożenie mocy oktomorficznej na „zewnątrzną” prędkość fali FTL nie daje proporcji stałej, krzywa przypomina Einsteinowski wykres masy/czasu dla przedziałów jawnie relatywistycznych). Aguerre kalkuluje jednak następująco: wróżba to nie sztywny algorytm, raczej elastyczny przepis iteracyjnych przybliżeń; skoro istnieje w przeznaczeniu owo miejsce spotkania z Ivanem, to droga dotarcia doń, ilość wróżb, metody, czas — nie ma znaczenia. Oczywiście kryje się pod tym założenie przyjęte na wiarę: że mianowicie Frederick podświadomie już zna koordynaty *rendez vous*, a w każdym razie zna wystarczające dla konkluzyjnego wnioskowania przesłanki o koordynatach, i teraz musi tylko je przeprocesować na gleju przyrosłym

do części mózgu pozostających poza zasięgiem „chmur świadomości” — nie dlatego, żeby procesunek w polach świadomości był mniej skuteczny, lecz po prostu te pola nie pokrywają ani promila sieci glejneuronowych.

Jeśli założenie jest błędne... Rzut kośćmi przeciwko nieskończoności...

Luźny przysłała mu sto kilo swoich wierszy, Aguerre broni się przed nimi jak przed zarazą memetyczną, kilka chwil lektury strąca go ponownie w stany półletargiczne. Bardzo fatalistyczny jest świat starego Witalija; ale jakże mógłby być inny? Czy podobnie patrzy na rzeczy Ivan? Nie powinienem tak często uciekać się do tarota, w końcu zdegeneruję się do takiego samego niewolnika podświadomości. Tymczasem — trzeba wróżyć. Wektor — i gwiazdy dookolne. Olbrzym, układ potrójny, poczwórny, brązowy karzeł...

Mija się z Carlą gdzieś w połowie tej mozolnej wędrówki przez ład zapomnienia, zmiatają w przeciwnych kierunkach. Carla, świeżo pod Stróżem, odkrywa w świecie nieznane symetrie, radości pasywne, stany zimnego spokoju, programowalnej pewności działania; błękit lazurowy, błyszczący lakier, po przesunięciu wilgotnym palcem wydający niski wizg — tak pomalował Stróż jej świat. Z czasem, po latach, będzie słyszeć ten dźwięk nieprzerwanie, w każdym hałasie, w każdej ciszy, uwerturę szaleństwa. Ale tego jej teraz Aguerre nie mówi, teraz usiłuje się cieszyć, iż wydobyła się ze swojej Spirali, że znowu potrafi myśleć o jutrze i prymitywnych przyjemnościach teraźniejszości. Zresztą owo szaleństwo nigdy przecież nie nadchodzi, Stróż go nie dopuszcza.

Zmiatają w przeciwnych kierunkach, bo Frederick po siedemdziesięciu godzinach tej Rzeźby na ćwierć gwizdka, ponurych prorocztw o losie Zakonu, przygnębiających raportów ekspertów i po dwudziestu kilobajtach wierszy Luźnego — wyraźnie już czuje, jak opuszcza go wszelka wola, wycieka wraz z lepkiem fioletem przez rozszerzone pory, i przechodzi Aguerre w tryb refleksyjny, kontemplacyjny, niemal tęskniąc za prawdziwym letargiem stuprocentowej Rzeźby, zupełnym odcięciem od rzeczywistości... Wszyscy mamy swoje Spirale, szybkie autostrady nieuchronnych transformacji w nieznane; nie stoją przy zjazdach na nie żadne znaki ostrzegawcze.

— Jestem przecież bogata — mówi Carla podczas kolacji w głównej sali jadalnej hacjendy, o zgodnym zmiatając słońce Błękitu. — Ja mimo wszystko mam prawie dwa giga po Gabrielu, w udziałach i kapitale obrotowym — powtarza i Frederick nie jest już pewien, do kogo ona się zwraca, do niego? Chociaż po odejściu służących nie ma w wielkim, przestronnym pokoju nikogo poza ich dwojgiem. Ale może mówi do samej siebie.

Aguerre zdobywa się na wysiłek i odpowiada jej.

— Z tych udziałów to ty lepiej zejdź. Nie doszły cię jeszcze plotki? Wszyscy przepowiadają krach na giełdach; a skoro tak, nastąpi on niechybnie.

— O? Masz jakieś konkretne dane? Możliwość tak zagrać na krótką sprzedaż...

Mieli rozmawiać o Sardynii, miał jej przypomnieć ich pierwsze noce — a opowiada o sekretach ekonomii, powtarza analizy Kiera. Płomienie świec rozstawionych na mahoniowym stole drżą, z lekka przestraszone rychłą ciemnością. Stół jest długi, siedzą przy przeciwległych końcach. Frederickowi, który nie zdejmuje dłoni z Wielkich Arkanów, kojarzy się teraz wszystko ze wszystkim, i nagle widzi siebie w środku „Obywatela Kane”, biją dzwony, ktoś wyszeptuje fałszywe wspomnienia dzieciństwa, na łożu śmierci, w powiewie białych firan... Wyciemnienie, *cut*.

Potem już nic nie mówi. Rozminęli się z Carlą; jest po drugiej stronie. Czy taki był zamysł Petrcy? — sprowokować Aguerre do ciągłej Rzeźby na tyle długiej, by po prostu przestało mu na czymkolwiek zależeć? Musi to przerwać! Ale — czy istotnie „musi”...? Dlaczego niby? Tak jest... dobrze.

Carla wyciąga go do ogrodu. Patrz, jaki piękny zachód słońca. Spójrz na tamte kutrypiczne drzewa

w rosie wieczornej. Popatrz na chmury nad oceanem. Widzisz tę nieskończoność? *Jiis*, mogłabym tak siedzieć i patrzeć godzinami. Ścisza go za ramię. Aguerre się wyswobadza, przeprasza; ma inne wysokopriorytetowe połączenie. *Gritz, gritz*.

Nie kłamał, zadzwoniła *frei Ori*.

Przyjmuje ją w tylnym pięciobocznym kubiku, przy zielonej herbacie. Światło z kosmosu za Ogrodem, bardziej symulowanego niż prawdziwego, nie wystarcza nawet dla obudzenia cieni; kutrypiczna pseudopleśń, przerastająca szkielety ścian, emituje biały blask. Yesada jednak i tak opuszcza oczy.

— Bardzo się na mnie pogniewasz, *frei*.

Aguerre nawet nie jest zdziwiony.

— Przechodzisz do SR.

Yesada podrywa głowę.

— *Nai, nai*, skąd!

Aguerre wzrusza ramionami. Nie patrząc na xenotyczkę, I dolewa sobie herbaty, unosi filiżankę do ust. SpaceSculptor : dudni mu w skroniach długim tętnem, taktowanym na trzy.

— Nie przejdę do nich — ciągnie powoli Yesada — ale obawiam się, że nie będę już dłużej członkiem *Ordo*. Jutro skończy mi się krystalizować większy Ogród, ze stosownymi zapasami. Odleczę.

— Dokąd?

— Donikąd. Wrzeźbię się w dolinę 4D, ustawię skrypt, będę sprawdzać co dwadzieścia lat. Mam nadzieję, że nie zmienią kodów Iluzjonu/Open.

— Poczekasz sobie w Rzeźbie dylatacji czasu... — Aguerre : prostuje się z westchnieniem na wysokim krześle. — Na co?

— Na technologie odwracające syzygie.

— Ach!

— Przepraszam, Frederick.

Teraz już może mówić mu po imieniu, skoro najprawdopodobniej nigdy więcej się nie zobaczą. Aguerre nie ma wielkich złudzeń, jeśli chodzi o możliwość bezpiecznej degleizacji organizmów o tak rozwiniętym systemie nerwowym. Swego czasu sam przechodził podobną fazę zwątpienia, konsultował się wówczas ze wszystkim najsłynniejszymi specjalistami, godzinami przesiadywał u Luźnego. Nikt nie dawał mu nadziei. Operacja wymagałaby *de facto* sporządzenia pełnego *backupu* umysłu xenotyka i zbudowania mu od nowa mózgu wolnego od gleju — rzecz niewykonalna z powodów zupełnie fundamentalnych. Kognitywistyka ma swoje twierdzenie o nieoznaczoności, prawo dowodzące niemożności redukcji struktury umysłowej do jakiegokolwiek zestawu danych o mierzalnych bodźcach, nawet obszernego.

— Bardzo szybko się zniechęciłaś. Nie za radykalne te decyzje?

— Trzeba się przemóc.

— Przemóc?

— Póki jeszcze... Rozumiesz, *frei*.

— Chyba nie bardzo.

— Boję się, że potem już nie będę chciała, że potem już nie będzie mi zależeć. — Znowu opuszcza wzrok. — Widzę, jak się zmieniacie.

— Uroczo obrażasz.

— Przepraszam.

Aguerre właściwie nie jest ciekawy, ale coś go prowokuje i pyta:

— To przez Horpache'a, prawda?

— Nie wiem. Może. — Bardzo jest zmieszana, chciałyby już zakończyć tę rozmowę, swobodna poza i brak emocji w głosie Aguerre dodatkowo ją konfundują. — Ja nigdy przedtem nie wyrządziłam nikomu takiej krzywdy. Ja w ogóle...

— Byłaś niewinna, aż przyszedł zły król i zwiódł cię szczerą prośbą do grzechu.

— Pójdę już.

— Tak.

Podolbrzym, mgławica, Piątka Mieczy, Wisielec; i wciąż Rydwan.

Jest źle, będzie gorzej. Giełdy zaczynają wariować, wskaźniki gospodarki światowej dołują — i w powszechnym odbiorze łączy się te fakty ze schizmą w OHX. Aguerre wydał oficjalne zarządzenie aż do odwołania zakazujące xenotykom pojawiania się w Glinie na Ziemi i w Trzech Koloniach.

Spotyka się w parku Waszyngtońskim z reprezentantami lobby ekspansjonistycznego, pod fragmentarycznym krypto, w sferze prywatności; dobrze widzi te spojrzenia przechodniów spoza sfery, reakcje na barwę jego koszuli, emblemat OHX, fioletowe żyły na twarzy. Gdzie przedtem spostrzegał ciekawość, fascynację, odrazę, teraz coraz częściej odczytuje jad bezsilnej złości, dziecięce rozzalenie. Odwraca wówczas spojrzenie. Łuzny jak zwykle otworzył drzwi niechcianym skojarzeniom. Bo to prawda — byliśmy dla nich aniołami.

Lobbyści ciskają gromy na głowę Petrcza.

— Przesłaliśmy agencjom kopie tych materiałów, które wydobył pan od zdrajców./rei. Jeśli oni tak swobodnie hasają po galaktyce, radioteleskop tu, grawimetr tam, tę planetę przerobimy na komputer, tamtą przenicujemy... Co będzie, gdy przestaną stosować się do rezolucji Ligi Suwerenów? W Zakonie trzymał ich pan w garści — ale teraz? W jaki sposób przywołać do porządku xenotyka? Co mamy im przeciwstawić? Oczywiście media panikują do przesady, ale niby co broni jednemu i drugiemu schizmatykowi zaszantażować nas kollapsem Ziemi? I co wtedy? Nie mamy żadnej armii kosmicznej, żadnych *wunderwaffen* przeciwxenotycznych. Kto nas obroni? Tylko wy, *Ordo Homo Xenogenesis*; tylko ty, *frei*. Jesteś przecież wierny, nie zdradzisz.

Kto wie, co Aguerre odrzekłby, gdyby był w pełni przytomny? Bo czy nie tak właśnie przemawiali gubernatorzy brytyjscy do radców kupowanych coraz to nowymi godnościami? I czy nie tak czuli się ci sprzedajni wodzowie autochtonów — jak zdrajcy własnego rodzaju? Kiedy nadchodził czas powstania — po której stronie barykady stawali? Czy nie o to w gruncie rzeczy tu chodzi? Żebym dał gwarancję, iż nie zawaham się i podniosę rękę na swych braci i siostry w gleju, bez litości zgniotę buntowników, a gdy mowa o Rzeźbie czasoprzestrzeni, nie istnieją półśrodki, jakies Rzeźby selektywne, mord będzie pewny, jak z Cuomo — czy nie o to pytają? Wojny xenotyczne, *kreist!* Nie chcą takiej gwarancji...?

No więc nie daje jej im; ale też bynajmniej nie dla wysokich racji moralnych, lecz znowu dlatego, że nie bardzo chce mu się wdawać w dłuższe dyskusje, sprzeczać o pryncypia. Powinien pluć na lobbystów gorącą żółcią — obserwuje fale na sztucznym stawie. Wojna, nie wojna — co go to wszystko obchodzi? Byle wreszcie dolecieć na spotkanie z Ivanem, zakończyć tę absurdalną włóczęgę. Ile wróżb jeszcze...?

Post factum okazuje się, iż istotnie znał koordynaty od początku.

18. Zbroja

Jest to najbliższy Wektorowi Ferza punkt spośród lokacji Odrzeźbień kosmosów postglejotyckich obliczonych przez glejokrystny komp *frei* Deuce. Znajduje się blisko tydzień świetlny od przejrzanego czerwonego olbrzyma, niemal prostopadle do ekliptyki, na przedłużeniu osi obrotu gwiazdy. Ledwo Frederick zatrzymuje SpaceSculptora na jej orbicie, Ogród rejestruje wezwanie radiowe na dwudziestu jeden centymetrach. Widać Petrc znajduje się tutaj co najmniej od tygodnia; a w każdym razie od tygodnia spodziewał się *Pńmusa*.

Aguerre Rzeźbi ku punktowi, na wszelki wypadek pakując 40% mocy w Cage/Armour. Dał znać na Zamek, ale oczywiście zdaje sobie sprawę, że gdyby przyszło do najgorszego, na wszelką reakcję w Glinie będzie za późno. On jest sam — ale kogo ma ze sobą Ivan? Tak, głupio czyni Aguerre. Niemniej — istnieje taki rodzaj głupoty, który przystoi monarchom.

Punkt tak naprawdę nie jest punktem. W bazie Horpache'a zawarte były obszernie komentarze do algorytmów Projektu REVUM, łącznie z krytyką założonych warunków brzegowych. W surowych danych REVUM dał bowiem na wyjściu nie ciasne współrzędne z ewentualnymi marginesami błędu na parę kilometrów — lecz w istocie właśnie chmury prawdopodobieństwa rozciągające się na kiloparseki. Revumowcy przyjęli wszakże, iż nie będą sobie zaprzętać głowy niemożliwym (nareszcie uznali coś za niemożliwe także dla siebie!) i nałożyli na wyniki dodatkowe filtry, „odcinające” lokacje indeksowane poniżej pewnego progu prawdopodobieństwa. Pozostały na Schrödingerowej symulacji Mlecznej Drogi 3479 obszary „wystające” ponad tak arbitralnie wybraną poziomice 4D. Co oczywiście oznacza także, iż istnieje sumarycznie bardzo wysoka szansa, że rzeźbione drzwi do Odrzeźbionych kosmosów znajdują się poza przestrzeniami sprawdzanymi przez Revumowców. W rzeczy samej Klinger policzył z grubszą tę szansę i proporcja prezentuje się jak jeden do siedmiu na niekorzyść poszukujących. Wszelako przy tak wielkiej wygranej — Aguerre czyta między wierszami opracowań Horpache'a — nie można sobie pozwolić na zaniechanie.

Konstrukt, który Frederick zastaje po przybyciu na miejsce, jasno dowodzi, iż SR nie zamierza odpuścić i pójść w przedsięwzięciu na łatwiznę. Jest to coś na kształt niepełnej sferycznej klatki, obracającej się wzdłuż osi równoległej do osi czerwonego olbrzyma, z częstotliwością półtorej obrotu na godzinę. Najważniejsze są jednak rozmiary: średnica konstrukt przekracza siedemdziesiąt kilometrów. Klatka zamyka w sobie cały obszar wycięty tu z obliczeń Projektu przez kryteria Horpache'a.

Kiedy Aguerre zbliża do niej swój Ogród i zrównuje się z nią prędkością, gołym okiem staje się widoczna struktura szkieletu sfery. Do złudzenia przypomina ona strukturę „stwardniałych” radioteleskopów dyspersyjnych: ultracienka firana z semiorganicznego żywokrystu, z licznymi, nieregularnymi zgrubieniami, fraktalowymi naroślami — wszystko to w skali hektarów. Widać gwiazdy przez wielkie dziury w firanach, prześwituje przez nie owo nieskończone bogate tło kosmosu — ale wyhodowane instrumentarium Ogrodu pokazuje Frederickowi na płytkim Iluzjonie, że w istocie także te dziury są zarośnięte dwu-, trzymolekułowymi wartwami żywokrystnych nerwowodów.

Po zewnętrznej stronie narodziły się wyrzuszające gładką powierzchnię sfery jakieś dodatkowe instalacje; sygnał przywoławczy z nałożonymi kodami Petrc płynie z tej najobfitszej, zapewne jest to Ogród klatki — i tam zmierza Aguerre.

Petrca otwiera szerokie łącze radiowe do równoległej transmisji jednorazowych szyfrów dla bezpiecznej komunikacji przez Iluzjon. Aguerre akceptuje i wita Ivana w przednim górnym czwórściennym kubiku. *Primus Societas Rosa* jest cały w bieli — luźna, niedopięta koszula, spodnie o szerokich nogawkach, białe mokasyny — tylko jaskrawo czerwony haft róży na sercu kała jednolita barwę odzienia. Zmarszczki układają się wokół fioletowych oczu, gdy uśmiecha się szeroko do Fredericka.

— Zapraszam — mówi, obejmując szybkim gestem ciemną konstrukcję, do której powoli zbliża się Ogród Aguerre. — Czekałem na ciebie.

Frederick obserwuje schizmatyka w milczeniu, czekając nowych manifestacji chorobliwego rozkojarzenia Petrc, dowodów na poddanie się przezeń rygorom bezwarunkowej glejintuicji. Ale to przecież tylko Iluzjon, Ivan może się edytować przez filtry behawioru, obraz poza Gliną niczego nie dowodzi. Z drugiej strony — na Błękanie też był tylko iluzyjny.

Zewnętrzny żywokryształ Ogrodu Aguerre dotyka żywokryśtu Ogrodu Sfery, wcześniej Frederick przeformatował swojego Cage/Armoura, żeby nie odkształcić konstrukcji gwałtownymi zapadliskami grawitacyjnymi. Ogrody się zrastają, ortowirtualny Petrca prowadzi Fredericka ciemnym tunelem. Aguerre musiał wyłączyć makro sztucznego pionu — płynie na smyczy płytkiego węzła grawitacyjnego, spadając i spadając, wprost na ducha schizmatyka.

I teraz przeżywa Aguerre prawdziwy sztorm złych przeczuć, atakują go fatalistyczne skojarzenia w każdej możliwej formie, począwszy od wspomnień bajek z dzieciństwa. Oto samotny bohater w swej naiwności przybywa bezbronny do wieży czarnoksiężnika. Król zawierzył wiarołomcy! Zaraz rozlegnie się śmiech smoka, chichot wiedźmy. Oto zstępuje w ciemności lochu nekromanty. Wyjdzie jako zombie. *Et ceatera.*

A Petrca faktycznie mógłby coś takiego uczynić, jeśli uprzednio na tym swoim kompie FTL złamał krypto wszczepki Fredericka, rzecz nie sprawi mu nawet większych trudności. Jedną z owych narad, jakie Aguerre odbywał w Iluzjonie podczas lotu, dotyczyła właśnie tej kwestii.

Radził, półprzytomny, z Hesjogiem, Szarskim i Phavištavrdatą Śudra, doktorem nanoinżynierii militarnej, podobnie jak pozostała dwójka — bezpieczeństwa na przysiędze wasalnej OHX.

— Istnieją tu trzy sposoby inwazji — wyjaśniał Hesjog. — Po pierwsze: ten, na który podatni są wszyscy ze wszczepką, a zwłaszcza ze Stróżem — przez łącza zeroczasowe, czyli, skrótowo mówiąc, Iluzjon. Po drugie: przez wejście radiowe. Po trzecie: przez intruzję fizyczną. Dwie ostatnie dotyczą tylko sytuacji zbliżenia w Glinie, ale pan przewiduje takowe, *frei.*

— Co do inwazji przez Iluzjon. To jest właśnie to „opętanie”, o którym grzmiały media w związku z glejokrystem. Jeśli miałby łamać czyjeś kody, to właśnie twoje; zakładamy, że już je złamał.

— Jeśli tak — przerwał Szarskierou prefekt — to po co ciągnie go na rozmowę w cztery oczy w Glinie?

— Nie mam pojęcia — wzruszył ramionami Immanuel — lecz niezdolność do wyobrażenia sobie jego motywów nie zwalnia nas z obowiązku rozpatrzenia wariantu. Do tej pory domyślaliśmy się ich motywów w ostatniej kolejności. Zatem... ma kody. Co teraz? Albo odcinamy cię całkowicie od Iluzjonu...

— Niemożliwe.

— Wiem. Albo wyłączamy spod zarządu funkcje edytujące i nakładamy na nie pieczęć jakiegoś twojego subtelnego *mindprintu*. Co to oznacza w praktyce: że wszystkie funkcje reprogramujące

Stróża oraz część jego funkcji odpowiedzialnych za homeostazę psychofizjologiczną — konkretnie te, które działają na podstawie danych pochodzących z monitoringu zewnętrznego — będą mogły zostać aktywowane dopiero po każdorazowej twojej osobistej autoryzacji. Oczywiście Ivan nadal będzie władny opętać cię niebezpośrednio: fałszując Iluzjon, nakładając własne konstrukty ortowirtualne. Ale gdy tylko spostrzeżesz, że coś jest nie tak, możesz zresetować wszczepkę, bo to właśnie jedna z funkcji zastrzeżonych.

— A ten program diagnostyczny? — przypomniał sobie Aguerre.

— Diagnostyk, o którym mówiliśmy, może wykryć jedynie manipulacje już dokonane, i to gdy działa z operatora zewnętrznego; jako program strażniczy czasu rzeczywistego jest wart tyle, co każdy inny *watchdog* wszczepki, który tak samo może zostać reedytowany, skoro już hacker wejdzie ci na mózg. Prawdę mówiąc, nie jesteśmy pewni tego diagnozera nawet przy tak zawężonym działaniu. Posłałem *go frei* Nastazji, ale...

— Do rzeczy — warknął Hesjog. — Co z wejściem radiowym?

— To jest inwazja zasadniczo identyczna z omawianą wcześniej, tyle, że koń trojański zostaje tu wprowadzony na falach elektromagnetycznych lub w jakimkolwiek innym strumieniu danych, na nośnik których otwarty jest menadżer wszczepki. Jeśli tak sobie ustawisz opcje menadżera, Petrc może cię zhackować nawet kadencją głosu, choreografią ruchów swego ciała, częstotliwością mrugnięć, statystycznym rozkładem danej głoski w wypowiedzanych słowach. Więc rada jest następująca: zamknij pod *mindprintem* wszystkie wejścia prócz jednego, powiedzmy: okna zimnego wodoru, a i to zarezerwuj dla konkretnego użytku. Żadnych furtek z awaryjnymi hasłami, kodami alarmowymi, interpreterami szyfrów wizualnych i tym podobnym szajsem.

— Po trzecie.

— Po trzecie — westchnął Phavištavrdata, prostując się w fotelu i składając dłonie na blacie stołu — inwazja fizyczna. Jest możliwa w bezpośredniej bliskości w Glinie, a „bezpośrednia bliskość” oznacza tu możliwość dotarcia modułów wielkocząsteczkowych do pana organizmu, *frei*, w czasie kilku — kilkunastu sekund. Podstawy wykladałem wam przed sprawą Horpache’a; tam trochę improwizowaliśmy, to nie jest dziedzina o bogatej historii zastosowań praktycznych. Kryterium pozostaje jedno: konstytucja nowych, zwierzchnich struktur nakorteksowych. Z Horpache’em, wbrew pozorom, poszliśmy miękko. Wersja *hard* daje na wyjściu trupa: skanujemy wszczepkę i mózg bez oglądania się na biologiczne przetrwanie organizmu. Jeśli Petrc pójdzie tą ścieżką, nie będzie żadnych opóźnień, żadnych ostrzeżeń, tych statystycznych czterech sekund na transmisję żywokrystu; nic panu nie da, *frei*, najściślejszy nawet monitoring, najszybsze programy strażnicze, nie zdąży pan zareagować. W pierwszej fali uderzy wysokoenergetyczne nano analityczne, ono rozłoży pana skórę, rozkruszy kość czaszki, otworzy mózg; trepanacja w milisekundy. Nie da się obronić; przy otwartym szturmie na poziomie nano nawet kutrypiczny Kameleon nie miałby szans. Można tylko próbować nie dopuścić do kontaktu. Niexenotykowi powiedziałbym zatem: nie wchodź w zasięg jego wzroku. Dla xenotyków natomiast zaprojektowałem makro na NavigatoraXG... Pan mnie słucha, *frei*?

— Co...? A, tak. Co to za makro?

Nazywa się Hermeneticum i jest najbardziej skomplikowaną spośród wszystkich makrodefinicji Frederickowego Navigatora. Wzory jej przekształceń 4D są tak rozbudowane, że program zajmuje ponad dwanaście giga. Aguerre odpala Hermeneticum zanim jeszcze zrastają się żywokrysty Ogrodów. Pozornie nie ma żadnych widocznych efektów operacji, ale to tylko dlatego, że automatycznie włączyła się także nakładka w Iluzjonie, niwelująca skutki Rzeźby. Więc kiedy Aguerre spada ciasnym tunelem w głąb sekretnego Ogrodu, widzi powleczone cieniem ściany tak

samo wyraźnie, jak sylwetkę iluzyjnego Petrcza w przodzie — chociaż światło odbite od tych ścian dochodzi do Aguerre zaledwie w drobnym ułamku i to po mocno zakrzywionych torach. Hermeticum szatkuje dookolną czasoprzestrzeń. Żeby się uchronić przed atakiem nano, należy całkowicie odgradzić się od źródeł potencjalnych zagrożeń. Całkowicie — to znaczy albo filtrami przyangstremowymi, albo szczelną barierą z materiału o supermocnych wiązaniach molekularnych. Xenotyicy współczesnych generacji nie są zdolni do Rzeźby o rozdzielczości angstromowej. Gdyby postawić Cage/Armoura tak twardego, by nic nie mogło przezeń przeniknąć, byłaby to *de facto* mini — Odrzeźba: xenotyk straciłby wszelki kontakt z zewnątrz, zamykałby się zaiste hermetycznie dla całego kosmosu. Z pewnością byłby bezpieczny (choć nie przed śmiercią z głodu czy uduszenia) — bezpieczeństwem trupa. Hermeticum nie jest zatem hermetyczne: pozostaje otwarte na światło, powietrze i dźwięki z zewnątrz, przynajmniej częściowo; przestrzeń poszatkowana jest na tunele o średnicy o wiele rzędów większej od angstroma. Na czym więc polega patent Phavištavrdaty? Otóż te tunele skręcają się wokół xenotyka w gęsty kokon, tysiąc-, milion-, miliardkrotnie, tak że cokolwiek — foton czy nanobot — uderzając weń, musi przebyć drogę o długości blisko godziny świetlnej, zanim dotrze do ciała bezsennego. Zważywszy, iż front najgwałtowniejszego nanosztormu nie osiągnie nawet 0.01 c, daje to spory margines bezpieczeństwa. Zarazem jednak skazuje delikwenta na ślepotę i głuchotę. Temu pierwszemu Phavištavrdata zaradził, wprowadzając do algorytmu bardzo silne „skręty kiszek” kokonu: taktowane na 12 Hz przesunięcia tuneli o n warstw ku zewnątrz, każdorazowo poprzedzane mikropulsacją do 400000 g. W ten sposób informacja o otoczeniu dociera do Fredericka z opóźnieniem zaledwie sekundowym — choć tak okrutnie sperwertowana, że trzeba skomplikowanych reinterpretacji na wszczepce, odkluczonej w tym celu wspomnieniem zapachu wypalonych słońcem Sardynii włosów Carli Fiore, by Aguerre widział teraz wokół siebie, w płytkiej nakładce iluzyjnej, te półokrągłe ściany o chropowatej fakturze cienia, kształt ujścia korytarza w figurze gwiezdnego blasku, i wreszcie otwierającą się przed nim wielką komorę Ogrodu Sfery, z jednej strony, tej wewnętrznej, wyhodowaną z przezroczystego żywokrystu, tak że ukośną żyła galaktyki iluminuje całe pomieszczenie, las kutrypicznych nieważkościowców (teraz ciemnogranatowych), całe rozplaszczone na ścianie jezioro (teraz srebrne), i Ivana Petrcza SR, już z Gliny, witającego Aguerre pośrodku Ogrodu/ogrodu, z szeroko rozłożonymi ramionami (teraz anielsko białego). Ivan coś mówi, ale poza Iluzjonem, więc Aguerre nie słyszy. Spada ku schizmatykowi.

I mimo swej zbroi, mimo wielokrotnych zapewnień, obłczeń, wróżb, boi się *Primus* OHX (teraz przytomny), iż nie opuści tego Ogrodu sobą; że skończy jak Horpache, albo jeszcze gorzej. Prawie oczekuje tego, a przynajmniej takowej próby ze strony Petrcza; ma nadzieję. Czyż doprawdy nie jest prawdopodobne, iż owi scjentaugurowie Petrcza zdążyli udoskonalić na własną rękę Gabrielową technologię indukcji szumów w wybranych komórkach *X. procaryota gleiophyta* i w sekundę po myśl — rozkazie Petrcza EEG Aguerre wypłaszczy się do zera? Tak byłoby... sprawiedliwie. Czy nie dlatego zgodził się Aguerre na tę szaloną propozycję, ustrome *tête à tête* ze zdrajcą? Ivan wyciąga dłoń, fioletowe oczy lśnią łzawo w świetle gwiazd.

Królowie sami czynią nad sobą sąd.

19. Straszliwi aniołowie fioletu

— Zaczęliśmy oczywiście od lokacji najbliższych Punktowi; teraz jesteśmy już dość głęboko w galaktyce. Ten tutaj obszar sprawdziliśmy w pierwszym rzucie.

— Załatwiacie je po kolei?

— Już nie. Odbudowaliśmy wszystkie Ekstrema Horpache'a, teraz pracujemy nad nimi równolegle. To już tylko kwestia czasu.

— Akurat. Siedem ósmym, że pudło.

— Ach, ale ja miałem sen, że jednak nie.

— Co miałeś?

— Sen, mój drogi, sen. Pokazałbym ci go, ale światło dotrze tu dopiero za kilka tysięcy lat. A tam, o, w gwiazdozbiórze Raka, tam wybuchną moje orgazmy i jedna rozległa depresja, bardzo piękna. — Gwiazdozbiór Raka kryje się już pod „sufitem”, obroty Sfery wypychają Mleczną Drogię poza okno Ogrodu.

Aguerre w odruchowym skurczu zaciska mocniej tylny węzeł grawitacyjny i odpływa dalej od Petra.

Ivan ogląda się nań, ironicznie uśmiechnięty, cień od gwiazd przecina twarz na pół, maska gładkiego papieru i ciemnego aksamitu, a na papierze — fioletowy kleks oczodołu; a w aksamicie — błysk zęba.

— Chciałbym cię teraz zobaczyć w Glinie — śmieje się (widzi oczywiście tylko fantom iluzyjny, zbroja Fredericka rozszatkowuje przecież także obraz samego zamkniętego w niej xenotyka, xenotyk w zbroi Hermeticum widziany z zewnątrz to drżący kłęb monochromu). — Cóż za strach zabobonny!

— Ty naprawdę wyprułeś sobie Stróża!

— A bo to trzeba od razu go wypruć...? Sądzisz, że za czyj kod zabrałem się w pierwszej kolejności? Swój; kody Zakonu z mojej wszczepki. Zdjąłem pieczęć ze Stróża, poleciałem w galaktykę, wyspałem się...

— Tak ci wróżba pokazała?

— Tak. Masz coś przeciwko wróżbom? A jak tu trafiłeś?

— Żeby było jasne: przeprogramowałeś Stróża, rzuciłeś sobie na wszczepkę dopalacz glejintucji, włamujesz się ludziom do głów, knujesz spisak, mordujesz szlachcica, wywołujesz schizmę, teraz szukasz ukrytych kosmosów... Jakbyś sam siebie nazwał?

— *Übermensch*?

— No nie wierzę! — Aguerre/Iluzjon krzywi się, zde gustowany. — Ty przecież byłeś inteligentny człowiek! Co się stało, że dopadł cię tak prymitywny mem?

— Prymitywny mem... Mhm. Pamiętasz motto *Snów* Luźnego? *Uni dedit quinque talenta, dlii autem duo, alii vero unum*. Nie rozdano talentów sprawiedliwie. Ludzie nie są sobie równi. Nie mówię teraz o jakichś względach moralnych — lecz o potędze, zdolnościach, potencjale. Nie rodzą się równi i nie są równi. Dotąd różnice nie były na tyle duże, by mówić aż o nadludziach, przyznając,

tylko roili sobie bezpodstawnie, jedni czy drudzy zakompleksieni rasiści. Ale my? Czy my nie mamy podstaw? Powiedz, Fred. Niech cię nie zaślepi historia słowa. Sam podaj dowolną definicję nadczłowieka, a my się w niej zmieścimy. To nie megalomania; to fakt.

— A niechby. Wciąż tylko słowo.

— Wiem. Ale sam o nie spytałeś. No dobra, nie po to spotkaliśmy się w Glinie, żeby kłócić się o słowa. Teraz mogę ci złożyć pewne propozycje... Kiedy już do nich wejdziemy — do postglejotyków, wiesz, o kim mówię, nie rób takiej miny — kiedy już wejdziemy, niech to pozostanie między nami. To jest sprawa xenotyków, naszych kochanych *Homo sapiens* w to nie mieszajmy, tylko się biedacy przerażą śmiertelnie. Tak powinno się to było odbyć: zebrałaby się Rada, rozważylibyśmy rzecz w naszym gronie, Zakon by się wszystkim zajął... Nikt więcej nie jest nam potrzebny — zresztą nawet nie dostaną się na miejsce, jeśli ich tam sami nie Przerzeźbimy. To wewnętrzna sprawa xenotyków. Wolałbym poprowadzić ku temu cały Zakon, aniżeli powodować schizmę; skoro już jednak... Pomyśl nad tym, Fred: jakieś dwa, dwa i pół roku temu ostatecznie odwróciły się gradienty ekonomii i teraz to my jesteśmy im bardziej potrzebni, niż oni nam. Niezależnie od różnic politycznych dzielących dziś SR i OHX, niezależnie od osobistych pretensji — ty i ja mamy o wiele więcej ze sobą wspólnego, niż ty masz z jakimś nauczycielem z Kansas czy chłopem z Chin; co więcej: ty i ja już jesteśmy bliżsi owym postglejotykowi, w jakiegokolwiek formie się nie objawia, aniżeli dowolnym psychozoikom bezglejowym. Do czego ja cię tutaj próbuję namówić — do wyzwolenia się z mentalności wasalnej. To my jesteśmy suwerenami. Powtórz. To my jesteśmy suwerenami! — Ale miast marszczyć brwi w krzyku, znowu się schizmatyk uśmiecha, znowu kryje twarz w cieniu. Tu po raz pierwszy objawia się stampa Petrc: Ivan znika i pojawia się kilka metrów po lewej, zwrócony twarzą do przesuniętego parę stopni gwiazdoskłonu. Uskok czasowy miał rozmiar kilkudziesięciu sekund — ale Petrc mówi już o czymś zupełnie innym: — ... tak małą „szczelinę” w tak wielkim obszarze? Ten konstrukt — obejmuje Sferę szerokim gestem — to jeden wielki detektor. Najpierw jest tylko bierny nasłuch i bilans energetyczny: czy aby nie bije tu jakieś ukryte źródło — to mogłoby oznaczać właśnie ujście energii z zewnętrznego układu. Tak dla wszystkich części; najdłużej oczywiście z neutronami. Bilans się zgadza, więc zaczynamy grawimetrię i laserunek. Jeśli mapa grawitacyjna nie pokazuje żadnych anomalii, startujemy z ostrym ostrzałem. Precyzja musi tu być przyplanckowa, po częściach wirtualnych, bo trzeba przykryć całe wnętrze Sfery, z każdego kierunku. Impuls po impulsie; strzelamy i rejestrujemy po drugiej stronie. Jeśli znajduje się tu wejście do Odrzeźbionego kosmosu, któryś bilans będzie ujemny. To oczywiście też zabiera sporo czasu. W sumie pełny cykl, w zależności od rozmiarów Ekstremum, zamyka się w stu do dwustu trzydziestu dniach. Więc za pół roku najdalej...

— *Kreist*, Ivan! Nie pieprz mi tu o technikaliach. Znajdujemy się u progu wojny. Myślisz, że o czym chciałem z tobą gadać? Musimy to opanować, zanim pójdzie na żywioł.

— Wojny...?

— Do reszty już straciłeś kontakt z rzeczywistością? Jesteś ucieleśnionym strachem połowy tych twoich *Untermenschów*; druga połowa patrzy na Dow Jonesa i też nie bardzo cię kocha. Czy kasowanie Stróży i sprzęgi glejintuicyjne stanowią w *Societas* standard? Niech to tylko przecieknie, a dopiero się przekonamy co znaczy „ksenofobia”! Przecież nie o to ci chodzi, Ivan! No pomyśl chwilę! A baw się we wróżby, jeśli chcesz, proszę bardzo — ale nie wywołuj przy tym światowego kryzysu! Ustalimy wspólnie jakąś strategię i...

Petrc odpływa, w przenośni i dosłownie. Najwyraźniej za bardzo zapatrzył się w otwarty kosmos, skojarzenia znowu mu poszły długim łańcuchem — i teraz manifestuje się to niespójnością jego behawioru, opóźnieniem reakcji. Kiedy w końcu przerywa Frederickowi, mówi powoli, jakby z

wahaniem, biorąc przy tym wdechy w nieodpowiednich miejscach. Nie zachowuje też równowagi między siłą poszczególnych węzłów swojej sieci grawitacyjnej i w efekcie obraca się z wolna na wszystkich trzech osiach, zupełnie zgubiwszy orientację względem Aguerre.

— Straciłem kontakt z rzeczywistością, powiadasz. Kryzys, powiadasz. Strategia... Tylko jedno pytanie, Fred: jakie to wszystko będzie mieć znaczenie, kiedy otworzymy ich kosmos?

Aguerre wzdycha bezsilnie.

— A zatem to religia. Nic, co powiem, ciebie nie przekona.

— Nie wiem. Co powiesz?

Aguerre/Glina sięga do kieszeni kaftana i wyjmuje Talię Luźnego. Tasuje z namysłem. Schizmatyk obraca się przed nim niczym lodowy księżyc — biel jego odzienia jest prawie oślepiająca, gdy nie pokryta cieniem. W niedostatku światła wszczepka automatycznie podciągnęła kontrast i otaczający Frędericka Ogród/ogród Sfery obudził się do życia. Sztuczna grawitacja wirującej konstrukcji organizuje topografie parku, dno doliny wypełnia lśniący owal jeziora, brzegi i stoki zarasta wielokolorowa gęstwa kutrypicznego życia — tylko rośliny, o ile Aguerre potrafi to z tej odległości ocenić (komora ma ponad sto metrów średnicy) — ale to wszystko żyje, teraz widać, powierzchnię wody przebijają wysokie łądygi trzciny — nietrzcin, zwieszają się nad nią włochate wici z karłowatych drzew, walczą ze sobą na zboczach czarnolistne palmy... O sekundę za długo spogląda Aguerre w tę dzicz i jedna z dłoni obsuwa się po kartach. Arkana wymykają się palcom; chwyta je szybko drugą ręką, spogląda: Świat.

— Nic już nie będę mówił. Zrobisz, co musisz. — Przekopiuje na projekcję iluzyjną swój obraz z Gliny, z kartami w dłoniach. Petrc obraca się plecami do wnętrza Sfery i kosmosu za nią. Aguerre ostentacyjnie rozsuwa talię. — I ja zrobię, co... zrobię.

— Ach, tak.

— Tak.

— Kiedyś sięgnęłoby się w tym momencie po Biblię, otworzyłbym na ślepo, wskazał wers...

— Ale dziś nie wierzymy w takie rzeczy, prawda? Nie potrzebujesz Biblii. — Tasuje powoli, nie opuszczając wzroku na karty. — Patrz na mnie.

— *Frei.*

— *Frei.*

W gruncie rzeczy — uświadamia sobie Aguerre pomiędzy jednym przełożeniem talii a drugim — ja wiedziałem od początku, tak jak znałem te koordynaty spotkania; wiedziałem, że tak się skończy.

Karta. Nie patrzy.

Ivan — twarz w cieniu, niewidoczne oczy demona — podkurczył nogi, przekrzywił głowę, rękoma wykonuje nerwowe, niepełne, pozbawione celu i sensu ruchy; nie odrywa spojrzenia od Aguerre. Który również mierzy go nieruchomym wzrokiem.

Karta. Nie patrzy.

Karta. Nie patrzy.

Za Petrcem w mgnieniu oka przesuwają się gwiazdoskłon, znowu za Sferą płonie ukośna rzeka Mlecznej Drogi; pod Aguerre obrócił się ogród, srebrne jezioro wspięło mu się nad głowę. Kolejne drgnięcie stampy schizmatyka spowodowało uskok wyraźnie dłuższy.

Karta. Ivan wciska dłoń do ust, krztusi się, raptownie obróciwszy głowę ku oknu, w oczach lśnią mu łzy. Aguerre nie patrzy.

Karta. Nie patrzy.

Karta. — *Kreist...* — Nie patrzy.

Karta. Nie patrzy.

Karta. Patrzy. Odwrócone Męstwo.

Jak właściwie pachniały jej włosy...?

Zaden z nich nie będzie pierwszy, zsynchronizowali się w międzyczasie perfekcyjnie. Ułamek sekundy po odpaleniu makr — przepisów na bliźniacze a odwrotnie zwrócone destrukторы z oktomorfowanego kosmosu — po Sferze i przyrosłych do niej Ogradach istnieje zaledwie nikły ślad, rzadka chmura rozkruszonego przez gwałtowne pływy grawitacyjne żywokrystu; a i ten żywokryst pędzi już w pokręcone gardziele 4D, w jakie sperwertowały okolice interferujące ze sobą Rzeźby Aguerre i Petrc'a. Skrypty militarne ich wszczepek taktują bój na tysięczne części sekund. Pięć, siedem, dwanaście — xenotyca są już miliony kilometrów od siebie i coraz dalej, krótkie, szybkie fale FTL niosą ich precz od błyskawicznie powiększającego się obszaru szaleństwa czasoprzestrzeni. Obszar się powiększa, ponieważ obaj ścigają się agresywnymi Rzeźbami, i to właściwie po omacku, bo — pozbawieni całego instrumentarium swych Ogradów, w niemożności rozstawienia po drodze najprymitywniejszych choćby grawimetrów — bardziej zgadują nawzajem swoje położenie, własnego też nie będąc pewnym. Toteż makra ślepej destrukcji — Squeezeer, Pandemonium, InGod'sEye — obejmują coraz większe fragmenty układu, w drugiej sekundzie sięgają samego dna doliny 4D i czerwony olbrzym zaczyna tracić kształt i stabilność. Teraz już bój idzie na czystą moc oktomorficzną i spryt AI wszczepek, które tak balansują siły zarządzanych Rzeźb ofensywnych i defensywnych, by zniszczyć przeciwnika, nie odsłaniając przy tym samego xenotyka — nosiciela. Na nic już Aguerre nie ma wpływu, o sukcesie/porażce przeważą przygotowane na tę okazję przez fizyków OHX programy, tudzież elastyczność nakorowych nanosieci logicznych; i też nigdy nie będzie wiadomo, co konkretnie przeważało. Pełnoskalowy pojedynek xenotyków rozgrywa się w oparciu o reguły walki *fire & forget*, nikt tu nie ujrzy zgonu pokonanego, nie odtworzy pełnego przebiegu starcia. Po prostu: nagle urywa się Rzeźba z jednej strony, nic nie napiera na Cage/Armour ocalałego, prostuje się storturowana czasoprzestrzeń. Zwyciężył. To znaczy: przetrwał.

Unosi się w sejfie atmosferycznym ClosedCircuit2, małym, karminowym okiem olbrzyma nad głową, wirując wolno wokół osi pionowej, zdezorientowany. Spogląda na ścisną w dłoni kartę: bestia czterogłowa wgryza się w ramię wiotkiej dziewczyny — xenotyka, której drugie ramię wznosi się do ciosu, błyszczy pod niepełnym księżycem krzywe ostrze jatagana, tryska fiolet spod kłów potwora, przerażone oczy wpatrują się w Aguerre. Składa i chowa kartę do kieszeni.

Skrypt jeszcze przez chwilę kontynuuje dewastację odległego fragmentu kosmosu; wreszcie ogłasza zakończenie procedury, pobór mocy spada do 10% maxoct. i z umysłu Fredericka schodzi mgła. Wypuszcza powietrze z płuc.

Na Zamku przywołuje sekretarza Rady.

— Petrc prawdopodobnie nie żyje. Podaję koordynaty. Ktoś powinien się przelecieć i zmapować jego Śmierć. Poślij komunikat do inkwizytora, niech powiadamia przesłuchiwanym. Ale na razie żadnych oficjalnych oświadczeń dla mediów. Wyznacz termin zwołania Rady po zakończeniu wszystkich przesłuchań przez *frei* von Ravenstuck.

— Słucham i wykonuję — chyli głowę sekretarz. — Przybył *frei* Miaso. Czeka także doktor Szarski, ponoć „sprawa nie cierpiąca zwłoki”.

— Za chwilę.

Wychodzi na górny taras Zamku *Ordo*. Wieje tu porywisty wiatr, łopot wielkich sztandarów prawie ogłusza *Primusa*. Wdycha zimne powietrze, zatapiając się w obrazie kolorowego Aguerre City. Oddech. Oddech. Oddech. Potem wraca do ciała.

Odpala Hornpipe'a, bardzo silnego, rozciągniętego na setki tysięcy kilometrów, zwróconego paszczą ku gwiazdzie. Rzeźba zaczyna intensywne zasysanie materii, budując jej magazyn w

zapętleniu grawitacyjnym, kilkadziesiąt stóp od xenotyka, za ścianą twardego Cage'a. Jednocześnie Frederick uruchamia SpaceSculptora i bierze kurs na Punkt Ferza. Na łagodnej fali FTL trałuje próżnię. A że trudno o naprawdę pustą próżnię, zwłaszcza w pobliżu gwiazd, rychło w młynie Hornpipe'a poczynają się obracać smugi wodoru, pyłu kosmicznego, także mikrometeorów, już widocznych gołym okiem. Po minucie wpada pierwszy większy głaz, ziemniakowata bryła wielkości piłki. Aguerre unosi dłoń z Pierścieniem Przysięgi *Pñmusa Ordo Homo Xenogenesis*, przekręca kamień w oprawie do pozycji trzy czwarte i podważa go paznokciem kciuka. Ametyst odskakuje z cichym sykiem, z pierścienia wydobywa się obłoczek ledwo widocznej mgiełki. Przeciwnie zwrócony mini — Hornpipe wciąga ją i wstrzykuje — przebijając ClosedCircuit2 i Cage'a — w wir materii.

Stróż zaczyna głębokie profilowanie fizjologiczne, by sprowadzić Aguerre na najniższe możliwe krzywe zapotrzebowania energetycznego. Frederick idzie z otwartymi oczyma pod powierzchnię świadomości, czeka, go letarg bodaj jeszcze głębszy niż przy pełnej Rzeźbie. No cóż, myśli leniwie, coraz sprawniej mi to idzie. Znaczy się — mordowanie xenotyków. I z coraz to błahszych powodów. Wróżba, *meigaud!* Przeczuwałem, że skończy się wróżbą: ona jedna jeszcze do niego trafiała. Ale czy przeczuwałem także, na co wskaże ta wróżba? Czyż bowiem wszystko nie zmierzało ku temu — pojedynkowi królów? Te skojarzenia mnie opętały, nie potrafię się wydobyć z raz ustalonego wzorca, Witalij postawił kropkę nad „i”. Tak to się zawsze zaczyna: od jakiegoś nic nie znaczącego porównania, urokliwej analogii, która odtąd regularnie nawiedza twoje myśli. I potem już rozumiesz w formach do niej symetrycznych, kolejne kroki stają się coraz bardziej nieuniknione... Na każdego czeka jego Spirala. W którym momencie Ivan przekroczył granicę? Czy w ogóle istnieje takowa? Znałem go przecież i to — wydaje mi się — dosyć dobrze; był to z gruntu szczerzy facet, nie miał natury spiskowca, naprawdę chciał dobrze, wszak nawet tutaj tak mi argumentował i apelował do poczucia solidarności. Ale kto powiedział, że Spirala nie może się zaczynać od altruizmu, czy nawet od miłosierdzia, miłości...? Niemal identycznie ja skusiłem Yesadę — tylko że ona się wyrwała ze Spirali. Petrc zaś miał wiarę w siebie. I słusznie zresztą, bo nie mylił się w kwestii glejintuicji, potęgi xenotyków, może również Projektu REVUM. Co tylko wyszło mu na złe, ponieważ utwierdzało w dokonywanych wyborach, i tak zstępował, krok za koniecznym krokiem, wprost w schematy konspiracji, mordu, schizmy, zdrad najpodlejszych oraz dobrowolnego opętania; i nie było błędu, nie było błędu! Trzeba wyjść poza siebie. Albo zawierzyć ślepo jakiemuś autorytetowi, i to takiemu, którego wcześniej nie wybraliśmy sobie sami. Albo randomizować decyzje; ale i to ostrożnie, bo gdy jest się xenotykiem... Mam nadzieję, że to jednak nie stał się standard w SR, to patroszenie Stróży i aplikacje automatycznej glejwróżby. A jeśli tak? Widać, że śmierć Petrc niczego w istocie nie zmieniła, nie odwróca się trendy, nie odmieni polityka *Societas Rosa*; jeśli już, to tylko bardziej się zdoktrynalizuje. Na co zatem nam to było? Ot, uczyniliśmy zadość... wróżbie.

Czerwony olbrzym już nie jest czerwony. Frederick mija go w drodze ku Punktowi Ferza i wchodzi na moment pod horyzont zdarzeń, otwarty destabilizacją gwiazdy; wtedy widzi: zaczęła odrzucać zewnętrzne powłoki, rośnie jej blask, zmienia się barwa. W reakcji Cage/Armour twardnieje, odwijając czasoprzestrzeń z tamtej strony. Aguerre odwraca sennie wzrok. Ogród na razie składa się wyłącznie ze szkieletu jednej płaszczyzny, kilkanaście metrów kwadratowych, wirującej u podstawy Hornpipe'a; ale szybko rośnie. Frederick postrzega wszystko poprzez różowy dym płytkich skojarzeń, migotanie gwiazd przesłanianych i odsłanianych przez szkielet przywodzi mu na myśl ataki Petrcowej stampy — czy gdzieś tam w tle nie migocze jego Śmierć, kosmiczny labirynt czasu? Być może w którymś bardziej skróconym jego odgałęzieniu Ivan wciąż żyje, a jeszcze dalej — żyje także Cuomo, Gabriel, wszyscy xenotycy, przeszli i przyszli, zjednoczeni w Śmierci; tara

znajduje się owo niebo bezsennych (głowa ciężka od gorącej krwi nie wytrzymała już ciśnienia Frederickowych majaków), gdzie, jak w owym patetycznym wierszu Luźnego
po łakach żywego kamienia wśród tańczących rzeźb straszliwi aniołowie fioletu

20. Świt

— Świta, popatrz. — Lady Amiel wychyla się przez balustradę balkonu, Wielki Atraktor Aguerre City wybucha jej w twarz milionem długich, ostrych cieni. — Mówiłeś, że nigdy...

— Bo tak zgraliśmy tempo wędrówki miasta z obrotami planety, aby pozostawało zawsze przed terminatorem, za horyzontem dnia.

Carla ogląda się na Fredericka, który mówi z ustami pełnymi ciasta, pochylony nad stołem w pozie żarłocznego burzujaka. Carla kadruje go złożonymi w prostokąt palcami obu dłoni.

— Ha, ha, ha — krzywi się do niej Aguerre.

— Piekło pod rządami *petit bourgeois*.

— Dlaczego piekło?

— Bardzo brzydki jesteś z tymi fioletowymi wybroczynami na skórze, rozmazują ci się na twarzy, a czasami, popatrz, no właśnie, czasami dotkniesz i zostawisz taki ślad, toż to ohyda. Naprawdę nie można nic z tym zrobić?

— Wyedytuj mnie sobie.

— Nie chcę. I tak bym pamiętała, że...

— Wyedytuj swoją pamięć.

— A pięknie dziękuję.

Faktycznie jest brzydki. Przygląda mu się otwarcie, wparta plecami w poręcz, odchylona nad przepaścią (siedemdziesiąte trzecie piętro Aguerre Tower). Z początku trochę ją fascynował, myśli. Jak oni wszyscy. Potem sama odraza. A teraz, pod opiekuńczymi skrzydłami Stróża, widzę po prostu kalectwo estetyczne, metaliczny zgrzyt w czwartym takcie symfonii. Mógłby być przystojny. Cóż, kiedyś był. Jak on to mówił? Ach, wioska nad Adriatykiem, to wtedy... Chyba tak. Tak. Wtedy, gdy go zaprosiłam na Sardinie. Zdaje się, że długo z nim tańczyłam; widocznie uderzył mi wówczas do głowy, razem z tym ich winem. W gruncie rzeczy niewiele pamiętam. Jego wspomnienia są lepsze: wioska; Sardinia; małżeństwo. Może faktycznie edytował sobie pamięć? Nie, raczej nie. Ale to miłe. Bo gdyby naprawdę popłynął... Nie byłby xenotykiem — kim by był? Nie znam tamtego Freda, on nie istnieje. Ale fantazja, marzenie — są przyjemne. Mhmmm, kochanek niemożliwy. O czym myśli, kiedy tak patrzy na mnie, śmiertelnie poważny, znieruchomiały na dwie — trzy sekundy, jakby na sam mój widok zanurzał się w głębokie Iluzjony? Carla poprawia fałdę związaną na biodrze spódnicy, by wyłaniające się spod widnokregu słońce pomalowało ją w łagodne, miękkie cienie. Mhmmm. Jest taki szpetny, że bardzo dobrze się prezentuję u jego boku, ładnie nam w podobnym kontraście. No i *Primus Ordo Homo Xenogenesis*; to jednak brzmi. Lubili się z Gabrielem. *Gaud*, Gabriel, dlaczego to musiało się tak — wciągnij i wypuść powietrze — więc może przeprowadzę się tu, do Aguerre Tower, w Aguerre City, w Glinie. I wiarygodność kredytowa mi od razu wzrośnie. Wyczarowuje czarne okulary, nasuwa na oczy, ogląda się na wschód. To może być — wdech/wydech — wygodne życie. W tej fantazji, w tym marzeniu, on mnie chyba kocha. A właściwie pamięta siebie zakochanego; co i lepiej. Ja też mam wspomnienia. I wystarczy. Odruchowo masuje nagie ramiona. Ależ to piękne, to miasto jest nieprawdopodobne — nareszcie w promieniach słońca. No chodź, popatrz, rusz tyłek.

— ...nigdy dwa razy w tym samym miejscu na powierzchni planety — mówi tymczasem Aguerre, nalawszy gorącej czekolady do filiżanek. — Nie chodzi tu nawet o zagrożenie Śmierciami, bo jak dotąd tylko Tataux się tak wygłupił; ale o residua postampowe. Te małe perwersje czasoprzestrzeni gromadzą się w miejscach dłuższego pobytu xenotyków, kotwicząc się na węzłach grawitacyjnych. Masa człowieka czy budynku jest za mała

— orientują się podług planety. Więc trzeba miasto przemieszczać. Zdarza się przecież, że przebywa tu równocześnie kilkuset bezsennych; potem zostają takie rezerwy cudów, wizytują je turyści. Trasa wędrówki AC jest generowana przez program losujący, z narzutem ograniczeń topograficznych. Okres obrotu planety wokół osi był tak wolny względem jej obiegu wokół słońca, że spokojnie dotrzymywaliśmy kroku terminatorowi. Ale ta cholerna Śmierć Cuomo zmieniła zupełnie mapę grawitacyjną układu. Mieliśmy tu takie trzęsienia ziemi, że gdyby ten glob był trochę młodszy, widziałabyś teraz całe łańcuchy wulkanów, od horyzontu po horyzont, płyty wypiętrzane na kilometry, nie dojrzałabyś słońca zza chmur pyłu...

— Fred, zlituj się. Więc milczy.

W równoległej ścieżce wciąż odgrywa się w nieskończonej pętli ów zapis kilkunastominutowego skanu, który kabaliści Szarskiego odszyfrowali na kompie FTL z ostatnich archiwów lorda Amiel — i Aguerre widzi przez parę idącą z podnoszonej do ust filiżanki, Gabriela Paige i Ivana Petrc, zatopionych w ożywionej dyskusji, wchodzących z korytarza do bocznego gabinetu prywatnego piętra Aguerre Tower; słyszy muzykę i śmiech soczysty, ludzi oraz xenotyków.

W tym Iluzjonie tylko Gabriel jest gliny — Petrc to oczywiście prywatny fantom, iluzyjny podwójnie. (Ciężkie czasy nastały dla zerojedynkowych ontologów). Wraz z rozmówcami odgrywana jest cała zarejestrowana scenografia: Aguerre znajduje się nie tyle w swojej jadalni, co w lekko Escherowym złożeniu jadalni i tamtego gabinetu. Wszystko to idzie w hierarchii Personal, więc Carla oczywiście nie zdaje sobie sprawy. Aguerre odtwarza owo nagranie, odkąd tylko otrzymał odtworzone pliki, sam już nie wie, ile razy. Nic jej nie powiedział — ale ilekroć na nią spojrzy, walczy z tym impulsem i poczuciem winy (na które Stróż nie ma stosownego inhibitora); toteż ucieka w absurdalne tyrady, niezgrabne żarty, albo właśnie uporczywe milczenie.

— ...kiedy mówiliśmy o Projekcie SWING — peroruje *frei* Ivan Petrc OHX. — Więc o co chodzi? Nie rozumiem.

Gabriel kręci głową.

— Swingowcy tylko obserwują i liczą. Wy planujecie ingerencje.

— Nie rozumiem! — Petrc aż unosi ręce ponad głowę. — Masz pretensje, że trzymaliśmy to w tajemnicy? Trzymaliśmy w tajemnicy przed wszystkimi! Zaraz zaczęłyby się polityczne licytacje, panika w mediach, że niby „bawimy się Boga”, jakieś armageddoniczne prognozy, xenotyk nie może sobie nosa wysmarkać, żeby nie „naruszyć równowagi wszechświata”; to paranoja.

— Ty mnie nie słuchasz, Ivan. — Gabriel podciąga obfite rękawy, zakłada ręce na piersi; wygląda przelotnie na wielobarwną noc AC. — Twierdzisz, że ta instalacja zakończyła już pracę; że obliczyliście wszystko i teraz szukacie przejść do Odrzeźbień we wskazanych lokacjach. Powiedz: czy już to samo poszukiwanie nie oznacza badań aktywnych, ostrzałów strumieniami cząstek wysokoenergetycznych? Załóżmy, że macie rację — czy na ich miejscu nie postawiłbyś „u wejścia” muru superczułych detektorów? Już będą wiedzieć. Ale wy chcecie pójść dalej i rozpruć na ślepo Rzeźbę „wejścia”! Sądzisz, że jaka będzie reakcja postglejotyków, gdy zaczniecie demolować ich kosmos?

— Mówiłem już, że najłatwiej spanikować — krzywi się Ivan.

Gabriel gromi go wzrokiem.

— Może przynajmniej własnym prognozom uwierzycie. Skoro ma to być wyjaśnienie *silentium universi* i sięgacie tak daleko w przeszłość, to tak samo nieprawdopodobne jest, by nikt wcześniej nie próbował wejść do tych ukrytych kosmosów. I jak, zostały po naszych poprzednikach jakieś ślady? Co, wessało ich może?

— Boisz się po prostu.

— A ty nie? Ty nie? Przecież jeśli macie rację z tymi anomaliami w strukturze grawitacyjnej Mlecznej Drogi...

— Mamy. One istnieją. Ktoś Odrzeźbił fragmenty naszego wszechświata.

— Odrzeźbił, albo i nie Odrzeźbił. To właśnie od początku prófuję ci wytłumaczyć: masz za mało danych do wyciągania tak daleko idących wniosków i, tym bardziej, do podejmowania na ich podstawie decyzji o działaniach potencjalnie tak niebezpiecznych. Te anomalie, o ile dobrze rozumiem założenia Projektu REVUM, mogą się tłumaczyć na inne sposoby. Zaburzenia ruchu w układzie powoduje nie tylko odejmowanie mas, ale także ich dodawanie.

Petr, przechodzący w międzyczasie różne fazy rozkojarzenia i z pozoru prawie już ignorujący lorda Amiel, teraz obraca się ku niemu, nieruchomieje w pół błędnego gestu, marszczy brwi.

— Co ty właściwie sugerujesz? *Creatio ex nihilo*?

— *Nai* — Gabriel waha się chwilę. — Prowadziłem ostatnio pewne badania *gleiophyta*... Przyznaję, REVUM dał mi do zastanowienia. I to więcej niż wam. Dlaczego nie pomyśleliście o drugiej stronie tego medalu?

— Jakiej drugiej stronie?

— Że to my, nasz wszechświat jest Odrzeźbą pierwotnego wszechświata postglejotyków. To równie dobrze tłumaczy anomalie: jako miejsca okresowych zeń upustów.

— I gdzie oni są? — sztydzi Petr. — Ci postglejotycy. Skoro Odrzeźbili się w nasz kosmos. Mhm?

— Spójrz w lustro.

— Co?

— Nosicie ich w sobie. Moja hipoteza tłumaczy więcej niż wasza, bo także wszystkie paradoksy związane z pochodzeniem gleju. Jak to możliwe, że występuje na różnych planetach, ten sam organizm w całym wszechświecie.

— Ach, ultrakonwergencja...

— Jedno nie wyklucza drugiego. To może tak postępować w nieskończoność: niektóre z tych anomalii faktycznie mogą prowadzić do kosmosów „niższych”. A my jesteśmy gdzieś pośrodku.

Ivan kręci głową.

— Jakies pieprzone drzewo wszechświatów. Przeginasz, Gabriel.

— Być może. Jeśli jednak mam rację... Ile jesteś gotów zaryzykować? Rozrywasz Ujście i w środku Mlecznej Drogi eksploduje Universum Gleiophyta. A sami wydedukowaliście powód, dla którego tak uciekają w osobne kosmosy: wojna. Czy potrafisz sobie w ogóle wyobrazić wojnę prowadzoną przez postglejotyków na skalę wszechświatów? Nagle znajdziemy się na linii frontu. Odległości nas nie uratują, przecież nawet dla was prędkość światła nie jest barierą; najpewniej zmiażdżą nas jedną makrodefinicją swojego WarMastera. — Paige bierze głębszy wdech. — Może się mylę; biorę to pod uwagę. Być może nie mam racji. Prawdopodobieństwo jak jeden do pięciu. Albo nawet jeden do dwudziestu. Proszę bardzo. Ale czy wy dopuszczacie możliwość pomyłki? Przecież nie macie pewności stuprocentowej. W takiej sytuacji podejmować podobne ryzyko — to czyste szaleństwo.

Petr chodzi wzdłuż ściany, lewą ręką gładzi meble, otwiera i zamyka szuflady biurka, zaglądając

przelotnie, prawą macha na Gabriela, nie patrząc nań; czyni przy tym skomplikowane miny.

— Tylko że ja mam pewność — mamrocze.

— Znowu wróżba, co? Więc pomyśl nad tym: impulsy międzykomórkowe w gleju są zeroczasowe, dystans nie gra roli — nie ma zatem znaczenia także z którego i do którego wszechświata trafia informacja. Rzeźba nie stanowi bariery.

Petrz ogląda się na niego.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Lord Amiel kręci głową, rozkłada ręce (rękawy szaty kryją mu dłonie).

— Przykro mi, Ivan, ale nie mam wyjścia, muszę powiadomić Aguerre.

— *Gaud*, przecież wiesz, że to tylko doprowadzi do schizmy i da nowe argumenty ksenofobom na Ziemi; nic dobrego z tego nie wyniknie.

Gabriel traci opanowanie.

— Co mi tu świętego będziesz teraz udawał! Zdecydowałeś się na schizmę, budując za plecami Zakonu te glejkomputery. Teraz ponieś konsekwencje; to nie jest gra, w której w dowolnym momencie możesz się przewinać pięć scen do tyłu.

Petrz wzrusza ramionami i zamyka połączenie.

Lord Amiel chwilę jeszcze stoi przy oknie, gapiąc się pusto w noc. Potem siada z westchnieniem w skórzanym fotelu pod regałem, tyłem do drzwi, zawinawszy nerwowo obfitą szatę. Macha ręką w geście rezygnacji. Odchyliwszy głowę na oparcie fotela, przymyka oczy. I kiedy zaczyna kłąć...

Aguerre nie czeka na efekt tych modłów i wychodzi z Iluzjonu, zanim w drzwiach pojawia się Kameleon.

Od balkonu bije ostre światło, cień wdowy sięga aż stołu. Opięta gładkim materiałem spódnicy krzywizna biodra i uda Carli zatrzymuje wzrok i myśli Fredericka na kilkanaście sekund. Pod restrykcyjnymi programami Stróża niezdolny do podnieceń seksualnych, tonie w morzu skojarzeń estetycznych, niekiedy bardzo ekscentrycznych.

Zabiera obie filiżanki z czekoladą, jeszcze ciepłą, i wychodzi na balkon. Tę iluzyjną podaje Carli. Lady Amiel dziękuje mu i wskazuje naczyniem beethovenowski wschód słońca.

— Czasami jednak warto.

Aguerre unosi swoją filiżankę. Stukają się porcelaną w parodii toastu. — Alleluja.

Uwagę Aguerre pochwyca świeża plama fioletu na grzbiecie dłoni. Zamiast wypić czekoladę, sięga językiem i zlizuje wybroczyny. Taaak. W moich żyłach; w moich genach; w moim mózgu. Jesteśmy glejotykami n-tej generacji. Żywe cmentarze.

Teraz już w każdej chwili, w każdej sekundzie... Jeden do siedmiu, że najdalej za pół roku. Koniec świata. A w każdym razie — Wojna. Jutrzeńka nowej ery.

Na wysokopriorytetowej wciąż dobijają się do niego Miaso i von Ravenstuck. Ignoruje ich; nie chce nawet myśleć, z czym dzwonią.

Wyjmuje z kieszeni talię Luźnego, odwraca obrazami do dołu i wybiera kartę. Ale nie patrzy.

Przez Wielki Atraktor suną automatyczne transporterty Miasta Chaosu, każdy z cieniem jak żalobny tren. Kilka niskich ścieżek żywokrystu przecina tarczę słońca, idący po nich roztapiają się w blasku jak woskowe figurki. Na niebie gasną ostatnie gwiazdy, blaknie pierścień. Włosy Carli — one znowu pachną gorącym piaskiem.

— *Adagio grandioso. All'antico*. Czujesz to, Fred?

Ścisła kartę w pocącej się glejem dłoni. W drugiej drży filiżanka.

Aguerre powoli wrasta w świt.

czerwiec — listopad 2000

Wojtek Sedeńko

Posłowie

Wydane dziesięć lat temu "Wizje alternatywne" były pierwszą w Polsce antologią SF, na którą złożyły się opowiadania oryginalne, nigdzie nie publikowane.

Po dobrym przyjęciu przez Czytelników, kontynuowałem współpracę z autorami; w 1994 i 1996 roku ukazały się kolejne antologie „Czarna msza” i „Wizje 2”.

Pierwszy wybór wszedł na rynek z chwilą zawrócenia przez Polaków biegu błotnistej rzeki znanej pod nazwą komunizm. Kurs pod prąd spowodował gwałtowne zmiany we wszelkich dziedzinach naszego życia, ale wtedy nam wszystkim wydawało się, że mamy dość pary, by sprostać gwałtownemu nurtowi przemian. Uwolniono rynek książki, zniesiono cenzurę, autorzy pisali w euforii — wydawało się, że otwierają się oto przed nami nieskończone możliwości: prywatne wydawnictwa, wielkie nakłady, pieniądze i uznanie.

Nie sprawdziły się te prognozy, wolny rynek i twarde prawa nim rządzące ściągnęły nas z chmur na ziemię. Sprawdziło się słynne powiedzenie Hollanka: *Dajcie mi więcej papieru, a zniszczę fantastykę*; jakże się kiedyś z tych słów śmialiśmy! I oto załaza nas fala literatury z Zachodu, to czego tak pragnęliśmy okazało się — w przeważającej części — namiastką prawdziwej literatury, nic nie warta sieczką, wypraną z dobrych pomysłów, choć sprawnie napisaną i podaną w kolorowej oprawie. Mnogość tytułów, pojawienie się nowych, atrakcyjnych wizualnie mediów, spowodowały gwałtowny spadek nakładów, a tym samym wzrost ceny książek. Wraz z falą przekładów pojawiła się zhora zachodniej fantastyki — niekończące się powieściowe cykle. Przyszła też moda na fantasy, która, co tu ukrywać, sprzedaje się dzisiaj lepiej od science fiction. Nie miejsce tu jednak na dociekanie, dlaczego tak się dzieje, fakt pozostaje jednak faktem.

Tym samym, w polską fantastykę nie miał kto inwestować, wydawcy uznali ją za nie dochodową, w podobny sposób odrzucili SF rosyjską. Niebywały sukces prozy Sapkowskiego wcale tej sytuacji nie poprawił na lepsze, jedna jaskółka wiosny nie czyni.

Jak wygląda polska fantastyka u progu XXI wieku? Stulecia, w którym rozgrywała się większość fantazji naukowych, które czytaliśmy. Debiutować dzisiaj najłatwiej w prasie — nadal funkcjonują pisma branżowe, z wydaniem książki sprawy mają się dużo gorzej. Systematycznie wydają rodzimą SF tylko trzy wydawnictwa: Supernowa, Solaris i Prószyński i S-ka, sporadycznie czynią to Amber, MAG i S.R. Ponieważ możliwości wydania maleją, więc i pisarze rzadziej sięgają po pióra. W czasopiśmie może ukazać się rocznie 40–60 opowiadań, powieści ukazuje się około 10. Wyżyć z pisania literatury nie sposób, więc tekstów powstaje ostatnio coraz mniej, tym samym trudniej o rzeczy wartościowe. Dobrzy pisarze odchodzą od tworzenia nowych powieści, widać też tendencję do eksploatowania tematów sprawdzonych, czyli wykorzystania bohaterów, których polubili Czytelnicy. Swoje cykle piszą Sapkowski, Kres, Zimniak, Pilipiuk, Lewandowski. Inni, jak Ziemkiewicz czy Wolski, też korzystają ze wzorców, które „chwyciły”, piszą historie tak podobne do siebie, że czytelnik kupując ich nową książkę wie, czego się po niej spodziewać.

Bardzo interesujący jest nadal Huberath, niestety pisze mało z racji pracy naukowej. Równie niewiele prozy pisze Oramus, który zajmuje się ostatnio głównie publicystyką, za to każdy nowy tekst

jest inny, oryginalny. Podobnie Żerdziński, jego powieść „Opuścić Los Raques” to jedna z najlepszych powieści SF ostatnich lat. Klasą dla siebie jest Dukaj, pisze systematycznie i dużo, niestety nie ma farta, jeśli chodzi o ilość publikacji. Stale rozwija swój niewątpliwy talent Sobota.

Wymieniłem powyżej wielu autorów, warto zauważyć przy tej okazji, że od kilku lat do czołówki nie awansował nikt nowy. To boli, ten brak znaczących debiutów. To jest złe zjawisko.

W niniejszej antologii znalazło się dwóch pisarzy, nieobecnych na rynku od dłuższego czasu; obaj zapowiadają jednak powrót do pisarstwa. Jerzy Grundkowski krótkim parodystycznym opowiadaniem pozwala sobie na żart z prozy Lema, a wkrótce ukaże się jego powieść „Lancelot znad Renu”. Krzysztof Kochański planuje nawiązać do starszych tekstów, które publikował w prasie, zapowiada też nowe opowiadania.

Debiutuje w antologii Wojciech Szyda, którego nowela obraca się wokół wysokich, czyli boskich tematów. To autor, na którego warto zwrócić uwagę.

Eugeniusz Dębski i Mirosław Jabłoński to autorzy obecni w „Wizjach” od początku. Pierwszy, znany w ostatnich latach głównie z tłumaczeń literatury rosyjskiej, boksuje z tematem wziętym z „Matrixa”; jak zwykle ogrywa stare schematy, ma jednak swój styl, który lubią Czytelnicy. Myślę, że Dębski wciąż ma swój najlepszy tekst przed sobą. Drugi, wykorzystał wyuczony zawód scenarzysty filmowego i sparodiował jeden z najpopularniejszych seriali telewizyjnych poprzedniej dekady, jednocześnie zabawnie szydząc z polskiej, bliskiej przyszłości.

Jednym z tych autorów, co powoli odchodzą od pisania fantastyki jest Jacek Ingłot. Zamieszczone w antologii opowiadanie, w którym wykorzystuje znajomość środowiska nauczycielskiego i uczniowskiego, miał być w zamyśle początkiem powieści. Prawdopodobnie nie dojdzie jednak do jej realizacji.

Marek Oramus napisał bardzo dziwne opowiadanie (jego tytuł zaczerpnął z twórczości Jonathana Carrola), w którym udowadnia, że mało kto potrafi mu dorównać w budowaniu plastycznych i mocnych scen.

Na koniec tekst Dukaja, właściwie pełnowymiarowa powieść, w której autor kreśli własną wizję przyszłości, ewolucji ludzi i maszyn, przemyślaną i kompletną. Powieść jest fragmentem szerszej wizji autora.

Udało mi się tu zebrać różnorodne opowiadania, myślę, że ta dzisiejsza polska fantastyka może się podobać, pokazuje wszechstronność naszych pisarzy i pomimo rynkowych trudności oraz malejącego zainteresowania książką, pozwala jednak na umiarkowany optymizm, jeśli idzie o przyszłość polskiej odmiany naszego ulubionego gatunku literackiego.

Olsztyn, 16 stycznia 2001 r.

* Why — ang. „dlaczego” — wymawia się tak samo jak głoskę „Y”.

* Stanisław Lem *Śledztwo*, WL 1969.